

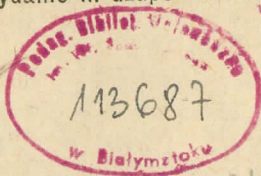
C. BOGUCKA i C. NIEWIADOMSKA

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ IV

(STYLISTYKA I TEORIA LITERATURY.)

Wydanie III uzupełnione.



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Różnice stylu, zależne od tego, kto mówi.

HRABIA I ZOSIA

(Wyjątek z „Pana Tadeusza“).

A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach po trawie
Skacząc jak żaba, cicho przyczołgał się blisko,
Wytknął głowę i ujrzał cudne widowisko:

Śród ptaszych głów sterczały główki ludzkie małe,
Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe,
Szyje nagie do ramion; a pomiędzy niemi
Dziewczyna głową wyższą, z włosami dłuższymi.
Tuż za dziećmi paw siedział i piór swych obręcze
Szeroko rozprzestrzenił w różnobarwną tęczę,
Na której główki białe, jak na tle obrazku,
Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,
Obrysowane wkoło kręgiem pawich oczu,
Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu,
Pomiędzy kukuruzy złocistemi laski
I angielską trawicą, posrebrzaną w paski,
I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,
Których kształty i barwy mieszały się razem,
Niby krata, ze srebra i złota pleciona,
A powiewna od wiatru, jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badyłów
Wisiąca jak baldachim jasna mgła motylów,
Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka,
Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
Gdy w powietrzu zawisną, zaledwo widome,
I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w rękę
Szara kitką, podobną do piór strusich pęku;
Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
Od złotego motylów deszczu. W drugiej ręce
Coś u niej rogatego, złocistego świeci,
Zdaje się, że naczynie do karmienia dzieci,
Bo je zbliżała dzieciom do ust pokolei;
Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei¹⁾.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
Nie wiedząc, że napastnik już z przeciwnej strony
Zbliżył się, czolgając się jak wąż przez zagony,
Aż wyskoczył z łopuchu. Spojrzała — stał blisko,
O cztery grzędy od niej, i kłaniał się nisko.
Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona
I zrywała się lecieć, jak kraska spłoszona,
I już lekkie jej stopy wionęły nad liściem,
Kiedy dzieci, przełękłe podróżnego wniściem
I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie.
Posłyszała, uczuła, że jest nieroztropnie
Dziatwę małą, przełękłą i samą porzucić;
Wracała, wstrzymując się, lecz musiała wrócić,
Jak niechętny duch, wróżki przyzwany zaklęciem.
Przybiegła z najkrzykliwszem bawić się dziecięciem,
Siadła przy niem na ziemi, wzięła je na łono,
Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
Aż się uspokoiły, objawszy w rączęta
Jej kolana i tuląc główki, jak pisklęta
Pod skrzydło matki. Ona rzekła: „Czy to pięknie
Tak krzyżeć? czy to grzecznie? Ten pan was się zleknie.
Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie dziad szkaradny,
To gość, dobry pan, patrzcie tylko, jaki ładny”.

Sama spojrzała: Hrabia uśmiechnął się mile
I widocznie był wdzięczen jej za pochwał tyle;
Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła
I, jako róży pązek, cała się spłoniła.

Wistocie był to piękny pan: słusznej urody,
Twarz miał pociągłą, blade, lecz świeże jagody,

¹⁾ Amaltea — karmicielka Jowisza (nimfa lub koza).

Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
Na włosach listki ziela i kosmyki trawy,
Które Hrabia oberwał, pełnząc przez zagony,
Zieleniły się, jako wieniec rozpleciony.

„O ty! — rzekł — jakimkolwiek uczęzę cię imieniem,
Bóstwem jesteś, czy nimfą, duchem, czy widzeniem!
Mów: własna-li cię wola na ziemię sprowadza?
Obca-li więzi ciebie na padole władza?
Ach! domyślam się: pewnie wzgardzony miłośnik,
Jaki pan możny, albo opiekun zazdrośnik
W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeże!
Godna, by o cię bronią walczyli rycerze,
Byś została romansów heroiną smutnych!
Odkryj mi, piękna, tajnie twych losów okrutnych,
Znajdziesz wybawiciela. Odtąd twem skinieniem,
Jak rządysz sercem mojem, tak rządz mem ramieniem!”
Wyciągnął ramię.

Ona z rumieńcem dziewczym,
Ale z rozweselonem słuchała obliczem, —
Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
Nim rozezna ich wartość, — tak się słuch jej pieści
Z dźwięcznemi słowy, których nie pojęła treści.
Nakoniec zapytała: „Skąd tu pan przychodzi?
I czego tu po grzędach szuka pan dobrodziej?”
Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,
Milozał; — wreszcie, zniżając swej rozmowy tony:
„Przepraszam, — rzekł — panienko! Widzę, żeś pomieszał
Zabawy. Ach, przepraszam: jam właśnie pośpieszał
Na śniadanie... już późno, chciałem na czas zdążyć;
Panienka wie, że drogą trzeba wkoło krążyć,
Przez ogród, zdaje mi się, jest do dworu prościej...”
Dziewczyna rzekła: „Tędy droga jegomości;
Tylko grząd psuć nie trzeba. Tam między murawą
Ścieżka”.

A. Mickiewicz.

Czy Hrabia i Zosia mówią w jednakowy sposób (jednakowym stylem)?

Sposób mówienia nazywamy stylem¹⁾ lub wystowieniem.

¹⁾ Wyraz styl pochodzi od greckiego stylos. Tak zwali Grecy, a później i Rzymianie, rylce do pisania na tabliczkach, powleczonej woskiem.

Dlaczego Hrabia mówi innym stylem niż Zosia?
 Czy styl Hrabiego jest prosty, naturalny? Jakby go można określić?
 Styl przesadzony nazywamy napuszonym, bombastycznym.
 A jaki jest styl Zosi?

W CHACIE.

(Z „Chłopów“).

— Kuba, останiesz to w służbie dłużej, co?

Kuba spuścił ośnik¹⁾, którym strugał, i zapatrzył się w ogień tak długo, aż Boryna mu przypomniał.

— Słyszałeś, com ci rzeki?

— Słyszeć—słyszałem, ino tak w głowę zachodzę, że po prawdzie, to krzywdy mi nijakiej u was nie było... Juści, ale ino... — urwał zakłopotany.

— Józia, dajno gorzałki i co przegryźć, co mamy na sucho radzić, kiej Żydy jakie! — zarządził stary i przysunął przed komin ławkę, na której Józia wnet postawiła bu-telkę, wianek kielbasy i chleb.

— Napij się, Kuba, i rzeknij swoje słowo.

— Bóg zapłać, gospodarzu... Ostać—tobym się ostał, ino... ino...

— Postąpię ci coś niecoś..

— Przydaćby się przydało, bo to i kożuch zlatuje ze mnie i buciska też, a i kapot jaki kupiłbym... już jak ten dziadek jaki jest człowiek, że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty... bo jakże mi przed ołtarz w takim obleczeniu...

— A w niedzielę nie baczyleś na to, inoś się pchał tam, gdzie najpierwsze... — rzekł surowo Boryna.

— Juści... Hale... Prawda...—bąkał srodze zawstydzony, i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

— A to i Dobrodziej naucza, żeby szanować starszych. Napijno się, Kuba, na zgodę i słuchaj, coć rzeknę, a sam się pomiarkujesz, że co parobek, to nie gospodarz... Ku-żden ma swoje miejsce, i la kuźdego co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyznaczył ci Pan Jezus twoje, to go se pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad drugie — bo zgrzeszysz ciężko. I sam Do-brodziej ci powtórzy to samo, że tak być musi — bych po-rządek na świecie był. Miarkujesz se, Kuba?

— Nie bydleć przeciech i swoje pomyslenie mam.

— To baczże, byś się nad drugie nie wynosił.

— I... inoć bliżej ołtarza chciał być...

— Pan Jezus z kuźdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą, ktoś jest?

— Juści, juści... gospodarzem byłbym, to i baldach nosićbym nosił, a i Dobrodzieja pod pachę wiódł, i w ławkach siadał, i z książki głośno śpiewał... a żem ino parobek, chocia i syn gospodarski, to mi w kruchcie stać, albo przed drzwiami, jako te pieski... — powiedział smutno.

— Takie już na świecie urządzenie jest, i nie twoja głowa zmienia.

— Pewnie, że nie moja, pewnie.

— Napij się jeszcze, Kuba, i rzeknij, co ci mam za-sług dodać.

Kuba wypił, ale już go nieco zamroczyła gorzałka, to uwidziało mu się, że w karczmie siedzi z Michałem od or-ganisty, abo i z drugim kamratem, i rajcuja se swobodnie, wesolo, jak równy z równym. Rozściebnał ździebko kapotę, wyciągnął nogi, buchnął pięścią w ławkę i zakrzyknął:

— Cztery papierki i rubla zadatku doloży — to ostane!

— Widzi mi się, żeś pijany, abo ci się w głowie po-psuło — zawołał Boryna, ale Kuba szedł już za myślą swoją i dawnem marzeniem, a zresztą nie słyszał gospo-darskiego głosu, więc rozprostowywał skurczoną duszę, rósł w ambit i taką pewnoś siebie, jakoby samym gospodarzem się poczuł.

— Cztery papierki i jeszcze jeden zadatku — doloży, to u niego ostane, a nie, to psiachmać, na jarmark pójdę i służbę se znajde, choćby i na furmana do eugowych we dworze... Znają mię, iżem robotny i na wszystkim w polu czy kiele domu się znający, że niejednemu gospodarzowi bydlę paść u mnie, a uczyć się... A nie, to ptaszki strzelał będę i Dobrodziejowi nosił, abo i Jankłowi — a nie...

— Cie... kuternoga jeden, jak bryka. Kuba!—krzyknął ostro stary.

Kuba zamilkł, wytrzeźwiał z rozmarzenia, ale hardości nie stracił, bo jał się nieustępliwym czynić, że Boryna rad nierad dorzuczał mu po półrublu, to po złotówce, aż i sta-

¹⁾ Nóż bednarski, mający w obu końcach poprzeczne rękojeści.

nęło, że obiecał mu na przyszły rok dołożyć trzy ruble i dwie koszule miasto zadatku.

Wł. Reymont.

Wskaż wyrażenia rubaszne, rzewne, naiwne, rozumujące,

NA BEZLUDNEJ WYSPIE.

(Wyjątek z „Latorośli”).

...Piotruś zerwał się i zaczął szukać swego łuku i strzał.

— A teraz co będziemy robili? — spytał Mieczysław.

— Teraz upieczemy ptaszki.

Ptaszki upiekli na tym samym drewnianym rożnie, który zobaczyli na wstępie. Choć bez soli, smakowały im bardzo.

— Jakie one strasznie maleńkie! — skarżył się Mieczysław. — Radzę zjeść dziś wszystkie, a jutro dostać inne...

— Dostać inne?... Może poprosić Walka, żeby wrócił i nałapał...

Mieczysław pobladł i przestał oddychać.

— Wiesz co, lepiej wyrzeknę się ptaszka. Niech zostanie.

— A najlepiej położyć się spać. Jeżeli nie możesz usnąć, to zamknij oczy i licz do stu.

— Lepiej pacierz zmówię!

— Mów, a ja pościel urządzę.

Mieczysław ukląkł koło budy, przeżegnał się.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen! —

Złożył ręce. — „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...”

Ale nowy sposób przygotowania pościeli tak go zajmował, że nie mógł wytrzymać i głowę co chwila pod gałęzie wsuwał.

— Podłóż więcej pod głowę, będzie poduszka...

— Wiem sam. Jak się modlisz? Ładnie, bardzo ładnie...

— „Chleba powszedniego daj nam dzisiaj...” Co tak wąsko ścieszysz? Gdzie położysz się sam?

— Ach, daj mi pokój! Nie położę się. Przecież musi ktoś zostać na straży.

— To prawda! Ale co wtedy będzie?

— Przystaniesz ty, smyku! Mów dalej pacierz, bo dam ci klapsa.

— Klapsa?... Ale przecież dalej zawsze ze mną mówiła mama.

Piotruś ukląkł obok brata i głośno odmówił z nim modlitwę, poczem pocałowali się. Mieczysław położył się posłusznie na pościółce z mchu i przymknął powieki. Piotruś siadł poważnie u ognia. Ogieniek ledwie się tlił. Wielkie, czarne cienie drzew milezących i nieruchomych otaczały ich zwartą ścianą; w górze przez kosmate ich konary blade migotały gwiazdy.

— Zimno mi, Piotrusieńku, i nóg nigdzie schować nie mogę... Mój Boże, pewnie pani Vauban zapomniała schować mojej bułki wieczornej, i herbata przepadła, bo jutro będzie jutro, a dziś to już było...

— Cicho bądź i śpij. Jutro ruszamy o świcie. Śpij!

Zdjął kurtkę i nogi brata otulił. Ten jednak nie przestał kręcić się i skarżyć. Wówczas, zwalczając trwogę, starszy wyruszył w ciemności po trawy i paprocie.

— Nie odchodź! Nie odchodź daleko! — krzyczał Mieczysław.

— Zaraz wrócę. Muszę cię nakryć.

Rwał drzącymi rękoma, co tylko znalazł w pobliżu, i rzucił za siebie w oświetlone koło czerwonym blaskiem ognia. Nakrywszy brata, resztę włożył na swe nagie, podrapane, skostniałe od zimna ramiona. Ogień ogrzewał go z przodu.

— Piotrusiu!... Piotrusiu!... — zawołał znowu Mieczysław.

— Co? jeszcze nie śpisz?

— Ależ śpię... A tylko jeżeli wilk przyjdzie, to mnie obudź... pamiętaj...

— Śpij spokojnie! Nie przyjdzie, tu wyspa...

— Dobranoc, Piotrusiu! Chciałem jeszcze powiedzieć, żeś kochany. Teraz zupełnie ciepło... Tylko na chwilkę, na maluchną chwilkę chodź do mnie...

Piotruś wstał i przykląkł koło brata, ten uchwycił go za szyję rękoma.

— Przestań! Smokczesz się tylko jak cielę!

Poprawił na nim obsunięte zioła i poczekał, aż zasnął.

W. Sieroszewski.

Jak możesz określić ten styl?

PRZED WIEKAMI.

(Wyjątek z „Pójdźmy za nim”).

Najczynniejszym między mędrcami w Aleksandrii był szlachetny Tymon Ateńczyk, człowiek możny i obywatel rzymski. Mieszkał on od kilkunastu lat w Aleksandrii, dokąd przybył dla zgłębienia tajemniczej nauki egipskiej. Mówiono o nim, że nie było ani jednego pergaminu lub papirusu¹⁾ w Bibjotece, którego by nie przeczytał — i że posiadał całą mądrość ludzką. Był przytem człowiekiem słodkim i wyrozumiałym. Cinna wyróżnił go odrazu i wkrótce zawarł z nim znajomość, która po pewnym czasie zmieniła się w bliższą zażyłość, a nawet w przyjaźń. Młody Rzymianin podziwiał jego biegłość w djalektyce²⁾, wymowę i rozagę, z jaką starzec mówił o rzeczach wzniosłych, dotyczących przeznaczeń człowieka i świata. Uderzało w nim szczególnie to, że owa rozważa była połączona jakby z pewnym smutkiem. Później, gdy zbliżyli się z sobą, niejednokrotnie brała Cinna ochotę zapytać starego mędrca o powód tego smutku, a zarazem otworzyć przed nim własne serce. Jakoż wkońcu do tego przyszło.

Pewnego wieczora, gdy po gwarnych rozprawach o wędrówce dusz, zostali sam na sam na tarasie, z którego widok był na morze, Cinna, wzięwszy rękę Tymona, wyznał otwarcie, co mu było największym udręczeniem życia, i dla jakich powodów starał się zbliżyć do uczonych i filozofów.

— Tyle przynajmniej zyskałem, — rzekł wkońcu — żem poznał ciebie, Tymonie, i teraz wiem, że jeśli ty nie rozwiążesz zagadki mego życia, nikt inny tego uczynić nie zdoła.

Tymon wpatrywał się czas jakiś w wygładzoną toń morską, w której odbijał się nów księżyca, poczem rzekł:

— Widziałeś, Cinno, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków Północy? Czy wiesz, czego one szukają w Egipcie?

— Wiem. Ciepła i światła.

— Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które oznacza prawdę. Ale ptaki wiedzą, dokąd lecieć po swe dobro, dusze zaś latają po bezdrożach, w zabłąkaniu, smutku i niepokoju.

¹⁾ Pergamin — materiał do pisania ze skóry zwierzęcej; papirus — z rośliny. ²⁾ Nauka o prowadzeniu dysput, t. j. sporów uczonych.

— Czemu, szlachetny Tymonie, nie mogą znaleźć drogi?

— Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się, jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofja będzie dla dusz słońcem prawdy — dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach i w Rzymie, i w Atenach, i tu, siedzą sceptycy¹⁾, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wnieśli niepokój. Bo wyrzec się światła i ciepła jest to zostawić dusze w ciemności, która jest niepokojem. Więc wyciągawszy ręce przed siebie, szukamy poomacku wyjścia...

— Zali i ty go nie znalazłeś?

— Szukałem i nie znalazłem. Tyś szukał go w rozkośzy, ja w myśleniu — i obu nas jednaka mgła otacza; wiedz przeto, że nie sam jeden się dręczysz, i że w tobie dręczy się dusza świata.

— Lecz czyli wobec tego warto żyć?

— Zali wiemy, co nam przyniesie śmierć?

— Więc jakaż jest różnica między tobą a sceptykami?

— Sceptycy godzą się na ciemność, lub udają, że się godzą, — ja zaś męcę się w niej.

— I nie widzisz wybawienia?

Tymon umilkł na chwilę, poczem odrzekł zwolna, jakby z pewnem wahaniem:

— Czekam go.

— Skąd?

— Nie wiem.

Potem wsparł głowę na dłoni i, jakby pod wpływem ciszy, która zalegała tarasy, począł mówić równie przyciszonym głosem.

— Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nie więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy nieчем więcej być nie mogli nad to, czem jesteśmy, toby nie było w nas niepokoju... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofja zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam.

H. Sienkiewicz.

Czy mowa tych ludzi różni się od mowy chłopów lub dzieci? Dlaczego?

Każdy mówi właściwym sobie językiem: styl zależy od tego, kto mówi.

¹⁾ Sceptycy — filozofowie starożytni, których zasada było powątpiewanie o wszystkim.

STYL — TO CZŁOWIEK.

„Styl—to człowiek”—mówi przysłowie,—i rzeczywiście: styl zależy od moralnego i umysłowego rozwoju człowieka, jego wykształcenia, temperamentu, wychowania i wielu innych warunków. Uczniowie jednej klasy, dzieci jednych rodziców, ludzie jednego fachu — różnią się bardzo sposobem wystąpienia czyli stylem, bo różnią się między sobą.

Różnice te bywają bardzo rozmaite: czasem nieznaczające, czasem wielkie. Im więcej człowiek wyodrębnia się od innych, tem wybitniejszy, oryginalniejszy ma styl: genjusz, poeta, idjota — mówią inaczej niż przeciętny człowiek. Ludzie przeciętni t. j. mniej więcej podobni do siebie, mało różnią się w wystąpieniu.

Powieściopisarz, przedstawiając rozmaitych ludzi, musi przemawiać coraz innym stylem. Widzimy więc, że **człowiek może zmieniać swój sposób wystąpienia**; niekażdy jednak.

Ćwiczenie klasowe. Opis poranku, lasu, zachodu słońca — na podstawie własnych spostrzeżeń.

Zaznaczyć różnice stylu uczniów.

Różnice stylu, zależne od tego, o czym się mówi.

Z GRZECHÓW DZIECIŃSTWA.

(Urywek.)

Ojciec mój posiadał kilka sztuk broni, z której każda była przeznaczona do innego celu.

Wiedziałem o tej broni i bardzom do niej tęsknił. Nie raz marzyło mi się, że spełnię taki szlachetny czyn, za który ojciec pozwoli mi strzelić z ogromnego pistoletu, a tymczasem wymyślałem się do gajowych i uczyłem się „wygarniać” z ich długich pojedynków, które posiadały tę własność, że przy wystrzale wyrządzały bezpośrednią szkodę tylko moim szcękcom, nie tykając żadnego stworzenia.

Pewnego dnia, gdy ojciec wyjechał w pole, schwyciłem olbrzymi klucz od śpichrza, który posiadał otwór podobny do lufy, tudzież dziurkę z boku, i poszedłem na polowanie.

Wielki klucz do połowy nabiłem prochem, wsypałem szczyptę połamanych guzików, przybiłem, jak należy, pa-

kułami, a na wywołanie eksplozji wziąłem pudełko hubczanych zapalek.

Zaledwem wyszedł za dom, ujrzałem kilka wron, polujących na dworskie kurczęta. Prawie w moich oczach jedna ze szkodnie porwała kurczę, a nie mogąc go dość łatwo unieść, przysiadła na obóree.

Na ten widok zagrała we mnie krew przodków z pod Wiednia. Podkradłem się pod obórkę, zatliłem hubkę, wymierzyłem klucz w lewe oko wrony, dmuchnąłem, podpaliłem... Huknęło, jakby piorun uderzył. Ze szczytu obórki stoczyło się już zaduszone kurczątko na ziemię, — wrona, dotknięta śmiertelną obawą, uciekła na najwyższą lipę, — ja zaś ze zdumieniem przekonałem się, że w moich rękach z wielkiego klucza zostało tylko ucho; ale za to ze słomianego dachu obory zaczyna wydobywać się niewielki kłębek dymu, jakby kto palił fajkę.

W kilka minut później obórka, wartująca około pięćdziesięciu złotych, stanęła w ogniu.

Zbiegli się ludzie, przygłopolował na koniu mój ojciec, poczem w asystencji tych wszystkich dzielnych i uczciwych osób nieruchomość wypaliła się „do środka ziemi”, jak powiedział pan gorzelany.

Przez ten czas ze mną działy się nieopisane rzeczy.

Najprzód pobiegłem do mieszkania i powiesiłem na właściwym miejscu... ucho od rozerwanego klucza; potem uciekłem do parku z zamiarem utopienia się w sadzawce; w sekundę później zasadniczo zmieniłem projekt: postanowiłem kłamać, jak prowentowy pisarz, i wyprzeć się klucza, strzelania i obórki; gdy mnie zaś schwytano, od razu przyznałem się do wszystkiego. Zaprowadzono mnie do pałacu. Na tarasie zobaczyłem mego ojca, panią hrabinę w powłóczystej sukni, hrabiankę i moją siostrę, obie płaczące; potem klucznicę Salusię, kamerdynera, kucharza, kuchcikę i cały rój pokojówek, garderobianych i dziewcząt. Gdym odwrócił oczy w przeciwną stronę, ujrzałem za budynkami zielone wierzchołki lip, a nieco dalej żółtawo-brunatny słup dymu, który jakby umyślnie unosił się nad pogorzeliem.

Bolesław Prus.

Wskaż wyrażenia dowcipne, naiwne.
Jak możnaby ten styl określić?

WAŻNOŚĆ SZTUKI CZYTANIA.

Zobaczmy, jaką wartość praktyczną ma oświata, choćby najniższa, choćby polegająca na umiejętności czytania...

Człowiek „nieczytelny i niepiśmienny“ porozumiewać się może z innymi ludźmi tylko za pośrednictwem mowy ustnej i tylko z kilkudziesięciu osobami, stanowiącemi jego najbliższe otoczenie.

Rodzice, żona, sąsiedzi, towarzysze w pracy lub w karczmie, zazwyczaj tyle wiedzący, co sam nasz bohater — oto źródła, z których uzupełnia swoje szczupłe doświadczenie i do których zwraca się po rady.

I co znajduje?... Rozumie się, jedno z dwojga: albo niewiadomą podobną do własnej, albo przesady.

Tymczasem człowiek umiejący czytać, jeżeli naturalnie ma w pobliżu, zrozumiałą dla siebie biblioteczkę, może od razu wejść w stosunki z najdzielniejszymi umysłami świata.

Nie jakaś stara baba udzieli mu porady na wypadek chwilowej niemocy, ale — książka o higienie, napisana przez uczzonego lekarza. Nie ciemny sąsiad będzie mu dawał wskazówki co do hodowli zwierząt czy roślin gospodarskich, ale uczony rolnik. Nie dziad pod cmentarzem będzie mu objaśniał, na czym polega zaćmienie księżyca? albo — co jest gwiazda poranna i gwiazda wieczorna? ale robi to astronom, zapomocą jasnego opisu zjawisk, zachodzących na niebie.

Słowem — jeżeli mowa ustna wiąże nas z dziesiątkami ludzi, żyjących i mieszkających obok nas, to sztuka czytania jest jakby mostem między nami a setkami ludzi najmędrszych i najlepszych, bez względu na to, gdzie mieszkali i kiedy żyli.

Nieuk w trudach i walce życiowej ma za sprzymierzeńców kilku takich jak on sam, biedaków i nieuków. Lecz umiejący czytać znajdzie całą armję pierwszorzędnych umysłów w bibliotece, która na to tylko czeka, ażeby służyć mu — radą, objaśnieniami, nawet opisami nowych, nieznanym mu zjawisk.

Nieuk jest umysłowym nędzarzem — umiejący czytać bogaczem. Zawsze jednak pod tym warunkiem, że znajdzie w pobliżu biblioteczkę, złożoną z książek zarówno odpowiednich jego potrzebom, jak i pojęciom...

Jeżeli najgenialniejszy nieuk widzi tylko ten świat, który leży przed jego oczyma, to — umiejący czytać może, nie ruszając się z miejsca, oglądać całą kulę ziemską, jaką jest dzisiaj i jaką była przed wiekami.

Sztuka czytania jest niby nowym zmysłem, nieskończenie głębszym i rozleglejszym od wzroku.

Z kronik Bolesława Prusa.

Czy możesz tu wskazać wyrażenia humorystyczne lub naiwne?

SPOWIEDŹ ANIELKI.

W uchylonych drzwiach ukazał się stary proboszcz w białej koczce. Anielkę nagły strach ogarnął.

— Czy to już ksiądz przyszedł? — zawołała. — O, jakże ja się boję!... Dlaczego tu tak ciemno?... Jak tu ciemno!...

— Oczy cię bolały, i dlatego doktor kazał przymknąć żaluzje — szeptała ciotka.

— Już mnie nie bolą — przerwała Anielka. — Otwórzcie choć jedno okno. Zdaje mi się, że już jestem na cmentarzu, w tej kaplicy, gdzie leżą dziadek i babcia...

— Otwórzcie okna! — odezwał się proboszcz, siadając przy chorej.

Skrzypnęły żaluzje, i jasny dzień wlał się do ponurego salonu. Ciotka wyszła, zakrywając oczy, ksiądz szeptał po łacinie, a za oknem wtórował mu szelest drzew i świergot ptaków.

— Módl się, moje dziecko... — rzekł proboszcz.

— Jak tam ładnie! — odezwała się Anielka, wskazując ogród. — Boże mój, Boże!... czy ja kiedy zobaczę dom nasz... mamę moją kochaną?...

Potem zaczęła bić się w piersi i spojrzała na księdza, czekając jego pytań.

— Byłaś, moje dziecko, u spowiedzi przed Wielkanocą?

— Tak.

— Dobrze, moje dziecko. Trzeba przynajmniej raz na rok spowiadać się. A na mszy świętej bywałaś każdej niedzieli?

— Nie.

— Więc zapewne modliłaś się w domu?

— Niezawsze — odparła Anielka, spuszczaając oczy. — Czasami biegałam po ogrodzie i bawiłam się z Karuskiem.

— Można się bawić w święta, ale zawsze trzeba się choć trochę pomodlić. A paciorek odmawiałaś codziennie rano i w wieczór?

Anielka zamyśliła się.

— Raz wieczorem nie mówiłam pacierza.

— Z jakiegoż to powodu?

— Siedziałam długo przy mamie i zasnęłam na krześle..

Potem dodała z drżeniem w głosie:

— Wtedy nam się dom spalił.. Może to za moje grzechy? — spytała, patrząc bojaźliwie na proboszcza.

Spowiednik zakłopotał się.

— Nie jestem pewny, moje dziecko, — rzekł — ale zdaje mi się, że nie... Słuchałaś też rodziców? chętnie wypełniałaś ich rozkazy?

— Nie — szepnęła Anielka. — Ojciec nie kazał mi rozmawiać z Gajdą, a ja rozmawiałam...

— Trzeba, moje dziecko, zawsze spełniać wolę rodziców, bo oni nic nie nakazują bez powodu. Pocóżes rozmawiała z tym człowiekiem?

— Prosiłam go, żeby córki swej nie bił.. Ona taka mała..

— Aha!.. Moje dziecko... moje dziecko... To dobrze żeś prosiła, ale rodziców zawsze słuchać potrzeba... A nie wzywałaś kiedy imienia Boskiego nadaremnie?

— Tak.

— Doprawdy? — rzekł proboszcz. — I z jakiegoż to powodu, moje dziecko?...

— Prosiłam Boga, ażeby ojca do nas przysłał... potem mamę...

— Aha!.. Moje dziecko...

Proboszcz dobył fularową chustkę i obtarł nos.

— Czy już nic nie pamiętasz, moje dziecko?...

— Nic...

— Bij się w piersi, moje dziecko, i mów: „Boże, bądź miłościw...” A za pokutę zmów sobie jeden pacierz na intencję wszystkich grzeszników.

Odmówił nad nią modlitwę głosem zmienionym i prędko wybiegł z salonu, unikając spotkania z ludźmi.

B. Prus.

Porównaj styl Prusa w tych trzech wyjątkach. Skąd pochodzą różnice?

Czy o wszystkim możemy pisać jednakowo? Czy jednakowo

stylem opiszesz np. wiosnę i sposób uprawiania książki lub sadzenia kwiatów?—tęsknotę do domu i przebycie błotnistej ulicy?

Widzimy zatem, że styl tego samego człowieka **zależy od tego, o czym mówi lub pisze.**

Ćwiczenie klasowe: Piękny dzień jesienny.—Główne cechy ptaków. Porównaj styl ćwiczeń tego samego ucznia.

Różnice stylu, zależne od tego, do kogo lub dla kogo mówimy (piszemy).

Kochany Olesiu.

Cieszę się, dziecko moje, żeś tak szczerze postąpił ze mną w tym wypadku: zbłądzić każdy może, ale przyznać się do błędu, ocenić samego siebie—jest to w polowie już okupić winę. Wierzę ci też i ufam, że po raz drugi nie dasz się uwieść pokusom, rozumiejąc, jak smutne byłoby tego następstwa. Nie mogąc ponosić tak wielkich wydatków, musiałbym przerwać twą naukę, co dla przyszłości twojej byłoby wielką krzywdą, a dla mnie bolesną bardzo koniecznością.

Ale koniecznością, moje dziecko. Nie mamy na zbytki i nieprzewidziane wybryki.

Nie piszę o tem więcej, ponieważ ci ufam, że ten rozdział twego życia zamkniesz.

Oczekujemy cię za trzy tygodnie. Matka już dni liczy do twego powrotu, ja chcę pomówić z tobą o nauce młodszych braci, którą także rozpocząć trzeba. Jest między wami taka różnica wieku, że po części musisz być ich opiekunem i kierownikiem w życiu.

Do zobaczenia, mój synu.

Kochający Cię ojciec

A. H.

Kochana Juleczko.

Tatusz bardzo się ucieszył, że Julcia już tak ładnie pisze literki. Niedługo już tatusz wraca i kochanej córeczce przywiezie śliczną lalkę.

Daj buziaka, córusz moja, tatusiowi.

A. H.

Wielmożny Dr. X.X.

Administracja Zakładu leczniczego XX. ma honor zawiadomić Szan. Pana, iż sezon letni roku bieżącego otwarty będzie w Zakładzie d. 1 maja.

Z poważaniem

Sekretarz *A. H.*

Skąd pochodzi różnica stylu w tych listach, pisanych przez tę samą osobę?

Czy jednakowym stylem pisać będziesz do matki, siostry lub osoby obcej: krawcowej, adwokata, właściciela sklepu?

Różnica stylu tej samej osoby zależy nietylko od tego, o czym pisze, lecz i od tego, do kogo lub dla kogo pisze.

Ćwiczenie: List o chorobie młodszego brata—do matki i do jednego z kolegów brata.

NA JAGODY.

Posłuchajcie, jak w poranek
Na czernice, na jagody
Szedł do boru mały Janek,
Jakie w boru miał przygody.

Kapelusik wziął czerwony,
Żeby go się bały wrony,
A choć serce mu kołata,
Nic nie pyta; kawał chwata!
— Na bok tarnie i wilkiny,
Dziś są mamy imieniny,
Niespodziankę mamie zrobię:
Jagód zbiorę w krótki obie.
Leśna rosa je obmyje,
Paprociany liść nakryje,

Ciszkiem, chyłkiem po polanie
Wróce, zanim mama wstanie, —
No, i będzie niespodzianka:
Dar od boru i od Janka!

A czy jakie zamówienie!
Szuka Janek, co ma siły,
A tu — żeby na nasienie!
Tak jagódki się pokryły.
Szuka w prawo, szuka w lewo,
Między brzozy, między sosny,
Wreszcie tam, gdzie ścięte
[drzewo,
Siadł, zmęczony i żaloszny.

M. Konopnicka

ŻADNA GRUDKA ZIEMI!

Nie skarż się, bracie! Żadna grudka ziemi,
Którą ocean skrzydłami srebrnymi
Lotnych fal swoich od brzegu odbije,
Nie ginie marnie; — żadne piasku ziarno,
Lecące w otchłań straszliwą i czarną,
Gdzie milion cudów i przerażeń żyje,
Nie jest straconem... Przyrody potęgą,
Gdy wód i ognia ścierają się prądy,
Żłamie kryształ, do dna morza sięga
I tam z atomów dźwiga nowe lądy.

Nie skarż się, bracie! Żadna kropla rosy,
Co rankiem pada na łąki i wrzosy
I w brylantowe dyjademy stroi
Główki róż dzikich i białych powoi,

Nie traci bytu, choć taje mdlejąca
Od pocałunków płomiennego słońca...
Ta sama kropla, ukryta w obłoku,
W twarz ci gdzieś pryśnie u białej kaskady,
Albo uprzedzie dla mgły rąbek błady,
Albo w najdroższym tobie błysnie oku.

.

Sił swoich nigdy nie roni przyroda,
Ale je w wiecznym utrzymuje ruchu,
I w tajemniczym istnienia łańcuchu
Nie ich nie ujmie i nie ich nie doda...
Choćby ocean podniósł się w błękit,
Choćby na ziemię spadła mleczna droga,
Zawsze pierwiastek bytu niepożyty
Obejmie sobą myśl Boga!

M. Konopnicka.

Porównaj pod względem stylu „Na jagody“ i „Żadna grudka ziemi“ Konopnickiej. Dlaczego różnią się stylem?

Różnice stylu, zależne od usposobienia autora (nastroju).

HYMN O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze—
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa, z podniesioną głową
Stoję, rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową:
Ciszę błękitu.

Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski;
Choć wiem, że jutro błysną nowe zorze—
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkim morzu oblakany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany.
Długim szeregiem.
Żem je znał niegdyś na polskim ugorze—
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy błyskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę—
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łożę—
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może—
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący, marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę—
Smutno mi, Boże!

J. Słowacki.

ZE „ZŁOTEJ CZASZKI“.

(Wyjątek.)

Strażnik. A cóż? każ, serce, niech się dziewczki zejdą na kolędę.

Czy rozdałaś im wstążki?

Strażnikowa. Dałam każdej po wstążce i po tynfie¹⁾ — kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem.

Strażnik. A Gnusi coś dała?

Strażnikowa. Kornecik²⁾ z czarnej koronki z różami.

¹⁾ Tynf — drobna moneta srebrna.

²⁾ Kornet — czepiec z wstążek i koronek.

*Strażnik
Strażnikowa.*

A ja tobie co dam?
Nie szalej, dziadu! Czy ja to jeszcze głodna na twoje
fatałachy? Ot, wiesz co, spraw Gnusi złotem szyte trze-
wiczki na korkach.

Strażnik.

A weź, serce, na to z biurka pieniędzy i daj ode mnie.
(*Schodzą się dziewczki.*)

No, dziewczęta, poprawcie kaganka i zaśpiewajmy o Bo-
żem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(*Śpiewają.*)

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes¹⁾;

Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes²⁾.

Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes³⁾;

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes⁴⁾;

Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszczkę
Dzieciątku;

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiatku.

J. Słowacki.

POWITANIE.

(Z „Beniowskiego“.)

(*Słowacki tak opisuje przywitanie się Beniowskiego z narzeczoną.*)

Beniowski myślał, że Anioł, i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem.
Potem się zmieszał i o zdrowie spytał;
Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!
Nieświatowością! Znakiem, że nie czytał
Pani Sand!⁵⁾ że się bajronicznym cieniem
Nie okrył; że jest niezgrabny w rozmowie;
Że nie wie, jak to mówić romansowicie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!

¹⁾ Et mentes — i umysły. ²⁾ Ridentes — śmiejące się. ³⁾ Can-
tantes — śpiewające. ⁴⁾ Mutantes — mieniające się. ⁵⁾ Pani Sand — współ-
czesna Słowackiemu powieściopisarka francuska.

Oto pierwszy raz swe usta otwiera
 Przed swą kochanką, która w nów księżycą
 Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
 Jakby sawantka¹⁾ albo czarownica,
 I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
 Kochanek wita ją, lecz—jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,
 Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
 I cała moich poematów zgraja
 Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw;
 Anhelli biały ma cię za lokaja;
 I Balladyna, skora do zabijaństw,
 Wołałaby się w trupów ukryć gęstwie,
 Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie.

J. Słowacki.

Porównaj styl tych trzech utworów Słowackiego.
 Czy mógł poeta w tem samem usposobieniu (nastroju) pisać Hymn
 i Beniowskiego? lub Beniowskiego i Złotą czaszkę?
 Widzimy, że styl zależy także od nastroju piszącego.

Różnice stylu, zależne od epoki.

XIII wiek.

Bogu Rodzica, dziewica,	Twego dzieła Krzciciela, Bożyce,
Bogiem sławiona Maryja,	Usłysz głosy, napełni myśli człowiecze.
U Twego Syna, Gospodina,	Słysz modlitwę, jaż nosimy,
Matko zwolena, Maryja,	To dać racz, jegoż prosimy:
Ziści nam, spuści nam.	A na świecie zbożny pobyt,
Kyrie Elejson!	Po żywocie rajski przebyt.
	Kyrie Elejson!

XVI wiek.

PRAWE SZLACHECTWO JAKIE BYĆ MA.

A wszakoż jeśli kto będzie ozdobion stanem szlacheckim, jakoż się to już zdawna po świecie rozniosło, tedy jeszcze nie to prawe szlachectwo, gdy cnotami nie będzie ozdobione, iż go tak zowią, abo iż się czerwonym abo zie-

¹⁾ Sawantka — uczona.

lonym woskiem pieczętuje, albo na wrociech nadobnych na tablicach herbów nawiesza, albo iż się chlubi dziady, pradziady abo inszymi przodki swymi, toć jeszcze mało na tym. I owszem, jeśliś się ty wyrodził z nich jakimi wsze- tecznymi obyczajami swymi, tedyby ich snadź lepiej i nie wspominać, boś je już zelżył, a by byli żywi, barzoby się gniewali, że się ich potomkiem zowiesz. A acz możesz być twarzą albo urodą do nich podobien, ale daleko obyczaje od nich różne. A nie wiem, by się ciebie nie zaprzeli, abyś im co jako żyw w rodzie nie miał.

Abowiem szlachestwo prawe jest jakaś moc dziwna, a prawie gniazdo cnoty, sławy, każdej powagi i pocziwo- ści. A kto to gniazdo tak zacne dobrowolnie sam przez się szkaradzi, ten jest podobien ku owemu śmierzającemu dud- kowi, co i sam śmierdzi i gniazdo swe zawżdy plugawi, czego żaden ptak nie czyni i owszem je sobie zawżdy każdy chę- doży.

M. Rej—(„Żywot pocziwego człowieka“.)

O DOBRODZIEJSTWACH BOGA.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
 Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
 Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
 I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
 Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
 Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
 Bo dla Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tys Pan wszystkiego świata, Tys niebo zbudował
 I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,
 Tys fundament założył nieobeszłej ziemi
 I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznymi.

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi,
 A zamierzonych granic przestąpić się boi;
 Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
 Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi;
 Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
 Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
 Potym do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twojej łaski nocna rosa na młde zioła padnie,
 A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
 Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
 A Ty każdego żywisz z Twojej szczodroblewości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
 Twoja łaska, Twoja dobroć nigdy nie ustanie!
 Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
 Jedno zawždy niech będziem pod skrzydłami Twemi.

Jan Kochanowski.

POWRÓT WIOSNY.

Serce roście, patrząc na te czasy!
 Mało przedtem gołe były lasy,
 Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał,
 A po rzekach wóz nacięższy zbiegał;
 Teraz drzewa liście na się wzięły,
 Polne łąki pięknie zakwitnęły,
 Lody zeszyły, a po czystej wodzie
 Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszytek śmieje,
 Zboża wstały, wiatr zachodni wieje,
 Ptacy sobie gniazda omyślają,
 A przede dniem śpiewać poczynają.

Jan Kochanowski.

TREN VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo¹⁾ słowieńska,
 Na którą nietylko moja częśćka ziemieńska²⁾,
 Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała:
 Teś nadzieję już po sobie okazowała,
 Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
 Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając;
 Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
 Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
 Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga
 Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
 Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
 I tę trochę teraz płacę sówicie łzami.

¹⁾ Poetka grecka (około 627—570 przed Chr.). ²⁾ Ojcowizna.

A tyś ani umierając śpiewać przestała,
 Lecz matkę ucałowawszy, takżeż zęgnęła:
 Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
 Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde:
 Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
 Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.
 To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
 Przypominać więcej, był jej głos ostateczny.
 A matce, słysząc żegnania tak żałościwe,
 Dobrze serce, że od żalu zostało żywe.

J. Kochanowski.

WYJĄTEK Z KAZANIA KS. PIOTRA SKARGI.

„O niezgodzie domowej“.

I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której
 wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą. Bo wszyscy
 z domy i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać
 będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą.

Ziemia i księstwa wielkie, które się z Koroną zjedno-
 czyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla
 waszej niezgody muszą; przy których teraz potężna być
 może ręka i moc wasza i nieprzyjaciółom straszliwa! Od-
 bieżają was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbie-
 rają, którą lada wiatr rozwieje. I będziecie jako wdowa
 osierociąta, wy, coście drugie narody rządźli, i będziecie
 ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciółom swoim.

Język swój, w którym samym to królestwo między
 wielkimi onymi słowiańskimi wolne zostało, i naród swój
 pogubicie i ostatki tego narodu, tak starego i po świecie
 szeroko rozkwitnionego, potracicie, i w obcy się naród, który
 was nienawidzi, obrócićcie, jako się inszym przydało.

Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wy-
 bierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wy-
 gnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie,
 które popychać nogami tam, gdzie was pierwszej wazono,
 będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w któ-
 rejbyście taką sławę, takie dostatki, skarby i ozdobności
 mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga
 matka? Jako tę straciecie, już o drugiej nie myśleć.

Będziecie nieprzyjaciółom waszym służyli w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego.

XVII wiek

TURCY POD CHOCIMIEM.

Zabielały się góry i dniestrowe brzegi —
Rzekłbyś kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
Okiem nieprzemierzone rozbili namioty.

Skoro Osman zobaczył nasze szanice z góry,
Jako lew, krwie pragnący, wyciąga pazury,
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem:
Chce się i on bić zaraz, zaraz chce na nasze
Wsieść obozy, hetmany zwoławszy i basze,
Każe wojska szykować, choć już i niesprawą ¹⁾,
Dla pola ciaśniejszego, iść na nas oblawa.
Kto mu wspomni nie w polskim wieczere obozie,
Choś najwierniejszy sługa, być mu na powrozie;
Tedy o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze...
Teraz, gdy Osman każe, lub zysk lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Strasznie się bisurmańskie z góry garną roje,
A białe jako gęsi migocą zawoje.
Janczar-aga ²⁾ we środku, ustrzmiwszy ³⁾ w puch
[pawi,

Ogniste swoje pułki na czele postawi;
Sam, dosiadłszy białego arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowi pod zórawią wiecżą.
Buńczuk nad nim z miesiącem; otomańską cechą.
W prawo i w lewo janczar na widoku stały
Nieznane oczom naszym dotąd specjały:

¹⁾ Niesprawą—bez porządku. ²⁾ Janczar-aga—dowódca janczarów.
³⁾ Ustrzmiwszy — ustrzępiwszy.

Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców ⁴⁾;
Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak gdzietylko chodzą
Rozdrażnione bestyje, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojsko po skrzydłach, wyniosłszy swe dzidy,
Patrzy, rychło się na nich sunie giaur ⁵⁾ gidy ⁶⁾...
Wszyscy siedzą od złota, od rzędów, od pukli
I nie jako na wojnę daleką wysmukli:
Nie widziałeś kirysów ⁷⁾, nie widział pancerzy,
Każdy się złotogłowi, jedwabi i pierzy;
Ogromne skrzydła sępie, forgi ⁸⁾, kity, czuby
Trzęsą im się nade łby. A ono nie tuby
Te prezentować cienie i nikłe ozdoby,
Kiedy wróble takimi straszą z prosa boby ⁹⁾.
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili.

Wacław Potocki.

Z „PSALMODJI“.

Paniel w mocy Twojej rozweseli się król, a w dzie-
łach wybawienia Twego wielką mu dasz do radości przy-
czynę.

Oto bohater ¹⁾ do boku przypasuje miecz, aby wojo-
wał za imię Twoje; bierze herbowną tarczę, aby odprawiał
wojny Pańskie.

Już na dzielny koń wsiada i na rączyh pegazie pu-
szcza się w drogę. Daj, Panie, rycerzowi Chrystusowemu
szczęśliwe wszędzie powodzenie...

Niech cię wysłucha, królu, Bóg w dzień starcia się
z nieprzyjacielem, niech ci tarczą przeciwko poganinowi bę-
dzie imię Boga Jakóbowego.

Niech ci ześle Pan na pomoc pułki anielskie, a z ogni-
stym Serafin mieczem niech poprzedza oblicze twoje.

Pan na wysokości gór niechaj poprowadzi jako jelenie
nogi twoje, abyś widział oczyma obozy bisurmańskie, ma-
terję zwycięstwa.

⁴⁾ Kielce — kły, zęby. ⁵⁾ Giau — niewierny, nazwa pogardliwa.
⁶⁾ Gidy — obmierzły. ⁷⁾ Kirys — rodzaj pancerza, napierśnik żelazny.
⁸⁾ Forgi — pióropusze. ⁹⁾ Boby — straszidła. ¹⁰⁾ Jan Sobieski.

Tam się przypatrzysz upstrzonym namiotom, daleko rozwleczone, które nie tylko stolicę cesarską Wiedeń, ale i północnych rzek księżnę, Dunaj, szeroko otaczają.

Oto jako ognie gęsto się po przestronych majdanach¹⁾ błyszczą, mnóstwem swoim przeciwiając się liczbie gwiazd na firmamencie.

Jako grzmi ziemia i po bliskich lasach echo się rozlega od huku nieznośnego dział, do miasta zdesperowanego²⁾ bijących.

Widać z wież i blanków³⁾ powywieszane chorągwie; widać i wyciągnięte obłęźców ręce, nieodwłocznego zębrzących od ciebie ratunku.

Następuj szczęśliwie, wój w mężnie, o królu; i wszelką radę twoją niech Pan Bóg zastępów mocą swoją utwierdza...

Pójdźcie, radujmy się Panu, śpiewajmy Bogu, Zbawicielowi naszemu, uprzedźmy oblicze jego z dziękczynieniem, a przez pieśni i hymny wychwalajmy niewysłowioną dobroć Jego.

Albowiem Pan Bóg jest wielki, który czyni wszystko z niczego; i król możny, który z ostatniej toni zgubionych wyratować może.

Ten cię, zdesperowany Wiedniu, wydrze z rąk olbrzyma, za gardło cię trzymającego, i zrazi krwawą bestję, pasczącą na cię rozdzierającą.

Wespazjan Kochowski.

Z PAMIĘTNIKÓW JANA CHRZYSTOMA PASKA.

Zachciało mi (się) morzem jechać na nabożeństwo wielkanocne do Arhusen, gdzie stał wojewoda, bo i bliżej było morzem, niżeli lądem, i dlatego też, żeby koni nie turbować. Jechałem tedy w sobotę, bo morze igrało, ale od północks wstawszy, puściliśmy się w drogę, ufając marynarzom, że nie zbłądzą. Noc była bardzo ciemna; udał się k'sobie ku Zelandji; mnie zaraz to nie podobało się, że bardzo długo jedziemy, a mil tylko sześć. Pytam się, czy dobrze jedziemy? Odpowiedzą, że im to nie nowina w nocy jeździć i że pewno nie zbłądzą. Dopiero jak już dość dłu-

go jedziemy, poczęli się trwożyć, poznawszy błąd. Porażdziwszy się jeden z drugim, chcieli się lepiej naprostować, tymczasem pojechali gorzej. Jedziemy tedy do uprzykrzenia; nie widać, tylko niebo a wodę; a że ja miałem bardzo bystry wzrok, pierwszy niżeli oni obaczyłem jakieś budynki. "Oto po lewej ręce widać, jak się zdaje, jakieś miasto". Oni tego nie widząc, mówią: "Niech Pan Bóg broni tego, aby nam się z lewej strony miało pokazać miasto; po prawej stronie powinno być nasze miasto". Jedziemy bliżej, aż tu okręty stoją w porcie Niköping. Dopiero trwoga okrutna. Uciszyliśmy się jednak, aż zegar począł bić, i ruszyliśmy potem w bok cichusieńko; wtem dojrzała nas straż i woła: "Wer da!" Nic się nie odzywamy. Drugi nas woła: "Wer da!" Ja mówię owemu swemu gubernatorowi: "Powiedz, że jesteśmy rybacy". Takci tedy odpowiedział. Straż pyta: "Skąd?" Odpowiedział: "Z tego tu łądu". Kiedy straż weźmie burczęć, źle życzyć: "O szelmo! dy to już święto, dy to już Wielkanoc". My na to moi sześciu wiosłami robić, udając się do łądu, nie na morze, żeby się nie domyslili. Już też troszkę oznaczył świt, a wtem poczęli z armaty strzelać w tyle nas; dopierom się domyslił, że to już jutrznia, i mówię: "Otóż patrzcie, tam jest Arhusen, gdzie strzelają". — "O, na Boga! nie jest to Arhusen, ale Kopenhaga, gdzie przy obłęzeniu strzelają". Ja im powiadam, że nie; że to u nas jest zwyczaj strzelać podczas jutrzni Zmartwychwstania Pańskiego. Pomiarkowali się narzeczcie, że właśnie tam jest Arhusen, i już poznali owe tameczne łady i port, postrzegli się już, w którym są miejscu. Dopieroż, oddawszy się wszyscy Panu Bogu, kiedy to nie poczniemy wszyscy wiosłami robić, aż żebro za żebro zachodziło, udając się wprost ku owemu strzelaniu. Nie ujechawszy ledwie z milę od owych okrętów, skoro oświłło (a na morzu mila tak się widzi, jak na ziemi kilka staj), postrzegli nas: kiedy to suną się za nami szczęścią barek, kiedy my też poczniemy chyżego zaciągać. Gonili nas ze dwie mile, a widząc, że tak ten szczerze pracuje, co chce uciec, jak i ten, co chce dogonić, a podobno zrozumiałwszy coś po morzu, stanęli, potem się i wrócili. Jedziemy dalej, aż mówi starszy marynarz: "Unikliśmy rąk jednego nieprzyjaciela, drugi, sroższy, grozi nam: to jest burza. Trzeba się modlić i pracować". O, kiedy się to znowu weźmiemy

¹⁾ Majdan — duży plac, rynek. ²⁾ Wiednia. ³⁾ Mury forteczne.

przeginać, kiedy zacniemy pociągać, już i Arhusen widziemy dobrze, a morze też po kęsku ruszać się poczęło! Okrutny nas strach ogarnął i szczere nabożeństwo, nabożeństwo, które tak my, jak i lutrzy mieli. Dał tedy Bóg wszechmogący, że morze nienagle poczęło igrać, ale z wielką zegarową godzinę tak się pierwszej ruszać poczęło; my też już przymykamy się coraz bliżej do miasta, a woda coraz bardziej skacze. To nas przecie cieszyło, że wiatr był w bok trochę i pomagał nam do lądu, nie od lądu, a sternik też bardzo umiejętnie kierował. Z miasta nas widzą; patrzą, co takiego od nieprzyjacielskiej strony jedzie. Dopiero woda gwałtownie ruszać się poczyna, dopiero węźmie ciskać wały; aż też jedni robią wiosłami, drudzy wodę wylewają nawet kapeluszami niemieckimi, zgola czem kto miał, bo nie było tylko jedno naczynie do wylewania wody. Co przypadnie wał, to nas i barke przykrywa; a co jeden ustąpi i człowiek trochę ochłonie, spojrzysz, aż cię taki drugi dogania, tak właśnie, jakby cię znowu nowy nieprzyjaciół i ostatnia zguba potykała; ten minie, a inny zaraz następuje; wtem barka trzeszczy, co ją mocują wały, a lutry wołają: „Ach, Herr Jesu Christ!“ Oni na samego tylko Syna, a katolicy zaś i na Syna i na Matkę wołają; słowem, sprawdza się owa sentencja: „Qui nescit orare, discedat in mare!“ to jest: „Kto się modlić nie umie, niech się puści na morze“. Wpadło mi to przecie na myśl, żem zawołał: „Boże, nie daj nam zginąć, wszak widzisz, z jaką puściliśmy się intencją, że na chwałę i na służbę Twoją“. Z miasta biegają ludzie z powrozami, które zwyczajnie ciskają tonącym, wołając na nas i kiwając; lecz tak my ich, jako i oni nas nie słyszą, bo kiedy morze igra, to tak huczy, jakby z dział bił. Tymczasem jużemy też blisko bulwarków, a co nas wał przyniesie do bulwarku, to znowu nas impet wody odrzuca na morze; znowu inszy wał przybije i znowu odrzuci. Ażci przecie uchwyciliśmy powróż, i dopiero jak też przytarł wał do bulwarku, to tak silnie uderzył, że sternik wypadł na bulwark, a my wszyscy padliśmy na bok w barke, prawie pełną wody, choć ją ustawicznie wylewano. Tak więc powyłaziwszy na bulwark jak myszy, cośmy mieli trafić na jutrznią, tośmy i mszy nie słuchali, przyjechawszy dopiero przed nieszporami.

PIEŚŃ LICYDYN.

Moje miłe równiennice,
 Powiem wam swą tajemnicę:
 Żaloszna, niemała Szkoda mię potkała;
 Nie we złocie, ni w dostatku,
 Ale w najprzedniejszym statku:
 Pół roku minęło, Serce me zginęło.
 Nie był nikt czasu tej zguby,
 Tylko mój jedyny luby:
 Przecie z tej przyczyny Nie daję mu winy.
 Bo nie brał on serca mego,
 Gdyż samo zbiegło do niego:
 Aż z swej dobrej woli Zostało w niewoli.
 Jeszcze mu dziękuję za tę
 Uczynność, że moję stratę
 W tak znacznej potrzebie Przytulił do siebie.
 Inszej mu nie dam nagrody,
 Tylko połowicę szkody:
 Na czem mało-li ma, Niechaj wszystko trzyma,
 Nie zechce-li przestać na tem,
 Wiem, co ja uczynię zatem:
 Bym nie zbyła dusze, Za sercem pójść muszę.
 Żadna panna, ani pani,
 Wierzę, tego nie nagani:
 Ile białej głowie Miłem-ci jest zdrowie.
 Choćbym nierada, ja tuszę,
 Przecie tak uczynić muszę:
 Bez serca, wszak wiecie, Trudno żyć na świecie,
 Sz. Zimorowicz.

Porównać język XVI i XVII wieku.

XVIII wiek.

GŁOS UMARŁYCH

(Wyjątek.)

Pod jednej matki skrzydła rozpostarte
 Sierocych piskląt garnie się družyna,
 Gdy na nie orlik, pazury otwarte
 W górę podnosząc, uderzać poczyna.

Wyście ją z piórek obnażyli marnie...
Czemże was w trwodze ta matka ogarnie?

Niemasz pod słońcem, jak świat stoi światem,
Gdzieby się w rządzie większe działy cuda.
Po cóż królewskim błyskać majestatem,
Jeśli bezczynna w nim tylko obłuda?
Po co ich szukać, łożąc kosztów wiele,
Jeśli królowie są nieprzyjaciele?

Ociec król — czemuż dziecię mu nie wierzy?
Pan — cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?
Wódz jest najwyższy — czemuż bez żołnierzy?
Sędzia — gdzież w jego ręku miecz i prawa?
Nędznać to ziemia, dzika i szalona,
Gdzie same tylko w rządzących imiona!

A. Naruszewicz.

MIKOŁAJA DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI.

(Wyjątek.)

Nim dalszy proceder szkolnej edukacji mojej opiszę, niech mi się godzi zastanowić nad niektórymi okolicznościami, a osobliwie wewnętrzną naówczas umysłu mego sytuacją. Przez siedem lat nie tak wychowania, jak pieśczęt domowych, byłem wolen nie tylko od nauki, ale od najmniejszego chęciom moim sprzeciwienia się, stąd ten pierwszy krok poniewolnego wyjazdu zdawał mi się nieznośny. Pierwszy raz dopiero poznawałem ciężar podległości, oddalałem się pierwszy raz od obecności rodziców, najbardziej jednak przerażał mnie cel, dla którego wysłany byłem — nauka.

Nie widziawszy przedtem nikogo w domu naszym, któryby, oprócz kościoła, na książce czytał, mniemałem, iż na tem szczesliwość starszych zasadzona, że się nie uczą. Przymnażało umartwienia pełne narzekania pożegnanie domowych, żalujących panięcia, iż się będzie musiał uczyć; i lubo mi rodzice powiadali, iż to mi wyjdzie na dobre, jam to brał za sposób słodzenia nieszczęścia mego.

Długo pożądanym dyrektorem był człowiek młody, bez żadnego doświadczenia, sam się jeszcze uczący. Chłopiec do posługi w domu i w szkole, dobrze mi zdawna znajomy i wszelkiej domowej rozpusty wierny towarzyszy. Reszta

wyprawy składała się ze starego szafarza i gospodyni, wyuczonej w sekretach domowej apteczki, a to dla poratowania — broń Boże, choroby — zdrowia mego.

W wigilię wyjazdu zawołany do ojca z panem dyrektorem, byłem świadkiem instrukcji, onemu danej. Najprzód zlawszy na niego władzę swoją rodzicielską, zaklinał na wszystkie obowiązki, aby nie folgował. Wchodził więc w wielkie pochwały plag, powtarzając owe wiersze z elementarza: „Róždżką Duch Święty dziateczki bić radzi“ itd. Te przedziwne maksymy kończyły wielokrotnie dość związane perjody jego oracji. Nakoniec na znak podobno jurysdykcji dał mu w rękę kańczuk, prawdą, że mały i cienki, ale jakem sam potem spróbował, bardzo bolesny.

Gdyśmy już z izby wychodzili, właśnie jak gdyby najpotrzebniejszej rzeczy zapomniał, uchyliwszy drzwi, zawołał do pana dyrektora: — Bijże, bo ja ci za to płacę!

Co się ze mną działo, jakem truchlał, drżał, płakał, dorozumieć się każdy może. Pobiegiem natychmiast do matki i wszystko, co się działo, nie bez rzewnego płaczu opowiedziałem. Kazała więc zawołać dyrektora i w krótkości słów dała mu do wyrozumienia, iż jeżeli się tknie dziecięcia, i służbę straci i skórą odpowie. Pocieszyło mnie to trochę, i zaraz nazajutrz puściliśmy się w drogę, którą ja prawie całą przeplakał. Pan dyrektor przemyslał podobno nad tem, kogo miał słuchać: czy pana, czy pani.

Przyjechaliśmy bez żadnego przypadku. Pierwiastki szkolne szły trybem zwyczajnym. Pojętność miałem wielką, ale wstręt od nauk jeszcze większy. Pan dyrektor pamiętniejszy na groźby pani, niż na rozkaz pana, obchodził się zrazu ze mną dyskretnie, ale wzięwszy sam w swej szkole plagi od profesora, pełen zapalczywości, lubom nie był winien, oddał mi tyle dwoje. Od tego czasu czynił kolejno zadość obowiązkom, włożonym od rodziców moich: pieścił, gdzie nie było potrzeba, bił, kiedy nie należało. Wzięwszy nakoniec w dzień swoich imienin parę sukien od matki w podarunku, napisał przez pierwszą pocztę rodzicom, iż imci pan Mikołaj swego czasu w nauce samego nawet Herkulesa przejdzie.

Ignacy Krasicki.

JAGNIĘ I WILCY.

Zawždy znajdzie przyczynę, kto zdobywszy pragnie:
 Dwóch wilków jedno w lesie nadybali jagnię.
 Już je mieli rozerwać. Rzekło: — Jakiem prawem?
 — Smaczneś, słabeś i w lesie! — Zjedli niezabawem.

I. Krasicki.

MYSZKA, KOT I KOGUT.

Coby to była za szkoda!
 O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
 Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił,
 To, co ona swej matce, ja wam będę prawił.
 — Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
 Dopadłam jednej zielonej równiny,
 Dyrdając jako szczurek, kiedy sadło śledzi.
 Patrząc, aliści dwoje zwierząt siedzi:
 Jeden z nich trochę dalej, z miłozieniem przystojnem,

Łagodny i uniżony,

Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:
 W żółtym bucie z ostrągą chodził napuszony,

Ogon zadarł do góry

I lśnięciami błyskał pióry, —

Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,

Jak gdyby kto powykrawał;

Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,

Albo na powietrze dźwigał.

Ja, lubo z łaski Boskiej dosyć jestem śmiała,

Ażem mu srodze nakłęła,

Bo mię z strachu drżączka wzięła,

Jak się wziął tłuc z tartasem obrzydły krzykała.

Uciekłam tedy do jamy.

Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
 Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.

Minka jego nie nadęta,

I choć ma bystre ślepięta,

Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał;

Jak nasze taką samą robotą ma uszka,

Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał

Mój duszka!

Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
 Tej przyjacielskiej usługi,
 Kiedy nagłego narobił łoskotu,
 Krzyknąwszy na mnie z gniewem: Kto to tu! Kto to tu!
 — Stój — rzecze matka — córko moja luba,
 Aż mrowie przechodzi po mnie.
 Wierz li, jak się ten zowie, co siedział tak skromnie?

Kot bestyja, rodzaju naszego zaguba.

Ten drugi był to kogut, groźba jego pusta,

I przyjdą może te czasy,

Że z jego ciała będziem jeść frykasy, —

A zaś kot może nas schrusta.

Strzeż się tego skromniska, proszę cię jedynie,

I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:

Nie sądź nikogo po minie,

Bo się w sądzeniu poszkapisz.

Stan. Trembecki.

PIEŚŃ PORANNA.

Kiedy ranne wstają zorze,
 Tobie ziemia, Tobie morze,
 Tobie śpiewa żywioł wszelki,
 Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
 Obsypany Twemi dary,
 Coś go stworzył i ocalił,
 A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
 Wnet do mego Pana wołam,
 Do mego Boga na niebie,
 I szukam Go wkoło siebie.

Wielu snem śmierci upadli,
 Co się wczoraj spać pokładli,
 My się jeszcze obudzili,
 Byśmy Cię, Boże, chwalili?

Fr. Karpiński.

Porównaj język XVI, XVII i XVIII wieku.

XIX w.

MATKA I DZIECIĘ.

W dzień zimowy matka miła
 Na łonie miała swe dziecię,
 Nucąc dlań mile, tuliła
 Jedyne skarby na świecie.

— Matko, dlaczego te dzwony?

Tak smutno księża śpiewają?

— Nie bój się, mój ulubiony,

Ktoś umarł, chować go mają.

— Jakto on umarł, o mamó!
 — Na długie zasnął on spanie!
 — Będzie i ze mną to samo?
 — Nie będzie, moje kochanie.
 — Księża tak brzydko mu nuczają,
 A mama śpiewa tak pięknie,
 Jeśli go oni ocuca,
 Zapewne ich się przelekną.

— On się ocucić nie zdoła,
 Aż będzie biła godzina,
 Ojciec na niego zawoła,
 Aniołka przyśle po syna.
 — Ale gdzie jego prowadzą?
 — Na cmentarz, rwałeś tam kwiatki.
 — Poco mu chodzić tam dadzą,
 Zapewne nie ma on matki?
 — Ma on tam matkę, niebożę!
 Tam ona czeka go rada.
 — Jak ona czekać tam może,
 Gdy taki zimny deszcz pada?

— Nie chodź tam, mamó kochana,
 Oboje pójdziem na wiosnę,
 Będziesz w kwiateczki ubrana,
 Ja z tobą, skoro dorosnę.
 — Zostań ty, pójdę ja sama,
 Będziemy później przy sobie.
 — Nie chodź, tyś dobra jest mama,
 I mnie tu ciepło przy tobie.
 To gdy dziecina mówiła,
 Ucichła, snem umorzona.
 Matka ją łzami rosiła,
 Całując, tuląc do łona.

Kazimierz Brodziński.

MUZYKA JANKIELA.

Było cymbalistów wielu,
 Ale zaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
 (Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
 Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
 Wiedzą wszyscy, że nikt mu na tym instrumencie
 Nie dorówna w biegłości, w guście i talencie.
 Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
 Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
 Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
 Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
 Podbiega i na białej podaje mu dłoni
 Drażki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni.

Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska
 I dygając: „Jankielu, mówi, jeśli łaska!
 Wszak to, me zaręczyny: zagrajże, Jankielu!
 Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu?”

Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą
 Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
 Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
 Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
 I z dumą: jak weteran w służbę powołany,
 Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany,
 Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
 Lecz uczył, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach kłęczą,
 Stroją nanowo struny i próbując, brzęczą;
 Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma
 Milezy i nieruchome drażki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
 Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym.
 Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
 Bo wnet przerwał i w górę podniósł drażki oba.

Znowu gra. Już drżą drażki tak lekkimi ruchy,
 Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
 Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia,
 Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
 Spojrzał z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,
 Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drażki uderzył:
 Zdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiele
 Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
 Ozwała się z dzwonekami, z zelami, z bębenki:
 Brzmi polonez Trzeciego Maja!.. Skoczne dźwięki
 Radością oddychają, radością słuch poją;
 Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoja,
 Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,
 W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły
 Po dniu Trzeciego Maja w ratuszowej sali
 Zgodzonego z narodem króla fetowali,
 Gdy przy tańcu śpiewano: „Wiwat król kochany!
 Wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!”

Mistrz coraz takty nagli i tony natęża,
 A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża,
 Jak zgrzyt żelaza po szkłe; przejął wszystkich dreszczem
 I wesołość pomieszał przecuciem złowieszczem.
 Zasnuceni, strwożeni słuchacze zwątpili:
 Czy instrument niestrojny? czy się muzyk myli?
 Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
 Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję zmaca,
 Coraz głośniejsz targając akord rozdasany
 Przeciwno zgodzie tonów skonfederowanej.

Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: "Znam! znam głos ten! to jest Targowica!"
I wnet pęła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmaca;
Porzuca prymy, bieży z drażkami do basów;
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów:
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonalił
Wydał okropność szturm, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchle tony
Łączą się i akordów wiążą legijony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żalostną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu-tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i z głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata
Po łąkach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy,—
Tak rozmyślając, smutnie pochyłili głowy.

Ale je wnet podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Nutę, takt, takty zmienia, coś innego głosi.

I znowu spojrzął z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drażki uderzył.
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła!
Marsz Dąbrowski do Polski...” I wszyscy klasnęli,
I wszyscy „Marsz Dąbrowski!” chórem okrzyknęli.

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drażki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca,
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.
— Generale — rzekł — ciebie długo Litwa nasza
Czekała długo, jak my Żydzi Mesyjasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...
Żyj i wojuj, o, ty nasz!.. Mówiąc, ciągle szlochał:
Żyd pocziwy Ojczyznę jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjawszy, wodza rękę ucałował.

Adam Mickiewicz.

Z „ANHELLEGO“.

Rozdział XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem:
„Więc koniec już!”

„Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?”

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zacierwieniło się niebo, i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stając się na okręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały, jęcząc.

Więc spojrzął na nie Anhelli i zawołał: „Gdzie wy lećcie, o mewy?”

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos, odpowiadający mu: „Lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapaść w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia.

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście“.

Taki był głos ptaków, i rozkruszyło się serce w Anhellim, i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły. /

(Patrz; Smutno mi, Boże. str. 19).

Juljusz Słowacki.

Z NIEBOSKIEJ KOMEDJI.

Czemu, o dziecie, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz lakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela¹⁾, czarcie malenki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone, choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obciążone myślami?

* * *

A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odwijając wtył, wzrokiem sięgasz do nieba, — powiedz, co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka, — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie; a mamka twoja płacze i woła na ciebie, i myśli, że jej nie kochasz, — a znajomi i krewni wołają na ciebie, i myślą, że ich nie

¹⁾ Zabawna postać w ludowej komedji włoskiej; — potem — wogóle pajac.

poznajesz, — twój ojciec jeden miloży i spogląda ponure, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie. —

* * *

Lekarz wziął cię za puls, liczył bicia i ogłosił, że masz nerwy. — Ojciec chrzestny ciast ci przyniósł, poklepał po ramieniu i wróżył, że będziesz obywatelem pośród wielkiego narodu. — Profesor przystąpił i macał głowę twoją i wy-rzekł, że masz zdatność do nauk ścisłych¹⁾. — Ubogi, któremuś dał grosz, przechodząc, obiecał ci piękną żonę na ziemi i koronę w niebie. — Wojskowy przyskoczył, porwał, pod-rzucił i krzyknął: „Będziesz pułkownikiem“. — Cyganka długo czytała dłoń twoją prawą i lewą, nie wyczytać nie mogła, jęcząc odeszła, dukata wziąć nie chciała. — Magnetyzer palcami ci wionął w oczy, długimi palcami twarz ci okrzyżył, i przeląkł się, bo czuł, że sam zasypia. — Ksiądz gotował cię do pierwszej spowiedzi i chciał ukląść przed tobą, jak przed obrazkiem. — Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętymi duchami. —

* * *

Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, — każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: „Jakie śliczne dziecie“. — Gdyby kwiat, co wędnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku, chylącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropki rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobny, o dziecie moje, — może takie bywały przed upadkiem Adama. —

Zygmunt Krasiński.

POGRZEB WISZA.

Żalnik²⁾ i zgłiszczą dosyć były oddalone, znajdowały się w lesie, na piaszczystej polance. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu,

¹⁾ Zgodnie z mniemaniem o możności odgadnienia cech duchowych człowieka z kształtów czaszki; naukę tę zwano kranjoskopją.

²⁾ Żalnik — cmentarz.

bo ciała nie chciało długo trzymać niespalonem, ażeby duch mógł prędzej wlecieć do ojców i braci.

Noc to była znów bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i młot z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie...

U nóg nieboszczyka, na ziemi siedziała Jaga (żona), z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu...

Dalej płaczki z rozrzuconemi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali, na rękach podparci, łzy ocierając po cichu...

— Odszedłeś od nas — wołały płaczki — niema cię, panie, ...osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców swoich, do duchów jasnych, wojować z czarnymi duchy... Ziemię rozległą, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód biały... i miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, ozeldad pokorną i konie rączne... Rzuciłeś wszystko... i nas... i dzieci... i nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty... włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... otwórz powieki... Wiszu, wojaku niezwykły, wróg na cię napadł zdradliwie... krew twa nie pomszczona, zemsta niesyta; z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgłiszczu stos gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za nimi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod ręce; cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgłiszczu trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu, wśród gęstego boru, który doń

broniał przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewczannami i piolunem bladym porośłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy ozna-
czały dawne mogiły.

U wnijsćcia, na ubitem tokowisku¹⁾, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion²⁾ sosnowych, który cztery grube pale, white po rogach, utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w które popioły i ofiara obecna mieścić się miała — chleby, kołaczki, mięsowa, piwo i miód, na tryznę³⁾ przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem dobrego kmięcia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i pokolei całującą dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic, ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama osierocona nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je wpośrodku, przy nim składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedne na drugich, wiodły jakby schodami do góry, gdzie stał trup Wisza, otoczony orężem i odzieżą.

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga pocałowawszy w głowę córkę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie, powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka; przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby uszły z drogi; rzucili się z płaczem wnuczki, wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzyła na stojących, na biały świat szeroki i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono Siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrzepowawszy mu nogi. Przy nim pozostawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach, miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech

¹⁾ Ubitym gruncie. ²⁾ Drew. ³⁾ Stypa pogrzebowa.

rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnieto razem. Podpalone za ledwo, zajęły się nagle, szybko, płomieniem jasnym, i w mgnieniu oka drzewo, przepojone smołą, stanęło jednym ogniskiem ogromnem. Dym i płomienie zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębami sinemi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu, i buchając z pomiędzy kłód, około których się owijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, napróżno siłąc uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... a na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajądłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sącząc, pryskając i zdając chłonać stos, jak wygłodzona jakaś istota... Łuczyna już przezeń zjedzone, opadły czarnemi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowemi okrywając węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmacniał się i podlegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzyli z uroczystem przejęciem i trwogą. Zdawało im się, że ujrzą ze stosu ducha, ulatującego w górę.

Była też to chwila, w której odegnać należało złe siły, czarne bogi, i czterech parobków na koniach, z dzidami w rękach, poczęło szybko obiegać stos dokoła, z wrzaskiem wywijając niemi... Wtórowali im wszyscy przytomni, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, podrzucając w górę oszczepy.

Stos płonął ciągle. Z za kłębow dymu, z za jasnych płomieni widać było jeszcze zczerniałe zwłoki, i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym odzież płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień, wybuchające od dołu, aż bale kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony jak jedno płomień ogromne, w którym tylko sterczące pale rozeznąć było można. Pieśni ucichły... duchy wleciały... Dzieci rzuciły jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... oręże... kawałki kruszcu... kamienie...

Tymczasem służebne napelniały misy, niecki i garnki strawą i objatami¹⁾ dla żywych i dla umarłych, grobową dla duchów ofiary.

¹⁾ Objaty — ofiary.

Żarzewie na zgłiszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małym ogniskiem, kupą węgla czarnych i popiołu. Zsuwano głównie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgłiszczę wodą, przyniesioną ze świętego źródła, zalewać poczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone, poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnice, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok ojców i braci Wisza. Wpółrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dokoła przy niej miski ofiarne. Popielnice pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto z pospiechem sypać ziemię na mogiłę.

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już były spokojniejsze: duch uleciał!... Noc zapadła, gdy żółty pagórek wzniósł się nad popiołami Wisza.

Na żalniku zapalono stosy łuczyna i rozpoczęto ucztę żałobną.

J. I. Kraszewski.

W C Y R K U.

Za czasów Nerona weszły w zwyczaj przedstawienia wieczorne. Jakkolwiek lud przesycony był już przelewem krwi, jednakże gdy rozeszła się wieść, że ostatni chrześcijanie mają umrzeć na wieczornem widowisku, nieprzeliczone tłumy ściągnęły do amfiteatru. Cezar przybył wcześniej i zaczęto znów szeptać, że nastąpi zapewne coś nadzwyczajnego, gdy augustjanie¹⁾ domyślali się, że Neron postanowił wyprawić sobie tragedję z boleści Winicjusza.

Wszystkie spojrzenia zwracały się też z zajęciem na miejsce, gdzie siedział nieszczęsny oblubieniec. Blady był

¹⁾ Dworzanie cesarscy.

bardzo, z czołem okrytem kroplami potu, zaniepokojony do ostatnich głębin duszy. Od niejakiego czasu żył on już jakby tylko półżyciem: sam pogrążył się w śmierci i zgodził się na śmierć dla Ligji, miała ona bowiem być dla nich obojga zarazem wyzwoleniem i ślubem; a teraz poczuł, że inna rzecz jest myśleć zdaleka o ostatniej chwili jak o spokojnem zaśnieciu, a inna patrzeć na męczarnie istoty droższej nad życie. Ogarnęła go dawna chęć ratowania Ligji za wszelką cenę. Mówił sobie, że Chrystus nie może pozwolić na jej mękę w cyrku, i teraz począł Go błagać w duszy z namietnością, podobną niemal do groźby, o ratunek. „Ty możesz!” powtarzał, zaciskając konwulsyjnie ręce. Już nie prosił o jej życie, chciał tylko, by umarła, nim ją wywiodą na arenę, i z niezgłębionej otchłani bólu powtarzał w duszy:—„Choć tego mi nie odmów, a ja Cię umiłuję bardziej jeszcze, niż miłowałem Cię dotąd!”.

W tej chwili prefekt ¹⁾ miasta cisnął czerwoną chustkę, a na ów ruch zaskrzypiały wrzeczadze naprzeciw cesarskiego podium ²⁾, i z ciemnej czeluści wyszedł na jasno oświetloną arenę Ursus.

Olbrzym mrugał powiekami, widocznie olśniony światłem areny, poczem wysunął się na środek, jakby chcąc rozpoznać, z czem mu przyjdzie się spotkać. Wszystkim wiadomo było, że to jest człowiek, który zadusił Krotona, więc na jego widok szmer rozległ się po wszystkich ławach. Cezar, augustjanie i lud patrzyli z zachwytem na jego potężne, grube jak konary uda i herkulesowe ramiona. On zaś stał w środku amfiteatru, nagi, do kamiennego kolosa podobny, i widząc pustą arenę, spoglądał ze zdziwieniem niebieskimi oczyma dziecka to na widzów, to na cezara.

Nagle ozwał się przeraźliwy głos mosiężnych trąb, a na ów znak otworzyła się krata, i na arenę wypadł pośród wrzasków potworny tur germański, niosący na głowie nagie ciało kobiece.

— Ligjo! Ligjo! — krzyknął Winicjusz.

Poczem chwycił rękoma włosy przy skroniach, zwinął się w lęk, jak człowiek, który uczuł w sobie ostrze włóczni, i chrapliwym, nieludzkim głosem począł powtarzać:

¹⁾ Urzędnik, zarządzający miastem lub prowincją. ²⁾ Podwyższenie, pomost podwyższony.

— Wierzę! wierzę! Chryste! Cudu!

Wtem amfiteatr umilkł, augustjanie podnieśli się jak jeden człowiek, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto pokorny i gotowy na śmierć Lig, ujrzawszy swą królową na rogach dzikiej bestji, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem, i pochyliwszy grzbiet, począł bieć pod łatem ku rozszalałemu zwierzęciu.

Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki okrzyk zdumienia, po którym uczyniła się głucha cisza. Lig dopadł tymczasem w mgnieniu oka rozhukanego tura i chwycił go za rogi.

Winicjusz przechylił w tył swą bladą jak płótno twarz i patrzył na arenę szklistym, nieprzytomnym wzrokiem.

Wszystkie piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było usłyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego.

Lig trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach mięśnie wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek i zwierzę trwali w takiej nieruchomości, iż patrzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa, lub grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe napięcie dwóch zmagających się ze sobą sił. Tur zarył się również jak człowiek nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skuroczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwaj się wy-czerpie, kto pierwszy padnie, oto było pytanie, które dla rozmiłowanych w walkach widzów miało w tej chwili więcej znaczenia, niż los ich własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy podniósłszy ręce, zostali w tej postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słychać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast biły w piersiach, jakby je chciały rozsadzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki.

A człowiek i zwierzę stali ciągle, w okropnem wysileniu, rzekłbyś wkopani w ziemię.

Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk, i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka poczęła się przekręcać w żelaznych rękach barbarzyńcy.

A twarz Liga, kark i ramiona poczerwieniały jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych nadludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo wystarczy.

Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz boleśniejszy ryk tura pomieszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa zwierzęcia przekręcała się coraz bardziej, a z paszczy wysunął się długi, spieniony język.

Chwila jeszcze i do uszu bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierzę zwa-lił się na ziemię ze skrzyknięciem śmiertelnie karkiem.

Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów i wzięwszy dziewczę na ręce, począł oddychać śpiesznie.

Twarcz mu pobladła, włosy polepiły się od potu, barki i ramiona zdawały się być złane wodą. Przez chwilę stał jakby nawpół przytomny, poczem podniósł oczy i począł patrzeć na widzów.

A amfiteatr szalał.

Wtem Winicjusz zerwał się z miejsca, przeskoczył ogrodzenie i przybiegłszy do Ligji, nakrył togą jej nagie ciało.

Poczem rozdarł tunikę na piersiach, odkrył blizny pozostałe po ranach, otrzymanych w wojnie armeńskiej, i wyciągnął ręce do ludu.

Wówczas uniesienie tłumu przeszło w żelką widywaną w amfiteatrach miarę. Tłuszcza poczęła tupać i wyć. Głosy, wołające o łaskę, stały się wprost groźne. Lud ujmował się już nie tylko za atletą, ale stawał w obronie dziewczycy, żołnierza i ich miłości. Tysiące zwróciły się ku cesarzowi z polyskami gniewu w oczach i zaciśniętymi pięściami.

Neron zląkł się. Lud był wszachwładnym panem w cyrku. Widząc wszędzie zmarszczone brwi, wzruszone twarze i utkwione w siebie oczy—dał znak łaski.

H. Sienkiewicz.

Z „WESELA.

GOSPODARZ. Jasiiek!!

JASIEK. Pon co!?

GOSPODARZ. Sam tu!

JASIEK. Juści!

GOSPODARZ. Siodłać konia, dosiądź szkapy, pojedziesz zwoływać chłopcy!

JASIEK. Jechać, teraz, trzeba — — ?

GOSPODARZ. Musi!

JASIEK. Zagubię się w tej celuści, wszędy straszne, błotne chlapy.

GOSPODARZ. Aleś Jasiiek, co przeleci!

JASIEK. Konia se odwiąże z szopy!

GOSPODARZ. Musi. Ważne rzeczy!

JASIEK. Nasza?

GOSPODARZ. Przeleć, przeleć w cztery strony; pukaj w okna, zakrzyycz „musi“; niech tu staną przede świtem, niech tu staną przed kaplicą chłopcy z ostrzem rozmaitem.

JASIEK. Chłopcy z kosą, — dobra nasza!

GOSPODARZ. Dobędzie się i pałasza.

JASIEK. Że pon wojak, — dobra nasza!

GOSPODARZ. Dobra nasza.

JASIEK. Lecę duchem!

GOSPODARZ. Tajemnica!

JASIEK. Chłopcy z kosą!

Same wichry mnie poniosą!

GOSPODARZ. Niech przed świtem staną.

JASIEK. Musi!!

GOSPODARZ. A nie słuchaj, choć czort kusi, jeno prosto

JASIEK. swego nosa.

GOSPODARZ. Nim na wrzosa padnie rosa, zanim ptaki zaświergocą...

JASIEK. Lecę duchem.

GOSPODARZ.

JASIEK. Hej!

GOSPODARZ. *(Wręcza Jaskowi złoty róg, który otrzymał
był od Wernyhory.)*

A leć z mocą!

JASIEK. Szczyre złoto, to jest dar.

GOSPODARZ. Masz w łapę, cóż to?

Czar!

Owiń se o szyję sznur
i dzierz mocno ciągiem róg.
Bacuj u rozstajnych dróg,
by cię jaki czart nie zmóg.
Nie chylaj się nigdzie po nic,
ino leć

JASIEK.

GOSPODARZ.

Do samych granic!
Wróć nim trzeci pieje kur;
wrócisz, to se staniesz tu;
wtedy zadmij tęgo w róg,
to się taki wzmoże Duch,
jaki nie był od lat stu, —
bo wszyscy wyteżą słuch.
Ino nie zgub, bo róg złoty,
bo go zseła Jasny Bóg.

JASIEK. Wolę goreć w piekle poty.

GOSPODARZ. Bez tego złotego dźwięku
Wniwecz pójdzie cały ruch.

JASIEK. Opasę się.

GOSPODARZ. Nie szarp w rękę!

JASIEK. Haj - że — .

GOSPODARZ. Leć, krakowski zuch!

JASIEK *(który był wybiegł, wraca, chylając się za czapką,
porzuconą na podłodze).*

Moja copka z pawiem piórem.

GOSPODARZ. Stawaj tu przed trzecim kurem.

Stanisław Wyspiański.

(Akt II. scena 26.)

Ł A K A.

Nieskoszona łąka bujała za wolą wiatru, stając się to
wskróś pochyłe - płową od mietlicy, to zagnęła cudnie ru-
mianą od centuryj i konieczyn, albo zbieła od miodownika.

Gdzieś tam tebie polacie odstałej trawy powaliły się od
fali wiatru, ni to ludy jakieś przeżyte, okwitłe i niechętne
nowych dziejów, gardzące wyniosłem życiem. A wpośród
nich stał wysmukły, precudny, błękitny kwiat i, jak wy-
niosły wieszcz, dumiał nad tym poziomym światem, a sam
jeden zań stał. — Czasami wszystek świat łąki zacichał.
Ustawał wszelki w niej głos i ruch, zamierał ostatni powiew,
i tylko jedno jedyne błękitne kwiecie czuj - duch patrzyło
z ziemi w niebiosy. Ale wnet wiatr, fruujący po zaros-
łach, wszczynął kędyś daleko muzykę poszeptną, wzniecał
podzwonną. Zanosił się na nowo pasikoniki, — chwiała
dalekie królestwa, państwa rozległe, uchylały tajnie głębo-
kie, i zachwycała wzrok odsłonięta barwa niezapominajek,
albo krasa konieczyn. Chybkie jaskółki z pokrzykiem życia
radym przerzynały powietrze, w gałęziach zanosili się ptaki,
osy i pszczoły wałęsały wokół, zatopione w sekretach pra-
cach o niezgłębionej mądrości. Piotr jakoś w drodze ustał.
Siadł na przykopie, w słońcu i zapachu. Patrzył po trawach
i czujnie słuchał. Łąka ta zawierała wszystkie uczucia,
zdawała się znać nawskroś serce człowieka. Każde jej
żdzębło wyrastało nie z ziemi, nie z gliny, lecz z du-
szy, a każdy kwiat w głębi szczęścia serdecznego miał
korzeń.

Stefan Żeromski.

Ćwiczenie ustne w klasie, a potem piśmienne:
Porównaj pod względem stylu wyjątki z XIII, XVI, XVII, XVIII
XIX i XX w.; zwróć uwagę na język, budowę zdań, i wymień charaktery-
styczne cechy wystawienia, jakie zauważyć mogłeś w przytoczonych
ustępach.

Czy na podstawie tych kilku wyjątków można mieć wyobrażenie
o stopniowym rozwoju języka?

Streszczenie:

Styl czyli wystawienie jest to sposób wyrażenia myśli.

Styl zależy od tego:

Kto mówi (pisze).

O czym się mówi (pisze).

Do kogo lub —

Dla kogo się mówi (pisze).

Pod wpływem jakich uczuć mówi się lub pisze (— nastrój).

W jakiej epoce powstał dany utwór.

Nauka, która bada warunki i zasady dobrego stylu, nazywa się
stylistyką.

Jasność stylu.

PORANEK.

(Z „Pana Tadeusza“.)

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
 Świt bez rumieńca, wiedząc dzień bez światła w oku.
 Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:
 Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
 Nad ubogą Litwiną chatką; w stronie wschodu
 Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
 Że słońce wstało, tedy ma zstąpić na ziemię;
 Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.
 Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
 Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
 I zdybało zające przy późnem śniadaniu.
 One zwykły do gajów wracać o świtanu —
 Dziś, okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
 Te, jamki w roli kopiąc, parami się kupią
 I na wolnem powietrzu myślą użyć wczasu, —
 Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.
 I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
 Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
 Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
 I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży
 Klekce bocian. Na kopach siedzą wrony zmokłe,
 Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe,
 Obrzydlę gospodarzom jako wróżby słoty, —
 Gospodarze już dawno wyszli do roboty.
 Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
 Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną,
 Tem smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka;
 Chrzęsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
 Rząd kosiarzy, otawę siekących, wciąż brząka,
 Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
 Stają, ostrzą żelaza i w takt kują młotki.
 Ludzi we mgłę nie widać: tylko sierpy, kosy
 I pieśni brzmiały, jak muzyk niewidzialnych głosy.

Czy możesz nazwać ten opis **jasnym**? Dlaczego?
 Nadzwyczajna prostota w wypowiedaniu myśli, malowaniu obrazów,
 układzie zdań. Zdania niezbyt długie, doskonale zbudowane.

POCHÓD DEMBIŃSKIEGO.

Po upadku powstania na Litwie (1831) generał Henryk Dembiński, otoczony zewsząd przez nieprzyjaciela, zamyślił iść za przykładem Chłapowskiego i Rohlanda¹⁾, powziął myśl przedarcia się do Królestwa²⁾. Śród niesłychanych niebezpieczeństw dotarł do Wilgi; targany zewsząd przez Rosjan, maszerował ku Niemnowi, niepewny, czy nie spotka nad nim zapory w wojsku nieprzyjacielskiem. Dzięki tylko mylnemu kierunkowi, jaki obrał sobie ścigający go generał Savoiny, przeszedł szczęśliwie Niemen pod Iwcem, częścią po tratwach, częścią wbród. Na lewym brzegu Niemna z nowemi musiał walczyć przeszkodami, nim pod Mysłoborem przeszedł Bug i w początkach sierpnia stanął na ziemi Królestwa. Przebył blisko sto mil: na tej przestrzeni przekroczył kilka rzek bystrych, ciągnął polami otwartemi, przedzierał się przez ostępy leśne i moczary, wszędzie zaś miał do czynienia z przemagającym liczbą nieprzyjacielem. Mnóstwo miast i gościńców musiał okrążać, obchodzić stanowiska nieprzyjacielskie, mijać o głodzie okolice, które dostarczyć mogły żywności. Dembiński pokonał wszystkie trudności i oddział swój, skazany na zagładę, oddał na usługi Ojczyźnie. Prowadził do Warszawy wojowników, spiękłych od skwaru słonecznego, ubranych najdziwniej: w mundury polskie i rosyjskie, siermięgi chłopskie i kapoty mieszczkańskie, kurtki strzeleckie i surduty szlacheckie; uzbrojonych w fuzję, karabele, pugiwały i siekiery; siedzących na koniach wszystkich ras; ciągnących za sobą tabor wozów, bryk i kałamaszek. Na spotkanie tego zastępu, przedstawiającego najróżnorodniejszą mieszaninę, strudzoną i wybiedzoną, lecz prowadzącą jeńców rosyjskich, pomiędzy nimi jednego generała, — wyjechał na trakt siedlecki prezes Rządu Narodowego³⁾, kilkudziesięciu członków sejmu, gubernator stolicy i wyległy tłumy publiczności. Powitano bohaterskiego generała okrzykiem: „Niech żyje!” i śpiewem: „Jeszcze Polska nie zginęła!” Dembiński, rozłożywszy korpus pod Pragę, ze sztabem swoim wjechał do Warszawy. Lud padał przed nim na kolana, wołając: „Niech żyje pra-

¹⁾ Którzy złożyli broń w Prusach.

²⁾ Miał 350 żołnierzy, 450 naboju i 100 zł. w kasie, ale zdobył w pochodzie 6 tys. ładunków i 500 dukatów. ³⁾ Adam Czartoryski.

wy syn ojczyzny, bohater!“ Rząd Narodowy na spotkanie generała wyszedł z komnat radnych i przez usta Niemojowskiego wyraził mu wdzięczność w imieniu narodu. W uznaniu zasług mianowano go gubernatorem Warszawy.

Wł. Smoleński.

Czy równie łatwo opisać wypadek historyczny, zdarzenie, którego nie byliśmy świadkami, jak widoki i zjawiska otaczające nas natury?

Czy wystarczają dobrze zbudowane zdania, aby taki opis był jasny? Czy mógłbyś jasno i dokładnie opisać np. którą z bitew Napoleona lub odwrót z pod Moskwy? Dlaczego nie?

Ażeby pisać jasno, trzeba doskonale znać przedmiot, o którym piszemy.

WPLYW WARUNKÓW MIEJSCOWYCH NA TEMPERATURĘ.

Zdawałoby się napozór, że wszystkie miejsca, leżące na jednym równoleżniku, to jest jednakowo odległe od równika, powinny mieć jednakową średnią temperaturę (gdyż promienie słońca padają na te miejsca pod jednakowym kątem); tak jednak nie jest, ponieważ ogrzewanie ziemi (a stąd i powietrza) zależy nie tylko od tego, pod jakim kątem promienie słońca padają, ale także i od tego, na jaką powierzchnię padają. Niewszystkie ciała bowiem rozgrzewają się i oziębiają z równą łatwością: wiadomo np., że jeżeli położymy na rozpalonej blasze kamień i garnek z wodą, to kamień daleko prędzej się rozgrzeje, niż woda; ale zato gdy po rozgrzaniu zdejmujemy kamień i wodę, to pierwszy prędzej ostygnie, niż druga. Stąd wynika, że ląd musi się łatwiej ogrzewać, ale też i łatwiej oziębiać, niż morze. Przytem i sam ląd niewszędzie jednakowo się ogrzewa, zależy to od jego składu: nagie skały lub obszary piaszczyste (np. Sahara) rozgrzewają się łatwiej (bruk i trotoary w miastach rozgrzewają się silnie, dzieci wiejskie chętnie biegają bosy po ciepłym piasku), niż obszary bagniste, lub pokryte roślinnością, szczególnież znacznymi lasami. Zdawałoby się dalej, że na wysokich górach, które znajdują się bliżej słońca, musi być ciepłej; tak jednak nie jest: wprawdzie sam grunt góry rozgrzewa się tam silniej, ale powierzchnia góry jest zbyt mała, aby rozgrzać otaczające zimne warstwy powietrza (wiadomo, że warstwy górne są zimne), podobnie jak mały piecyk w wielkim pokoju. Dlatego to na wysokich górach jest zimno,

W. Nałkowski.

Treść tego ustępu jeszcze trudniejsza, bo wyjaśnianie rzeczy nieznanym czytelnikowi, — dowodzenie.

Zdania dosyć długie, a nawet porozrywane nawiasami. A jednakże całość jest zupełnie jasna. Dlaczego?

Ćwiczenie:

Opis znanego ogrodu, dworku wiejskiego, wsi, lub kościoła.

Wzór. Opis Saskiego ogrodu:

Gdzie jest położony, otaczające ulice, wejścia.

Naturalny podział ogrodu, wchodząc od Saskiego placu.

Aleja główna, fontanna, drzewa, perspektywa,

Strona prawa: sadzawka i ślizgawka, rezerwoar, teatr, ogródek Raua.

Strona lewa: studnia, kiosk, ogródek wód mineralnych, oranżeria i mleczarnia.

Utrzymanie ogrodu, ozdoby i oszpecenia, wartość dla miasta.

A) Budowa zdania.

„Miał król Zygmunt I od cesarza Karola V Złote Runo, dawno sobie na znak braterstwa przysłane — które iż po śmierci tego, który je miał, do podkomorzego tego bractwa albo do starszego brata odesłać była powinność — pana Stanisława Ostrogora, który kasztelanem międzyrzeckim umarł, z tem do cesarza Karola, a do Węgier, do siostry swojej (królowej węgierskiej) Izabeli, księdza Filipa Padniewskiego, sekretarza (który potem pieczęć mniejszą puściwszy, biskupem krakowskim umarł), z poselstwem pełnem miłości, i do innych panów chrześcijańskich na pogrzeb prosząc, posłał“.

Czy to zdanie jest jasne? Dlaczego nie?

Każde zdanie pojedyncze, z osobna wzięte, zrozumiałe, — lecz całość źle zbudowana.

Rozpatrzmy uważnie budowę tego zdania: jakie widzimy w niej błędy?

a) jest za długie;

b) niema jedności, gdyż nie odnosi się do jednej myśli, ale treść główna porozdzielana jest wielką ilością zdań pobocznych, nie mających z nią ścisłego związku, oraz mnóstwem zbytecznych objaśnień, odnoszących się do wymienionych w zdaniu osób;

c) w zdaniu głównem opuszczono podmiot, którego nie można się domyślić (nie znając treści całego utworu);

d) orzeczenie zbyt daleko odsunięte.

Gdybyśmy opuścili zdania, nie należące do głównej treści, a zawierające zbyteczne objaśnienia:

o godnościach i śmierci Ostrogora,

o życiu i śmierci Padniewskiego,

o poselstwie do królowej węgierskiej,

oraz gdybyśmy dodali brakujący podmiot, to zdanie brzmiałoby tak:

Miał król Zygmunt I od cesarza Karola V Złote Runo, które po jego śmierci należało odesłać do podskarbiego tego orderu, — więc król Zygmunt August pana Stanisława Ostrołęka z tem do cesarza posłał.

Zdanie to jest zupełnie jasne, ponieważ:

ma podmiot, —

jest znacznie krótsze, a przez to i orzeczenie nie jest zbyt oddalone, — odnosi się do jednej myśli, czyli ma **jedność**.

Widzimy zatem, iż

dobra budowa zdania jest niezbędnym warunkiem jasności.

Warunki dobrej budowy zdania.

1. **Zdanie musi mieć jedność**, — to znaczy, iż musi się odnosić do **jednej** myśli głównej.

Widzieliśmy, iż poprzednie zdanie stało się niejasne z powodu nagromadzenia zdań podrzędnych, nie mających ścisłego związku z jego treścią, — weźmy jeszcze inny przykład.

„Co iż się wszystko działo za mych dorosłych lat i bycia mego u dworu, wspomnę i to, co się za lat mych pacholęcych toczyło, a dziękuję Panu Bogu, jako za wszystkie insze łaski tak i za tę, że mi się dał urodzić za panowania Zygmunta I, którego żywot iż wypisany nie jest dostatecznie od tych, którzy od niego dobrodziejstwa odnieśli, jest czego zaprawdę żałować i na te niewdzięczniki w sercu gniew sprawiedliwy ponosić“.

Czy to zdanie ma jedność?

Zastanów się nad jego budową i wskaż błędy.

2. **Zdanie nie powinno być zbyt długie.**

Nie znaczy to, iż pisać należy tylko krótkimi zdaniami, — dla urozmaicenia stylu, dla dokładnego wyrażenia myśli, często potrzebne są i zdania dłuższe, lecz nie mogą przekraczać nigdy miary jasności i muszą być tak zbudowane, aby w nich **całość myśli** z łatwością objąć można.

Ażeby zdanie długie było jasne, trzeba:

dobrego uporządkowania zdań głównych i podrzędnych, umiejętne uwydatnienie myśli najważniejszej, doskonałego władania językiem.

3. Zbudowanie więc dłuższego a jasnego zdania nie jest rzeczą łatwą; spotykamy jednakże w utworach mistrzów języka pewien rodzaj zdań dłuższych, kunsztownej lecz jasnej budowy — to **okresy**, np.

„O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą: || o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice“.

(Mickiewicz.)

Okres jest to zdanie złożone, zbudowane w ten sposób, że się dzieli wyraźnie na dwie części: **poprzednik** i **następnik**, uzupełniające się nawzajem, np. w tym krótkim okresie mamy jeden poprzednik i jeden następnik.

Inny okres:

Widzisz, iż bliźni twój potrzebuje chleba, sukni, pieniędzy, rady i pomocy twojej: || daj mu, nie broń bratu swemu tego, co i dla niego tobie Bóg dał. (Skarga.)

Jest to okres złożony z 1 poprzednika i 2 następników. Poprzednik jest zdaniem złożonym, — pierwszy następnik pojedynczym, drugi złożonym.

Widzimy więc, że tak poprzednik, jak i następnik może się składać z dwóch lub więcej zdań współrzędnych, pojedynczych lub złożonych. W takim razie między poprzednikiem i następnikiem kładziemy dwukropek.

Inny okres:

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega.

(Mickiewicz.)

Okres złożony z 2 poprzedników i jednego następnika.

Jeżeli się nie będę starał o zachowanie w czerstwości sił moich; jeżeli, owszem, będę ich nadużywał i zdrowie rujnował: stanę się niezdolnym do pracy; wystawiony będę na niezliczone choroby i kalectwa; nie będę mógł zaspokoić moich potrzeb; muszę cierpieć, muszę przed czasem umrzeć

Hugo Kołłątaj.

Oblicz, z ilu części składa się poprzednik i następnik.

Rozbiór następujących okresów:

Lot orla znajdzie granice w przestworze,
Delfin napotka w oceanie brzeg,
Grot piorunowy w ziemię się zaorze,
Wolę i dumę zegnę los w pokorze:
Lecz twórczej myśli nieskończony bieg...

K. Tetmajer.

Jeżeli na ostatnią chwilę twego życia pada cień niepokoju, i jeżeli nim jest wątpliwość, czy pozostawiasz twojemu narodowi spadek, godny twych pragnień: to zaśnij spokojnie, bo on otrzyma po tobie wielką puściznę.

A. Świętochowski (o P. Chmielowskim.)

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
 Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
 Żem był, jak pielgrzym co się w drodze trzodzi
 Przy błyskach gromu,
 Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę:
 Smutno mi Boże!

J. Słowacki.

Praca dla bliźnich nie tylko jest samym wydatkiem:
 ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi;
 ona nie tylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci
 i z bogacą.

N. Żmichowska.

Z fal ta najgorzej huczy, co się ma rozbić na piasku,—
 piersi ludzkie to fale świata.

Z. Krasiński.

Jeżeli będąc bogatym, zdjęty litością nad tylu nieszczęśliwymi, rozdałem między nich mój majątek tak dalece, żem się stał przez to ubogim: jest to prawdziwy heroizm.

Jeżeli widzę bliźniego, tonącego w wodzie lub ogarniętego płomieniem, a wystawiam życie moje, abym go uratował: jest to heroizm.

Jeżeli przenoszę sam cierpieć, jak zdradzić interes społeczności; jeżeli wystawiam życie na obronę swego bliźniego, tembardziej na obronę całej społeczności: jest to prawdziwy heroizm.

Bo w tych wszystkich sprawach przenoszę dobro bliźniego lub całej społeczności nad dobro moje własne.

Hugo Kołłątaj.

Ile tu okresów?

Sposób pisania długimi zdaniami, okresami, tworzy styl okresowy, perjdyczny,—styl ucinowy powstaje ze zdań krótkich.
 Rozróżnij te rodzaje stylu w następujących urywkach:

...Więc skończyłem wczoraj właśnie¹⁾. Pieśni ogromnych dwanaście! Wiele marność, wiele też dobrego. Będziesz czytał. Za parę tygodni druk zaczynam. Mnóstwo pracy w przepisywaniu.

(Z listu A. Mickiewicza do Odyńca.)

¹⁾ Pan Tadeusz.

Dziś wyjeżdżamy do Burgos. Przez czas pobytu nie tu nie zaszło ważnego. Żyjęm zwyczajnym sposobem, tylko Henryk¹⁾ w ciągłych uniesieniach nad Wschodem. Na wszystko patrzy djamentowemi okularami; dziwy opowiada i dziwy spisuje.

(Z listu A. Mickiewicza do córki.)

Kto nigdy nie wdarł się na szczyt alpejski; nie lizał śniegu z nad linii śniegowej; nie rwał i nie wachał niezapominajek i innych kwiatuszków, rosnących obok lodu, wśród okrucich żwirowatych; nie oddychał tem powietrzem orzeźwiającem; nie spoglądał na świat zwysoka; nie gonił leżących cieniów obłocznych po dolinach; nie marzył sam wśród warstw granitowych:—ten marnie przeżył życie, nie zażył bowiem, raz żyjąc, czegoś wyjątkowego, jedynej w swoim rodzaju rozkoszy; duszy jego brak czegoś, jak temu, co nigdy nie widział oceanu i nie kołysał się na jego fali; to wielka szczerba, łysina w jego świadomości.

W. Matlakowski.

W budowie zdania należy zwracać uwagę na szyk wyrazów, który w polskim języku jest bardzo swobodny, a jednak musi być jasny. Pamiętajmy też, że wyrazy, na które kładziemy główny nacisk, stawiamy na pierwszym lub ostatnim miejscu. Zmiana szyku wyrazów zmienia znaczenie zdania, np. na jaki wyraz pada nacisk w tych przykładach?

„Raz umieramy: jutro czy dziś oddam duszę.

Panie Klucznik, przebaczysz mi, ja skończyć muszę!”

„Nie dla chwały ziemskiej biegłem tylekroć na miecze, na strzały”...

„Bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy zabiłem—”

B) Omówienia.

Powiedz lub napisz, co to znaczy:

Stwórca świata —

Królowa niebios —

Przybytek Pański —

Błękitne sklepienie —

Syn ziemi —

Zwycięzca z pod Wiednia —

Przędza Matki Boskiej —

Oko dnia jasnego —

Światła nocy —

Kwiaty pamięci —

Ziemia piramid —

Ojczyzna Kolumba —

¹⁾ Służalski.

O wschodzie słońca ryknęły śpiżę.
Przez pola pomknął szarak.
Już naród dźwiga żelaza.

Jeśli nazwę jakiegoś przedmiotu zastępujemy innym wyrazem, lub paru wyrazami, które to samo oznaczają, powstaje t. zw. **omówienie** czyli peryfrazą; np. młodość — wiosna życia, Polska — kraj Lechitów, Kraków — gród Krakusa i t. p.

Omówienie można uważać za określenie wyrazu, który zastępuje.

Ćwiczenie.

Zastąp **omówieniami** następujące wyrazy:

Bocian —	Kordecki —	Wiosna —
Słowik —	Kazimierz Wielki —	Róża —
Skowronek —	Stanisław August —	Cyprys —
Warszawa —	Żydzi —	Matejko —
Paryż —	Turcy —	Mickiewicz

Czy **omówienia** w następujących wyjątkach są zrozumiałe i piękne?

Na sali orszak przywitam wybrany —
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej ślę pełne smaków porcelany
I sztucznym morzę apetyt żywołem.

Zacnych dusz wielkie cienie, którym los łakomy
Zabrał w plonie, co tylko miał człowiek znikomy,
A sława, próżna szwanku, trwalszą część istoty
Nad gwiazdami (w) zatłone wzniosła kołowroty:

Omówienia zdobią i urozmaicają styl, gdy są jasne, piękne, kiedy nie używamy ich za wiele. Nietrafne omówienia i zbytnie ich nagromadzenie czynią styl niejasnym.

Wskaż omówienia i wyjaśnij ich znaczenie:

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika.

Kondratowicz.

Miałam ja drugą (córkę), litościwy Boże,
Oko się za nią napłakać nie może:
Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu.

Brodziński.

Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej!” — krzyknął z góry — „ej ty, ryży kudła,
Wara od źródła!”

I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na drąg — i w nogi. Mickiewicz.

Po coś tu przyszła, po co, moja droga,
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?

Mickiewicz.

A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna Kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę:
Z żalu straciła swoją urodę.

Lenartowicz.

Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi:
Trafiłem w serce stugłowej poczwary. Mickiewicz.

Prędzej czy później, gdy mię czas owionie
Snem nieprzespanym, w którym się nic nie śni —
O niepamięci! wtenczas chłodne skronie
Weź pod twą schronę do grobowej cieśni. Mickiewicz.

Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Mickiewicz.

C) Synonimy i homonimy.

e) Wyrazy bliskoznaczne. (Synonimy.)

Czy jest dobrze i jasno powiedziano:

To mądry człowiek, skończył uniwersytet.
Mam dla ciebie wiele litości w tem nieszczęściu.
Płynęłam okrętem z Warszawy do Gdańska.

Człowiek, który skończył uniwersytet, jest wykształcony, ale niezawsze jest mądry, bo mądrości nie daje tylko nauka, lecz i własne doświadczenie i sąd. Wyraz mądry w tem zdaniu jest więc źle użyty. Jeśli tego wyrazu dobrze nie rozumiem i nazwę kogoś mądrym, chociaż jest tylko wykształconym, to dam o nim mylne pojęcie, ponieważ wyrzuciłam się nieściśle, a tem samem niejasno.

W drugim przykładzie wyraz litość określa uczucie nasze nieściśle i tak niesubtelnie, iż może nawet sprawić przykrość: nieszczęście budzi w nas współczucie, litość połączona jest zawsze z pewną

wyrozumiałością, której nieszczęście nie potrzebuje (jeśli niema w nim własnej winy nieszczęśliwego).

Okręt jest to wielki statek morski, po płytkiej Wiśle płynąby nie mógł, zwłaszcza pod Warszawą.

Okręt, statek, łódź etc., również jak: wykształcony, mądry, rozumny, — litość, współczucie, miłosierdzie — są to **synonimy**, wyraży **bliskoznaczne**, ale nie jednoznaczne, więc nie można używać jednych zamiast drugich.

Z tego wynika, jak ważną jest rzeczą doskonałe zrozumienie znaczenia wyrazów wogóle, a w szczególności synonimów. Bez głębszego zastanowienia się nad nimi i wnikięcia w ich treść, niema mowy o jasnym i dokładnym wypowiadaniu myśli.

Synonimy stanowią bogactwo naszego języka: pozwalają nam cieniować wyrażenia, unikać powtarzania tych samych wyrazów, dobierać odpowiednich dźwięków, wreszcie malować nasze myśli i uczucia z większą subtelnością i ścisłością.

Zastanówmy się np. nad synonimami:

Bitwa, bój, walka, utarczka, potyczka, wojna ¹⁾.

Bitwa oznacza zapasy dwóch wojsk nieprzyjacielskich. Np. w krwawej bitwie pod Kannami poległ kwiat rycerstwa.

Bój wre podczas bitwy, gdy jedni zadają ciosy, drudzy je odbijają. Np. Wstępnym bojem odnieśliśmy zwycięstwo nad nieprzyjacielem.

Walka oznacza fizyczne lub moralne zapasy dwóch sił. Walka olbrzymów; walka byków; walka z przyrodą; walka z sobą.

Utarczka jest to dorywcza walka z nieprzyjacielem. Zanim przyszło do bitwy, miały miejsce utarczki.

Potyczką nazywa się mała bitwa dwóch niewielkich oddziałów nieprzyjacielskich. Wcale nie przyszło do bitwy, staczano tylko częste potyczki.

Wojna oznacza zbrojne działanie dwóch państw. Szwed wypowiedział nam wojnę.

Napisz zdania na te same synonimy.

Mężny, waleczny, bitny, odważny, dzielny.

Mężny jest ten, kto umie pokonywać wszelkie przeciwności. Mężny rycerz, mężny umysł.

Walecznym jest taki, który walczy z postanowieniem, że umrze lub zwycięży. Waleczny wódz, waleczni żołnierze.

Bitnym zwiemy człowieka, który w bitwie zapomina o całym świecie i o sobie. Bitny chłop, bitny naród.

Człowiek, gotów zawsze narazić własne życie, nazywa się **odważnym**. Byłem młody, odważny, świat stał mi otworem.

Dzielny jest ten, kto posiada siłę energicznego działania. Dzielna ręka, dzielne serce, dzielny koń.

Krytyczność i krytyka.

Krytyczność — zdolność słusznego oceniania każdej rzeczy.

Krytyka — sąd, wyrażony o danej rzeczy.

¹⁾ A. Dygasiński. Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych.

Ginać, niknąć, przepadać, podziąć się.

Przykłady:

Zginał, jak mucha w smole. Nic w naturze nie ginie.

Zniknął, jak kamfora. Gdy się obudzimy, nikną obrazy senne.

Przepadł, jak kamień w wodzie. (W innym znaczeniu — przepadał za polowaniem.)

Dopiero co miałem pod ręką pióro, i gdzieś mi się **podziało**.

Naśladować, udawać.

Naśladować znaczy wstępować w cudze ślady. Naśladowaj ludzi dobrych.

Udawać jest to grać czyjąś rolę. Udawał, że mię nie widzi. Udawał głupiego.

Ćwiczenie klasowe ustne:

Objaśnij następujące synonimy.

Pałac, zamek, dwór, willa, budynek, chata.

Kościół, świątynia, kaplica, synagoga, meczet.

Wieś, folwark, osada, kolonja.

Ogród, sad, park.

Droga, szosa, ulica, aleja, gościniec.

Łódź, czółno, statek, okręt, tratwa, galary, prom.

Dar, gościniec, pamiątka, upominek, wiązanie, kołoda.

Wieżień, jeniec, braniec, niewolnik.

Rzemieślnik, robotnik, wyrobnik, pracownik.

Dostatek, dobrobyt, zamożność, majątek, bogactwo.

Smutek, zmartwienie, boleść, rozpacz.

Współczucie, litość, miłosierdzie.

Życzliwość, sympatja, przyjaźń, miłość.

Podróż, pielgrzymka, wędrówka, tułactwo.

Cześć, szacunek, poważanie, poszanowanie, uszanowanie.

Wykształcenie, uczoność

Rozsądek, rozum, mądrość.

Pojętność, zdolność, inteligencja.

Odkrycie, wynalazek.

Ponury, posępny, smutny.

Starożytny, staroświecki.

Pracować, robić, trudzić się, działać.

Mówić, powiedzieć, rzec, gadać, prawić, gwarzyć, gawędzić, rozmawiać.

Ćwiczenie. Do następujących wyrazów dopisz synonimy i objaśnij je.

pokój	podziemie	woń	niechęć
koń	wąwóz	więzy	falsz
góra	zmrok	dziedziec	moc
staw	świt	kobieta	praca
gruzy	światło	duma	wesołość

ładny	chromy	grzeczny	zimny
brzydki	rozumny	ociemniały	gorący
bogaty	pilny	zły	stary
ubogi	pożyteczny	dobry	przychylny
chory	trudny	uczciwy	surowy
bawić się	chwycić	myśleć	gonić
nudzić się	mówić	budować	bujać
psocić	niszczyć	rumienić się	trwożyć
biegać	wróżyc	plakać	uciekać

b) Wieloznaczniki

(homonimy).

Co to znaczy:

Był to piękny granat. Kula leżała na drodze.

Granat—roślina, kwiat, owoc, drogi kamień, pocisk armatni, barwa. Kula—przedmiot kulisty i szczudło.

On złamał krzyż. —
 Kupiłam kilka gwoździaków.
 Boję się raka.
 Wspaniały pajak.
 Wysoki kozieł.
 Prześliczny dzwonek.

Równe ząbki.
 Stara koronka.
 Olbrzymi chwast.
 Zniszczony zamek nie zapewnia bezpieczeństwa.

Są to wszystko wyrażenia nieściśle, niejasne wskutek tego, użyte w nich **wieloznaczniki** nie są bliżej określone.

Należy więc przy użyciu **homonimów** zwrócić uwagę na ich zastosowanie i wyrażać myśl w taki sposób, aby nie mogła być zrozumiana inaczej

D) Archaizmy.

Nie więzysz mu nazbyt z młodu knefliczków, bryzyków, pstrych sukienek, jako prosięciu, bo jako się teg z młodu nauczy, tak mu się to w pamięć wbije.

M. Rej.

Ażeby zrozumieć ten ustęp, musimy wiedzieć, że:

kn e f l i c z e k — naszyć, guziczek; b r y ż y c z e k — ha-

Są to wyrazy stare, dziś już nie używane, **archaizmy**.

(Pięknie dziewczę) gdy jedzie na koniu z sajdakiem,
 Niż kiedy się ociągnie ciasnym inderakiem.

M. Bielski.

Inderak — suknia.

Język dawnych pisarzy niezawsze jest dla nas jasny z powodu wyrazów, dziś już nieużywanych, więc niezrozumiałych, które zowiemy **archaizmami**.

Dzisiaj archaizmów używamy tylko wtedy, gdy pragniemy naśladować język dawnych czasów, np. w powieściach Sienkiewicza i innych.

„Nieraz drzewiej Krzyżacy gościli w Spychowie, i nie był Jurand waszym wrogiem, — ale ileż to razy zaczepialiście go sami, jako i ninie, za to, że pozywał waszych rycerzy“.

H. Sienkiewicz.

drzewiej — dawniej; — ninie — teraz.

E) Neologizmy.

Częściej czynią styl niejasnym niezręcznie utworzone wyrazy nowe, czyli **neologizmy**.

Tworzą je zwykle dla zastąpienia wyrazów obcych lub jako nazwy nowych pojęć. Wyrazy nowe muszą powstawać w języku, przynosi je życie, ale tworzą się w sposób naturalny, wraz z nowymi zjawiskami i pojęciami, np. letnisko, letnicy, zespół.

Niekiedy tworzą je bardzo szczęśliwie wielcy poeci i mistrze języka, jak np. wiele wyrazów utworzył Zygm. Krasiński, Reymont, Żeromski i inni; te wyrazy zlewają się z językiem ludzi wykształconych i bardzo prędko przestają być neologizmami. Nazwę tę pozostawiamy wyrazom, utworzonym sztucznie, niezgodnie z duchem języka, które pojawiają się czasem w utworach, ale nieprzyjęte przez ogół zanikają.

Do takich neologizmów zaliczyć możemy: bokotwarz, zachówki, parciomierz, cichostępy i t. p., których naturalnie nikt dziś nie używa.

111

Zwięźłość.

PO PIERWSZYM ROZBIORZE.

W przeciągu kilkunastu lat spokoju rolnictwo dźwignęło się z upadku; produkcja zboża zwiększyła się tak dalece, że przewyższyła dawną, przedrozbiorową. Dla pomnożenia dochodów z ziemi wybitniejsi obywatele podejmowali reformę stosunków włościańskich, przedewszystkiem zrywali z pańszczyzną, jako ze zbyt słabym narzędziem produkcji rolnej. Po dawniejszych: ks. Swiniarskiego, księżnej Jabłonowskiej, kanclerza Zamoyskiego i Przebendowskiego, nastąpił cały szereg prób reformatorskich. Ks. Brzostowski, referendarz litewski, w dobrach Mereczu pańszczyznę zamienił na czynsz, ciężary w naturze na opłatę pieniężną; obdarzył

poddanych samorządem, pracował nad podniesieniem w nich ducha obywatelskiego. Za przykładem Brzostowskiego poszedł synowiec królewski, książę Stanisław Poniatowski, właściciel dóbr korsuńskich, obejmujących do 400 tysięcy mieszkańców. Podkanclerzy litewski Joachim Chreptowicz w dobrach swych Szczorse i Wiszniew nadał włościanom wolność osobistą, zniósł roboczną z wyjątkiem szarwarków i podwód; za używalność gruntów pobierał tylko trzecią część plonu. Szcześny Potocki, wojewoda ruski, właściciel 3 milj. morgów ziemi, zmniejszył pańszczyznę, zadawała się dwunastu groszami czynszu za dzień roboczy. Zastąpił łaskawością dla włościan: August Czartoryski, syn jego Adam, księżna marszałkowa Lubomirska z zięciem swym, Stanisławem Kostką Potockim, Jacek Jezierski, kasztelan lukowski i t. p.

Wł. Smoleński.

Czy można stąd usunąć niektóre zdania lub wyrazy bez uszczerbku dla treści?

Styl, w którym używamy tylko wyrazów niezbędnych do należytego uwydatnienia myśli, nazywamy **zwięzłym**.

Porównajmy np.:

Jest niedziela, dzień przeznaczony na odpoczynek i rozrywkę, kiedy wszyscy odpoczywamy, bo niema zajęć w biurach, szkołach ani fabrykach, — a ponieważ nie mamy żadnego pilnego zajęcia, więc możebyście przyszli dziś do nas wieczorem na miłą pogawędkę o tem wszystkim, co nas zajmuje i obchodzi.

Jest niedziela, więc jeśli nie macie innych zamiarów, możebyście przyszli do nas na wieczorną pogawędkę.

Które z tych dwóch zdań jest zrozumialsze? Czy w pierwszym zdaniu potrzebna tak wielka ilość wyrazów i objaśnień?

Opuszczając wyrazy i objaśnienia niepotrzebne, otrzymujemy zdanie krótsze i jaśniejsze. Pierwsze ma styl **rozwickły**, drugie **zwięzły**.

Zwiężłość czyni styl silnym i jędrnym. Styl zwięzły zawiera te tylko wyrazy, które istotnie do ścisłego i dokładnego wyrażenia myśli są potrzebne.

Zastanówmy się, co jest przyczyną rozwickłości pierwszego zdania:

„niedziela, dzień, przeznaczony na odpoczynek i rozrywkę”, — zdanie zbyteczne, bo wiadomo, że niedziela jest dniem odpoczynku.

„kiedy wszyscy odpoczywamy, bo niema zajęć w biurach, szkołach, ani fabrykach”.

Ta sama myśl, co w zdaniu poprzednim, tylko wypowiedziana w inny sposób, — a więc zbyteczne powtórzenie (tautologia);
„a ponieważ nie mamy żadnego pilnego zajęcia”, —
znowu powtórzenie tej samej myśli w innej formie (tautologia);
„co nas zajmuje i obchodzi” — tautologia.

Jak nazwiesz wyrażenia:

Człowiek niemłody w podeszłym wieku.
Każdy jest obowiązany spełnić swoje obowiązki i powinności.
Zrobię to chętnie i z przyjemnością.
Pobiegłam do sąsiadki, która mieszkała obok.
Deszcz padał od rana, dzień był słotny i niepokodny.

Do rozwickłości przyczyniają się także określenia, które nie dodają żadnej nowej cechy do określonego pojęcia, np.:

martwy kamień, bagniste moczary, jasny świt, głośny huk, przykra złośliwość, czworonogi rumak.

Takie określenia (**pleonazmy**) nie mają istotnej treści, bo kamień zawsze jest martwy, moczary bagniste i t. p.

Niekiedy wprawdzie używamy umyślnie określeń, malujących cechy nieodłączne od przedmiotu, — czynimy to wówczas, gdy pragniemy je silniej uwydatnić lub wyraźniej odmalować przedmiot, np.

Ogarnął mię pałacy ogień.

Chcę tu zwrócić uwagę na tę nieodłączną cechę ognia.

Ukazało się jasne słońce.
Drżała na listkach kroplista rosa.
Uczułem zimny lód pod stopą.
Szmaragdowa trawa pokrywa łąki.

Zwiężłością odznaczają się przysłowia i krótkie zdania (sentencje), zawierające nieraz myśl głęboką, np.:

Długo myśl, prędko czyni.
Zgoda buduje, niezgoda rujnuje.
Cokolwiek będzie człowiek siłą, to też będzie żał.
Muzyk zmiesza orkiestrę najlepiej dobraną,
Jeśli grając, stara się, żeby go słyszano.

A. Mickiewicz.

Najzwiężlejszy jest t. zw. styl **lakoniczny**. Nazwa ta pochodzi od Lakonii, greckiego państewka w starożytności, którego mieszkańcy wyrażali się zwiężle; znana jest lakoniczna odpowiedź króla Sparty, Leonidas, dana królowi perskiemu, Kserksesowi, gdy ten żądał złożenia przed nim broni: — „Przyjdź i weź”.

Lakoniczne są słowa Sobieskiego o zwycięstwie pod Wiedniem: „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył”.

Ćwiczenia.

- 1) Wytlumacz się w sposób zwięzły a jasny, dlaczego wczoraj opuściłeś lekcję.
- 2) Opisz zwięźle wypadek na ślizgawce, na wycieczce, na rzece, na ulicy, w tłoku, podczas pożaru, burzy.
- 3) Prześlij zwięźle zawiadomienie o przygotowaniach, potrzebnych do wycieczki.
- 4) Określ zwięźle i jasno (np. w liście do rodziców), jak stoisz pod względem przygotowania i trudności pracy z przedmiotów, wykładowych w twojej klasie.
- 5) Zwięźle i jasno sprawozdanie z godziny wykładu nauczyciela.

Poprawność.

Warunkiem dobrego stylu jest **poprawność**, która nie dopuszcza błędów gramatycznych, wyrażeń i zwrotów, niezgodnych z duchem języka polskiego.

Zasady poprawności znajdujemy przede wszystkim w gramatyce, należy do nich pomiędzy innymi — właściwe użycie zaimków: który, jaki, imiesłówów nieodmiennych, przypadków i t. p.

a) Pamiętajmy, że: **orzeczenie zdania podrzędnego nie może być wyrażone w formie imiesłowa nieodmiennego**, jeżeli to zdanie nie ma wspólnego podmiotu ze zdaniem głównym.

Błędnie: Przechodząc przez most, wiatr zrzucił mi w wodę kapelusz.
Pracując tak ciężko, niedostatek nasz wzrastał ciągle.

b) Zaimek „**który**” stać powinien bezpośrednio po wyrażeniu, do którego się odnosi.

Błędnie: Był to pies brata, który zginął przed miesiącem, (Pies, czy brat?)
Przyjmuję obstalunki po cenach przystępnych, które wykończam w ciągu 24 godzin.

Zaimek „**który**” stać powinien na pierwszym miejscu w zdaniu podrzędnym.

Błędnie jest: Rzeka, fale której płynęły tak cicho...
Słońce, blask którego raził oczy i t. p.

c) Zaimek „**który**” nie może powtarzać się w tem samym zdaniu złożonym, — chyba dla lepszego uwydatnienia myśli, łącząc ze zdaniem głównym kilka zdań jednorodnych.

Dobrze: Zarówno cenię tych, którzy zrobili wiele, jak tych, którzy zrobili wszystko, co mogli, choćby to było niewiele.

Źle: Bliżej poznałem kolegów, z którymi wspólnie odbyłem wycieczkę, która przyniosła nam tyle korzyści.

d) Należy także rozróżnić zaimki: „**który**” i „**jaki**”; który — odnosi się do osób lub rzeczy, — jaki — do własności osób lub rzeczy.

co innego znaczy: napisałem list, który poleciłeś mi napisać,
a — napisałem list, jaki poleciłeś mi napisać;

list, który poleciłeś, znaczy: ten, który poleciłeś,
list, jaki poleciłeś, znaczy: taki napisałem, jaki poleciłeś.

Tak samo:

Rozległ się krzyk, jaki pierś ludzka raz tylko wydać może, —
rozległ się krzyk, który mię przeraził.

Sprzeciwia się poprawności powtarzanie tych samych wyrazów dźwięków i t. p.

Ona chciała się cofnąć, lecz potknęła się i nie zdążyła usunąć się na czas.

Jeżeli mamy dwa czasowniki zaimkowe lub zwrotne obok siebie, to zwykle jedno się możemy opuścić, np.:

Ona potknęła się, zachwiała i nie zdążyła cofnąć przed nadjeżdżającym powozem.

Napisz poprawnie:

Adaś jest obowiązkowy, i to jest jego zaletą.

Wszystko było w porządku i nie było potrzeby o nic więcej się troszczyć.

Wojownik wojował na wojnie.

Sędzia wezwał do sądu podsądnego.

Pamiętajmy, że zaimki osobowe: ja, ty, on i t. p. opuszczamy, jeżeli w zdaniu nie pada na nie akcent logiczny; np.:

Idę do ogrodu. Poszedł do szkoły i t. p.

Zaimki dzierżawcze: mój, twój, swój i t. d. potrzebne są tylko wtedy, jeśli zachodzi wątpliwość co do przynależności przedmiotu, np.:

Kocham matkę (a nie: swoją matkę).

Nakoniec zwracajmy uwagę na właściwe zastosowanie znaków przestankowych:

wytrwać należy, — ustąpić mamy czas.

wytrwać? — należy ustąpić, — mamy czas.

Widzimy, że znaki przestankowe mogą zupełnie zmienić treść zdania.

Czystość.

(Z „Przygód Doświadczynskiego”).

Wkrótce po tej konwersacji odebrałem wiadomość o śmierci matki mojej. Mimo naturalną z przyszłej swobody satysfakcję, uczułem żal prawdziwy z tej straty. Uśmie-

rzył się z czasem, a natychmiast snować się w imaginacji poczęły rozmaite projekta. Podróż do cudzych krajów największą we mnie czuła impresję. Jakoż nie wyjeżdżając z Warszawy, uczyniłem wszystkie dyspozycje i przygotowania do drogi. Nowy mój mentor ułożył plantę przyszłej mojej peregrynacji, a gdy widziałem go nieco pomieszonym, przyznał mi się, iż przymuszony był szukać kredytu na 500 czerwonych złotych. Ofiarowałem mu natychmiast swoje usługi i choć pokazać wspaniałość animuszu, wyczyłem 1000 bez karty i prowizji.

I. Krasicki (wiek XVIII.)

Czy kto dziś jeszcze pisze takim stylem? Jakiego języka wpływ tutaj widzimy? Wybierz wyrazy i zwroty obce i zastąp je polskimi.

Wszelkie obce wyrazy i zwroty w języku polskim nazywamy **barbaryzmami**.

Barbaryzmy,	pochodzące z łaciny,	nazywamy	latynizmami,
"	"	"	galicyzmami,
"	"	"	germanizmami,
"	"	"	rusycyzmami,

P L E B E I.

(Chłopi.)

Nie należałoby podobno *inter materias status*¹⁾ mieszać pospólstwo, ponieważ *non componunt*²⁾ Rzplitej naszej żadnego stanu, ani wchodzą w żadne rady, oprócz miast pruskich, tak jako u inszych państw wolno się rządzących. I lubo w takiej są u nas wzgardzie, to *opprobrium hominum et objectio plebis*³⁾, że i wspomnienia niegodni, ja ich bynajmniej nie mogę lekceważyć.

Bo cóż czyni fortuny i substancje⁴⁾ wasze, jeżeli nie plebei, prawdziwi nasi chlebobawcy, kiedy grzebią dla nas ustawicznie w ziemi, skarbów dobywając, z ich roboty nasze dostatki, z ich pracy obfitość państwa, z ich handlu *commercii*⁵⁾, z ich roboty nasze wygody.

St. Leszczyński (wiek XVIII.)

W poprzednim wyjątku mieliśmy barbaryzmy po większej części spolszczone, tutaj mowa przeplatana jest niespolszczonymi zwrotami i wyrazami łacińskimi, czyli **makaronizmami**.

Czy taki styl możemy nazwać czystym?

¹⁾ Do spraw politycznych. ²⁾ nie stanowią. ³⁾ hańba ludzkości i wyrzutki ludu. ⁴⁾ majątności. ⁵⁾ zarobki.

. ROZMOWA STAROŚCINY Z MĘŻEM.

(Z „Powrotu posła”.)

Starosta.
Starościna.

Nie chcesz się czem rozerwać? Siedzisz sama jedna? Lubię sobie przez okno patrzeć na naturę, Szarmancki robił ze mną maleńką lekturę; *Tout à fait garçon brave* i pełen tandresy, *Vraiment*, bardziej od innych wart panny Teresy: Nie refiużuj mu dłużej.

Starosta.
Starościna.

A jakże? to o posag przykrzyć się nie będzie? *Jamais!* On sobie w małej kabance osiedzie, Na zielonym ryważu jasnego strumyka Słuchać będzie z Teresą tkliwego słowika. *A quoi bon les richesses?* W cichej solitudzie Żyć będą, nie zważając, co powiedzą ludzie. *Des fruits, du lait*—to ich będzie pożywienie, Łzy radosne napojem, pokarmem westchnienie,

J. U. Niemcewicz.

Wybierz stąd galicyzmy i makaronizmy, wytłumacz je.

Kochany siostrzeńcze.

Tyś już duży i liczysz się za dorosłego... Skończyłeś szkoły z nagrodą, co ci chwałę, i powinieneś być rozsądny. Ja pojmuję twoją chęć postąpienia do Akademii, ale u nas w kraju dużo jest uczonych durniów, niegodnych zapracować sobie kawałka chleba. Każdy naród jak i każdy człowiek dłużen przedewszystkiem dbać o swe pożywienie. Prócz tego ty masz starą matkę. Kiedy ukończysz Akademię, ona zupełnie zgrzybieje—przecie nie posadzisz ją do ochrony. Tymczasem ona ci będzie przeszkadzać jeździć po świecie i iskać miejsca. Tak więc ja przekładam tobie, żebyś ty lepiej jechał teraz do Chin.

W. Sieroszewski.

Ćwiczenie: Wybrać rusycyzmy i poprawić je na lekcji ustnie.

Barbaryzmy psują czystość mowy.
Czystość polega na unikaniu zwrotów i wyrazów obcych.

Czy pięknie brzmi nasz język, skażony barbaryzmami? Latynizmy nas rażą, galicyzmy o wiele mniej są rozpowszechnione, niż na początku XIX w.; germanizmy głównie w Wielkopolsce i Małopolsce, w d. Królestwie rusycyzmy. Musimy też największą zwrócić na nie uwagę, chcąc mówić czysto i poprawnie.

Następujące zdania napisz czysto i poprawnie:

Rusycyzmy ¹⁾.

Sędzia okazał, że obwiniony popełnił zbrodnię (zam. dowiódł). Mieszkać komu (zam. przeszkadzać). Obwinić kogo w czym (zam. o co). Postąpił do wojska (zam. wstąpił...). Odmówił się od lekcji od grania (wymówił się). Odprawił się w podróż (udał się, wyruszył...). Przyczynić komu krzywdę, radość i t. p. (wyrządzić komu krzywdę, sprawić radość).

Służyć przykładem (zam. za przykład). Książka dla użytku szkolnego (zam. do użytku). Używamy spirytusu dla palenia (zam. do palenia). Objawiono wojnę (zam. wydano...). Okazał mu dobrodziejstwo (zam. wyświadczył). Zakazałem wszystkie dzieła Mickiewicza (zam. zamówilem). Opuścić kogo ze służby (zam. uwolnić). Pełen kurs nauk (zam. całkowity). Pożyczył u mnie parasola (zam. ode mnie). Wyjedziemy na dniach (zam. w tych dniach). Wyższy na palec, na włos (zam. o palec i t. p.). Jest na tyle rozsądny, że... (zam. o tyle). Posłać za doktorem (zam. po doktora). Burka zamieniała mu kołdrę (zam. zastępowała). Śledzić za postępem nauk (zam. postęp nauki). U mnie jest papier (zam. mam papier). Ja czytam (zam. czytam). Wszystko, za wyjątkiem (zam. z wyjątkiem). Coby nie było (zam. cokolwiekby się stało). Kogo nie zapytam (zam. kogokolwiek zapytam). Ja jego poproszę (zam. ja go poproszę). Ja jemu daruję (zam. ja mu daruję). Przyjąć udział w zabawie (zam. wziąć udział). Czekam za bratem (zam. na brata). Idę za sprawunkami (zam. po sprawunki).

Rusycyzmy rozpowszechnione na Litwie: grable (grabie), kartofla, ta pieca, kaczać (huścić), kocić (toczyć), karabkać się (wdzierać się z wysiłkiem), kosi (krzywy), kutać (otulać), myć (prać), odkryć (otworzyć, np. uniwersytet), zakryć (zamknąć), peckać się (brukać się, walać), przyjąć ze stołu sprzątnąć, uspieć (zdążyć) i t. p.

Popraw następujące galicyzmy ²⁾.

Mam ból głowy (głowa mnie boli). Ten młody człowiek jest bardzo dobrze (ten młodzieniec ma dobre ułożenie). Znajduję, że powinienś więcej pracować (uwaga, że...). Znalazłem

¹⁾ Krasnowolski: Składnia języka polskiego.—Słowniczek frazeologiczny.—Najpospolitsze błędy językowe. ²⁾ Stylistyka Chmielowskiego.

już moje rękawiczki. To silniejsze ode mnie (to nad moje siły). Napisz do mnie przez pocztę (pocztą). Zabierz miejsce (usiądź). Ojciec jest lepiej (ma się...)

Objasnił i popraw następujące germanizmy ²⁾.

To jest żaden uczeń (nie jest uczeń). To jest żaden talent (on nie ma wcale talentu). Na żaden sposób nie mogę (wcale nie mogę). Jak jesteś stary? (ile masz lat). To mi daje do myślenia (nad tem warto (muszę) pomyśleć). To leży na dłoni (to jasne). To jest dla mnie w pierwszej linii (najważniejsze). Trzymam cię za słowo (polegam na twoim słowie). Nie jestem w stanie (nie mogę). On potrzebuje się uczyć (musi się uczyć). Potrzebuję panu powiedzieć (muszę powiedzieć, powinienem). Już ubieram buciki (kładę buciki). Ona ubiera woalkę (kładzie woalkę).

Czy nie należy nigdy używać zwrotów obcych?

Niemcewicz i Sieroszewski w powyższych przykładach umyślnie używają galicyzmów i rusycyzmów, ażeby oddać wiernie styl osób, o których piszą. W tym wypadku używanie barbaryzmów jest potrzebne.

Mamy też w mowie naszej wiele wyrazów obcych, których unikać ani spolszczać nie należy, gdyż stanowią one jakby wspólną własność wszystkich cywilizowanych narodów, ułatwiając porozumienie czy to w kwestiach naukowych, czy praktycznych.

Do takich wyrazów należą: terminy naukowe, nazwy nowych wynalazków, narzędzi i t. p.; np.:

matematyka	dramat	fortepian
algebra	tragedja	telegraf
geografia	ballada	telefon
fizyka	sonet	gramofon
psychologia i t. p.	poezja i t. p.	fonograf i t. p.

wreszcie wyrazy, oznaczające nazwy urzędów, urządzeń lub stosunków państwowo-społecznych, właściwych danej epoce lub narodowi np.:

konsul	ratyfikacja	polityka
edyl	okupacja	dyplomacja
	indygenat	amnestja i t. p.

²⁾ Stylistyka Chmielowskiego.

Inne wyrazy obce zostały tak spolszczone, że ich pochodzenie już nie odczuwamy, np.:

ołtarz	kapłan	jagnię
msza	kościół	ślusarz
klasztor	anioł	biurko

Wyrazy te stanowią dzisiaj cząstkę naszego języka i nie sprzeciwiają się jego czystości.

Zwroty obce są szkodliwe nie tylko dlatego, że dla wielu jednostek są niezrozumiałe, więc sprzeciwiają się jasności stylu, — ale tam, gdzie i paczą naturalny rozwój języka, zacierają właściwe mu piękności i zmieniają jego charakter.

Nie tylko bowiem człowiek, lecz i jednostka zbiorowa: naród — ma swój własny charakter, swoją indywidualność, uwydatniającą się wyraźnie w stylu. Ktokolwiek zna języki, musiał zauważyć, iż styl francuski jest przeważnie żywy, niemiecki poważny, angielski odznacza się prostotą, wschodni bogactwem porównań, płynącym z bogactwa wyobraźni i t. p. Każdy ma swój charakter, swego ducha. Bronić czystości języka to znaczy: zachowywać jego właściwy charakter.

Skąd się wzięły w naszym języku wyrazy obce?

Język narodu cywilizowanego nie może być zupełnie wolny od wpływu języków obcych, ponieważ w ciągłym stosunku z innymi narodami ludzie poznają i przejmują od nich nowe przedmioty i pojęcia, a wraz z nimi ich nazwy.

I język polski w ciągu swojego rozwoju podlegał coraz innym wpływom, których ślady w nim znajdujemy.

Nie znamy stanu naszego języka przed przyjęciem chrześcijaństwa, religia rzymsko-katolicka wraz z cywilizacją Zachodu przyniosła nam wiele t. j. wyrazy, formy i zwroty łacińskie. Były to nazwy pojęć, godności, urzędów i przedmiotów, przedtem nieznanych w naszym kraju. Spolszczyły się one z czasem, a nawet zatraciły łacińskie brzmienie.

Do takich wyrazów należą:

anioł — angelos	hostja	kapłan
krzyż — crux	brewjarz	mnich
ołtarz — altare	stoła	klasztor
jagnię — agnus	relikwia	pastorał
kasztelan — castellum	kościół	papież i t. p.

Napady tatarskie zostawiły nam inne wyrazy:

chan	kurhan	kajdany
horda	jasyr	kańczug
haracz	nahajka	kulbaka

Kolonizacja niemiecka, która zaczęła się w XIII w. i wytworzyła później stan mieszczański, rzemiosła i handel — pozostawiła również wielki zasób wyrazów, odnoszących się głównie do narzędzi pracy i technicznych nazw czynności, a także sprzętów i przedmiotów domowego użytku, np.:

lichtarz	obcegi	szlifierz
flaszka	śruba	ślusarz
szlafrok	cyrkiel	dekarz
szlafmyca	rajsbret	burmistrz
pantofel	hebel	ratusz
szuwaks	rygiel	szpicruta

Turcy dali nam wyrazy:

sultán	harem	kindżał
wezyr	meczét	dziryt
janczar	minaret	sandał
bisurman	dywan	sorbet
seraj	otomana	turban

i wiele nazw drogich kamieni: turkus, rubin, szmaragd i t. p.

Wpływ francuski rozpoczął się wyraźnie od czasów Walezjusza, a następnie za pośrednictwem królowych: Marii Ludwiki, Marii Kazimiery, Leszczyńskiego i jego córki, oraz Stanisława Poniatowskiego — utrwalił na czas dłuższy. Wyrazy francuskie odnoszą się głównie do mody, elegancji, życia salonowego i dworskiego, — do nich należą:

salon	biżuterja	pejzaż
szezlong	portjera	prezent
kozetka	froter	iluzja
toaleta	fotel	woalka
żardinierka	perfumy	girlanda
etażerka	danser	puder
buduar	kontredans	fryzjer i t. p.

Oddziaływanie języków obcych na polski zaznacza się wyraźnie tak w Galicji, jak w Poznańskim i w Królestwie, i to w sposób ujemny. Każda z tych dzielnic innym podlegała wpływom i różni się językiem, nie tylko w utworach literackich, ile w mowie potocznej. W Galicji i w Poznańskim rozpanoszyły się germanizmy, królowiacy najsilniej podlegają rusycyzmowi.

G W A R A.

GAZDA HALNY.

(Na tle gwary podhalańskiej.)

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało, bo on rad swoje gazdostwo nocami obchodził.

Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem pod czternaście korcy pola, półtora morga lasu, chowakrowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyły inkse gazdostwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek¹⁾ owiec, co się mu pała w Małolące, nie, ino to były te góry, ten smreckowy las ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli albo o bydłe radził, tylko ciągiem: co się ta we Wirchciehej, a co się tam w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy ku światu; noc była jasna, nie śiać wyszedł z za Koszytej; w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnią i pyta się Jędrzeja: Ze po co ześ haw prziseł tak nieskoro, Jędrzek?

A on mu odpowiedział:

— Bo jo jest halny gazda...

Idzie w górę do Zawratu, ku Pięciustawom, a myśli sobie: Hej, miły, mocny Boże! Jako się im téz ta bez zimnego gazdowało przeze mnie?! Kosodrzewiny popod Wołosynę cy też przybyło kielo telo?... To to jego gazdostwo napamilsze. Wonieje to, a do słonka się iskrzy, jak złote.

Przyległ na chwilę, zadrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokoło niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyną weselić. Obudził się, chłodny wiaterek ku ranu; przejaśniła się noc, tylko w Kościelcu popod turnie gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbie stupając do przełęczu, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wirchy takie jak ze mgły, gdzieś tam, od lodowego przebiela, różeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jak żebyś skrzące od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciutenki, cichutki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak do pół z poza turni²⁾ i pyta się: Ze po co-ześ ty haw prziseł, Jędrzek, tak rano?

¹⁾ Kierdel owiec — stado. ²⁾ Stopnie. ³⁾ Najwyższe skały, już bez roślinności.

A on mu odpowiedział:

— Bo jo jest halny gazda.

— Bo jo jest halny gazda.

Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom. Lepiej mu się szło, niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadziło, zbiegł wartko ku stawu Pod Kolem. Zamarzniony.

— Nic tu po mnie — myśli Jędrzej. — Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej — hej! Wielki Staw się czerni między skały.

— Stowecku! Stowecku! — woła Jędrzej. — Tuś?!

A ono mu tak zaszumiało z tej wody:

— Hej, gazdo! Witojcie! Nie było was tez downo!

— Jakoz ci się ta drzemało pod łode? — woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

— Dobrze. A tak się mi śniło, co syćko będzie zielone.

— Ej, tak, i mnie! — mówi Jędrzej. — A radeś, ze ci

ku niebu widno?

— E! Dy to u mnie tak, jak nowonniejszy kwiat! — mówi Staw.

I tak tam oni radzili do siebie.

Poziera Jędrzej: rozwidniło się, świetleje po niebie; słucha — idzie po kosodrzewinie szum, pocieplął wiatr.

— Bedzie jechał śnieg — myśli se Jędrzej.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że się Jędrzejowi gardło ścisnęło i lży mu do oczu naszły.

Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

— Hej, gazdostwo moje kohane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, pogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kiele som téz!

A Siklawa huczy mu, wali się grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna, a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonek.

— Wody mom dość — mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę, pomaćcał.

— Piknie zrosła. Nagodziel Bóg urodzaj, nima co pedzieć — mówi. — Wiaterek wiał, odhował, toz to rosło jak zyto. Inoby trza ten śnieg pouprzątować dolinami, ale to się tak wartko zrobi z wiesnom. Turnie się już tyz pozwydobywały kielo telo ze śniegu, śmiejom się do słonka, jak nowe...

Gdzie spojrzę, wszystko jego: tu wody, tam świecą mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwo może to swoje gazdostwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

— Bogaty jest — rzekł. — Tu mi się w Pięciostawach dziękować Bogu, wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzejabrał ku Miedzianemu, na Spigłowskie Pyrci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go mierzało, że się go bały.

— Djabłaście wy zjadły kany dziś! — mówi im. — Długo wam nie złego nie robiem, czego mi się boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdostwie. Tak, jako zające w kapuście! — pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i przeziściły się ciemnymi Murów Liptowskich.

Jasność zalała dolinę, rozwidniło się wokół, co jaze cud, radość!

— Hej! grajcie też wody do słonka! Ciepło im, cieszą się — myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na pyrci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się, tło na niej farby jako w tęcy, a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śniegi, aż się założyły popod Krzyżne. Gdzie już pierwszej stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna; a potoki się z niej sączą na dół strugami, jak pręgi szklane. Jakisi idzie młody dech dolinom, jaze duch w człowieku rośnie!

Takie to było prześliczne Jędrzejowe gazdostwo..

K. Tetmajer.

PRÓBKĄ GWARY KRAKOWIAKÓW.

Był se pán i miał córkę, ozenił się z gdowom, no i ta gdowa miała znowu córkę. Jak jechali kaj, to te pasierbice brały ze sobom. Zajechali do króla, tam się bawili, pili, hulali, a tam był królewic i miał się zenić z tom córkom. A ta druga córka chodzi po ogrodzie i płace, bo jo ostawili, zeby pilnowała gadziny¹⁾. Płace, a tu przysła Pani²⁾

¹⁾ Zwierzęta domowe. ²⁾ Matka Boska.

i pyta ji sie: — Cego płaces? — A płace, bo ociec pojechał i wzion tamte. — A ty chcesz jechać? — A ino tak ta peda, ze chce... i t. d.

Wisła, tom VI, 1892.

Wskaż wyrazy i formy odmienne od używanych w języku literackim.

Gwara

Jakim językiem napisany jest Gazda halny?

Niektóre ustępy pisane są t. zw. stylem literackim, t. j. językiem ludzi wykształconych, inne — mową czyli gwara górali tatrzańskich, t. zw. gwara podhalańska.

Czy gwara różni się bardzo od języka literackiego?

Porównaj gwara podhalańską i krakowską; — jeszcze inna będzie gwara wielkopolska, śląska, mazurska i t. d.

Widzimy więc, że język ludu jest bardzo rozmaity i bardzo odrębny w różnych okolicach kraju; natomiast mowa ludzi wykształconych czyli język literacki dla całego kraju jest jeden.

Jakim sposobem powstał język literacki? z jakiego materiału czerpał dalszy rozwój?

Odczytując dawne zabytki naszej literatury, widzimy, iż powstał on przeważnie z narzecza małopolskiego, udoskonalonego w ciągu kilku wieków przez życie polityczne, ruch reformatorski i wielkich pisarzy. W ich ustach i pod ich piórem język wyrabiał się, ustalał pewne formy, odrzucał inne, zdobywał i tworzył nowe wyrazy i zwroty, bogacił się, doskonalił i szlachetniał. Zastosowany w najrozmaitszych kierunkach do potrzeb rządu, rozwijał się bardzo wszechstronnie i wkrótce stał się mową wszystkich wykształconych Polaków.

Gwara zatem jest materiałem, z którego język żywy czerpie bezustannie; jest ona jakby ruda, z której wytapiamy rodzime pierwiastki mowy ojczystej.

Z gwary czerpiemy ciągle te pierwiastki, które nasz język rozwija i bogaci, niekażdy jednak może i umie z niej korzystać, — potrzeba na to znać ją doskonale, rozumieć i odczuwać, trzeba mową ojczystą władać znakomicie, trzeba być mistrzem słowa.

To zjawisko możemy i dziś widzieć sami, czytając utwory pisarzy, którzy roztaczają przed nami niewyczerpane bogactwo piękności gwary ludowej, stosując ją już to we właściwej formie, jak po części w *Gazdzie halnym*, już zmienioną prawem twórczości autorskiej. Do takich autorów należą: Reymont, Tetmajer, Orkan, Wyspiański i inni.

Oto przykład gwary, użytkowanej w utworze literackim.

TANIEC MAZOWIECKI.

(Na tle gwary mazowieckiej.)

Znagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zasko-

wyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przyklekaniem zgnął zawijał, to trzających po izbie się nosił szeroko od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzycku odkrzykali, i dalej hulał siaroczyście i tan wiódł zapamiętałe, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrwać i przytupywać, śpiewać, tańcować, i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion pełnych różnobarwnej wełny wilo się po izbie z furkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało, gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wila coraz prędzej, wścieklej, zapamiętałej, aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchłą, świetlistą smugą, iskrzyła się wrzecem srebrem wskroś ciemności i wskroś wirującej gęstwy ludzkiej, co nadpływała spienioną, rozśpiewaną falą, migotała i kłębiła się w tych brzaskach, jako w sennem widzeniu, i przepadała w ćmie nieprzeniknionej, by się znowu wynurzyć i zamajaczyć na mgnienie przed drugą ścianą, na której tknięte światłem szkła obrazów pryskały i mżyły ogniami, i przewalić się i stoczyć w noc, że tylko ciężkie dychanie, tupoty, krzyki rwały się, płatały i huczały głucho w ośleplej izbie.

A ciągnęły się już te tany łańcuchem jednym, bez przerwy ni ustanku... bo co muzyka zaczynała rznąć nowego, naród się podnosił zgnął, prostował jak bór i szedł z miejsca pędem takiej mocy, jak huragan; trzask hołubców rozlegał się jak, bicie piorunów, krzyk ohotny trząs całym domem, i rzucali się w tan z zapamiętaniem, z szaleństwem, jakoby w burzę i bój na śmierć i życie.

I tańcowali!

...Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące, ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwymi przyspiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swawoli; pełne weselnej gędźby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości i wraz pełne figlów uciesznych, przegonów i waru krwi młodej, kochania pragnącej. Hej!

...Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie, niby te równie nieobjęte, przyciężkie a strzeliste, tęskliwe a zuchwałe, posuwiste a groźne, godne a zabijackie, i nieustępliwe, jako to te chlopy

co zwarci w kupę, niby ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić i na obcasach roznieść i samym przepaść, a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołubce bić i ostro, po mazurem pokrzykiwać: „dana, dana!”

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekle, oszalałe, zawadjackie a rzewliwe, siarzyste a zadumane i żalną nutą przeplecione, warem krwi ognistej tętniące, a dobrości pełne i kochania, jako chmura gradowa zgnął spadające, a pełne głosów serdecznych, pełne modrych pątrzań, wiośnianych technień, woniejących poszumów, okwietnych sadów; jako te pola o wiośnie rozśpiewane, że i iza przez śmiechy płynie, i serce śpiewa radością, i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca i „oj da dana!” przyśpiewuje.

Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami.

Bo tak ano chłopski naród się weseli w przygodny czas.

Takoż się zabawiali na weselu Jagusinem z Boryną!

Godziny biegingy za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznem zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na wschodzie, i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbielały noc. Gwiazdy poblady, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności; oknami naglądały kudłate, poskręcane drzewa, i coraz niżej chyliły oszroniałe i senne lby, a dom wciąż śpiewał i tańcował!

Jakoby łąki i żniwne pola i sady rozkwitłe zeszły się na gody i porwane wichurą, poszły spolem w długi, zawrotny, ognisty korowód!

Wywarli drzwi na rozcież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, poje kiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłąb, splatało, i pijane, ośleple, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, mi-

gotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

Muzyka to ich wiedla, to granie, te piosneczki...

...Basy pohukiwały do taktu i buczały drgający, niby baki, a flet wiódł wtór i pogwizdywał wesolo, świegotał, figle czynił, jakby nasprzeciw bębenkowi, któren ucieszny wy-skakiwał, brzękadłami wrzaskliwość niecił, baraszkował i trząsł się, jako żydowska broda na wietrze, a skrzypice wiedły, szły na przedzie, niby ta najlepsza tanecznicza, śpie-wały zrazu mocno a górnio, jakby głosu próbowały, a po-tem jęły zawodzić szeroko, przenikliwie, smutnie, kieby roz-stajami płacze sieroco kwiliły, aż zakreśliły w miejscu i spadły zagnęła nutą krótką, migotliwą, ostrą, jakby sto par trzasnęło hołubcami, i sto chłopca zakrzykało z pełnej piersi, aż dech zapierało i dreszcz szedł po skórze, i wnet jęły kołować, pośpiewywać, zawracać, drobić, przeskakiwać, a śmiać się i weselić, że ciepło do serca szło i ochota do łbów biła, kiej gorzałka... to znowu śpiewały tę nutą cią-gliwą, żalostną i płakaniem kiej rosą osutą; tę nutą naszą, kochaną, serdeczną, pijaną mocą wielką i kochaniem, i wie-dły w tan ostry, zapamiętały, mazowiecki.

Wł. St. Reymont.

Objasnić wyrażenia gwarowe.

Prowincjonalizm.

Jakkolwiek uważamy gwarę za żywe źródło, z którego język czerpie siłę i bogactwo, korzystać z niej należy umiejętnie, aby nie szpecił mowy złe i nietrafnie dobrane wyrażenia.

Z gwary bowiem pochodzą t. zw. prowincjonalizmy t. j. wyrazy, używane w jednej tylko prowincji, a poza nią niezrozumiałe i do języka literackiego nie przyjęte, ponieważ nie mają dla niego wartości. Do takich prowincjonalizmów należą np. pyrka (ziemniak), dre-wutnia (drwalnia), makutra (donica), ryczka (gryka), życzka (czerwona tasiemka), uroda (wzrost) i t. p.

O ile wśród prowincjonalizmów spotykamy wyrazy piękne, malow-nicze, używamy ich w języku literackim; wtedy tracą one jednak cha-akter prowincjonalizmów, np. piękny i zrozumiały wyraz ziemniak, który powinien zastąpić kartofel, — nie można tego samego powiedzieć o wyrazie: pyrka.

Wprowadzanie gwary i prowincjonalizmów do języka literackiego jest wogóle właściwe wówczas, gdy autor maluje ludzi danej prowincji; np. Podhalanie w utworach Tetmajera zupełnie słusznie mówią gwara pod-halańską, a chłopci Reymonta — mazowiecką. Do języka literackiego

przechodzą tylko pojedyncze zwroty i wyrazy — stopniowo, pod wpły-wem znakomitych pisarzy, którzy na rozwój mowy ojczystej mieli zawsze i mieć będą wpływ największy.

N A S Z M A Ł Y.

(Wyjątek.)

— Słuchaj, Waluś, czy ty pamiętasz tę paniusię gar-batą z ochrony?
— Oj, oj!
— Wiesz ty co, zaprowadź ty do niej Karolka, żeby go przyjęła do ochrony.
— A kławo!
— Kiedyż więc to zrobisz?
— To trzeba rano. Wpadnę jutro o 7-ej. Niech tylko brzdąc będzie umyty.
Nazajutrz stawił się na umówioną godzinę i zaraz za-wolał:

— No, brzdącu! Walaj!
Byłem trochę w obawie, żeby jego zuchwałość nie popsuli sprawy Karolka.
— Słuchajno, Waluś..
— Co?
— Ty — uważasz — ty — pocałuj panienkę w rękę.
— Idź, frajerze! Co ja tam będę kogo po ła-pach lizać!
— Widzisz, Waluś — bo paniusia, widzisz — będzie dla Karolka lepsza.
— Yy! odknaj z takim gdakaniem!

W. Kosiakiewicz.

Używane w tym utworze wyrażenia nie są gwarą, jest to żargon, zepsuty język ludności miejskiej, składający się z wyrazów najróżnorod-niejszego pochodzenia, zmienionych i poprzekręcanych umyślnie.

Właściwy żargon wytwarzają najniższe warstwy ludności, po części dlatego, aby się porozumiewać w sposób niezrozumiały dla ogółu, — po części mimowolnie, kalecząc i przekręcając wyrazy przez złe wymawianie.

Ucząca się młodzież wytwarza też niekiedy rodzaj żargonu dla żartu i przez lekkomyślność, nie zdając sobie sprawy, iż szpeci tym spo-sobem mowę ojczystą. W klasach niższych jest to rzecz łatwa do wyba-czenia, starsi uczniowie jednak powinni pod tym względem zwracać na siebie uwagę.

Do żargonu należą takie wyrazy jak: rypać, frajer, frajda, szpas, drynda, sałata, dryndziarz, fajtlapa, ćpać, mieć stracha, dać nogę i t. p. Wskaż różnice między gwarą a żargonem.

Streszczenie:

Styl powinien być: **jasny, zwięzły, poprawny i czysty.**

1. **Jasność** polega głównie na dobrej budowie zdania. Okresy. Jaki związek z jasnością mają: **omówienia, synonimy i homonimy, archaizmy i neologizmy?**

2. **Zwiężłość** stylu polega na unikaniu wyrazów zbytecznych, **tautologii i pleonazmów.**

3. **Poprawność** zależy głównie od znajomości gramatyki.

4. **Czystość** każe unikać zwrotów i wyrazów obcych, **barbaryzmów, makaronizmów.**

Jasność, zwiężłość, poprawność i czystość nazywamy **gramatyczno-logicznymi** przymiotami stylu. Osiągnąć je może każdy, kształcąc swój umysł, rozczytując się w arcydziełach literatury i pracując nad wyrobieniem własnego stylu.

Gwara i jej znaczenie dla języka.

Prowincjonalizm. Żargon.

1. Obrazowość stylu.

CISZA NA MORZU.

Gdy nie ma wiatru, nastaje t. zw. cisza morska. W powietrzu nie ma żadnego ruchu, flagi statków obwisły na masztach bezwładnie. Niebo jest gładkie, błękitne, bez chmurki; powierzchnia morza spokojna i równa, nie porusza jej żadna fala. Majtkowie odpoczywają po pracy,—podróżnych ogarnia dobry humor.

CISZA MORSKA.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwo muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda,
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kotłusa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiał się grono.

O morze! — pośród twoich wesołych żyłatek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! — w twojej głębi jest hydra pamiętek,
Co śpi pośród złych losów i namiętej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

Porównajmy te dwa opisy pod względem formy.

Jeden jest dokładny, jasny, napisany językiem poprawnym i czystym, maluje nawet wrażenie, jakie cisza morska sprawia na człowieku,— drugi opis jest piękny. Co nadaje mu cechę piękna? Inny sposób pisania. Wiatr — niby istota żyjąca — zaledwo muska „wstążkę pawilonu“ (zamiast: flagę). Mamy więc w tym wierszu uosobienie, t. j. przypisanie wiatrowi cech istoty żyjącej, i pewnego rodzaju omówienie flagi, a właściwie przenośnię.

„Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda“ — uosobienie wody,— ruch jej fal przez przenośnię nazwany cichą grą piersi.

Następne dwa wiersze są porównaniem tego ruchu fali do snu szczęśliwej narzeczonej. Dają nam obraz uspionego człowieka.

„Żagle nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich“.

Porównujemy żagle do chorągwi wyrazami: „nakształt chorągwi“; — wyrazem: „drzemią“ tworzymy uosobienie.

„Okręt lekkim ruchem

Kotłusa się, jak gdyby przykuty łańcuchem“.

Porównanie w określeniu ruchu statku.

Wyrazami: o morze! o myśli! — zwracamy się do morza i do myśli, jak gdyby do istot żyjących.

W ostatnich dwóch strofach mamy innego rodzaju porównanie, oparte na zestawieniu głębi morza i głębi myśli — bajecznego polipa z pamięcią; pamięć przyrównujemy do hydry zapomocą przenośni, a zarazem uosabiamy; mamy wreszcie przenośnię, odnoszącą się do całej myśli czyli alegorię.

Widzimy zatem, że opis piękny odznacza się bogactwem pięknych sposobów wyrażania myśli, które nazywamy wogóle **przenośniami** lub **zwrotami mowy**.

A) Przenośnie.

a) Porównanie.

Porównanie polega na zestawieniu dwóch pojęć, mających pewne cechy wspólne, np. włosy białe jak śnieg; — przyjaźń stopniała jak śnieg; — woda przezroczysta jak kryształ; — człowiek silny jak dąb. Określ wspólną cechę między śniegiem i białymi włosami; — między śniegiem i przyjaźnią; — między wodą i kryształem; — między człowiekiem i dębem.

Wybierz stąd porównania:

Rankiem obiedwie sine. jak żelazo,
Dwie córki moje, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu!
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom. *J. Słowacki.*

Dni nasze miną, jako obłok i para na wietrze: poranu kwitniem,
a wieczór tegoż dnia wędniem, po kilkadziesiąt lat nikt na nas nie wspomni,
jakobyśmy nigdy na świat się nie rodzili.

Piotr Skarga.

Miłość i tęsknota — to jak dwie prądkie naszego żywota.

B. Zaleski.

Szczęście jak złotopióry ptak, zabity w powietrzu ¹⁾, spadło
i martwe leżało w jego duszy.

Żeromski.

Żółkiewski nie odszedł żywy z placu honoru. Dał głowę. Tak,
jakby ją kazał wbić na spise dla wiekuistego przestachu pokoleń. Nie
wyprzysiągł się pod mieczem swego Boga.

Żeromski.

Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie i, niby pięć
gwiazd jasných, na pustynię rzucił.

J. Słowacki.

Położyłeś ich, Panie, jako koło na odwrocie; i jako żdźbło przed
wiatrem, tak pyszni zniknęły.

W. Kochowski.

Zadał znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło —
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Mickiewicz.

Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek.

Mickiewicz.

...Byli to tacy przyjaciele, jakich i wtenczas liczono niewiele: rzekłbyś
dwój-duch w jednym ciecie.

Mickiewicz.

¹⁾ Dłuższe porównania oddzielamy przecinkami.

Chłopy wracają! Piorunem ta wieść runęła i kiej płomień roznieśla
się po Lipcach. *Wł. Rejmont.*

Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z kragłami brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki, różnem winem napelnione;
Kozłak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki kragłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napelniona
Purchawka, jak pieprzniczka. *Mickiewicz.*

Zasluga dla ojczyzny jest jako ziarno: kto obnosi to ziarno w rękę
i wszystkim pokazuje, wołając: „Oto jest ziarno wielkie“—tedy wysuszy
je i nic z niego nie otrzyma.

A kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni,
tedy ziarno wyda roślinę.

A kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszyły, na życie przyszyłe,
ten otrzyma ziarn sto, a z tych stu — tysiące tysięcy,

A. Mickiewicz.

Wybierz spójniki, które w tych przykładach użyte zostały przy
porównaniach.

Napisz kilka zdań z porównaniami.

Co to jest porównanie?

b) Przenośnia właściwa — metafora.

Kwiaty konwalji jak dzwoneczki — dzwoneczki konwalji.

Słońce jak złoto — złote słońce.

Zachmurzyło się czoło, jak gdyby okryło się chmurą.

Na jakiej podstawie nazywamy kwiat konwalji dzwoneczkiem,
słońce złotem, a czoło zachmurzonem?

Podstawą takiego użycia tych wyrazów jest również podobieństwo,
lecz tu już nie porównujemy wyraźnie dwóch przedmiotów, tylko wprost
przenosimy cechy jednego przedmiotu na inny i nadajemy wyrazom nowe
znaczenie, przeniesione czyli przenośnie.

Taki sposób porównania nazywamy przenośnią albo z grecka
metaforą.

Wybierz stąd i wytłumacz metafory.

Oczy są zwierciadłem duszy.
 Pies — to wierny przyjaciel człowieka.
 Młodość życia jest rzeźbiarką.
 Człowiek człowiekowi wilk.
 Wisła stoi, okuta przez lody.
 Obóz to płócienne miasto.
 I skruszyło się serce w Anhellim, i upadł. *J. Słowacki.*

Młodości! orla twych lotów potęga,
 Jako piorun twoje ramię! *A. Mickiewicz.*

Tuż za dworskimi chorągwiami ujrzałeś czoło, rdzeń wojska
 polskiego, sławę i pychę Rzeczypospolitej — husarję w całej okaza-
 łości. Kipiały od strusich piór kity na głowach końskich, na hełmach
 i na skrzydłach rycerzy, pędziły rotę szumno i rześko, jak orszak aniołów
 w zbrojach srebrnych. *L. Kubala.*

Wybierz stąd metafory i porównania.

Wielbłąd — to okręt pustyni.
 Ona była duszą towarzystwa.
 Łąka w kwiatach; nad łąką latające kwiaty:
 Motyle różnobarwne, niby tęczy kosa,
 Baldachimem z brylantów okryły niebiosą,
 Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.
A. Mickiewicz.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
 Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
 I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
 I ciszej źródła po murawach dyszą:
 Jakby ta gwiazda miała co nakazać
 I o czym cichem pomówić ze światem,
 Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
 Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
 Wychodzi błądy pierścione Dyjany:
 Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
 I wszystkie liście na drzewach zabrzęcą,
 I wszystkie źródła jęk wydają szklany.

J. Słowacki.

Dość już długo — dość już długo
 Brzmiał na strunach wieszczów żal!
 Czas uderzyć w strunę drugą:
 W czynów stal!

Z. Krasiński.

Kraj nasz dawny widzę: mądrość rządów na starym zaszczerpiła
 drzewie kraj młody, — oba kwitły na jednej łodydze, jako dwie róże barwą
 różne w jednym krzewie. *J. Słowacki.*

Z PANA TADEUSZA.

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
 Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
 Za chybną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
 Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
 Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
 A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody,
 Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
 Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
 Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
 Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury;
 Wicherek nad sklepem szalał nieruchomym
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem;
 Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast: tu wywrót dębu
 Występka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
 Na nim oparte, jak ścian i kolumn odłamy,
 Tam gałęziste kłody, tu wpółzgniłe trawy,
 Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
 Zająrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
 Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
 Nawpół zgryzione jakichś nieostrożnych gości;
 Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie
 Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
 I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
 Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem,

A. Mickiewicz.

c) Epitet.

Wybierz metafory.

W NOC MIESIĘCZNĄ.

W błękitną, cichą noc miesięczną
 Ktoś na skrzypcach gra,
 Melodja płynie falą dźwięczną,
 W powietrzu jasnym drga.
 I brzozy stoją zasłuchane
 W harmonję słodkich brzmień;
 Księżyc na dworu białą ścianę
 Rzuca gałązek cień.
 Coraz namiętniej, rzewniej, mięcej
 Rozbrzmiewa skrzypiec ton,
 Jakby żałosny płacz dziewczęcy
 Z dalekich, leciał stron.
 I brzozy w księżycowem srebrze
 Rozwiały siwy włos,
 Słyszac, jak żali się i żebrze
 Łkających skrzypiec głos.

Lucjan Rydel.

Wybierz stąd przymiotniki, oznaczające **cechę charakterystyczną**.
 Przymiotniki lub imiesłowy ozdobne, przyczyniające się do uzmysłowienia danego pojęcia, a malujące cechy charakterystyczne, nazywamy **epitetem**, np. szklany jęk źródła, błękitna noc miesięczna, żelazny charakter, baśń tęczowa, łkający głos skrzypiec.
 Epitet jest najczęściej metaforą.

Wskaż tu epitety.

Pamiętam ciche, jasne, złote dnie,
 Co mi się dzisiaj cudnym zdają snem.

K. Tetmajer.

Złociсты to był dzień. Błękitne zadumanie
 Objęło cały świat. Na modrym oceanie
 Słoneczny zasnął blask.

K. Tetmajer

Tak więc — to los mój na grobowcach siadać
 I szukać smutków białych, wiotkich, kruchych.

To los mój — senne królestwa posiadać,

Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych. *Słowacki.*

Łagodny zapach wznosił się z łąki-kochanki, mlekiem i miodem płynącej w ciche, błękitnawe nadednia. — Jasna woń miodu płynęła z lepkiej koniczyny i szorstka woń z cząbrów. Patrzyły z jej głębi w okna chaty oczy łąkowych złocieni i ruchliwe liljowe dzwonki, z łonami rozdartymi przed chwilą za sprawą słonecznych promieni, — patrzyły wysokie kwiaty ostów o barwie gasnącej zorzy i przyziemne, żółte, zanikłe polne bratki.

Żeromski.

Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
 Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
 Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
 Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
 Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
 Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
 A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
 Zieloną; na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Mickiewicz.

Na tle świetnych kobierców, w tęczach szkieł staroświeckich,
 Cyklameny skrzydlate, jak rój białych motyli..
 Smętna złota mimoza zadumaną kiść chyli..
 Róże krwawe zwisają z marmurowych waz greckich.

B. Ostrowska.

Dzika róża po nagich skarpach pełza zwysoka i wyciąga koleczaste, żebracze badyle.

S. Żeromski.

Potworny kaktus wwiercał w szczeliny skał i ścian szpony swych korzeni i wystawiał na słońce krzywe pazury łap rozplaszczonych.

S. Żeromski.

d) Uosobienie.

W zdaniach:

„Potworny kaktus wwierca szpony korzeni i wystawia na słońce pazury łap rozplaszczonych”.

„Dzika róża pełza po skarpach i wyciąga koleczaste żebracze badyle”.

„Brzozy rozwiały siwy włos”, Głos skrzypiec „żali się i żebrze”
 Jak są przedstawione: kaktus? dzika róża? brzozy? głos skrzypiec?

Gdy roślinom, przedmiotom martwym, pojęciom, nadajemy cechy ludzkie, wtedy powstaje przenośnia, którą nazywamy **uosobieniem** (personifikacją, prozopopeją).

Wskaż, na czym polega tu uosobienie.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote;
Szło nad gajem, szło nad łąką,
Napotkało w łzach sierotę. *Asnyk.*

Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.

Lenartowicz.

Cudne kwiaty wznosiły się nad wodą i schylały ku niej rozma-
zione głowy. *S. Żeromski.*

A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły. *Syrokomla.*

— ...W owych to wiekach z żelaza i złota
Stał się cud wleki — cud, którego siła
Wyżej od zwycięstw Polaków zaszczyca:
W postaci pieśni cudownie zstąpiła
Boga-Rodzica Dziewica.

Zeszła — i pyta w narodów rozgwarze:
„Jestże lud, godzien słyszeć rajske dźwięki?”
Wtem nadszedł pielgrzym, szukający męki,
I rzekł: „O Pani! taki lud Ci wskażę”.
Więc za przewodem świętego Wojciecha
Poszła do Gniezna lekką stopą echa;
Siada na wzgórzu i ziemię zachwycą.
Kłękli Polacy... oni Ją poznali
I wykrzyknęli piersiami ze stali:
„Boga-Rodzica Dziewica!” *S. Goszczyński.*

CISZA WIECZORNA.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalekniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:
Nic... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona,

Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy,
Li jednostajny szmer Siklawy.

Czasem zakłęty las zadyszy,
Albo wystrzeli krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przekłêtej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku swojej duszy!...

Jan Kasprówicz.

Wybierz uosobienia z wiersza „Miesięczna noc” (str. 90).
Wskaż uosobienia i inne przenośnie w „Farysie”.

FARYS.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwiąja się kryształe
I pierś morza objawszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale:
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina,
Coraz chýżej, coraz chýżej,
Już piersiami żwir zamiata, —
Coraz wyżej, coraz wyżej,
Już nad kłęb kurzu wylata.

Czarny mój rumak jak burzliwa ohmura,
Gwiazda na czole jego jak jutrzienka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź, latawce białonogi!
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka;
Ja się wydzieram z jej łona,
Palma ze wstydem ucieka,

Kryje się w głębi oazy
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha.

Ówdzie granic pustyni pilnujące głazy
Dziką na Beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie przedrzeźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:

„O szalony! gdzie on goni?
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielonowłosa,
Ni białe łono namiotów;
Tam jeden namiot... niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują“.

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem — aż dumne głazy
Zostały zdala ode mnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym owinał głowę moją wieńcem.

„Czuje, — krakał, — zapach trupi.
Jeździec głupi, rumak głupi!
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeździec, koniu, pusta praca,
Kto tu zaszedł, nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują“.

Kracząc, lśnjącymi szpony w oczy mi urągał, —
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł?... Sęp uląkł i uciekł wysoko!
Kiedym go chciał ukarać i majdan¹⁾ naciągał
I gdym sępa oczyma poza sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla... motyla... komara,
Potem się całkiem w błękiecie roztopił.

Pędź, latawcze białonogi!
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:

„O szalony! gdzie on goni?
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie okropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa, nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny wlot rozkradnie“.

Daremnie grozi. Pędzę i podwajam razy!
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił;
Widziałem w twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup szerniał i w górach się schował.

Pędź, latawcze białonogi!
Sępy z drogi, chmury z drogi!

¹⁾ Środkowa część łuku, za którą się łuk trzyma.

Teraz oczy kręgiem słońca
 Okręciłem koło siebie —
 I na ziemi i na niebie
 Już nie było za mną gońca.
 Tu natura, snem ujęta,
 Nigdy ludzkich stóp nie słyszy,
 Tu żywioły drzezią w ciszy,
 Jak niespłoszone zwierzęta,
 Których stado nie ucieka,
 Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie pierwszy!... Śród piaszczystej kępy
 Oszańcowane świecą się zastępy...
 Czy błędzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
 Jeżdżące w bieli, i konie straszliwej białości!
 Przybiegam: stoją; wołam: milczą. To są trupy!...
 Starożytna kárawana,
 Wiatrem z piasku wygrzebana!...
 Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości;
 Przez jamy, gdzie były oczy,
 Przez odarte z ciała szczęki
 Piasek strumieniem się toczy
 I złowrogie szemrze jęki:
 „Beduinie opętany,
 Gdzie lecisz? tam huragany!”

Ja pędzę — ja nie znam trwogi.
 Pędź, latawce białonogi!
 Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wicherzycieli,
 Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
 Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
 I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
 „Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
 Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
 Śmie deptać łądy, którem w dziedzictwie osiągnął?”
 Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
 Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
 Ze złości łąd nogą trącił,
 Całą Arabję zmącił
 I, jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony;

Oddechem ognistym palił,
 Skrzydłami kurzawy walił,
 Ciskał w górę, bił o ziemię,
 Nasypywał żwiru brzemie.
 Ja zrywam się, walczę śmiało,
 Targam jego członków kłęby,
 Ówiertuję piaszczyste ciało,
 Gryzę go wściekłymi zębami.
 Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
 Nie wydarł się! Wpół ciała zerwał się i runął,
 Deszczem piasku z góry lunął
 I leżał u nóg mych długim jak wał miejski trupem!

Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądałem dumnie,
 I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
 Wszystkie poglądały ku mnie,
 Bo oprócz mnie, nie było nikogo na ziemi!
 Jak tu mile oddychać pierściami całemi!
 Oddycham pełno, szeroko;
 Całe powietrze w Arabistanie
 Ledwie mi na oddech stanienie!
 Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
 Wyteżyło się me oko
 Tak daleko, tak szeroko,
 Że więcej świata zasięga,
 Niż jest w kole widnokręga.
 Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
 Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
 Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
 Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
 Wyżej, wyżej i wyżej, aż do nieba szczytu.
 Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce w niem grzebie,
 Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

A. Mickiewicz.

e) Przesadnia — hyperbola.

Zastanówmy się nad wyrażeniami:

Umieram ze zmęczenia.

Szalał z radości.

Morze smutku go ogarnęło.

Powódź kwiatów zasypała jej mogiłę.

Serce pęka mi z bólu.

Każde z tych wyrażen jest metaforą, wszystkie jednak uderzają pewną przesadą, użytą rozmyślnie dla wywołania silniejszego wrażenia. Taką przenośność nazywamy też **przesadnią** lub **hyperbolą**.

Hyperbola może być ozdobą stylu przy opisanu silnych wzruszeń i uczuć niepowszednich,—w codziennej mowie razi i jest wadą.

Wskaż tu **przesadnie**:

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,

Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,

I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów

Nie wylatuje za nią do aniołów? *J. Słowacki.*

Grób jego¹⁾ — Europa; słup — śnieżne Bałkany,

Napis — wieczna pamiątka między chrześcijany.

J. Kochanowski.

Chmury — Twym wozem,

Wiatry — Twoje cugi,

Duchy — posłańce,

A pioruny — sługi. *J. Kochanowski.*

Idź i czyn, choć serce wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — czyn ciągle i bez wytchnienia. *Z. Krasiński.*

Nie wiem, gdzie biegłem i dokąd ją niosłem,

Ale nad dachy i dęby urosłem,

I jakaś siła od ziemi mnie niosła,

I trumna w rękach ku niebu mi rosta. *W. Pol.*

Nazywam się Miljon — bo za miliony

Kocham i cierpię katusze. *A. Mickiewicz.*

Ale żeby wyszło naszych łez morze,

Chyba świat cały zapalisz, mój Boże! *Konopnicka.*

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze²⁾,

Ten młody — zduś Centaury³⁾,

Piektu ofiarę wydrze,

Do nieba pójdzie po laury! *Mickiewicz.*

¹⁾ Władysława Warneńczyka. ²⁾ Hydra — potwór mitologiczny o wielu głowach, odrastających po ucięciu. ³⁾ Centaury — potwory mitologiczne: pół człowieka, pół konia.

DZWONY ŚW. PIOTRA w RZYMIE.

Za każdym grzmotem dzwonów, zda się, że wylata z kopuły huf aniołów w cztery strony świata, a każdy z wichrem głosów w swej ręce olbrzyma miecz płomienny, w żrenicach sto błyskawic trzyma. I lecą... Ziemia gnie się... Nad miasty i sioly zawisają spiżową chmurą te anioły, i zda się, swoją straszną i ogromną mocą słońce strąca gdzieś w przepaść i niebo zdruzgocą!

K. Tetmajer.

Wskaż tu metaforę, hyperbolę, uosobienie, epitet. Wybierz przesadnie z Farysa, zaczynając od słów:

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie (str. 97).

f) Alegorja.

Co znaczą te przysłowia i zagadki:

Trafiła kosa na kamień. Wisłę przepłynął, na Dunajcu zginął. Kto wiatr sieje, burzę zbiera. Czterej bracia wiecznie się gonia, a nigdy dogonić nie mogą. Bez skrzydeł leci, bez nóg idzie (chmura).

Jaką myśl zawierają bajki Krasickiego:

Ptaszki w klatce; Żółw i mysz; Młynarz, syn jego i osieł; Dwa zółwie?

Wyjaśnij znaczenie bajki:

TALAR I CZERWONY ZŁOTY.

Talar, zwierchnię postacią swoją okazały,

Gardził czerwonym złotym dlatego, że mały.

Gdy przyszło do zmieniania, nie patrzano miary:

Złoty pieniądz, choć mały, wart był trzy talary. *I. Krasicki.*

Z KSIĄG PIELGRZYMSTWA.

Przypowieść XX.

Leżała pewna niewiasta w letargu, i wezwał syn lekarzy.

Rzekli wszyscy lekarze: Wybierz jednego z nas, aby ją leczył.

Rzekł jeden lekarz: Ja będę ją leczył podług nauki Browna. — Ale drudzy odpowiedzieli: Zła to jest nauka,

niech lepiej w letargu leży i umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Browna.

Rzekł drugi: Ja będę ją leczył podług nauki Hanemana. — Odpowiedzieli drudzy. Zła to nauka, niech lepiej umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Hanemana.

Tedy rzekł syn niewiasty: — Leczenie jakkolwiek, bylebyście ją wyleczyli. — Ale lekarze nie chcieli się zgodzić, jeden żadnym sposobem nie chciał ustąpić drugiemu.

Tedy syn z żalem i rozpaczą zawołał: — O matko moja!

A niewiasta na głos syna obudziła się i wyzdrowiała.

Lekarzy wypędzono.

Są z was niektórzy, którzy mówią: niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby zbudzić się miała według arystokracji; — a drudzy: niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracji; — a inni: niech lepiej leży, niż gdyby miała granice takie, a inni owakie. Ci wszyscy są lekarzami, nie synami, i nie kochają matki Ojczyzny.

Zaprawdę powiadam wam: nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dosyć wam wiedzieć, iż będzie lepszy niż wszystkie, o których wiecie; ani pytajcie o jej granice, bo większe będą, niż były kiedykolwiek.

A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.

A. Mickiewicz.

Czy Mickiewicz myśli tutaj rzeczywiście o chorej matce, synu i doktorach? — Nie, — a więc całe to opowiadanie jest przenośnią.

Jeżeli cały utwór jest przenośnią, zawierającą rozwinięcie jednej myśli w formie metafory — to nazywamy go **alegorją**.

Alegorją — jak widzimy są przysłowia, zagadki, bajki, przypowieści i t. p.

Więc: **alegorja jest to utwór, wyrażający myśl autora pod przenośnią.**

Wytłumacz alegorję, zawartą w przypowieści Chrystusa o talentach, powierzonych sługom. — Jak możemy rozumieć Farysa?

Wskaż tu metafory, epitety, uosobienia, porównania:

Ś W I T.

Dniało.

W ramach okien rozpościerał się cichy błękit, a w nim ciemnymi smugami zarysowywać poczęły dalekie wzgórza

i pasma leśne na równinach. Wysoko, na bezchmurnem niebie jak lilja świeciła się ostatnim blaskiem gwiazda poranna — zwiernica. Już zorza, rdzawą łuną z za świata idąc, obejmowała rąb ziemi.

...Stanęli obaj w otwartem oknie.

W dole, tuż za płotem ogrodu, widać było skroś gałęzie uśpiony staw. Z wód jego biało-niebieskich, jak stał zsiniała od ognia, dymiły się mgły cudnobarwne. Pokrewne ziemi i niebu, opuszczały wodę dla nieba, oddzielając się od niej z żalem, jak dusza, kiedy rzuca własne swe ciało. Ale nim odeszły, stały nad nią, jak gdyby w modłach utopione. Zdało się wtedy patrzącym, że ta chwila trwać winna wiecznie, że ona to jest wiecznością, że taką właśnie jest nieskończoność. Ale światłość z dala nadchodząca pokropiła hyzopem¹⁾ cienie i na jej wszechwładny znak, woda samotna została w dole, a mgły porzuciły jej łono. Zwijały swe cudne, powłóczyste szaty, rozszerzały przezroczyste skrzydła i, mdlejąc, wijąc się z żalu, ginęły w błękitie. Tam, gdzie jeszcze świt nie dotarł, w głębiach olszowych siostry ich błękitne śniły wczoraj zaczęty, głuchonocny sen. Drzewa wśród nich były inne: jasnoniebieskie miały liście, a pnie ich zdawały się wyrastać ze śnieżnego obłoku. Dalekie mielizny piasku na płytkim wybrzeżu wody były różowe, jak policzki budzonego dzieciątka. Za stawem, na płaskim wzgórku stała nieruchomą tarczą szmaragdowa oranina, lśniąca zasiewem jarego żyta, które już w niwę, żyjącą własnym żywotem, zmieniać się zaczęło.

S. Żeromski („Popioły“).

g) Zamiennia (metonimja).

Czy możemy dosłownie rozumieć takie wyrażenia:

Dostałem na gwiazdkę Słowackiego.

Lubię Szopena.

Jan Kazimierz złożył koronę.

Warszawa jeszcze spała.

W górę serca!

¹⁾ Hyzop — roślina z rodzaju wargowatych, używana podczas nabożeństwa jako kropidło, stąd: „Pokropię cię hyzopem“.

Nie Słowackiego dostałem, lecz dzieła Słowackiego.
Lubię utwory Szopena.
Jan Kazimierz złożył władzę królewską.
Mieszkańcy Warszawy jeszcze spali.
Uczucia i myśli — w górę!

W tych zdaniach zastępujemy wyraz właściwy innym — nie na mocy podobieństwa i cech wspólnych (bo — dzieła zastępujemy imieniem autora, — władze — jej symbolem, oznaką, — ludzi — nazwą ich miejsca zamieszkania i t. p.) — ale na podstawie związku, jaki zachodzi między pojęciami, przez nie wyrażonemi. Tego rodzaju przenośnię nazywamy **zamiennią, metonimją**.

Zamiennia więc jest to przenośnia, oparta nie na podobieństwie, lecz na **związku** między dwoma pojęciami

Wytłumacz następujące zamiennie:

Podziwiam Stańczyka Matejki.

W żelazie chodzili od stopy do głowy.

Bardziej boli od języka, niżeli od miecza.

Polska była śpichlerzem Europy i przedmurzem chrześcijaństwa.

Wiek XIX dał nam wiele wynalazków.

Trzech było strzelców, a szedł ogień bezustanny.

Dokoła cisza, milczy bór, ustały prace wiosek, miast.

Co mi grób zabrał, wiosna nie powróci.

Czyż to pióro wypowiedzieć zdoła?

To Sparta idzie — obaczyć ciekawa, gdzie się toczyła walka
Aten krwawa.

Czy mię oko nie ludzi, czy mię ucho myli?

Hejże na Soplicę! tysiąc głosów wrzało.

Nie tyle grozą, jak raczej dozorem

Stała chorągiew, bo Mohort był wzorem. *Pol.*

Uręczamy, że niedźwiedź, zabity dziś w boru,

Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.

A. Mickiewicz.

Widzimy z tych przykładów, iż w zamienni kładziemy imię człowieka zamiast jego pracy, miejsce zamiast ludzi, narzędzie zamiast siły, która niem kieruje, symbol za istotę rzeczy, i t. p.

Rodzaj zamienni stanowi też przenośnia, pozwalająca nam zastępować liczbę mnogą przez liczbę pojedynczą, całość przez część i odwrotnie (ogarnienie, synekdocha), np.:

Słyszę, kędy wąż śliską pierś dotyka się zioła.
Włos mi osiwał od troski i trudu.
Kwiat okrył łąki i drzewa, bocian wrócił, słowik śpiewa.
Lud go otoczył, zwiesił skroń i słucha.

Sto lat mijało, jak Zakon Krzyżowy

We krwi pogaństwa północnego brodził;

Już Prusak szyję uchylił w okowy,

Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;

Nie miecz za zbiegiem rozpuścił gonitwy,

Więził, mordował, aż do granic Litwy. *Mickiewicz.*

Wskaż tu zamiennię (metonimję).

W kilka dni po przybyciu króla do obozu zaczęły się ściągać pojedyncze oddziały pospolitego ruszenia. Dzień po dniu nadciągały strojno i konno województwa, ziemie i powiaty, bogate pułki wielkich panów, zaciężne chorągwie z tłumami sług i taborami wozów.

...Chorągwie pancerne lśniły się od skrzydeł białych, rycerstwo w półkirysach¹⁾ złotem szmelcowanych — tygrysy i lamparty na grzbiecie.

...Dalej szły chorągwie z różną strzelbą: jedne pancerne, inne lekkim łukiem zbrojne, w misiurze²⁾ i karwaszach³⁾.

...Za temi chorągwiami ciągnęło pospolite ruszenie: województwa, ziemie i powiaty, słowem Rzeczpospolita we własnej osobie, strój barwny we wszystkie kolory tęczy, każdy inaczej strojny i na przeróżnych koniach.

L. Kubala.

Twoja cię dobroć posadziła na tem

Miejscu, królu mój. Ta cię, ta przeniesła

Z konia na krzesło, na Majestat z krzesła¹⁾.

W. Potocki (o Sobieskim).

Wskaż zamiennię i określ na czem polega.

I mają rozkaz surowy wodzowie,

Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie. *K. Ujejski.*

¹⁾ Półkirysy — półbroje, — kirys — część zbroi, osłaniająca piersi

²⁾ Rodzaj szyszaka. ³⁾ Naramiennik żelazny. ¹⁾ Sobieski był chorążym koronnym, hetmanem i marszałkiem w. k. (a więc senatorem), nim został królem.

Niechaj kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

A Mickiewicz.

W natłoku

on tylko jeden był widny jej oku,
Jej Jasiek, — dziwne spostrzega odmiany:
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany.

M. Konopnicka.

I niema śladu

po krwawej męce, po strasznej łzie,
A noc tak cicha... liść winogrodu
Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy stoją tam w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach, spadłych na wody dno...

K. Ujejski.

Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały,
Choć przemija sama szparko, cios jej dłota wiecznotrwały.

Z. Krasiński.

Wybierz zamiennie (metonimję) i inne przenośnie z Pieśni wajdeloty.

PIEŚŃ WAJDELOTY.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjdzie wieszczka odgadnie żrenica:
Bo jeśli słuszną wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych omentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica
W białiznie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta,
A ile razy krwawą chustą skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynię;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiem i czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić —
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziem dumać, śpiewać i łzy ronić...

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty!
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła, —
Z archanielskimi skrzydłami i głosem
Ty czasem dzierzysz i miecz archaniola...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! Tłum ludzi obiega,
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją —
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy...

Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu;
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I grzmiącą pieśnią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żaloby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmięć stuletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Staął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielej ojcowie bezdzietni...
Echa mu wtórzą. Ja słuchałem zdala.
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy¹⁾,
Jeziora puste brzmią licznymi wiosłami,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje...
Śpiewają wieszczę, tańczy dziewię grono...
Marzyłem cudnie... srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojezyste góry!
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę —
Lutnia umilkła w odrętwiałem ręku;
Śród żalosego współrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
Lecz dotąd iskry młodego zapalu
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pendzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,

¹⁾ Strop — sklepienie.

Jeżeli świecznik postawisz w jej serce —
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśnie, acz nieco przyćmione kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca współbraci:
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczyzta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jedną tak górnio przeżyli,
Jak ich przodkowie... niegdyś całe życie.

A. Mickiewicz.

Ogarniając teraz wszystkie przenosię, widzimy, jak wielkie mają znaczenie dla stylu, gdyż one to nadają mowie naszej obrazowość, przenosząc na istoty martwe lub zjawiska przyrody cechy istot żywych (miasto spało, burza szalała), zestawiając zjawiska świata zewnętrznego ze zjawiskami duchowymi (myśli, jak stado ptaków, krążyły mu po głowie), skutkiem czego oderwane myśli i pojęcia występują pod postacią obrazów zmysłowych, plastycznych i malowniczych. Obrazy te utrwalają w pamięci naszej treść poezji, podnoszą wrażenie piękna.

2. Urozmaicenie i ożywienie stylu.

B) Zwroty krasomówcze.

a) Powtórzenie.

SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;

Szkoda marzeń, co się w ciemność

Rozproszą;

Szkoda ofiar, które nie są

Rozkoszą;

Szkoda pragnień, co nie mogą

Wybuchać;

Szkoda piosnek, których nie ma

Kto słuchać;

Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie

Do starcia...

I serc szkoda, co nie mają

Oparcia.

A. Asnyk.

Czy powtarzanie wyrazu: szkoda — psuje styl w tym wierszu? Autor powtarza go tutaj umyślnie dla większego nacisku, dla silniejszego zwrócenia uwagi czytelnika, jak wielu rzeczy — szkoda!

Powtórzenie tego samego wyrazu jest więc tutaj ozdobą wystąpienia, **zwrotem krasomówczym**, który przyczynia się do urozmaicenia stylu.

Wskaż powtórzenia w następujących uryskach:

Jedziesz na wojnę, niebożę,

Jedziesz na wojnę!

Noce ci będą na dworze,

A dzionki znojne...

Znajdziesz po wojnie, niebożę,

Znajdziesz po wojnie

Pustki z powrotem w komorze,

Ran w skórze hojnie, *Stara piosnka żołnierska.*

Nie jest czynem — rzeź dziecinna!

Nie jest czynem — wyniszczenie,

Jedna prawda Boska, czynna:

To przez miłość — przemienienie. Z. Krasiński.

Z GŁOSY¹⁾ ŚW. TERESY.

Albo Ty myślisz, o Ty, wiecznie żywy!
 Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
 Za obiecanie w królestwie Twem gody,
 Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy

¹⁾ Głosa — objaśnienie, — tutaj: rozwinięcie i objaśnienie myśli i uczuć św. Teresy.

Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę.

Którabyś spłacił mi dni mych utratę?

Ja kocham Ciebie, żeś był nieszczęśliwy!

Że przeboleś to wszystko, co boli!

Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża.

Ty Bóg — w kajdanach cielesnej niewoli,

Ty Bóg — przez katów prowadzon do krzyża!

Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili

Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!

Ja Ciebie kocham, żeś był przymuszony

Wołać do Ojca: „O, jam opuszczony!“

Ja Ciebie kocham za Twoje konanie

I za śmierć więcej, niż za zmartwychwstanie.

Z. Krasiński.

Z „WESELA“.

Wernyhora.

...Że to chwila osobliwa,
 możemy na osobności
 porozmawiać.

Gospodarz.

Słucham Mości;

a to chwila osobliwa.
 Wolno'ć spytać o nazwisko...?

Wernyhora.

Nie poznałeś — ?

Gospodarz.

Ktoś mi znany,

ktos serdeczny, ktos kochany,
 ktos, co groźny — dawny, stary,
 jak wiek cały...

Wernyhora.

Dawnej wiary.

Gospodarz.

Ktoś mi znany, niespodziany...

Wernyhora.

Przypominasz krwawe łuny
i jęk dzwonów, i pioruny,
i rzeź krwawą¹⁾, krwawe rzeki — — ?

Gospodarz.

A sen, sen jakiś daleki,
jeszcze w uszach mam te dzwony, —
mieszają weselne grajki...
jakieś stare dumy, bajki...

Wernyhora.

Jeszcze w uszach mam te dzwony
ponad ich weselne grajki:
jęk posepny, jęk męczony,
tyle krwi rzezanych ciał;
ja tam był, przy trupach stał;
jeszcze w uszach mam te dzwony.
Patrzyłem się na lud święty,
jako upadał przeklęty,
przekleństwami potępiony:
kiedy ojce klną na synów,
kiedy syny przeklną ojce,
takie jęczące ogrojee
łez krwawiących, łez serdecznych
słyszałem w tych głosach wiecznych:
w głosach dzwonu lęk szalony, —
jeszcze w uszach mam te dzwony.

Gospodarz.

Dawne czasy — dawne wieki,
a sen, sen jakiś daleki,
jęki przygłuszają grajki;
jakieś stare dumy, bajki.

Wernyhora.

Ja stałem w pożarnej łunie
na siwym, siwym rumaku,
czekając Bożego znaku.

¹⁾ Rzeź w Humanu 1768 roku.

Za mną piorun po piorunie
bije z chmur, przez niebo błyska.

Gospodarz.

Rzecz daleka — taka bliska,
ktoś mi znany, niespodziany;
ktoś, o którym jeszcze wczora
tylko we śnie, tylko w marze:
Pan — Dziad z lirą...

Wernyhora.

Wernyhora.

Stanisław Wyspiański.

b) Pytanie.

W Głosie św. Teresy mamy kilka pytań. Czy dlatego je autor zadaje, aby usłyszeć odpowiedź? — Nie, — chodzi mu tylko o urozmaicenie stylu niepowszednim zwrotem, który go czyni żywym, zajmującym i pięknym.

Pytanie więc jest także zwrotem krasomówczym; — gdyby wszystkie zdania były podobne do siebie, mowa stałaby się jednostajna, nudna.

Wskaż pytania w następujących wyjątkach:

Ach, cóż droższe nad głos z kraju,
I co świeższe nad liść w maju,
Co smutniejsze nad wspomnienie,
Co prawdziwsze nad cierpienie? *T. Lenartowicz.*

Pogniły jawory i limbowe lasy,
Ka się nam podziały nasze dobre czasy?
(Piosnka podhalska.)

Czy znasz ten kraj, gdzie kwitną
Nad grobami piołuny?
Gdzie niebo twarz błękitną
W szare kryje całuny? *J. I. Kraszewski.*

A czemuż wy, chłodne rosy, padacie?
Gdym ja nagi, gdym ja bosi, głód w chacie!
Konopnicka.

Chmielowski zgasił, ale czy nie widzicie, że zapaliło się po nim
i idzie dalej z nami wielkie światło? *A. Świętochowski.*

— 112 —

c) Wykrzyknienie.

Ha! Sardes gore! Sardes w gruzach leży.

I padł, wołając: — Zwycięstwo! *K. Ujejski.*

Patrz, jak za nami błyska czerwono!
Ha! — krzyknął jeździec — to stopy płoną!

G. Zieliński

Hej! naprzód! choć ciężko pod prąd,
Choć mgła nam żre oczy, wir grozi odmetem,
I burza się pastwi nad naszym okrętem,
Tam płynąmy, gdzie jasny jest ład!

G. Daniłowski.

Wykrzyknienie jest także zwrotem retorycznym, zapomocą którego autor wyraża uczucia i wrażenia: przestachu, gniewu, radości, trwogi i t. p. Wpływa, jak wszystkie zwroty na urozmaicenie stylu.

Jakie uczucia wyraża wykrzyknienie w następujących przykładach.

W takiej ciszy tak ucho nastawiam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. Jedźmy, nikt nie woła!

A. Mickiewicz

Wesoło żeglujmy, wesoło!
Po życia burzliwym potoku,
Jak orły w gradowym obłoku.
Choć wichry, pioruny wokoło,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

E. Wasilewski.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie według miary krawca — lecz Fidjasza!¹⁾
Żeby też jedna pierś!

J. Słowacki.

Pomimo gorzkich prób,
Zawsze, ach, dobrym bądź,
Z miłością drugich sądź
I patrz z nadzieją w grób!

A. Asnyk

Lecz narodu duch zatruty —
To dopiero bólów ból!

Z. Krasiński.

— 113 —

Wód zwierciadła, gór widziadła,
ziemia, niebo — jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
w świat przemienia ideału,
w sen ze srebra i kryształu.
Daj mi teraz marzyć, daj!

Z. Krasiński.

Błogostawione pierwsze dni wiosny!
Błogostawiony, wieku radosny!

Żmichowska.

d) Apostrofa.

Tys mi nie straszna, o nocy!

Asnyk.

O gęśli dawna! rzucam cię pod nogę
I gniewną stopą depczę cię i łamię —
Bo ja dla siebie już śpiewać nie mogę:
Po Jeremjasza gęśl wyciągam ramię.

B. Zaleski.

Orszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziąta?

Kochanowski.

W tych przykładach autor zwraca wykrzyknienie do nocy, do gęśli, do zmarłej Orszulki — taki zwrot krasomówczy nazywa się **apostrofa**.

Apostrofa jest to więc wykrzyknienie, zwrócone do rzeczy nieżyjącej, pojęcia, osoby i t. p.

Wskaż apostrofę, — do kogo lub do czego jest zwrócona?

O wielmożni panowie, o ziemscy bogowie! miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobro braciej swojej. Nie cieśnijcie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach! nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach waszych: niech się na lud wszystek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa!

P. Skarga.

A więc niech wszystko mija! Wstańcie, burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!

Słowacki.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wietrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!

Słowacki.

¹⁾ Znakomity rzeźbiarz grecki w starożytności.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jej dzwonek, jak jęczy nad głową.

Wł. Syrokomla.

Tyś mi, chłopie, nie święty ani idylliczny!
Znam każdy z błędów twych i wad,
Lecz zło i dobro twoje — to mój skarb dziedziczny:

Boś ty mój brat! *Adam M...ski.*

Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłądnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łyż próżnej. *Słowacki.*

e) Poprawienie.

Umarł nasz król... przebóg, rycerze! cóż to ja wyrzekłem? Mógłi umrzeć ten, którego świetna i prawdziwie królewska cnota, jeszcze nim doczesny zawód odprawił, już obdarzyła była nieśmiertelnością?

Nie umarł zaiste — na lepszy się świat, z tego lichego wyzuwszy, znikomą postać przeniósł. *St. Orzechowski.*

Zgaszone mamy i dusze i twarze; uśmiech na nich nie gości, niefrasobliwość uleciała daleko. Ale co mówię! Nie, — duchów zgasić nie zdołali, przytłumili je tylko. *G. G.*

Będę bił ludzi... Brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano.

L. Kondratowicz.

Taki zwrot krasomówczy, gdy autor niby się cofa, poprawia, zmienia zdanie lub wypowiada swoją myśl inaczej — nazywamy **poprawieniem**.

Wskaż i objaśnij poprawienia.

Gdzie koniec pieśni? Wraz mi koniec śpiewaj!
Albo daj lutnię... Czego drżący stoisz?
Podaj mi lutnię, pułhary nalewaj,
Zaśpiewam lepiej, jeśli ty się boisz!

Mickiewicz.

Przecież newszyscy, o nie, na Perkuna!
Jeszcze są w Litwie — jeszcze wam zaśpiewam!..
Precz mi z tą lutnią! zerwała się struna,
Nie będzie pieśni. *Mickiewicz.*

Że Polak daje się wieść — nie nowina!
Widziałem... Ale stój, Muzo! bieg krzywy,
Tu przystoi wcale... *Słowacki.*

Orcio. Widuję mamę bardzo często.

Mąż. Gdzie, mój maleńki?

Orcio. We śnie, — to jest niezupełnie we śnie, ale tak, kiedy zasypiam, np. wczoraj.

Mąż (do siebie). Marjo, chcesz dziecię własne zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć... Co ja mówię? Ona gdzieś w niebie cicha i spokojna, jak za życia na ziemi, — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu... *Z. Krasiński.*

Ranek był... wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwszej wylały się deszcze;
W dolinach tuman, naksztalt proszącego śniegu,
A na łąkach zaranna polyska się rosa;
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu:
Jedna tylko nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia
Tam przy altanie —

Ha, ha! pobiegłem z ukosa!

To nie o tym poranku! *A. Mickiewicz.*

f) Zamilknięcie (niedomówienie).

Bóg wybaczy.

Musicie wiedzieć, w jakim żalu i rozpacz
Popełniłem... *Mickiewicz.*

Gierwazy, czemuś wtenczas chybił..
Łaskębyś zrobił! Widać za pokutę grzechu
Trzeba było... *Mickiewicz.*

Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną
I nie jest tylko omyłką liczebną... *Mickiewicz.*

W przykładach tych autor przerywa myśl pod wpływem nadmiaru użucia, — nie kończy jej, gdyż nie chce lub nie może; — taki zwrot nazywamy **zamilknięciem** lub **niedomówieniem**.

Wskaż i objaśnij niedomówienia.

Od strony Medów już milion strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegną,
Szczęk, jęk, kurzawa...

Niech ich bogi strzegą! *K. Ujejski.*

Zbladłem — serce zamarło i trwożliwie puka,
Lecz mówię sam do siebie: to znów czyjaś sztuka!
A nawet się domyslałam...

Kondratowicz.

...Ach, tam inaczej

Może im szczęście kto wytłumaczy,
Może je złudzi inną nadzieją?
To, co im mówię, czyż zrozumieją?
O, gdyby mogły... Dziewczynki moje!
Lecz ja daleko, daleko stoję...

N. Żmichowska.

Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię...
A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi...
Cesarzu, cesarzu! (Słowa legionisty do Napoleona.)

Żeromski.

Starcze! graj nutę, tę nutę dzieciinną,
Którą w dolinie... O był to czas błogi!
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
Wracajże, starcze! bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie... Starzec musiał wrócić.

Mickiewicz.

Lecz ja... Dobranoc!

Wskaż zamilknięcia w Opowiadaniu Gierwazego w zamczysku,
w Jagodzie Lenartowicza (str. 144).

g) Stopniowanie i nagromadzenie.

Już sęp wisiał w powietrzu, jako plamka szara
Wielkości wróbla... motyla... komara —
Potem się całkiem w błękicie roztopił.

A. Mickiewicz.

Dusze praojców

...budzą się ze snu i śpiew zbłąkany
Echem z ust do ust sobie podają,
Coraz głębiej... ciszej..., bo im kurhany
Starsze, tem słabiej, wolniej śpiewają,
A dźwięk ostatni staje się ciszą.

G. Zieliński.

W tych urywkach autor malowniczo przedstawia stopniowe znikanie postaci sępa, stopniowe uciszanie się dźwięków pieśni — taki z wrot nazywamy **stopniowaniem**.

Niekiedy zamiast stopniowania mamy wprost **nagromadzenie** obrazów, porównań lub innych przenośni, bez wyraźnego przejścia od silniejszych do słabszych lub odwrotnie, np.:

Tu na walkę wrony, kruki, orły!
Tu na walkę psy, wyjące smutnie!
Tu na walkę chmury z piorunami!
Tu szumiące wichry!

J. Słowacki.

Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi,
Są takie, które szepcze swemu narodowi;
Są takie, które zwierza przyjaciółom domu;
Są takie, których odkryć nie może nikomu.

A. Mickiewicz.

Wskaż nagromadzenie i stopniowanie w wyjątku z Głosy św. Teresy, Krasińskiego (patrz str. 108) i w następujących przykładach:

...I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu.

A. Mickiewicz.

Struna po strunie pęka, kwiat po kwiecie
Wiednie i ginie, blask kona po blasku,
Coraz jest ciszej, ciemniej i bezwonniej.

K. Tetmajer.

...O, ja wam powiem, dziewczynki moje!
Piękne są perły, djamenty, stroje,
Piękniejsza jednak woda w strumieniu
I lilja polna w białym odzieniu.
A od liliji, od czystej wody
Piękniejsza świeżość waszej urody;
A od piękności hożych dziewczynnek
Jeszcze piękniejsza łza uzalenia,
Cicha modlitwa, święte natchnienia,
A najpiękniejszy — dobry uczynek.

N. Żmichowska.

Polały się łzy me czyste, rzęsiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,

Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek kłeski,
Polały się łzy me czyste, rześiste!

A. Mickiewicz.

Nim los twój ziemski wpelni się dokona,
I ty, ludzkości, będziesz przemieniona!
Zostawisz w dole, u stóp ciemnych wzgórz,
Wszystko, co zwodzi, i wszystko, co boli:
Zostawisz w dole szataństwo niewoli,
Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
Zostawisz w dole tajemnie zawilość —
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną, nieskończoną miłość!
I z temi dwiema światami potęgi
Jak Chrystus w światła wzbijesz się okęgi!
Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze,
Jak pióra lekkie będą twe ramiona!
Ręce pokładniesz na białe powietrze
I w niem się ważyć będziesz — spowietrzniona!

Z. Krasiński.

Jakie tu znajdziesz jeszcze zwroty retoryczne, prócz stopniowania?

Wskaż stopniowanie lub nagromadzenie w wierszu
Lenartowicza: „Wiecznie to samo“.

h) Przeciwwstawienie — antyteza.

Długo myśl — prędko czyn.

Zgoda buduje — niezgoda rujnuje.

Tak rotmistrz, jak pacholek fuczą i krzyczą, a jak do bitwy — to
ze skrucha.

Kubala.

A jedni szepczą: — Nieprzyjaciół siła,

Na cóż się przyda ofiara i męstwo?

A drudzy krzyczą: — Śmierć — albo zwycięstwo!

K. Ujejski.

Wczoraj wyszczerbił na Niemcach topory,
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie?
Zła jest niezgoda, — ale gorszą zgodą
Chcesz nas pojednać, — raczej ogień z wodą!

Mickiewicz.

W tych przykładach widzimy zestawienie pojęć przeciwnych, dla
silniejszego uwydatnienia sprzeczności, a przez to spotęgowania wrażenia.
Taki zestawienie wprost przeciwnych pojęć, uczuć,
myśli — nazywamy **przeciwwstawieniem, antytezą**.

Wytłumacz antytezy:

Ojciec król? — Czemuż dziecię mu nie wierzy?

Pan? — Cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?

Wódz jest najwyższy? — Czemuż bez żołnierzy?

Sędzia? — Gdzież w jego ręku miecz i prawa?

A. Naruszewicz.

(Mowa tu o lekceważeniu władzy królewskiej w Polsce w XVIII w.)

Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo, lecz z przebaczenia
anielską pogardą.

Krasiński.

Wesoły jestem, wesoły

i śmieję się do łez;

choć jesień już napoły,

kwitnący czuję bez.

Wesoły jestem, świeży...

— cóż to? na marach trup?

to ciało tylko leży,

lecz duch jak ognia słup.

Już słyszę: biją dzwony

wysoko w niebios strop;

trup dawno pogrzebiony,

duch niesie pełny snop.

Ach, któryż jestem żywy:

czy ten, co leci wzwyż,

czy ten, co zmarł szczęśliwy,

ściskając w dłoni krzyż?

St. Wyspiański.

Bywają takie epoki, w których każdy musi być żołnierzem; bywają
również takie, w których każdy powinien być dobrym obywatelem kraju.

A. Świętochowski.

Patrzyło na hardość ich wschodzące słońce; a toż na odwieczny
widziało sromotnie rozgromionych.

W. Kochowski.

Zginięcie me pieśni — wstańcie czyny moje! *Z Krasiński.*

Z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwsta-
nia niema.

Z. Krasiński.

Niema jest retoryka — ale dzielna i bardzo mocna namowa: pa-
trzenie na cnotę, która jako piękna, i wdzięczna, i naturze naszej wro-
dzona, milcząc, sama do siebie ciągnie i za serce chwyta.

Skarga.

Pieśń ludowa.

Jakżeś ty piękna, a jak tajemnicza!
Poważne lice krasi blask uśmiechu;
Rosa twym oczom swych kropli używa,
A wiosna swego oddechu!

Głowę kwiat polny wianeczkiem okrywa,
Serce ci płonie jak iskra żarząca;
I czasem milcząc, jesteś gadatliwa,
A czasem mówiąc — milcząca.

Giller.

O sobie samym myśleć — ściśle jest i łakome serce. Powinno tylko i domowe opatrować — miłość jest domowa i ciasna. O wszystkich radzić i wszystkim dobrze czynić — to prawie Boska cnota.

Skarga.

Wskaż antytezy w Głosie św. Teresy.

Gdybyśmy to samo, co zawiera się w tych wyjątkach i utworach poetyckich, napisali bez **zwrotów krasomówczych**, styl wszędzie stałby się jednostajny. Pytania, wykrzyknienia, apostrofy, powtórzenia i t. p., zarówno jak i przenośnie — zajmują czytelnika, pobudzają go do myślenia, wzruszają, słowem — urozmaicają i ożywiają mowę.

I **zwroty i przenośnie** upiększają wystąpienie. Płyną one przede wszystkim z bogactwa uczuć, myśli i wyobraźni autorów i są **estetycznymi przymiotami stylu**.

Pamiętać jednak trzeba, że w stosowaniu ich należy być bardzo oględnym. Są one ozdobą stylu tylko wtedy, gdy powstają w umyśle piszącego swobodnie, bez wysiłku. W przeciwnym razie szpecą styl, czyniąc go sztucznym, napuszonym. To właśnie nas razi w przemówieniu Hrabiego do Zosi (str. 3). Prostota, zwłaszcza w mowie potocznej, jest wielkim przymiotem wystąpienia, równie jak naturalność i szczerłość, polegające na tem, aby być w zgodzie z prawdą pod względem własnych myśli i uczuć.

Mistrzem prostoty, naturalności i prawdy był Mickiewicz.

Dźwięczność.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna o długich, cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał zielone jej warkocz na zapadły, mchem porośły, dach słomiany.

Sienkiewicz

Przy chacie było niewiele drzew. Kilka czereśni z ciemnymi, błyszczącymi liśćmi i jedna brzoza z długimi, cienkimi prątkami, rosta tak blisko chaty, że każdy wiaterek zwiewał jej zielone warkocze na dach słomiany, zapadły, porośły mchem.

Aby mowa sprawiała przyjemne dla ucha wrażenie, musimy dbać o jej **dźwięczność**.

Na czem polega dźwięczność? Na takim doborze i ustawieniu wyrazów i dźwięków, ażeby się łączyły harmonijnie i mile dla ucha.

Dlatego sprzeciwia się dźwięczności:

a) Wszelkie powtarzanie:

tego samego wyrazu, — wyrazów z tym samym pierwiastkiem, — tych samych dźwięków na początku, w zakończeniach i w środku wyrazów.

Wskaż błędy:

Kto był obecny podczas przemówienia, każdy był przekonany.

W tej rodzinie obchodzono urodziny rodziców i rodzeństwa.

W dowód ufności i życzliwości każdy z gości i t. p.

Dokoła kołysały się kłosa.

b) Zbieg spółgłosek twardych i syczących, samogłosek, wyrazów jednozgłoskowych i wogóle wyrazów o jednakowej ilości sylab.

Wskaż błędy:

Chrzest skrzydół chrząszcza. Trzcinowe krzesło trzeszczy. O Oleśia nie pytano, a Anielkę chwalono. Chodzi mi o oczy. A i ona tu była. Aż tu wpadł bąk i pęc go w nos. Kot wlaź na płot. Ptak wpadł w dół. Wicher szarpie czarne chmury, łamie drzewa, kładzie zboża, pędzi bydło, niszczy wszystko.

c) Umieszczanie jednozgłoskowych wyrazów, zwłaszcza nieakcentowanych, na końcu zdania:

Popraw:

Ludzie chętnie zebrali się. Wkońcu zaproszono go. Już całą książkę przeczytałem mu.

d) Rymy w prozie.

Pomimo niepogody skoczyliśmy do wody. Ponad łąkami unosiło się ptaństwo stadami. Przynajmniej wśród tych trudów nie doznaliśmy nudów.

Niekiedy dobieramy umyślnie pewnych brzmień, naśladowujących dźwięki, które odtworzyć chcemy, — nazywa się to **harmonją naśladowniczą** czyli **onomatopeą**.

Taką harmonją naśladowniczą są pojedyncze wyrazy, jak: ryk, bek, syk, tętent, szum, świst, zgrzyt, skrzyp, warczy, miauczy, gęga, kracze, kwacze, bęc, brzdęk, pif, paf, etc.

Onomatopeą będą również zdania: Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei, głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki i t. p.

Wskaz onomatopeę:

Stepowa gęśli! (drum, drum, — drum, drum),
W rozciąglej nucie stepowych dum
Brzękam ku tobie — sam, o! samiutki,
Rozbrzmij na wiatry powszednie smutki.

B. Zaleski.

Hop, hop, cwałem, koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony!
Dłużej chwilką
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ.

B. Zaleski.

Jedzie, jedzie, tętni, dzwoni,
W tysiąc koni, w tysiąc koni,
Król Mendog,
Litewski król Mendog od Troki!

St. Wyspiański.

Co naśladują powyższe i następujące wiersze?

W cwał, mój koniu, koniu w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur:
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziesięć gór;
Za godzinę pieje kur.

A. Mickiewicz.

A tymczasem upusty niebieskie otworzyły się: deszcz pomieszany z gradem lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; długi ani dojrzeć, a tu drzewa wiją się po ziemi, skrzypią i szumią; słychać trzask gałęzi; ciemność!

H. Sienkiewicz.

Na Anioł Pański biją dzwony:
Niech będzie Marja pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony.
Na Anioł Pański biją dzwony;
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Tetmajer.

DESZCZ JESIENNY.

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny.
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Wieczornych snów mary powiewne, dziewicze
Naprózno czekały na słońca oblicze...
W dal poszły przez chmurną pustynię piaszczystą,
W dal ciemną, bezkresną, w dal szarą i mglistą..
Odziane w łachmany szat czarnej żałoby,
Szukają ustronia na ciche swe groby,
A smutek cień kładzie na licu ich nędzą...
Powolnym i długim wśród dżdżu korowodem
W dal idą na smutek i życie tułaczę,
A z oczu im lecą łzy... Rozpacz tak płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno..
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Kto dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem samotny...
Ktoś umarł... Kto? Prózno w pamięci swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś pogrzebie...
Tak... szczęście przyjsć chciało, lecz mroków się zlekło.
Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce mu pękło,
Gdy poznał, że we mnie skrę roztlić chce prózno...
Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jalmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg płaczą...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Przez ogród mój szatan szedł smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurem, na piersi zwieszonem szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szal trwogi i śmierć przerażenia...
Aż strwożon swem dziełem, brzemieniem ołowiu
Położył się na tem kamiennem pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpaczę,
I smutków potwornych płomienne łyż płacze...

To w szyby deszcz dzwoni... deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Leopold Staff.

Streszczenie:

Estetyczne przymioty stylu czynią go obrazowym, urozmaiconym,żywym, dźwięcznym.

Obrazowość nadają mowie **przenośnie**: porównanie, metafora, epitet, uosobienie, przesadnia, alegoria, metonimja i inne.

Do **urozmaicenia i ożywienia** stylu przyczyniają się **zwroty krasomówcze**: powtórzenie, pytanie, wykrzyknienie, apostrofa, poprawienie, przemilczenie, stopniowanie, nagromadzenie, antyteza i t. p.

Dźwięczność polega na miłym dla ucha skojarzeniu wyrazów i dźwięków; — onomatopea naśladuje dźwięki, które odtworzyć chcemy.

Indywidualne cechy stylu.

Zapomocą przenośni i zwrotów retorycznych, przez zachowanie warunków dźwięczności — możemy styl ożywić, urozmaicić, uczynić go harmonijnym i obrazowym — więc ozdobnym. Warunki te jednak nie wystarczają do wyróżnienia naszego stylu od wysłowienia innych piszących, nie nadadzą mu cechy oryginalności i mistrzostwa.

W arcydziełach literatury, oprócz gramatyczno-logicznych i estetycznych zalet wysłowienia, znajdujemy cechy stylu, płynące z odrębności duchowej pisarzy, t. j. siły twórczej ich umysłu, uczuciowości i wrodzonego talentu, który można w sobie rozwinąć lub stłumić, ale stworzyć — nigdy.

Każdy prawie człowiek inaczej myśli i czuje — te różnice tworzą jego **indywidualność** (zbiór cech, różniących daną jednostkę od innych).

Różnice te wzrastają i uwydatniają się w miarę rozwoju jednostki umysłowego i moralnego, oraz jej samodzielności: — im większa samodzielność, twórczość, — tem wybitniejsza indywidualność pisarza, wyrażająca się zawsze nie tylko w pomysłach, ale i w stylu.

Ludzie mało samodzielni, pozbawieni cech indywidualnych, mówią stylem **pospolitym**, szablonowym; — wybitniejsze jednostki (choćby analfabeci!) mają swój styl odrębny, oryginalny.

Porównajmy np. styl następujących urywków:

CHOROBA CIOCI POLCI.

Pewnego piątku, wieczorem, po odejściu rejenta i po napisaniu listu do p. Szałwiewicza, ciocia Polcia uczuła się niezdrową i oznajmiła o tem zaraz pannie Eufemji, towarzysze, która jej domem zarządzała od lat niepamiętnych.

P. Eufemja zawyrokowała, że to będzie katar, poradziła cioci położyć się do łóżka i wypić czegoś na poty. Zaparzone wielki imbryk suszonych malin; ciocia wypila trzy filiżanki wrzątku i, według zwyczaju, usnęła podczas głosnego czytania „Kurjera“ w chwili, kiedy p. Eufemja dojechała do rubryki „zgubionych rzeczy“.

— Dzień dobry pani! Jakże tam dziś z katarą? — pytała p. Eufemja nazajutrz rano, wchodząc na głos dzwonka do sypialni cioci.

— Nie czuję kataru — odpowiedziała ciocia.

— A co, mówiłam, że maliny pomogą! Będzie pani zaraz wstawiała?

Ale maliny widocznie nie pomogły, bo ciocia nie miała ochoty wstać z łóżka.

— Nie wiem właściwie, co mi jest — mówiła, — czuję tylko ból głowy... zmęczenie...

— Może to przejdzie do południa — pocieszała p. Eufemja. — Byłam dziś raniutko w kościele, spotkałam Pytlewską, obiecała panią odwiedzić.

Jakoż obietnica nie była dana na próżno; niebawem ukazała się Pytlewska.

— Cóż to kochanej pani się stało? — pytała, siadając przy łóżku chorej. — Pewno pani zjadła coś niezdrowego!

Ciocia z pomocą p. Eufemji przypomniła głośno to wszystko, co spożyła w ciągu ostatnich trzech dni; niezdrowego stanowczo nie nie było.

— W każdym razie ten ból głowy pochodzi z niestrawności — rzekła Pytlewska, — zaczął się przed wieczorem, więc to żołądkowe; gdyby było przeziębienie, choroba objawiłaby się dopiero od rana.

— Może być... westchnęła ciocia.

— Ale tak, tak! niech pani tylko zażyje rabarbarum, a wszystko będzie dobrze.

Nie miała ciocia wielkiej na to lekarstwo ochoty, uległa jednak gorącym namowom. Pytlewska odeszła do domu wtedy dopiero, kiedy jej przepisowi zadość się stało.

W GORĄCZCE.

Krzysztof jechał na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysięcy zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-złoty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy — tehu aż brak... Już, już — karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tehu broń... Tehu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... krzyże, migotliwe koła, szkarlat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokąś leci, jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekocze?... Tehu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka..

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści, konwulsją ściśniętych, uciekają kolczaste kaktusy i niskie tarniny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemienu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rzą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta

Tetent! Grzmiący tetent dudni po ziemi... Jakież to konie rzą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył żrebce?

— Paniezu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi rękami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza noma zabili! — ryczy na cały szwadron.

Zwioteczałe wyszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

Ranny leży nieprzytomny. Serce wali szalonemi ciosy, serce-młot bije raz wraz w głębi miękkich, klekocących fal! Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, spłakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży, na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkich grające nie zabrzmią już. Skonała na zawsze melodia wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlecze się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych, opoczystych caliznach... Sprzymierza się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drzeniem ostrych kantów, ziarnistych wydeć kamienia...

— Tyżeś to jest, przeznaczenie moje? — skarżą się wargi. — Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?

Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokół?

Zeszły się dokoła głowy, obległy nozdrza, napływały ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu ucisku śmierci.

— Tyżeś to jest ze mną — szeptała usta — siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przyszła na martwe ugory mej śmierci? Bóg-że ci zapłać... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty, pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mię i przygarnij do życia... Weź mię z ucisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych

gwoździaków. Fijolkowemi powłóceniami całują przekrwienia oczu bratki jesienne... Bładofioletowa lewkonja leży na pierśsiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sączy się w jaskinię rany.

Wtem słyhać, słyhać...

Słyhać, co się dzieje w uszach i w głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotkami majsterkowie: raz raz — raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wyprzódki! Aż tehu brak. Tworzy się z ciosów ciągły szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru-lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomocze skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błędzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwal w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szeptaają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyjedziemy... Święty jeleń z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić...

S. Żeromski.

Ze względu na nieskończoną rozmaitość własności indywidualnych, mamy też nieskończoną rozmaitość rodzajów talentu i stylu: — u jednych autorów przeważają cechy umysłowe, innych wyróżnia nadzwyczajna wrażliwość i uczuciowość, inni jeszcze odznaczają się niezwykle bogactwem wyobraźni, — prawdziwi mistrze łączą w sobie niekiedy wszystkie przymioty, cudownie zharmonizowane.

Która z tych cech przeważa w każdym z następujących wyjątków?

Z „IMPROWIZACJI“.

(Konrad w najwyższym napięciu bólu i miłości przemawia do Boga.)

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje;
Wystarczy: od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę,
I dojdę po promieniach uczucia do Ciebie!

O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie!

Jam tu, jam przybył, widzisz jaka ma potęga:

Aż tu moje skrzydło sięga!

Lecz jestem człowiek, i tam na ziemi me ciało;

Kocham, tam w ojczyźnie serce me zostało...

Ale ta miłość moja na świecie,

Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,

Jak owad na róży kwiecie,

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:

Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona

Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,

Przycisnąłem tu, do łona,

Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec.

Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,

Chcę nim cały świat zadziwić!

Nie mam sposobu i tu przyszedłem go dociec.

Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą,

Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,

Śledziła chód Twych planet, głab morza rozwaria;

Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą,

Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa,

Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa...

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!

Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie!

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tem się uszczęśliwią;

A jeżeli się sprzeciwią,

Niechaj cierpią i przepadną!

Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,

Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa!

Mówią, że Ty tak władasz!...

Wiesz, żem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył,

Jeśli mi nad duszami równą władzę nadasz,

Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo:

Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

A. Mickiewicz.

Z KORDJANA.

(Kordjan wchodzi do wielkiej sali zamkowej, słabo oświetlonej lampą. Ukazują mu się widma.)

Kordjan: Puszczajcie mię!... Ktoś mię za włos trzyma!

Przywidzenie: Słuchaj! ja mówię oczyma.

Strach: Słuchaj! mówię biciem serca.

Kordjan: Nikogo niema —

Ktoś gada.

Przywidzenie: Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.

Kordjan: Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada

Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze —

To arabeski, ściennie malowidła —

Strach: Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza — przebrzydła —

Każdy wąż — złota ogniem nalany,

Pierścieniami rozwija się z muru.

Kolumny potrzásają węzów zwitych grzywą;

Sfinksy straszliwe

Spółży z marmuru —

Sfinksy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą,

Nie nastap na nie — patrzaj — wiją się i błyszczą.

Przywidzenie: Jako motyl płocha, powiewna

Odleciała od ściany dziewica;

Może jakaś zaklęta królowna?

Królowna — lub czarnoksiężnica?

Przypomnij! widziałeś jej lica?

Przypomnij! do kogoś podobna,

Przypomnij!

Tamta była posępna i patrzała skromniej;

U tej szata gwiazdami ozdobna —

To gwiazdy prawdziwe — to światy —

Błyszczą na szafirze szaty —

Jest to pasterka z gwiazd sioła,

Kosz na głowie, w koszu kwiaty —

I twarz anioła.

Strach: Lecz patrz na oczy! nieruchome oczy!

Gdzie się obrócisz, patrzaj za tobą.

Przywidzenie: Czy czujesz woń jej warkoczy?

Strach: Rozgniotłeś węża pod sobą —

Pękła żmija.

Kordjan: Jezus Maryja!!!

J. Słowacki.

Z PSALMU WIARY.

Lecz szkołą duchów są ludzkości dzieje —

Drogą do niebios — planety koleje!

Na nim to, na nim pójdą zasługi

— A wszyscy razem — do innych przestrzeni,

Gdy Syn Twój, Sędzia, zmartwychwstałych Książę,

Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże

I z nich anielstwo ludziom wypromieni!

A do dnia tego wiodące tu wschody —

To w łasce Twojej poczęte narody!

Garść im powołań sypnałeś zwysoka —

W każdym z nich żyje jakaś myśl głęboka,

Co z piersi Twojej zesłaniem jest technieniem

I narodowi odtąd — przeznaczeniem!

A są wybrane jedne przed innymi,

By o Twą piękność walczyły na ziemi,

I krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,

Były wśród świata — anielskim przykładem!

Aż nie wywalczą straszną walką w grobie

Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,

Więcej miłości i więcej braterstwa.

Z. Krasiński.

Jakie cechy przeważają w Panu Tadeuszu: umysłowe, uczuciowe, czy płynące z wyobraźni? W Konradzie Wallenrodzie? W Grażynie? W znanych ci utworach Słowackiego, Asnyka, Konopnickiej?

Z naszych trzech największych mistrzów Mickiewicz odznaczał się najpotężniejszą uczuciowością, Słowacki najbogatszą wyobraźnią, Krasiński najgłębszym umysłem filozoficznym.

Zwróć uwagę na różnice w odczuwaniu i malowaniu przyrody w następujących urywkach Dygasińskiego, Orzeszkowej, Żeromskiego.

DRZEWA W GRUDNIE.

Za trumną książę Gintuł szedł sam na przedzie, z głową podniesioną. Przebywał najgłębsze bagna, nie wiedząc o tem, zatopiony w myślach. Nareszcie droga polepszyła się. Szła w górę, ku kościołowi, stojącemu na szczycie pagórka. Po obydwu stronach szerokiego traktu stały przedwieczne lipy, nadwiślańskie topole, graby, klony, dęby i buki.

Teraz, gdy w ich wnętrza, wyrывая się z kłębow siewego dymu, padały migotliwe blaski pochodni, zdawały się być podwójnie wielkimi. Konary, gałęzie, różgi, czuby

ich — sięgały do czarnego nieba, a liście szemrały w chmurach. Była nieskończona potęga w owych widłach, odnogach, trój- i czterozębach, w splotach gałęzi, wyteżonych ku niebu, w owych jakoby barach, piersiach, ramionach i rękach, które coś dźwigają...

Ale nadewszystko — była potęga w ich szeleście.

Jedno z tych prastarych drzew, ogromna płacząca brzoza, zwieszało się całym kadłubem nad drogą, a korona jego, bogata w ogrom liści, schylała się ku ziemi, jak kudłata głowa chłopca-starca. Gdy wóz, otoczony latającymi blaskami, wjechał pod nie, zaszemrało... zaszemrało... Wyszedł z jego głębokiej czeluści sykliwy, przestraszony szelest, półszept zbudzonych ze snu i zdumionych liści...

Rafał zląkł się i zadrżał.

Ach, jakże straszny, jak nieopisany głos był w tym szeleście!

Ale wnet gwara schylonego drzewa została w mroku, korona jego cofnęła się i ukryła. Teraz inne przemawiały z wysoka. I dziwna rzecz! Jedne wchłaniały w siebie wieść o widoku, wlokącym się u ich korzeni, z zimną wzgardą, inne z obojętnością najgłębszą, z obojętnością świadomą swej głuchej i ślepej siły, a były przecie i takie, co płakały, jak żywy, czujący człowiek. Serce Rafała dźwignęło się i podniosło ku owym drzewom. Ogarnął spojrzeniem wyniosłe gałęzie... Pnie zielone jak trawnik od dawnego mchu, albo obwieszane mnóstwem drobnych gałązek, jakoby dziady zgrzybiałe, obsiadłe przez prawnuki... Pnie pokryte splotami sznurów kory, zbróżdżone, o barwie deszczu i szarugi... Różgi, chwiejące się pod niebem.

Wtedy nagle pojął, że już nie żyje dobry brat Piotr.

S. Żeromski.

Co w tym ustępie przemawia najsilniej: uczucie, myśl, czy wyobraźnia?

ZIEMIA.

Zenon szedł swoją ulubioną drogą ku wzgórzom, poroślemu sosnami. Idąc, czuł, że ma nogi trochę lżejsze, plecy trochę mniej przygarbione, i że owe ciemności, zalegające jego mózg i serce, trochę się rozwidniły. Niebawem znalazł się na stoku wzgórza, pośród sosen rzadkich, wyrastających

z pokładów mchów siwych, żółknących i jeszcze jak szmaragd zielonych. Usiadł na mchu, spojrzał dokoła, a potem zapatrzył się na krajobraz.

Dokoła rosły klombami, gajami paprocie brunatne i cieliste, trzmieliny z liśćmi różowymi jak centyfolje, jałowce krwisto-rdzawe. Pośród sosen stały brzozy, całe w złocie, a głębiny lasu oddalone, zachodząc cieniem, świeciły jeszcze gdzieś smugą słoneczną, kołyszącą na fali ruchomej purpurę zwiedłych borówek i jeżyn. Z obu stron drogi polnej, wijącej się u stóp wzgórza, sterczały łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszane nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane albo zasłane ścierniskiem żółtem, okryte zmarszczkami zagonów, falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż po skraje niebios, usianych obłokami, nabrzmiałymi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie jak ściana krwawa, ze szczytem rozplywającym się w złocistość. Jej blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad łaskami, rozrzuconymi po wzgórzach, nad dworem zapolańskim, który wyglądał jak obrazek sielski, wymalowany na tle złoto-różowym. Naprzeciw, w stronie wschodu, wieś chłopska, długa, szara, stała we mgle lilowej, rzucając w górę kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczora i smutek jesieni; była też piękność rzadka rzeczy prostych a wspaniałych.

Zenon patrzył na ziemię, na niebo, i powoli, powoli zmysły i dusza jego zatapiać się w nich zaczęły tak, że stracił całkowicie uczucie samotności. Nie był sam jeden, bo dokoła siebie posiadał to, co kochał. Owszem, im dłużej patrzył, tym silniej i wyraźniej stawać się z nim zaczynał ten sam proces, który przed laty osiemnastu związał go na zawsze z tym kawałkiem świata. Zdawało mu się, że nim oddycha, że wzajemnie jest przez niego wchłaniany i że stanowi część jego, ściśle spojeną z innymi. Uczuł, że nie było na świecie takiej siły pociągu, któraby zdołała go stąd oderwać; że cokolwiekby znosił i czegokolwiek pragnął, tu, a nie gdzieindziej tkwić musi, jak w źródle kropla wody lub w smudze słonecznej drobina światła. Pomyślał, że był niezawodnie dla tego świata kroplą wody i drobiną światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności.

134

Niedaleko miejsca, na którym siedział, znajdowała się kępina mchów suchych, pomieszanych z igłami, odpadłymi z sosen, ze splotami gałązek, upstrzonych resztką kwiatów i liści. Pochylił ku niej głowę tak nisko, że skroni jego spoczęła na liljowym atłasie spóźnionego wrzосу. Wtedy do ucha jego dochodzić zaczęły dziwne szmery i szelesty, jakby chód robaczków w mchu i wrzosie, jakby fruwanie skrzydeł drobnych pod zeschłymi liśćmi, jakby jeszcze toczenie się powolne lub wartkie strumyków wąskich jak nitki, cieniuchnych, a niezliczonych. Strumyki te były sokami ziemi, płynącymi pod jej skorupą i rozbiegającymi się na wszystkie strony, pod pola, pod lasy, pod dwór zapolański, rysujący się na tle zorzy wieczornej, pod wioską, stojącą szarym pasem u liljowego wschodu.

Zenon słuchał tych szmerów uchem uważnym i chciwem, a niebawem począł rozpoznawać mowę ziemi, którą rozumiał, albowiem żył z tą ziemią oddawna w związku miłości wielkiej. Były w tej mowie rzeczy różne: skargi, dziękczynienia, płacze ciche, śpiewy przewlekłe, podobne do tych, które piastunki nucią nad kolebkami dzieci chorych. Były w tej mowie ziemi, oprócz szepków i szmerów, tętna pulsu potężnego, idące z głębin najodleglejszych; a bardziej u powierzchni coraz więcej uderzeń drobnych, niby serc, które żyły, pracowały, mówiły także, opowiadały...

Upłynęło chwil wiele, a Zenon wciąż słuchał, słuchał głosów, gwarów, pulsów ziemi i nabierał ich w serce tak, jak pustynia, spieczona skwarem południa, nabiera wieczornej rosy.

Kiedy nakoniec oderwał ucho od kępy mchu i wrzосу, wstał i wyprostował się, zobaczył nad zapolańskim domem wschodzący sierp księżyca. Jeden dopiero rożek srebrny ukazywał się z nad dachu, lecz rzucił na twarz wpatzonego weń człowieka promienną prawie słoneczną. Plecy jego teraz nie były zgarbione, postawę miał rzeźwą i w oczach, wzniesionych ku górze, myśl dziękczynną.

Modlił się.

— O źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wszelkiej wiedzy! Nie wątpię już o potędze twojej, bo czuję, że silnie kocham, i nie żałuję niczego, chociaż jestem bardzo smutny. Owszem, we wszechstworzeniu Twojem wiel-

135

bie smutek i ze czią przyjmuję go na ramiona, bo jest on mistrzem, który naucza ludzi, jakimi są twoje prawa i rozkazy.

oryg.

E. Orzeszkowa.

Co autorka chce odmalować w tym utworze?

WSRÓD WODY.

(Urywek.)

Rozległa równina otaczała lepiankę Zawodów. Drzew tutaj jest mało, jak w pustyni; zaledwie na tej płaszczyźnie spostrzegam kilka wierzb białych i olszyn, złotowierzb a wiklina niewyżej wzrastają od bujnych sitów dokoła jeziorzysk, bagien, rowów. Za to pełno wszędy rogoży, tataraku, trzciny i skrzypów. Ponad wodami rosną niezapominajki, błotne kosańce, krwawice, białe sagitarje. Powierzchnia wód tych znowu okrywa się kożuchem gęstej rzęsy, a z rzęsy wystrzeliły piękne, jak z alabastru rzeźbione, białe grzybienie i inne, wspaniałe rozrosłe, niby centyfolje lub kamelje, grzybienie złote.

Kiedy wiatr rozbrykany wpadnie w ajery, wyprawia muzykę w tym gąszczu ziela. I chwiewają się jak w tańcu ciemne kity oraz czerwono-brunatne pałki trzciny wodnych. Wtedy to tysiączne legiony lazurowych i szmaragdowych świtezianek czepiają się łodyg a liści tych grających roślin, i polyskując jakby ich kwiaty, w milczeniu wysłuchują muzyki, z którą przyleciał na Powiśle i Ponidzie¹⁾ wiatr, ów bard²⁾ z dalekiego kraju. Smutna jest pieśń „co z burzą przychodzi!...“ A i tej ktoś wysłuchać musi.

Ale w dni jasnej pogody bujają świtezianki ponad falami, ułożonemi w zwierciadło, oddają się miłości zachwytem, zajęciom życia znikomego: składają w wodę jajka przyszłości. Bo woda, równie jak ziemia, piastuje w sobie kolebki i mogiły życia.

W pływającym polocie pojawiają się i złotawe ważki z olbrzymimi oczyma, i jętki jednodniowe, i wątłuchne chróścioki; wszystko walczy, kocha, za dobrą sprawę umiera... Czasem z tajemniczych głębin, niby krety wodne, pod wierzech wypływają czarne kałużnice lub pływaki, a zadzi-

¹⁾ Ponidzie — brzegi Nidy. ²⁾ Bard — śpiewak średniowieczny.

966-1500

wione widokiem świata, czempredziej trwożnie na dno uchodzą... Niekiedy wygodnie jest zakopać się w błocie.

Jakieś długie, trupio wyblakłe pajaki, o ruchach niezdatnych, nastawiły sieci między liljami wodnymi i strach, mordy krwawe sieją. Płaski pluskowiec łązi na swoich szczudłach, a taki nieruchawy, że zdaje się krwi nie mieć. Powyłaziły rogate ślimaki, wytrzeszczyły dziwne oczy na słońce i zaśliniły czystość zieleni u trzciny wysmukłych. Ustawiły się po brzegach szeregiem żaby, bystro zerkają, czy jaki bocian na nie gdzie nie czatuje. One w razie niebezpieczeństwa umieją dobrze skakać i nurkować. Ta bowiem akrobatyka¹⁾ popłaca w wodzie równie jak na lądzie.

Tuż nad powierzchnią jeziora pokazał się i król tych wód, zielonawo-bury szczupak; stanął w wodzie jak martwy, patrzy straszliwie, bo bez wyrazu... Milczący tyran-morderca, obłudną maską powagi pokrywający swą dzikość, tylko ruch wody wstrząsa jego pletwami zlekka. I otyły grubokarczysty karp wyłazi ze swej pieczary; przewalił się ciężko po wodzie, jak wielki bogacz, magnat — błysnął złotą łuską, zakłócił spokój wodnej przezroczystości. Lin poruszył się z mułu, wyciąga ku górze swą czarną, aksamitną głowę, otworzył okrągłą paszczę, żądnie pochwycił jakąś zdobycz i zniknął w topieli.

A rybka młodzież, liczny zarybek hula tu gromadami; szczęście życia, swawola wiodą ten drobiazg na zgubę. Pluśnie czasem ponad wodą srebrzysta płotka, da susa kielbik, zmykający przed zawziętą pogonią żarłocznego okonia. I rak, lichota w biegu, pokazuje się niekiedy na tem pospolitem ruszeniu wszechwodnej rzeszy.

Za państwem owadów szybka ściga jaskółka brzegówka, wydając niekiedy krótki odgłos jakiegoś radosnego tryumfu lub kąpiąc ciało w przelocie. Nadbrzeżne pliszki fertycznie się zwijają, podzwaniając jeden takt piosenki; przyczajone w gęstwinach długonogie i długodziobe bekasy oraz chróściele krociami tępią rody muszek, komarów, glist i chrząszczów. Lecz oto nad brzegiem, na jakimś wpół-przegniłym pniaku usiadł grubogłowy a cienkodzioby zim-

rodek, piękny, blaskiem przepychu mieniący się samotnik; poważnie i cicho wpatruje się w wodę, niby to badacz, a jak kot czatujący, aby złowić nieostrożną rybę. I czapla z esowato wygiętą szyją, o czarnym czubie, stoi posępna, jakby los świata oplakiwała; po faryzejsku się ona zamyśla, bo celem jej życia jest tępić, gubić, pożerać, aby istnieć. Łyska czasem się mignie w wodnych zaroślach, a niedorzecznością jest mniemać, że to jej włóczenie się po ziele jest jakąś bezcelową wędrówką. Dziwne głosy kurek wodnych można podsłuchać wśród owej pozornej ciszy. Serce ci bije prawie z obawy, czy to nie są jakie nadprzyrodzone dźwięki, czy one nie pochodzą z zaczarowanych pod wodą pałaców. Lecz czyś filozof, czy poeta — szukaj prawdy, powabniejszej nad wszelkie zmyślenie: bo baki rzą, jak gdyby pod ziemią tętniło; ryby mlaskają i klaszczą w norach; zbłąkana ptaszęca matka dzieci do łona wabi; kurka wodna, z jaj spłoszona, wydaje głos trwogi, — może jej pomoc kto przyniesie w nieszczęściu.

Zresztą — gdzież niema tajemnic?... I tutaj są ich miliony. Kto wie dobrze, co na dnie jeziora porabia szezeżują, zamknięta w muszlach? Jakie są bóle i uciechy marnej żaby? Kto wie, czyją krew chłepcą pijawki? Alboż nam znane są macierzyńskie poświęcenia cyranek? Alboż po dnie wód naszych dniem i nocą nie łążą jak widma straszne potwory, równie krwiożercze jak wilki, tygrysy, hieny? Czyż w ciała wodnych stworzeń nie wpijają się inne wodne istoty? Wszakże mały pływak skrada się nieraz poćichu do olbrzyma szczupaka i straszną ranę wierci mu aż do trzewiów lub serca.

Wśród rozległych bagien, nad jeziorami, nad rzekami — człowiek się przeraża, a jednocześnie religijnie szanuje cisy tych miejscowości, jakby je uznawał za przybytek wyższych od siebie istot.

Adolf Dygasiński.

NIE SPRZEDASZ ZIEMI!

Chłop usiadł na próżnym stolku. Zaczął rozmyślać o tem, co się stało. Zgodził się sprzedać grunt Niemcom. Dotąd nie chciał, i co mu z tego? Syn w więzieniu, proces, chałupa spalona, żona umierająca.

¹⁾ Akrobatyka — zręczność gimnastyczna, umiejętność skakania na linie.

— No, sprzedom! — przemówił głośno. — To i co? Albo mi to niewolno? Przecie lepiej pójść w inne strony i kupić z piętnaście morgów rzetelnej ziemi, niż tu siedzieć na dziesięciu kiepskich. Sprzedać—to sprzedać, byle wnet...

I powstał, jakby chciał już iść do rejenta. Ale przypomniawszy sobie, że do rejenta daleko, upadł znowu na siennik i cicho śmiał się sam do siebie.

Wtem na jasnej tafli szyb zarysowała się ludzka sylwetka, jakby kto usiłował zajrzeć przez okno.

Chłop machinalnie podsunął się do okna... Popatrzył... wytrzeźwiał i wybiegł z kuchni, w sieni targnął za klamkę i owiany mroźnem powietrzem znalazł się na dworze.

Przed nim stała kobieta, zaglądając w okno. Ślimak przypadł do niej, chwycił za ramiona i szepnął z najwyższą trwogą.

— To ty Jagna? Bój się Boga! Kto cię odział? Istotnie była to Ślimakowa.

— Chodzi do dom — odrzekła — chodzi do dom. Nie chcę umierać w cudzej izbie jak komornica... Nil... Ja gospodyni... Nie chcę bratać się ze Szwabami, bo jegomość nawet trumny nie pokropi święconą wodą...

Ciągnęła go, on szedł. I tak szli oboje za wrota, w stronę zamarzłej rzeki, aby się jak najrychlej dostać do swojej sadyby.

Szli w milczeniu. Dopiero nad rzeką przystanęła zmęczona i chwilę odpocząwszy, poczęła mówić:

— Myślisz, że ja nie wiem, co cię Niemcy skusily, i chcesz im sprzedać grunt? Może nieprawda?... — dodała, dziko patrząc mu w oczy.

Ślimak spuścił oczy.

— Ty zdrajco!... Ty zaprzańcu!... — wybuchła nagle, wygrażając mu pięścią. — Ty grunt sprzedajesz? A tobyś ty samego Pana Jezusa Żydom sprzedał!... To ci się już sprzykrzyło, żeś jest uczciwy gospodarz, jako twój ojciec, i chcesz zejść na poniewierkę między ludzi?... A co robi Jędreka? Będzie chodził za cudzą sochą... A mnie jak pochowasz?... Jak gospodynię, czy jak komornicę?..

Pociągnęła go, i weszli na łód. Gdy znaleźli się na środku rzeki, Ślimakowa znowu wybuchła:

— Stój tu, Judaszul! — zawołała, chwytając go za obie ręce. — Ty jeszcze myślisz sprzedać grunt? Ja ci już

nie nie wierzę. Słuchaj — mówiła w gorączkowem rozdrażnieniu — ino sprzedasz, Pan Bóg przeklnie ciebie i chłopaka... Ten łód załamię się pod tobą, jak nie wyrzekniesz się djabelskich myśli... Ja po śmierci nie dam ci spokoju... Nigdy nie zaśniesz, bo choćbyś zasnął, wstanę z grobu i oczy ci będę odmykała... Słuchaj! — krzyknęła w napadzie szału: — jak sprzedasz grunt, nie przełkniesz Najświętszego Sakramentu, bo uwieźnię ci w gardle, albo rozleje ci się krewią...

— Jezu!.. — szepnął chłop.

— Gdzie stąpisz, trawę spali ci pod nogami... — kłęła nieprzytomna kobieta. — Na kogo spojrzysz, rzucisz urok, i spotka go wielgie nieszczęście...

— Jezu! Jezu!.. — jęknął chłop.

Wyrwał się z jej rąk i zatkał uszy.

— Sprzedasz? sprzedasz? — pytała, zbliżając swoją twarz do jego twarzy.

Ślimak potrząsnął głową i rozłożył ręce.

— Niech się co chce dzieje — odparł — nie sprzedam.

— Choćbyś miał zdechnąć na swoim barłogu?

— Choćbym zdechł.

— Tak ci Boże dopomóż?

— Tak mi Boże dopomóż i niewinna Meko Jego!..

Ślimakowa zachwiała się. Mąż pochwylił ją wpół i prawie zaciągnął do swojej stajenki, która ocalała od ognia.

B. Prus.

Treścią tego utworu jest również uczucie, przywiązanie do ziemi, lecz wyrażone z nadzwyczajną siłą.

PRZEKŁĘCI.

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła Boże,

A pokłon oddaje w służebnej pokorze

Nie Bogu na niebie, lecz cielowi złotemu.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! kto mężem, a swemu bliźniemu

Za urząd, za strawę, za lepsze jedzenie

Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem,
I gnuśny rozkoszą, w bezczynności leży,
Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczywego drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

Przeklęty! przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia,
I wodzi swój naród w manowców zakręty.

I wyrzekł lud wszystkim: — Amen.

K. Ujejski.

ŚWIĘTY BOŻE.

Któż z nas nie zna tej pięknej a tak niezmiernie ponurej pieśni?

W czasach wielkich klęsk, kiedy ziemia szaleje, i niebo na niej mścić się zdaje, w czasach głodu, wojny, ognia, morowej zarazy, wyrwa się z piersi ludzkości taki straszny krzyk błagania, prośby, rozpacz, obłędu.

Kiedy pod rok tysięczny ziemia wila się w konwulsjach, trzęsła się i rozpadała¹⁾, wojsko Ottona I, ciągnące do Włoch, widziało słońce czerwone jak szafran, a słońce dogorywać się zdawało; kiedy spiekła ogniem, strawiona ziemia nie już rodzić nie mogła, a ludzie, według opowiadań kronikarza, sami siebie pożerali; kiedy groźba sądu ostatecznego na niebie się rozluniła krwawą pożogą, wtedy powstało *Dies irae*²⁾.

A kiedy u nas Szwedzi wyniszczyli mordem i pożogą wsie i miasta, kiedy głód i zaraza wyludniły do reszty spustoszoną glebę, wtedy wyrwał się z piersi straszny jęk: Św. Boże, Św. mocny, Św. a Nieśmiertelny!

Pieśń ta — to polskie nasze *Dies irae*.

¹⁾ W roku 1000 oczekiwano końca świata. ²⁾ „Dzień gniewu Bożego”.

Trzeba ją słyszeć w małym wiejskim kościele, podczas oktawy Bożego Ciała, kiedy już przez gęsty mrok z trudem przedziera się światło świec na ołtarzu — kiedy ksiądz obróci się z monstrancją ku ludowi, a organy huczą jednym przeciągłym a odległym dudnieniem, wtedy następuje chwila, która zimnym dreszczem ciało przebiega.

Lud na kolana powalony oczekuje czegoś; coś jakby jakieś nieszczęście zawisło w powietrzu, coraz to niżej się stłacza i swym czarnym ciężarem na głowy się wali. I naraż intonuje ksiądz Św. Boże, Św. Mocny, a rykiem bólu i cierpienia odpowiada naród: „Św. a Nieśmiertelny, wybaw nas, Panie”.

Pomnę dobrze czasy cholery w 1873. roku, kiedy gromady ludzi z wszystkich okolicznych wsi chodziły po nocach od jednej wsi do drugiej z gromnicami w rękach i śpiewały wśród jęków i rozpacznych szlochań tę bolesną pieśń, — pomnę jedną chwilę w kościele, kiedy zaraza najsilniej się srożyła, a cały naród, porwany dzikim obłędem rozpacz, wyl się w konwulsyjnym płaczu i krzyku: „Wybaw nas, Panie” — ale niczem to cierpienie, kiedy wśród jęku tej pieśni biedny lud uświadamia sobie swoją nędzę, niczem ta żywiołowa rozpacz ludu, nad którym śmierć i zagłada upiorne skrzydła rozpostarła, wobec tego beznadziejnego cierpienia, tej beznadziejnej rozpacz, co rozpiera pierś samotnego człowieka w „Święty Boże” Jana Kasprowieza.

(Z kujawskiej gleby.)

Stanisław Przybyszewski.

Wskaż w tej książce utwory, nacechowane siłą.

Z PANA TADEUSZA.

Właśnie ułan, ujawszy jej dłoń lewą ręką (Prawą miał na temblaku, widać, że był ranny), Z takimi odezwał się słowami do panny:
„Zofjo, musisz to mnie koniecznie powiedzieć,
Nim zamienim pierścionki, muszę o tem wiedzieć.
I cóż, że przeszłej zimy byłaś już gotowa
Dać słowo mnie? Ja wtenczas nie przyjąłem słowa,
Bo i cóż mi po takim wymuszonym słowie?
Wtenczas bawiłem bardzo krótko w Soplicowie;
Nie byłem taki próżny, ażebym się łudził,
Żem jednym mem spojrzeniem miłość w tobie wzbudził.

Ja nie fanfaron: chciałem mają własną zasługą
 Zyskać twe względy, choćby przyszło czekać długo.
 Teraz jesteś łaskawa twe słowo powtórzyć?...
 Oczemże na tyle łaski umiałem zasłużyć?
 Może mnie bierzesz, Zosiu, nie tak z przywiązania,
 Tylko że stryj i ciotka do tego cię skłania?
 Ale małżeństwo, Zosiu, jest rzecz wielkiej wagi!
 Radź się serca własnego; niczyjej powagi
 Tu nie słuchaj, ni stryja gróźb, ni namów ciotki;
 Jeśli nie czujesz dla mnie nic, oprócz dobroci,
 Możem te zaręczyny czas jakiś odwlekać;
 Więzić twej woli nie chcę, będziem, Zosiu, czekać.
 Nie nas nie nagli; zwłaszcza że wczoraj wieczorem
 Dano mi rozkaz zostać w Litwie instruktorem
 W pułku tutejszym, nim się z mych ran nie wyleczę...
 I cóż, kochana Zosiu?"

Na to Zosia rzecze,
 Wznosząc głowę i patrząc w oczy mu nieśmiało:
 „Nie pamiętam już dobrze, co się dawniej działo;
 Wiem, że wszyscy mówili, że za mąż iść trzeba
 Za pana: ja się zawsze zgadzam z wolą nieba
 I z wolą starszych...” Potem, spuściwszy oczęta,
 Dodała: „Przed odjazdem, jeśli pan pamięta,
 Kiedy umarł ksiądz Robak, w ową burzę nocną
 Widziałam, że pan, jadąc, żałował nas mocno;
 Pan łzy miał w oczach... Te łzy, powiem panu szczerze,
 Wpadły mi aż do serca; odtąd panu wierzę,
 Że mnie lubisz; ilekroć mówiłam pacierze
 Za pana powodzenie, zawsze przed oczami
 Stał pan z temi dużemi, błyszczącemi łzami...
 Potem podkomorzyna do Wilna jeździła,
 Wzięła mnie tam na zimę; alem ja tęskniła
 Do Soplicowa i do tego pokoiku,
 Gdzie mnie pan najprzód w wieczór spotkał przy stoliku,
 Potem pożegnał... Nie wiem, skąd pamiętka pana,
 Coś niby jak rozsada w jesieni zasiana,
 Przez całą zimę w mojem sercu się krzewiła,
 Że, jako mówię panu, ustawniem tęskniła
 Do tego pokoiku, i coś mi szeptało,
 Że tam znów pana znajdzie, — i tak się też stało.

Mając to w głowie, często też miałam na ustach
 Imię pana... było to w Wilnie na zapustach;
 Panny mówiły, że ja jestem zakochana:
 Jużci jeżeli kocham, to już chyba pana“.

A. Mickiewicz.

Czy tę rozmowę narzeczonych także cechuje siła? Nie. Natomiast
 ma ona miły urok **wdzięku**.

Wdziękiem nazywamy nieuchwytny powab, czar, płynący najeżs-
 ciej z jakiejś nieokreślonej harmonji — w kwiatku, widoku, zjawisku przy-
 rody, człowieku, scenach z życia ludzi i zwierząt; — są to wrażenia po-
 godne i miłe, choćby owiane lekką melancholją, — nigdy silne i wstrząsa-
 jące. Umiejętne oddanie tego wdzięku życia znajdujemy niekiedy w stylu.

HANIA.

Wróciliśmy na herbatę wszystko troje w jak najlepszem
 usposobieniu. Stół zastawiony był pod werendą; świece,
 objęte szklanymi kielichami, paliły się migotliwem światłem,
 a śmy, rojem krążąc koło światła, tłukły się o szklane
 ściany kielichów; listki dzikiego winogrodu szeleściły, ko-
 lysane ciepłym powiewem nocnym, a za topolami wytoczył
 się wielki, złoty miesiąc. Ostatnia rozmowa pomiędzy mną,
 Hanią i Selimem nastroiła nas na ton dziwnie łagodny
 i przyjazny. Wieczór taki cichy i spokojny oddziaływał i na
 starszych. Twarze ojca i księdza Ludwika były wypogo-
 dzone jak niebo.

Po herbacie pani d'Ives zaczęła kłaść pasjans, ojciec
 zaś wpadł w jak najlepszy humor, gdyż zaczął opowiadać
 o dawnych czasach, co u niego było zawsze znakiem do-
 brego humoru.

— Pamiętam raz — mówił — staliśmy niedaleko ja-
 kiejś wioski w Krasnostawskim; noc, pamiętam, była ciemna,
 choć oko wykol (tu pociągnął dymu z fajki i puścił ponad
 świecę). Człowiek był zmęczony jak żydowska szkapa.
 Stoimy tedy sobie cicho, a wtem...

I tu nastąpiło opowiadanie dziwnych i przedziwnych
 wypadków. Ksiądz Ludwik, który już był je nieraz słyszał,
 powoli jednak przestawał palić, słuchał coraz uważniej, za-
 kładał okulary na czoło i, kiwając głową, powtarzał: „uhum!
 uhum!“ albo też wykrzykiwał: „Jezus Marja! — no i co?“
 My z Selimem, oparliśmy się o siebie ramionami, z utkwio-

nemi oczyma w ojca, łowiliśmy z chciwością jego słowa; ale wrażenia na żadnej twarzy nie malowały się tak wybitnie, jak na twarzy Selima. Oczy świeciły mu jak węgle, rumieńce były na twarz, wschodnia gorąca natura wyszła jakby oliwa na wierzch. Trudno mu było dosiedzieć na miejscu. Pani d'Ives, spojrzawszy nań, uśmiechnęła się i pokazała go oczyma Hani, a potem obie poczęły mu się przypatrywać, bo bawiła je ta twarz jakby zwierciadło albo szyba wodna, w której odbija się wszystko, co tylko zbliży się do przezroczystości.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem się oprzeć rozrzwinięciu. Wiele fal na wodzie a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydlata ustawicznie przesuwając mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichej nocy letniej i takiej rodziny zgodnej, kochającej się, szczęśliwej; stary, posiwiały weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach; u młodych skrzę się oczy, dalej jedna twarzyczka jak kwiat polny... Hej, dużo fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu.

H. Sienkiewicz.

PRELUDJUM CHOPINA.

(Wniebowzięcie.)

I.

Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę.
Mglę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;
Fijołkowej woni
Opływam mnie morze,
Dłoń złożysz w dłoń,
Lecę, płynę gdzieś...

II.

Nie wiem, gdzie, czym jestem —
Czym anioł napoty?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.
Chyba Bóg określi
Moją słodycz, — Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli
I serca nie wskrześ!

K. Ujejski

Czy w tym urywku jest wdzięk?

JAGODA.

Po brzozowym cichym lesie
Dziewczę idzie, dzbanek niesie —
Niesie dzbanek z jagodami,
Z jagodami borówkami.

A dla Boga, co się dzieje?
Kto się śmieje? Las się śmieje —
Kłaniają się przed nią drzewa,
Ona śpiewa, i las śpiewa.

Więc przystanie, dech zatrzyma,
Patrzy wkoło — i nic niema.

Dzieciol, co ma dziobek spory,
Przysiadłże się też do kory,
A wiwilga coraz świeżnie —
Gęstwa, ledwie się przecisnę. —
Z pod jałowca zając skoczy,
Z otwartymi śpiącej oczy.
— Mój zając, nie bójże się,
Ja borówki zbieram w lesie.
A toż ja ci nie przeszkodzę,
Że ze dzbankiem sobie chodzę.
Gdybyś był nie uciek w chrósty,
Dałabym ci liść kapusty,
Jak królikom, kiedy z jamki
Wyjdą zrana stare samki,
A za niemi ich przychówek
Powymyka się z kryjówek.
Stara matka uchem strząśnie,
Przybliży się, liścia kąśnie,
I powoli się oswoja,
Że i Burka się nie boja.

Już powiadam, że uciecha —
Oj, frunęło coś z orzecha,
Z czubka drzewa, co się chwieje,
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.

Nocą spadły świeże deszcze,
Bo się kropki świecą jeszcze;
Coś załata, cości słyhać,
Że aż chce się piersiom dychać;
A na wrzósie, co mnie moczy,
Jak perełki stoją oczy.

Jagódeczko, pójdz do dzbana,
Danaż moja, dana, dana...

Śpiew.

Miała matka dwie sieroty:
Chłopiec starszy, siedmiolatek,

Jak aniołek jaki złoty,
Co otwiera drzwi do chatki

W koszulinie, zawsze bosy,
Przepasany wąską krajką,
Opalone białe włosy,
Bóg wie, gdzieby szedł za bajką.

A dziewczyna jakby fryga,
Nigdzie miejsca nie zagrzała,
O! śpiewała, o! biegła,
Tylko że się w oczach miga.

Dobrze tym, co mają matkę:
Miłe życie, czas wesoły,
Lecz gdy znajdzie wóz przed chatką,
Zaprężony w siwe woly,

I kościelny dziadek stary
Od dzwonnicy linkę chwyci:
Za cmentarzem dzionek szary
Smutną zorzą się rozświeci...

I krzyżyków tyle, tyle
Pokaże się z poza płoty,
I sieroty na mogile...
Były we wsi dwie sieroty...

Jak załata Boże ziółko...
Gdzie tak spieszo, pani pszczołko?
Już za sosną, już za górką!
Przyjdiesz do mnie na podwórko.
Jak mateńka miód wysyci,
To się przecież coś zachwyci.

Danaż moja, dana, dana...
Gdybym była poszła zrana,
Kiedy świat był w cieniu grubym,
To już byłby dzbanek z czubem.

Już południe, słyhać dzwonki,
Stary pastusz spędza z łąki:

To Pawłowa — to graniata,
Co kołatkami tak kołata;
A to nasza krówka goni,
Co jej dzwonek cienko dzwoni.
I od gaja aż do gaja
Rozlega się ryk buhaja;
Jak zobaczy cudze chłopię,
Zaraz staje, ziemię kopie,
A Burek go łap za nogę:
— Nie przestępuj ludziom drogę!
Dobre psisko, nie napada
Na starego ze wsi dziada,
Ale za to jak posłyszysz:
— Pójdź tu, Burek, myszy, myszy!
Toż pod siebie ziemię spycha!
Kopie, kopie, potem kicha.

Coraz dalej dzwonki dzwonią,
A brzęk leci równą błonią.

Śpiewa.

Pożegnała siostra brata,
Pożegnała temi słowy:
— Kiedy idziesz za kraj świata,
Mój braciszku, bywaj zdrowy.

Jak za siódmą będziesz rzeką,
Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,
Albo ja wiem, jak daleko,
Obejrzyj się w nasze strony.

Gdzie nad chatą rozwaloną,
Nad kominem het, wysoko,
Takie nieba jasne łono
Jak nieboszczki matki oko.

Nie oglądaj się na cztęka,
Ni na swoich, co już w grobie,
Ale bracie, wspomnij sobie,
Że cię nasze niebo czeka.

Rosną wierzby nad wodami,
Nad zieloną pochyłością;
Kto pożegnał się ze łzami,
Ten powita się z radością.

Bywaj zdrowy, bywaj zdrowa!
Smutno świeci zachód złoty,
Długa żalosość, krótkie słowa:
Żegnały się dwie sieroty.

Danaż moja, dana, dana...
Jagódeczko, pójdź do dzbana.
Jakoś idzie mi powoli,
A tu trzeba kupić soli.

Latoś¹⁾ było co niemiarą, —
Dziwiła się matka stara,
Że jak tylko w gaik wpadnę,
Wnet borówki niosę ładne.
A ja wcale się nie siłę —
Wszędzie pełno, gdzie się schyle,
Rumienia się wkoło przy mnie:
— Weźże i mnie, weźże i mnie,
I ja świeża, i ja świeża, —
I już dzbanek po wybrzeża.
I mówiła mi jagódka:
— Zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja
A ja kładę do kozubka²⁾: [słodka.
— Tyś dla matki, moja lubka.
Ja dziewczyna niełakoma,
Dadzą mi, jak wrócę doma.
A dziś chodzę dzionek cały, —
Czyby ptaki wydziobały?
Oj, wy ptaki nienasyte,
Widzę ja was, choć ukryte.
Dziwuje się, kręci główką,
Nie pocieszysz się borówką.
Oto widzisz, że nie twoja,
Tylko Bóska, potem moja.

Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko, pójdź do dzbana.

Śpiewa

Płyną wody za wodami,
I z gałązek liść obłata,
Sieroteczka za górami
Przewędrowała kawał świata.

A chociaż mu nie zbywało
Ani soli, ani chleba,
Ale wszystko to za mało,
Bo swojego nie miał nieba.

I napisał liścik drobny
Złotoocznem piórkiem pawia,
Ale taki niepodobny,
Że co słówko, to zakrwawia.

Niby nie mu nie potrzeba
Nad wodami, nad cudzemi,
Ale chciałby krzynek nieba
I wietrzyka z swojej ziemi.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisała mało wiele:
Tyś braciszek, ty jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim cielem.

I co przyszło jej do głowy,
Wypisała wszystko na nim,
Teraz, wietrze, cichem wianiem
Zanieś listek kalinowy...

NA WIEŚ.

W salach dworca Krakowskiego było ludno i gwarno.
Tragarze znosili kufry i pakunki, na twarzach tłoczących
się ludzi uderzało zaniepokojenie i gorączkowa niecierpli-
wość. Rozkazy, pożegnania, ostatnie przypomnienia, wypo-
wiadane krótko, nerwowo, krzyżowały się nieustannie.

Przeleciałam kawał lasu,
Zarosiłam się do pasu,
Trzeba wracać, — bywaj zdrowy,
Mój gaiku brzeziny.

Spiesz dziewczę drogą z lasku,
Dobrze nogom w ciepłym piasku,
A wciąż jedną nutę nuci.
Czyż jej piosnka nie porzuci?
Nie porzuci, trudna rada,
Z wschodnim wiatrem na nią spada,
Między myśli jej się płacze:
— Skończ mnie, skończ mnie!
— [Nie, nie skończę!

Śpiewa:

Miała matka dwie sieroty...
Chłopiec starszy, siedmiolatek...
Cicho, piosnko, dosyć psoty.
Najciekawszy był ostatek:
Coś o koniu, o szabelce,
Najpiękniejszy koniec dzieła.
Ja sam ciekaw byłem wielce,
Lecz dziewczyna się zawzięta
I ustami różanemi
Szeptala, jak woda zdroja,
Cichy pacierz: „Wola Twoja,
Jako w niebie, tak na ziemi”.
T. Lenartowicz.

1) Latoś — tego roku. 2) Kozubek — kobiałeczka.

Przed okienkiem kasy, na którem umieszczono na białej tablicy napis: „Do Lwowa“, tłoczyła się garstka ludzi. Bracia nasi możeszowego wyznania w energii ruchów i błyskawicach wzroku zdradzali lekliwą obawę spóźnienia się, połączoną z chęcią natychmiastowego kupna biletów.

Zapał ich mitygował¹⁾ policjant, stojący tuż przy kasie.

— Ratusz mnie pan! — zawołała młoda dziewczyna, prasowana przez czterech synów Izraela o żółtych brodach.

— Co to, niewolno kupować bilety? — zaprotestował²⁾ jeden z Żydów, wyciągając rękę, aby się uchwycić okienka kasy.

— Powiadam, rozstąpić się! — powtórzył stróż bezpieczeństwa i tak zresztą zapanował, że dziewczyna znalazła się przy okienku.

Ze strony Izraela wyszedł protest. Jeden z nich wspominał o gwałcie.

Reprezentant siły i władzy przyjął protest z ironicznym uśmiechem litości, zmienionym w pewien zachwyt, gdy przed nim stanęła uwolniona z pod prasy dziewczyna, pokazując w ręku kupiony bilet, a z poza różowych ust białe, równe zęby.

— A teraz którą? — spytała. — Przyjeżdżałam już raz, ale jakoś sobie zapomniałam.

Stróż prawa doprowadził ją do trzeciej klasy, wskazując na szklane drzwi.

— A proszę wracać — odezwał się wesoło, salutując.

— Za tydzień! Do widzenia! — dodała, odwracając się od drzwi.

Młodzieniec w kasku, z półksiężycową blachą pod szyją, podkreślił w górę wąsa; dziewczę znikło za szklanymi drzwiami.

Na peronie wielki ruch. Ludzie przebiegali od wagonu do wagonu, wołali na konduktorów, tłoczyli się, wchodzili i wychodzili, żegnali się, całowali, śmiali i płakali.

Porwana wirtem dziewczyna biegła z jednego końca pociągu na drugi, powtarzając.

— Do Słotwiny, do Słotwiny!

Nikt jej nie odpowiadał, nikt się nią nie zajmował.

¹⁾ Miarkował, uspakajał. ²⁾ Wyrażać, że na coś się nie zgadzamy.

Gromadka dzieci Izraela, szwargocząc, szła żywo na sam koniec pociągu. Dziewczę pobiegło za nimi.

— Do Słotwiny! — zawołała żałośnie, wystraszona.

— Do Słotwiny? tu, tu — wskazał ręką na otwarte drzwi pustego wagonu oderwany od gromadki Żydek.

Dziewczyna postawiła na ławce wagonu koszyk i, chwytając się żelaznych prętów, wsiadła. Odetchnęła całą pierśią i rozśmiała się. Już jej nie odjadą, nie spóźni się, zajędzie na czas... Usiadła, ocierając pot z czoła chusteczką.

Radość i szczęście promieniały jej z twarzy; nie mogła usiedzieć, — wstała, przechadzając się zwolna po pustym wagonie.

Do drzwi zbliżył się hamownik¹⁾ z czerwoną chorągiewką i niebieską czapką na głowie.

Dziewczę, aby się upewnić, zapytało:

— Czy w dobrem miejscu usiadłam?

— Kiedy panienska stoi.

Rozśmiali się oboje.

— Wszystko jedno, ale czy dobrze?

— A dokąd?

— Do Słotwiny.

— Doskonale.

— Dziękuję.

— Czy do samej Słotwiny?

— Dalej, będzie jeszcze z półtorej mili w góry.

Konduktor, biegnąc, zamykał wagony, trzaskając drzwiami.

Dziewczyna wystraszona, odskoczyła. W tej chwili rozległ się odgłos dzwonka.

— Gotów! — powtórzono trzy razy. Wąska siatka, oddzielająca wagony od publiczności, spuszczała się ku dołowi. Wagon szarpnęło tak silnie, że dziewczyna, nie mogąc się utrzymać na nogach, usiadła. Koła zaczęły się obracać, pociąg zwolna, cicho poruszał się. Wyjechał z dworca.

Sewer.

W tem opowiadaniu uderza nas *żywość*.

Żywością stylu odznaczają się utwory, w których zdarzenia i myśli następują po sobie w szybkim tempie. Autor pisze wtedy krótkimi zdaniami, opuszcza wyrazy (elipsa), unika zdań dłuższych, nie używa

¹⁾ Hamownik albo brekownik, oficjalista hamujący pociąg.

wcale okresów i posilkuje się często zwrotami krasomówczemi, co w wysokim stopniu przyczynia się do żywości stylu. Przedewszystkiem jednakże przymiot ten wynika z żywości usposobienia piszącego.

Określ styl w następujących wyjątkach.

Z PANA TADEUSZA.

Opowiadanie Rejenta.

Inaczej się bawiono w drugim końcu stoła,
Bo tam, wzmógłszy się nagle, stronnicy Sokoła
Na partję Kusego bez litości wsiedli;
Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli,
Stojąc i pijąc, obie klóciły się strony,
A najstraszniej pan Rejent był zaciętrzewiony;
Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował
I gestami ją bardzo dobitnie malował.
(Był dawniej adwokatem pan Rejent Bolesta,
Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta.)
Teraz ręce przy boku miał, wtył wygiął łokcie,
Z pod ramion wytknął palce i długie paznogie,
Przedstawiając dwie smycze chartów tym obrazem.
Właśnie rzecz kończył: „Wyczha! puściliśmy razem
Ja i Asesor razem, jakoby dwa kurki
Jednym palcem spuszczone u jednej dwururki;
Wyczha! poszli, a zając jak struna smyk w pole,
Psy tuż (to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole
I palcami ruch chartów przedziwnie udawał),
Psy tuż, i het od lasu odsadzili kawał.
Sokół smyk naprzód; rączy pies, lecz zagorzalec,
Wysadził się przed Kusym o tyle, o palec.
Wiedziałem, że spudłuje. Szarak, gracz nielada,
Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
Gracz szarak! Skoro poczuł wszystkie charty w kupie,
Pstręk na prawo koziołka, z nim w prawo psy głupie,
A on znowu fajt na lewo, jak wytnie dwa susy,
Psy za nim fajt na lewo: on w las, a mój Kusy:
Cap!“ Tak krzycząc, pan Rejent na stół pochyłony,
Z palcami swemi zabiegł aż od drugiej strony
I „cap!“ Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem.

A. Mickiewicz.

Z BARTKA ZWYCIĘZCY.

(Wyjątek.)

W sercu Bartka strach, niecierpliwość, rozpacz zlały się w jedno uczucie wściekłości, a gdy usłyszał ową muzykę, to każda żyłka wyprężyła się w nim, jak drut żelazny. Zapomniał o świecie, o tem, że „raz kozie śmierć“, i chwyciwszy w potężne łapy karabin, skoczył z innymi naprzód. Dobiegłszy wzgórza, dojrzał wreszcie trzech naraz przy chorągwi. Byli to turkosy. Dopadł do nich, i oni z wyciem rzucili się ku niemu.

W tej chwili trzeciemu, który trzymał chorągiew, podbiegło na pomoc z dziesięciu towarzyszy. Bartek jak furja rzucił się na wszystkich razem. Dali ognia — błysnęło, huknęło, i jednocześnie w kłębach dymu zagrzmiał chrapliwy ryk Bartka:

— Chybiliście!

I znów karabin w jego ręku zatoczył łuk straszliwy. Znów jęki odpowiedziały ciosom. Turkosi cofnęli się w przerażeniu na widok tego oszalałego z wściekłości olbrzyma, i czy się Bartek przesłyszał, czy też wołali coś po arabsku, dość, że wyraźnie mu się zdawało, iż z ich szerokich warg wychodzi krzyk:

— „Magda! Magda!“

— Magdy wam się chce! — zawył Bartek i jednym skokiem był w środku nieprzyjaciół.

Szczęściem w tej chwili Maćki, Wojtki i inni Bartkowie przybiegli mu na pomoc. Wśród gęstwiny winogrodu zawiązała się bitwa ścisłona i tłumna, której wtórował trzask karabinów, świst nozdrzy i gorączkowy oddech walczących. Bartek szalał, jak burza. Osmalony dymem, oblany krwią, podobniejszy do zwierzęcia, niż do człowieka, niepamiętny na nic, każdym uderzeniem przewracał ludzi, łamał karabiny, rozwałął głowy. Ręce jego poruszały się z straszną szybkością machiny, siejącej zniszczenie. Dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznemi palcami za gardło. Oczy chorążego wyszły na wierzch, twarz nabrzmiała, zacharczał, i ręce puściły drzewiec.

— Hurra! — krzyknął Bartek i, podniósłszy chorągiew, zakolysał nią w powietrzu.

Ten to wznoszony i upadający sztandar widział z dołu generał Steinmetz.

Ale mógł go widzieć tylko przez jedno mgnienie oka, bo w drugim — Bartek tą samą chorągwią śtrząsał już jakąś głowę, nakrytą kepi ze złotym sznurkiem.

Tymczasem towarzysze jego skoczyli naprzód.

Bartek został przez chwilę sam. Obdarł sztandar, schował go w zanadrze i, schwyciwszy oburącz drzewce, rzucił się za towarzyszami.

Gromady turkosów, wyjąc nieludzkimi głosy, uciekały teraz ku stojącym na szczycie wzgórza armatom, za nimi zaś biegli Maćki, krzycząc, goniąc, tłukąc kolbami i bagnetami.

Zuawi, stojący przy armatach, powitali jednych i drugich karabinowym ogniem.

— Hurra! — krzyknął Bartek.

Chłopi doszli do armat! Zawiązała się przy nich nowa bitwa na białą broń. W tej chwili też drugi pułk poznański nadbiegł na pomoc pierwszemu. Chorągwiane drzewce w potężnych łapach Bartka zmieniło się teraz w jakieś piekielne cepy. Każde ich uderzenie otwierało wolną drogę w ściśnionych szeregach francuskich. Przerazenie zaczęło ogarniać zuawów i turkosów. W miejscu, w którym walczył Bartek, pierzchali. Po chwili pierwszy Bartek siedział już na armacie, jak na pognębińskiej kobyle.

Ale nim żołnierze mieli czas dostrzec go na niej, on już siedział na drugiej, przy której znów obalili chorążego z chorągwią,

— Hurra, Bartek! — powtórzyli żołnierze.

Zwycięstwo było zupełne. Zdobyto wszystkie kartaczoownice. Pierzchająca piechota, wpadłszy po drugiej stronie wzgórza na nowy pruski pułk, złożyła broń.

H. Sienkiewicz.

POWRÓT DO DOMU.

Z Pana Tadeusza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek, I obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.

Wysiadł z powozu; konie, porzucone same,

Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.

We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto

Zaszczepekami i kolkiem zaszczepekki przetknięto.

Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,

Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.

Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście Kończył nauki — końca dōczekał nareszcie.

Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne

Ogląda czule, jako swe znajome dawne.

Też same widzi sprzęty, też same obicia,

Z którymi się zabawiać lubił od powicia;

Leoz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdaly.

I też same portrety na ścianach wisiały:

Tu Kościuszko w czamarcie krakowskiej, z oczyma

Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;

Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,

Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,

Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie

Siedzi Rejtan, żaloszny po wolności stracie;

W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,

A przed nim leży Fedon i żywot Katona.

Dalej Jasiński, młodzian piękny i posepny.

Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny,

Stoją na szafkach Pragi, na stosach Moskali,

Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali.

Nawet stary stojący zegar kurantowy

W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy

I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,

By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty,
Gdzie mieszkał, dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty.

Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice

Po ścianach: w tej komnacie mieszkanie kobiece!

Któżby tu mieszkał? Stary stryj nie był żonaty,

A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.

To nie był ochmistrzyni pokój. Fortepiano,

Na niem nuty i książki; wszystko porzucano

Niezbale i bezładnie: nieporządek miły!

Niestare były rączki, co je tak rzuciły!

Tuż i sukienka biała, świeżo z kołka zdjeta

Do ubrania, na krzesła poręczu rozpięta,

A na oknach donice z pachnącemi ziołki:

Geranium, lewkonja, astry i fijołki.

Podróżny stanął w jednym z okien; nowe dziwo:

W sadzie, na brzegu, niegdyś zarosłym pokrzywą,

Był maleńki ogródek, ścieżkami porznięty,
 Pelen bukietów trawy angielskiej i mięty.
 Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany plotek
 Polyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek;
 Grządki widać, że były świeżo polewane;
 Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
 Ale nigdzie nie było widać ogrodniczki;
 Tylko co wyszła, jeszcze kołyszą się drzewiczki
 Świeżo trącone; blisko drzwi ślad widać nóżki
 Na piasku: bez trzewiczka była i pończoszki.
 Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu,
 Ślad wyraźny, lecz lekki: odgadniesz, że w biegu
 Chybkim był zostawiony nóżkami drobnymi
 Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi. *A. Mickiewicz.*

Zastanów się, czy takie są uczucia młodzieńca, który wita dom rodzicielski? Czy odmalowane są tutaj **z prawdą**?

Mówiliśmy, iż **naturalność** polega na swobodzie i szczerości wypowiadania swych myśli i uczuć. Lecz utwory utalentowanych pisarzy cechuje inna jeszcze naturalność: to doskonała **prawda** w odtwarzaniu ludzi różnych typów, którzy myślą, czują i działają zgodnie ze swym charakterem i usposobieniem i mówią właściwym sobie językiem.

Wymaga to głębokiego wniknięcia w duszę każdej postaci. Żeby odtworzyć duszę innego człowieka, pisarz musi mieć wielką inteligencję, bogatą wyobraźnię, a nade wszystko tak zwane współczucie psychologiczne (dar odczuwania innych ludzi).

Przeczytaj rozmowę Hrabiego z Zosią (str. 3), rozmowę dzieci „Na bezludnej wyspie” (str. 8), „Z grzechów dzieciństwa” (str. 12), „Spowiedź Anielki” (str. 15) i zastanów się nad tem, czy te postaci są **naturalne**, prawdziwe.

Z SIEROCEJ DOLI.

(Wyjutki.)

Położenie Jasia było rozpaczliwe. Nie robił nic po całych dniach, a z chłopcami bawić się nie śmiał. Chętnie zgodziłby się czyścić buty swoim przybranym braciszkiem, lecz na to nikty mu nie pozwolił, jako przybranemu synowi. Synostwo to nie przeszkadzało jednak, że kiedy przyszli goście do państwa Karolów, wówczas pani wyprawiała Jasia do jego pokoiku, gdzie mu przynoszono jedzenie.

Chłopiec był prawie bliski obłędu. Z dziecińczych lat zostało mu przykre wspomnienie domu pana Piotra, którego dziś żałował. Biegał tam wprawdzie boso, ale biegał, gdzie

mu się podobało. Pan Piotr wybił go czasem, lecz za to ucałowała go matka. Miał się też z kim bawić: w najgorszym razie z psami. A tu i psów nie było.

Z powodu braku wrażeń i zajęcia chłopczyzna zaczął marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególnie o szarej godzinie, przemykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze na wsi, w pokoiku matki, u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogrodu. To znowu, że w kącie siedzi jeden z dwu kotków i oblizując łapę, mruczy pacierz. Za chwilę odległy szmer uliczny przenosił go do Warszawy, i wówczas Jaś marzył, że słyszy klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy, i że matka siedzi o krok od niego.

Gdybym tylko otworzył oczy — myślał Jaś, — zarazbym ją zobaczył. Ale nie chcę, bo mi się nie podoba, i wolę siedzieć z zamkniętymi oczyma!

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie swego pokoju czarne kontury okiennych ram, podobnych do krzyża, a raczej do dwóch krzyżów. Wtedy niewiadomo skąd przychodziły mu słowa: „Kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje”.

— Krzyżyki!... Krzyżyki!... — myślał Jaś i czekał na matkę.

Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę... dwie... kwadrans... Widać, że schody urosły, bo takie są długie, jak stąd do nieba, a matka przejść ich nie może... Jaś jednak czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichem stąpieniem.

O matko! dlaczego idziesz tak powoli?... O matko! śpiesz się i wyrwij syna z sieci szaleństwa, które go otacza ze wszystkich stron!...

Niekiedy gorączkowe dumania sieroty przerywało gwałtowne wejście lokaja i wyrazy:

— Na herbatę!

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokoju, zastanie Antosia, Józia, Manię, zobaczy jowialną twarz pana Anzelma i usłyszy jego gruby śmiech, a matka każe mu usiąść na wysokiem jak drabina krzeselku i podać zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem.

Z takimi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokój. Nagle zalały go potoki światła i ujrzał zamiast matki, piękną i surową panią Karolową, a zamiast pana Anzelma, zimną i dystygowaną twarz pana Karola.

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany.

Wyjazd państwa Karolów na lato obudził w sercu Jasia niepohamowaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodół, kryte słomą, dwór, wyglądający z poza ciemnozielonych liści, a wkońcu Antosię, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki oni jedni pozostali mu tylko na świecie. Przypominał sobie rozstajne drogi, rozwaloną kapliczkę i pożegnał nie pana Anzelma. Wszakże od tych rzeczy nawet rok nie upłynął!

Myśli te obudziły w nim jak na jego wiek bardzo dziwne postanowienie, i otóż zapragnął do pana Anzelma napisać list. Pamiętał nazwisko poczty, z której pan Anzelm odbierał pisma, i wiedział, że przy bramie kamienicy, w której mieszkał obecnie, wisiała pocztowa skrzynka. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął papier, położył go i zaczął:

Kochany panie.

Mama chciała pisać do pana, ale już umarła...

Przeczytawszy te wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnymi łzami. Już umarła!... Jakie straszne słowo, — i to on sam je napisał!...

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery niejednokrotnie rozpląwały się we łzach. Wreszcie po kilku dniach rzucił zaadresowany list do skrzynki, a wkrótce potem przechodzący przez pocztę w szafce nieopłaconych korespondencji widzieć mogli adres, pisany ręką dziecięcą:

Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce... żeby prędko doszedł.

Zabawny ten adres był mimo to dokładny, — na nieszczęście jednak na kopercie nie było marki!... List musiał przepaść, choć kto wie, czy od niego nie zależała przyszłość, a nawet życie Jasia.

B. Prus,

MŁODOŚCI MOJA!

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!

Prowadź do celu i drogą cierniową,

Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,

Bylem nie żółtwiem był, ale sokołem.

Młodości moja! i nad moim czołem

Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,

Bylem narodu został ulubieńcem...

Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!

Ostoń me piersi przed niemęską trwogą:

Niechaj jak magnes siłami się wzmoga,

Kiedy je cierpień ciężary obarczają.

Chociaż pioruny nade mną zawarczą,

Niech jak chorąży przed moim narodem

Z sztandarem wiary postępuję przodem...

Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

K. Ujejski.

Przy odtwarzaniu uczuć i myśli niepowседневych, wielkich, unoszących człowieka ponad poziom codziennych, egoistycznych zabiegów — styl bywa **wzniosły** np.:

MODLITWA KSIĘDZA PIOTRA ZA GRZESZNIKA.

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,

Sługa już spracowany i niegodny na nic:

Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,

A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary;

On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe imię.

Módlmy się. Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

Mickiewicz.

Z PSALMU DOBREJ WOLI.

...Ojcze, Synu, Duchu!

O Ty najdroższy, wszędzie utajony,

Widny z za światów przejrzystych opony,

Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,

W serc i gwiazd wszelkich mieszkający ruchu,

Co tak gwiazd bunt rozwiewasz na szczęty,

Jak serc przewrotność — Ojcze, Synu, Duchu,

Ty, coś rozkazał człowieczej iściźnie,
By nędzna siłą i kolebką małą,
Przez moc ofiary się wywierała —
I polskiej naszej rozkazał Ojczyźnie,
By wiodła w miłość i mir ludy bliźnie: —
Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
A światu męscy; — my, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim, —
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen Twych skąpani dmuchu,
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły — z dusz wypłen kłakole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego — samych wskrzesić siebie!

Z. Krasiniski.

Wybierz inne urywki, nacechowane wzniosłością.

JEDNOŚĆ NARODU.

Jedność narodu — o! niech przyjdzie ona i niech ręce
swe słodkie położy na skroniach naszych — żar nienawiści
wzajemnych i uraz wzajemnych z dusz naszych na zawsze
usunie...

I niech olśni oczy nasze pięknoscią swoją, i niech
wzbudzi w nas miłość ku sobie.

By nam to wszystko, co jej się sprzeciwia, wstrętnem
się zdało, by zbrodnią było odtąd dla nas wszystko, co
przeciwko niej jest...

Niech przyjdzie ona i niech powie nam one słowa
pokoju, które zażegnają burze nienawiści i niezgód...

I niech rosą cichą, świetlaną, rzeźwiącą słowa jej
płyną na naród nasz biedny, znękany, zmęczony, a tak
wielką jeszcze pracę mający przed sobą...

I niech tęczą barwną, co zwiastuje słońca promienie,
oświeci nam niebo chmurne — i smutne...

Niech przyjdzie...

(Urywek.)

ŚMIERĆ KONRADA WALLENRODA.

Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci,
W dzikich widokach i w nagłonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy;
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada...
Cień krąży dalej i cichymi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada.
Głos tylko słyszał: „Biada, biada, biada!”

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślał chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnym okiem:
Pusto dokoła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał.
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzucony;
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była.
— Dzień dobry! — krzyknął, — przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą;
Teraz dzień dobry! — jaka wróżba miła!
Pierwszy dzień dobry — po latach tak wielu!
Zgadnij, dlaczego przychodzę tak rano?

„Nie chcę zgadywać; bądź zdrow, przyjacielu!
Już nazbyt światło, — gdyby cię poznano...
Przestań namawiać. — Bądź zdrow, do wieczora;
Wyniść nie mogę, nie chcę“.

Alf.

„Już nie pora!
Wiesz, o co proszę? — Zrzuć jaką gałązkę,
Nie — kwiatów nie masz, więc nitkę z odzieży,
Albo z twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży.
Chcę dzisiaj — jutra nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
Na którym jeszcze świeża łezka płonie;
Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnaniem wyrazić...
Mam zginąć wkrótce, nagle — zgińmy razem!
Widzisz tę bliską przedmiejską strzelnicę?
Tam będę mieszkał. Dla znaku co rano
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświecę:
Tam wiecznie patrzaj. Jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona —
Zamknij twe okno, może już nie wrócę.
Bądź zdrowa!“ —

Odszedł i zniknął. Aldona

Jeszcze pogląda zwieszona u kraty.
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jej białe, z wiatrem igrające szaty
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

„Zaszło nakoniec“, rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana,
Siedział, patrząc w okno pustelnicy.

„Daj mi płaszcz, szablę. Bądź zdrow, wierny sługo,
Pójdę ku wieży. Bywaj zdrow — na długo,
Może na wieki. — Posłuchaj, Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę — opuść to mieszkanie.
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...
Jakżem samotny! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nie powiedzieć
W godzinę skonu — prócz jej i prócz ciebie!...
Bądź zdrow, Halbanie! Ona będzie wiedzieć —
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóż to? słyszysz?“ — W bramę kołatano.

„Kto idzie“ trzykroć odzwierny zawołał.
„Biada!“ krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne, pokręcone schody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeciędzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Podszedł ku oknu: „Stało się!“ zawoła,
Nalał i wypił. „Starcze! w ręce twoje!“

Halban pobladnął. Chciał skinięciem ręki
Wytrącić napój — wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki, —
Opuszcza rękę: „To oni — już przyszli“.

„Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegoś myślisz? Masz nalaną czasę —
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze!“

Halban poglądał w milczeniu rozpaczny:
„Nie, — ja przeżyję i ciebie, mój synu!...
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć, ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki!
Obiegę Litwy wsie, zamki i miasta,
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.“

Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości..."

Na poręcz okna Alf ze łzami pada
I długo, długo ku wieży spoglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzeć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana; westchnienia mieszała
W ostatniem długiem, długiem uściśnieniu.
Już u wrzeczadźwów słychać łoskot stali —
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu.
„Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żaluj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!”

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, ślania;
Wsparł się na oknie i, tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszc, mistrza znak na ziemię miotą,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:

„Oto są grzechy mojego żywota!...
Gotowym umrzeć; czegoż chcecie więcej?...
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?...
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierzawy!
Słyszycie? wicher pędzi chmury śniegów, —
Tam marzną waszych ostatki szeregów!
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady...
One się gryzą o szczątki biesiady!

„Ja to sprawilem! Jakem wielki, dumny!
Tyle głów hydry jednym ściąg zamachem,
Jak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem!”

Rzekł, spojrzął w okno i bez czucia pada, —
Ale nim upadł, lampę z okna ciska, —
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.

W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni wielki krąg światła roztoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy:
Już pobielają — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...
Z czyjej to piersi? Wy się domyślcie;
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu:
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną, mieszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki,
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Mickiewicz.

Gdy człowiek niepospolity, w dążeniach do wielkich celów walczy
z przeciwnościami potężniejszymi od jego największych wysiłków, i na-
koniec złamany — ginie, los jego jest tragiczny.

Wyras tragiczny pochodzi od słowa „tragedja“, t. j. utwór drama-
tyczny, przedstawiający taką właśnie walkę człowieka z przeciwnościami.
Tragiczność spotykamy często w życiu.

Gdy ginie człowiek niepospolitych zdolności i siły charakteru, pra-
gnący oddać te skarby dla wielkich celów i pasujący się z losem, który
obarczył go obowiązkami i zaprzął do powszedniej pracy zarobkowej —
to **tragiczność**.

Życie matki, dobywającej sił wszystkich, aby ocalić dziecko, do-
tknięte nieuleczalną chorobą — to też **tragiczność**.

Niezawsze bohater tragiczny jest człowiekiem szlachetniejszym od
ogółu, lecz silniejszym musi być zawsze, gdyż człowiek pospolity nie
odważyłby się rozpocząć tak trudnej walki.

Wytłumacz, na czem polega tragiczność w Konradzie Wallenrodzie
i następujących urywkach.

Z LILLI WENEDY.

Autor maluje walkę Wenedów z zaborczymi Lechitami, którzy przybyli
wydrzeć im ziemię. Król Wenedów, Derwid, został wzięty do niewoli; mi-
łością i poświęceniem uwalnia oślepnego starca młodsza córka, Lilla.
Nieszczęsny Derwid wraca, lecz bez świętej, czarodziejskiej harfy, której

pieśni ma zapewnić Wenedom zwycięstwo. Za harfę Lilla siebie oddaje w niewolę. Udała się po nią do obozu wrogów.

(Roza Weneda, starsza córka Derwida, kapłanka, — Lelum i Polelum — synowie Derwida.)

Monument z druidycznych¹⁾ kamieni w lesie. Derwid na tronie kamiennym, wokół dwunastu harfiarzy; na dwunastu siedzą kamieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia, w ziemię zatknięta. Roza Weneda stoi za ojcem przy tronie. Dąb Derwidowy na prawo.

Derwid. Cóż! jeszcze niema harfy, a ja słyszę
Jęki narodu i szelest płynącej
Krwi — Jeszcze niema harfy — o! bogowie!

Wchodzi Wened ranny.

Wened. Przybiegłem ranny — Lechici nas łamią!
Lud czeka pieśń.

Derwid. O! Boże! o! Boże!

Wened. Ja konam, królu — graj pieśń... ja umieram.

Pada i kona.

Derwid, *wstając na tronie i rwąc włosy.*
Pioruny, bijcie we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje to puch, jak te włosy,
Które wiatr bierze, z krwią moją wyrwane...
O! wichry! rwijcie mi włosy! o! wichry!

Lelum i Polelum wchodzi.

Lelum. Ojcie, giniemy, graj pieśń...

Derwid. Idźcie skonać,

Ja nie mam harfy.

Roza Wen. Ustąpcie się wszyscy,
Już słyszę harfę idącą, już słyszę...

Uderzcie w tarcze, niech się zejść wodze!

Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.

A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,

A wszyscy, którzy nie usłyszą — pomrą.

¹⁾ Druidyczny — poświęcony bóstwu, ofiarniczy.

Wchodzi Ślaz z harfą w skrzyni.

Ślaz. Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...
Przynoszę harfę — gdzie postawić?

Roza Weneda. Daj tu...

O dąb oparta królewski, niech czeka...

Ślaz. A wam królowa kazała powiedzieć,
Że dotrzymuje przysięgi.

Roza Weneda. Precz, wężu!

Ślaz. A to i dobrze, schowam się w bagniska.

Odchodzi.

Roza W. Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

Wchodzi wodzów dwunastu z obnażonymi mieczami, wszyscy krwawi.

Oto są wodze i pieśni godzina —
Ojcie, przy dębie Derwidowym harfa...

Derwid wstaje z tronu i zbliża się do harfy.

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć?... Już słyszę
Serca, bijące w ludziach. — Gdzie ta harfa? —
Czekajcie! — Jak mi drży serce! — Gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą —
A duszę już mam w rękach, tu — jak piorun.
Jak piorun, całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.

Dotyka się omackiem skrzyni harfowej.

Harfa w skrzyni —

Wenedo, otwórz.

Roza Weneda zdejmując wieko ze skrzyni harfowej i cofa się, odciągając ojca za rękę. — W skrzyni bowiem, zamiast harfy, widać umarłą Lillę Wenedę, w śmiertelnej koszuli, z wieńcem bławatkowym na głowie.

Puszczajcie do harfy!
Dlaczego wy mnie trzymacie za szaty!

Dlaczego wstręty czynicie¹⁾ starcowi? —
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę,
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelną.

*Wyrwa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarłej Lilli
Wenedy.*

Cóż to?... rzecz jakaś zimna... to nie struny...
Ja pod palcami memi czuję trupa...
Co to jest?... o! to nie harfa... to ciało
Mojej umarłej córki...

*Chwila milczenia. Roza Weneda chce ojca odprowadzić od ciała
zmarłej, starzec nie daje się córce.*

Precz, gadzino,
Tu moja tamta córka... tu, tu, w trumnie,
O! o! umarła! — czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę — o! ja znajdę
Twoje usteczka. — O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej, proszę!
Nie odrywajcie.

Roza W. Cóż to — nie słyszycie
Tej pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!

Derw. O! o! gołąbek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.

Harfiarz. Ojciec płacze.

Derw. Ja ciebie widzę, córko! twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. Ja ciebie widzę w grobie głowy.
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku!
Wychodzisz z rączki otwartemi — O! o!
Tu! — czy widzicie? tu — śmieje się, płacząc...
Umarła moja najmiłsza, umarła!
Moja jedyna!

¹⁾ W języku staropolskim znaczyło: stawiać opór. Formę tę spotykamy też w „Grażynie”.

Roza W. Wiedziałam ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... Już dawno widziałam
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe. — Cóż! czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
Która nie chcących umrzeć oszukała? —
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu! — Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Pędzić jak białą trzodę owiec w gardło.
Niedosyć jeszcze? — o! wy moje włosy
Wyrwane, w garść się węzów przemieniajcie
I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem!

1 z W o d z. Wróżko, przyrzekłaś nam zwycięstwa harfę.

Roza W. Ja ci przyrzekłam?—co?—Chodź tu i patrzaj.

I ty myślałeś, że więcej jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzie taka harfa jak ten trup? Gdzie takie
Tony żalosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach córki rozwija warkocze
I szuka w nich, jak w strunach drżących, głosu?
O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
Że się pomścicie... resztę zdajcie gromom
I późnej zemście czasu...

W o d z e. Zaprzysięgamy zemstę... aż do śmierci.

Wychodzą.

Lelum, całując zmarłą siostrę.
Na ustach twoich, siostro — zaprzysięgam,
Że zobaczymy się dziś. — O! Lechici...

Derwid *dobywa z zanadrza nóż ofiarny i mówi, prze-
bijając się dwa razy.*

Synowie! o tak — o tak w Lecha serce...

Pada martwy.

Na gościńcu za rzeką podniósł się tuman pyłu. Ślimak spostrzegł go i poznał, że ktoś jakby ode dworu jedzie konno do mostu. Była to osobliwa jazda. Tuman kurzu posuwał się naprzód, ale niekiedy i cofał się wstecz, nawet na kilkanaście kroków. Czasem tak opadał, że chłopskie oczy mogły dojrzeć konia i jeźdźcę; czasem tak powiększał się i kotłował na gościńcu, jakby zrywała się burza.

Ślimak wstrzymał konie, przysłonił oczy ręką i rozmyślał.

— Osobliwości, jak on jedzie, i kto to? Ni to dziedzic, ni furman, nawet chyba nie katolicka dusza, ale i nie Żyd!... Żyda rychtyg tak wykręca na szkapie, jak onego; ale Żyd nie wypuszczałby znowu konia tak śmiało. Musi, że to jakiś nietutejszy albo warjat.

Tymczasem jeździec zbliżył się do mostu tak, że Ślimak mógł mu się lepiej przypatrzeć. Był to pan szczupły, w jasnym odzieniu i aksamitnej dżokejce na głowie. Miał szkła na nosie, w ustach papierosa, pod pachą szpicrutę. Cugle zaś trzymał w obu pięściach, które mu wciąż skakały między końską szyją a własną brodą. Wykrzywionymi nogami tak mocno obejmował siodło, że spodnie podwinęły mu się do kolan.

Człowiek najmniej obeznany z hipiką¹⁾ mógł zgadnąć, że jeździec po raz pierwszy dosiadł konia, a koń po raz pierwszy dźwiga podobnego jeźdźcę. Chwilami obaj w pięknej harmonii jechali klusem; wnet jednak wyskakujący na siodle kawalerzysta tracił równowagę, szarpał lejce, a koń, czuły na każde dotknięcie, skręcał w bok, albo stawał na miejscu. W takiej chwili jeździec zaczynał emokać i kolanami gnieść siodło, a widząc, że to nie skutkuje, usiłował z pod pachy wyciągnąć szpicrutę. Wówczas koń, domyśliwszy się, o co chodzi, poczynął znowu bieć klusem, pobudzając do naderwyczajnych ruchów ręce, nogi i tułów jeźdźcę, który robił się podobnym do lalki, zszytej z kilkunastu źle przypasowanych kawałków.

Niekiedy zdesperowany choć łagodny koń zrywał się do galopu. Wtedy jeździec jakimś cudem odzyskiwał równowagę

na siodle i podniecony biegiem, puszczał wodze fantazji. Marzył, że jest kapitanem jazdy i że na czele szwadronu pędzi do ataku. Ale wnet ręce, jeszcze nie nawykłe do oficerskiego stopnia, wykonywały jakiś ruch zbyteczny i — koń nagle stawał, a pan uderzał go w szyję nosem i papierosem.

Wszystko to jednak nie psuło mu humoru, od dziecka bowiem wzdychał do konnej jazdy, a dziś dopiero miał okazję nacieszyć się nią do syta.

— Ehej! musi to szwagierek dziedzica, ten co miał przyjechać z Warszawy! — zawołał sam do siebie rozweselony Ślimak. Żonkę wybrał se nasz pan galantą i nawet długo za nią nie jeździł, ale za takim szwagrem to musiał dużo świata oblecieć... Toć on głupszy od pastucha, choć pański szwagier. Ale zawsze pański szwagier!...

Tymczasem jeździec dostał się na most. Łoskot kijanki zwrócił jego uwagę, skręcił bowiem konia do poręczy i z wysokości siodła wytknął głowę nad wodę. Cieniutki tułów i zadarty daszek dżokejki robiły go podobnym do żorawia.

— Czego on chce? — pomyślał chłop.

Nagle koń wyrzucił łeb w górę i ostrym klusem ruszył w stronę chaty Ślimaków. Lecząc noga wysunęła się paniczowi ze strzemienia, więc oburącz chwycił rumaka za grzywę i na całe gardło począł wołać:

— Tpruu!... stój, ty djabie!...

Jędrak usłyszał krzyk i wdrapał się na wrota; zobaczwszy zaś dziwnie ubranego panieca, wybuchnął śmiechem. Wtedy koń skoczył w lewo i tak zawinął jeźdźcem, że mu spadła aksamitna dżokejka.

— Podnieś-no czapkę, kochanku! — zawołał panicz do Jędrka i pędził dalej.

— A to se pan podnieś, kiedy gubisz... cha! cha! — śmiał się Jędrak i klasnął w ręce, ażeby lepiej spłoszyć bieguna.

Wszystko to widział i słyszał jego ojciec. W pierwszej chwili zuchwalstwo chłopca mowę mu odjęło, ale wnet oprzytomniał i krzyknął z gniewem:

— Ty kondlu, Jędrak! — A podaj krymkę jaśnie paniczowi, kiej ci każe!

Jędrak wziął we dwa palce dżokejkę i trzymając ją zdaleką od siebie, podał jeźdźcowi, który już powściągnął konia.

¹⁾ Sztuka jeżdżenia konno.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — rzekł panicz, śmiejąc się niegorzej od Jędrka.

— Jędre! psia wiaro, a czemu ty czapki nie zdejmiesz przed jasnie paniczem?...—wołał z góry Ślimak. — Zdejmij zaraz!

— A co ja mam każdemu czapkować? — odparł zuchwały wyrostek.

— Wybornie!... Bardzo dobrze!... cieszył się panicz — poczekaj, dam ci złotówkę. Wolny obywatel nie powinien upakarzać się przed nikim.

Ślimak nie podzielał demokratycznych teorii panicza. Rzucił leje kasztankom i z czapką w jednej, a batem w drugiej ręce biegł ku Jędrkowi.

— Obywatelu!—zawołał panicz do Ślimaka—obywatelu, proszę cię, nie rób mu krzywdy... Nie stłumiaj niepodległego ducha... Nie...

Chciał prawić jeszcze, ale koń uniósł go w stronę mostu. W drodze minął wracającą do chaty Ślimakową i zdjąwszy zakurzoną dżokejkę, zaczął wywijać nią i wołać.

— Niech pani nie pozwala bić chłopca!...

Jędre! zniknął już między budynkami, panicz przejechał most z powrotem, ale Ślimak jeszcze stał na miejscu z batem w jednej i czapką w drugiej ręce, zdumiony tem, co się stało. Jakiś cudak, który cieszył się zuchwalstwem Jędrka, ten sam jego, ucziwego chłopca, przezwał „obywatelem,” a kobietę — „panią”!...

— Farmazon! — mruknął.

B. Prus.

Śmiejemy się, czytając. Dlaczego? Bawi nas śmieszność czyli komizm tych postaci i ich zestawienia.

N a c z e m p o l e g a ś m i e s z n o ś ć c z y l i k o m i z m ?

Niespodziewana sprzeczność w drobnej rzeczy między rzeczywistością a naszym oczekiwaniem — jest śmieszna, np. potknięcie się prelegenta, wchodzącego na katedrę, — kichnięcie śpiewaka podczas śpiewu, — upadek w błoto ostrożnie przechodzącego przez nie człowieka.

Te same zdarzenia jednak nie będą dla nas śmieszne, jeżeli osoba, okrywająca się śmiesznością budzi w nas żywsze współczucie.

Śmiesznym również wydałby się człowiek poważny, skaczący na jednej nodze, gdyż byłby to z jego strony ruch nieoczekiwany, niezgodny

z powagą wieku. Tak samo zabawnym wyda nam się dziecko w cylindrze na głowie, z cygarem w ustach i t. p.

Śmieszy nas przedstawienie dowolnego ruchu przyrody martwej, np. taniec pietruszki z pasternakiem, — lub widok istot żywych, poruszających się sztywno, niezgodnie ze swą naturą i t. p.

Odczuwanie śmieszności jest jednak rzeczą bardzo względną, zależną od stopnia rozwoju umysłowego i moralnego widza lub słuchacza, np. widok pijanego, który się zatacza i prawi niedorzeczności, może śmieszyć, budzić pogardę lub współczucie. Toż samo stosuje się do ułomności fizycznych: garb, ołbied i t. p. przedmiot śmiechu niektórych dzieci i ludzi mało rozwiniętych—budzi jedynie współczucie w ludziach moralnie dojrzałych.

Nie śmieszy też nikogo sprzeczność między rzeczywistością a oczekiwaniem w rzeczy poważnej, przeciwnie — może sprawić nawet wrażenie tragiczne, np. śmierć w tańcu, — brak głosu w najwyższym napięciu uczucia — bólu, radości, czy trwogi.

Możnaby więc powiedzieć ogólnie, że poczucie śmieszności zmienia się w miarę naszego rozwoju, i że ułomności moralne w odpowiednim oświeceniu więcej przedstawiają dla nas komizmu, niż fizyczne, np. tchórz, udający bohatera, zarozumiały głupiec i t. p.

Wskaż, co jest śmiesznego w tym liście.

LIST Z DROGI.

„Chciałabym tę kartę do Ceśki ładnie napisać. Zaraz:

Najdroższa moja. Jedziemy szalenie. Do Włoch jeszcze daleko, ale już minęliśmy Piotrków, przejechali nawet Częstochowę. Smutno mi, tak mi żal Ciebie, że nie jedziesz. Śnieg białymi puchami zasypał ziemię, a teraz słońce zachodzi i ponury mrok przysłania strzechy wiosek, lasów, miast... Zaraz przejedziemy granicę... a ostatnie promienie zachodzącego słońca ślą nam pożegnanie od opuszczonej drogiej ziemi rodzinnej i od Ciebie, najdroższa, czego ci życzę Twoja Hala.

Ps. Ucałuj ode mnie Nacię.

Ps. Zajrzyj do nas i powiedz cioci, że zapomniałam grzebyka, leży na stole, w stołowym, — żeby go Rozalja nie ściągnęła”.

W. Reymont.

OBJAŚNIENIA.

— O, widzisz dwór? — rzekł stary Ślimak do Staśka.

— Który to?

— Ten z gankiem na słupach.

— A to co za chałupa?

— Na lewo? To przecie nie chałupa, ino oficyna, a to niskie to kuchnia. A przypatrz się, że w oficynie jedne izby są na dole, a drugie na górze.

— Jakby na strychu.

— To nie strych, ino piętro.

— Ale zawsze oni tam włożą po drabinie — wtrącił Jędreć.

— Nie po drabinie, ino po schodach — odparł surowo ojciec. — Pan akurat poniewierzyłby się po szczeblach; kiedy on lubi wygodę.

— A ono na prawo, tatulu, co takie szybiaste? — pytał Stasiek.

— Tam pewnie samo państwo wysiaduje i grzeje się na słońcu — odparł Jędreć.

— Nie gadaj, kiedy dobrze nie wiesz, zgromił Ślimak. Tam jest cała ściana ze szkła, bo to oranżerja. Tam są wszystkie kwiaty, jakie ino świat widział, i kwitną se nawet w zimie, kiedy na polu śnieg leży po kolana.

— Musi z papieru kwiaty, jak w kościele.

— Właśnie że prawdziwe. Kwitną zaś, bo im przez zimę ogrodnik pali w piecu.

— A jabłka tu są w zimie? — spytał Jędreć.

— Jabłek niema, ino pomarańcze.

— Pewnie ze sto razy lepsze od jabłek? — spytał Jędreć, a oczy mu się zaiskrzyły.

Chłop pogardliwie machnął ręką.

— Iii — skosztowałem ci ja jedno takie. Małe jak kartofel, zielone, a paskudne, żeby pies wypłuł...

— I oni takie jedzą?

— Co nie mają jeść!

— A to oni są głupie — rzekł Jędreć.

— Tyś to głupi, bo się nie znasz — odparł chłop. — Tobie dobrze, kiedy ci przy krupniku jest słono? A panu dobrze, jak przy inszem jedzeniu jest mu w gębie paskudnie. Kuźdy na tym świecie ma swój smak: wół lubi trawę, a świnia pokrzywy.

B. Prus.

Z ZEMSTY ZA MUR GRANICZNY.

SCENA V.

Cześnik, Dyndalski,

Cześnik (do Dyndalskiego).

Siadaj waść tu — zmaczaj pióro,

Będziesz pisał po mem słowie.

Dyndalski.

Cześnik.

Stawiam tytle niezbyt skoro.

Właśnie babskiej trzeba ręki —

Życie w zakład: gaszka złowię —

Dobrze będzie.

Dyndalski (usiadłszy bokiem do widzów, naprzeciwko Cześnika, wkładając okulary).

Bogu dzięki!

Cześnik.

Teraz trzeba pisać właśnie

Jakby Klara do Wacława.

Dyndalski.

O! o!

Cześnik.

No cóż: O, o — ?

Dyndalski (podnosząc się).

Jaśnie

Panie, wszak to despekt dla niej.

Cześnik.

Co się waszeć o to pyta,

Maczaj pióro — pisz i kwita.

(Dyndalski siada wyprostowany na brzeжку krzesła i macza pióro).

Cześnik (po krótkim myśleniu).

Tylko że to, mocium panie,

Aby udać, trzeba sztuki,

Owe brednie, banialuki,

To miłosne świegotanie — (myśli)

Jak tu zacząć, mocium panie?..

Dyndalski (podnosząc się).

Cnym afektem ulubiony...

Cześnik.

O... o... o... o!... Jak od żony —

A tu trzeba pół, ćwierć słowa,

Ni tak, ni siak — niby owa:

„I chciałabym i boję się“

O! — już wiem — no! — na tem sztuka...

Lecz nie waści w tem nauka.

Pisz waść: (nuci) zaraz. (nuci).

(Dykując) Bardzo proszę. —

(Pokazując palcem na pismo)

Co to jest?

Dyndalski (podnosząc się — jak to za każdą razą, kiedy mówi do Cześnika).

B.

Cześnik.

To?

Dyndalski.

B duże —

A capite¹⁾, jaśnie panie.

Cześniak (przez stół patrząc).

B? — to kreska — gdzież dwa brzuszki?

Dyndalski.

Jeden w spodzie, drugi w górze.

Cześniak (dostając okularów).

Cóż u czarta! (bierze papier)

Tak jest — duże —

Dyndalski.

Ta, bo!...

Cześniak (przypatrując się pismu).

B, B duże.

Kto pomyśli, może zgadnie.

No, no — pisz waść — a dokładnie.

(Dyktuje) Bardzo proszę... mocium panie...

Mocium panie... me wezwanie...

Mocium panie... wziąć w sposobie,

Mocium panie, wziąć w sposobie,

Jako ufność ku osobie...

Mocium panie, waszmość pana;

Która lubo mało znana,

Która lubo mało znana...

(Pokazując palcem) Cóż to jest?

Dyndalski (podnosząc się).

Żyd, jaśnie panie,

Lecz w literę go przerobię.

Cześniak.

Jak mi jeszcze kropla skapie,

To cię trzepnę tak po łapie,

Aż proformę²⁾ wspomnisz sobie.

Czytaj waść —

(Dyndalski obciera pol aż po karku.)

No, jak tam było?

Dyndalski (czyta).

Bardzo proszę, mocium panie,

Mocium panie, me wezwanie

Mocium panie, wziąć w sposobie

Mocium...

¹⁾ Od początku wiersza. ²⁾ Proforma — klasa przygotowawcza w dawnych szkołach.

Cześniak (wyrzywa i drze papier).

Niech cię czarci chwycą

Z taką pustą mózgownicą!

„Mocium panie“ cymbał pisze!

Dyndalski.

Jaśnie pana własne słowo.

Cześniak.

Milcz waść! — przepisz-to de novo¹⁾.

„Mocium panie“ opuść wszędzie.

Dyndalski (chcąc zbierać kawałki.)

Z tych kawałków trudno będzie,

Cześniak.

Pisz de novo — pisz, powiadam, —

Mózgu we łbie za trzy grosze!

Siadaj! — siadaj mówię.

A. Fredro

Z komizmem łączy się t. zw. **trawestacja** (przenicowanie), kiedy biorąc za wzór poważny utwór lub zdanie, wypowiadamy w tej samej formie myśli błahe lub śmieszne. Krasicki np. w ten sposób przetrwestował własną apostrofę do miłości ojczyzny:

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwie!
Dla ciebie zjadł smakuja trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezływe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe!
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać!

I. Krasicki.

Wdzięczna miłości kochanej szklanice!
Czuje cię każdy: i słaby i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy.
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice;
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żał skosztować, nie żał się i upić.

(Monachomachja.)

Z GRZECHÓW DZIECIŃSTWA.

Urodziłem się w epoce, w której każdy człowiek musiał mieć przydomek, choćby niekoniecznie słuszny.

¹⁾ Na nowo (po łacinie)

Z tego powodu naszą dziedziczkę nazywali hrabiną, mego ojca jej plenipotentem, a mnie bardzo rzadko Kaziem albo Leśniewskim, ale dość często urwisem, dopóki byłem w domu, albo osłem, kiedy już poszedł do szkół.

Ponieważ naprawdę szukałby kto nazwiska naszej dziedziczki w słowniku rodzin arystokratycznych, zdaje mi się więc, że blask jej hrabiowskiej korony nie sięgał dalej, niż plenipotencja mego ś. p. ojca. Przypominam sobie nawet, że tytuł hrabiny był rodzajem pomnika, którym ś. p. mój ojciec uczcił radosny wypadek podwyższenia mu pensji o 100 złotych. Nasza pani w milczeniu przyjęła ofiarowaną jej godność, a w kilka dni później ojciec mój awansował z rządcy na plenipotentę i otrzymał, zamiast dyplomu, niesłychanej wielkości wieprzka, po którego sprzedaniu kupiono mi pierwsze buty.

Ojciec, ja i moja siostra Zosia (bom już nie miał matki) mieszkaliśmy w murowanej oficynie, o kilkadziesiąt kroków od pałacu. Pałac zaś zajmowała pani hrabina z córeczką Lonią, moją rówieśnicą, z jej guwernantką, ze starą gospodynią Salusią, tudzież z wielką liczbą garderobianych i panien służących. Dziewczeta te po całych dniach szyły, z czego wyprowadziłem wniosek, że wielkie panie są od tego, ażeby darły odzież, a dziewczeta — ażeby ją naprawiały. O innych przeznaczeniach wielkich dam i ubogich dziewcząt nie miałem pojęcia, co w oczach ojca stanowiło jedyną moją zaletę.

Pani hrabina była młodą wdową, którą mąż dość wcześnie pogrążył w nieutulonym smutku. Ile mi wiadomo z tradycji, nieboszczyka nikt nie tytułował hrabią, ani on nikogo plenipotentem. Natomiast sąsiedzi z dziwną w naszym kraju jednomyślnością nazywali go półgłówkiem. W każdym razie był to człowiek niepospolity. Zajeżdżał wierzchowe konie, trutował na polowaniach chłopskie zasiewy, a z sąsiadami pojedynkował się o psy i zające. W domu męczył żonę zazdrością, a służbie zatruił życie długim pieprzowym cybuchem¹⁾. Po śmierci oryginała jego wierzchowce poszły do wozenia gnoju, a psy rozdarrowano. Świat zaś otrzymał po nim w spadku małą córeczkę i młodą wdówkę. Ach! przepraszam, bo został jeszcze olejny

¹⁾ Z pieprzowego drzewa.

portret nieboszczyka z herbowym sygnetem na palcu, i — ów pieprzowy cybuch, który skutkiem niewłaściwego użycia wygiął się jak turecka szabla.

Pałacu prawie nie znałem. Raz dlatego, że wolałem biegać po polach, niż wywracać się na śliskiej posadzce, a po wtóre — że mnie tam nie wpuszczała służba, bo przy pierwszych odwiedzinach miałem nieszczęście stłuc duży wazon saski.

Z hrabianką przed mojem wejściem do szkół bawiliśmy się tylko jeden raz, mając oboje niespełna po dziesięć lat. Przy sposobności chciałem ją nauczyć sztuki łażenia po drzewach i usadowiłem ją na żerdziowym płocie w taki sposób, że dziewczynka poczęła wniebogłosy krzyczeć, za co jej guwernantka wybiła mnie niebieskim parasolem, mówiąc, że mogłem Lonię zrobić na całe życie nieszczęśliwą.

Od tej pory wzbudził się we mnie wstręt do małych dziewcząt, z których żadna nie mogła ani łądzić po drzewach, ani kąpać się ze mną w stawie, ani jeździć konno, ani strzelać z łuku, albo rzucać kamieni z procy. W razie zaś bitwy — bez której cóż znaczy zabawa? — prawie każda zaczynała mazać się i biegła do kogoś na skargę.

B. Prus.

Czy to jest tylko śmieszne? Czy tej śmieszności autor nie osiąga tutaj zapomocą dowcipu?

Dowcip polega na pewnej zdolności umysłowej szybkiego chwytania i zestawiania podobieństw i różnic, w sposób nieprzewidziany i niekoniecznie zgodny z prawdą, często oparty na zręcznej grze wyrazów.

Dowcip, jako właściwość umysłu, łączy się z bystrą spostrzegawczością, bujną wyobraźnią i łatwością kojarzenia pojęć.

Pewien uczony tak rozróżnia zwroty śmieszne od dowcipnych: pierwsze wzbudzają śmiech z osoby, która mówi, — drugie — z osoby, do której lub o której się mówi. Ale niezawsze to określenie wystarcza i niezawsze jest trafne.

Dowcip może być złośliwy, uszczypliwy, albo dobroniuszny, jowialny; rubaszny lub delikatny, subtelny; ciężki lub lekki i t. p.

Określ rodzaj dowcipu w niżej przytoczonych urywkach.

Niewszystko złoto, co się świeci, np. dziura na łokciu.

Kto rano wstaje, ten cały dzień jest śpiący,

Uderz w stół, a spuchnie ci pięść.

DOKTÓR I ZDROWIE.

Rzecz ciekawą, lecz trudną do wierzenia powiem!
 Jednego razu doktor spotkał się ze zdrowiem;
 On do miasta, a zdrowie z miasta wychodziło.
 Przeląkł się, gdy je spostrzegł; lecz że blisko było,
 Spytał go: — Dlaczegoż to tak śpiesznie uchodzisz?
 Gdzie idziesz? — Zdrowie rzekło: — Tam, gdzie ty nie chodzisz.

I. Krasicki.

...Lecz ten poemat będzie narodowy,
 Poetów wszystkich mi uczyni braćmi.
 Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

J. Słowacki.

Pan Wiktor spojrział tak walecznie przed siebie, aż pies, który
 wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch, cofnął się prze-
 rażony.

H. Sienkiewicz.

Mówisz, żeś blazna widział, czegoś zdawna żądał:
 Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał.

W. Kochowski.

Kiedy pana zobaczyłam po raz pierwszy, zrobiłeś na mnie wraże-
 nie drzazgi, którą trzeba włożyć w ogień, żeby się przekonać, że ona ma
 w sobie żywicę i pali się gwałtownie.

A. Świętochowski.

W OBOZIE.

Nazajutrz, zanim słońce rozlało złote blaski na niebie,
 stanął już nowy wał ochronny w polskim obozie. Dawne
 wały były zbyt obszerne, trudno się było w nich bronić
 i przychodzić wzajem z pomocą, więc książę z panem Przy-
 jemskim postanowili zamknąć wojska do ciasniejszych oko-
 pów. Pracowano nad tem gwałtownie całą noc, a husarja
 narówni ze wszystkimi pułkami i czeladzią. Dopiero po
 trzeciej w nocy sen zamknął oczy utrudzonemu rycerstwu,
 ale też spali wszyscy, oprócz straży, kamiennym snem, bo
 i nieprzyjaciół pracował także w nocy, a następnie nie po-
 ruszał się długo po wczorajszej klęsce. Spodziewano się
 nawet, że szturm dnia tego wcale nie nastąpi.

Skrzetuski, pan Longinus i Zagłoba, siedząc w namio-
 cie, spożywali polewkę piwną, gęsto okraszoną kostkami

sera — i rozmawiali o trudach minionej nocy z tem zado-
 woleniem, z jakim żołnierze rozmawiają o świeżem zwy-
 cięstwie.

— Mój obyczaj jest kłaść się o wieczornym udoju,
 a wstawać o rannym, jak czynili starożytni — mówił pan
 Zagłoba, — ale na wojnie trudno! Śpisz, kiedy możesz, wsta-
 jesz, kiedy cię budzą. To mnie jeno gniewa, że dla takie-
 go tałajstwa musimy się inkomodować¹⁾. Ale trudno,
 takie czasy! Zapłaciliśmy im też za to wczoraj. Żeby tak
 jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali, odechcia-
 łyby się im nas budzić...

— Nie wiesz, waćpan, czy siła naszych poległo? — py-
 tał Podbiپیeta.

— II niewiele; jak to zawsze bywa, że oblegających
 więcej ginie, niż obleżonych. Waćpan się na tem nie znasz
 tak, jak ja, boś tyle wojny nie zażywał, ale my starzy
 praktycy nie potrzebujemy trupa liczyć, bo z samej bitwy
 umiemy wymiarkować.

— Pouczę się i ja przy waćpanach — rzekł ze sło-
 dyczą pan Longinus.

— Pewnie że tak, jeżeli tylko dowcip waćpanu dopi-
 sze, czego się niebardzo spodziewam.

— Daj-że waćpan spokój — ozwał się Skrzetuski, —
 Przecie nie pierwsza to wojna dla pana Podbiپیety, a daj
 Boże najlepszym rycerzom tak stawać, jak on wczoraj.

— Robiło się, co mogło — odrzekł Litwin — nietyłe,
 ileby się chciało.

— Owszem! owszem! wcale nieźle waćpan stawaleś —
 mówił protekcyjnalnie Zagłoba — a że cię inni przewyższyli
 (tu począł węża podkręcać do góry), to nie twoja wina.

Litwin słuchał ze spuszczeniem oczyma i westchnął,
 marząc o przodku Stowejce i o trzech głowach, ściętych
 jednym zamachem miecza.

W tej chwili skrzydło namiotu uchyliło się i wszedł
 rażno pan Michał, wesoły jak szczygieł w pogodny ranek.

— No! tośmy w kupie! — zawołał pan Zagłoba. — Daj-
 cie-że mu piwa!

Mały rycerz uściśnął ręce trzem towarzyszom i rzekł:

¹⁾ Inkomodować — fatygować, narażać się na niewygodę.

— Żebyście waćpaństwo wiedzieli, ile kul leży na majdanie, to przechodzi imaginację! Nie przejdiesz, żebyś się nie potknął.

— Widziałem i ja to — odrzekł Zagłoba, — bom też wstawszy, przeszedł się kęs po obozie. Przez dwa lata kury w całym powiecie lwowskim tyle jaj nie nanoszą. Ej, żeby to tak były jaja, dopiero byśmy używali na jajecznicy. A trzeba waćpanom wiedzieć, że ja za miskę jajecznicy największy specjał oddam. Żołnierska we mnie natura, tak jak i w was. Zjem chętnie co dobrego, byle dużo. Dlatego też i do bitwy skorszy jestem od dzisiejszych młodzików, piecuchów, co to nieculki ulegałek nie zje, żeby się zaraz za żywot nie trzymał.

— No! aleś się waćpan wczoraj z Burlajem popisał — rzekł mały rycerz. — Burlaja tak ściąć — ho! ho! Nie spodziewałem się tego po waćpanu. Toż-to przecież był rycerz przesławny na całą Ukrainę i Turecczyznę.

— Co? ha! — rzekł z zadowoleniem Zagłoba — nie pierwszyna mi to, nie pierwszyna, panie Michale. Widzę, szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się we czterech tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z waćpanami i z księciem naszym na czele ruszyłbym samopięt choćby na Stambuł. Bo uważcie tylko: pan Skrzetuski zabił Burdabuta, pan Podbipięta z Mysikiszek zdusił owego Pułjana, a ja Burlaja. Nie zamierzę wszelako waćpaństwu, że oddałbym tamtych wszystkich za jednego Burlaja, i że pono najcięższą miałem robotę. Djabel to był, nie Kozak, co? Żeby tak miał synów, piękneby imię im zostawił. Ciekawym tylko, co Król Jegomość i sejmy na to powiedzą, jak nas nagrodzą, nas, którzy się siarką i saletrą więcej niż czem innym żywimy.

— Był większy od nas wszystkich rycerz — rzekł pan Longinus — a nazwiska jego nikt nie wie i nie pamięta.

— A to ciekawym, kto taki? chyba w starożytności? — rzekł urażony Zagłoba.

— Nie w starożytności, ale, brateńku, ten, który króla Gustawa Adolfa pod Trzcianą razem z koniem obalił i w jasyr wziął — rzekł Litwin.

— A ja słyszałem, że to było pod Puukiem — wtrącił pan Michał.

— Wszelako król mu się wyrwał i zbiegł — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest! Wiem ja coś o tem — mówił, przymykając oko, pan Zagłoba, — bom wtedy właśnie pod panem Koniecpolskim, ojcem chorążego, służył — wiem ja coś o tem! Modestja¹⁾ to nie pozwala onemu rycerzowi powiedzieć swego nazwiska, i dlatego nikt go nie wie. Chociaż, wiercie w to, co powiem: Gustaw Adolf wielkim był wojownikiem, prawie panu Koniecpolskiemu równym, ale w pojedynczym spotkaniu z Burlajem cięższa była robota — ja wam to mówię!

— To niby znaczy, żeś to waćpan powalił Gustawa Adolfa? — pytał Wołodyjowski.

— Albożem ci się pochwalił, panie Michale? — Niech tam to już zostanie w niepamięci — mam ja się i dziś czem pochwalić, co będę dawne czasy wspominał! Strasznie to piwsko burczy w żywocie — a im więcej w niem sera, tem więcej burczy. * Wolę winną polewkę — choć chwala Bogu i za to, co jest, bo wkrótce może i tego nie starczy. Książd Żabkowski mnie mówił, że ponoś wiwendy²⁾ skąpo, a on się tem bardzo niepokoi, bo ma brzuch jak gumno. Setny to Bernardyn! okrutniem go polubił. Więcej w nim żołnierza, niż mnicha. Kiedyby kogo w pysk trzasnął, to choć zaraz trumnę zamawiaj.

— Ale! — rzekł mały rycerz — nie mówiłem też waćpaństwu, jak grzecznie poczynął sobie tej nocy książd Jaskólski. Usadowił się w onym narożniku, w tej srogiej wieży po prawej stronie zamku — i patrzył na bitwę. A trzeba wiedzieć, że on okrutnie z guldynki³⁾ strzela. Powiada tedy do Żabkowskiego: Nie będę do Kozaków strzelał, boć zawsze to chrześcijanie, choć Bogu dyzgusta⁴⁾ czynią, ale do Tatarów (powiada) nie wytrzymam! — i jak jął dmuchać, to tak ich podobno coś z pół kopy przez całą bitwę popsował.

— Żeby to wszystko duchowieństwo było takie! — westchnął Zagłoba — ale nasz Muchowiecki to jeno ręce ku niebu wznosi, a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje.

¹⁾ Skromność. ²⁾ Żywność. ³⁾ Strzelba myśliwska. ⁴⁾ Dyzgust — obrzydzenie.

— Daj waść pokój — rzekł poważnie Skrzetuski. — Książd Muchowiecki święty książd, i w tem masz najlepszy dowód, że choć on nie starszy od tamtych dwóch, przecie głowy przed jego zacnością schylają.

— Nietylko ja też nie neguję¹⁾ jego świątobliwości — odparł Zagłoba, — ale myślę, że i samego chana potrafiłby nawrócić. Oj, mości panowie! musi się tam jego chańska mość sierzdic¹⁾, aż wszy na nim koziołki ze strachu przewracają. Jeżeli przyjdzie z nim do układów, pojedę i ja z komisarzami. Znamy się zdawna, i niegdyś wielce mnie miłował.

— Do układów Janickiego pewnie wybiorą, bo on po tatarsku tak jak po polsku mówi — rzekł Skrzetuski.

Dalszy ciąg rozmowy przerwał gwar, wychodzący z zewnątrz namiotu — więc rycerze wyszli zobaczyć, co się dzieje.

H. Sienkiewicz.

MINĘŁY CZASY!

Minęły czasy szczęśliwej prostoty:

Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!

.....
Z góry zły przykład idzie w każdej stronie,

Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.

O! ty, na polskim co osiadłszy tronie³⁾,

Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina:

Cierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie;

Z ciebie gust książek, a piwnic ruina.

Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił:

Bodajes w życiu nigdy się nie upił!

I. Krasicki (Monachomachja).

Czy szczerze wyrzuca poeta Stanisławowi Augustowi, że „naród z kuflów, szklenic i beczek złupił?”

Taka forma wypowiedzenia myśli, kiedy nadajemy wyrazom znaczenie wprost przeciwne — nazywa się **ironją**.

Jest to również pewien rodzaj komizmu, niezawsze jednak, gdyż ironja może być nietylko żartobliwa, jowialna, ale złośliwa, gorzka, gryząca — wtedy nazywa się sarkazmem.

Określ rodzaj ironji w następujących przykładach i wytłumacz, na czem polega.

1) Przeczę. 2) Gniewać, złościć. 3) Apostrofa do Stanisława Augusta,

WSTĘP DO BAJEK.

Był młody, który życie wstrzemięźliwe pędził;
Był stary który nigdy nie łąjał, nie zrzedził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił; tótr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był minister poeta, co nigdy nie zmyślał.

— A cóż to jest za bajka? wszystko to być może.

— Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

Ignacy Krasicki.

...za psami szalał —

Zalecał nawet dóbr intendementowi,

Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,

Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi

Od bólu zębów, a stąd od wścieklicziny;

Miał jednak dobrą stronę... ane wryzmy¹⁾.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy

Nie dowodziła w nim choroba żadna.

J. Słowacki.

Z Konrada Wallenroda.

Znam ja was: każda piosnka wajdeloty

Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie;

Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie —

Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty.

Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka

Naksztalt gadziny owija pierś dziecka

I wlewa w duszę najśroźsze trucizny:

Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,

Jak zabitego cień nieprzyjaciela,

Zjawia się nieraz wpośrodku biesiady,

Aby krew mieszać w puławy wesela.

A. Mickiewicz.

1) Choroba serca.

„Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróz okręci o szyję,
Niech własną wolę na wieki okiełza:
Pan niedaleko — niech do niego pełza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech, jak pies głodny, czołga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potrąca!“

Ujejski.

PTAK RANNY.

Podjął ptaka rannego
Człek. Zagoił ranę
I rzekł:

— Zostań przez wdzięczność.

A ptak: — Nie zostanę.
Wdzięczność? — tyś mi ją winien,
Bowieś gdyby nie ja,
Nie mógłbyś się dowolnie
Mieć za dobrodzieja.

Pacjentów są serca
Twardsze od kamieni:
O doktorze zapomną,
Gdy już wygojeni.

J. Lemański.

Oburzać się tak bardzo łatwo.
I gorszyć się tak łatwo —
I to nie kosztuje nic — ani grosza.

O. A. Wyślouch.

DUMANIE POETY.

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro,
Tak ponuro i smutno, jak w duszy poety,
Co, siedząc przy stoliku, temperował pióro.

On szukał nowych myśli w swej duszy odmiecie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem;
Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.

On po sklepieniu nieba wieszczę oko toczył,
I pót wieszczęgo pióra w wieszczę usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu wieszczę nos umoczył,
I dumał, dumał, dumał, aż się spać położył.

L. Kondratowicz.

STARY SŁUGA.

W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca, i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatrudniał mu życie ze szczególniejszą pasją.

— Oglądaj się, oglądaj, — mruczał, — to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz! On nie słyszy, że go pan woła. Zmienić pani talerz. Czego gębę otwierasz? co? Widzisz go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy, prowadzonej przy stole, stale się wtracał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz, bywało, ojciec odwrócił się i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać? Oj jej! Albo to konie nie do tego? A niech-ta koniska nogi połamią na takiej drodze! Jak z wizytą, to z wizytą! Przecie państwu wolno! Czy ja bronię. Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać, i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza!

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

My, to jest ja i brat mój młodszy, baliśmy się go, jak wspominałem, prawie więcej niż naszego guwernera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej niż obojga rodziców. Dla siostr był grzeczniejszy. Mawiał każdej „panienka“, choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonji. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz, bywało, po lekcjach wchodził nieśmiało do kredensu, uśmiechał się, jak mogę najgrzeczniej, przymlam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówił:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi! Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę i basta.
A potem, przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Już skończyłem lekcje — odpowiadam nawpół z płaczem.

— Skończył lekcje! He! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc, szukał już po kieszeniach.) Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie, i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze parę razy, że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak on ten pistolet trzyma — mówił: jak cyrulik! Gdzie tobie świece gasić chyba, jak dziadowi w kościele! Na księdza ci isć, Zdrowański odmawiać, ale nie być żołnierzem!

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Często po obiedzie ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem, choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przeciw wytrzymać i mówił:

— El kiedy to jegomość akurat tak maszeruje, jak stara krowa.

Ja, jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołaj, gdy oddawano mnie do szkół, beczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: „Wzięli dziecko i wywieźli — mówił. A niech-ta umrze! Uu! u! A jemu po co szkoły? Abo to on nie dziedzic? Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wy kierować! Co to za rozpusta! Pojechało dziecko, pojechało, a ty, stary, łaż po kątach i szukaj, czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało!”

H. Sienkiewicz.

Czy w tym urywku jest odcień ironji? W jaki sposób maluje autor starego sługę?

Połączenie różnych pierwiastków, często pozornie sprzecznych, jak: komizmu, dowcipu, ironji ze współczuciem i sympatją dla tego, kogo ośmieszamy, wytwarza humor.

Humor zbliża się do dowcipu, ale i różni się od niego: w dowcipie przeważa pierwiastek umysłowy, w humorze uczuciowy. Gdy dowcip nieraz sztydzi z czyjejś słabości, humor, ośmieszając, ma dla niej wyraźne współczucie. Rozwesela i rozkliwia jednocześnie, nazywają go też „śmiechem przez łzy”.

Na czym polega humor w przytoczonym urywku ze Starego sługi, Naszej szkapy (Bieda), Omyłki (Goście).

Wskaż ustępy, nacechowane humorem, w Panu Tadeuszu, Anielce, Grzechach dzieciństwa, Sierociej doli Prusa.

BIEDA.

Zaczęło się to od starego łóżka, cośmy na niem we trzech sypiali.

Tego dnia ojciec zły czegoś z rzeki wrócił i, siadłszy na ławie, ręką głowę podparł. Pytała się matka raz i drugi, co mu, ale dopiero za trzecim razem odpowiedział, że się ta robota koło żwiru skończyła i że szkapa tylko piasek wozić będzie. Zaraz mnie Felek szturchnął w bok, a matka jęknęła z cicha.

Miał ojciec nad wieczorem po doktora isć, ale mu jakoś niesporo było. Chodził, medytował, po kątach pozieirał, aż stanął przed matką i rzekł:

— Co chłopakom po łóżku, Anulka? Sypiam ja na ziemi, toż i oni mogą.

Spojrzeliliśmy po sobie. Dwie złote iskry zabłysły w siwych oczach Felka. Prawda! Co nam po łóżku? Piotrusia tylko pilnować trzeba, żeby z niego nie spadł.

— Dalej! jazda! — krzyknął Felek, i zanim odpowiedzieć zdążyła, jużśmy we trzech siennik na ziemię ściągnęli, a Felek kozły wywracać na nim zaczął.

Po ściągnięciu wszakże siennika okazało się, że desek w łóżku brakuje dwóch, a bok jeden ze wszystkiemi odłazi. Nie chciał tedy „handel”, którego mi ojciec zawołać kazał, o łóżku ani gadać, pieniądze, naliczone miedziakami, zgarnął w mieszek, związał i za chałat na piersi zasunął. Opuścił mu ojciec dziesiątkę, potem dwie, potem złotówkę całą, ale się Żydzisko uparło. Z sieni dopiero brodę do izby wsadził,

postępując pół rubla bez siedmiu groszy, jeśli mu ojciec i poduszkę sprzeda.

Zawahał się ojciec, spojrział na nas, spojrział na matkę; wszystkiego razem miało być jedenaście złotych.

— Cóż, chłopaki? — zapytał wreszcie — obejdziecie się bez poduszki tymczasem, póki matka chora?

— O jej! — wrzasnął Felek przyduszonym głosem, gdyż właśnie na głowie stał, i nie zmieniając pozycji, poduszkę na izbę cisnął. Chwycił ją Piotruś i na Felka rzucił. Felek znów na mnie, aż nam ją „handel” z rąk wyrwał, żebyśmy nie poszarpali.

— Ale bez poszewki! — odezwała się słabym głosem matka.

Natychmiast wyrwaliśmy „handlowi” poduszkę, którą już pod pachą trzymał, i zaczęliśmy z niej poszewkę ściągać.

Po ściągnięciu wszakże poszewki okazało się, że poduszka w jednym rogu rozpruta i że się z niej pierze sypie. Znów tedy „handel” jedenastu złotych dać nie chciał, tylko dziesięć bez piętnastu groszy.

Targ w targ, zgodził się z ojcem na całe dwa ruble, żeby mu jeszcze koldrę naszą dodać.

Ojciec spojrział na matkę. Była tak osłabiona i blada, że wyglądała jak martwa, leżąc nawznak, z głęboko zapadłymi oczami.

— Anulka... — szepnął ojciec pytająco.

Ale matkę chwycił kaszel, więc odpowiedzieć nie mogła.

— My tam koldry, proszę ojca, nie chcemy! — krzyknął Felek. — My się tylko o tę koldrę co noc bić musimy. Niech Wicek powie!

— Prawda, proszę ojca! — potwierdziłem gorliwie. — Co noc się bić musimy, bo spada...

„Handel” już koldrę zwinął i pod pachę wsadził. Wybiegliśmy za nim z tryumfem w podwórko.

— Wiecie? — krzyknął Felek chłopakom, co tam w klipę grali — „handel” kupił nasze łóżko, koldrę i poduszkę! Będziemy teraz na ziemi na sienniku spali!..

— Wielka parada! — odkrzyknął blady Józiek od krawca z lewej oficyny. — Ja już dwa lata u majstra na ziemi sypiam bez siennika nawet.

Zaimponował nam. Sypianie takie nie było więc już, widać, wynalazkiem naszym.

Tego dnia był u nas doktor, a ja biegałem aż dwa razy do apteki, bo matce znów było gorzej; ale kiedy przyszedł wieczór, tośmy ledwie ziemniaki dojeść mogli, tak nam pilno było na siennik, któryśmy sobie ułożyli w kącie za piecem. Felek to nawet z chlebem w rękę do pacierza kłękął i, oglądając się raz wraz na siennik, w trzy migi „Ojcie nasz” i „Zdrowas” przeszeptał tak, żem ja Ofiarowania nie zaczął, a on już się w piersi bił, aż dudniało w izbie, i tylko katankę zrzuciwszy, zaraz się od pieca położył. Co prawda, to i ja miałem myśl, żeby się od pieca położyć; ale mi się z Felkiem zaczynać nie chciało, więc go palnąłem w ucho i położyłem się od ściany, a Piotrusia tośmy między siebie wzięli. Zrazu zdawało mi się, że mi głowa gdzieś z karku ucieka, bom do poduszki nawykł, ale potem podłożyłem sobie łokieć, i dobrze.

— Czemże ja was, robaki, odzieję? — rzekł ojciec, patrząc, jakęśmy się jeden do drugiego tulili.

Obejrzał się po izbie, zdjął z kołka swój granatowy płaszcz i rzucił go na nas.

Wrzasnęliśmy z uciechy i natychmiast powsadzaliśmy ręce w rękawy. Piotruś tylko piszczął, nie mogąc do nich trafić, aleśmy go z głową peleryną nakryli, więc ucichł. Ojciec, nim się położył, raz jeszcze podszedł do nas.

— No i cóż? ciepło wam, baki? — zapytał.

— Mnie tam ciepło, — odpowiedziałem z głębi płaszcza.

— A mnie jak! — krzyknął Felek. — O, proszę ojca, jak mi to gorąco.

I wystawił swoje długie, chude nogi, żeby okazać, jako o przykrycie nie dba.

M. Konopnicka („Nasza szkapka”).

G O Ś C I E.

W dni świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło. Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutką i okrągłą pan burmistrz z żoną i trzema córkami, staruszka pani majorowa z dwiema wnuczkami, pan pocztmajster, kasjer, sekretarz magistratu i sekretarz z poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę, w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem. Znudzili się tem jednak bardzo

prędko, więc najładniejsza panna burmistrzówna poprosiła pana kasjera, ażeby zagrał do tańca.

— Dajcie mi państwo pokój! — bronił się kasjer, — nie wziąłem nawet gitary z domu.

— To pošlemy po nią! — wołały panny.

— Gitara jest już w kuchni! — odezwał się nieproszony.

Wszyscy w śmiech, — pan kasjer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwyciły go za ręce, a tymczasem pan sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę — w zielonej koszulce.

Kasjer wciąż się bronił.

— Moi państwo, — mówił — na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instrument...

Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki.

Było pięć panien, a nas kawalerów tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do pomocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał do roboty. Czasem moja matka, znalazłszy chwilę wolną od zajęcia przy kolacji, wyręczała pana kasjera w graniu, a on tańczył. Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki i walce.

Na kolację podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólne jednak zadowolenie dosięgało szczytu wówczas, gdy wniesli „krupnik”. Była to gorąca wódka z miodem, zaprawiona gwoździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specjału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić „ty” panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majorowej, a nareszcie — zacząłem chodzić na rękę tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

— To będzie wielki człowiek!... — wołał, uderzając ręką w stół.

Alem reszty już nie dosłyszał, bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacji na zakończenie wieczoru pan kasjer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale zato wyższą czuprynę. Chodził w ciemnozielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzęmiączkami i z fartuszkciem, i w aksamitnej kamizelce w ponsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halstuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na niem, zakładał nogę na nogę, dostrajał gitarę, odchrząknął i zaczął:

Idę na szczyty Kaukazu,
Tak wyrok Boski zażądał;
Może tam zginę odrazu,
Już cię nie będę oglądał.

— Za pozwoleniem! — przerwał pan burmistrz. — Wyjrzyno, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zepewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przegrywce śpiewał dalej:

Może pójdę do niewoli,
Między dzikie ludożerce, —
Któż mnie pocieszy w niedoli,
Jeśli nie ty, łube serce?...

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

— To do ciebie, Jadziu, — szepnęła.

— Moja Meci! — zgromiła ją siostra, rumieniąc się.

Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń, proszono go o drugą. Następowała całkiem nowa przegrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,
Gdzie lecisz, ptaszyno mały?
Może zabłądzisz w te strony,
Które mnie dziecięciem znały?
Ach powiedz mojej rodzinie,
Czy ich to nieszczęście smuci?
Uważaj, czy iza popłynię,
Gdy szepniesz: „Syn już nie wróci?...”

— „Gdy szepniesz: Syn już nie wróci...” — powtórzyła pani majorowa drżącym głosem. — Ślicznie! ślicznie! — wołała staruszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał: „Lecą liście z drzewa...”

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco niższym głosem:

Lecą liście z drzewa, *(ciszej)* co tam rosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:
Nie było, nie było, *(ciszej:)* Matko, szczęścia tobie,
Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho jak w kościele, tylko pani majorkowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwycił się za głowę.

— Za pozwoleniem! wyjrzyj-no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem ten...¹⁾ nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

— No, — rzekł, skończywszy pan kasjer — teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

— Bój się Boga, człowieku! — przerwał mu pan burmistrz — nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje.

I wskazał moją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

— Ach! — odparła — niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

— Dobrze, że pani nic nie robią, — mówi burmistrz — ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

— Ja się tylko Boga boję — mruknął ksiądz.

— No, więc — ja jestem... burmistrzu!, a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekował się moimi dziećmi?..

— Niema strachu — rzekł proboszcz. — Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby ten tam... podsłuchiwał pod oknami.

— Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stał o trzy kroki — upierał się zmartwiony burmistrz.

— O wiorstę i dwieście sążni od poczty — wtrącił pocztmajster.

— Więc przynajmniej nie drzyj się pan i śpiewaj cicho — zwrócił się burmistrz do kasjera.

¹⁾ Mowa tu o człowieku niesłusznie posądzonym o szpiegostwo.

— Cóż znowu tatko mówi? — oburzyła się najstarsza córka. — Jak można taki piękny śpiew nazywać darcieciem się?...

— Już to pan prezydent kroi na naczelnika powiatu — wtrącił ironicznie pan kasjer. — Niema strachu, niema! Jeżeli kto, to ja powinienbym najpierw paść ofiarą...

— I padniesz, padniesz!.., odparł burmistrz. — To największy w świecie rewolucjonista — szepnął do księdza.

Pan kasjer, zadowolony publicznym uznaniem jego rewolucyjności, wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze niż zwykle, utopił wzrok w starszej panie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.
Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy...

— Prześliczne! — zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

— Co to jest? — spytał niespokojnie pan burmistrz.

— Mickiewicz! — odpowiedział pan kasjer.

— Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale — wychodzę! Ja — mówił pan burmistrz, bijąc się w piersi — ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażeby miał ginąć za wiersze.

— Cóż pan widzisz złego w tej piosence? — zapytał niecierpliwie proboszcz.

— Co?... jegomość tak dobrze wiesz o tem, jak ja! — odparł pan burmistrz. — A nuta? Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją kiedy zagrała kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederacie. Tak! niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

— Użyś zwarjował, Franiu! — krzyknęła pani burmistrzowa.

— Taki jestem! — wołał zaperzony prezydent. — W razie czego, — Boże nie dopuść — wojny, wszystkie tutejsze zuchy włożą w kąt, ale ja pokażę, co umiem!

— Franiu! tobie się w głowie przewraca! — mitygowała go żona.

— Jestem zupełnie przytomny, — rzucał się pan burmistrz — ale choć, żeby tu wszyscy wiedzieli, do czego dojdzie, jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzuć iskrę... Chryste, ratuj!..

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesłami. Ile sobie jednak przypominał, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a splakana pani majorowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

— No, moi państwo, — odezwał się pan pocztmajster — czas do domu. Już dziesiąta,

— Czy być może? — zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną, i wszyscy zabierali się do wyjścia.

B. Prus.

PRZEBUDZENIE SIĘ GOPLANY.

Część lasu, widać jezioro Gopło. Skierka i Chochlik wchodzą.

Skierka. Gdzie jest Goplana, nasza królowa?
Chochlik. Śpi jeszcze w Goplu.
Skierka. I woń sosnowa,

I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy, jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją jezioro,
Tak że się całe zwierciadło płami
W tysiące krązków.

Chochlik. Zanadto skoro
Zbudzi się jędra i będzie
Do pracy nas zaprzęgać! To w puste żołądziej
Wkładać jaja motylic; to pomagać mrówkom,
Budującym stolice, i drogi umiatać,
Do mrowiska wiodące; to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;

To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczołki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki.
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Naprzekór ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągłe trąbić do ucha naukę: nie kradnij;
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.
Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimę śpij u chłopca za brudnym przypiekiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.
Bo też ty jesteś leniwy, chochliku!

(Patrzy na jezioro.)

Ach, patrz! Na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana:
Jak powiewny liść ajeru,
Lekko wiatrem kołysana;
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie,
I patrz, patrz, lekka i gibka,
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach, czarowna! Któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wieszają
Ona ma wianek na głowie.

Czy to: kwiaty, czy sitowie?
O nie, — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki;
Tak powiązane za nóżki
Kiedys w jesienny poranek
Upadły na dno rzeczulki:
Rzeczulka rzuciła wianek,

Skierka.

Chochlik.

Skierka.

Wianek czarny jak hebany,
Na złote włosy Goplany.

Chochlik. Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany,
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać:
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi; lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

Skierka. Więc uciekaj... ja się bawię.
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka:
Ożyły, pierzchy i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha
Zadziwiona stoi, słucha,
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych; nie wie, czemu
Wianeczkowi uwiedłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano!

Wchodzi Goplana.

Goplana. Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mój wianek.
Chochlik. Już się zaczyna praca.

(Chochlik odchodzi — mrucząc.)

Goplana. Czy to jeszcze rano?
Skierka. Pierwsza wiosny godzina.
Goplana. Ach, gdzie mój kochanek?
Skierka. Co mi rozkażesz, królowo?

Zadać piękną jaką pracę:
Winać tęczę kolorową,
Albo budować pałace,
Powojami wiązać dachy
I opierać kwiatów gmachy
Na kolumnach malw i dzwonów
Lazurowych.

Goplana (zamysłona). Niel!

Skierka. Chcesz tronów
Z wyplakanych nieba chmurek?
Czy ci przynieść pereł sznurek,
Z owych pereł, które dają
Lep na ptaszki; ale mają

Takie blaski, takie wody,
Jak kałakuckie jagody.
Chcesz? leć na trzęsawice,
Dojrze, dogonię, pochwyć
Błédnego moczar ognika
I zaraz w lilijkę białą
Oprawię jak do świecznika,
I nakryję białym dzwonkiem,
By ci świecił... Czy to mało?
Rozkaż, pani! co pod słońkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę:
Drzewa, kwiaty, światło, rosę.
Co nad ziemią, w ziemi tonię:
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czym kiedy śniły
Myśli twoje, w jezior burzy
Kołysane.

J. Słowacki.

Goplana, Skierka, Chochlik — to postaci, nieistniejące w naturze, nieprawdopodobne, fantastyczne, t. j. wytworzone jedynie w fantazji poety, lecz wytworzone tak, że stają przed nami niby istoty żyjące.

W urywku z Kordjana (str. 130) autor nadaje takie fantastyczne istnienie Imaginacji, Strachowi, które tam mówią i działają, jak istoty żywe.

Fantastyczność należy odróżniać od fantazji (wyobraźni).

Każde dzieło sztuki wymaga fantazji: fantazją odznacza się i Grunwald Matejki i Pan Tadeusz Mickiewicza; ale w obu tych arcydziełach widzimy ludzi, którzy istnieli rzeczywiście — ci sami albo tacy sami. Tymczasem np. w baśniach, podaniach ludowych, Dziadach Mickiewicza, Balladynie Słowackiego i t. p. występują istoty i zjawiska nieistniejące w rzeczywistości, nieprawdopodobne i nadprzyrodzone: czarownicy, wróżki, duchy, drzewa śpiewające, ludzie przemieniający się w zwierzęta i zwierzęta, mówiące ludzkim głosem — to świat urojony, fantastyczny.

Ten świat nadmysłowy nadaje cechę fantastyczności utworom.

Wskaż fantastyczność w II części Dziadów, w znanych ci baśniach i podaniach.

Z II CZĘŚCI DZIADÓW.

(Kaplica, wieczór. Guślarz, starzec, chór wieśniaków i wieśniaczek).

Chór.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie!
Co to będzie, co to będzie?

- Guślarz.* Zamknijcie drzwi do kaplicy
I stańcie dokoła truny,
Żadnej lampy, żadnej świecy,
W oknach zawieście całuny:
Niech księżyc jasność błada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało.
- Starzec.* Jak kazałeś, tak się stało.
- Chór.* Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?
- Guślarz.* Czyścowe duszeczki!
W jakiegokolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie:
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek:
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie, i napitek.
- Chór.* Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?
- Guślarz.* Podajcie mi garść kądzieli,
Zapalam ją; wy z pośpiechem,
Skoro płomyk w górę strzeli,
Pędźcie go lekkim oddechem!
O tak, o tak, dalej, dalej!
Niech się na powietrzu spali.
- Chór.* Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?
- Guślarz.* Naprzód wy, z lekkimi duchy,
Coście wśród tego padolu
Ciemnoty i zawieruchy,
Nędzy, płaczu i mokołu —
Zabłysnęli i spłonęli,
Jako ta garstka kądzieli:

- Kto z was wietrznym błdzi szlakiem,
W niebieskie nie wleciał bramy,
Tego lekkim, jasnym znakiem
Przyzywamy, zaklinamy.
- Chór.* Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?
- Guślarz.* Patrzcie, ach patrzcie do góry,
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto złocistymi pióry
Trzepocze się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie
Kręcą się pod cerkwi wierchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.
- Guślarz i starzec.*
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręcą się pod cerkwi wierchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.
- Aniołek do jednej z wieśniaczek.*
Do mamy lecim, do mamy!
Cóż to mam, nie znasz Józia?
Ja to Józio, ja ten samy,
A to moja siostra Różia.
My teraz w raju latamy,
Tam nam lepiej, niż u mamy.
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzeńki światelka,
A na obojem ramieniu
Jak u motylków skrzydełka.
W Raju wszystkiego dostatek,
Codzień to iuna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotknem, wykwiata kwiatek.
Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i twoga:
Ach, mam, dla twoich dziełek
Zamknięta do nieba droga!
- Chór.* Lecz choć wszystkiego dostatek,

Dreczy ich nuda i trwoga.
Ach, mamó, dla twoich dzieciak
Zamknięta do nieba droga!

Guślarz. Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciastka, mleczko,
I owoce i jagódki,
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

Aniołek. Nie nam, nie nam nie potrzeba:
Zbytkiem słodczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi;
Ach, ja w mojem życiu całem
Nie gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię — wszystko caca,
Śpiewać, skakać, wybiec w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki:
Oto była moja praca;
A jej praca — stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady
Nie dla modłów i biesiady;
Niepotrzebna msza ofiarna;
Nie o pączki, mleczka, chrósty,
Prosim gorzycy dwa ziarna:
A ta usługa tak marna
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Boskiego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna i słodczy w niebie.

Chór. Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna i słodczy w niebie.

Guślarz. Aniołku! duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie,
To ziareczko, to ziareczko,
Teraz z Bogiem idźcie sobie.

A kto próby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju:
Zostawcie nas w pokoju,
A kysz! a kysz!

Chór. A kto próby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcie nas w pokoju.
A kysz! a kysz!

(*Widmo znika.*)

A. Mickiewicz.

TANIEC „ZBÓJNICKI“¹⁾.

Oto na skrawku łączki pod lasem, lub gdziebądź pod
szalasem lub schroniskiem, porzucali na kupę torby i cu-
hy²⁾, porzucali i kapelusze, albo je przymocowali pod bro-
dą z awadłami, następnie wbijają wszystkie ciupagi
w ziemię i zaczynają dokoła nich taniec. Każdy pokolei
staje przed grajką, śpiewa parę zwrotek, płaci za muzykę
i puszcza się drobnego. Wkońcu wszyscy już są w ko-
le, i wtedy rozpoczyna się jakieś szaleństwo, taniec opętany,
warjacki, w którym na tle pewnego ogólnego tempa ruchów,
każdy, odpowiednio do swego temperamentu i zdolności
tancerskich, improwizuje rozmaite ruchy i skoki. Ten łagod-
ny blondyn, zgrabny i smukły, stula nogi, bierze się pod
boki i, wyprostowany, rzuca sobą w powietrze, padając ukoś-
nie na ziemię, jak gwóźdź olbrzymi. Ten drab potężny,
o czerwonej, spoconej twarzy, wyrzuca się w górę na sążeń,
zgina nogi, uderza z trzaskiem w locie dłońmi po piętach
i spada z hukiem. Ów z nadzwyczajną elegancją i szykiem
drepce w miejscu, pochylony, jak gdyby się zachwycał włas-
nymi nogami. Tamten bije z zaciekleścią nogą w ziemię,
jak gdyby chciał w niej dziurę wybić, lub roztrzaskać
własną piętę. Ów przypada całem ciałem do ziemi i wyla-
tuje nagle w powietrze, jak raca. Tamten przeciera obłą-

¹⁾ Taniec Podhalan. ²⁾ Cuha — kaftan, gunia.

kane oczy, włosy mu się jeżą, wytrząsa rękoma nad głową, zdaje się być opętany, pijany jakimś szaleńcem, a jego nogi same, bez jego woli i wiedzy, trzęsą się na miejscu w jakichś zygzakowatych, błyskawicznych ruchach. Wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią, śmigają rękami i nogami i zdają się być zębami jednego koła, leżącego w najszybszym obrocie. Znowu muzyka wolniej, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, szczepiają je ostrzami, trzymając wysoko, i tańczą wkoło zwolna, jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie nad oczyma, ukrytymi pod wystającym jak okap zębem czoła, ściska konwulsyjnie skrzypki i rznie jeszcze wścieklejszym rytmem, a cała banda tancerzy zaczyna się z jeszcze większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce, nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza i mąci w jakiś chaos.

Rzecz oczywista, że aby nogi tak latały, trzeba, iżby je nosił w powietrzu ten namiętny i zaciekły temperament, który żyje w góralach. Pasja, która ich porywa przy tym tańcu, jest tak gwałtowna, że kiedy stają przed grajkiem, najtęższe chłopcy, z czerwonymi jak rak gębami, błędną jak trupy ze wzruszenia.

St. Witkiewicz.

Opis tego tańca jest tak wyraźny, że go widzimy przed sobą, — jest plastyczny.

Plastyczność polega na tak wyrazistym odtworzeniu rzeczywistości, iż wydaje nam się, że ją mamy przed oczyma.

Plastyczność możemy nazwać przymiotem rzeźbiarskim, gdyż odtwarza kształty.

NA ŻELAZNEJ DRODZE POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce.

Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,

Fioletu i ponsu plamy gorejące

Na modro-siny granit kładą się powoli;

Różowią się niebiosów błękitne roztocze,

Złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,

Na biało-zółtych chmurkach rozlały się pianę,

Z którą wietrzyk swawoli,

Sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przezrocze.

Jakby przez mgłę przesiane

Pada światło słoneczne na cichą polanę,

Gdzie wśród jasnej zieleni

Tu owdzie konieczny główka się czerwieni,

Błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku

Niezapominajek modra koronka się mieni.

Niżej, na góry stoku,

Za łąkami zbóż sennych o blasku złocistym,

Czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem.

K. Tetmajer.

Jak maluje naturę przytoczony wiersz Tetmajera?

Styl, odtwarzający nam **barwy** obrazu, nazywamy **malowniczym**, barwnym.

Plastyczność i malowniczość — to cechy obrazowości stylu.

Na podstawie rozpatrywanych tu utworów i tego, co się mówiło od początku o rozmaitych cechach wystąpienia — widzimy, jak wiele jest rodzajów stylu i jak są różnorodne.

Zależnie od tego, z jakiego punktu będziemy je rozpatrywali, styl bywa:

jasny lub ciemny, — zwięzły i rozwlekły, — ucinkowy, złożony ze zdań krótkich, i periodyczny — z okresów, — poprawny — niepoprawny, — czysty, dźwięczny, prosty, ozdobny; naturalny — napuszony, — indywidualny, pospolity, — piękny — niedbały i t. p.

może być także wdzięcznym, obrazowym, plastycznym, malowniczym, bezbarwnym, żywym, fantastycznym i t. p.

Ze względu na nastrój bywa poważny lub żartobliwy.

Poważny: silny, uroczysty, wzniosły, tragiczny, uczuciowy, sentymentalny (czułościowy), melancholijny, gwałtowny (namiętny) i t. p.

Żartobliwy bywa: wesół, komiczny, dowcipny, humorystyczny, ironiczny, satyryczny, sarkastyczny, rubaszny, wytworny i t. p.

Określ styl w następującym urywku:

Gdy wiosna rozbudziła w duszy poezję, uśpioną zimnem smutnej naszej ziemi; — gdy odrodzony człowiek w swem rozczuleniu dla Stwórcy poetycznie dzieciennie, uśmiecha się do pierwszych z pod śniegu główki wychylających dzwoneczków białych z tym złotym pyłkiem, które ją tak zdobią; — kiedy się raduje z widoku tych listków niskich krzewów, które to pod włoskami obrosłe, aby się od przymrozków chronić, i patrzy na szerokie liście dzikich fioletów i poziomek, rozsiadających się po ziemi. dumnych, że matkę ziemię już przykrywają; — kiedy każdy kuszący owad nasze oko ku sobie zwraca, i wzrok goni za szczęśliwie przezimowanym motylem; — kiedy głosy najpierwej nam przybywających śpiewaków uderzą nasz słuch, i podziwiamy to melodyjne przypomnianie przeszłorocznych wyuczonych śpiewek i dumelek; a gromady ziarnojadów, jeszcze na pary nie

podzielonych, obsiadą drzewa, z liści obnażone, i wspólny śpiew zanuca, śpiew, złożony z setnych głosów współubiegających się:—o! wtedy każdy ptak. każdy robaczek, każdy owad jest książką zajmującą do czytania; wtedy to przechodzą myśli zastanawiania się nad organizacją całej olbrzymiej przyrody, nad tem życiem u każdego żyjątka innem, a taką silną harmonję tworzącem; wtedy to ruch ptaka, zawsze z pewnem przeznaczeniem i celem wytkniętym, wodzi wzrok badacza za sobą magnetycznie, a im więcej dążności ukrywa, tem więcej ciekawości wzbudza.

Z K. Wodzikiego.

PROZA I POEZJA.

M G Ł A.

Powietrze czyste i suche, albo pomieszané tylko z nieskroploną parą wodną, jest gazem zupełnie przezroczystym. Gdy w otoczeniu dostrzeżemy brak tej przezroczystości, mówimy, iż powietrze jest zamglone.

Mgła składa się z bardzo drobnych cząsteczek wody, powstałych przez częściowe zgęszczenie pary, będącej w powietrzu. Cząsteczki te są tak małe, iż nierychło spadają ku ziemi, podobnie jak drobny pył lub kurz, który mimo większego ciężaru, z łatwością się w powietrzu unosi.

Mgła tworzy się, ilekroć powietrze wilgotne zostanie do tego stopnia oziębione, iż wszystkiej będącej w niem pary nie może w stanie lotnym w sobie utrzymać. Z tej przyczyny tworzą się obłoczki mgły, gdy w mroźny dzień na dworze oddychamy; w lecie oddech nie bywa zamglony.

W przyrodzie istnieją różne przyczyny, oziębiające wilgotne powietrze i sprawiające zamglenie. Znane są mgły zimowe, które powstają, gdy po dłuższym mrozie, który ziemię silnie oziębił, powieje cieplejszy i wilgotny, np. południowo-zachodni wiatr. Mgły takie bywają zapowiedzią odwilży. W lecie bardzo pospolite są mgły wieczorne, tworzące się przeważnie w miejscach niskich i wilgotnych. Widać wówczas często mgły ponad rzekami; woda bowiem zatrzymuje ciepło dłużej, aniżeli otaczające, pospolicie wyższe brzegi. Powie-

trze, tam oziębione, spływa ponad rzekę i sprawia zamglenie.

Podobnie tłumaczą się mgły ponad niskimi równinami, nad łąkami, mozarzami i t. p. Mgły są bardzo pospolite w górach, a po deszczu z każdego niemal parowu i z wilgotnych lesistych dolin wychodzą mgły, niekiedy tak gęste jak dym.

A. Witkowski.

MELODJA MGIEŁ NOCNYCH.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym.)

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżycą,
Co nam ciało przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne, i w smrekowym szmer borze;
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głębinie..
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona.
Puchem z mlecza się bawmy i śmy błoną przezroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą;
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci
Jak my same, i w nikle oplatajmy go sieci;
Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w płasy znów pogoni nas skocznie.

K. Tetmajer.

Porównaj „Mgłę“ Witkowskiego i „Melodję mgieł nocnych“ Tetmajera. Czem się różnią te dwa urywki?

Proza maluje rzeczywistość bez względu na piękno, daje nam obraz prawdziwy, dokładny i pouczający.

Poezja — maluje złudzenia naszej wyobraźni, wrażenia i uczucia nasze.

Ogólnie biorąc, proza to rzeczywistość, ścisła prawda, rozważona rozumem, przeznaczona przeważnie dla umysłu; — poezja to fantazja,

uczucie, marzenie, prawda przedstawiona pięknie, przemawiająca poważnie do uczucia i wyobraźni. Zadaniem prozy: badać, wyświećlać, uczyć; zadaniem poezji — malować piękno, zachwycać, wzruszać;

Rozpatrzmy to na przykładach:

„W cyrku“ Sienkiewicza (str. 45) należy do poezji czy do prozy? Czy maluje rzeczywistość, czy prawdopodobieństwo, odezute i odtworzone przez wyobraźnię autora? Czy celem jego było uczyć czy wzruszyć czytelnika?

W ten sam sposób zastanów się nad „Gazdą halnym“ Tetmajera, (str. 75) przypowieścią Mickiewicza (str. 100) „W gorączce“ Żeromskiego (str. 126) Czy to poezja, czy proza? Dlaczego?

Co do formy: „W cyrku“, „Gazda halny“, przypowieść „W gorączce“ pisane są mową związaną.

Czy „Pan Tadeusz“, „Grażyna“ należą do poezji czy do prozy? Czy są pisane mową związaną czy niewiązaną?

Widzimy więc, że utwory poetyckie mogą być pisane wierszem i prozą, czyli mową związaną i niewiązaną. (Wyrazu proza używamy także w znaczeniu mowy niewiązanej.)

Daj przykład poezji, pisanej mową związaną.

Daj przykład poezji, pisanej mową niewiązaną.

Rozróżnianie poezji i prozy.

ZAPROSZENIE.

Jeśli nie chcesz, przyjacielu,	Do Kuroka (Bracka, trzeci).
Chodzić nigdy do doktora,	Musisz wnet pomaszerować.
Radzę szczerze i serdecznie,	Są tam także pyszne szynki,
Póki na to jeszcze pora:	Wiejskie pyszne masz prowjanty:
Gdy chcesz smacznej zjeść kiełbasy,	Kaczki, masło, jaja, sery,
Na trychniny nie chorować,	Zimą także są bażanty.

Czy to poezja, czy proza? Które z następujących urywków i utworów zaliczysz do poezji, a które do prozy?

PRZED KONTYNĄ.

Weszli rycerze w pustoszą, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nući tam samemu sobie, kołysząc się w splawach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedy niekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody, a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze¹⁾ konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwałił je wichur, z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista²⁾, gdy, pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur, z grzmotem pod kopytami a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Ponad zgniłymi truchłami jodeł plenią się cudne bugaje młodocianych jodełek, chełwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela³⁾. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę, a w górę, pod szczyt, jak młody, wierny pies.

Aż oto we dwie strony odchyli się zwarty, jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmiernie, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawždy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Płaczą się twarde różgi i dotykają liście.

Zdała tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty⁴⁾ i śnić chłodnymi ranami po ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozechodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwe pawęże⁵⁾ gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stalowych gałęziach hoduują czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn⁶⁾. Zaparte w nim na głucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołacą z łoskotem — raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą potężnymi pięściami, cicho się wrótnie rozsunięły na prawo i na lewo.

Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wkoło niej trawy a trawy. Niedeptany, kwietny łąn, niwa bodze⁷⁾ poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie

¹⁾ Wojownicy. ²⁾ Bożek wiatru. ³⁾ Bożek deszczu i słońca.
⁴⁾ Śniat — pień. ⁵⁾ Tarcza. ⁶⁾ Plot. ⁷⁾ Bogu.

okiełznał ich uzdą jeździec, ani opasał popręgiem. Nie znieważał ich ramięń kiścienia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przenigdy praca, ani ogłuszył zgielek boju o ludzkie krzywdy.

Żyli tu wieszeze rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę pily, gdy wola, ze źródlika wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a z pod przyciesi bożnicy baniami przejrystymi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uspiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów, pod bukami układały spać z dobrowoli na wieki.

Śwaróg rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Poleł obmył czystymi wodami z chmur na bukach osiadłych, kości białe, krew struchlałą a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnymi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świsł-Po-świsł osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mehom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszły były paść się w ogrodzie — i, strudzone długością żywota, zasnęły u drzew kontyny.

Kości tam białe i kielce¹⁾ wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelaznemi od głodu ślepiami, a pod okiścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co jak serce w piersi człowieka wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tymem bezpiecznym otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień, chodzący dokoła węglów, i niweczy wszelki strach nocny pod strzechami.

Patrzą ku słońcu niezmrzużonemi oczyma promieniste złocenie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złocieniowe i pilnie noś na sercu.

¹⁾ Kły.

Pod ciemnym tymem jak gdyby poblask na wodach zorzy wieczornej... Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemnoniebieskich dzwonek zatoka. Na powikłanych odnózkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej, przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty, plemieniu ludzkiemu przychylnie, a darowują oczom tę barwę, której ponad wszystkie inne trwożą się dziwożony¹⁾.

S. Żeromski.

Zmiany fonetyczne i analogiczne w języku.

Zmiany w języku każdego narodu bywają głównie dwojakiego rodzaju: jedne z nich polegają na zastąpieniu pewnego dźwięku drugim: są to zmiany fonetyczne, głosowe, ułatwiające przeważnie samo wymawianie; drugie zaś są zmianami postaci wyrazów na wzór innych i polegają na upodobnieniu jednych form gramatycznych do drugich, co w gramatyce nazywa się analogją. Tak np. ogólnie dziś używany wyraz mularz, lub imię Małgorzata mają brzmienie łagodniejsze, aniżeli postaci ich dawniejsze: murarz (pochothane od mur) i Margorzata (od Margaryta); dzisiejszy przymiotnik wiejski łatwiej się wymawia, aniżeli stara jego postać wieśski (wieś-ski). Są to zmiany fonetyczne. Przeciwnie forma przysłówka wyżej, zamiast dawniejszej wyszej, nie powstała bynajmniej wskutek zmiany fonetycznej SZ na Ż, ale utworzona została na wzór form bliżej, niżej. Tu więc mamy zastosowanie analogji.

A. A. Kryński.

PIĘKNA POLSZCZYZNA.

— Pan Piotr miał wypadek mały:	...Otóż pan Piotr w tem zdarzeniu
Onegdaj pod wsią Kamykiem	Poleca się Boskiej pieczy
Dwa pociągi się spotkały...	I myśli o wyskoczeniu...
— Jakim pan mówisz językiem!	— Jak pan polszczyznę kaleczy!
Nie mów pan nigdy: spotkały,	Nie — myśli o wyskoczeniu,
Lecz pociągi się zderzyły!	Ale — na skok reflektuje!
To wyraz dla ucha miły!	To dopiero rzecz małuje!

¹⁾ Dziwożony — bajeczne mieszkanki lasu, złośliwe względem ludzi.

...Więc pan Piotr okno wybija,
A choć krzyczą: złamiesz nogę!
On zdrową radę pomija...
— Panie! ja słuchać nie mogę!
Wyższy styl dziś nie pomija
Rady, lecz ją *abstrahuje!*
Że też pan tego nie czuje!
...Otóż skoczył i wpadł w błoto;
Tym sposobem niepotrzebnie
Wystawił się na śmiech oto.
— Ach! jak pan mówi haniebnie:

Wystawił się na śmiech oto!
Zblamował się! tak, mój panie!
Pozwól, ja powiem to zdanie:

Pan Piotr *na skok reflektuje*,
Bo pociągi się *zderzyły*;
I zamiar swój *wykonuje*,
Choć nie radzą. Zbiera siły,
Skacze, radę *abstrahuje*...
Zblamował się! Każdy przyzna,
Że to jest piękna polszczyzna!

Rodo.

Z WIZERUNKU.

Bo jeśli to rozkoszą kto ma przezwąć właśnie,
Gdy grzmi bęben za uchem, a kozi róg wrzaśnie,
Pomorty a puzany¹⁾, co wszyscy zagłuszają,
Albo skakać od kąta do kąta z Maruszą.
Już który kąt zastąpisz, już siedz jako drewno,
Bo jako się podniesiesz, odepchną cię pewno.
Już jako głuch na drugie musisz palcem kiwać,
Bo już tam trudno słusznej rozmowy używać.
Abowiem już tam każdy, chociaż ledwie ziewa,
Wrzeszczy, sapi, markoce, a mnima, iż śpiewa.
A drugi, za nim stojąc, jako ciele ryczy,
A zda mu się, iż wesół, a iż pięknie krzyczy.
Śklenice w kąt latają, na stole by w łaźni, —
Tak więc Bachus, on rycerz, swe kochanki błażni,
Iż kiedy rano wstawszy, wieczór wspominają,
— Abociem był oszalał — sami sobie łają.
Ano się we łbie kręci, pan siedząc, szczka, spluwa,
Pierza ma we łbie pełno, opak się obuwa,
Oblicza się z kaletą, nie chce respondować²⁾,
Musi jej dać na kwity, gdy nie masz co schować.
Suknia śmierdzi drożdżami, czapka gdzieś na ławie:
Patrzajże krotochwile³⁾ w takiej milej sprawie. M. *Reg.

Przekonywamy się przez porównanie tych urywków, że nieraz trudno jest znaleźć ścisłą granicę między poezją a prozą. Przypo-

¹⁾ Instrumenty dęte. ²⁾ Odpowiadać — ustnie lub kieszenia. ³⁾ Zabawa, przyjemność.

wieść Mickiewicza (str. 100) i kazanie Skargi (str. 25) okazują, że poezja może nauczać, rozszerzając widnokrąg myśli, a proza wzruszać, działać na uczucie.

„Pan Tadeusz” i „Smutno mi, Boże”—dowodzą, iż nie tylko proza oddtwarza rzeczywistość. Życie szlachty na Litwie w początkach XIX w. i smutek Słowackiego oddane są tu z prawdą.

Zestawienie „Zaproszenia” z Kontyną unaocznia, jak mało znaczy forma wiązana, jako rzekoma cecha poezji.

Nie można także twierdzić z całą stanowczością, że tylko poezja oddziaływa na wyobraźnię, bo czyż historia albo nauka o wszechświecie lub drobnoustrojach nie porusza żywo fantazji?

Ogólnie więc powiedzieć tylko można, iż w prozie przeważa pierwiastek rozumowy, w poezji — uczucie i fantazja, główną zaś różnicę stanowi piękno. Na tej podstawie „Zmiany fonetyczne” zaliczyć możemy do prozy, a „Przed kontyną” do poezji.

Rodzaje prozy i poezji.

POLESIE.

Poleska dzielnica niżu, choć wznosi się wyżej od części zachodnich, wyróżnia się wybitnie bagnistością. Polesie jest to kotlina niezwyklej płaskości, zakłębnięta lekko w środku, wzdłuż Prypeci, która ją przepływa, a nieznacznie podnosząca się ku okalającym ją wyżom: Litewskiemu, Wołyńskiemu i Rosyjskiemu. Można też łatwo na Polesiu zjechać wszcz i wzdłuż dwadzieścia mil i więcej, a nie spostrzec po drodze pagórków, bodaj 5 metrów wysokich. W takich warunkach liczne i spore rzeki, które z obu stron, od południa i od północy, leniwie bieżą do Prypeci, stwarzają krajobraz, wśród którego niemal wszędzie widać moczarowe błoto. Podczas roztopów wiosennych rozlewają się wody na obszary setek kilometrów kwadratowych, a po opadnięciu wód w rzekach nie cofają się wszystkie wody do rzeczek napowrót, lecz przenikają w gąbczastą glebę moczaru od jednej powodzi do drugiej. Płynąc w otwartych korytach, ulegają rzeki łatwo zmianie biegu, dzielą się na liczne ramiona, a przy połączeniu się dwu rzek powstają niezliczone ramiona strug wodnych, które niewiadomo do której rzeki należą, skąd czerpią wodę i gdzie ona płynie. Pełno też na Polesiu błotnistych, trudno dostępnych jezior. Największe jezioro, Kniaże, długie na 20 km., znajduje się w samym środku Polesia.

Wśród tych rozległych, bezbrzeżnych błot sterczą suche wyspy, bądź piaszczyste, z wydętymi garbami wydm, bądź gliniaste, żyzniejsze, przedstawiające główne, ale nieliczne i szczupłe obszary, zdadne do osiedlenia dla mieszkańców błot, Pińczuka-Poleszuka.

Ogromna jednostajność powierzchni Polesia sprawia, że tu więcej niż gdzieindziej rozstrzyga o postaci krajobrazu roślinna szata. Najpospolitszą formą roślinną Polesia jest przedewszystkiem las sosnowy, pokrywający zarówno jednolicie obszary piaszczyste, jak też i łąki podmokłe, bo wciska się nawet na głębokie moczary torfowe, na których jednak ulega w ciężkiej walce z wilgocią i gwałtownie się rozwijającym mszystym torfowcem. Kłody i pnie sosny, tkwiące nawpół zbutwiałe w głębi bagna, świadczą o wyniku tej nierównej walki. Wespół z sosną, zwłaszcza na piasku, tworzy często na Polesiu mieszane lasy i brzoza; obie nie znoszą cienia; na bagnach i błotach łączy się z sosną oleha. Od litewskich lasów wciska się w północne Polesie świerk, a gdzie się on na trochę żyzniejszych glinkach umieści i rozrośnie, tam las sosnowy ginie od cienia świerkowych lasów.

Obok lasów sosnowych najpowszechniejszą szatą roślinną Polesia są łąki błotne. Kwaśne łąki Polesia mają niejaki podobieństwo do stepów. I tu i tam brak jest roślinności drzewnej, a w obu dziedzinach są doskonałe piaszczyste korzystnym obszarem rozwoju traw kwaśnych, trzcin i sitowia.

W dali od rzek natomiast, w pobliżu jezior, na miejscach nieco wyższych, często na piaszczyskach, w pobliżu lasów sosnowych ścielą się najposępniejsze bagna, mszyste torfowiska.

Rozbijała roślinność błot wciska się też na wody płynące i stojące. Wody stojące ulegają zatorfieniu, a w leniwie płynące wody rzek wciskają się za zaroślami trzcin i sitowia, liczne rośliny wodne: jaskry, lilje, uroczę lobelje i wiele innych, które w swym chwastowym rozroście nieraz kobiercem nieprzerwanym rzucają przez rzeki istne pomosty. Z roślin drzewiastych są często gęste zarośla karłowatych wierzb najpospolitszym sąsiadem błot i rzek.

E. Romer.

Porównaj ten opis i następny „Na Wezuwjuszu”; który można nazwać prozą, a który poezją?

NA WEZUWJUSZU.

Był zachód słońca. Fala, cicha jak sen, grała w kolorach złota, ponsu i szafiru.

Nieruchome, spokojne, małe okręty rybackie, łowem koralu zajęte, bielili się żaglami na wodzie, pochylone na bok, podobne do nenufarów, kwitnących na jeziorze.

Cicho było dziwnie.

W dali widać Neapol, od zachodzącego słońca różowy, i hen, aż ku Polom Elizejskim, szła przestrzeń błękitniejszej w zmierzchu, zamysłonej ziemi. Kapryjskiej wyspy skała podnosiła się z morza, lekko różowa i cieniem przesłana podłużnym; nad Sorrentem i zatoką morską śniegiem u szczytu srebrzyła się góra Świętego Anioła, i hen od niej biegły olbrzymim kręgiem fioletowo-niebieskie i różowo-pozłociste kopy gór włoskich, podobne do rozkołysanych fal oceanu.

Niebo, nad wstęgą gór jasne w światłach metalicznego amarantu i żółto-błękitnych kolorach, szarzało na wschodzie i stawało się sennie. Na Pompei padł mrok; miasto umarłych ginęło jakby w mgłę jakiejś wielkiej i spokojnej.

Szedł wieczór.

Cicho było dziwnie, tylko Wezuwjustz niekiedy wyrzucał w strop słupy czerwonej lawy, z hukiem i trzaskiem, i rozsypywał ją w powietrzu, że podobną się stawała do ogromnego stada płomiennych ptaków, które z szumem chmurą spadały na zbocza krateru, lśniąc jeszcze długo na ziemi, złowrogo, strasznie i jakby całej naturze przeciwnie.

A kiedy wybuch zgasł, znowu było dziwnie cicho.

K. Tetmajer.

WYPRAWA SOBIESKIEGO NA CZAMBUŁY¹⁾.

Hetman wielki koronny wyprowadził z obozu wcale niewielką liczbę żołnierza: 3 do 4-ch tysięcy głów ludzkich, ale konskich we dwójnasób, ponieważ każdy jeździec miał konia luźnego. Nie było żadnego taboru — ani dział, ani wozów, ani bagaży. Dziś nazwalibyśmy taki oddział nie armją, nie wojskiem, lecz jakąś kolumną ruchomą czy lotną, a dowództwo nad nią sprawowałby generał dywizji jazdy.

¹⁾ Czambuły — oddziały tatarskie, napadające szybko dla rabunku.

Ale szczupłą liczbę potęgowała znacznie waleczność, sprawność, dzielność tych dawnych towarzyszy broni i dobór oficerów.

Deszcz padał „srogi“, mimo to Sobieski szedł nieustannie do późnej nocy, aż natrafił na koczowisko tatarskie pod Krasnobrodem. Zatrzymał się, żeby uderzyć o świcie. Tymczasem nadszedł Haneńko inną drogą, „z boku“, i spłoszył Tatarów. Wielu z nich, korzystając z ciemności, ukryło się w lasach, lecz Abas-murza z główną siłą uszedł w kierunku południowym.

Wkrótce ujrano wszystko Podsanie w ogniach. Umiął hetman jednak oświecać sobie drogę dokładniej zapomocą wyprawionych na wszystkie strony podjazdów.

Ubiegwszy dnia tego mil 4, dał Sobieski tylko 3—4 godziny wypoczynku i o północy z 6 na 7 października poszedł dalej na ogień. Skoro dzień, przyprowadzono mu 15 „języków“, od których zdobył kilka ważnych wskazówek. Wyrozumiał, że wszystkie szlaki grasujących w tej okolicy zagonów schodzą się pod Niemirowem, a ponieważ znał doskonale miejscowość i liczne tutejsze przeprawy, więc urządził zręcznie obławę. Dogonił pod Horyńcem dużą orzę i napędził ją na wielkie przeprawy. Wtedy zadał Tatarom dotkliwą klęskę: zasał trupem kilka szlaków na przestrzeni dwóch mil; Tuchaj-murza dostał się do niewoli żywcem, 5 lub 6 murzów zginęło; koni zdobywanych i własnych tatarskich bachmatów dużo dostało się wojsku; najcenniejszą wszakże zdobyczą było „kilkanaście tysięcy“ (podobno 12) wyzwolonych brańców i branek.

Wypadło poświęcić część dnia 8 października na zbieranie dzieci po polach i lasach i na odwożenie ich do pobliskiego monasteru, poczem Sobieski zbliżył się do swego Jaworowa i stanął na noc w Kochanówce.

Dalej Sobieski szedł forsownym marszem, skoro do południa zrobił półomszej mili pod deszczem i przy najgorszych przeprawach. Pomimo zmęczenia koni, zdecydował się na atak natychmiastowy, wiedząc, że z Tatarami niema chwili do stracenia. Już bowiem z kilku wiosek po drodze uciekali oni do kosza¹⁾; a Nuradyn, ostrzeżony przez nich, kazał ścinać jeńców.

¹⁾ Obóz.

Wojsko polskie nie przenosiło półtrzecia tysiąca człeka, ponieważ część znaczna powróciła ze zdobyczą, a niemało też pozostało w błocie na przeprawach. Sobieski posłał przodem kilkaset koni ochotnika. Walka trwała niedługo, skoro bowiem huknęła muzyka marsowa, i Sobieski zaczął się przeryzać przez gęstą masę Tatarów, ogarnął ich taki strach, że jedni w tył, a drudzy w oczy mało co polarłszy się, sromotnie uchodzić poczęli. Jasyru odbito „najmniej na 20.000“—szlachty, kobiet, księży, więcej daleko Polaków niż Rusi, gdyż brani byli przeważnie za Sanem, z Sanoka i Biecza.

„Owo zgoła nie mógł sam Pan Bóg większej łaski swojej i błogosławieństwa swego świętego pokazać, jakie pokazał, snadź za uproszeniem tych niewinnych dusz, które niebiosa same przenikać musiały płaczem swoim“. Temi słowy zamykał Sobieski sprawozdanie o znakomitym czynie swoim w raporcie o tyle skromnym i skróconym, że należy uzupełniać go dokładniejszymi zapiskami jednego z żołnierzy, uczestnika wyprawy.

„Blisko trzecia część wojska nadażyć nie zdołała. W godzinę po wschodzie słońca ujrano Tatarów. Najpierw zapobiegł Sobieski, aby się nie rzucili nazad „ku Polsce“. Sam przygotował się do uderzenia na nich „w oczy“, skradając się dolinami, chróstami. Chorążym kazał spuścić wdół sztandary, czem wprowadził Tatarów w błąd, bo zdaleka wzięli wojsko polskie za swoje. Dopiero na wierchołku ostatniej góry ozwały się trąby i kotły, podniosły się znaki hetmańskie, i kilkaset ochotnika pomknęło do ataku. Zmieszali się ordynicy, ale już było za późno. Próbowali ratować jasyr, wyprawiając go naprzód, gotując się do walki w odwodzie. Nie wytrzymali jednak natarcia i zaczęli uciekać „lotnie“. Przypuszczam, że konnica polska niedługo mogła ich gonić po zarosłym drzewami wąwozie, pokiereszowanym niezmiernie krętą rzeczulką Bereźnicą i zawałonymi warstwami kamieni. Ale razila i odpierała ich zewsząd. Padło zaraz trupa bardzo gęsto pod lasem; wzięto żywcem kilkadziesiąt znacznych; zdobyto wszystkie chorągwie, juki, sobole i szaty nuradynowe. Tłum tatarski szukał schronienia i ocalenia w lasach Bednarowskich, lecz te były już pełne chłopów, a Sobieski posłał dragonów i pachółków do przetrząsania. Szło też wiele towarzystwo ochotnego“.

Nazajutrz, 15-go, kazał Sobieski odprawić dziękczynne nabożeństwo przy muzyce wojskowej w obozie „pod Kałuszem”. Następnie wojsko cofnęło się wolnym marszem pod Koszową, gdzie miało wypoczywać. Był to wypoczynek dobrze zasłużony, tak przez żołnierzy, jak przez wodza, któremu uczestnik wyprawy wystawia świadectwo „pilnego dozoru przy niesłychanych niewczasach i pracach: nigdy prawie nie śpiąc, nigdy nie rozbierając się, ognia nie niecąc, mało, ledwie co jedząc (bo w spustoszałym kraju o chleba bochenek trudniej było, niż o tysiąc Tatarów), w tak wielkich i niecnotliwych przeprawach”.

Tadeusz Korzon.

D W I E Ł Ą K I.

Legenda indyjska.

Były dwie krainy, leżące obok siebie, niby dwie łąki niezmierne, przedzielone tylko jasnym strumieniem. Brzegi tego strumienia rozchylały się w jednym miejscu łagodnie na obie strony, tworząc bród miałki w kształcie jeziora, o wodach cichych i przezroczystych. Pod błękitną tonią widać było dno złote, z którego wystawały łodygi lotosu, rozkwitającego nad wodną szybą kwieciem różowym i białem; tęczowe łątki i motyle wiły się wokół kwiatów, a wśród palm nadbrzeżnych i wyżej w promiennym powietrzu dzwoniły, jak srebrne dzwonki, ptaki.

I to było przejście z jednej krainy do drugiej.

Pierwsza zwała się Łąką Życia, druga—Łąką Śmierci.

Stworzył obie najwyższy i wszechmogący Brahma, który w krainie Życia rozkazał włodarzyć dobremu Wisznu, a w krainie Śmierci mądrymu Sziwie.

I rzekł:

— Czyńcie, jako rozumiecie najlepiej.

Więc w krainie, należącej do Wisznu, zawrzało Życie. Poczęło wschodzić i zachodzić słońce, nastały dnie i noce, przestworza morskie jęły wzdymać się i opadać; na niebie pokazały się ciężarne dżdżem obłoki, ziemia porośla puszcza, zaroilo się od ludzi, zwierząt i ptaków. By zaś wszystkie twory żyjące mogły rozradzać się i mnożyć, stworzył dobry bóg Miłość, której nakazał, aby zarazem była szczęściem.

A wtedy Brahma zawołał go przed swoje oblicze i rzekł:

— Nie doskonalszego nie zdołasz wymyślić na ziemi, że zaś ja uczyniłem niebo już pierwaj, przeto odpocznij, i niech te istoty, które nazwałeś ludźmi, snują dalej bez żadnej pomocy nie Życia.

Wisznu usłuchał rozkazu Brahmy, i ludzie poczęli od-tąd sami myśleć o sobie. Z ich dobrych pomysłów zrodziła się Radość, a ze złych Smutki, więc ze zdziwieniem spostrzegli, iż życie nie jest bezustannie weselem, ale że ową jego nieć, o której mówił Brahma, przęda jakby dwie prządk, z których jedna ma uśmiech na twarzy, a druga łzy w oczach.

Udali się wtedy przed tron Wisznu i poczęli się skarżyć.

— Panie, ciężkie jest życie w smutku.

A on rzekł.

— Niechaj was pociesza Miłość.

Usłyszawszy to, odeszli uspokojeni, albowiem Miłość rozpraszała istotnie ich smutki, które wobec szczęścia, jakie ona daje, wydawały się tak blahe, że niewarto było na nie zważać.

Ale Miłość jest zarazem wielką rodzicielką Życia, więc jakkolwiek ogromna była ta kraina, w której włodarzył Wisznu, wkrótce dla tłumów ludzkich nie starczyło ni jagód leśnych, ni miodu skalnych pszczoł, ni owoców na drzewach. Wówczas ci, którzy byli najrozumnijsi, wzięli się do karczowania lasów, do uprawy pól, do siejby zboża i do zbierania plonów.

I w ten sposób powstała na ziemi Praca.

Wkrótce wszyscy musieli się do niej zabrać, tak że stała się ona nie tylko podstawą Życia, ale niemal życiem samem.

Ale z Pracy urodził się Trud, a z Trudu Zmęczenie.

Gromady ludzi stanęły znów przed tronem Wisznu.

— Panie! — wołały, wyciągając ręce, — Trud osłabił nam ciała, Zmęczenie rozsiadło się w naszych kościach, i chcielibyśmy odpocząć, a Życie przymusza nas wciąż do pracy!

Na to Wisznu rzekł:

— Wielki Brahma nie pozwolił mi rozwijać dalej Życia, ale wolno mi stworzyć coś takiego, co będzie jego przerwą, a przeto i wypoczynkiem,

I stworzył Sen.

Ludzie z radością przyjęli ten nowy dar i wkrótce uznali go za jeden z największych, jakie otrzymali z rąk boga.

We śnie koili się troski i zawody, we śnie krzepiły się siły zmęczonych. Sen osuszał jak dobra matka łzy smutku, i otaczał głowy śpiących jakby cichą mgłą zapomnienia.

Więc ludzie wychwalali Sen, mówiąc:

— Bądź błogosławion, albowiem lepszyś jest od Życia na jawie.

I jedno tylko mieli mu do zarzucenia, że nie trwa wiecznie, że następuje przebudzenie, a po przebudzeniu praca, — i nowe trudy i zmęczenie.

Myśl ta poczęła ich trapić tak ciężko, że po raz trzeci udali się do Wisznu.

— Panie — mówili — dałeś nam dobro wielkie i niewysłowione, ale niezupełne. Spraw, aby Sen był wieczny.

Wisznu zaś zmarszczył swoje boskie brwi, jakby zganiwan ich natręctwem, i odpowiedział:

— Tego ja wam już dać nie mogę, ale idźcie do rzecznej przeprawy, a po drugiej stronie znajdziecie to, czego szukacie.

Ludzie usłuchali głosu bóstwa, i zastępy ich pociągnęły zaraz nad jeziorko, a stanawszy nad niem, poczęły spoglądać na drugą stronę.

Za cichą i jasną, haftowaną kwieciami tonią ciągnęła się Łąka Śmierci, czyli kraina Sziwy.

Nie wschodziło i nie zachodziło w niej słońce, nie było dnia i nocy, ale całe przestworze nasyciła liljowa, jednostajna jasność.

Żaden przedmiot nie rzucał tam cienia, bo owa jasność przenikała wszędy tak, iż zdawała się tworzyć istotną treść wszechrzeczy.

Kraina nie była pustynna: jak okiem sięgnąć, widniały w niej doliny i wzgórza, porośłe ślicznymi kępami drzew, wokół których wily się pnały, zwoje bluszczu i winogrodu zwieszały się ze skał. Ale i skały, i pnie drzew, i smukłe łodygi roślin były niemal przezrocze, jakby ze zgęszczonego światła uczynione.

Liście bluszczu miały leciuchne różane blaski zorzy porannej, a wszystko było cudne, ukojone jakimś niezna-

nem na Łące Życia ukojeniem, przeczyste, niby pogrążone w świetlistej zadumie, niby senne i uśpione snem błogim, nieprzespanym.

W jasnem powietrzu nie było najmniejszego powiewu, nie poruszał się żaden kwiat, nie zadrgał żaden listek.

Ludzie, którzy przyszli na brzeg gwarno i z głośną rozmową, uciszyli się na widok tych liljowych, nieruchomych przestworów i tylko szeptem poczęli powtarzać:

— Jaka tam cisza, i jak wszystko spoczywa w świetle.

— O tak, tam spokój i wieczny sen.

Więc niektórzy, najbardziej zmęczeni, rzekli po chwili:

— Pójdźmy szukać wiecznego snu.

I weszli w wodę.

Grająca tęczą toń rozstąpiła się zaraz przed nimi, jakby chcąc im przejście ułatwić. Ci, którzy pozostali na brzegu, chwyceni nagle tęsknotą, — poczęli na nich wołać, — lecz żaden z nich nie odwrócił głowy — i szli dalej lekko i obocho, widocznie coraz bardziej urokiem cudnej krainy przyciągani.

Tłum, patrzący z brzegu Życia, zauważył też, że ciała ich w miarę, jak się oddalali, stawały się rozwidnione, przejrzyste, coraz lżejsze, coraz bardziej świetlane, coraz promienniejsze i jakby topniejące w tej powszechnej jasności, która napełniała Łakę Śmierci.

A gdy przeszli, układali się do spoczynku wśród tamtych kwiatów i drzew lub u podnóża skał. Oczy ich były zamknięte, ale twarze miały wyraz nie tylko niewysłowionego spokoju, lecz i takiego szczęścia, jakiego na Łące Życia nie dawała nawet Miłość.

Co widząc, pozostali przy życiu mówili do siebie:

— Słodsza i lepsza jest kraina Sziwy...

I poczęli przechodzić coraz liczniej na drugą stronę. Szły jakby uroczyste korowody starców i ludzi dojrzałego wieku, i mężów z żonami, i matek, prowadzących za ręce dzieci maleńkie, i młodzieńców, i dziewcząt, a potem tysiące i miliony ludzi poczęły się tłoczyć u Cichego Przejścia, aż wreszcie Łąka Życia wyludniła się prawie zupełnie.

Wówczas Wisznu, którego zadaniem było strzec Życia, przeraził się własną udzieloną w gniewie radą, i nie wiedząc, co począć, udał się do najwyższego Brahmy.

— Stworzycielu — rzekł — ratuj Życie! Oto dziedzinę Śmierci uczyniłeś tak jasną, tak piękną i szczęsną, że wszyscy opuszczają moje królestwo.

— Zali nie pozostał ci nikt? — zapytał Brahma.

— Jeden tylko młodzieniec i jedna dziewczyna, panie, którzy, kochając się niezmiernie, woleli wyrzec się wiecznego ukojenia, niż zamknąć oczy i nie patrzeć na siebie więcej.

— Czego więc żadasz?

— Uczyni krainę Śmierci mniej piękną i szczęśliwą, bo inaczej i tych dwoje opuści mnie za innymi, gdy minie wiosna ich Miłości.

Na to Brahma zamyślił się przez chwilę, potem rzekł:

— Nie! Nie ujmę piękności i szczęścia krainie Śmierci, ale uczynię co innego, by ratować Życie. Odtąd ludzie muszą przechodzić na drugą stronę, ale nie będą już przechodzili chętnie.

To rzekłszy, utkał z ciemności grubą, nieprzenikloną zasłonę, a potem stworzył dwie straszne istoty, z których jedna zwała się Bolesć, a druga Trwoga, i kazał im tę zasłonę zawiesić u Przejścia.

I od tej chwili Łąka Wisznu zaroila się znowu życiem, bo jakkolwiek kraina Śmierci pozostała tak samo jasna, cicha i szczęśliwa jak poprzednio, ludzie bali się Przejścia.

H. Sienkiewicz.

Porównajmy „Polesie” i „Wyprawę Sobieskiego na czambuły”, — albo „Na Wezuwju” i „Dwie łaki”.

Widzimy, iż treścią jednych utworów w prozie i w poezji jest przedstawienie kolejno po sobie następujących wypadków — to **opowiadanie**.

Opowiadanie maluje przebieg zdarzeń w ciągu pewnego czasu.

Inne utwory wyliczają cechy danego przedmiotu w przestrzeni — to **opisy**.

Które z wymienionych ustępów są opowiadaniem, a które opisem? Daj inne przykłady na opis i opowiadanie.

Rozpatrzmy teraz uważniej „Dwie łaki”. Czy w tem opowiadaniu niema opisów? Widzimy, iż niektóre ustępy będą opisem, inne opowiadaniem, w całości te dwa rodzaje uzupełniają się nawzajem.

W każdym dłuższym utworze, zarówno w prozie jak w poezji, znajdujemy opis i opowiadanie.

Wskaż opisy i opowiadania w „Panu Tadeuszu”, w „Pogrzebie Wisa”, (str. 41) w „Gościach” (str. 189).

PATRJOTYZM.

Według najbardziej upowszechnionej opinii — patryjotyzm jest to miłość ojczyzny.

Gdy zapytacie kogo, co to znaczy kochać ojczyznę — najzwyczajniej odpowie wam, że jest to pragnąć dla niej wszelkiego szczęścia, a nawet poświęcić się, gdyby tego wymagało szczęście ojczyzny.

Krótko mówiąc, według najpopularniejszych sądów opinii publicznej, patryjotyzm winien polegać na uczuciu silnem, bardzo silnem, najsilniejszym, — ale tylko uczuciu. Najlepsze zaś życzenie, jakie możemy mieć dla ojczyzny, ażeby była szczęśliwa czyli zadowolona, — gdyż na ziemi miarą szczęścia jest zadowolenie tak, jak najsilniejszą formą miłości jest — poświęcenie siebie, swego zdrowia, wolności, przyszłości, nawet życia.

To też zdarzają się patryjoci, którzy, nie mogąc poświęcić się, nie robią nic. Ojczyzna bowiem — według nich — lekceważy jakieś tam drobne okrucieństwa naszego życia, a wymaga ofiar wielkich.

Postarajmy się jednak o dokładniejsze, a raczej zupełniejsze określenie patryjotyzmu.

Przedewszystkiem jest prawdą, że na dnie patryjotyzmu leży uczucie, uczucie gorącej miłości do swego kraju i społeczeństwa. Dopóki siedzimy w domu, uczucie to drzemie, — ale gdy znajdziemy się na obczyźnie przez czas dłuższy, to „głód ojczyzny” budzi się z ogromną siłą, staje się bolesną tęsknotą, której nie ułagodzą najpiękniejsze obce krajobrazy, najwyszukańsze rozrywki między nieswoimi ludźmi.

Pomijając źródło tego przywiązania, zaznaczam, że ono istnieje w sercach zarówno ludzi ubogich, jak bogatych, zarówno oświeconych, jak i ciemnych.

Miłość ojczyzny jest więc najmocniejszym i najgłębszym czynnikiem patryjotyzmu, ale nie jedynym. Ta sama „zagranica”, która budzi w nas tęsknotę do kraju, ona sama w duszach (szlachetnych wywołuje stopień wyższy patryjotyzmu, mianowicie: zrozumienie i krytykę naszego własnego kraju. Przypatrując się biegowi życia codziennego wśród ludów wyżej ucywilizowanych, spostrzegamy mnóstwo rzeczy i zjawisk odmiennych, gorszych i lepszych aniżeli u nas. Domy są ładniejsze, przechodnie grzeczniejsze, zwię-

rzęta lepiej utrzymane, obyczaje łagodniejsze, wytworniejsze. Kto zaś umie i ma sposobność jeszcze głębiej spojrzeć, przekonywa się, że za granicą kipi bez porównania więcej pracy, oświaty, solidarności; że piękna, wynalazków i sprawności jest tam daleko więcej, aniżeli u nas.

Odkrycia te w pierwszej chwili napełniają nas goryczą. Placzemy już nietylko z tęsknoty za oddalonym krajem, lecz i sami nad sobą, że urodziliśmy się w barbarzyńskim otoczeniu. Ale gdy powrócimy do ojczystych progów; gdy żal przygaśnie; gdy spostrzeżemy, że i w naszym społeczeństwie są rzeczy godne szacunku, podziwu; gdy wspomnimy, że i tam „za granicą” to i owo zasługuje na krytykę, — wówczas zamiast nostalgji¹⁾, budzić się zaczyna subtelna tęsknota do tego wszystkiego, co jest lepsze i piękne, a nareszcie chęć coraz wyraźniejsza i silniejsza, aby te wszystkie mądre i dostojne rzeczy, jakie widzieliśmy gdzieindziej, przeschłapić na grunt nasz własny.

I otóż poznaliśmy trzy stopnie patryjotyzmu: najniższy objawia się w uczuciu, następny w umyśle i sądzie, a najwyższy w działaniu. Kochać ojczyznę — to niewszystko; potrzeba ją nietylko kochać, lecz nadto znać i rozumieć; ale i to niewszystko, gdyż kochając i rozumiejąc ją, trzeba jeszcze coś dla niej robić... Innemi słowy: ojczyznę ogarniać należy nietylko uczuciem, lecz umysłem i wolą, czyli całą duszą, wszystkimi jej władzami.

Bolesław Prus.

Czy nazwiesz ten ustęp opisem, czy opowiadaniem?

Nie, — autor zastanawia się tutaj nad tem, czem w istocie jest i powinien być patryjotyzm, — rozumuje.

Tego rodzaju utwór, w którym autor zastanawia się nad jakąś kwestją, wyjaśnia jakieś pojęcie, dowodzi jakiegoś twierdzenia, ocenia jakieś dzieło — słowem rozumuje, nazywamy **rozprawą**.

Rozprawa należy do prozy rozumującej (nauczającej, dydaktycznej).

Jakie jeszcze rozprawy znajdziesz w tej książce?

MOWA PRZY ODSŁONIĘCIU POMNIKA SŁOWACKIEGO.

(1899 r. w Miłosławiu²⁾).

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praoojów rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne zie-

mie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgłośniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możliwyby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: „Oto na domiar wszystkiego daję wam spiż dźwięczny a niepożyty, taki, z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom; daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą“.

I została ta mowa, niepożyta jak spiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze spiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała jak grzmot w górach; czasem unosiła się ponad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta jak łąka, — Boża jak modlitwa, — słodka jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i położywszy na niej natchnione dłonie, wydołał z jej strun takie dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemską, że wówczas nawet, gdy przestawał grać...

wszystkim się zdawało,

że wielki mistrz gra jeszcze... a to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, płask naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl objąć może, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i od niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu, i że ozdoby i doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił.

.....
Lećcie u zorzy prosić purpury,
Peret u rosy, szafiru u chmury,

¹⁾ Choroba wynikająca z tęsknoty za ojczyzną. ²⁾ W Poznańskim

A może gdzie zawieszona
 Na niebie tęczowa nić —
 To tęczę wziąć na wrzeciona
 I wić, i wić, i wić.

Tak jest. On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających diamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie, niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów; pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić? A jednak uczynił. Zdołał — bo poezja w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, — a mógł — bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nie tylko żywa, ale i nieśmiertelna.

H. Sienkiewicz

Jaka jest treść przemówienia Sienkiewicza?

Maluje piękność naszej mowy, podnosi zasługi Słowackiego dla jej wzbogacenia i udoskonalenia, budzi w sercach słuchaczy miłość ojczystego języka.

Treść przemówień jednakże może być bardzo rozmaita: obrońca w sądzie, mówca w parlamencie, kapłan na kazalnicy — przemawiają nie tylko do umysłów ale i do uczuć słuchaczy, często zagrzewają ich do czynu (Kazanie Skargi, str. 25).

Tęgo rodzaju proza, mająca na celu nie tylko przekonanie czytelnika, ale i pobudzenie jego woli, a więc w następstwie czyn—zowie się prozą **zniewalającą, oratorską.**

Wiele w niej bywa poezji.

Z e s t a w m y:

I	{	Polesie — proza	}	opis.
		Na Wezuwjuszu — poezja		
II	{	Wyprawa Sobieskiego na czambuły — proza	}	opowiadanie.
		Dwie łąki — poezja		
III		Patryjotyzm — proza		rozprawa.
IV		Przy odsłonięciu pomnika Słowackiego — poezja		mowa.

Poznaliśmy zatem cztery działy poezji i prozy: opis, opowiadanie, rozprawę i prozę lub poezję oratorską, czyli wymowę. Każdy z tych działów rozpatrzmy teraz szczegółowo.

I. Proza opisowa.

KARPATY.

Karpaty ciągną się potężnym łukiem od Dunaju pod Orszowę. Łuk ten długi na 1200 kilometrów. Wewnątrz tego łuku są zamknięte niziny węgierskie, zewnątrz wspiera on się na wyżynie Czeskiej, Małopolskiej i Czarnomorskiej.

Łuk Karpat jest zbudowany nieprawidłowo: zwężony jest w środku, a znacznie rozszerzony na zachodzie i południowym wschodzie. Pomiędzy słowacki świat Karpat na zachodzie a potężny czworobok górski Siedmiogrodu na południowym wschodzie wciska się głęboko w góry, wzdłuż licznych dopływów Cisy, szeroka zatoka niżu węgierskiego. Ta zatoka niżowa jest wielkiem zapadliskiem, podobnie jak niziny, rozciągające się na północnej krawędzi Karpat. W niżu Nadcisańskim zapadły się jednak nie kraje podkarpackie, jak w niżu Małopolskim lub Naddniestrzańskim, lecz same Karpaty, i to zapewne ich najpotężniejsze łańcuchy. Łańcuchy te łączyły niegdyś góry Słowiańszczyzny z górką wyżem Siedmiogrodu w jednolicie szeroką masę gór łańcuchowych.

Wewnętrzna strona łuku Karpat uległa wogóle znacznie większym przeobrażeniom, aniżeli zewnętrzna. Wzdłuż potężnych pęknięć podłużnych, t. j. równoległych do kierunku Karpat, i poprzecznych — obsunęły się nie tylko całe światy górskie w dół i zostały głęboko pod niżem węgierskim pogrzebane, ale wogóle zostały wszystkie zewnętrzne łańcuchy Karpat silnie połamane, obsunięte i przesunięte. Następstwa tego były podwójne. Skutkiem obsunięć zostały w węgierskich łańcuchach odsłonięte wszystkie wewnętrzne pokłady Karpat. Gdy więc w polskich łańcuchach gór panuje ogromna jednostajność skał, uderza w węgierskich Karpatach najbogatsza różnorodność. W polskich Karpatach przeważają wogóle tylko piaskowce, w wewnętrznych węgierskich występują obok nich różnorodne wapienie, a prze-

dewszystkiem tak śliczne w kolorze i budowie rozmaite skały krystaliczne.

Tę różnorodność skał i krajobrazu łańcuchów wewnętrznych spotęgowały jeszcze skały wulkaniczne, które wystąpiły całymi łańcuchami wewnątrz łuku Karpat. Skały wulkaniczne wytrysły wzdłuż wszystkich większych pęknięć, bądźto rozlały się w szerokich płytach, bądź wystąpiły w szeregach wulkanów, oddawna już wygasłych. Cały niż Nadoisański jest też obwiedziony utworami wulkanicznymi.

D. Romer.

Porównajmy opis Karpat z opisem zachodu słońca „Na Wezuwjuszu (str. 213). Tutaj autor stara się przedewszystkiem dać obraz rzeczywistości dokładny i prawdziwy, tam — pięknie i poetycznie maluje krajobraz tak, jak się jego oczom przedstawia. Pierwszy nazywamy opisem właściwym, ścisłym, naukowym, drugi — to opis piękny czyli artystyczny.

Który z tych opisów zaliczysz do prozy, a który do poezji? Wyszukaj w tej książce inny opis piękny czyli artystyczny.

Rodzaje prozy opowiadającej.

Historja, kronika, rocznik.

ŚMIERĆ KSIĘCIA JÓZEFA POD LIPSIEM.

Poniatowski przez cały czas osobiście prowadził do walki swoich żołnierzy, stojąc na czele bataljonów piechoty, albo szarżując ze swoją świtą. Był błydy ze zmęczenia i trudów dni poprzednich i kontuzji¹⁾ dnia wczorajszego. Rękę prawą miał bezwładną i obolałą od pchnięcia dzidą kozacką w starciach kawalerji 12 października i od postrzału w pierwszym dniu bitwy lipskiej; trzymał ją też na chustce, nie mogąc dobywać pałasza. Przemawiał do żołnierzy kilkakrotnie, zachęcał ich do wytrwania, kazał im pamiętać, że są Polakami, że walczą o cześć swego narodu. Najwięcej wszakże znaczyła sama jego obecność. Był zapewne w pozycji Pleissenburga²⁾ z 4 i 12 pułkiem, kiedy (mniej więcej

¹⁾ Odcięcie mięśni skutkiem bliskiego przesunięcia się kuli i uderzenia powietrza. ²⁾ Pod Lipskiem.

w pół do dwunastej) otrzymał nowy postrzał. Kula karabinowa przeszła górną część lewej piersi między obojczykiem a łopatką. Rana była dość ciężka i spowodowała znaczny upływ krwi. Wtedy generał Bronikowski prosił księcia, aby zdał komendę i szukał ocalenia, przeprowadzając się przez Plejsę. Żywo mu odparł Poniatowski: „Chcę zginąć śmiercią walecznych”. Wówczas także miał wypowiedzieć te słowa historyczne: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu samemu go oddam”. Poddania się z pewnością nikt nie zalecał w otoczeniu wodza. Przecież, aby zapobiec widocznemu przygnębieniu, nie dał się nawet opatrzyć, tylko dosiadł konia na nowo. Zresztą i czasu nie było. Nakazał eskortie nowy atak, który wszakże był już ostatnim. Reszty piechoty polskiej cofnęły się wdół Plejsy ku Fleischerplatz (pułki 1, 8, 15 i 16 walczące na dalszem przedmieściu od Borna), część zaś, na wiadomość o wysadzeniu mostu, wpadła na ogrody nadrzeczne (pułk 4 i 12 z przed bramy św. Piotra). Strzelcy pruscy i badeńscy przez Barfusspfortchen wdarli się na bulwary zachodnie nad Plejsą. Eskorta Poniatowskiego, nie mając już osłony w piechocie, nie mogła się sformować. Zresztą było jej zaledwie kilkadziesiąt koni. Strzelcy nieprzyjacielscy zaczęli ubiegać się o wzięcie do niewoli księcia, w którym po orderach poznali generała.

Jakkolwiek prawą rękę miał bezwładną, a poruszenia lewą musiały mu sprawiać ból dotkliwy, przecież powdował jeszcze koniem i nie dał się ująć. Ale dłużej zwlekać nie było możności. Skierował konia ku Plejsie i przebył ją sześciu, prawdopodobnie po jakimś mostku. Jechał z wolna przez ogród Reichela, po grząskim terenie, wśród niemilkącego huk strzałów zewsząd wdzierających się tyraljerów¹⁾. Wtedy (mogło to być parę minut po dwunastej) nową odebrał ranę: kula przeszła przez żebra.

Z upływającą krwią z każdą chwilą widocznie tracił siły. Chwiał się na siodle, podtrzymywany z obu stron przez adiutantów Kiekiego i Szydłowskiego. Tracił też świadomość. Nie mówił zapewne już nic, usta miał spalone gorączką. Ale chwilami myśl pracowała. Przebłyśki świadomości ogniskowały się w ostatnim akcie woli, a było nim pragnienie śmierci. — Z tą myślą kraj opuścił. Tę pnię

¹⁾ Tyraljerzy — strzelcy, działający podczas bitwy w rozproszeniu.

żałobną słyszał w weselnych tonach zabaw „tańczącego“ Krakowa. „Idziesz umrzeć“—zegnała go pieśń ojczysta. On też nie mógł wrócić, nie chciał wracać kaleką po ojczyznę stracie. Bo on nie mógł być prowadzonym na rynek lipski, aby uświetnić tryumf monarchów trzech potęg ościennych, ani mógł, jak później Roźniecki, stać na przeglądach przed ks. Konstantym na Saskim placu. Musiał umrzeć tam, na polach Lipska, jako naczelny wódz wojsk polskich.

Zgasł w nim instynkt życia; obok myśli o śmierci żyła tylko troska, która zgola poza świadomością ludzką prowadzi szczęty ciała na wybrane miejsce spoczynku. Spojrzeniem pożegnał Szydłowskiego, który padł, przeszyty kulą. Przez błotnisty przekop z trudem przeprowadził go Kicki, przy pomocy Bléchamps'a i innych oficerów, z których wielu nie przedostało się na drugą stronę.

Dalej szedł pieszo ku Elsterze, szukając miejsca przeprawy. Po chwili podano mu konia. Jechał wzdłuż rzeki, unoszącej kłody, deski, trupy ludzi i koni. W tym momencie ranny był Kicki. — Wiatr dął silny nad wodą, wezbrała i rwąca. Walka nie ustawała. Krzyżowały się wciąż kule. Broniła się w ogrodach piechota i kirasjerzy. Wojska sprzymierzonych ze wszystkich stron zbiegały się nad rzeką, aby przeszkodzić przeprawie, przedostawały się już na drugą stronę i otwierały stamtąd zabójczy ogień, spychały uciekających w głąbie, mordowały prostych żołnierzy, zagarniały w niewolę starszyznę. — Wtedy książę, na widok załedwie o kilka kroków oddalonej piechoty nieprzyjacielskiej, ostatnim wysiłkiem zmusił konia do skoku z wysokiej platformy w nurt, w miejscu tem z powodu obmurowanych brzegów głęboki i bystry. — Odrazu pokryła go fala. O ratunku nie mogło być mowy. Bléchamps skoczył nieść pomoc, ale zatonął natychmiast.

Skałkowski („O cześć imienia polskiego“).

„Śmierć ks. Józefa“ jest to opowiadanie z przeszłości, malujące prawdziwie wypadki rzeczywiste, pewne. Takie opowiadanie nazywamy historycznem. Jeżeli obejmować będzie szereg ważnych zdarzeń, stanowiących pewną całość, nazwiemy je historją, np. historją wojen napoleońskich, historją rewolucji francuskiej, historją Francji, historją XIX w. i t. p.

Zastanówmy się, w jaki sposób autor opisuje śmierć ks. Józefa. Szczegółowo, zgodnie z prawdą; opierając się na świadectwie wiarogodnych

źródeł i uczestników bitwy. Stara się wytłumaczyć, dlaczego ks. Józef musiał zginąć i jakie miał znaczenie ten wypadek.

Historja więc podaje nietylko wiadomości prawdziwe, pewne, ale łączy je w nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. Każde zdarzenie jest następstwem jakiegoś innego, a zarazem przyczyną nowych: np. zwycięstwo pod Grunwaldem jest jednym z następstw połączenia się Litwy z Polską i jedną z przyczyn Unji horodelskiej i ściślejszego przymierza między temi państwami; Unja horodelska jest znowu następstwem zwycięstwa pod Grunwaldem, a jednocześnie przyczyną wzrastającej potęgi obu państw, i t. d. Takie wykazanie łączności między wypadkami historycznymi nazywa się pragmatyzmem, a ściśle sprawdzenie i ocena faktów — krytycyzmem; historja musi być krytyczna, t. j. podawać tylko fakty pewne, sprawdzone, i pragmatyczna, t. j. wyjaśniać ich przyczyny i następstwa.

Możemy więc powiedzieć, że **historja** jest to ściśle zgodna z prawdą opowieść o przeszłości (narodu, ważnego wypadku, cywilizacji, sztuki i t. p.) krytyczna i pragmatyczna.

Co to jest historja? Jakie musi mieć cechy wyróżniające? Co to jest krytycyzm i pragmatyzm? Jakie urywki historyczne znajdziesz jeszcze w tej książce?

Z „KRONIKI“ GALLUSA.

(Z księgi I, rozdział 1 i 2.)

Był w mieście Gnieźnie, co po słowiańsku gniazdo znaczy, książę imieniem Popiel. Miał dwóch synów i według obyczaju pogańskiego sprawił wielką ucztę na ich postrzyżyny, i zaprosił na nią wielu ze znacznych panów i przyjaciół.

Z niedocieczonych wyroków boskich przybyli też dwaj goście, których nietylko na ucztę nie zaproszono, ale nawet od bram miasta haniebnie odpędzono. Goście ci, obrażeni niegościnnością mieszkańców owych, cofnęli się na przedmieście i przypadkiem zatrzymali się przed chatą rolnika księcia, wyprawiającego ucztę synom.

Biedny rolnik przez litość przyjął gości do swej chaty i chudobę swoją życzliwie z nimi podzielił.

Przychylili się chętnie do zaprosin biedaka i, wchodząc pod gościnny dach, rzekli: „Cieszo się z naszego przybycia, bo ono przyniesie wam wielkie dostatki, a potomstwu cześć i znamienitość“.

Byli zaś w owej gościnnej chacie Piast, syn cieśli, i żona jego, Repta (Ripta, Rzepicha) nazwiskiem. Podług możliwości swojej, ale chętnie i serdecznie opatrzyli potrze-

by gości swoich, a widząc ich roztropność, we wszystkim sobie podług ich rady poczynali.

Jak się zwykle dzieje, rozmawiali z nimi o wielu rzeczach. Podróżni zapytywali, czy jest w chacie jaki napój? Gościnny rolnik odpowiedział: „Mam właśnie baryłkę piwa, którą przygotowałem na postrzyżyny syna mojego, jedynaka, ale niewielka to rzecz, wypijcie, jeśli chcecie!” Postanowił bowiem wieśniak, jako ubogi człowiek, że kiedy książę, pan jego, ucztę synom swoim przygotowuje, i on także na postrzyżyny synowi swojemu biesiadę jaką taką wyprawi, bo kiedyindziej dla ubóstwa swego nie mógłby tego uczynić, i zaprosi przyjaciół swych i innych biednych nie na obiad, ale na śniadanie. Karmił też na ten użytek i prosiaka.

Cudowne rzeczy opowiadać będę, ale na cóż się przyda sprawy Boskie rozbierać, albo któż się odważy roztrząsać dobrodziejstwa Tego, który nieraz docześnie podnosi wysoko pokorę biednych i nagradza pogan nawet za ich gościnność. Owóż goście ci, pewni siebie, rozkazali przynieść piwo, i skoro pić zaczęli, nie ubywało go, ale jeszcze przybywało; powiadają nawet, że się go tak dużo zrobiło, iż napełnili niem wszystkie naczynia w chacie będące, a nawet od księcia bankietującego pożyczono te, które były próżne.

Rozkazali też zabić prosię, i dziwna rzecz, napełnili niem dziesięć naczyń, po słowiańsku cembrami nazywanych.

Ujrzawszy Piast i Repta owe cuda, które się stały, przewidzieli, że wielka przyszłość dla ich syna się gotuje, zaczęli też myśleć o zaproszeniu księcia i jego gości, ale nie śmieli, dopóki się z podróżnymi owymi nie naradzą. Za ich tedy radą i zachętą zaprosił Piast do siebie pana i księcia swojego i biesiadników jego. Książę nie odrzucił zaprosin wieśniaka, bo wtedy księstwo polskie nie było tak wielkie, i monarcha polski nie był jeszcze otoczony taką wystawną okazałością, ani też nie miał przy sobie tak świetnego jak teraz orszaku.

Przy zaczęciu uczt obrzędowej, obficie dla wszystkich zastawionej, goście owi postrzygli chłopca i nazwali go Ziemowit, jakoby dla wróżby na przyszłość.

Czy to opowiadanie jest także historją? Czy jest pewne i zgodne z prawdą?

Autor pisze o wypadkach z odległej przeszłości, na które niema żadnych dowodów, gdyż wieść o nich przechowała się jedynie w tradycji ustnej, a więc w przeciagu tak długiego czasu mogła zostać bardzo zmieniona. Autor nie troszczy się jednak o sprawdzanie faktów, powtarza je i uzupełnia własnymi domysłami, a zamiast szukania istotnej przyczyny, tłumaczy sobie wszystko tylko wolą Bożą, np. przybycie nieznajomych gości, ich rozmowę z Piastem, nawet myśli kołodzieja, jego przewidywania i zamiary — i o tem wszystkim pisze, jak o rzeczy pewnej, choć świadectwa żadnego na to nie posiada. W opowiadaniu jego niema więc krytycyzmu ani naturalnej między faktami łączności czyli pragmatyzmu, a tem samem dzieło jego nie jest historją, lecz kroniką.

Kroniką nazywamy bezkrytyczne opowiadanie o dziejach i przeszłości danego narodu.

Co trudniej pisać: kronikę czy historję? Co wymaga większego przygotowania i nauki? Co zwykle powstaje wcześniej: kronika czy historja? i dlaczego?

Najdawniejsi nasi kronikarze są: Gallus (cudzoziemiec), za Bolesława Krzywoustego, Wincenty Kadłubek za Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego, oraz Długosz — już po części historyk — za Kazimierza Jagiellończyka.

Autorem pierwszej krytycznej i pragmatycznej historii był Adam Naruszewicz za Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Jeszcze dawniej, przed kronikarzami, w X, XI wieku, w taki sposób notowano po klasztorach ważne wypadki dziejowe:

963 Otto cesarzem tytułuje się.

965 Dubrouka do Meska przybywa.

966 Mesko, książę polski, chrzci się.

997 Męczeństwo św. Wojciecha.

Takie króciutkie notatki o zdarzeniach dziejowych nazwane **rocznikami**. Zapisywano je zwykle na marginesach kalendarzy, niepodobnych naturalnie do dzisiejszych, gdyż stanowiły dużą pergaminową tablicę z wynotowaniem dni świątecznych; niekiedy notowano i na innych księgach, psalterzach i t. p. zawsze tylko wypadek, nigdy opowiadanie o nim, najczęściej zdarzenia z dziejów klasztoru lub odnoszące się do spraw kościoła, np. śmierć biskupa, obiór nowego opata, przybycie lub wystanie gdzie jednego z braci i t. p.

Krótkość tych notatek czyni je wiarogodnemi, ponieważ na wymyśle i dodatki niema miejsca.

Co nazywamy rocznikiem? Czem się różni historja od kroniki i rocznika?

Pamiętnik, Dziennik.

Z MOICH WSPOMNIENI.

Książę feldmarszałek Czartoryski¹⁾ w owym roku 1800 liczył lat 69. Wzrostu był średniego, szczupły, nosił perukę

¹⁾ Adam — generał ziem podolskich.

pudrowaną i tapirowaną podług mody, która istniała w środku panowania Ludwika XVI. Rzadko inny przywdziewał strój jak mundur austriacki, błękitnawo-szary, nakrapiany, z czerwonym, galonami haftowanym kołnierzem. Z orderów nosił tylko jeden Złotego Runa. Nos miał cienki, orli, oczy ciemnobłękitne, mało ognia, ale wiele łagodności i słodyczy w sobie mające. Trzymał się zawsze prosto, miał chód wolny i poważny i w całej postaci coś imponującego. Nadzwyczajnie uprzejmy nie tylko dla obcych i dorosłych, ale nawet dla takich berbeci, jak byłem ja, Heller i Matuszewicz. Nie było dnia, żeby z nami nie roznawiał, nie wypytywał o lekcje, nie dawał rad i przestróg. Kazał nam nadto do siebie pisywać i na listy z radami odpowiadał własnoręcznie.

Umiał kilkanaście języków, nawet mówił po turecku i arabsku z Turkiem swym, Hassanem, którego mu ze Stambułu przysłali i który był niegdyś majtkiem na flocie tureckiej. W Puławach znajdował się zawsze na pokojach, a jedyną jego funkcją było podawanie cybuchów z drzewa aloesowego. Lecz książę mimo rozległych wiadomości mało wogóle mówił, a wolał słuchać konwersacji innych, do której od czasu do czasu parę słów wtrącał. Mężczyzn nazywał zwykle po imieniu, a nie po nazwisku.

W pałacu puławskim mieszkał na dole w lewym pawilonie. Apartament jego dopierał z dwóch stron do tej bogatej biblioteki, która zawierała szacowne edycje literatur zagranicznych, a nieocenione ojczystej, gdyż prócz zasobów, jakie taki miłośnik nagromadzić zdołał, zakupiono bibliotekę porycką za złp. 600.000, t. j. wszystko, co uczony Czacki przez całe życie po klasztorach przez fas i nefas¹⁾ zbierał. Zajmowany apartament składał się z 4 pokoiów. W pierwszym siedzieli służbowi kozacy i lokaje, w drugim kamerdynerzy: Niemiec i Francuz. Trzeci pokój książęcego apartamentu był przeznaczony wyłącznie do ubierania, a właściwie do fryzury i pudrowania. Czwarty służył za gabinet i sypialnię. W ubieralni prócz stolika, kanapy i kilku stolików, żadnych innych mebli nie było; w sypialni — prócz łóżka, przy którym mały stoliczek, kilka krzeseł i ogromnego biura, mającego długości z 9, a szerokości z 5 łokci, nie się więcej nie znajdowało. Na tem ogromnem biurze przez środek był

¹⁾ Per fas et nefas — wszelkimi środkami.

ustawiony pulpit, a obok niego mnóstwo książek i cały przyrząd piśmienniczy. Żadnego obrazu, żadnego kosztownego sztychu tu nie dostrzegłeś.

Wstawał książę zawsze o godz. 9 i w pudermantlu¹⁾ wychodził do ubieralni. Tam już oczekiwali na niego dworscy, t. j. major Orłowski, kasjer Piramowicz, sekretarz Skowroński, Bernatowicz, Luniewski i Roch Orłowski, faktotum²⁾ Tarchalski i archiwista Zalewski. Ułatwiwszy z każdym interesa dzienne, przywoływał marszałka i koniuszego. Pierwszy zawiadamiał, kto przyjechał, drugi odbierał zlecenia co do spacerów dziennych. Następnie po ich ustąpieniu wchodził przyjaciele domowi, stale w Puławach mieszkający: generał Orłowski, pułkownik Ciesielski, książę Konstanty, mój ojciec i inni. Ci asystowali operacji pudrowania, po całej izbie manewrując, aby puder, obficie zdala sypany, sukni ich nie przykrył. W czasie tego trwała pogadanka, która się zwykle o 10-ej kończyła. Poczem książę, wypiwszy w sypialni kawę, udawał się do żony na t. zw. śniadanie. Ze śniadania tego zwykle mało kto korzystał, bo wprzód każdy posilił się u siebie. Na gawędzie i paleniu tytoniu schodził czas do południa, poczem następował spacer konny z koniuszymi i Ciesielskim. Między 1 — 2 jadał książę u siebie obiad, z 3 potraw się składający, z których rosół i cielęcina pieczona stanowiły 2 dania niezmiennie. Koło 6-ej przychodził do żony i tu do 8-ej poufne a przyjacielskie toczyły się rozmowy. Do tego towarzystwa 2 tylko osoby bywały dopuszczane: księżna Wirtemberska³⁾ i moja matka. Nawet ks. Konstanty, jego żona i pani Zamojska⁴⁾ w tych godzinach do rodziców nie przychodzili.

O 3-ej dzwoniono lub bębniiono na obiad. Zawsze kilkadziesiąt osób do stołu siadało, a czasami i kilkaset; stoły rozstawiane były w dwóch salach. Domowi wprzód o 2-ej godzinie jadali. Obiad koło 4^{1/2} się kończył. Wieczorem schodzono się o 8-ej, a w lecie, kiedy herbata była w Parchatce lub na Kępie, zbierano się wcześniej.

Kolacje dawano o 10-ej, i księstwo zwykle między 11 — 12 salony opuszczali. Książę na kolację jadał tylko

¹⁾ Pudermantel — podwłóśnik, rodzaj długiego kaftana, narzućcanego przy czesaniu. ²⁾ Factotum — człowiek, używany do załatwiania wszelkich spraw. ³⁾ Marja, córka ks. Adama. ⁴⁾ Zofja, druga córka.

suche kotlety, a przy obiedzie u stołu wielkiego siedział, ale nie nie jadł. Wieczorem dzielono się na towarzystwa: konwersacyjne¹⁾, które razem z księstwem przy wielkim okrągłym stole zasiadało. Kobiety wykonywały robotki ręczne, stosownie do mody i zwyczaju. Pamiętam, że był czas, w którym strzepiono jedwabne materje na watę, odkręcano zużyte galony na topienie srebra, robiono kwiaty, a nawet trzewiki. Nie mówię już o wyklejaniu szkatulek i pudełek do domu gotyckiego i mnóstwie podobnych rzeczy.

Drugi oddział towarzystwa bawił się graniem w bilard, szachy i karty. Młodzież obu płci, po otrzymaniu na to pozwolenia, odchodziła do drugiej sali i tam z całą hałaśliwością, wiekową właściwą, biegano, skakano, grano we wszystkie petits jeux²⁾, poczynawszy od ciuciubabki i gotowalni, a skończywszy na lisie i pytcie. Księżna Wirtemberska i pani Zamoyska nie odmawiały zwykle udziału, lecz zabawa stawała się najprzyjemniejszą, kiedy zdołano uprosić Ludwika Rembielińskiego, aby objął jej kierunek. Matematyk ten niewyczerpany miał zapas conceptów do rozmaitego rodzaju rozrywek, i kiedy się bardzo z wieczora rozochocono, proszono o pozwolenie tańców. W jednej chwili nadbiegało 12 muzykantów z pulpitemi, a dyrektor ich, Schmeigler, tem ochoczej na skrzypcach przygrywał, im z większym życiem tańczowano. W momencie organizował się bal, który ażeby większych nabrał rozmiarów, posyłano na pensję pani Januszewskiej, gdzie było zawsze 12 panien, otrzymujących edukację kosztem księstwa, i spraszano innych w Puławach osiadłych.

Leon Dembowski.

Czy treścią tego urywku są wypadki dziejowe? Czy możemy go nazwać historją lub kroniką?

W tym wyjątku mamy postać historyczną ks. Czartoryskiego i obraz historyczny wielkopańskiego dworu na początku wieku XIX. Gdybyśmy przeczytali całą pracę L. Dembowskiego, znaleźlibyśmy w niej ciekawy obraz wojen napoleońskich i wypadków z r. 1831, cały szereg sylwetek wybitnych, znanych ludzi, z którymi autor zetknął się w ruchliwym swem życiu, ciekawych typów współczesnego mu pokolenia, rysów obyczajowych, uczuć, nadziei, zawodów, sądów o ludziach i rzeczach, słusznym i niesprawiedliwym — bo niezawsze możemy sądzić sprawiedliwie o wypadkach bieżących, które widzimy dokładnie, lecz tylko z jednej strony.

¹⁾ Rozmawiające. ²⁾ Gry towarzyskie.

Więc treść jest historyczna, a jednak historją nazwać tego nie możemy. W takich osobistych wspomnieniach nie możemy być zawsze krytyczni, niewszystko, co podajemy, jest prawdą, choć autorowi prawdą się wydaje, niewszystko jest wyjaśnione pragmatycznie, słowem jest to obraz ludzi i dziejów, bez ściślejszego sprawdzenia, bez dokładnej znajomości całego materiału dziejowego. To tylko **pamiętniki**.

Pamiętniki należą do prozy, ponieważ ich treścią prawda i rzeczywistość, jeżeli jednak autor jest poetą, może w nich pięknie i porywająco wypowiadać najwznioślejsze myśli i uczucia, może wspomnieniom swoim nadawać formę artystyczną.

Bo treścią pamiętnika niezawsze bywają wypadki historyczne: często zapelnia je życie autora, jego własne uczucia, dążenia, zawody. Weźmy np. urywek z pamiętnika Juljusza Słowackiego.

Z PAMIĘTNIKA JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Dnia 17 lipca 1831 r. Drezno.

1817 r. w sierpniu przyjechał do Krzemieńca profesor Bécu w zamiarze ożenienia się z moją matką; zdecydowali się rodzice, już to żeby na przypadek ich śmierci miała opiekuna, już to dla mojej edukacji, która w Wilnie mogła daleko lepiej być przedsięwziętą. Trzema dniami przed ślubem dowiedziałem się o tem; myśl wyjazdu do Wilna bardzo mnie ucieszyła. Przy końcu sierpnia wyjechaliśmy do Wilna. Miałem wtenczas lat 8. Wilna nie pamiętałem zupełnie. Panny Bécu, Olesię i Hersylkę, a teraz siostry moje, zastałem w Dąbrowni; ledwo mogły dostrzec małego szczerzącego przyjaciele, tak byłem mały i szczupły. Obrazilem zaraz jedną z nich zgryźliwą jakąś uwagą; przy wieczerzy opowiadałem w zapale jakąś komedję tak, że aż wstałem od stołu, łącząc do opowiadania dziwaczne gesta. Przybywszy do Wilna, zaraz pobiegłem do mego małego ogródka. Potem z matką odwiedziłem grób ojca na Rossie; klęcząc na kamieniu, mówiłem pacierz i plakałem, bo o łzy u mnie nie było trudno. Grób ojca jest jednym z najpiękniejszych na Rossy omentarzu. W skale, ułożonej sztucznie z kamieni, wprawiona tablica ukośna marmurowa, na niej skromny napis.

Liczba książek, zamkniętych w szafce mojej matki, wyczerpała się; brałem się do najnudniejszych, a lubiłem małe żeczki; pochlebiało mi to, gdy całą przez dzień mogłem przeczytać „Maksymy” de la Rochefoucauld winne są ma-

lemu formatowi, iż je kilka razy przeczytałem. Dowiadywa-
łem się ciągle, czy niema jeszcze innego dzieła, takiego jak
„Iliada”. Matka obiecała mi dać „Enejdę” Wirgiljusza.
Z jakąż niecierpliwością czekałem tej książki; dostałem ją
nakoniec, lecz mam-że wyznać? Znudziła mnie okropnie
i dotąd jeszcze usypiające ma dla mnie skutki, gdy „Iliada”
Homera dotąd mnie zachwyca, już nie jako obraz wojen,
ale jako wzór poezji i uniesień ludzkości.

.

Nie, ja skazany jestem żyć już bez uczuć, skazany,
abym przez całe życie czekał sławy, która może przyjdzie
pierwszego dnia po mojej śmierci. Pamiętam, że będąc ma-
łym dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz:
„O Boże, daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę
najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w życiu”.

Co jest treścią tego urywka? Czy znasz Pamiętniki Paska? Co jest
ich treścią? Czy mają związek z historją?

Pamiętniki więc są to wspomnienia autora o sobie i współ-
czesnych wypadkach, treść ich — jak widzimy — bywa bar-
dzo rozmaita.

Pamiętniki mogą mieć wielką wartość dla historii, gdyż rzucają
nieraz wiele światła na życie wewnętrzne narodu, w tem ich główne zna-
czenie, trzeba jednak, aby piszący umiał patrzeć, dostrzegać rzeczy ważne
i opisywać je wiernie; niekiedy stanowisko pozwala mu wiedzieć to, co
dla ogółu osłonięte tajemnicą, lub sam odgrywa ważną rolę w opisywa-
nych zdarzeniach.

Jest jeszcze inny sposób pisania swoich wspomnień, zobaczmy,
czem się różni.

Z DZIENNIKA J. SŁOWACKIEGO.

5 kwietnia 1832, czwartek. Cholera w Paryżu.
Zrana przyszedłszy do drukarni, zastałem całą skonsternowaną:
chłopiec mały 15-letni umarł na cholere. Musiałem pójść do
salonu, cieszyć i upewniać panny, aby się nie lękały. Wy-
stawcie sobie, że kiedy chłopiec konał, kiedy wszyscy rze-
mieślnicy stali wokoło bladzi i przerażeni tak, że nikt się
tknąć chorego nie ważył, moja kochana Kora sama otworzyła
mu usta i dawała lekarstwo,

9 kwietnia. Skibicki po wczorajszej kłótni przyszedł
do mnie o 12-ej w południe i pociągnął na koncert historyczny
w konserwatorium muzycznym. Dziwne to jest zjawisko
koncert historyczny: pan Fetis, profesor, czytał rozprawę
o sztuce oper od najdawniejszych czasów, a po każdej z 3
rozpraw następowały przykłady przez pierwszorzędných śpie-
waków, i stare sztuki śpiewane były przy tych instrumentach,
których dawniej używano. Wystawić sobie nie możecie, jak
to interesujące, jak miło wpada w ucho postępowe sztuki, jak
widać każdy przeskok do doskonałości. Uściskałem Ski-
bickiego za sprawioną mi przyjemność.

12 kwietnia, czwartek. Mam poezje moje,
i pierwszy dzień ich wyjścia był dla mnie źródłem nieskoń-
czonych przyjemności.

Notatki z podróży po Palestynie i Syrii Juliusza Słowackiego.

1837.

4 stycznia. Gaza w ogrodach.—Włoch instruktor,
włóczęga — jestem na pensji w klasztorze florenckim —
stancja w Khanie. Walterskot z tej stancyjki utworzyłby
romans, — minaret oświecony — Tasso.

6 stycznia. Wyjazd, deszcze, — nocleg w małej
wiosce, — jaskółka ma w naszym pokoju gniazdo.

12 stycznia. Równina, — na wstępie gór Jerozo-
limskich wioska dobrego złodzieja, —góry—jedzie się łożem
potoku, — oliwy, — wioski z kamieni pitoresque, —zameczek
Machabeuszów—noc — Jerozolima, pod drzwiami miasta, jak
Krzyżak, — księżyc — Oleś — przyjaźń młodych lat — nie
poznał mnie.

14 stycznia. Noc u grobu w kościele — o godzinie
8-ej sam jestem — kłęczę, na marmurze czołem oparty, czy-
tam Ewangelję — o 11-ej mąż i żona wchodzą do grobu,
modlą się i całują mię w rękę, — o 12-ej dzwon, — zaczy-
niają się śpiewy różnych wiar, jak ptaki zbudzone po gniaz-
dach — Kopta klatka, — o godzinie 2-ej msza, — śpię
nad rankiem jak dziecko po płaczu.

Jeżeli autor od czasu do czasu pod wpływem świeżych wrażeń no-
tuje wypadki, które jego uwagę zwróciły, albo własne uczucia, myśli,
spodróżenia, oznaczając je datą—to zapiski takie nazywamy **dziennikiem**.

Czem się różni dziennik od pamiętników? Czy można pisać bezstronnie, spokojniej rzeczy dawno ubiegłe i przeżyte, czy to, co nas obecnie najmocniej zajmuje, wzrusza, oburza, porywa? Z tego względu co można uważać za wiarogodniejsze: dziennik czy pamiętniki?

Nie można jednak zapominać, że pamiętniki najczęściej piszą ludzie w późniejszym wieku, że pamięcią i myślą sięgają w przeszłość, która dawno upłynęła, a pamięć ludzka niezawsze jest pewna i błędzić może łatwo. Piszący dziennik świeżo ma przed sobą zaszłe wypadki, i z tego znów powodu taki opis może być wiarogodniejszy.

Życiorys.

JAN KOCHANOWSKI

(1530 — 1584.)

O życiu jego posiadamy szczerze wiadomości. Pierwsze nauki zawdzięcza dobrej i rozumnej matce; gdzie chodził do szkół—niewiadomo. W czternastym roku życia wstąpił do Akademii Krakowskiej i prawdopodobnie już w Krakowie—z jednej strony pod wpływem rozczytywania się w poetach starożytnych—zaczął próbować sił swoich w pisaniu wierszy łacińskich,—a z drugiej—pod wpływem rozbudzonego przez reformację żywego ruchu religijnego, tworzył w języku ojczystym pieśni religijne. Jak długo był uczniem Akademii i gdzie przebywał po jej opuszczeniu—tego znów nie wiemy.

W dziewiętnastym czy dwudziestym roku życia, spragniony nauki i wiedzy, wyjechał na studia do Włoch; najdłużej bawił na najslawniejszym wówczas w Europie uniwersytecie w Padwie. Ukochanym przedmiotem jego studiów były języki starożytne, i we Włoszech to wyrósł Kochanowski na jednego z najznakomitszych na całym świecie humanistów, na głębokiego autorów starożytnych, i to zarówno łacińskich jak greckich; z zapalem ćwiczył się w poezji łacińskiej, mianowicie w pisaniu elegij miłosnych: miłość—jak mówi—nauczyła go „słodkie składać wiersze.“ Ale składał je nie tylko po łacinie: we Włoszech minął już był czas ślepego uwielbienia dla poetów starożytnych, już nastąpił bujny rozkwit poezji włoskiej, narodowej, i jeszcze na lat kilkanaście przed urodzeniem Kochanowskiego wyśpiewał Ariosto swój wspaniały poemat p. t. *Orland szalony*. Otóż Kochanowski wziął się pilnie do ozytania poetów włoskich, poznał Ariosta, z dawniejszych poetów Petrarke, zapewne i Dantego, i dzięki temu coraz utwierdzał się w przekonaniu, że się poezja może i powinna rozwijać w języku

narodowym; to też za pobytu we Włoszech powstały obok łacińskich „słodkie wiersze” polskie.

Z Włoch udał się Kochanowski do Francji i tu ujrzał w literaturze to samo zjawisko, co we Włoszech: rozwój poezji w języku narodowym pod przewodem Ronsarda, który pięknemu hołdował pogładowi, że „zbrodnią jest pomiać żywym językiem“ ojczystym, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły.” Więc we Francji silniej jeszcze rozwinęło się w Kochanowskim poczucie obowiązku tworzenia w języku narodowym, i tutaj to, w Paryżu, powstała—jak wieść niesie—pierwsza natchniona pieśń polska, wzniosły hymn do Boga: „*Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary.*“

Jak jaskółka, zwiastująca wiosnę, przyleciała ta pieśń z Paryża do Polski, która się dowiedziała, że ma nakoniec natchnionego poetę. Czytano ją podobno w ziemi Sandomierskiej na jakimś zjeździe szlachty (1556), na który pomiędzy innymi przybył i Rej. Otóż, jak mówi podanie, Rej poznał się na piękności hymnu i głośno oświadczył, że się uważa za zwyciężonego przez młodego poetę: „Temu w nauce dank przed sobą dawam, i pieśń bogini słowieńskiej oddawam“.

A tymczasem młody poeta wciąż jeszcze bawił we Francji i uczył się. Dopiero w r. 1557 śmierć matki (ojca stracił o dziesięć lat wcześniej) zniwoliła go do powrotu do kraju dla załatwienia interesów spadkowych. Po długich zatargach z rodzeństwem otrzymał Kochanowski na własność połowę wsi Czarnolasu. Lecz nie odrazu osiadł tu na stałe: przez długi czas był dworzaninem Zygmunta Augusta, który mianował go swoim sekretarzem w uznaniu wielkich zasług, położonych dla piśmiennictwa ojczystego. Bo teraz dopiero zasłynął Kochanowski już w całej Polsce, jako autor pięknych pieśni, dowcipnych fraszek i większych utworów poetycznych, jako to *Satyr*, *Szachy* i inne. Natomiast w życiu politycznym nie odegrał wybitniejszej roli; do stanu duchownego nie czuł powołania; to też nie chciał wyświęcić się na księdza, pomimo że namawiał go do tego jeden z licznych jego przyjaciół i wielbicieli, biskup i podkanclerzy, Piotr Myszkowski, który mu nawet ofiarował probostwo w Poznaniu i w Zwoleniu. Nie nęciła go i służba rycerska, chociaż w roku 1563 brał udział w wyprawie Zygmunta Augusta na Moskwę, w wyprawie, która się jednak zakończyła bez wojny; — a życie dworskie, pomimo że wesoło

spędzał czas w gronie przyjaciół, sprzykrzyło mu się nakoniec.

W r. 1571 usunął się od gwarne go i hulaszczego życia w Krakowie i zamieszkał na wsi, w Czarnolesie; po pewnym czasie ożenił się z Dorotą Podlodowską i odtąd — jak sam powiada — „wiodłem swój żywot tak skromnie, że ledwo kto wiedział o mnie.” Szczęście rodzinne zdruzgotła jednak śmierć ukochanej córeczki Urszulki, za którą poszła wkrótce starsza siostra, Hanna.

Odtąd więcej jeszcze unikał zgłędu światowego, chociaż to, co się działo w Polsce, obchodziło go zawsze bardzo żywo. Jan Zamoyski ofiarował mu kasztelanję — on jej nie przyjął, mówiąc, że się boi w dom swój wprowadzić kasztelanę, bo ten zjadłby to, co zapracuje Kochanowski. Piastował tylko dany mu przez Stefana Batorego urząd wojskiego sandomierskiego. W Czarnolesie, w zaciszu wiejskim, napisał najznakomitsze swoje utwory: *Pieśń świętojańską o sobótce*, *Odprawę posłów greckich*, *Psałterz* i *Treny*, oraz przygotował do druku utwory drobniejsze. Ale zdążył wydać tylko *Fraszki*: podczas pobytu w Lublinie padł rażony apopleksją, i dopiero w rok po śmierci ukazały się w druku jego pisma zbiorowe p. t. *Jan Kochanowski*.

Ignacy Chrzanowski.

Co jest treścią tego ustępu? To, co wiemy o życiu Jana Kochanowskiego. Autor zaznacza odrazu, że wiadomości te są szczupłe. Czy więcej wiemy np. o Mickiewiczu? Dlaczego? Czy znasz jaki życiorys Mickiewicza? Może on być bez porównania obszerniejszy, gdyż życie wielkiego poety jest nam lepiej znane. I ten jednak życiorys mówi wiele o Kochanowskim, a jeszcze więcej możemy się o nim dowiedzieć, czytając jego dzieła. Bo w utworach pisarza pozostaje nam jego dusza.

Życie ludzi niepospoliczych, zasłużonych, obchodzi żywo inteligentną część społeczeństwa, staramy się je poznać, zbadać, zrozumieć; — dokładny obraz takiego żywota nazywamy *życiorysem* albo *biografią*.

Jeśli kto w pamiętniku opisuje własne życie, nazywamy to *auto-biografią*.

Podróże.

Z PODRÓŻY DO TATRÓW

...Weszliśmy na Ormak¹⁾ w tem właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swoimi dwa jego szczyty, zachodni

1) Właściwie: Ornak.

i wschodni. Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przede wszystkim musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem. Korzystaliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzeliśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linja między Galicją a Węgrami. Kilka kroków (bo tak jest wąska płaszczyzna tego grzbietu) rozdzielają dwa narody, dwa klimaty. Od północy dolina Kościeliska, uroczą różnorością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości, — od południa także dolina, do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnorości, któremi pierwsza odznacza się: ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych — raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, na węgierskiej ślady dogorywającego lata; po pierwszej błękitniejszej, żółciej, rumienią się najdrobniejsze, najwonniesze kwiaty — na drugiej za ledwie gdzieniegdzie żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach — tu zwiedła już trawa i mech płowieją. Cały widok na Galicję rozmaitszy i ma więcej życia, — na Węgry może rozleglejszy, ale bardziej pusty: tyle lasów, tyle płaszczyzny bezładnej, przedgórz tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesu. Ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zeszliśmy napowrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządną baciówką. Owce właśnie zeszły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzelśmy kilku pasterzy¹⁾, krzątających się koło baciówki — weszliśmy do niej, aby napić się żętycy²⁾ i kupić serów. Żętyca tu daleko lepsza i zdrowsza, niż w przedgórzach, leżących z tamtej strony Nowotarskiej doliny, a przyczyna tego w balsamicznej paszy. Z półgodziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami; z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za

1) T. zw. juhasów. 2) Żętyca — napój z mleka fermentowanego.

uroda w budowie! Co za życie i zręczność w każdym ruchu! Jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez który trzody w górach się paszą, — spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem w nogawicach i wyszywaniem na brzuchu z węgierską, — ciżmy krótkie, przysznutowane rzemieniami do wysokości połowy łydek — szeroki pas skórzany, — za pasem, z lewego boku, nóż duży w pochwie skórzanej, — przez plecy torba ze szpagatem, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnymi u wierzchniej części frendzlami, — koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka, z licznymi łańcuszkami, dosyć długimi, — rękawy koszuli sfaldowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciorek, — na głowie kapelusik z wąskimi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amaranową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa, — w ręku siekierka na długiej lasce, zwana watażką lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilko-calowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajki, wyrabiają się we wsi Żab Suchy, niedaleko Kościeliska³⁾.

Seweryn Goszczyński.

Go autor opisuje w tym urywku?

Z SAN-FRANCISCO DO LOS-ANGELOS.

Wydostawszy się z olbrzymiej zatoki San-Franciskańskiej przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden-Gate) na ocean i przepłynawszy koło skał Olif-Housu, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydawał mi się bardziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w odłach ze sklepieniem nieba. Czasem tylko, na owych dwóch błękitach niebios i morza, zaczerniała nakształt chmurki

smuga szarego dymu: to jakiś parowiec pasażerski, przewożący ludzi i towary z wysp Sandwich do Kalifornji, wyrastał zwolna, jak gdyby z pod toni, na krańcu widnokregu; czasem zabielał żagiel rybackiego skuneru. Czarne pobrzeżne skały wydawały się zdaleka jakby całkowicie pokryte jakimś olbrzymiem robactwem, poruszającym się i pełznącym nakształt liszek, lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich za zbliżeniem się statku rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tysiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowy i otwierając paszcze, witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice czekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad temi ruchliwymi skałami, a wyżej jeszcze świeciło gorące podzwrotnikowe słońce. Widziany zdaleka wysoki brzeg piętrzył się wyniosłymi urwiskami, a z poza ich szczytów wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzieś tam strumień spadał białą jak mleko kaskadą z wysokości kilkudziesięciu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem, był to śliczny krajobraz morski, pelen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiał go całe nasze towarzystwo: w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby niema, stary „Mohongo” drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej. Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują się zdrowsi, smutni — weselsi. Jedziemy naprzód, za nami ciągnie się szeregiem szlak zbitej kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się, rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie: jedna porywa za ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne wzajemnie, aż tu nowy ogryzek zatacza łuk ku morzu, i znowu toż samo; a my śmiejemy się jakby z najdowcipniejszej krotochwili. Takie to są zabawy podróżników. Po chwili inna nowość: „Co to takiego? co to takiego?” — wołają na okręcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia,

³⁾ Pisano w r. 1832.

a steward¹⁾ okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornej zupie. Odpowiadamy ogólnem „hurra!” Niektórzy mają ochotę się kąpać; inni, a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamcy. Indywidualum podobne znajduje się na każdym okręcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępionem koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niezadługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia, przerywam mu nieśmiało i pytam: Czy nie sądzi, że latające ryby znajdują się tylko w wodach znacznie bliższych równika?

— Tak?—pyta niez mieszan y wcale, przymrużając jedno oko: — a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

— Nie.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nade mną stanowcze zwycięstwo, ponieważ niema już mowy o rybach latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy oba.

Jak żyję, nie widziałem tak wesołego towarzystwa. Z lada powodu śmiejemy się wszyscy jak dzieci. Oto np. z pod pokładu wychyla się kosoooka głowa Chińczyka, rozgląda się po pokładzie głupowato i woła przez nos *Jeh-hang! Jeh-hang!* Na pokładzie niema żadnego *Jeh-hanga*, ale natychmiast wszyscy poczynają wołać: *Jeh-hang!* na całym okręcie rozlega się *Jeh-hang!* na wszystkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: *Jeh-hang!* Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół zółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem: sam pieprz. Nawet Amerykanom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają się na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewardów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala murzyn lampy, obiad się kończy, i wychodzimy znów na pokład.

Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebieskie i białe światło dnia wsiąka w siebie stopniowo złoto i czerwoność; powietrze świeże, trochę słone, przejęte nawskroś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Po prostu—usypia.

Co za cudowna chwila! Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona z pod spodu. Ta droga złocista

ginie na krańcu widnokregu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mimowoli pytasz się: czy ta droga nie prowadzi do jakiej krainy zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wieczne panują?... Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień... Chciałbyś płynąć tam, goniąc za światłem jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

— Co to za wysepki? — pytam majtkę.

— Endżel-Ajsland (Angel Island), Anielska wyspa. I do-
prawdy nietylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw! Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w oceanie. Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane krwią. Mewy pławią się w świetle czerwonym. W tem wszystkiem tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach, jedna mała czarna łupinka i więcej nic. Bo też niema nic prostszego nad majestat.

H. Sienkiewicz.

Porównajmy „Z podróży do Tatr” Goszczyńskiego i urywek z podróży Sienkiewicza. Czy są to opowiadania zgodne z prawdą, czy zmyślone? Mamy tu opisy kraju, ludzi, przygód rzeczywistych, a jednak czy możemy nazwać te urywki prozą? Wyobraźnia autora rzeczywistym zdarzeniom daje niekiedy zabarwienie poezji. W podróży znajdujemy takie połączenie prozy i poezji bardzo często.

Zastanów się, czy w tych urywkach przeważają opisy czy opowiadanie?

Chociaż podróże muszą być opowiadaniem, gdyż odbywają się w ciągu czasu, jednak opisy zajmują w nich zazwyczaj dużo miejsca, ponieważ autor daje nam obrazy tego, na co patrzy, co przesuwają mu się przed oczyma.

Rodzaje prozy rozumującej.

Rozprawa, krytyka, charakterystyka.

NIEŚMIERTELNY.

— Znasz, Trazeuszu, naukę Epikura¹⁾ o atomach materji, które, bujając nieustannie po nieskończonych przestrze-

¹⁾ Steward — zarządzający częścią gospodarczą na okręcie.

¹⁾ Sławny filozof grecki z IV wieku przed Chrystusem.

niach, tworzą ciągle coraz nowe światy i istoty. Gwiazda, metal, roślina, zwierzę i człowiek zlepkami są nieskończonej liczby atomów, z których każdy jest nieśmiertelny, bo rozpręgając się, wiążą się one znowu w kształty inne, a nigdy nie giną. Takim jest królestwo materji, do którego ciała twoje należy. Jak garść piasku, przez wiatr zdmuchnięta, rozprzecznie się ono po nieskończonej przestrzeni, a składające je atomy wnikać może w jedwabną tkaninę liljowego liścia, albo w strumieniu popłynąć kroplą wody, czy parą wznosić się w błękitne etery, zamigocą w płomieniu lampy, błysną w diamentcie, wyrosną z ziemi kłosem pszenicy, stwardnieją w sierści zwierzęcej, spojrzają znów na świat żrenicą nowonarodzonego dziecięcia, lub świętym ogniem myśli zapłoną w mózgu męża. To wszystko opowiadał ci o królestwie ciała. Lecz obok niego istnieje także królestwo dusz. Uczucia i myśli—to atomy duszy człowieka; tak jak te, które składają jego ciało, nie giną one nigdy, lecz sprzegając się z atomami dusz innych, tworzą coraz nowe światy. Mądrość, wiedza, cnota, bohaterstwo, harmonja zlepkami są nieskończonej liczby atomów, zleciałych z dusz ludzkich. Nakształt ogniska, rozwianego w mnóstwo promyków, i fali wodnej w kroplistą mgłę, dusza twoja, Trazeuszu, rozproszy się po przestrzeni czasu, a składające ją atomy wnikać może w serce młodzieńca zapaleń i męstwem, czy w pierś niewiastry pragnieniem wielkiej miłości i ofiar, czy w czaszkę starca — miłą o czynach twoich opowieścią, czy w mózg dziecięcy — przecuciem hohaterskości przyszłej. Żyć się niemi będzie może niewolnik błądy, lub truć się ten, który go rzucił w ciemnicę; wciągnie je w pierś swą pusty hulaka i z czołem zawstydzonem od biesiadnego stołu powstanie; albo męczennik, wychylający swą gorzką czarę, słodyczą ich usta swe ukoji. Ze śmiercią ludzi nie umierają myśli ich, ani uczucia, ani słowa, ani czyny. To nawet, czego nigdy nie wypowiedziałeś, pieśnią bez słów w świat uleciało przez oczy twoje, postawę, uśmiechy, westchnienia. Milczące twoje bunt przeciw złemu zabrzmiały w przestrzeni czasu hasłem, wołającym ku dobru. A czy wiesz, jaką pierś podnosić będą kiedyś bolesne twoje westchnienia? Na czyje usta zlecać uśmiechy twoich wspaniałych wzgard? Ty na to wszystko nie odpowiesz: „Mnie tam nie będzie!“ bo umiło-

wanie przyszłych wieków i pokoleń, mocno tkwi w duszach wzniosłych. Umierając, powtarzaj słowa starego poety:

Niechaj nikt łzami grobu mojego nie skrapia,
Ani z płaczem za trumną moją nie idzie —
Bo żyję wiecznie i z duszy do duszy przelatam.

Taka jest nieśmiertelność, Trazeuszu, którą ci opowiedział Demetrjusz z Sunionu.

E. Orzeszkowa.

„Nieśmiertelny“ należy do prozy rozumującej, ponieważ autor *zastanawia się tutaj nad nieśmiertelnością ducha, rozumuje i wyprowadza wnioski, to rozprawa*. Czy jednak ta rozprawa jest prozą w ścisłym znaczeniu? Czy w dowodzeniu tem niema uczucia, wyobraźni — poezji?

Przeczytaj „Ważność sztuki czytania“ Prusa (str. 14) „Prawe szlachectwo“ Reja (str. 22), — jak nazwiesz te wyjątki i urywki?

Widzimy zatem, iż treścią rozprawy mogą być kwestje najróżnorodniejsze: społeczne, naukowe, fachowe, literackie i t. p. Niekiedy nadajemy im formę poetyczną, np. „Nieśmiertelny“.

ROZBIÓR KRYTYCZNY SIELANKI BRODZIŃSKIEGO „WIESŁAW“.

Najlepszym i najbardziej wykończonym utworem Brodzińskiego jest sielanka krakowska „Wiesław“, wydrukowana po raz pierwszy w r. 1820 w „Pamiętniku Warszawskim“, a potem wielokrotnie osobno i w zbiorach poezji odbijana.

Z wielkim a subtelnym rozmysłem artystycznym namalowane tło do tego obrazka wiejskiego, tło przywodzące na pamięć wypadki r. 1794 — nadaje mu pewną doniosłość społeczną, wskazując chwilę, gdy lud brał czynny udział w obronie ogólnej niepodległości.

Zwyczaj i obyczaj ludu krakowskiego, jego usposobienie i śpiewy odtworzono wedle natury wiernie, z pominięciem stron mniej estetycznych lub nie licujących z zadaniem idylli.

Charaktery, kreślone pendzlem o lekkim dotknięciu, zachowują wszędzie swoją indywidualność, nie tracąc równocześnie cech wspólnych, których wśród ludu jest więcej, aniżeli wśród warstw wyżej duchowo rozwiniętych. Dziarski Wiesław, umiejący po pracy pohulać wesoło, „zajechać drogę choćby wojewodzie, z karczmy rozpedzić austriackich

zoldaków“, swoją czerstwą, zdrową naturą zyskuje naszą miłość, a uczuciem szczerem, prostymi słowy objawiającem się, budzi zajęcie. Halina, wstydliva i płoniąca się, uroczą zadumą, która jej duszę opanowała po zabłąkaniu się z wioski rodzinnej, pociąga ku sobie; a pracowitością i posłuszeństwem dla przybranej matki zaświadcza o swojej moralnej wartości. — Jan, ten homerowski Nestor w miniatrze, co nie z jednego pieca chleb jadął, co był na wozie i pod wozem, co mnóstwo małżeństw skojarzył, co umie cenić swą osobę i pochlebić swej dumie, nie uchybiając innym, co swą naturalną wymową i zdrowemi radami godzi zważnionych, zażegnując rozterkę między upartym przy swoim zamiarze Stanisławem a rozkochanym Wiesławem, jakąż to postać prawdziwą! — Gadatliwość Bronisławy i Jadwigi w porównaniu z małomównością Stanisława i Wiesława jakże doskonale charakteryzuje zwykły pod tym względem stosunek obu połów ludności wiejskiej, a może i nie wiejskiej wyłącznie! — Nawet ta mała Bronika, co się trzyma fartuszka matki, i łzami lub uśmiechem tylko istnienie swe i uczucia zaznacza, jakże wybornie dostraja się do tego obrazka, owianego atmosferą miłości ludzi, ładu, porządku i cichego szczęścia!

Styl prosty i szlachetny idealizuje rozmowy wieśniaków co do sztuki słowa, lecz co do zakresu ich myśli i uczuć nigdzie ich nie przekracza.

Zapewne, „Wiesław“ nie jest obrazem życia ludu wszechstronnym; możnaby mu owszem wprost jednostronność zarzucić, gdyż widzimy na nim lud, ozłocony promieniami słońca zacości, bez innych trosk prócz uczuciowych; ale jako „sielanka“ jest on niewątpliwie najcelniejszym utworem naszej literatury, dając po raz pierwszy u nas charaktery artystycznie zakreślone, a drobne usterki, takie jak np. uchybienie przeciw prawdopodobieństwu na samym początku, kiedy Bronisława opowiada o zniknięciu starszej córki wychowawcy swemu, który przecież oddawna wie, że o tem musiał, maleją wobec poważnych stron podatnych.

Piotr Chmielowski.

Co jest treścią tego ustępu? Autor zastanawia się nad wartością sielanki Brodzińskiego „Wiesław“. A więc jest to także rozprawa.

Rozprawa, której treścią jest ocena utworu literackiego, dzieła sztuki, działalności człowieka i t. p. nazywa się krytyką. Czy każda rozprawa jest krytyką? Czy każda krytyka jest rozprawą?

...Patrz jeno na jego postawy, jeśli że się nie masz czemu pośmiać i podziwować, — a on idzie, nawieszawszy dziwnych pstrych chobotów¹⁾ około siebie, na ludzi nie patrzy, tylko sam na się pogląda, cień upatruje, spluwa, choć mu nie trzeba, rękawice z tej ręki, na której sygnet, zjemie, a w drugiej ją dzierży; kaszle, krzaka, choć mu się nie chce; z kamyka na kamyk stąpa, kroku strzeże, aby go nie zmylił, na pacholki się ogląda, jeśli je ma. Owa cokolwiek pocznie, to wszystko ku sprośnemu a głupiemu chłopu, a mało nie ku szalonemu bardzo podobno. A jeśli też już gdzie na miejscu między dobrymi towarzyszami usiedzie, tedy jeśli co mówi, to już z oną przewłoką, z oną postawą, z onym przekęśowaniem słówek, z onym rzekomo zajakowaniem, aby tak rozumiano, iż z rozmysłem mówi. Paznogcie ogląda, czapki poprawuje; a łotrowie mu siedząc pochlebują, jeden na drugiego poglądają, a bardzo go snadnie na wszystko przywiodą, iż im szynkuje, albo musi posłać, po co jedno każą.

Mikołaj Rey.

Czy na podstawie tego opisu możesz sobie wyobrazić postać pyszałka? Czy tylko jeden był taki na świecie?

Czy autor podaje wszystkie cechy tego człowieka, czy stara się odróżnić i podać te tylko, które go wyodrębniają od innych? Czy wypowiada swój sąd o pyszałku i wyprowadza wnioski z jego postępowania?

Znajdujemy w tym opisie i rozumowanie—to charakterystyka.

TEOFIL DZIECIAK.

Teofil zwał się w gronie naszym „dzieciakiem“ nie dla wieku, bo starszy był od innych, ale dla niekarnej prostoty swego ułożenia. Rozpierał się na wszystkich stołach, rozkładał na wszystkich kanapach, głośno krzyczał, kiedy mówił, lubił ciastka i cukierki, bawił się puszczonego balonem i złapaną pod szklankę muchą, a przy tem wszystkim, lub raczej jakby na odpokutowanie tego wszystkiego, rozmawiał się w najstarszej, najnudniejszej, najcięższej nauce—

¹⁾ Gatunek spodni buchastych.

w numizmatyce¹⁾. Za jeden ugrzynszpaniony²⁾ pieniążek byłby całe godziny spokojnie i prosto jak panienka na krześle siedział; po jeden rzadszy medalik byłby z narażeniem wolności i życia najniebezpieczniejsze odbywał drogi; a tak szanował dokładność zbiorów, tak artystycznie kochał swój przedmiot, że raz dla uzupełnienia bogatszej jakiejś kolekcji³⁾ sam się z bardzo ciekawego ogołocił egzemplarza.

Tytuł Teofila w uczonym, powierzchowność zaś jego w towarzyskim świecie—były to dwie najucieszniesze sprzeczności, możnaby nawet powiedzieć, że była to jedna żywa szarada, której prawdziwego słowa wiele osób odgadnąć nie umiało. Jedni posądzali go o udawanie, drudzy o rubasznosc, a tymczasem był to dzieciak i numizmatyk; w przydatku to było także najlepsze, najpocziwsze serce. Mogłeś mu zabrać płaszcz i zegarek, czas i wesolość, mogłeś od niego żądać dobrej rady, przysługi, kurs mającej monety — byleś starożytniej nie rozrzucił — to wszystko ci oddał, wszystko zrobił, choć czasem, według humoru, mniej więcej pogrymasił sobie.

Mimo tak niezaczepnej z pozoru natury, miał jednak Teofil bardzo licznych nieprzyjaciół, zwyczajnie jak dziecko, i do tego trochę zepsute, a bardzo gadatliwe dziecko; zawsze każdemu wypowiedział wszystko, co mu do myśli przychodziło, że zaś był dowcipny, psotny, i pełno różnych ludzi spotykał, więc mu do myśli przychodziły różne koncepta — o głupstwie, próżności, nieszczerem ugrzecznieniu, zabawnej intrydze — ot, tak sobie, dla śmiechu, — a słuchający obrażali się często. Jednak nikomu nie szkodził, — jemu okropnie szkodziło.

N. Żmichowska. („Poganka“).

Czy na podstawie tego opisu możesz sobie wyobrazić postać Teofila? jego usposobienie, charakter?

Wierne odmalowanie cech charakteru danego typu lub danej jednostki, cech, wyróżniających tę postać od innych ludzi, nazywamy **charakterystyką**.

Możemy w podobny sposób charakteryzować nie tylko człowieka, — lecz kraj, — porę roku, — grupę zwierząt, — roślin, malując cechy, które je wyodrębniają od innych.

¹⁾ Nauka polegająca na znajomości starych monet. ²⁾ Pokryty grynspanem, t. j. trującym związkiem miedzi i kwasu. ³⁾ Zbiór.

Charakterystyka — jak widzimy — przypomina opis, ale i różni się od niego, gdyż łączy z postrzeganiem i rozumowaniem. Tworząc bowiem charakterystykę danego człowieka (przedmiotu, zjawiska i t. d.), nie wyszczególniamy wszystkich cech jego, tylko wyszukujemy i skupiamy te, które go różnią od innych, pokrewnych — cechy **znamiennne**, istotne, nie przypadkowe ani ogólne. A ta czynność jest już połączona z rozumowaniem.

Jakie charakterystyki możesz wskazać w tej książce?

Jakie są charakterystyczne cechy: owadów, — (naszych) wsi, — naszych lasów? Jak możesz je charakteryzować na podstawie tych spostrzeżeń?

Ćwiczenie: Charakterystyka dobrze znanej ci osoby.

Proza oratorska.

(Zniewalająca.)

Z VIII KAZANIA SEJMOWEGO.

(O niekarności grzechów jawnych.)

Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo! Kto tu na was, ze wszech stron królestwa zebrane, i na głowy ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszytkiej Koronie panują!

Bych był¹⁾ Izajaszem, chodziłbym boso i napół nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępnicy i przestępnice Zakonu Bożego: „Tak was złupią i tak łyskać łyskami²⁾ będziecie, gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda! I będzie wam złość wasza jako mur porysowany wysoki, który, gdy się nie spodziejecie, upadnie, i jako garncarska flasza, mocno uderzona, z której się nie najdzie skorupka na noszenie trochy ognia i na poczerpnienie trochy wody z doiku!” Ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: „Nie, nie! Nierządem stoi Polska!” Lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszystkich potłucze!

Bych był Jeremjaszem, wziąłbym pęta na nogi i okowy i łańcuch na szyję i wołałbym na was grzeszne, jako on

¹⁾ Gdybym był. ²⁾ Łyszt — łydka.

wołał: „Tak spętają pany i pożoną¹⁾ jako barany w cudze strony!“ I ukazałbych zbutwiałą i zgnojoną suknią, którą trząsnawszy, gdyby się w perzyny rozleciała, mówiłbych do was: „Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym a w perzynę pójdzie chwała wasza i wszystkie dostatki i majątności wasze!“ I wzięwszy garniec gliniany, a zwoławszy was wszystkich, uderzyłbych go mocno o ścianę w oczach waszych, mówiąc: „Tak was pogruchocę — mówi Pan Bóg — jako ten garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą!“

I wołałbych, jako i on, płacząc: „Kto głowie mojej doda wody i źródło łez oczom moim, abych we dnie i w nocy oplakał pobite ojczyzny i narodu mego? Uciekłbych na pustynię i odbiegłbych ludu mego, bo wszytocy wyrodkowie (jakoby nie onych dobrych ojców synowie) i skupienie zbrodniów. Wyciągnęli język swój, jako łuk kłamstwa a nieprawdy.“

Strzeż się każdy brata swego i nadzieje w nim nie miej: „w uściecech mają pokój, a tajemnie sidła podkładają“. Dlatego mówi Pan Bóg: Nakarmię ich piotunem i za napój dam im wodę żółci“. Zwołujcie narzekalniczek! niech nad nami lamentują, mówiąc: „Puszczajcie lzy, oczy nasze, i powieki nasze, opływajcie wodą! O, jakośmy zwojowani i wielce pohańbieni! Przyszła śmierć przez okna nasze, wterwała się w domy nasze, pobiła przed sienią dzieci i młodzieńce po ulicach! Trupy jako gnój po polu leżą, jako trawa za kosarzem, a niemasz tego, ktoby je pogrzebał“.

Bych był Ezechjelem, ogoliwszy głowę i brodę, włosy bych na trzy części rozdzielił. I spaliłbych jedną część, a drugąbych posiekał, a trzeciąbych na wiatr puścił i wołałbych na was: „Jedni z was poginiecie głodem, drudzy, mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie!“ I nie wychodziłbych z mieszkania mego drzwiami ani oknem, alebych ścianę przekopał, w rzeczy²⁾ uciekając, i wołałbych na was: „Tak się z wami staniel! żadne was zamki i twierdze nie obronią! wszytki nieprzyjaciół wywróci i was pogubi!“

Piotr Skarga.

Przeczytaj wyjątek z VIII kazania Skargi i porównaj go z przemówieniem Sienkiewicza (str. 222).

¹⁾ Pożoną — 3 osoba l. mn. od pognać. ²⁾ w rzeczy — niby to.

Skarga przemawia jako kaznodzieja do przedstawicieli narodu, gromi i wyrzuca im błędy, prorokuje straszną przyszłość, stara się oddziaływać nie tylko na umysł i uczucie, ale i wolę słuchaczy; nie tylko przekonać ich i wzruszyć, ale i zniewolić do czynu: do poprawy.

Sienkiewicz przy odsłonięciu pomnika Słowackiego mówi o piękności mowy polskiej, której poeta był mistrzem.

Przemówienie Skargi zaliczamy do wymowy kościelnej, której treść może być najrozmaitsza, lecz zawsze na podstawie religijnej. Mowa Sienkiewicza jest świecka.

Możemy ją nazwać okolicznościową, jak przemówienia podczas wesela, pogrzebu, smutnego lub szczęśliwego zdarzenia, które głęboko obchodzi słuchaczy.

Mamy jeszcze inne rodzaje prozy świeckiej:

W sądzie prokurator oskarża, obrońca broni podsądnego, — to wymowa sądowa.

Wymowa parlamentarna zajmuje się sprawami państwa i urzędów społecznych. Przemawiają posłowie w parlamencie, mówcy na trybunach.

Wszystkie te rodzaje wymowy tworzą osobny dział prozy, t. zw. prozę zniewalającą, oratorską.

Główną jej cechą jest to, że oddziaływa na umysł, wyobraźnię, uczucie i prawie zawsze na wolę słuchacza lub czytelnika, starając się pobudzić go do czynu.

Ponieważ zaś proza oratorska odznacza się uczuciem, a nieraz i piękną formą, zbliża się przez to bardzo często do poezji, i tutaj więc zarówno jak gdzieindziej trudno przeprowadzić ścisłą granicę między poezją i prozą.

Czy przemówienie Sienkiewicza nazwiesz poezją, czy prozą?
A kazania Skargi?

RODZAJE POEZJI.

PAMIĘCI MICKIEWICZA.

Wieszczu! Niechaj nas słucha

Duch wielki Twój,

Bo oto z serc nam bucha

Płomienny żar,

A z ust przysięga płynie,

Jak rwący źródło,

Że zanim dzień nasz minie,

Kraj dźwigniem z mar!

Oto już kuźnia dymu,

Gdzie kujem broń;

Do pracy my olbrzymiej

Podnosim dłoń;

My zakuć naród cały
 Pragniemy w hart,
 By w czynie był wytrwały
 I zwycięstw wart!
 Wieszczu! Ślubuję Tobie
 Na pług i miecz,
 Że pierwszej legniem w grobie,
 Nim krok ustąpię wstecz!

K. Tetmajer.

BYŁO SOBIE...

Było sobie niegdyś w szkole piękne dziecko, zwał się Janek. Czuł zawczasu Bożą wolę: ze starymi suszył dzbanek. Dobry z niego byłby wiarus, bo w literach nie czuł smaku, codziennie stary bakalarus łamał wierzby na biedaku, i po setnej, setnej próbie rzekł do matki: — Oj, kobieto, twego Janka w ciemnię bito, nie nie wbito, weź go sobie. — Biedna matka wzięła Jana, szła po radę do plebana. Przed plebanem w płacz na nowo, a księżulo słuchał skargi i poważnie nadał wargi, po ojcowsku ruszał głową. Wysłuchawszy pacierz złego: — Patrz mi w oczy! — rzekł do żaka, — Nic dobrego! nic dobrego! — Potem hożą twarz pogładził, dał opłatek i piętaka, i do szewca oddać radził.

Jak poradził, tak mateczysko i zrobiło. Szewc był blisko... Lecz Jankowi nie do smaku przy szewieckiej śli-piać igle. Djabł mieszal żółc w biedaku, śniły mu się dziwy, figle. Zwyciężyła wilecza cnota, — rzekł: — W świat pójdę o piętaku! — A więc tak, jak był, hołota, przed terminem rzucił szewca i na strudze do Królewca popłynął... Jak do wody wpadł i zginął...

Matka w płacz, łamała dłonie, a ksiądz pleban na odpuście przeciw działkom i rozpuszcie grzmiał jak piorun na ambonie. Wkońcu dodał: Bogobojna trzódka moja, bądź spokojna: co ma wisieć, nie utonie.

Mały Janek gdzie się chował przez rok cały — zgadnąć trudno. Wsiadł na okręt i żeglował, i na jakąś wyspę ludną przypłynął — wylądował... Owdzie król przechodził drogą. Jaś pokłonił się królowi, i dworzanom, i ludowi, a klanając, szastał nogą tak układnie, że król stary włożył na nos okulary. I wnet tymże samym torem, dwór za królem, lud

za dworem, powkładali szkła na oczy... Owoż król ten posiadał sławę, jakoby miał wzrok proroczy; i choć stracił oko prawe, tak kunsztownie lewem władał, że człowieka zaraz zbadał, na co mierzy, na co zdatny: czy zeń ma być rządcą kraju, czy podstoli, czy też szatny... Lecz tym razem wbrew zwyczajowi, król pan oczom nie dowierza, czy żak Janek na tancerza, czy na rządcę dobrego kraju? Więc zapytał: Mój-kochanku, jak masz imię?

— Janek.

— Janku, cóż ty umiesz?

— Psom szyć buty.

— A czy dobrze?

— Oj tatulu, czyli raczej, panie królu! jak szacuję, ręczyć mogę, że but każdy ostro kuty, i na jedną zrobię nogę, czyli raczej na łap dwoje... To na zimę. Z letnich czasów but o jednym szwie wystroję, na opłatku, bez obcasów; a robota takiej wiary, że psy puszcza na moczary, suchą nogą przejdą stawy.

— Masz więc służbę, złotem płacę — rzekł do Janka pan łaskawy i za sobą wiódł w pałace.

A gdy dzień zaświtał czwarty, szły na łowy w butach charty. A szewc chartów w aksamicie przy królewskiej jechał świcie; złoty order miał na szyi, w trzy dni został szambelanem, w sześć dni rządcą prowincyi, w dni dwanaście został panem. Starą matkę wziął z chałupy, król frejliną ją mianował. A plebana pożałował w biskupa¹⁾.

J. Słowacki.

Porównaj treść utworów „Pamięci Mickiewicza” i Janka. W pierwszym znajdujemy uczucia i myśli autora, w drugim wypadki, wzięte ze świata zewnętrznego.

Jedne utwory malują nam to, co się dokonało nas dzieje, świat zewnętrzny, — inne — świat wewnętrzny pisarza, jego myśli i uczucia.

Utwory, malujące uczucia autora — to poezja liryczna.

Utwory, malujące zdarzenia lub opisy świata zewnętrznego, to poezja epiczna.

Wybierz stąd przykłady poezji lirycznej i epicznej.

¹⁾ Pożałował w biskupa — rusycyzm umyślny, znaczy: obdarzył godnością biskupa, zrobił biskupem.

WILJA NA SYBERJI.

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci, i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencję głęboką, wyrzekł uroczyście.

— Kolacja gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem białem, jak należy, nakryty, — białem przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane, dobrze pogięte, wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska, z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych „oład¹⁾”, na drugim końcu znajdowała się miska z „pępkami²⁾”, octem i pieprzem przyprawionemi; — około miski leżał chleb i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszem a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdyś białym, a dziś żółtym i poszczerbionym talerzu, leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatek nikt się nie spodziewał, więc też wrażenie, wywołane tylu niespodziewanemi akcesorjami³⁾, było potężne.

Porankiewicz, wyspoczę zadowolony z efektu⁴⁾, wysunął się teraz naprzód i zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył, i gdy wszyscy z najwyższą ciekawością oczekiwali całej oracji⁵⁾, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie, opłatek wprost z Warszawy...

I złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwi zbliżali się do stołu, już pojętny zapach „oład¹⁾” górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się

¹⁾ Oładi — coś w rodzaju racuszków. ²⁾ „Pępki” — brzuszek solony z tłustych ryb, potrawiany w Lenie, jedzą się jak śledzie. ³⁾ Akcesorja — przybory, dodatki. ⁴⁾ Efekt — wrażenie. ⁵⁾ Oracja — mowa.

wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! panowie! Świętość taka...

— Poświęcony?! — z radosnym podziwem przerwał lekko Bartłomiej.

— Spodziewam się! Innegoby nie przysłali — z głębokim przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest, chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! A juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło, jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach niby gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan jako gość nas wszystkich obejdzie...

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracji króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbliadł, aż zbiegał, i gdy podszedł do niego bliżej, surowa jego twarz zjawiała się przede mną nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że powieki latały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną.

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmniejszego serca, pierwszy zaszlochał jak dziecko, i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: „Cicho, bracie, cicho, bo ryknę jak baran!” — nie to jednak nie pomagało. Więc też kiedyś podszedł do Bartłomeja,

siły go już opadły: nisko schylił swą głowę osiwiła i wy-
ciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentego... i Świenty-
go — powtórzył ciszej i — ryknął głosem wielkim.

Adam Szymański.

Czy to poezja czy proza? Dlaczego? Czy to utwór liryczny, czy
epiczny?

LIRNIK WIOSKOWY.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna

Snadź ciebie wyrobiono!

Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę pokręcę,

Zaraz mi kipi łono.

Czuję radość nieznana, jakby na sercu grano,

I smutno i wesoło;

Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty

Przechodzę całe sioło!

Z tobą się nie napieszczę: i dzień i noc i jeszcze...

Jeszcze grałbym bez końca,

Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy

Uderza krew gorąca.

Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,

Przecie tonów nie zniżę;

Nie żaluję mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy,

Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,

Niebezpieczeńś narzędzie!

Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,

Wiecznie pamiętać będzie!

Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,

I tęsknota ogarnie.

Tys pokaraniem Bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,

Nie żartować bezkarnie!

Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą

Jakby ostrzem przenika;

A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,

Co tam w duszy lirnika!

Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,

Że mnie tak chęćka bodzie:

Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,

Dobrym ludziom w gospodzie;

Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki owina,

Niech ją dźwiękiem otoczą,

Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,

Czy się bawi ochoczo.

Patrzcie na dziewczę moją! przy niej chłopcy się roją...

Śmieszne, śmieszne ludziska!

Jeden wam się chwali, drugi mieczem ze stali,

Trzeci srebrem polyska.

Mnie Bóg więcej przeznacza: znam, co hardość śpiewacza!

Ja przed nikim nie zniżę

Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy,

Skonam, grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,

Wątle z tobą nadzieje!

Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem uklękne,

Czy dla ludzi zapieję;

Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,

Serc braterskich nie zjedna;

Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,

O dolo moja biedna!

Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza,

Ku Bogu głos wyteżę,

Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną

Smutnym tonem mitręzę.

Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,

Młodzież i starcy w domu,

Klę, że w piersi mi wrosło pieśno-twórcze rzemiosło,

Lub zapłaczę kryjomu.

Dziewczę słucha lirnika, ale duszę zamyka,

Mnie się serce rozpada!

Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze

I z innym płasza rada.

Starzec westchnie i powie; „Za mych czasów grajkowie

„Toć to grali dla duszy!

„Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;

„Trąbić mu w róg pastuszy!”

I tak wszyscy zebrani: jeden chwali, ten gani, —
 Kłaniam, kłaniam uprzejmie:
 Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zakłaska,
 Ale serce odejmie!
 Liro, próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
 Z ciebie ciernie i krzyże!
 Lecz tyś promień mej głowy: wszak ja lirnik wioskowy,
 Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Ludzie łzami mię poją!
 Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mnie w grób położą,
 Ty będziesz chlubą moją.
 Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
 Zolbrzymięją me słowa,
 Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju, —
 Do samego Kijowa.
 Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
 Ciekawie zakolata:
 „Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
 „Lirnik głośny u świata“.
 Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
 I będą czynić wnioski.
 Szeptać, ściskając plecy: „Skąd ci ludzie dalecy
 „Znają pieśni tej wioski?“
 Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
 Przed ludźmi cudzej ziemi
 Westchnieniem i gawędą słać lirnika będą,
 Co śpiewał i żył z niemi.
 I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
 Gdzie przy sośnie trzy krzyże,
 I rzekną, wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy,
 „Skonał, grając na lirze“.

L. Kondratowicz.

Co jest treścią „Lirnika? — Uczucia, myśli, natura, czy zdarzenia;

TAM I U NAS!..

— Czy my kiedy wrócimy! — szepnął chory.
 — To jakbym ja widział, proszę Jegomości —
 rzekł Maciek — Dalifur wyleci z łysą głową, bez czapki,

ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska
 w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z praczkarni,
 z folwarku, co żyje, powylatuje. Pan! pan! pan nasz!..
 A tu i ksiądz proboszcz z plebanji zdyszany leci... i po
 wsi rozechodzi się wieść o przybyciu, wszędy radość... we-
 sele. Nazajutrz wójt ze starszymi idzie powinszować po-
 wrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił... drze-
 wa szemrzą: pan,... bociany krzyczą: pan,... sroka śmieje
 się na płocie: cha! cha! cha! cha! — Tylko stary indyk na-
 perzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami
 sunie po piasku bełgocząc, a ja go po czerwonym nosie...
 masz trutniu!

Maciek tak się zapędził, że już nawet do niewidzialne-
 go indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazja. Pan
 śmiejąc się, zakaszał mocno, musiał na ławce przysiąść,
 pełną krwi chustkę odjął od ust... Krew zaraz potem rzu-
 ciła się raz drugi. Powlókł się do łóżka... Caritta siadła
 przy nim, zdawał się jej nie widzieć... Maćkowi kazał
 obrazek Najświętszej Panny i szablę powiesić sobie na-
 przeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy niekiedy
 lzy mu poszły z pod powiek, to ocierając je, wąsa sobie
 niby pokręcał.

I dalej: — Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł
 na ziemi w nogach łóżka.

— A która tam godzina? — zapytał Konrad.

— O! już słonko dobrze zaszło, — odparł żywo chło-
 pak, — bydelko powróciło z paszy; Pukało obszedłszy
 obory, idzie, Zdrowaśki mrucząc, na folwark do wieczery...
 Stefanek poszedł też pewnie okienice pozamykać we dwor-
 rze, a na plebanji księżyna odmawia brewjarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcej śni.

— Ano, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek;
 żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany
 do snu posiadają. Burek chodzi i burezy... cicho! cicho!..
 tylko od młyna turkot, słychać jak tam koła szumią i tur-
 koczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... Na
 Anioł Pański dawno przedzwonili.

— A we dworze? — spytał Konrad.

— Pustka Panie.

— Zegar idzie?
 — O ten to się nie zająknie pewnie!
 — Która godzina? — począł Konrad.
 — Ciemno dobrze... ino nie wiem — dodał chłopak czegoś przelekły — czemu oni nie wracają?
 — Mów o Robninie — poprawił go Konrad.
 — Może świece zapalić?
 — Tak, dobrze — słabym głosem zawołał Konrad, — przed N. Panną zmówimy litanję... Ale spojrżno, czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie...

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę; dziwnie mu się blade wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił ucha, myślał, że posłyszyny plusk przybijającej do brzegu gondoli, ale — cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego; podniosły się ciężko powieki.

— Maćku, — rzekł, — co tam, w domu?

— Śpią, panie.

Chłopak przysunął się do łóżka; chudą, kościstą rękę dobył z pod okrycia Konrad, poszukał wkóło i podał mu worek.

— To dla ciebie, — rzekł, — abyś miał o czem powracać do domu.

— A mój panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, — rzekł, — i daj mi rękę; taki dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł; pokłakił przy nim.

— Co się ty tam trwożysz? — począł Konrad — niema czego. Jam zdrow! mnie już dobrze, tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie; zaśpiewaj co naszego... po cichu... ja się zdrzemię...

Maćkowi nie na śpiew się zbierało: oczy ocierał i modlił się; Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się; spojrzał na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem: — Słuchaj, co tam się stanie ze mną — w woli Bożej; jeżelibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej: jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe... ludzie inni, serca dobre — ale inne, o! nie nasze!.. Myśmy nie

stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli.

— Tam lepiej nawet z samotnością i nędzą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? — spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu łzy pomogą — wyszeptał chory — nie masz jeszcze czego płakać, to babska rzecz... wstydź się.

A po chwili znowu spytał: — Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? — wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc, jak u nas...

— Tak, u nas piękniejszy — potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli, ale oddech coraz cichł, ustawał, i zupełnie go wkońcu słyhać nie było... Bo nie było już i duszy Konrada na świecie.

J. I. Kraszewski.

Widzimy, że poezja *liryczna* i *epiczna* łączą się nieraz i uzupełniają nawzajem. Trudno znaleźć utwór epiczny bez domieszki liryki, — częściej spotykamy czysto liryczne utwory.

Wskaż ustępy liryczne i epiczne w Panu Tadeuszu.

Rodzaje poezji epicznej.

BAŚŃ O SOBOTNIEJ GÓRZE.

Pocziwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła. Najstarszy był przy parafialnym kościele organistą, wielce mądrym i uczonym; czytał na każdej książce i z pisanego — i podobno, że samby mógł kantyczki¹⁾ składać. Był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, ba! i u sa-

¹⁾ Pobożne pieśni kołędowe.

mego plebana. Drugi, średni, służywał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach, napatrzył się i nasłuchiwał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż. Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojciec jego przedtem, i niewiele dbając ani na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza, dla czego też u obydwu w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był. Wszyscy zaś trzej bracia, jako poczołwi synowie, płacili za miłość matce wzajemną serdeczną miłością.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście: niebogą starowinę porwały w nocy boleści srogie, jęcząc, pobudziła synów, — zbiegli się do jej łoża, wielce strapieni i trwożni, a co począć — nie wiedzący.

— Już ja tutaj przy matce zostanę i czuwać będę nad niemi, a wy jeno biecicie co żywo do mądrej, w lesie u starej mogiły, by przyszła chorej z pomocą! — rzekł do braci organista.

Oni tedy górą dołem biegli do starej mogiły, do spuszczonej chaty, gdzie mądra mieszkała, i znalazłszy babę, wiedli ją wskok do wioski. Kiedy byli blisko domu, patrząc, aźci organista stoi przed wrotyma.

— A co? jak matce? — spytał.

O już ci lepiej być musi, bo przestali całkiem jęczeć, leżą cichutko w łóżku, pewnie śpią...

Baba weszła do chałupy, stanęła koło łoża, dotknęła ręki staruszki i rzekła, kiwając głową: — Iścież waszej matce lepiej, a nie boli, bo oto skostniała, widać chwila, jak już zmarła.

Na te słowa w chałupie powstał lament niesłychany. Wszyscy trzej synowie zawodzili jęki, tłukąc głowami o ścianę i rękoma rwąc do krwi ciało tak okropnie, że baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie widziała, zlitowała się nad nimi.

— Ha! jeżeli tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia; będzie-li tylko który chciał narazić własnego żywota? Pomóc jej może choćby kropla żywej wody, co za trzema puszcami bije na Sobotniej Górze z pod gadającego drzewa, na którym siedzi zaczarowany sokół. Zajść i nazad powrócić, stanie na to siedem

dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wniknąć na wierzchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkałby na drodze albo za sobą posłyszał, broń Boże, jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć poza siebie: w tej chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na onej górze pokus i strachów niemało, tak że nikt jeszcze, jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. Chcieli z was który szczęścia próbować? Droga do góry za południem słońca.

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę naprzeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że w tej podróży trzeba nielada odwagi: iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się byle czego nie zleknie i choćby djabłu kroku dostoję. Dajcież mnie, że tam pójdę, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego z żywą wodą.

I pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

Minął dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień miał się ku końcowi. Bracia, w domu pozostali, wyglądają niecierpliwie; żołnierza znikąd ni widu, ni słychu. Gdy tydzień z górą minął, biegli do baby po radę.

— Daremnie go czekacie, — odpowie im mądra baba — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrosnięty.

Zafrasowali się okrutnie bracia, a powracając do domu, sporzyć się z sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę po żywą wodę dla matki? Lecz organista rzecze z urąganiem:

— Co? ty? — ty, głupcze! tybyś miał tam wskórać, gdzie twój brat nie wskórał? Lepszej tam głowy potrzeba, żeby się nie dać zwieść szatańskiej mocy. Jać to wiem dobry sposób na djable pokusy: niechno tam pójdę z kropidłem, a zaklnę biesa po łacinie, zobaczysz, czy mi podała.

I wziąwszy kropielnicę z kościoła, w rękę kropidło, książkę za nadrę, ruszył za południem słońca...

Znów minął dzień, drugi, trzeci, — tydzień cały; brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy: ni widu, ani słychu... Biegł tedy znowu do baby po radę: co znaczy, że brat nie wraca?

— Daremnie go nie czekaj! — odpowiedziała baba, — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale, niewiele myśląc, biegł co tchu do domu i, wzięwszy bułkę chleba do opalki, kosę sobie nastaliwszy¹⁾, przewiesił ją przez ramiona i poszedł ku południowi słońca.

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprawił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci dzień o zachodzie słońca stanął pod Sobotnią Górą. Stanąwszy, spojrz: aż tu góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, a za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły — jakby jedno na drugim wyrastało, sterczy drzewo ponad drzewem, coraz wyżej, coraz wyżej. Pomiędzy niemi na ziemi gąszcz cierni, głogów i ziół jadowitych, rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mechów, pośród nich żmij, padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, oż dopiero iść tam! a znikąd ścieżki, ni drogi.

Wdowi syn podumał chwilę, wspomniął na matkę martwą i, wzięwszy Boga na pomoc, począł się drapać po górze. I dał się coraz to dalej, nie dbając na ostrą skałę, na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym owocem. Niedaleko jeszcze uszedł, aliści jedną razą słyszy za sobą wołanie:

— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga.

Już, już co się miał obejrzeć: szczęściem przypomniał sobie słowa mądrej baby i, nie dbając na owo wołanie, szedł prosto przed siebie. Za chwilę po lewej ręce zjawi się przy nim drugi podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry, — rzecze kusy, zdejmując grzecznie trzyrożny kapelusz, — a dokąd to, przyjacielu?

— Juści że niegdzie, jeno na tę górę, — odpowie syn wdowi.

— A czego to wam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę po tę wodę. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak sobie chcecie.

— Ale nie tą przecie drogą! Po co tu drzeć się i krwawić, kiedy, spojrz na lewo, wygodnie ścieżką iść można.

Wdowi syn spojrział na lewo, i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę! — nalegał Niemczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.

— Ależ pójdź-bo!

— Mówię ci, że nie pójdę.

— To idźże sobie, głupcze, na złamanie karku! — Zagrzytnął z wściekłością Niemczyk, odskoczył w stronę i zniknął.

Wdowi syn piał się, jak począł, przed siebie, aż wtem posłyszysz za sobą nagle trzask i hałas niesłychany, szeczekanie, wycie, jakby tysiąca sfór psów i wilków, i szeczkowanie djabelskim głosem: huż go, ha! hużha-hużha!... Coraz bliżej, coraz bliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni, już za nim, już oto za nogi go chwyta... Tylko co się miał obrócić, kosą się od nich odegnać, ależ wspomniął sobie na rady mądrej i zamiast poza siebie, dał przed się krok żywo. W tej chwili wrzask, trzask, szeczkowanie, szeczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłośny z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył ochłonąć z przestachu, a już idzie strach nowy. Razem wśród ciemności nocnej taki od wierzchu góry blask uderzy, jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczycie wschodziło. Zdziwiony, podniesie głowy i widzi, że las całutki płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tem bardziej płomień rósł i buchał; gorąco jeszcze zdaleka poczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczy całe roziskrzane, padały z trzaskiem jedno na drugie, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok ogarnął go strach okropny; lecz kiedy wspomniął na martwą matkę, pozbył wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w żarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu

¹⁾ Nastalić — naostrzyć kosę.

wyżerał, szedł na oślep poprzód siebie: aż cały zziąjany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste.

Wyszedszy, spojrz przed siebie: aliści i wierzch już blisko! Lecz radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy zobaczył skałę jako ściana prostą, sterczącą wśród drogi. Tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a u wnijścia jej śpi, chrapiąc, siedmiogłowy smok... Wdowi syn z cicha podkradać się począł, chcąc we śnie groźnego potwora zabić. Ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu, zaryczał wszystkimi siedmiu paszczami, aż się wstrząsła góra cała, i kłapiąc strasznie zębami, ziejąc siarzyste płomienie, szedł przeciw niemu. On też nie czekając, poskoczył naprzeciw bestji; siedem razy kosą świsnął, a co ciało, to padnie łeb smoczy i krwią pluszcząc, wdół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smocza jama była straszna, ciemna, siarzystego dymu pełna, a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biednemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął od pragnienia i duszącego paru. Wtem, kiedy się napół żywy wlecząc, z boku rozpadliny skały ujrzy jasność, i zaleci go woń cudna. Spojrzał ciekawie i oto widzi ogromną jaskinię, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród precudowny, majową trawą pokryty, pełen róż i lilij wonnych. Na murawie drzewa różne z rumianami owocami, chyła się ku srebrnej strudze... Zgłodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła, więc co żywo odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów ze ściany skały jasność go uderzy, i przez wąską rozpadlinę widać niezmierną pieczarę. Złota lampa na złotym łańcuchu paliła się u sklepienia, a wokoło ścian stoją ćwierci, korce, kadzie całe, napełnione po wierzch srebrem, złotem, klejnotami. Ale wdowi syn nie był chciwy: ani się kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.

I znów ledwo wysła chwila, posłyszysz cudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików, a przez rozwarte na oścież w boku opoki podwoje świeci się sala złocista. Wśród niej po miękkich kobiercach dziesięć dziewic urodziwych, w przeczysztych jak mgła sukniach, płasa po cudnej muzyce, przyspiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, poczęła się doń wdzięczyć. Ale młodzieniec pozostawił

we wsi dziewczynę, lilję białą, ukochaną serca: więc gdy sobie na nią wspomniął, zasłonił ręką oczy i poomacku szedł dalej, aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinię. Zaledwie ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem, i wyszedł na dzień biały, na sam szczyt Sobotniej Góry.

Stanawszy, spojrz ciekawie po wierzchołku góry i widzi wszystko, jak mu rzeczono było. Na nagiej by dłoń opocze rośnie jedno tylko drzewo, ze srebrzystemi listkami, któremi szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; z pod krzywych korzeni drzewa tryska źródło jasnej wody, a na najwyższej gałęzi sokół się chwilej złocisty.

Złoty sokół zaledwie zobaczył młodzieńca, radośnie strzepnął brzęczącemi pióry, roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, aż gdzieś znikł między chmurami.

Wdowi syn z sił opadły, ledwie się zdołał zawlec pod drzewo i, upadłszy na opokę, począł pić chciwie z krynicy. Alić ledwie jej usty dotknął, jakby nanowo na świat się narodził, poczuł w całym ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich śladu nie zostało. Zerwał się tedy wesoło na nogi i, stanawszy pod drzewem, przy jasnym porannem słońcu, co się właśnie podnosić jęło na niebie, spojrz z wysokości na świat Boży. Wokoło góry, pola, lasy, wody, wioski, zamki, grody wielkie, takie mnóstwo, że nie zliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, a tak cudny, że zda się, patrzeć na niego sto lat, nie napatrzyłby się jeszcze...

Gdy upojony tym widokiem, obwodzi oczyma, posłyszysz nad sobą szum skrzydeł, i sokół złoty ze złotym dzbanem w dziobie z wysoka spadł mu na ramię. Drzewo o srebrnych liściach zaszumiało głośniejsze, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

„Weźmij dzban ten, chłopce młody!
Naczep z zdroju żywej wody,
Gałąź ze mnie sobie złom
I powracaj zdrów do dom.
A gdy będziesz do dom iść,
W żywej wodzie maczaj liść,
Kędy krokiem stawisz nogę,
Świeć dokoła sobie drogę“.

Posłuszny wezwaniu, syn wdowi wziął dzban złoty, naczepił w niego przezroczystej wody, ulamał ze śpiewającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziano, co krok stąpił, stawając, maczał gałąź w żywej wodzie i kropił nią dokoła siebie.

I oto stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stał się człowiek i, radując się, błogosławiąc mu, szedł za nim... Im niżej spuszczał się, tak święcąc, tem bardziej za każdym krokiem rosła óma ludzi z kamieni odkłętych; a gdy, stanawszy u stóp góry, obejrzał się poza siebie, ujrzał idący tłum wielki jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy, idąc różnemi czasy na Sobotnią Górę, nie doszedłszy wierzchu, w kamień obróceni zostali! Wiele mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy, a także obaj bracia szczęśliwego chłopka: rycerz z mieczem koło bioder i organista z kropielnicą a kropidłem... Cała ta gromada poczęła dziękować zbawcy, że ich uwolnił z zaklęcia, coby zapewne aż do sądnego dnia trwało, ślubując mu, iż go nigdy już nie odstąpią, ale wszędzie za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

Szli zatem wielkim taborem, aż na dzień trzeci zaszli do wsi, w której mieszkał syn wdowy. Stanawszy pod chałupą swoją, otworzył drzwi, podszedł ku posłaniu matki i martwe od trzech niedziel zwłoki skropił gałązką mówiącego drzewa, zmoczona w żywej wodzie... A oto, nie czekając chwili, staruszka otwarła oczy i powstała rzeźwa, jak gdyby nigdy nie chorowała. Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy, i nie było miary uniesieniom i uciesze zgromadzonego mnóstwa..

Tymczasem na miejscu owej lichej wioszczyny stało rychło ludne i okazałe miasto, a wpośród niego zamek pyszny, w którym syn wdowi, pojawiając swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie, panując wdzięcznemu ludowi.

R. Zmorski.

Co jest treścią tego utworu? Czy jest on prawdopodobny? Czy jest w nim jaka prawda? Kto jest autorem tej baśni?

Treścią baśni tej — miłość synowska. Mimo fantastyczności i nieprawdopodobieństw, jest w niej ta wielka prawda, że miłość cuda czyni i zwycięża nieraz wielkie przeciwności. Napisał tę baśń Roman Zmorski.

poeta XIX w. ale nie on jest jej autorem, bo nie on ją stworzył, — jest ona bardzo stara, spotykamy ją w ustach ludu, opowiadaną tak albo inaczej, ale zawsze z podobnem zakończeniem.

Czy tylko tę baśń znasz? Jakże jeszcze słyszałeś i od kogo?

Baśnie opowiadają nam piastunki, — opowiada je lud w długie wieczory zimowe, — to jego pierwsza poezja; — układał je wtedy, gdy nie znano ksiązek, kiedy ludzie wierzyli w to wszystko, co w baśniach opowiadają: wierzyli w żywą wodę, w gadające drzewa, zwierzęta i ptaki, ożywiali całą naturę na podobieństwo człowieka i w jej tworach widzieli myślące, czujące, wrogie nam albo przyjazne istoty; wierzyli w czarodziejów czyli ludzi, posiadających niedostępne innym tajemnice, w smoki, potwory i t. p. — w życiu ludzkim i otaczających zjawiskach widzieli walkę dobra ze złem; ubolewali, gdy zło zwyciężało, wierzyli jednak mocno w ostateczny triumf dobra na tym świecie, i dlatego w baśniach zawsze złe jest ukarane, a cnota nagrodzona.

Więc **baśń** to fantastyczna opowieść ludowa, oparta na wierzeniach w potęgę sił nadprzyrodzonych, biorących żywy udział w życiu człowieka.

Oprócz baśni ludowych mamy też baśnie w podobny sposób pisane przez poetów, dla wyrażenia alegorycznie jakiejś myśli, np. baśnie Andersena. Czy znasz „Ropuchę“, „Krasnoludka“ lub inną baśń Andersena? Co autor chce w nich wypowiedzieć?

Przeczytaj „Przprávki“ Żmichowskiej. (B. Un. lud.)

WILCASEK Z GUBBIO.

Kie śty Francisek siedział w Gubbio, w Nietalji, wzieno się hań kansi okrutne wilcysko, brzyćkie i zajadliwe telo, co nie tak, coby ino statek, ale i ludzi tępiło, a nieraz do samego miasta się pchało, co ludzie nie śmieli wydrzeć w pole przez flinty. Takbyś pedział jako na wojnie. Kie się przytrafiło iść ka samemu, nie mógeś się ani obronić; juści zestrasyli się ludzie telo, co nik nie śmiał z miasta wyńść.

Śty Francisek bardz ten hań naród rad widział i, choć go ludzie jako odmawiali, zabrał się iść ku temu wilkowi. Przezegnał się i zmówił paciorek i wysył z miasta z towarzysami. Ale im się to nie widziało — ostali, a śty Francisek poseł sam, ka wilk bywał. I dobrze, idzie wilk na proci, ozdziawił kufe, a śty Francisek go przezegnał i pozwał ku sobie.

— Pójdźże haw, wilcasku, bracisku! Ozkazujem ci od Pana Jezusa, cobyś ani mnie, ani nikomu na prok despetu nie cynił.

Ludzie na świecie! Skoro go śty Francisek przezegnał, wileysko choć jako brzyćkie, zawarło kufe, ustało lecieć, przysło grzecnie jako jagnie i legło se przy nogach Śtego.

Juści śty Francisek pada mu tak: — Słuchaj, wilku! Narobiłeś haw strąsnyk lajdactw i skody moc, pomordowałeś boskie stworzenia, przez boskiego podzwolenstwa, i nie tak, cobyś ino dźwirzeta bił i zarł, aleś telo śmiały, coś ludzi, na podobieństwo boskie stworzonyk, tępił. Złodziej jesteś, lajdus, galgoś, morderca brzyćki i wartes ino wisieć! Ludzie na cie krzycom, pomstujom i syćka w tem haw mieście nieradzi cie widzom. Radbyk przecie, wilku, coby pomiędzy wami była zgoda, cobyś ludziom więcy despetu nie robił, coby ci ludzie odpuścili krzywdy, coś im uczynił, i coby nik, ani z ludzi, ani z psów cie nie prześladował.

Skoro śty Francisek tak mu nakazował, juści wilcasek-biedacek, jako móg, ogone i łbe starał się pedzieć, co on na to przystaje, co sie już tego prawa trzymał będzie.

Toz to śty Francisek rzece: — No, mój wilcasku, kie mas wolom w zgodzie żyć i prawa dotrzymać, obiecujem ci, co cie od syćkiego złego obroniem, pokił bedzies haw w tym kraju pomiędzy ludziami żyć. Nie bedzies więcy z głodu mreć — bo ja już wiem, coś sie ino bez ten głód złego zycia chycił. Ale kie już ci ludzie winy odpuscom, musis i ty obiecować, co nika nikomu do gardła nie skoeys, cy ta z ludzi, cy z dźwirząt. Czy mi przyrzekas?

Wilk — ale to wyraźnie — łbe kiwie, co on już przyrzeka. A śty Francisek pada mu: — Cobyś mi, wilku poręczył, jako wykonas, coś obiecował, cobyk ci móg do znaku wierzyć. I śty Francisek wyciągnon ręke ku wilkowi, a wilk prawom łape grzecnie mu na ręce położył, aby jako dać znak, co on już za sie ręcy.

— No, kie tak, juści śty Francisek rzece: — Wilku, ozkazujem ci w imie Pana Jezusa, cobyś hnetki, nie mieszkający, se mnom seł, pójdziemy uczynić zgode w imie Boskie.

Nie sprociwił się wilk, wybierał się hnet i poseł se ś nim grzecnie, jak jagnie. Cudowali się ludzie, widzący, jako oba wras śli, — ozesła sie gwara o tem po mieście i syćka: chłopci, baby, dzieciska, ka jaki cłek wielgi, cy to mały, stary, cy to młody, — syćka sie pchali, coby užreć śgo Francisek z wilke.

Kie sie już wielga cyrniawa narodu zebrała, wlaź śty Francisek na monte co już będzie kazał. Juści gwarzył, jako za grzechy ludzkie Pan Bóg takie nieszczęście dopuścił, ino co to nie nawiekse, bo watra¹⁾ w piekle, w której bedom gorzeć na wieki grześnicy, jesse strąśniejsa, niżli złość wilca.

Kie już skończył kazanie, jesse im napodził tak.

— Słuchajcie me, moi braciśkowie! Wilcasek, co je haw przed wami, przyrzek i zaraćył, co już będzie żył w zgodzie i nigdy nika nijakiej krzywdy w nicem nie uczyni. Musicie mu zato przyrzec, co mu codzień dacie wyżywienie, co ino mu trza, a ja bedom za rękownika, co on słowa dotrzymie i jako pedzieł wykona.

Juści syćka jednym głosem przyrzekli dawać wilkowi jadło jare do końca jego zycia.

A śty Francisek psy całym narodzie rzece:

— A ty, wilku, cy obiecujes dotrzymać ś nimi zgody i nie ruszyć ani ludzi, ani bydłatka, ani nijakiej stwory? — Juści wilk klęknon grzecnie, pochylił łeb i upochlebiał ogone i usami, kielo zdoleł, co już kee tej zgody dotrzymać a też.

He, rety! kie to ludzie uwidzieli, dopiero sie ciesyli z telego cudu, a błogosławili śgo Franciska, a dziękowali Panu Jezusowi, co im takiego świętego nagodził, co ik z gardła telego okrutnego dźwirza uratował.

Toz to pote wilk w onem Gubbio żył cosi dwa roki. Chodził se, ka foiał, wlaźił do chałup, pchał sie od dźwirzy do dźwirzy, nika, nikany, nikomu nijakiej krzywdy nie oynił, — ale to nigdy — przenigdy, ani jemu tyz nik, a syćkiego miał po gardło, bo go ludzie hań bardz radzi widzieli i żywili grzecnie, a ani jeden pies go nie zaciepiał, ani hań nie scekał, kie sie tak wiódł bez ulice.

Naostatek, po dwok latak zmarło sie wilcaskowi ze starości. Zbanowali se ludzie i bardz go załowali, bo kie widzieli tak miłosiernie bez miasto idącego, te se zbacowali, kielo to dobry i bogobojny był śty Francisek

St. Witkiewicz.

¹⁾ Ogień.

Co jest treścią tego opowiadania? Cudowne poskrośnienie złośliwego wilka przez św. Franciszka w imię Jezusa Chrystusa, według pojęć ludowych, a nawet ludowym językiem.

Czy możemy tę opowieść nazwać baśnią? Dlaczego nie? Czem się od baśni różni?

Treścią tego opowiadania są także zdarzenia nadzwyczajne, cudowne, lecz zamiast sił przyrody występuje tu moc Boga i postać św. Franciszka, pojęcia chrześcijańskie.

Czy znasz „Legendy o Matce Boskiej”? O Chrystusie? O św. Janie Kantym lub inne? Co w każdej znajdujemy?

Możemy więc powiedzieć, że **legenda** jest to pełne fantazji opowiadanie ludowe oparte na pojęciach chrześcijańskich, w którym występuje czynnie Chrystus, Matka Boska lub święci, i cud jako widomy objaw woli Boskiej.

Jeśli w opowiadaniu odgrywają rolę bóstwa i bohaterowie pogańscy, to nazywamy je **mytem**.

PODANIE O SMOKU.

Wisło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje? Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łzy padają? Lud u brzegu ręce łamie i ratunku woła, a ratunku niema... Smok w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy, to pochłonie, co zobaczy, to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra drży od ryku. Kiedy syty dysze w jamie, oddech powietrze zaraża... Noc i dzień spoczynku niema, pola puste, lud ucieka, zwierzę do lasu goni z trwogą... Trzody wypłenił i ludzi, dławi niewiasty i dzieci, a nigdy pastwy nie-syty, ciągle ryczy, ciągle dyszy. Czemże zgładzić żmiję smoka? Miecz mu skóry nie przebije, pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dłonie, i piorun go nie zabije, i woda go nie pochłonie, i ziemia go nie pokryje.

Krak na grodzie smutny siedzi! myśli, duma, brode zwija, podparł się i patrzy w ziemię. Jak położyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć? Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, — myśli trzeci, a smok ryczy... Rady, rady! Płacze, ręce załamuje. Jak mam pożyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć?

Siedem razy miesiąc rośnie, siedem razy się roztapia, aż Krak Skubę wołać każe. — Skubo-człeczko, rób, co rękę: zabij wołu, owcę zabij, a wnetrzości wrzuc do wody, a smoly weźmij gorącej, a siarki nabierz gorącej, a węgla nabierz czerwonych. Wypchaj ściervo siarką, smołą, podrzuc je pod smoczą jamę, kiedy żmij zaryczy z głodu.

Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnetrzości przepali, niech pęknie dzika potwora.

Poszedł Skuba i tak czyni, jak mu mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka.

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera — naści strawę, żmiju-smocze. Połyka straszną paszczeką, ryknie, aż drży góra cała i gród z stołbami się chwieje. W smoku palą się wnetrzości, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka, leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadął cały i, rycząc, rozpękl i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmii straszej ucina, na żerdź go wtyka wysoko. Patrzaj, narodzie mój miły, że się twe męki skończyły. Ptacy niosą wieść wesółą, wiatry polami z nią biegają, — niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie, niech dzieci idą na łąki, niema już smoka na ziemi!

J. I. Kraszewski.

Czy to podanie o Krakusie możemy nazwać baśnią lub legendą? Czem różni się podanie od baśni i legendy? Czy w podaniu jest coś pewnego?

W podaniu o Krakusie rzeczywistością jest Kraków, do którego to podanie zostało przywiązane, — prawdopodobnem jest istnienie Kraka, mieszkańca, a może właściciela ówczesnego grodu Krakowa; — możemy oglądać także smoczą jamę, — pokazują kopiec Krakusa. — Mamy też kopiec Wandy. Tak samo mamy na Gople t. zw. mysią wieżę, gdzie niby myszy zagryzły Popiela. Widzimy zatem, że podanie najczęściej przywiązane jest do jakiejś miejscowości, człowieka, faktu historycznego np. podanie o Twardowskim, o żelaznych słupach Chrobrego, o założeniu Wilna przez Gedymina i t. p. Podanie niezawsze ma na celu myśl moralną i ukaranie zła, — nie występuje w niem Bóg ani święci.

A zatem **podanie** jest to opowieść ludowa (niekiedy kronikarska), zwykle fantastyczna, przywiązana do istniejącej miejscowości, postaci historycznej lub faktu rzeczywistego.

Daj przykład baśni, legendy, podania. Wytlumacz, dlaczego tak nazywałeś każde z tych opowiadań.

MŁODZIENIEC ZAKŁĘTY.

(Bałada.)

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błądził wśród gmachów,
Biegł na wieżę, schodził w jamy:
Co tam czarów, co tam strachów!

W jednym sklepisku zapadłem —
 Jak dziwny rodzaj pokuty! —
 Na łańcuchu przed zwierciadłem
 Stoi młodzieniec okuty.
 Stoi, a z ludzkiej postaci,
 Mocą czarownych omamień,
 Coraz jakąś część traci
 I powoli wrasta w kamień.
 Aż do piersi już był głazem —
 A jeszcze mu błyszczą lica
 Męstwa i siły wyrazem,
 Czułością świeci żrenica.
 — Kto jesteś — zakłęty rzecze —
 Coś te gmachy zdobył śmiało,
 Gdzie tak mnogie pękły miecze,
 Tylu wolność postradało?
 — Kto jestem? O, drży świat cały
 Przed mą szablą, na me słowa
 Wielkiej mocy, większej chwały:
 Jestem rycerzem z Twardowa.
 — Twardowa? za moich czasów
 Nie słyszałem o nazwisku
 Ni wśród wojennych zapasów,
 Ni na rycerskim igrzysku.
 Nie zgadnę, jak długie lata
 Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
 Ty świeżo wracasz ze świata,
 Musisz mi o nim powiedzieć.
 Czy dotąd Olgierda ramię,
 Naszą Litwę wiodąc w pole,
 Po dawnemu Niemcy łamie,
 Tratuje stepy mongole?
 Olgierd? Ach, już przeminęło
 Dwieście lat po stracie męża;
 Lecz z jego wnuków Jagiełło
 Teraz walczy i zwycięża.
 Co słyszysz?.. Jeszcze dwa słowa:
 Może w twych błędnych obiegach
 Byłeś, rycerzu z Twardowa,
 Na Świtezi naszej brzegach?

Czy tam ludzie nie mówili
 O Poraju silnej ręki
 I o nadobnej Maryli,
 Której on ubóstwiał wdzięki?
 Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
 Od Niemna po Dniepru krańce,
 Nie słyszałem o Poraju,
 Ani o jego kochance.
 Poco pytać? czasu strata.
 Gdy cię wyrwę z tej opoki,
 Wszystkie ciekawości świata
 Własnymi odwiedziś kroki.
 Znam czarodziejską naukę,
 Wiem dzielność tego zwierciadła:
 Wraz je na drobiazgi stłukę,
 By z ciebie ta larwa spadła.
 To mówiąc, nagłym zamachem
 Dobył miecza i przymierza, —
 Ale młodzieniec z przestrachem:
 — Stój! — zawołał na rycerza.
 Weźmij zwierciadło ze ściany
 I podaj je w moje ręce;
 Niech sam skruszę me kajdany
 I uczynię koniec męce.
 Wziął i westchnął; twarz mu zbladła,
 I zalał się łez strumieniem,
 I pocałował zwierciadło —
 I cały stał się kamieniem.

A. Mickiewicz.

Co jest treścią ballady „Młodzieniec zakłęty”? Fantastyczne opowiadanie, oparte na wierzeniach ludu, o młodzieńcu, który pod wpływem czarów zwolna kamienieje. Z tem łączy się podaniowa postać Twardowskiego, i myśl, że lepiej umrzeć, niż żyć pośród zupełnie obcych ludzi. Mamy więc fantastyczność, cudowność, pierwiastek ludowy, — formę wierszowaną, strofkową, artystycznie opracowaną. Przeczytaj ballady Mickiewicza: Świtez, Lilje, To lubię. W pierwszej mamy znowu podanie ludowe o zatopionem mieście, fantastyczną postać złowionej kobiety, cudowną przemianę ludzi w kwiaty, a całość przywiązana do istniejącej miejscowości. I Lilja i To lubię mają te same pierwiastki i są oparte na wierzeniach ludu. Można by więc powiedzieć, że **ballada** odtwarza w pięknej formie, mową wiązaną, strofkami, jakieś zdarzenie cudowne, fantastyczne, tajemnicze, oparte na pojęciach i wierzeniach ludowych.

Przed kim Osmana uległa potęga,
Kto świeżym laurem czoło swe ozdobił,
Ten po najwyższą godność śmieje sięga,
Wart berła, kto się mieczem berła dobił.

Trapił bezbronną Polskę Turczyn dziki,
Płonęły miasta pożarem i dymem,
Kiedy Sobieski z nielicznymi szyki
Zniósł bisurmańskie wojsko pod Chocimem.

Jeszcze nie otarł szabli, krwią oblanej,
Aż już nieszczęsny Michał żyć przestaje,
Sobieski, chlubny z tak świetnej wygranej,
Z zwyciężkiem wojskiem w polu obrad staje.

Wielu się książąt o tron ubiegało,
Świetnych potęgą i licznym orszakiem,
Ci rodem, Jan nasz jaśniał tylko chwałą,
Umiał zwyciężać, był naszym rodakiem.

Już z wodza królem, rządząc dwa narody,
Szkodliwe błędy zamyśla naprawić,
Lecz gdy w tem znalazł niezłomne przeszkody,
Zostało tylko orężem się wslawić.

Kara Mustafa, tłum Turków zawzięty,
Groźnie się zbliżał ku wiedeńskim szancom,
Uciekł Leopold bojaźnią przejęty,
Stolicę na łup wydaje pohancom.

Tu poseł jego, widząc króla Jana,
— Ratuj — zawołał — i Wiedeń i państwo!
To mówiąc, z płaczem upadł na kolana,
A legat przydał: — Ratuj chrześcijaństwo!

Bohater, tknięty głosem potrwożonych,
Sam śpiesznie wiedzie swe hufce dobrane,
Już na Kalbergu w oczach oblężonych
Widzi proporców lasy nieprzejrzane,

Jak orzeł, kiedy w dole zoczy zwierza
Lotnym się szybem z pod obłoków ciska,
Z tym pędem wojsko Polaków uderza,
I szablą wśród nieprzyjaciół błyska.

Rozprasza tłumy rycerstwo skrzydlate —
I Mahometa chorągwie wydzierają,
Zdobywa obóz i łupy bogate,
A Wiedeń bramy zwyciężcom otwiera.

Wjeżdża Jan Trzeci z swojemi hetmany
Wśród radosnych pospólstwa okrzyków;
Gdzie się pokazał, wszędzie głos słyszany:
— Oto nasz zbawca! pierwszy z wojowników!

Niechętnie cesarz dobroczyńcę wita,
W licznym orzaku jadą z nim dworacy,
Szata ich złotem i perłami szyta,
Przy królu zbrojno na koniach Polacy.

Odmienne były monarchów postacie,
Chciał cesarz mówić, lecz gdy słów nie stało,
Rzekł mu król Polski: — Rad jestem, mój bracie,
Żem ci uczynił tę przysługę małą.

Król, co tak dzielnie postąpił w tej sprawie,
Nie znalazł później wdzięczności zapłaty:
W każdym przymierzu i w każdej wyprawie
Nie widział tylko zawody i straty.

Wśród trosków wolnej chcąc używać doby,
Gdzie Wisła raz się ukaże, znów chowa,
Zgromadza głązy i świetne ozdoby
I wznosi pyszne gmachy Wilanowa.

To było jego najmiłsze ustronie;
Tam słodząc troski zbyt przykrych niedoli,
Z swym Jabłonowskim lub w uczonych gronie
Chodził pod cieniem odwiecznych topoli.

Tu umarł, a jak słońce u zachodu
Jaśniejszym ziemię oświeca promieniem,
Tak i on dzielniej wznosił sławę narodu,
Nim Polska śmierci okryła się cieniem.

Co stanowi treść tego utworu? Postać historyczna i jej losy rzeczywiste. W jakiej formie opiewa je poeta? Mową wiazaną, wierszem artystycznie pięknym, melodyjnym, strofkami.

Więc **śpiewem historycznym** nazywamy utwór niezbyt długi, w którym autor pięknym i dźwięcznym wierszem (strofkami) opiewa jakąś postać lub zdarzenie historyczne.

DUMA O SAMUELU KORECKIM.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:

Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi

Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach grzmieniem niesłychanem

Drgnął dziec, stare grabiąc jej zabory...

Cóż kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem

Lec u Cecory.

Raz z ośmset braćmi wkrąg go obegnano;

Pięć dni go siekli groźni najezdniczy,

Aż zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną

Szablą w prawicy.

— Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —

W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?

— Nikt — odrzekł Samuel — sam tak chciałem: u mnie

Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,

Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...

— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu

Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże

W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:

Lecz wkrótce więzień, omyliwszy strażę,

Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,

Wrócił do swoich, istny syn światłości,

Gość z poza świata, co choć rad, a przecie

Niedługo gości.

Wkrótce... Cecora!... wstrząsł się, i o dziwo!

Zadrżał mąż groźny!.. On, dźwigając pęto,

Widział, jak głowę hetmana sędziwą

Na włóczni natknęto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!

Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,

Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle

Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,

Dumał. Noc była. Wichher rozszalały

Ryczące wściekle głębie Bosforowe

Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więzienia skąd te mgławce brzaski?

Chrzęsły wrzeczadze. — Kto tam? — Czausz¹⁾ sułtana

Wchodzi, zwiastując, że mu z jego łaski

Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:

To, co rzekł zwiastun, snadź złe jakieś knowa...

Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,

Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alieć tuż u proga.

W padalce skręty stryczka więź zelżywa

Szyi mu sięga. Zbladł, i boleś sroga

Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:

— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły —

Nie daj, by ginąć, krzyżowe rycerze

Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści:

Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie

Pierwszego z brzegu ściągwszy młotem pięści,

Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce

Zwiększa się zgraja: Samuel nie zna trwogi:

Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce

Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,

Żelazne drągi garść rozwściekła imie,

I z rykiem runą na kark bohatera

Czernie olbrzymie.

On waleczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni

Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany,

Szarpie zębami, piętami się broni

Mocarz krwią zlany.

¹⁾ Czausz — goniec.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża;
Padł wreszcie, mając głowę roztraskaną...
Tylko żelazem żelaznego męża

Przemódz zdolano!

Tak legł złamany, ale nieugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały.
Rozkołysane Bosforu odmęty

Ciężko dyszały.

Jakibądź, Panie, zgon przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

Felician Faleński.

Duma o Koreckim opiewa także pięknym, artystycznym wierszem zdarzenie historyczne, różni się tylko tem od śpiewu, że autor maluje zdarzenie smutne: śmierć męznego rycerza, — takie utwory nazywamy **dumą**. Określ różnice między **balladą**, **śpiewem historycznym** i **dumą**.

Jakie znasz jeszcze dумы i śpiewy historyczne?

ŚWIECONE U RADZIWIŁŁA.

Po skończonej rezurekcyj, gdy już było około północy, wszyscy zebraliśmy się około księcia pana. Aż wreszcie gdy różowa Aurora¹⁾ wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy, jak ona rumieni i weseli — z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku.

W zamku dopiero czekał nas aspekt²⁾ niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszej sali, zaleciało nas powietrze i aura³⁾ przesiąkła zapachem święconego, które urządził pierwszy kucharz JO. księcia, Włoch Loga, ku krotochwili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrawszy, książę zawołał: "Mości panowie, do ataku!" — wymówisz, zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wyleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemioluch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukłszy okna, powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty, cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych

¹⁾ Aurora — bogini jutrzeńka. ²⁾ Aspekt — widok. ³⁾ Atmosfera.

w fuzje, zaczęli owo ptactwo strzelać w lot, tak że czasami wlatywał śród do sali i spadał gradem od pułapu odbity na nasze łysiny, — lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekl zwierzyny; — kucharz się tłumaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcy, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem pytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie, stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekl w niej całego Laokonta¹⁾ z węzami. JO. książę, wzięwszy ze ściany buławę żelazną, nabitą gwoździemi, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzelśmy siedzącego na ruinach pasztetu karla, w cielistym ubiorze, który był cały skrepowany kielbasami, jakby ów Laokont, właśnie pasujący się z gady Minerwy. — „A i ten żyje!“ krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz, niby zawstydzony, odezwał się: „*Decoctus erat, sed resurrexit*“²⁾. — „Może to być“, rzekł pan Sierotka, „a w trzecim pasztecie co?“ — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda³⁾, przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie. — Jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Djanę, która święconymi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający zamiast własnej głowy dzika, z paszczką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owej mogła być grobem.

Kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i każdemu podając jaje, składał życzenia pełne efektu⁴⁾ a nareszcie i piastunce swojej, którą, w kącie stojąc, plakała z rozczulenia, podał talerz i pocałował w chude ręce staruszkę, która go wzięła za głowę i uściśnięła, jak dziecko swoje.

A książę pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: Mości panowie, może to ostatnie święcone, które będę

¹⁾ Laokont — według podania greckiego kapłan, uduszony przez węże z rozkazu Minerwy, bogini mądrości za to, że ostrzegł Trojan o niebezpieczeństwie, grożącym im od drewnianego konia. ²⁾ Ugotowany — zmartwychwstał. ³⁾ Andromeda — postać mitologiczna, królewna etiopska, przykuta do skały przez Neptuna, bożka mórz, za to, że śmiała rywalizować pięknnością z nimfami. ⁴⁾ Uczucia.

pożywał z wami — ale niech to was, miłościwi panowie, nie pozbawia apetytu... proszę się rozgościć”.

Obróciliśmy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencją księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi, ale i myśli było przyjemnem. W sali tej albowiem wśród mnóstwa drzew z miodu lipcowego była sadzawka z wyspą, zielonym owsem pokrytą, na której się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkulów¹⁾, ze skarbu JO. księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziły cztery dziki okropnej wielkości, upieczono całkowicie, a dwanaście jeleni ze złożonymi rogami w różnych pozycjach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnymi konfektami obrodzony. Gdy tu same mięsiwa, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje, niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby, podobne skalom, nosiły na głowach migdałowe grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie było, albowiem wśród cukrowych domów ukryte ananasy konarami szarymi nasładowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonymi na piersiach, jako Jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży.

A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłuma- czył, boby w pamięci dziecka przynajmniej zostały, nim ruinie ulegną.

Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, rostruchanów²⁾, czar złotych, srebrnych i kryształowych, i win różnych i miodów, i małmazjów, które się tam obficie znajdowały — a zem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później w pustyniach głód cierpiąc, wspominało się na owo święcone z jakimś żalem i chęćnością, nieprzystojną filozofowi.

J. Słowacki.

Co jest treścią tego opowiadania? Daje nam ono w sposób obrazowy pojęcie, jak obchodzono poranek wielkanocny na dworach wielkich panów w XIX w. Nazwa nasuwa się na myśl sama: to **obrazek**, jedna scena z życia.

¹⁾ Gatunek rubinu. ²⁾ Dzbanów.

Jeśli taki obrazek zgodnie z rzeczywistością maluje jakiś rys obyczajowy, to nazywamy go obrazkiem rodzajowym.

Czy moglibyśmy nazwać obrazkiem rodzajowym opis śniadania w domu pana Sędziego w Panu Tadeuszu? lub grzybobranie? Zosie, karmiacą drób? Widzimy więc, że obrazek rodzajowy może być pisany mową wiążaną lub niewiżaną.

Daj przykład na obrazek rodzajowy, czy to z Pana Tadeusza, czy inny.

PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły z oczyma jasnymi,
W których lży wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rżęsach, spuszczone ku ziemi;
Błady jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozplakać się i wołać: Matko!
Gdyby miał matkę,—i mógł stroić psoty
I pocałunków żądać i pieszczoły,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka i pusta, i ciemna i chłodna,
I bezlitosna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich nie mająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drzeć na swym krzyżu...

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie lży, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzął i rzekł: „Gdzie rodzice?”
 „Nieznani” — odrzekł pan pisarz z powagą.
 Chłopiec wznosił zgasłe, błękitne źrenice
 I ściągnął świtkę na piers swoją nagą,
 Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
 Zdjęło go zimno i pustka grobowa...
 Sędzia zadumał się, pochylił czoła
 I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?”
 — „Nie.” — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
 Przytem — pytanie było jakieś dziwne...
 Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
 Odpowiedź chłopca pisać w protokule;
 Więc wyprostował palce swoje sztywne
 I bębnił z lekka po szarej bibule.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:
 Na ręce nagie, wychudłe i sine;
 Na piers zapadłą i nędzne łachmany;
 Na blask tych oczu zmacony i szklany,
 Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
 Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
 Nie znała światła innego, prócz słońca,
 I innych wrażeń ożywych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
 I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
 Jakby ta sala pusta była tronem,
 Na którym przyszłość z czołem zachmurzonym
 Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
 I jakimś grzmiącym i ogromnem słowem
 Oblicza plony na polu jałowem,
 Przed sąd wzywając całe pokolenia...
 I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
 I tamowały ruch globu w błękicie...
 I spostrzegł, pełen trwogi i zadumy,
 Że były chmurą ogromną o świetle,
 Przez którą przebić nie mogło się słońce,
 I zmierzeh nad ziemią trwał przez lat tysiące...
 Widział, że tłum ten — to siła stracona
 Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,

I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
 Że chce rachunku z miliona...
 I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
 Za społeczeństwa swego cierpią winy;
 I przerażony — posłyszał w przestrzeni
 Sądy — nad sprawą chłopczyń...

„Niechże was Chrystus—głos mówił—rozsądzi,
 Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
 Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi, —
 Czy wy, co grube spisujecie tomy
 Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
 By uczyć dziecię, które jest sierotą...
 Niechże was Chrystus sądzi!”

Lech krzyż czarny
 Stał nieruchomy i cichy na stole,
 Jako milczące wobec łez ołtarze...
 A sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
 Blade czekało na wyrok surowy,
 I dotknął ręką jego płowej głowy
 I rzekł: „Pójdź, dziecię! ja cię uczyć każę!”

M. Konopnicka.

To jest także tylko obrazek, bo przecież w tem opowiadaniu
 niema wcale zdarzenia, możemy je w całości odmalować jednym ry-
 sunkiem, to jedna chwila z życia kilku osób.

O co chodzi autorce w tym obrazku? Czy o rys obyczajowy?
 zgodnie z prawdą przedstawienie osób: chłopca, sędziego, pisarza? Nie to
 jest dla niej rzeczą najważniejszą, oznacza ona postaci tylko paru linjami,
 które jej są potrzebne do wzbudzenia współczucia dla biednego
 dziecka, pozbawionego opieki i światła. Autorka chce wzruszyć czy-
 telnika i przemawia do niego surowym głosem przyszłości, przemawia
 z silnem, gorącym uczuciem.

Jeśli w obrazku przemawia uczucie, a zadaniem jego wzruszyć
 czytelnika, nazywamy taki utwór obrazkiem lirycznym.

Czy znasz „Jaś nie doczekał.” „W piwnicznej izbie?” „Z szopką?”
 Czy w tych obrazkach przeważa uczucie, czy wiernie malowana rzeczy-
 wistość?

Wartość obrazka rodzajowego polega na doskonałem uchwyceniu
 prawdy, cech charakterystycznych, — w lirycznym nie-
 raz autor trochę zmienia prawdę, uwydatniając niektóre cechy, a pomijając
 inne, jeśli tego potrzebuje dla uwydatnienia swej myśli.

Przeczytaj „Garść ziemi ojczystej” i „Goście”. Jak nazwiesz każdy
 z tych obrazków?

DZIEKAN Z BADAJOZ ¹⁾!

Ksiądz dziekan katedralny w Badajoz mędrszy był od wszystkich doktorów akademji w Salamance¹⁾, a podobno i od koimbryceńskich¹⁾ i tych, co są w Alkali¹⁾. Umiał języki i te, któremi teraz mówią, i te, któremi przedtem mówiono; posiadał wszystkie nauki; to go tylko trapiło, iż czarnoksięstwa nie umiał. W tej zostawał troskliwosci, gdy się dowiedział, iż w mieście Toledzie był sławny czarnoksiężnik, nazwiskiem Don Toribio. Skoro go ta wieść pożądana doszła, zaraz kazał osiedlać swoją mulicę i, nie opowiadawszy się nikomu, jechał do Toledo.

Gdy przybył, wypitywał się, gdzie mieszka Don Toribio. Pokazano dom dosyć mizerny; wszedłszy, rzekł:

— Mości panie Don Toribio! ja jestem Don Fernandez Diegosz Katalaya-Folderon y Menezes y Parataios, dziekan katedralny w Badajoz. Mędracy zowią mię mistrzem, a ja chcę być waszmości uczniem.

Don Toribio, lubo czarnoksiężnik, nie był grzeczny i rzekł: — Mości księże dziekanie katedralny w Badajoz. Don Fernandez Diegos-Katalaya-Folderon y Menezes y Parataios, pójďtecie sobie waszmość precz. Sprzykrzyło mi się to rzemiosło, gdzieś nie więcej nie zyskał od podobnych waszmości, nad niewdzięczność.

— Jakto niewdzięczność? — krzyknął dziekan; — mogły się na świecie znaleźć takie monstra?²⁾ a choćby się i znalazły, czyż mnie waszmość w ich liczbę kłaść możesz? — Zaczął więc dysertacją³⁾ o wdzięczności tak mądrze, tak zwieźle, tak żwawo, iż przekonany Don Toribio obiecał mu użyzyć nauki swojej; zawołał zatem gospodynią i rzekł jej:

— Małgorzato! upiecz dwie kuropatwy: ksiądz dziekan będzie jadł tu wieczerzę.

Odeszła Małgorzata, a Don Toribio, zaprowadziwszy do gabinetu księdza dziekana, dotknął się jego czoła i rzekł te słowa (które proszę pamiętać): — Ortobolan, Pestrafoier, Onagryaf; — zaczął zatem naukę. Słuchał uczeń z niewymowną ciekawością. Wtem otworzyły się drzwi, weszła Małgorzata, a za nią kurjer, służący stryja księdza dziekana, biskupa Badajoz, oznajmując, iż po wyjeździe jego

w kilka godzin ksiądz biskup paralizem ruszony został. Odprawił natychmiast kurjera z listem i wrócił się do nauki, jak gdyby na świecie nie było ani stryjów, ani paraliżu.

Po kilku dniach przyjechał ksiądz kantor katedralny, z nim dwóch kanoników, donosząc, iż imci ksiądz biskup dokonał przykładowego życia swego. Osierocona po śmierci pasterza kapituła jednostajnymi głosy obrawszy imci księdza dziekana, zaprasza przez delegatów na objęcie katedry. Słyszając to Don Toribio, gdy pralaci odeszli, powinszował nowego stopnia nominatowi¹⁾ i nadmienił, iż miał syna jedynaka, Don Antonio, który, że się nie zdał do czarnoksięstwa, oddał go do seminarjum. Prosił zatem dla niego o wakującą dziekanję.

— Ach! kochany przyjacielu — krzyknął nominat — oż ja ci odmówić mogę? Całem życiem się tobie z wdzięczności nie wyplacę; patrz jednak sam, w jakim ja teraz stanie zostaje. Oto mam rodzzonego wuja księdza, który się dotąd miejsca w katedrze doczekać nie mógł; sam zważ, coby na to mówiła cała moja familja, gdybym go na pierwszym wstępie pominął? A co większa, skąpiec bogaty i stary, a sukcesja na mnie spada. Ale jedź ze mną do Badajoz; dziekanja fraszka dla Don Antonia; lepiej ja mu usługę. — Dał się namówić Don Toribio i pojechał do Badajoz.

Trwały i tam nauki wciąż. Po jakimś czasie tak się rozeszła po kraju sława biskupa w Badajoz, iż dostał nominację na arcybiskupstwo w Kompostelli, i z tem od dworu przyrzeczeniem, iż ten będzie jego następcą, którego on wyznaczy. Nie zasnął tak dobrej pory Don Toribio i prosił o biskupstwo dla Don Antonia, albo przynajmniej, gdyby się miało dostać wujowi, o dziekanję w Badajoz, zamawiając zawczasu jakowe dobre miejsce i w Kompostelli.

— Z duszy całej — rzekł nominat arcybiskup, — ale co ja tu mam czynić? Kiedy don Rodriguez de Lara, gubernator Kastylji, nie daje mi pokoju, żebym koniecznie jego synowca Don Bartholomeo na biskupstwo nominował, a wiesz dobrze, najukochańszy mistrzu, w jakim on kredycie²⁾ u dworu; a kiedy mam ci się przyznać, jemu winienem arcybiskupstwo.

¹⁾ Mianowanemu. ²⁾ Znaczeniu, powadze.

¹⁾ Miasta w Hiszpanji. ²⁾ Potwory. ³⁾ Rozprawę.

Zbudował się z takowej wdzięczności Don Toribio i do brze tuszył dla Don Antonia.

Wyjechali do Kompostelli. Umieszczony w wielce wspaniałym pałacu arcybiskupim, Don Toribio używał dobrych czasów i czekał na to, co się dalej zdarzy. Zdarzyło się nadszpodziewanie; kurjer z Rzymu przywiózł arcybiskupowi nominację na kardynałstwo, i breve¹⁾, wzywające na mieszkanie tamże, z pozwoleniem dworu, z nominacją na poselstwo i z pozwoleniem wyznaczyć następcę w Kompostelli. Po dniach kilku powinszowań, jak zazwyczaj oddanych, znalazł porę Don Toribio przypomnieć syna, jeśli nie na arcybiskupstwo w Kompostelli, które mógł wziąć wuj, przynajmniej na wakującą dziekanję w Badajoz.

— Ach! czegoś mi tego prędzej nie powiedział — rzekł z jękami eminentissimus²⁾. Chyba, że po arcybiskupie terazniejszym Kompostelli...

— Albo już jest nowy? — rzekł Don Toribio.

— Od dwóch dni — odpowiedział kardynał. — A któż matce odmówić może? Znasz archidjakona w Badajoz, Don Diego y Paloz y Bermudez. Przez lat trzydzieści pięć był spowiednikiem mojej matki, pisała za nim, i już kurjer z nominacją do dworu wyprawiony. Jedź ze mną do Rzymu, najszacowniejszy w życiu przyjacielu, niech jedzie i Don Antonio, tam infuły lecą jak grad.

Do największego przyszedł kardynał kredytu. Po dosyć długim bawieniu kilka bogatych biskupstw razem zawakowało. Nadmienil Don Toribio o synu.

— Masz przyczynę skarżyć się na mnie — rzekł kardynał — i wymawiać mi możesz niewdzięczność, lubo nie masz w świecie wdzięczniejszego człowieka, ale staw się w mojej sytuacji. Cudzoziemiec, powołany do tak wielkich stopni, czyżbym nie zasłużył na sprawiedliwą nagane, gdybym szafunek łask zaczynał od rodaków i domowników moich? Zostawmy rzecz czasowi. — I tak dobrze zostawili, że o Don Antonio przez lat kilka i wzmianki nie było.

Umarł papież, weszli kardynałowie do conclave³⁾ i nad szpodziewanie wszystkich ów niegdyś dziekan w Badajoz

¹⁾ List papieski. ²⁾ Tytuł kardynała: najdosłowniej. ³⁾ Zebranie dostojników kościoła dla wyboru papieża.

papieżem został. Po wszystkich obrządkach przypuszczony był Don Toribio do audjencji sekretnej; zapłakał u nóg ojca świętego i w rozrzwinięciu przypomniał ów kapelus dla Don Antonio. Zastanowił się nieco ojciec święty, potem mówić począł.

— Dowiedzieliśmy się z niezmierną boleścią serca naszego, iż pod pretekstem jakowychś skrytych nauk, wdaliście się w przemierze rzemiosło czarnoksięstwa; napominamy was zatem, ażebyście takową szkaradność jaknajrychlej porzucili; nadto rozkazujemy wam, ażebyście w czasie trzech dni z państw się naszych wynieśli, inaczej na stos skazani zostanieie.

Porwał się natychmiast z ziemi Don Toribio, a wymieniwszy wspak owe trzy słowa, otworzył okno pokoju audjencyjnego i zawołał:

— Małgorzato! dosyć jednej kuropatwy.

W tym punkcie znikło biskupstwo w Badajoz, arcybiskupstwo w Kompostelli, kardynałstwo i papieństwo; ksiądz dziekan, widząc się być w gabinecie z Don Toribio, cicho wyszedł, a zastawszy uwiązaną przy drzwiach mulicę, wsiadł na nią i wrócił do Badajoz.

I. Krasicki.

Czy to obrazek? — Niezupełnie, — to już nie jedna scena, lecz cały szereg. Nie chodzi tu autorowi ani o rys obyczajowy, ani o wzruszenie czytelnika, ale o wypowiedzenie myśli, że ludzie są niewdzięczni. To **powiastka**, czyli krótkie opowiadanie, zwykle mające na celu przekonać o czemś czytelnika, dać mu jakąś naukę.

Przeczytaj „Panna Guzdralska“ Niemcewicza (Bib. Un. Lud.) O co tu autorowi chodzi?

Najwięcej mamy powiastek dla dzieci, w każdej z nich zwykle jakąś moralną prawdę.

Jeżeli powiastka zawiera dużo humoru i napisana jest w celu zabawienia czytelnika, to nazywa się **humoreską**.

UPRZEJMA DZIEWCZYŃKA.

Bolesław Prus, bawiąc pewnego razu u przyjaciół, znalazł się przy stole obok pięcioletniej pieszczoszki, która obiecała mamie być bardzo grzeczną dla gości.

— Czy panienka się nie boi starszych panów? — spytał autor Aniutki tonem, okazującym chęć szczerą rozpoczęcia rozmowy poufnej.

Zosia spojrzała zezem na sąsiada, wyprostowała się z uprzejmą miną i odparła przytomnie.

— I starsze panowie są także ludźmi!

Czy to powiastka? Nie, — nawet nie obrazek, — to *anegdota*. Króciutkie, niezawsze prawdopodobne, ale niekiedy prawdziwe, zabawne opowiadanie o drobnem zdarzeniu lub lub dowcipna rozmowa np.

DYPLOMATY.

Minister Talleyrand wrócił do Paryża z długiej podróży. W jednym towarzystwie sławna z dowcipu, jednooka pani Pluviers, zapytując go niby o zdrowie i poglądając nieznacznie na chromą jego nogę, rzekła doń z pewnym przyciskiem: „Jakże idzie, kochany książę!” — „Jak pani widzi“, odpowiedział Talleyrand z najuprzejmiejszym wyrazem twarzy.

Wypisy Rymarkiewiczza.

Trafił swój na swego.

August II Sas, król polski, był bardzo silny. Pewnego razu podczas samotnej wycieczki koń jego zgubił podkowę i zaczął kuleć. Król zatrzymał się więc przed jakąś kuźnią i kazał go podkuć. Lecz gdy kowal przyniósł podkowę, August wziął ją do ręki i złamał. Kowal przyniósł drugą i trzecią, lecz każda łamała się w rękę, jak skorupka. Zdumiony biedak nie wiedział, co począć. Nakoniec August jedną uznał za dość mocną, pozwoił podkuć konia i dał kowalowi talara. Lecz ten złamał go jak marchewkę. Toż samo zrobił z drugim i trzecim. Zrozumiał król nakoniec, że trafiła kosa na kamień, i dał dukata, którego kowal przyjął bez próby.

KRADZIOŃE.

Gawęda.

W ręce aspana, panie Jakóbie;
Mówisz: „kradzione lepsze“ i chcesz tego dowieść:
Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
Powień aspanu przypowieść.

W samym końcu zaścianka, pilnując swej niwy,
Żył sobie szlachcic pocziwy —
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa;
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie zato
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie, jak u młokosa.
A tuż, mój mospaneńku, obok ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,
Na którym pasły się stada:
Konie, owieczki i woły.

— Czy wiecie co, tatulu? — (tak mówił raz młody),
Fraszki to — praca i cnota:
U nas, panie, pocziwość, trudy, niewygody,
A w domu wieczna hołota.
Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
Pocziwym nie da talarka;
Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
Drugiemu liczy na ziarnka.
Naprzykład, choćby u nas: ot, idą zapusty,
A w domu ni to, ni owo.
Hola! jakby to dobrze, by na czwartek tłusty
Utuczyć pieczeń wołową!
— A skądże weźmiesz wołu? — „Czy to wielka sztuka?
Niby to dostać nie możemy!
Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem,
Niech potem sąsiad poszuka.
— Cóż to! — zawoła ojciec, — to kradzież wyraźnie,
To jakaś sztuka zbójceja;
A siódme przykazanie? a sumienie? błaznie,
A nasza wiara szlachecka?...
— At, myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?
Za cóż my biedni i głodni?
Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni,
Czy to po ludziach nie chodzi? —

Na takie *argumentum* ¹⁾ ojciec mruknął z cicha:
Cóż robić? szatan cię uczy;
Ukradnem jutro wołu, lecz pomnij do licha:
Nigdy kradzione nie tuczy! —
Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się borysza ²⁾.
Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada —
I z wołem... het! do zacisza.
Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,
Rozćwiertowali w stodole,
I, jak słowo powiedzieć, już u czynszownika ³⁾
Wołowa pieczeń na stole.

¹⁾ Twierdzenie, dowodzenie. ²⁾ Poczęstunek przy kupnie. ³⁾ Czynszownik, drobny dzierżawca

— Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się w pasie.

Zjadając mięsko tak cudnie,
Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakiem czasie,

Kto z nas utyje, kto schudnie. —

Zmierzyli się, i każdy na swojej poprędze

Naznaczył kreskę czerwoną.

— Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,

Teraz utuczym się pono! —

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,

Codzień przysmaczek od wołu:

Dzisiaj rura do barszczu, jutro połędwica,

Pojutrze pieczeń u stołu.

A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,

Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie...

Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,

Już mu i jadło nie w głowie.

Czy kto skrzypnie we wrotach — on w nocy i we dnie

Marzy o przyściugu sąsiada;

W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila polednie;

A ojciec smaczno zajada.

Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,

Ojca wiek zniszczył i znoje;

Lecz kiedy zjedli wołu — syn wysechł jak szczerpa,

A ojciec utył we dwoje.

— A co, błaznie, — rzekł stary — pamiętaj przysłowie,

Że *male parta*¹⁾ do czarta,

Ja zakupiłem wołu, — toć mi szło na zdrowie,

Ty, kradnąc, schudłeś na charta.

* * *

— A cóż, panie Jakóbie, jak przypowieść zda się?

— Moralna! sens na wierzchu, jakby gwiazda świeci.

— Ja uniem jeszcze lepsze — a w swobodnym czasie

Więcej opowiem waszeci.

L. Kondratowicz.

Zastanówmy się nad treścią i formą tego utworu.

Treść opowiada głównie o jednym zdarzeniu, ale przesuwając przed nami cały szereg obrazów, malujących jego przebieg, przyczyny i następstwa, — to też jakby powiastka, ale trochę inną, autor swobodnie nieraz odbiega od treści, aby dosyć obszernie opowiedzieć jakiś szczegół.

¹⁾ Żle nabyte.

Czy forma jest bardzo piękna i artystycznie obmyślana? Nie, o piękność wiersza autor tak bardzo nie dba, stosuje go do treści, prostej, nie wykłintnej. Takie opowiadanie nazywamy gawędą, bo jest jak gdyby od niechcenia, bez sztuki, tak sobie, jakieś zdarzenie przyszło na myśl podczas pogawędki i opowiedziane zostało bez przygotowania. Zwykle też autor wkłada to opowiadanie w czyjeś usta.

Przeczytaj „Urodzony Jan Dęboróg” Syrokomli. — Co jest treścią tej gawędy? Przeczytaj „Garść pszenną”, „Szkołę wiejską”, „Tereferę” i „Serpentyne” — Syrokomli.

Gawędy te opowiadają zwykle drobne, błahe zdarzenia z prostotą swobodnie, niekiedy zamasyżuje, — czy to z życia szlachty, czy chłopów, żołnierza i t. p. dlatego nazywamy je nawet: gawęda szlachecka, ludowa, żołnierska i t. p.

CZERNIAKÓW.

I. Staś.

Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa¹⁾.

Szły obok matek strojne dziewoje,

Szły i za niemi młodzianów roje,

A ja sam byłem; bo dotąd strzała

Mojego serca nie dotykała:

Jeszcze nie nie pił z miłości zdroju,

Okrom tęsknoty i niepokoju.

Niech więc weseli idą szczęśliwie,

Ja szedłem miedzą po żytniej niwie;

I smutny byłem, bo szedłem prawie

Jak ten robaczek, błaząc po trawie.

Wtem dwie niewiasty widzę na łące,

Taż samą ścieżką za mną idące,

I nie wiem, co mnie w drodze wstrzymało:

Miłości dziecię być to musiało.

Była to matka z córką przy boku;

Jednej łagodność jaśniała w oku,

A córka skromna, urodna, młoda,

Jako poranna w maju pogoda.

¹⁾ Czerniaków — wieś pod Warszawą z klasztorem ks. Bernardynów.

Za ukłon — ukłon ujrzałem miły,
I skoro słówkiem wynagrodziły,
Szedłem, mówiłem, mówiły do mnie,
Matka łagodnie, a córka skromnie.

Jużeśmy byli w podsieniu boskiem,
Kramarki lanym częstują woskiem,
Córka, śmiejąc się w wstydu ozdobie,
Serce i dziecię kupiła sobie.
Ja, zachęcony spojrzeniem miłym,
Serce i domek sobie kupilem;
Niechajże razem niewinne dary
Z innemi Bogu spłoną ofiary.

Weszliśmy w kościół. Kornie chowana
Córka przy matce zgięła kolana,
Przed opiekuńczej Matki obrazem
Kupione dary kładziemy razem,
I tak się Bogiem przejęła cała,
Że jej cześć Bóstwa z oczu jaśniała.
A jam raz tylko westchnął do Boga,
I jakaś rzewność zdjęła mię błoga.

Z kościoła szliśmy między kramarzy,
Ona mię prostym pierścionkiem darzy;
Myślałem, kładąc pierścionek dany,
Żem wiecznie lube włożył kajdany,
Dałem jej inny, a twarz jej miła
Wnet się jak zorza zarumieniła,
A ja sam nie wiem, czym był na świecie:
Jestże więc srogię miłości dziecię?

Służkom podarki kupiła różne,
Ubogim wkoło dała jałmużnę.
Ubogi mówił: — Państwo łaskawi,
Niech was oboje Bóg błogosławi!
Ona mi na to spojrzała w oczy,
Jam myślał, że to głos jest proroczy;
Szedłem, mówiłem, mówiły do mnie,
Matka łagodnie, a córka skromnie.

Kupiłem kwiatków, dałem; a ona
Przypięła zaraz kwiaty do łona,

Szliśmy powoli, czas leciał drogi,
Sam nie wiem, kiedym ujrzał ich progi;
Nie wiem też, co mię zostać zmusiło:
Dziecię miłości pewnie to było.
Aż zaproszeniem ośmielon matki,
Wszedłem do skromnej, chędogiej chatki.

Powitała nas czeladka rada,
Matka, znużona drogą, usiada,
Córka w naczyniu ustawia kwiatki,
Pół przy swem łóżku, a pół przy matki.
Nad łóżkiem córki był obraz brata,
Co w boju młodo zakończył lata,
Nad matką wieńce powyszywane,
W święto imienin od córki dane.

Jak żywe srebro córka się kręci,
Piękna w niej duma i szczere chęci,
Aby wieczерzę dano chędogą,
Proszą i mówią, czem służyć mogą.
Nasze się oczy często spotkały,
W niej mnożąc wdzięki, we mnie zapalały,
A tam, gdzie lica wstyd zarumieni,
Widać niewinność czystych płomieni.

Dziesięć już godzin bił zegar srogi,
Czas było lube opuścić progi.
Jakowys smutek mienił jej wdzięki,
Gdy usta do jej przytknąłem ręki;
Na matkę wdzięczne oko zwróciła,
Jakby o grzeczne słówko prosiła.
To ja zważając, stałem jak niemy.
I rzekła matka: — Częściej prosimy.

Wyszedłem, — w sercu uczułem zmiany:
Nieznana radość, smutek nieznany,
Miłości dziecię pewnie to było,
Razem mnie trulo, razem leczyło —
Już ten cios słodki nieuleczony!
O, Czerniakowa pamiętne dzwony,
Noweście dla mnie głosiły życie,
Wciąż wy mi jeszcze w uszach dzwonicie!

II. Halina.

Prędko zasnęła po drodze,
Śpi tak długo dobra mama.
Co mnie się dzieje niebodem,
Jakbym nie była ta sama.

Kłękam przed Boga obrazem,
A myśl gdzieindziej bawiła,
Choć wiem, że się nigdy razem
Tak prawdziwie nie modliła.

Na posłaniu niepokoję,
Serce jakby na gwałt biło,
Nie zwarło się oko moje,
Choć na jawie wciąż się śniło.

Dziwno mi, że wszystko spało;
Piękne światło księżyc niecił,
Mnie się koniecznie zdawało,
Że on tylko dwojgu świecił.

To mi radość twarz powlekła,
To znowu moment zasmucił,
Nie wiem, gdzie mi noc uciekła,
Nie wiem, skąd mi dzień powrócił.

Idę w ogród, kwiaty zbieram
I gubię wszystko po drodze,
Idę na wzgórek, wyzieram
I nie wiem, za kim wychodzę.

Poszłam do matki, nie śmiałam,
Choć pragnęłam wiele mówić,
Wróciłam, podarek dałam,
I nie nie mogłam wysłować.

Tylko w polach Czerniakowa
Przy młodzieńcu myśl się bawi,
Wciąż w uszach żebraka słowa:
„Niechaj Bóg wam błogosławi!”

K. Brodziński.

Jaka jest treść wiersza „Czerniaków”? Przeczytaj „Wiesława” Brodzińskiego. Co autor w tych utworach maluje?

Są to proste, pogodne opowiadania na tle życia wiejskiego i przyrody, — takie utwory nazywamy *sielanką*. Wiesław jest obszerniejszy, daje kilka obrazów, obejmuje pewną grupę ludzi, maluje zabawy, obyczaje wiejskie, troski i radości swoich bohaterów, sięga nawet w przeszłość, choć bardzo pobieżnie. — Co maluje sielanka „Czerniaków”? Czy znasz jeszcze jaką sielankę?

A forma. Czy poeta więcej troszczy się tu o piękno niż w gawędzie? Czy najpiękniejsze obrazy natury może uwydatnić forma zaniedbana? Ponieważ w sielance pogoda i piękno są warunkiem koniecznym, więc musi być do tego przystosowana i forma, dlatego też jest ona bardziej artystyczna, przy prostocie i swobodzie.

DO SWEGO BOGA.

Wąska drożyna przeciska się przez las zwarty, podszyty młodą sośniną, tworząc między szczytami drzew przedział nieznacznym. Gałęzie świerków, na których leżą grube, sopłami obwieszone kiście śniegu, zginają się pod ciężarem nad tym leśnym przesmykiem, zaledwie oznaczonym dwiema skibami śniegu, które sanie chłopskie odwróciły. — Dzień był marcowy, — jasny a mroźny. — Teraz, gdy się na zachodzie rozpościerać zaczyna półmierzcho błękitny, nawet zasy, pozataczane dokoła pniów, stają się sypkimi, jak mąka. Na przedziwnie czystej przestrzeni niebieskiej, jaka płonie już zorzą wieczorną — las stoi nieruchomo; nieznaczące podmuchy strącają z wierzchołków drzew drobnutkie pyły śniegowe i płyną między gałęziami, po tle purpurowym jakby popłatane smugi nikłego dymu, wzbijające się z niewidzialnych kadzielnic. — Cisza tam głucha, nieskończona, śmiertelna. — Drożyną ową idzie stary, zgrzybiały, siwy jak gołąk chłopowina Felek z wnuczką Teofilką, — poły lichego kożucha za pas zatknął, kij daleko przed się stawia, szeroko rozkracza nogi, sapie i kaszle, lecz nie ustaje, choć mu zaczerwienione oczy łzami zachodzą, choć pot się sączy zmarszczkami zwiedleń, wychłosta-nej przez wiatr twarzy. Teofilka staje swemi wielkimi butami w śladach dziadowskich, co chwila chuścinę na piersiach zawiązuje mocniej i, pomimo że upada ze znużenia, dotrzymuje staremu kroku. Z trwogą spoglądają na zorzę, rozniecającą się nad szczytami i spieszą coraz bardziej. Od czterech dni idą tak, krótko odpoczywając przy stogach siana i pustych szopach, nocując po chatach z daleka za wsiami stojących, przebywają pustkowia bezludne, lasy

czarne i głuche, brną po zaspach głębokich, po lodach rzek i stawów, śniegiem przyprószonych, pod nogami dzwoniących, — idą leśnymi, dalekimi a zapadłymi drogami — z pod samego Drohiczyzna aż za Warszawę miasto... spowiedź „uhopić“ (odbyć)... — Co roku tak chodzą we dwoje, odkąd na wiarę cudzą zapisani. Grzesznicy oni wielcy oboje, zdrajcy oboje... — Stary Felek jeszcze przed „zbrodniami“ synowi swe pięć morgów odpisał, wnuczki się doczekał, synową pochował i pacierze, pod piecem siedząc, odmawiał już tylko, gdy mu się nagle a niespodziewanie na ruskiego podpisać kazano. Synowi też, wnuczce też, — całej wsi... Sam arcypop coś do nich gadał, gdy ich wszystkich do gminy zapędzono. Wieś się oparła.

Pewnej nocy zimowej wojsko zaszło, ludzi wypędziło z chat na szczerę pole w mróz trzaskający. Trzy dni kozaki po chatach obozem stały, bydło rżnąc i niszcząc mienie, trzy dni ludzie stali z odkrytymi głowami na polu, na śniegu, do Boga się modląc. Wreszcie naczelnik wojskowy wielkim się gniewem zapalił: — dawaj bić! Do naga rozbierali, mężczyzn i kobiety, bijąc po kolei srogo, — aż się naród całej wsi zawściekł i jął się rozbierać sam, pod baty kłaść sam pokotem; — aż się Felków syn z pięściami podsunął do naczelnika, do Gołowińskiego... Dopiero nastał sądny dzień!

Bili tego Leona nahajkami na śmierć w sześciu, szmaty z niego zwlekli, naczelnik ostrogami grzbiet obnażonemu, na śniegu, we krwi leżącemu szarpał, wrzeszcząc w zapamiętałości: podpiszys! — Na nie! — Ni, ni, ni... — szeptał tamten.

To go umierającego dźwigać kazał, twarzą do siebie obracać i pytał: — Ty ruski? — Ni — Polak, na polskiej ziemi się urodził... Tak i uświerkł, szepecząc do siebie — ni — ni... w Siedlcach, w szpitalu. — Gdy wzięli wnuczkę Teofilkę bić — Felek nie wytrzymał: podpisał duszę swoją i wnuczki na złą wiarę. Stare u niego było serce, dziadowskie... Jak liść dygotał, u nóg moskalowi się włóki, przyszwyt butów całował, — aż podpisał. — Odtąd rok rocznie przed Wielkanocą idą Bogu się kając za zdradę. Dziad taką drogę zna, gdzie nie tylko żandarma, ale człowieka żywego nie spotkasz. — Jest daleko, za Warszawą — miastem, kościółek małeńki, stary; ksiądz jest młody, światobliwy a miłosierny. Oczy u tego księżyka we łzach, słowo

ciche, a takie mądre, a takie słodkie!... — Przyjdą w nocy, zastukają, dziad przez szybkę poszepce, — wnet on ich boczną furtką do kościoła prowadzi, spowiedzi słucha, a sam płacze, serdeczny, słózami gorzkiemi. Potem wszyscy krzyżem leżą, aż do rannego świtania. Gdy odchodzą, naucza ich ten sługa boży zawsze jednakowo: miłujcie nieprzyjaciół wasze, miłujcie nieprzyjaciół wasze... — Nim słońce wejdzie, nim się ludzie pobudzą już oni od miejsca tego daleko... Teraz oto, gdy dzień się szybko nachyla, spieszą już co temu, aby na wiadomy dziadowi nocleg trafić. Las rzędzie, otwiera się pole czyste, śniegiem równo zasłane, bezludne, dalekie, bezmierne. — Na skraju lasu Felko przystanął, oczy dłonią od blasku nakrył, z nogi na nogę przestępuje, wargi mu drżą. Pola tego on nie zna, chałup tu kilkoro powinno stać pod lasem... — Obce pole... szepce do siebie w trwodze. Na środku pustkowi wiatr wzdyma sypkie bryłki śniegu, to je rozmiata, to wieje, jak zboże szuflą, to cały obszar przestworza ciągnie za sobą, jak obrus, to go daleko lejkiem w górę podrywa, to jakby w falach dymu od końca do końca leci. — Zbłądził ja stary głupiec, hej! — mówi cicho, w tył zsuwając czapkę. — Za tym torem chodźmy, dziadku... — Za torem.

Ruszają znowu i brną po kolana. Śnieg w polu głęboko leży, wiatr luty, burza idzie. Bylinky zeszlotełnie suche, cienutkie gdzieniegdzie nad śniegiem stoją, kiwają się w wiehrze żałośnie, jakby nad tą dziewczyną zawodziły, jakby za nią świstały: ej, ej... Tarnina od lodu i sopli błyszcząca, badyle głogu czepiają się jej spódnicę, jak ręce miłosierne, co chcą zatrzymać... Buty obojgu przemokły do ena, nogi kostnieją, temu brak. — Isz ty, wnuczko, jak nas ten wiatr moskiewski sługa, od Boga odpędza — mamle półrozumiale dziadowina. — Nagle coś dudni i wre głucho — za nimi; to wieher w las uderzył. I zakolysał się las, zastękał... Teraz burza w nich bije, szmaty rozmiata, w oczy garściami śniegu ostrego, jak tłuczone szkło ciska chwilami, jak żywy siłacz brzemiona śniegu z miejsca na miejsce przerzuca, zdziera go aż do gruntu nagiego i fryga wysoko — nad las. — Kamień tam był wielki na polu, do niego się dowlekli, usiedli odpocząć.

Noc zesza nagle ciemna: Burza w niej wre — długo, długo... Czasem znienacka ucichnie, wówczas z wysokości

niebieskiej pada na oblicze pustkowie blade, zimne, znikome półświatło miesiąca dotyka lodowatemi promieniami przytulonych do siebie, skrzepłych, śniegiem przysypanych głów, zimnych oczu otwartych i łez na rzęsach, co się w sople ścięły.

Gdy wstaje i płonie zorza poranna, znowu na równinie cicho, tylko z wierzchołków drzew niewidzialne podmuchy strącają pył lekki, śniegowy i płynie niby biały dym znikomy, wzbijający się z niewidzialnych kadzielnic.

Maurycy Zych. (St. Żeromski).

Co jest treścią tego opowiadania? Prześladowanie unitów na Rusi, ich uczucia i trudy, z jakimi walczyć muszą, by przemówić do „swego” Boga.

Czy znasz „Latarnika” Sienkiewicza? — „Dym” lub „Naszą szkapę” Konopnickiej? „ABC”, „Babunię” Orzeszkowej? „Anielkę”, „Katarynkę” Prusa? Napewno znasz niejedno z tych opowiadań, — są to także niby powiastki, treścią ich głównie jedno zdarzenie: malują jakiś ułamek życia, ale różnią się od powiastki bardzo pięknie, artystycznie wykończoną formą.

Takie krótkie i piękne opowiadanie o jakimś zdarzeniu albo szeregu zdarzeń, obejmujących mały odłamek życia — nazywamy **nowelą**.

Co może być treścią noweli? W „Latarniku” maluje autor potęgę wspomnień, jakie w duszy starca tułacza budzi odczytywanie „Pana Tadeusza” na obczyźnie, w samotności. „Dym” wypadek w fabryce, który burzy spokojne życie dwojga ludzi, i t. d. — słowem w każdej noweli jest głównie jedno zdarzenie, reszta szczegółów potrzebna tylko do tego, abyśmy to zdarzenie dobrze zrozumieć mogli np. poprzednie życie Latarnika, albo matki i syna w „Dymie”.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Małeńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Czowiec dromaderów¹⁾
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów²⁾;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,

1) Wielbłąd jednogarbowy. 2) Wodorosty nadmorskie, rodzaj tataraku.

Żona z synaczkiem przy piersiach warzyła, —
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiewa,
Wszystko tam leży pod kopułką szecha.
A ja samotny wracam, o, boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie¹⁾ wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban²⁾, do mojego domu:
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: — Starcze, gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: — Starcze, gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym szecha!
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?
Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci;
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: — Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie. —
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbanka,
Powalił się tu jak palma złamana.

¹⁾ Czas przymusowego zatrzymania się w pewnej miejscowości osób, które mogłyby przenieść zarazę. ²⁾ Łańcuch gór w Azji Mniejszej.

Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować, —
Krzyknąłem wściekły: — Niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebla
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebla.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy nieszczęsnemu ojcu umierają dwie córki, Hafna i Amina, a tak cicho, że „choć po śmierci najstarszego syna oczy moje do snu nie zawarły, a nie słyszałem, jak obie umarły“.

Po stracie trojga dzieci nieszczęśliwy Arab zmartwiał z bólu, — zdawało mu się „że słońce słońcu nierówne złotem, i już nie takie, jakie było wczora, ale podobne do słońca upiora.“

Lecz minęło dni dziesięć, i reszta dzieci żyła. Nieszczęśliwy zaczął oddychać, „bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje, Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje“.

O, była to więc piekielna godzina,
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny:
Niktby nie dostrzegł, ja ojciec dostrzegłem:
On do tamtego stawał się podobny,
Stawał się jak mój ten trup pierworodny:
Z jasnego bladej, z bladej czerwony.
Patrzę — na twarzy płam żelaznych krocie, —
Więc zawolałem głośno — śmierć w namiocie!
I pochwycając go z takimi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go śmierć tam zgryzła do ostatka,
I żeby na to nie patrzała — matka!

Obląkany rozpaczą ojciec rzuca w ogień najdroższe zwłoki „lecz za ledwie ogień zaczął biec po szacie, wyrwałem trupa i rzuciłem straży. Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy. I lepiej mu tam przy siostrach i bracie!“

Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Oniemieli z bólu i trwogi „żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie, i śmierć przed samą śmiercią udawali, myśląc, że Boga oszukamy w niebie!“! Lecz anioł śmierci nie zapomniał o nich, znowu odwiedził namiot, aby trzeciego syna zabrać życie. Ojciec skamieniał z bólu: „miałem na syna trzeciego cierpienia powieki bez łez i serce z kamienia“.

Pięcioro dzieci stracił nieszczęśliwy. Oprócz małego dziecka, jedna została mu córka.

Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I twoga o nią nie gryzła mię żadna:
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do liliowych brała chłodzić rączek,
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Okolo cedru biegła po trawie,
Jak pracowity śmiejąc się pajaczek.
Patrz, i ten pas mój, błyszczący jaskrawie
Ona robiła, — i te smutne oczy
Ona rąkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na różę przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołysce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła.
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć;
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło... nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie,
I, pozdrowiwszy mnie pokojem w grobie,

Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
 Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
 Szły cicho, zwolna, schylały się nisko
 Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską,
 Potem na moją najmłodszą dziewczynę
 Obiedwie ręce położyły sine!
 Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
 Klnąc, wołam dziko: — Hatfe moja! Hatfe!
 Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
 Rzuciła mi się rączkami na szyję,
 I przekonałem się, że Hatfe żyje,
 Słyszac jej serce bijące na sercu.
 Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć:
 Córka! — lecz na co z boleścią się szzerzyć?
 I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
 I ta mi córka na rękach umarła!
 A była jedna, najstraszniejsza chwila —
 Kiedy ją bóle targaly zabójcze,
 Wołała: — Ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
 I miała wtenczas czerwone usteczka
 Jak młoda róża, kiedy się rozchyła.
 I tak umarła ta moja dziewczeczka,
 Że mi się serce rozdarło na ćwierci,
 A piękna była jak anioł — po śmierci.

Ojciec nie dał jej tknąć grabarzom i sam odniósł na cmentarz. Teraz w namiocie pozostali tylko rodzice i dziecko małe. Dziecko straciło wesołość, płakało, lecz matka nie miała go czem karmić, — jej pokarm stał się żółcią i trucizną. Od namiotu, w którym mieszkała zaraza, nie tylko ludzie, ale i wróble stroniły, i stał szerniały, zwiędły „niby próchno z ludzkich trumien zdjęte“. Widok pustyni stał się dla rodziców straszny „równina piekielna! przez tę równinę, przez te piasku kupy ciągnięto śniade moich dzieci trupy!“ Lecz taka wola nieba: każdego wieczora muezin, zwołujący na modlitwę, ogłaszał wiernym słowa nauki koranu:

O, bądźże ty mi pochwalony, Alla!
 Szumem pożaru, co miasta zapala,
 Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
 Zarazą, która dzieci mi wytraca

I bierze syny z łona rodzicielki.
 O Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!

W pięć dni po śmierci córki straszna zerwała się burza:

Słyszę jak namiot gęste sieką deszcze,
 Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
 Jak się nade mną w ciemności kołysze
 I od piorunów cały się czerwieni,
 Podobny grobom szatańskim z płomieni.
 Zdawało mi się za burzy łoskotem,
 Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
 Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
 Więc natężyłem wzrok, serce i ucho
 I z przerażeniem rozmyślałem w sobie:
 Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

Nagle w kołysce zapłakało dziecko, rodzice rzucili się do niego, lecz spostrzegli natychmiast, że niema dla niego ratunku.

I poszło leżeć między trupy bratnie
 Moje najmilsze i moje ostatnie!

W pustym namiocie sami zostali rodzice, a między nimi była tylko boleść, dzieląc ich niby straszna, czarna chmura. „I nie mówiliśmy do siebie słowa, bo powiedz, jakże być mogła rozmowa w pustym namiocie między mną i żoną? Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?“ — „chyba mysz jaka w księżycu przebiegła; zgola innego jęku i szelstu“... I tak się doczekali wreszcie dni czterdziestu!

Przyszli lekarze. Zdumieli się, ujrawszy starca schyłego wiekiem i z posiwiałą głową, zamiast silnego męża, który tu przybył niedawno. Lecz z próby wyszedł zdrow, on, co na własnych rękach nosił zmarłe dzieci do grobu! A matka pod dotknięciem doktora pobladła, zachwiała się, upadła.

A ja na ręce wzięłem trup niewieści,
 Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię,
 Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
 I obudziłem się — na dni czterdzięści...

Teraz skrył się w namiocie „jak nocne potwory“. Bał się widoku słońca.

W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namocie ze mną;
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.

To znowu słuchał wycia hijen na pustyni, „tam, nad trumnami”... I wkońcu „stał się zimpy i twardy jak kamień”.
Już nie nie czuł! Aż raz —

Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda.
I ach, nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozplakałem się jak dziecko głośno!

Upłynęły ostatnie dni czterdzieści i uwolniono więźnia
z kwarantanny. Może wracać do domu.

Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — (o Boże wiekuisty, świeć mi...) —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.

Śmierć od zarazy — ach, to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach, ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnie patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj — osiem juków próżnych.
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

J. Słowacki.

Co jest treścią „Ojca Zadżumionych”? Rozpacz nieszczęśliwego ojca, któremu okropna zaraza podczas kwarantanny w ciągu kilku tygodni zabija wszystkie dzieci i żonę. To tylko krótki ustęp z życia tego człowieka, którego przeszłości nie znamy, nie wiemy, co pocznie potem,—

jakby nowela, napisana mową wiązaną. Taki utwór nazywamy poematem (powieścią poetycką).

Poemat zatem, czyli powieść poetycka, jest to utwór piękny, niewielkich rozmiarów, malujący głównie jedno zdarzenie, prawdziwe, historyczne, lub zmyślone. Występuje tu niewiele osób i z życia ich autor daje tylko urywek.

W „Grażynie“ mamy dzieje jednej nocy i poranku, potem chwilę palenia zwłok na stosie; działają głównie trzy osoby; treścią jest poświęcenie kobiety dla ocalenia kraju od wojny bratobójczej, a męża od hańby przymierza z wrogami.

W „Janie Bieleckim“ — zemsta pokrzywdzonego szlachcica; w Marji — okropna śmierć nieszczęśliwej kobiety, ofiary magnackiej pychy.

Treść zatem poematu jest przeważnie wysoce poetyczna, forma piękna, artystyczna, prawie zawsze wierszowana.

Z KRZYŻAKÓW.

Tymczasem nadszedł dzień egzekucji. Od rana tłumy ścigały na rynek, gdyż głowa szlachcica większą budziła ciekawość niż zwykła, a do tego pogoda uczyniła się cudna. Między kobietami rozeszła się też wieść o młodzieńczym wieku i nadzwyczajnej piękności skazanego, więc cała droga, wiedząca do zamku, zakwitła jak kwiatami od gromad strojnych mieszczanek; w oknach na rynku i w wystających przystawkach widać też było czepce, złote i aksamitne czółka, lub przetowłose¹⁾ głowy dziewcząt, zdobne tylko wieńcami z róż i lilij. Radcy miejscy, choć sprawa właściwie do nich nie należała, wyszli wszyscy dla dodania sobie powagi i ustawili się w pobliżu rusztowania, tuż za rycerstwem, które, chcąc okazać swoje współczucie młodzieńcowi, stanęło gromadnie najbliżej pomostu. Za nimi pstrzył się tłum, złożony z pomniejszych kupców i rzemieślników w barwach cechowych. Żaki i wogóle dzieci, wypchane w tył, krążyły jak uprzykrzone muchy wśród tłumy, wdzierając się wszędzie, gdzie ukazało się choć trochę wolnego miejsca. Nad ową zbitą masą głów ludzkich widniał pomost, pokryty nowem suknem, na którym stało trzech ludzi: jeden kat, barczysty i groźny Niemiec, przybrany w czerwony kubrak i takiż kaptur, z ciężkim, obo siecznym mieczem w rękę, — i dwóch jego pacholków

¹⁾ Z włosami niczem nie pokrytymi.

z obnażonemi ramionami i powrozami u pasów. U nóg ich stał pień i trumna, obita również suknem. Na wieżach panny Marji były dzwony, napełniając miasto szpizowym dźwiękiem i płosząc stada kawek i gołębi. Ludzie patrzyli to na drogę, wiodącą z zamku, to na pomost i sterczącego na nim kata z palającym w słonecznym blasku mieczem, to wreszcie na rycerzy, na których zawsze z chciwością i szacunkiem spoglądali mieszczanie. Tym razem było zaś na co patrzeć, gdyż najślawniejsi stanęli w kwadrat koło rusztowania. Podziwiano więc szerokość ramion i powagę Zawiszy Czarnego, jego kruczy włos, spadający na ramiona; podziwiano krępą, kwadratową postać oraz palączaste nogi Zyndrama z Maszkowie i olbrzymi, nadludzki niemal rozrost Paszka Złodzieja z Biskupic, i groźną twarz Bartosza z Wodzinka, i urodę Dobka z Oleśnicy, który w Toruniu pokonał na turnieju dwunastu rycerzy niemieckich, i Zygmunta z Bobowy, który podobnie wślawił się z Węgrami w Koszycach, i Krzona z Kozichgłów, i straszego w ręcznym spotkaniu Lisa z Targowiska, i Staszaka z Charbimowic, który konia w biegu doganiał. Powszechną uwagę zwracał także Maćko z Bogdańca swoją wybladłą twarzą, podtrzymywany przez Florjana z Korytnicy i Marcina z Wrocimowic. Sądzone powszechnie, iż jest to ojciec skazanego.

Ale największą ciekawość wzbudzał Powął z Taczewa, który, stojąc w pierwszym szeregu, trzymał w swych potężnych ramionach Danusie, przybraną całkiem białą, z zielonym rucianym wianuszkami na jasnych włosach. Ludzie nie rozumieli, co to znaczy, i dlaczego ta biała ubrana dziewczeczka ma patrzeć na egzekucję skazanego. Jedni mówili sobie, że to siostra, inni odgadywali w niej panią myśli młodego rycerza, ale i ci nie umieli sobie wytłumaczyć ani jej ubioru, ani obecności przy pomocy. Natomiast we wszystkich sercach widok jej, podobnej do rumianego jabłka, ale zalanej łzami twarzy, budził współczucie i wzruszenie. W zbitych tłumach ludu poczęto szemrać na nieugiętość kasztelana, na surowość prawa — i szemrania owe przechodziły stopniowo w pomruk wprost groźny, a wreszcie tu i owdzie jęły podnosić się głosy, że gdyby zburzone rusztowanie, egzekucja musiałaby być odłożona.

Tłum ożywił się i rozkołysał. Podawano sobie z ust do ust, że gdyby król był obecny, byłby niewątpliwie uła-

kawił młodzianka, który — jak zapewniano — nie dopuścił się żadnej winy.

Ale wszystko uciхло, gdy dalekie okrzyki oznajmiły zbliżanie się łuczników i halabardników królewskich, między którymi szedł skazany. Jakoż wkrótce orszak pojawił się na rynku. Pochód otwierało bractwo pogrzebowe, przybrane w czarne, do ziemi sięgające opończe i także zasłony na twarzach, z powycinanemi otworami na oczy. Lud bał się tych posępnych postaci i na ich widok umilkł. Za nimi szedł oddział kuszników, złożony z doborowych Litwinów, przybranych w łosiowe, niewyprawne kubraki. Był to oddział gwardji królewskiej. Z tyłu orszaku widać było halabardy drugiego oddziału, w środku zaś, między pisarzem sądowym, który miał czytać wyrok, a księdzem Stanisławem ze Skarbimierza, niosącym krucyfiks, szedł Zbyszko.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na niego, i ze wszystkich okien i przystawek wychyliły się niewieście postacie. Zbyszko szedł, przybrany w swą zdobyczną białą „jakę”, haftowaną w złote gryfy i zdobną złotą frendzlą u dołu — i w tym świetnym stroju wydawał się oczom tłumów jakimś książęciem alb pacholęciem z wielkiego domu. Ze wzrostu, z barków, widnych pod obeisem ubraniem, z tegich ud i szerokich piersi, wydawał się być mężem całkiem dojrzałym, ale nad tą postawą męża wznosiła się głowa dziecinna prawie i twarz młoda, z pierwszym meszkiem nad ustami, i zarazem cudna twarz królewskiego pazia, ze złotym włosiem, równo uciętym nad brwiami, a spuszczone długo na ramiona. Szedł krokiem równym i sprężystym, ale z czołem pobladłym. Chwilami patrzył na tłum, jakby nieco przez sen, chwilami wznosił oczy ku wieżom kościelnym, ku stadom kawek i ku rozkołysanym dzwonom, które wydzwaniały mu ostatnią godzinę; — chwilami wreszcie odbijało mu się na twarzy jakby zdziwienie, że te dźwięki i szlochanie niewieście i cała ta uroczystość — to wszystko dla niego. Na rynku ujrzał wreszcie zdaleka pomost i na nim czerwoną sylwetkę kata. Wówczas drgnął i przeżegnał się, ksiądz zaś w tejże chwili podał mu krucyfiks do pocałowania. O kilka kroków dalej padł mu pod nogi pęk chabrow, rzucony przez młodą dziewczynę z ludu. Zbyszko schylił się, podniósł go, a następnie uśmiechnął się do dziewczyny, która wybuchnęła głośnym płaczem. Lecz.

on pomyślał widocznie, że wobec tych tłumów i wobec niewiast, powiewających chustkami z okien, trzeba umrzeć odważnie i zostawić po sobie przynajmniej pamięć „dzielnego chłopca”, więc wyteżył całą odwagę i wolę, nagłym ruchem odrzucił w tył włosy, podniósł głowę jeszcze wyżej i szedł hardo, tak prawie, jak idzie zwycięzca po skończonych rycerskich gonitwach, gdy go prowadzą po nagrodę. Posuwali się jednak zwolna, gdyż tłum był przed nimi coraz większy i niechętnie ustępujący. Próżno Kuszniczy li-tewscy, idący w pierwszym szeregu, wołali co chwila: — Eyk szalin! Eyk szalin! (precz z drogi!). Nie chciano się domyślać, co znaczą te słowa — i czyniło się coraz ciasniej. Jakkolwiek ówczesne mieszczaństwo krakowskie składało się w dwóch trzecich z Niemców, jednakże naokół rozlegały się groźne klątwy przeciw Krzyżakom: — Hańba! hańba! Niechby socezyły te krzyżowe wilki, jeśli dzieci gwoli im będą tu wytracać! Wstyd dla Króla i królestwa! — Li twini, widząc opór, zdjawszy napięte kusze z ramion, poczęli spoglądać z podelbów na lud, nie śmieli jednak szyć w gęstwą bez rozkazu. Lecz Kapitan wysłał naprzód halabardników, halabardami bowiem łatwiej było torować sobie drogę, i w ten sposób dotarli aż do rycerzy, stojących w kwadrat koło rusztowania.

Ci rozstąpili się bez oporu. Pierwsi weszli halabardnicy, za nimi szedł Zbyszko z księdzem i pisarzem. Lecz wówczas stało się to, czego nikt się nie spodziewał. Oto nagle z pomiędzy rycerzy wystąpił Pował z Danusią na rękę i krzyknął: — Stój! tak grzmącym głosem, iż cały orszak zatrzymał się, jak wkopany w ziemię. Ni kapitan, ni nikt z żołnierzy nie śmiał przeciwieć się panu i pasowanemu rycerzowi, którego codziennie widywano w zamku, nieraz w poufnych z królem rozmowach. Wreszcie i inni, równie znamienici, poczęli wołać równie rozkazującymi głosami. — Stój! stój! — pan z Taczewa zaś zbliżył się do Zbyszka i podał mu białą ubraną Danusię.

On mniemając, że to pożegnanie, chwycił ją, objął i przycisnął do piersi, lecz Danusia, zamiast przytulić się do niego i zarzucić mu na szyję rączkę, zerwała co prędzej ze swych jasnych włosów z pod rucianego wianka białą zasłonę i owinęła w nią całkiem głowę Zbyszka, a jed-

nocześnie poczęła wołać z całej siły rozplakany dziecinny głosem:

— Mój ci jest! Mój ci jest!

— Jej ci jest! — powtórzyły potężne głosy rycerzy. — Do kasztelana!

Odpowiedział im podobny do grzmotu krzyk ludzi: — Do kasztelana! Do kasztelana! — Spowiednik podniósł oczy w górę, zmieszał się pisarz sądowy, kapitan i halabardnicy opuścili broń, albowiem wszyscy zrozumieli, co się stało.

Był stary obyczaj, mocny jak prawo, znany na podhalu, w krakowskim, a nawet i w innych krajach, że gdy na prowadzonego na śmierć chłopca rzuciła niewinna dziewczka zasłonę na znak, że chce za niego wyjść za mąż, tem samem zbawiała go od śmierci i kary. Zнали ów obyczaj rycerze, znali kmiecie, znał polski lud miejski, a słyszeli o jego mocy i Niemcy, z dawniejszych czasów w grodach i miastach polskich zamieszkali. Stary Maćko też aż zesłabł na ten widok ze wzruszenia, rycerze — odsunawszy wnet kuszników, otoczyli Zbyszka i Danusię; wzruszony i rozdawany lud krzychał coraz potężniej:

— Do Kasztelana! Do Kasztelana.

Tłumy ruszyły się nagle naksztalt olbrzymich wełn morskich. Kat i pomocnicy zbiegli co prędzej z pomostu. Uczyniło się zamieszanie. Dla wszystkich stało się jasnem, że gdyby teraz Jaśko z Tęczyna, Kasztelan, chciał się oprzeć uświęconemu zwyczajowi, w mieście wszcząłby się groźny rozruch. Jakoż ława ludzka rzuciła się zaraz na rusztowanie. W mgnieniu oka ściągnięto sukno i rozerwano je w kawałki, potem belki i deski, ciągnięte silnemi rękoma, lub rąbane toporami, poczęły ugiąć się, trzeszczeć, pękać — i w kilka pacierzy później na rynku nie zostało śladu z pomostu.

H. Sienkiewicz.

Czy to jest cała powieść Sienkiewicza? — Nie, tylko jeden obraz. Iż takich scen i obrazów znajdujemy w całości! To już nie jedna chwila z życia kilku osób i nie jedno zdarzenie, ale cały szereg ludzi i wypadków, rzeczywistych i zmyślonych, tworzących jedną całość, jedno opowiadanie.

Więc mamy najpierw napad Zbyszka na Krzyżaka i ocalenie Zbyszka od śmierci przez Danusię — to jakby jedna całość; mamy postać Juranda ze Spychowa, porwanie jego córki, upokorzenie i krzywdę nieszczęśliwego

ojca, odnalezienie Danusi i chrześcijański czyn Juranda — przebaczenie, — to druga całość; drobny, ale cały sam w sobie obrazek stanowi zamieść śnieżna i ocalenie ofiar, zasypanych śniegiem; — całość tworzy Jagienka, jej postać i stosunek ze Zbyszkciem, szlachetność i poświęcenie, nakoniec szczęśliwe małżeństwo; — a dalej cały obraz stosunku Polski do Krzyżaków: typy krzyżackie, ich różnorodność, przewrotna polityka, ich uczyty i siedziby, i społeczeństwo polskie: król Jagiełło, Jadwiga, wiecej panowie i szlachta, ich sposób życia, zabawy, uczucia, pojęcia, dążenia, zle i dobre strony; — wreszcie zetknięcie się tych dwóch odrębnych światów na polu walki i — bitwa grunwaldzka. Bitwa grunwaldzka to znów całość sama w sobie, cały skończony obraz.

I nie wliczyliśmy jeszcze wszystkich: nie wspomnieliśmy nawet o śmierci Jadwigi, która jest także całością, obrazem.

Widzimy więc, że „Krzyżacy” to cały szereg obrazów i zdarzeń, w znacznej części historycznych, niekiedy zmyślonych, zajmujących dość długi przeciąg czasu, pozwalających nam poznać ludzi tej epoki pod względem pojęć, uczuć i sposobu postępowania — taki utwór nazywamy powieścią.

Niezawsze jednak powieść przedstawia nam zdarzenia i osobistości historyczne, — czy znasz „Nad Niemnem”, „Meira Ezołowicza” Orzeszkowej? — „Krystynę” Hoffmanowej? „Spekulanta” Korzeniowskiego? „Szary proch” Rodziewiczówny? „Placówkę” Prusą? Przeczytaj jedną z tych powieści.

Nie spotykamy w nich ani osób, ani wypadków historycznych, lecz obraz życia jakiejś części społeczeństwa lub jednostki w pewnej chwili: „Nad Niemnem” to współczesna szlachta polska, osiadła na Litwie, czy w ubogim zaścianku, czy też w pańskim dworze; jej wzajemny stosunek, sposób myślenia, wady, zalety — słowem: obyczaje, charakter. „Meir” — to świat żydowski w małym miasteczku, zapasy ciemnego i fanatycznego motłochu ze szlachetnym marzycielem. „Placówka”, to walka o ziemię chłopą, gorąco do niej przywiązane, z kolonistami niemieckimi. „Nad Niemnem” — „Meir”, „Placówka” — to także powieści.

Możemy więc powiedzieć, że powieść jest to obszerniejszy utwór epiczny, który w artystycznej formie przedstawia większy odłam życia ednostki, pewnej warstwy społecznej lub narodu w danym okresie czasu.

Wymień powieści, których treścią jest życie narodu w danym okresie, — życie jednej warstwy społecznej, — życie jednostki. — Czemże więc powieść różni się od noweli i poematu? Zestaw „Krzyżaków”, z „Grzyzną”, „Nad Niemnem” z „Latarnikiem”.

Rozróżniamy kilka rodzajów powieści:

Jeśli autor maluje zdarzenia i postaci historyczne, musi je malować zgodnie z tem, co o nich wiemy, co nam mówi historia, — taką powieść nazywamy historyczną.

Jakie znasz powieści historyczne? Dlaczego je tak nazywasz?

Jeśli autor przedstawia w powieści życie prywatnych ludzi albo pewnych warstw społecznych, zwyczaje i obyczaje współczesne — będzie to powieść obyczajowa.

Jakie znasz jeszcze powieści obyczajowe?

Niekiedy autor chce w powieści przekonać o czemś czytelnika; np. w powieści „Nad Niemnem”, oprócz wielu innych rzeczy, chce powiedzieć, że śmieszna i szkodliwa jest granica między ludźmi, którą wytworzył przesąd, — ta granica nie pozwoliła zaciej Marcie stworzyć własnego ogniska domowego; Justyna potrafiła odrzucić przesąd i śmiało z pańskiego dworu przeszła do własnej chaty. Taka powieść (historyczna czy obyczajowa), w której autor wypowiada jakiś pogląd, zasadę, dąży do tego, aby zbudzić w czytelniku pewną myśl, uczucie, nazywa się tendencyjną.

Czy znasz jaką powieść tendencyjną?

Co to jest powieść fantastyczna?

Powieść większych rozmiarów na tle historycznym lub społecznym nazywają niektórzy romansem.

Z PANA TADEUSZA.

Takie były zabawy, spory w one lata
Śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczony chmurą pulków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i zabor
Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,
Brzemienne imionami rycerzy, od Nilu
Szła, hucząc, ku północy, aż u Niemna brzegów
Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
Które broniły Litwę murami żelaza
Przed wieścią, dla Rosyi straszną jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba,
Spadała w Litwę. Nieraz dziad, zebrzący chleba,
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął i oczy wkoło obracał ostrożnie.
Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy,
Ani jarmulek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas kim był wyznawał: był legionistą,
Przynosił kości stare na ziemię ojczystą,
Której już bronić nie mógł.. Jak go wtenczas cała
Rodzina pańska, jak go czeladka ścisła,
Zanosząc się od płaczu. On za stołem siadał
I dziwniejsze od baśni historyje gadał.

On opowiadał, jako generał Dąbrowski
 Z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski;
 Jak on rodaków zbiera na lombardzkim polu;
 Jak Kniaziewicz rozkazy daje w Kapitolu,
 I zwycięzca wydartych potomkom Cezarów
 Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
 Jak Jabłonowski zabiegł, aż kędy pieprz rośnie,
 Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie
 Pachnące kwitną lasy; z legiją Dunaju
 Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.

Mowy starca krążyły we wsi pokryjому;
 Chłopiec, co je posłyszał, zniknął nagle z domu,
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
 Ścigany od Moskali, skakał skryć się w Niemnie
 I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,
 Gdzie usłyszał głos miły: — Witaj nam kolego!
 Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek z kamienia
 I Moskałom przez Niemen rzekł: — Do zobaczenia!
 Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
 Piotrowski, Obolewski, Różycki, Janowicz,
 Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
 Kupść, Gedymin i inni, których nie policzę:
 Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
 I dobra, które na skarb carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
 Przyszedł i kiedy bliżej poznał panów dworu,
 Gazetę im pokazał, wyprutą z szkaplerza.
 Tam stała wypisana i liczba żołnierza,
 I nazwisko każdego wodza legijonu,
 I każdego z nich opis zwycięstwa lub zgonu.
 Po wielu latach pierwszy raz miała rodzina
 Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna.
 Brał dom żalobę, ale powiedzieć nie śmiano,
 Po kim była żaloba; tylko zgadywano
 W okolicy, i tylko cichy smutek panów
 Lub cicha radość były gazetą ziemianów

Ckim kwestarzem tajnym był Robak podobno:
 Tazęsto on z panem sędzią rozmawiał osobno;

Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
 Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać Bernardyna
 Wydawała, że mnich ten niezawsze w kapturze
 Chodził i nie w klasztornym zestarał się murze.
 Miał on nad prawem uchem, nieco wyżej skroni,
 Bliznę wyciętej skóry na szerokość dłoni,
 I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;
 Ran tych nie dostał pewnie przy czytaniu mszału.
 Ale nie tylko groźne wejrzenia i blizny,
 Lecz sam ruch i głos jego miał coś z żołnierszczyzny.
 Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami
 Od ołtarza do ludu, by mówić: — Pan z wami!
 To nieraz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
 Jakby prawo w tył robił, za wodza rozkazem,
 I słowa liturgii takim wyrzekł tonem,
 Do ludu, jak oficer, stojąc przed szwadronem.
 Postrzegali to chłopcy, służący mu do mszy.
 Spraw także politycznych był Robak świadomszy
 Niżli żywotów świętych; a jeżdżąc po kweście,
 Często się zatrzymywał w powiatowem mieście.
 Miał pełno interesów: to listy odbierał,
 Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał;
 To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
 Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą
 Do dworów pańskich; z szlachtą ustawicznie szeptał,
 I okoliczne wioski dokoła wydeptał,
 I w karczmie z wieśniakami rozprawiał niemało,
 A zawsze o tem, co się w cudzych krajach działo.
 Teraz sędziego, który już spał od godziny,
 Przychodzi budzić; pewnie ma jakieś nowiny.

Ad. Mickiewicz.

To wyjątek, ale musimy już wszyscy znać Pana Tadeusza. Co jest treścią tego utworu?

Pan Tadeusz daje nam obraz Litwy w r. 1811 i 1812, — wypadki historyczne wskazują nam dokładnie, kiedy opisywani przez Mickiewicza ludzie tak żyli, czuli, myśleli. Możemy sobie doskonale wyobrazić na podstawie tego utworu, jak w owym czasie na Litwie żyła szlachta, nawet jak się ubierała, co jadła, jakie były jej zwyczaje i zabawy; co ją zajmowało, wzruszało, gniewało; poznajemy jej charakter i uczucia, jej stosunek do przeszłości i przyszłości. Oprócz tego mamy tu cały obraz przyrody litewskiej: pól uprawnych i puszczy, pogody i burzy, poranku wieczności, słowem — dokładny obraz kraju i społeczeństwa ziemian-

skiego w pewnym ściśle określonym czasie, na tle wypadków historycznych

Taki utwór nazywamy **epopeją**.

Epopeja jest zatem do pewnego stopnia jak gdyby powieścią wierszowaną na tle historycznym. Najdawniejsza, jaką znamy, epopeja grecka, Iljada, na tle niby historycznego wypadku, wojny trojańskiej, odtwarza doskonale całe życie ówczesnych Greków, ich wierzenia religijne, pojęcia, obyczaje, sposób prowadzenia wojny i t. p. — w „Panu Tadeuszu“ nie mamy obrazu życia całego narodu, i może dzisiaj jest to już niepodobieństwem obraz taki w jednym utworze odmalować, gdyż życie nasze jest nieskończenie bardziej złożone, niż było życie Greków w epoce wojny trojańskiej.

Czem się różni epopeja od powieści i poematu?

Poezja epiczno-dydaktyczna (nauczająca).

ROLNIK I BOCIAN.

Spadały często i tłumnie
Na jedno pole żurawie.
Właściciel jego w obawie,
By pusto nie było w gumnie,
Sieci nad zbożem rozpina,
Czycha tajemnie
I niedaremnie,

Bo choć wiele uciekło, złapał z pół tuzina.

Miedzy tymi
Złapanymi

Dostał się w niewolę bocian długonosy.

— Hej, i ty tu, świętoszku, i ty w moim życie?
Wysmienicie!

— Ja tutaj dziwaczny zapędzony losy,
Mniemam jednak, że nie chcesz odjąć mi swobody.
Bo na honor, w tem zbożu nie zrobiłem szkody,
Masz przytem obowiązek szanować me plemię,
Jestem twym przyjacielem: ropuchy i węże
Ciemięzę.
Postanowiłem oczyścić ziemię.

— Wierzę, rzekł rolnik, ale pan dobrodziej
Do mego z złodziejami lata,
I za to będzie karany jak złodziej;
Bo kto z takimi się brata,
Których unikać powinien,
Już przez to samo jest winien.

J. Massalski.

O czem jest mowa w bajce Rolnik i bocian? Czy należy rozumieć dosłownie ten utwór? Jest on więc alegorją: mówiąc o rolniku i bocianie, autor, ma na myśli ludzi, ich stosunki, wady, ułomności, które dowcipnie przedstawia, aby dać naukę w artystycznej formie.

Tego rodzaju utwór nazywamy **bajką**.

Czy to test poezja, czy proza?

Proza musi być ściśle zgodna z rzeczywistością, maluje prawdę wiernie, a tu jest zmyślenie, — więc to nie proza.

Ale proza uczy, a bajka jest przeciw nauką.

Poezja wzrusza nas; zachwycą, a żadna z tych bajek wzruszyć ani zachwycić nie może.

Ale poezji wolno nadawać życie tworom martwym, obdarzać zwierzętą mową, działać na naszą wyobraźnię — to znajdujemy w bajce.

Widzimy zatem, że bajka stanowi połączenie prozy i poezji: proza jest myśl w niej zawarta (pierwiastek nauczający), poezją — obrazowość, fantazja i mowa wiązana.

Taką poezję, w której nietylko chodzi o piękno i uczucie, lecz głównie o myśl, naukę, prawdę moralną, nazywamy **dydaktyczną** czyli nauczającą.

Ponieważ w bajce oprócz myśli moralnej jest i opowiadanie, z którego właśnie nauka wypływa, przeto zaliczamy ją do poezji epiczno-dydaktycznej.

Bajka więc jest to jakby mała powiastka lub obrazek alegoryczny, zawierający jakąś naukę, najczęściej podaną w formie rozmowy lub zdarzeń ze świata zwierzęcego, roślinnego lub ciał martwych.

W bajkach „Rolnik i bocian“, „Talar i czerwony złoty“ wskaż pierwiastek epiczny (opowiadający) i dydaktyczny (nauczający).

Przeczytaj parę bajek Krasickiego, Mickiewicza, Morawskiego. Porównaj baśń i bajkę.

PRZYPowieść VIII.

Za dawnych czasów byli w Anglii gospodarze, mający wielkie stada bydła i trzody owiec.

Ale wilcy wpadali często na pole ich i czynili szkodę.

Wzięli więc strzelby i psy, odpędzali i zabijali zwierza. Ale zwierz odpędzony jedną stroną, powracał drugą, a na miejscu jednego zabitego rodziło się dziesięć. A gospodarze na polowaniu ustawicznym zubożeli, trzymając wiele psów i kupując broń. Stada ich i trzody ich niszczały.

Aż drudzy gospodarze, mędrsi, rzekli: Pójdźmy dalej za zwierzem, aż do lasu, a wytępić go w gnieździe jego. Ale wilcy przyszedli znowu z drugich lasów, i owi gospodarze zubożeli i trzody potracili.

Zubożawszy, poszli do sąsiadów i rzekli: Zbierzmy cały lud, połujmy rok cały, aż wygładzimy wilki na całej wyspie. Bo Anglja jest wyspą.

Poszli tedy i polowali, aż wytępił zwierza co do jednego, potem złożyli broń, rozpuścili psiarnię, a barany ich pasą się bez pasterza od owych czasów aż do dziś dnia.

A. Mickiewicz.

Do jakiej poezji zaliczysz VIII **przypowieść** Mickiewicza albo **przypowieść** z Pisma świętego o Siewcy? o Synu marnotrawnym? Co w tych utworach stanowi pierwiastek dydaktyczny? co jest poezją?

Jaką widzisz różnicę między bajką a przypowieścią?

Pod względem formy: bajka prawie zawsze pisana jest mową wiązaną, — przypowieść mową niewiązaną, stylem biblijnym, ponieważ w Biblii mamy pierwsze wzory przypowieści.

W bajce często występują zwierzęta, jako istoty rozumnie działające, — w przypowieści zaś nigdy.

Bajka bywa dowcipna, żartobliwa, ironiczna, — przypowieść zawsze poważna.

Treścią przypowieści są najczęściej głębokie, wzniosłe myśli, o charakterze religijnym i moralnym, — bajka maluje zwykle błędy ludzkie.

S A T Y R A.

do króla.

Im wyżej, tem widoczniej chwale lub naganie
Podpadają królowie, najjaśniejszy panie.

Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka:

Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.

Gdy więc ganię zdrożności i zdania mniej baczone,
Pozwolisz, mości królu, że od ciebie zacznę.

Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?

To niedobrze: krew pańska jest zaszczyt przed gminem.

Kto się w zamku urodził, ten niech w zamku siedzi,
Z tego powodu nasi szczęśliwi sąsiedzi.

Bo natura na rządzących pokoleniach zna się,
Inszem powietrzem, żywi, inszą strawą pasie.

Mędrycy, rządni, wspaniali, mocarze, junacy —

Wszystko im łatwo idzie; a chociażby który

Odstrychnął się na moment od swojej natury,

Znowu się do niej wróci, a dobrym koniecznie

Być musi i szanownym w potomności wiecznie,

Bo od czegoż poeci? skarb królestwa drogi,

Rodzaj możny w aplauzy¹⁾, w słowa nieubogi;

Rodzaj, co umie znaleźć, czego i nie było,

A co jest, a niedobrze, żeby się przyćmiło,

I w to oni potrafią; stąd też jak na smyczy

Szedł chwaleca za chwalonym, zysk niosąc w zdobywo;

A choć który fałsz postrzegł, kompana nie zdradził:

Ten gardził, ale płacił; ów śmiał się, lecz kadził.

Tys królem, czemu nie ja? Mówiąc między nami,

Ja się nie będę chwalił, ale przymiotami

Nieźle mi się zaszczycam. Jestem Polak rodem,

A do tego i szlachcic; a choćbym i miodem

Szynkował, tak jak niegdyś ów bartnik z Kruszwicy,

Czemużbym nie mógł osiąść na twojej stolicy?

Jesteś królem; a byłeś przedtem mości panem,

To grzech nieodpuszczony. Każdy, który stanem

Przedtem się z tobą równał, a teraz czcić musi,

Nim powie: Najjaśniejszy! pierwej się zakrzusi.

I choć się przyzwyczaj, przecież go to lechce;

Usty cię czci, a sercem szanować cię nie chce.

I ma słuszne przyczyny: wszak w Lacedemonie²⁾

Zawsze siedział Tessalczyk na Likurga tronie,

Greki archontów³⁾ swoich od Rzymianów brali,

Rzymianie dyktatorów od Greków przyzwali;

Zgola — byleby nie swój, choćby i pobłdził,

Zawždy to lepiej było, kiedy cudzy rządził.

Czyń, co możesz, i dzielmi sąsiadów zadziwiaj,

Szczep nauki, wznos handel i kraj uszczęśliwiaj:

Choć wiedzą, chociaż czują, żeś jest tronu godny,

Nie masz chrztu, coby zmazał twój grzech pierworodny.

¹⁾ Oklaski. ²⁾ Lakonja za stolicą Spartą. ³⁾ Wyższy urzędnik w Atenach.

Skąd powstał na Michała ów spisek zdradziecki?
 Stąd tylko, że król Michał zwał się Wiśniowiecki.
 Do Jana, że Sobieski, naród nie przywyka;
 Król Stanisław dług płaci za pana stolnika¹⁾.
 Czujesz to, i ja czuję; więc się już nie troszczę,
 Pozwalam ci być królem, tronu nie zazdroszczę.
 Żle to więc, żeś jest Polak; źle, żeś nie przychodzień, —
 To gorsza (lubo prawda, poprawiasz się codzień),
 Przecież muszę wymówić (wybacz, że nie pieścę),
 Powiem więc bez ogródki: oto młodyś jeszcze.
 Pięknież to, gdy na tronie sędziwość się mieści,
 Tyś nań wstąpił, mający lat tylko trzydzieści,
 Bez siwizny, bez zmarszczek: zakał to nielada: —
 Wszak siwizna zwyczajnie talenta posiada?
 Wszak w zmarszczkach rozum mieszka? a gdzie broda siwa,
 Tam wszelka doskonałość zwyczajnie przebywa.
 Nie byłeś, prawda, winien temu, żeś niestary;
 Młodość, czerstwość i rzeźkość pięknież to przywary,
 Przecież są przywarami. Aleś się poprawił.
 Już cię tron z naszej łaski siwizny nabawił.
 Poczekaj tylko, jeśli zstarzeć ci się damy,
 Jak cię tylko w zgrzybiałym wieku oglądamy,
 Będziem krzyczeć na starych dlatego, żeś stary.
 To już trzy, com ci w oczy wyrzucił, przywary.
 A czwarta jaka będzie, miłościwy panie?
 O sposobie rządzenia niedobre masz zdanie:
 Król — nie człowiek. To prawda, a ty nie wiesz o tem!
 Wszystko ci się coś marzy o tym wieku złotym.
 Nie wierz bajkom: bądź takim, jacy byli drudzy,
 Poco tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy.
 Chcesz, aby cię kochali? Niech się raczej boją.
 Cóżeś zyskał dobrocią, łagodnością swoją?
 Zdzieraj, a będziesz moźnym; gnęb, a będziesz wielkim;
 Tak się wsławisz, a przeciw nawałnościom wszelkim
 Trwale się ubezpieczysz. Nie chcesz? — tem ci gorzej!
 Przypadać będą na cię niefortuny sporzej.
 Zniesiesz mężnie? Cierpże z tym myślenia sposobem,
 Wolę ja być Krezusem, aniżeli Jobem.
 Świadczyś, a na złe idą dobrodziejstwa twoje.

¹⁾ Ojciec Stan. Aug. miał urząd stolnika.

Czemuś świadczyś, z dobroci gdy masz niepokoję?
 Bolejesz na niewdzięczność? alboż ci rzecz tajna,
 Że to w płacy za łaski moneta zwyczajna?

Poco nie brać szafunku starostw, gdy dawano?
 Potem ci tylko w Polsce króle poznawano,
 A zagrzane wspaniałą miłością ojczyzny,
 Kochały patryjoty dawcę królewszyny.

Księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych?
 I to źle. Porzuć mędrków zabałamuconych.
 Żaden się naród księgą w moc nie przyposobił:
 Mądry przedysputował, ale głupi pobił.
 Ten, co niegdyś potrafił floty duńskie chwytać,
 Król Wizimierz nie umiał ni pisać, ni czytać.

Waszej królewskiej mości nie przepre, jak widzę,
 W tem się popraw przynajmniej, o co ja się wstydzę.
 Dobroć serca monarchom wcale nie przystoi!
 To mi to król, co go się każdy człowiek boi.
 To mi król, co jak spojrzę, do serca przeniknie,
 Kiedy lud do dobroci rządzących przywyknie,
 Bryka, mościwy królu, względł wspacznie obróci:
 Zły gdy kontent; powolny, kiedy się zasmuci.

Nie moje to jest zdanie, lecz przez rozum bystry
 Dawno tak osądziły przezorne ministry,
 Wiedzą oni (a czegoż ministry nie wiedzą?),
 Przy sterze ustawicznie gdy pracują, siedzą,
 Dociekli, na czem sekret zawisł panujących.

Z tych więc powodów, umysł wskroś przenikających,
 Nie trzeba, mości królu, mieć łagodne serce:
 Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskiecce.
 Żeś dobry, gorszysz wszystkich, jak o tobie słyszę,
 I ja się z ciebie gorszę i satyry piszę.
 Bądź złym, a zaraz kładąc twe onoty na szalę,
 Zato, żeś się poprawił, i ja cię pochwalę.

I. Krasicki.

Co jest treścią Satyry do Króla?

Autor, niby ganiąc Króla, wyszydza tych, którzy śmieszne stawiają mu zarzuty: że nie pochodzi z królewskiego rodu, że jest polakiem, że młody, łagodny, szerzy światło, kocha książki i t. p.

Przeczytaj „Piękna polszczyzna” Rodocia (str. 209). Jaka treść tego utworu?

Widzimy więc, że **satyra** wyszydza błędy i wady ludzkie, najczęściej w artystycznych obrazach lub opowiadaniach. Czyni to w sposób żartobliwy, wesoły, szyderczy, — albo poważny, niekiedy gorzki lub zjadliwy, stosownie do indywidualności autora, którego zło może śmieszyć lub boleć.

Przeczytaj „Pijaństwo” Krasickiego, „Nie jestem przy apetycie” Rodocia, „Myśliwi” tegoż.

POEZJA LIRYCZNA.

ŻÓRAWIE.

Widziałem raz żórawie, odlatujące na wschód wielkim stadem.

Był to jesienny wieczór, pełen smętnego fioletu i ciszy, jak zwykle o tej porze w Tatrach.

Żórawie leciały wolno, czerniąc się nad różowymi ostatnim różem słonecznym górami.

Patrzałem za nimi długo, dopóki nie znikły, z coraz większym smutkiem. Nie wiem czemu, wydało mi się, że te żórawie obłąkają się na morzu i nie powrócą już nigdy.

Leciały gdzieś w bezdeń powietrzną, w dal, tak posępne oku jakby i one czuły, że lecą tędy po raz ostatni, że nie powrócą już nigdy już nigdy...

W głuchym jęku harfy rozbitej niema więcej smutku, jak w tem słowie: nigdy.

Ani tatrzański wiatr, bijąc skrzydłami o lód na zamarzłych jeziorach, nie jęczy smutnej...

Skarga drzew podciętych, które wyciągają ku słońcu konary, jest w tem słowie, i spojrzenie oczu ludzi umierających.

I co ma czynić człowiek, od którego wiara w rzecz najdroższą odlatuje, jak te żórawie, o których, nie wiem czemu myślałem, że się obłąkają na morzu i nie powrócą już nigdy?...
K. Tetmajer.

Co jest treścią tego urywku! — Uczucie, jakie budzi w autorze widok odlatujących żórawi. Jest to jakby połączenie pięknego (artystycznego) opisu z wyrażeniem uczuć autora, — takie utwory nazywamy — **liryką opisową**.

BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki;
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki;
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmetu,
Wstąpił genjusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury,

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślał: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

A. Mickiewicz.

Czy „Burzę” możesz zaliczyć do liryki opisowej? Czy znajdziesz więcej podobnych utworów w tej książce? Czy są pisane mową wiązaną, czy niewiązaną?

PIEŚNI LUDOWE.

W polu ogródeczek,
W polu malowany,
A któż go ogroził?
Jasio mój kochany.

A w tym ogródeczku
Czerwone gwoździki,
Zaprzęgaj, Jasieczku,
Cisawe Koniki.

Jakże mam zaprzęgać,
Kiedy się motają.
Ciężki żal dziewczynie,
Kiedy jej ślub dają.

A dają jej, dają
W tym naszym kościele;
Nie wstydź się, dziewczyno,
Odpowiadaj śmieie.

Przyszła do kościoła,
Uklękła z druchnami,
Co spojrzysz na druchny,
Zaleje się łzami.

Spojrzyjcie, panienki,
Spojrzyjcie, mężatki,
Jaki żal dziewczynie
Odchodzić od matki.

Pieśń ludowa to najdawniejsza liryka. Tworzono pieśni jeszcze w czasach przedhistorycznych: śpiewał je dziad-lirnik, młodzieniec-poeta, smutna i wesoła dziewczyna, — wypowiadano w nich wszelkie uczucia, były konieczne przy wszelkich obrzędach. A gdy jedne ginęły, powstały nowe. Mamy też bardzo wiele pieśni ludowych z różnych czasów, należą do nich t. zw. krakowiaki, kujawiaki i t. p. Następującą pieśń możnaby nazwać szlachecką. — Dlaczego?

Wezmę ja kontusz, wezmę ja kontusz,
Szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej,
Tam się ucieszę.

Przyjechał do niej, przyjechał do niej,
 Puknął w okienko:
 Wyjdźże dziewczyno, wyjdźże jedyna,
 Wyjdźże, panienko.

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
 Jak różany kwiat,
 Oczki zapłakała, rączki załamała,
 Zmienił jej się świat.

— Czegóż ty płaczesz, czego lamentujesz,
 Dziewczyno moja?
 — Jakże nie mam płakać, nie mam lamentować:
 Nie będę twoja!

— Będziesz ty moja, będziesz jedyna,
 Będziesz, dalibóg,
 Ludzie mi cię rają, i rodzice dają,
 I sam sędzia Bóg!

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
 A ja doliną,
 Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
 A ja kaliną.

Ty pójdziesz drogą, ty pójdziesz drogą,
 A ja lasami,
 Ty się zmyjesz wodą, ty się zmyjesz wodą,
 A ja łezkami.

Ty będziesz panią, ty będziesz panią
 Na wielkim dworze,
 A ja będę księdzem, a ja będę księdzem
 W białym klasztorze.

A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,
 Każemy sobie
 Złote litery, złote litery
 Wybić na grobie.

A kto tam przejdzie, a kto przejdzie,
 Przeczyta sobie:
 Złączona miłość, złączona miłość
 Leży w tym grobie!

Do pieśni ludowych należą też **dumki**, proste, rzewne, tęskne i smętne piosenki, najczęściej ukraińskie, np.:

DUMKA.

Bohul Bohul sławna rzeko!
 Żal mi, żal mi cię!
 Twoje wody z jękiem cieką,
 A nikt nie wie — gdzie...

Hej! kozacz! twoje oczy
 Zamroczone są?
 Coś ci serce ciężko tłoczy,
 A nikt nie wie — co...

Boh do morza het popłynie
 I nie wróci wstecz;
 Kozak marnie gdzieś zaginie
 Na czużynie precz.

Boh i kozak w smutnej dumie
 Nuca sobie wraz;
 Ale nikt ich nie rozumie...
 Bo ludzie jak głąz.

Jaka jest różnica między dumką i dumą?

Najdawniejszą znaną pieśnią polską jest Bogurodzica (str. 22),
 Przeczytaj „Powrót wiosny” Kochanowskiego (str. 24) „Pieśń poranna”
 Karpińskiego. Czy to pieśni ludowe?

WARSZAWIANKA.

Oto dziś dzień krwi i chwały,
 Oby dniem wskrzeszenia był!
 W tęczę Franków Orzeł Biały
 Patrząc, lot swój w niebo wzbił.
 Słońcem lipca¹⁾ podniecany,
 Woła do nas z górnych stron;
 Powstań, Polsko! skrusz kajdany,
 Dziś twój tryumf albo zgon!
 Hej, kto Polak — na bagnety!
 Żyj, swobodo, Polsko żyj!
 Takiem hasłem onej podniety,
 Trąbo nasza, wrogom grzmij!

¹⁾ Rewolucja lipcowa we Francji była jedną z podnieć do powsta-
 nia listopadowego u nas.

Na koń! — woła Kozak mściwy,
 Zbuntowany skarómy lud,
 Bez Bałkanów są ich niwy,
 Pędem zgnieciem Lachów ród!
 Stój! za Bałkan pierś ta stanie,
 Car wasz marzy płonny łup:
 Z wrogów naszych nie zostanie
 Na tej ziemi — chyba trup!
 Hej, kto Polak na bagnety! i t. d.

Droga Polsko! Dzieci twoje
 Dziś szczęśliwszych doszły chwil
 Od tych sławnych, gdy ich boje
 Wieńczył Kremlin, Tybr i Nil!
 Lat dwadzieścia nasze męże
 Los po obcych ziemiach siał,—
 Dziś o Matko! Kto poleże,
 Na twem łonie, będzie spał!
 Hej, kto Polak — na bagnety! i t. d.

Wstań, Kościuszko, ugodź w serca,
 Co litością mamić śmia —
 Znał tę litość ów morderca,
 Kiedy Pragę zalał krwią!
 Niechaj krew tę krwią dziś płaci!
 Niech nią zrosi grunt zły gość,
 Laur męczeński naszych braci
 Bujniej po niej będzie rość!
 Hej! kto Polak, na bagnety! i t. d.

O Francuzi, czyż bez ceny
 Rany nasze dla was są?
 Z pod Marengo, Wagram, Jeny,
 Drezna, Lipska, Waterloo!
 Świat nas zdradzał, my dotrwali:
 Śmierć czy tryumf — my gdzie wy!
 Bracia, my wam krew dawali,
 Dziś — wy dla nas nic prócz łzy?
 Hej, kto Polak — na bagnety! i t. d.

Grzmijcie bębny, ryczcie działa,
 Dalej, dzieci, w gęsty szczy!

Wiedzie hufce wolność, chwała,
 Tryumf błyska w ostrzu pik!
 Leć nasz Orle! w górnym pędzie
 Sławie, Polsce, światu służ —
 Kto przeżyje, wolnym będzie,
 A kto umrze — wolny już!
 Hej, kto Polak — na bagnety!
 Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
 Takiem hasłem onej podniety.
 Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Kazim. Delavigne.

„Warszawianka”, Kazimierza Delavigne „Poszłabym ja” Konopnickiej i inne to pieśni literackie; treść ich najrozmaitsza: uczucie religijne, miłość ojczyzny, piękno przyrody, wesele, smutek, miłość, wszystkie jednak cechuje wiersz lekki i dźwięczny, wszystkie nadają się do śpiewu, — takie właśnie utwory liryczne, melodyjne i śpiewne nazywamy **pieśnią**. Forma ich zawsze zwrotkowa.

Jakie jeszcze pieśni znajdziesz w tej książce? Jaka ich treść?
 Czy możemy ten utwór nazwać pieśnią?

POSZŁABYM JA...

Poszłabym ja na kraj świata,
 Jak ten wiatr, co w polu lata,
 Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
 Białe chmury, puch łabędzi,
 W ciemną, mroczną dal...

Tylko mi cię żal
 Ty ziemio,

Gdzie kurhany ciche drzemią,
 Gdzie się w stepach białą kości,
 Gdzie kwiat mdleje od żałości,

Tylko mi cię żal!

.....
 Poszłabym ja w świat daleki,
 Jako idą bystre rzeki,
 Jako idą bystre wody,
 Do Dunaju, do swobody,
 Do szumiących fal...

Tylko mi cię żal
 Ty chato.

Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem, pełnem rosy
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w ukrainę,
Za to morze, za to sine;
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...

Tylko mi cię żal
Sokole.

Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal?

M. Konopnicka.

CZEMU MI SMUTNO?

Czemu mi smutno? czy że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni,
I tam wysoko, po niebie nade mną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jęklivą przewiewa?
I pędzi tuman liści, spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co, wirem szaleń i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznannej — nieznana
Leci, aż padnie, smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiegś tam obcej mogiły?

Czemu mi smutno? czy że tu wokół
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło?
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita?
Żaden głos chętny: co słycać? nie pyta?
I że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojej gwiazdce obrócony,
Każdy niedbały, co na drodze jego:
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego,

Czołga się podle lub zuchwale leci,
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach Bożych: garść łez, krwi i błota?

Czemu mi smutno? Czy to, że widziadło
Mądrości świata na duszę mi padło
I tak głębokie zapuściło szpony,
Że już nie pomnę, że już mi się nie śni
Ani o cichej modlitwie, zmówionej
Na łonie świętej, dobrej mojej matki,
Ani o szczęściu naszej biednej chatki,
Ani o starej ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo starej,
Pono na nutę nadziei i wiary?

Czemu mi smutno? czy że moi wszyscy,
Duszą jednacy, sercu sercem blizcy,
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli.
Już sobie dawno po trudach wychnęli?
A ja samotna, jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
Gdy inne w kraje szczęśliwsze ulecą,
Sama zostałam — i, gdy gwiazdy świecą,
To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie
Błada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie
Duchy mojego życia promień zwiędły,
Jak mi to nianka mówiła, uprzedły?
Och! bo mi głucho i pusto na zemi,
Och! bo mi tęskno, tęskno za swojemi,
Co się w dębowej trumnie położyli
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,
Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Tak samą, że już nie mam kochać kogo!...
Więc smutna jestem, smutna, bo wiatr wieje,
Bo między złymi ludźmi sama chodzę,
Bo mi nauka zabiła nadzieję,
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych... Och, tak nie jest przecież!
Mężniejsza nad te ciosy dusza młoda, —
Wiem, że niezawsze na niebie pogoda,
Wiem, że niezawsze cnota jest na świecie;

Zdawnam przywykła w jesienne zawieje
 Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje,
 A złością ludzką dobrego nie mierzyć,
 Boć cnota — ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
 Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,
 Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.
 Och, nie! mnie nigdy ksiąg uczonych karty
 Świętego słowa w sercu nie zaćmiły,
 A Bóg — to wyraz niczem nie zatarty,
 Co, jak go wieki w naturze skreśliły,
 Tak znowu wieki z wieków się wypręda
 I zawsze wkońcu: Bóg — Bóg! — czytać będą.
 Po wszystkie strony był lot myśli mojej,
 Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi
 I próbowałam pomysłu każdego,
 A tłem wszechrzeczy było imię Jego.

Więc też spokojna na Boga się zdałam
 I nietak gorzko umarłych płakałam,
 Ja, co mam umrzeć, — och! ja nie na groby
 Tyle wylałam cierpienia, żaloby,
 Ale mi smutno, bo dziś jako cnotę,
 W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
 I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną;
 A chyba w sądu godzinę okrutną
 Ja Bogu powiem, czemu byłam smutną,
 Bo ludziom mówić niewolno.

N. Żmichowska.

Czy możemy ten utwór nazwać pieśnią?

Nie jest dość melodyjny, nie ma budowy zwrotkowej; odznacza się większą kunsztownością. Treścią jego nie tylko uczucie smutku, ale zastanawianie się nad przyczynami tego smutku (pierzwiastek refleksyjny) — to elegja.

A więc *elegja* to utwór liryczny, w którym poeta wyraża uczucie smutku i zastanawia się nad jego przyczynami.

Czem się różni elegja od pieśni, wyrażającej smutek i od dumki.

TREN III.

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona!
 Zdałaś się ojca twego bardziej uszczuplona

Ojczyzna¹⁾, niżlibyś ty przestać na niej miała.
 To prawda, żeby była nigdy nie zrównała
 Z rany rozumem twoim, z pięknymi przymioty,
 Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
 O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony!
 Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
 A ty, pociecho moja, już mi się nie wrócisz
 Na wieki, ani mojej tęsknicy skrócisz.
 Nie lza, nie lza, jedno się za tobą gotować,
 A stopeczkami twemi ciebie naśladować;
 Tam cię ujrę²⁾, da Pan Bóg, a ty więc z drogiemi
 Rzuć się ojcu na szyję rączynkami swemi!

J. Kochanowski.

Jaka jest treść tego utworu? Czy przypomina elegję? czemu? i czem się od niej różni?

Poeta wypowiada tu również uczucie smutku, zastanawia się nad przymiotami zmarłej córki, rozpamiętywa jej ostatnie chwile.

Tren więc może być uważany za pewną odmianę elegji, różni się od niej tem, iż zawsze wyraża ból i żal z powodu czyjejś śmierci.

Od XVI w. spotykamy często treny w naszej literaturze, najpiękniejsze jednak są treny Kochanowskiego po śmierci ukochanej Orszulki.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez sere, bez ducha — to szkieletów ludy.
 Młodości! podaj mi skrzydła!
 Niech nad martwym wzleczę światem
 W rajską dziedzinę ułudy,
 Kędy zapał tworzy oudy,
 Nowości potrząsa kwiatem
 I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
 Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
 Takie widzi świata koło,
 Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
 Wylatuj, a okiem słońca

¹⁾ Ojcowizna. ²⁾ Ujrę.

Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca.

Patrz na dół! kędy wieczna mgła zacienia
Obszar, gnuśności zalany odmetem:
To ziemia!

Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie:
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali;
Nie lgnie do niego fala ani on do fali;
A wtem jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby...
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nic powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szalem,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centaury,
Piekłu ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie;

Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...

Dalej z posad, bryło świata!
Nowymi cię pohniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Sklóconych żywiołów waśnią,
Jednem: „Stań się” z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśniaj:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie...
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesady światło ómiące...
Witaj, jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Jakie uczucia wyraża autor w tym utworze? — Wiarę w potęgę młodości i nadzieję, że ona świat odrodzi. Ona miłością cuda czynić może, gdy zespoli wszystkie siły do jednego celu; — ona jak orzeł wlatuje ku niebu, spada jak piorun szybko i potężna, — ona z chaosu świat ducha wywiedzie i zapewni przyszłość szczęśliwą ludzkości.

Autor nazwał ten utwór *oda*, gdyż tak nazywamy utwory liryczne o nastroju wzniosłym, w których wypowiadamy uczucia podziwu, uwielbienia i czci dla idei, czynu, bohatera, zjawiska natury i t. p.

Siła i wielkość uczucia, a zarazem mniejsza prostota i melodyjność wiersza odróżniają odę od pieśni.

PSALM VIII.

Wszchemocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierny
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,
Wszędy jest zacne, święte imię Twoje,
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej, wieczny Boże.

Niech zli, jako chcą, Ciebie mierzą sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie,
Ku większej hańbie i ku potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota,
Ty coraz nowem światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesieczne.

A człowiek co jest? że Ty, niestworzony,
Wszystkiego Twórca i Pan niezmierny,
Raczysz ji pomnieć? Czem jest syn człowieczy
Gódzien Twej pieczy?

Takeś go uczył i przyochodził,
Żeś go z anioły tylko nie położył;
Postawiłeś go panem nad zacnemi
Czyny swojemi.

Daleś w moc jego wszystkie bydła polne,
Daleś i leśne zwierzęta swawolne;
On na powietrzu ptactwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszchemocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierny
Ten świat stworzony?

Jan Kochanowski.

I tu autor wyraża podziw, uwielbienie, wdzięczność, ponieważ jednak wszystkie te uczucia zwrócone są do Boga, nazywamy taki utwór hymnem lub psalmem.

Różnica między hymnem a psalmem trudna jest do określenia, można by powiedzieć jednak, że hymn to jakby oda na cześć Boga, — psalm często wyraża żal i skrucę wobec Boga.

Liryka refleksyjna.

PIEŚŃ O DOBREJ SŁAWIE.

Jest kto, coby, wzgardziwszy te doczesne rzeczy,
Chciał ze mną dobrą tylko sławę mieć na pieczy?
A starać się, ponieważ musi zniszczyć ciało,
Aby imię przynajmniej po nas tu zostało?

I szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęcem¹⁾ żyje,
Tkając, lejąc w sie wszystko, póki zostawa szyć:
Nie chciał nas Bóg położyć²⁾ równo z bestyjami,
Dał nam rozum, dał mowę, a nikomu z nami.

Przeto chcemy wziąć przed sie myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie:
Służmy poczeiwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje:
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega.

A ty, coć Bóg dał siłę i serce po temu,
Uderz się z poganinem, jako słusze cnemu:³⁾
Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje:
Zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje.

Śmialemu wszędy równo, a o wolność miłą
Godzi się oprzeć, by więc i ostatnią siłą:

¹⁾ Po bydlęcemu. ²⁾ Postawić na równi. ³⁾ Przystoi cnotliwemu.

Nie przegra, kto frymarczy¹⁾ na sławę żywotem:
Azaby go dał lepiej w cieniu²⁾ darmo potem?

J. Kochanowski.

Czy to także utwór liryczny?

Tak, lecz autor wypowiada w nim nie tylko uczucia, ale i myśli swoje o wartości przemijających uciech i zysków wobec nieśmiertelnej sławy, i mówi, że nawet ten nie traci, kto w dobrej sprawie życie za sławę oddaje. Poucza nas więc, i dlatego możemy tę pieśń liczyć do li-ryki dydaktycznej (refleksyjnej) czyli nauczającej.

Z sonetów „Nad głębiami“.

SONET XIII.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko
W dawnej postaci, — jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty na siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasných żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długięj,

Ich miłość, sława — istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zastugi
Korzystać będą znów następcy nasi.

Adam Asnyk

Jaką myśl wypowiada autor w tym sonecie?

O STASZKU.

Gdy co nie grzechy³⁾ usłyszysz mój Staszek,
To mi wnet każe przypisać do fraszek.
Bracie! by się to wszystko pisać miało,
Jużby mi dawno papieru nie stało.

J. Kochanowski.

¹⁾ Kupeczy. ²⁾ Czyżby lepiej było, gdyby potem żywot darmo odda w ukryciu. ³⁾ Co niedorzecznego.

NA ZDROWIE.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz... etc.

J. Kochanowski.

NAGROBEK PIJAKOWI.

Tu leży pijak sławny, a gdy na sąd wstanie,
Spytany, co wždy czynił? — rzecze: — Piłem, Panie.

W. Potocki.

Do poezji dydaktycznej zaliczamy bardzo drobne, parowerszowe utwory, w których autor, w sposób lekki, dowcipny, niekiedy uszczypliwy, wypowiada jakąś uwagę o ludziach, obyczajach, lub daje naukę moralną, — nazywamy je: **fraszkami**, **epigramatami**.

Należą do niej także **przysłowia** i myśli (sentencje, maksymy) o ile odznaczają się obrazowością, — w przeciwnym razie będą należały, do prozy dydaktycznej np.

Jeśli na obrazie jest plama czarna albo w obrazie dziura, tedy lada głupi postrzeże je; ale zalety obrazu widzi tylko znawca.

Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony. *A. Mickiewicz.*

Po tem wyższego męża możesz poznać w tłumie,
Że on zawsze to tylko zwykły robić, co umie. *A. Mickiewicz.*

Czyń każdy w swoim kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży. *K. Brodziński.*

Chociaż nie skończysz, ciągle rób:
Ciebie, nie dzieło, porwie grób.

K. Brodziński.

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę:
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

A. Mickiewicz.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię z bogacą,
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

A. Mickiewicz.

Za co człowiek na bliźnich tak często uderza
Jak na dzikie zwierzęta? Bo ma w sobie zwierza.

A. Mickiewicz.

Dra się o wolność. — Boże, nachylaj im grzbietu,
Bo wolność — jest jakoby posiadanie fletu:
Jeśli go weźmie człowiek muzyki nieświadom,
Piersi straci, — i uszy sfałszuje sąsiadom.

J. Słowacki.

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przemienie sama szparko,
Cios jej dłota wiecznotrwały.

Z. Krasiński.

Przez szczęście ja rozumiem to, co zbawiennym wpływem wznosi,
kształci i uszlachetnia ducha naszego; a nieszczęściem to, co go poniża,
nikczemni i gniebi.

N. Żmichowska.

Które z tych przysłów i myśli zaliczysz do poezji, a które do
prozy dydaktycznej?

Uwaga: Rozwinięcie i wyjaśnienie podanych myśli i przysłów
stanowić może temat ćwiczeń stylistycznych.

POEZJA DRAMATYCZNA.

Weźmy „Zemstę za mur graniczny“ Aleksandra Fredry
(ojca). Co jest treścią tego utworu?

Dwaj sąsiedzi, zupełnie sprzecznych usposobień, mieszkają tuż obok
siebie i kłócą się o byle drobiazg: rejent np. chce naprawić mur graniczny,
a cześnik na to nie pozwalała; wynika bójka, która da powód do procesu.

Rejent Milczek jest podstępny, obłudny, krętacz, słodki z pozoru,
małomówny. Cześnik Raptusiewicz — gwałtowny, krzykliwy, ale szczerzy,
prawy i rycerski.

Syn rejenta Wacław kocha siostrzenicę cześnika Klarę, lecz nie-
zgoda pomiędzy ojcem a opiekunem nie pozwala im otwarcie przyznać się
do tych uczuć.

Znęcony pozornym majątkiem przekwitającej wdówki, podstoliny,
cześnik zamierza się z nią żenić. Rejent podstępnie odmawia mu narze-
czoną, aby wydać ją za swego syna, wbrew woli i prośbom Wacława.
Dowiedziawszy się o tem, cześnik porywa Wacława i na złość rejentowi
żeni go z Klarą.

Młodzi są uszczęśliwieni, cześnik pomszczony do pewnego stopnia,
a rejent złapał się we własne sidła.

Cała ta sztuka dzieli się na 4 części, zwane aktami. Są to
jakby rozdziały w powieści. Każdy akt dzieli się znowu na drobniejsze
częstki t. zw. sceny. Początek nowej scenie daje wejście lub wyjście
jakiej osoby.

Przeczytajmy parę urywków tej sztuki.

AKT III — SCENA IV.

(Tchórz i samochwał Papkin w imieniu cześnika przychodzi do rejenta
wyzwać go na pojedynek).

PAPKIN (*wsuwając się trwożliwie*).

Wolność wstąpić?

REJENT. Bardzo proszę.

PAPKIN (*z najniższym ukłonem i nieśmiało*).

Pana domu i Rejenta

Widzieć w godnej tej osobie

Chłuba wielka, niepojęta

Spada na mnie w tejsze dobie,

Jak niemylnie pewnie wnoszę?

REJENT (*pokornie*). Tak jest — sługa uniżony.

Wolność mi się w odwet spytać,

Kogom zyskał honor witać?

PAPKIN (*na stronie*). Hm! pokorna coś szlachciurka,

Z każdym słowem daje nurka —

Niepotrzebne miałem względy. —

(*Śmielej*).

Jestem Papkin.

(*Rejent wskazuje z ukłonem krzesło, na środku stojące — Papkin przypatruje
się z uwagą Rejentowi, który, jak zawsze, z założonemi na piersiach rękoma
nieporuszenie w miejscu stoi... Papkin mówi dalej na stronie*).

Jak uważam,

Skończę wszystko bez pomocy.

(*Głośno — wyciągając się na krzesło*).

Jestem Papkin — lew północy,

Rotmistrz sławny i kawaler —

(*okazując gestem wstęgi orderowe*)

Tak, siak, tędy i owędy —

Mądry w radzie, dzielny w boju,

Dusza wojny, wróg pokoju. —

Znają Szwedy, Muzułmany,

Sasy, Włochy i Hiszpany

Artemizy ostrze sławne

I niem władać ramię wprawne.

Jednem słowem, krótko mówiąc,

Kula ziemską zna Papkina —

Teraz, bratku, daj mi winą.

REJENT (*po krótkim wahaniu na stronie*).

*Nemo sapiens, nisi patiens*¹⁾.

(*Dostaje butelkę z pod stolika, kłimkiem nakrytego — patrzy w nią do światła — nalewa lampeczkę i podaje Papkinowi, który tymczasem mówi, co następuje*).

PAPKIN (*na stronie*). O! — Brat szlachcie tchórzem podszyt —

Po zleceniu od Cześnika

Może sobie udrę tyka (*nakrywa głowę*).

(*pije*) Cienkusz! (*pije*) deresz¹⁾ (*pije*).

REJENT (*na stronie*). Nadto śmiało.

PAPKIN. Istna lura, panie bracie,

Cóż, lepszego tu nie macie?

REJENT. Wybacz waszmość, lecz nie stało.

PAPKIN. Otóż to jest szlachta naszal

(*ze wzgardą*). Siedzi na wsi — sieje, wieje —

Zrzędzi, nudzi, gdera, łaje,

A dać wina — to nie staje.

(*Idzie do stolika, nalewa sobie — Rejent nieporuszony prowadzi go oczyma*).

Albo jeśli przyjdzie flaszka,

Samą maścią już przestrasza.

Potem prosi: jeśli łaska —

Nie proś, nie nudź, hreczkosieju,

A lepszego daj, u djaska!

REJENT. Ależ mości dobrodzieju...

PAPKIN (*pijąc*). Mętne, kwaśne nad pojęcie —

Istna lura, mój Rejencie! —

REJENT (*na stronie*). Cierpliwości wiele trzeba;

Niech się dzieje wola nieba.

PAPKIN. Zwiedz piwnice wszystkie moje,

Gdzie z pół świata masz napoje,

Gdzie sto beczek stoi rzędem:

Jeśli znajdziesz co takiego,

Dam ci, bratku, konia z rzędem.

REJENT (*z ukłonem*). Pozwól spytać, panie drogi,

Gdyż nieznana mi przyczyna,

Co w nikczemne moje progi

Marsowego wiedzie syna?

¹⁾ Nie nabędzie mądrości, kto nie ma cierpliwości. ²⁾ Tutaj: mieszaniec, znaczy: wino z wodą.

PAPKIN (*rozpierając się na krześle przy stoliku*).

Co? Chcesz wiedzieć?

REJENT.

Proszę o to.

PAPKIN. Więc staję tu, wiedz, niecnoto,

Z strony jaśnie wielmożnego

Cześnika Raptusiewicza,

Co go ranka dzisiejszego

Twych służalców sprośna dzieza,

Godna jednak pryncypała¹⁾,

W jego zamku napaść śmiała.

REJENT. Mówże waszmość trochę ciszej,

Jego sługa dobrze słyszy.

PAPKIN. Mówię zawsze podług woli.

REJENT. Ależ bo mnie głowa boli.

PAPKIN (*jeszcze głośniej*). Że tam komu w uszach strzyka,

Albo że tam czyj łeb chory,

Przez to nigdy w pieśń słowika

Nie odmienia głos Stentory²⁾.

REJENT (*śladko*). Ależ bo ja mam i ludzi,

Każę oknem cię wyrzucić.

(*Papkin w miarę słów Rejenta wstaje, zwolna zdejmując kapelusz*).

A tam dobry kawał z góry.

PAPKIN. O, nie trzeba.

REJENT. Jest tam który!

Hola!

PAPKIN. Niech się pan nie trudzi.

REJENT. Pan jak piórko stąd wyjedzie.

(*do służących*) Czekać w czterech tam za drzwiami!

PAPKIN. Ale nacóż to, sąsiedzie,

Tej parady między nami?

REJENT. Teraz słucham waszmość pana.

(*sadzając go prawie gwałtem*).

Bardzo proszę — bardzo proszę —

(*siada blisko i naprzeciwko*).

Jakaż czynność jest mu dana?

(*nie spuszcza z oka Papkina*).

PAPKIN. Jesteś trochę nadto żywy:

Nie wiedziałem, Bóg mi świadkiem,

¹⁾ Zwierzchnika. ²⁾ Grecki wojownik, jeden z bohaterów wojny trojańskiej, odznaczający się donośnym głosem.

Że takbardzo masz słuch tkliwy —
Przestrzeż, proszę, gdy przypadkiem
Jakie słówko głośniej powiem.

REJENT. Czy się prędko rzeczy dowiem?

PAPKIN (*bardzo cicho*). Zaraz — Cześnik bardzo prosi...

REJENT. Hę?

PAPKIN. Czy głośniej?

(*na znak potakujący Rejenta mówi dalej*).

Cześnik prosi...

To jest... raczej Cześnik wnosi,
Że, by skończyć w jednej chwili
Kontrowersję¹⁾, co... zrobili...

(*Nie mogąc uniknąć wzroku Rejenta, miesza się coraz więcej*).

Dobrze mówię... co zrobili...
Kontrowersję... jak rzecz znana...
Że tak... to jest... że... sprzyja...
(*odwracając się, na stronie*).

A to jakiś wzrok szatana,
Cały język w trąbkę zwija.

REJENT. Ja nie jestem pojąć w stanie —

Waszmość prawisz zbyt zawiło...

PAPKIN (*wstając*). Bo to... bo te... wybacz, panie,

Wino trochę mocne było.

A nie jestem zbyt wymowny...

(*ciszej*) Czy tych czterech jeszcze stoi?

REJENT. Jednym słowem — mój szanowny

Dobry sąsiad czego żąda?

PAPKIN. Lecz się poseł trochę —

REJENT (*kończąc*). Boi.

Bądź, serdeczko, bez obawy.

PAPKIN. Więc Cześnika prośba niesie,

Abyś waszmość *circa* *quartam*

U trzech kopców w czarnym lesie

Stanął z szablą do rozprawy.

REJENT (*ironicznie*). Stary Cześnik jeszcze żwawy!

PAPKIN (*ośmielając się*). Ba! To wszyscy wiedzą przecie,

Że niemylnie jego ciosy —

Wszakże w całym już powiecie

¹⁾ Spór o granicę.

Pokarbował szlachcie nosy,
Tylko jeszcze...

REJENT. Ciszej proszę.

PAPKIN (*oglądając się na drzwi*). Prawda, ciszej. — Cicho zatem

Jego grzeczną prośbę wnoszę

I dołączam moją własną

O odpowiedź krótką, jasną.

REJENT. Tę listownie mu udzielę.

Ale jakże to się zgadza:

Wszakci jutro ma wesele.

PAPKIN (*śmielej*). Tamto temu nie przeszkadza.

Rano pierścień — w pół dnia szabla —

Wieczór kielich — w nocy...

REJENT (*słodko*).

Cicho.

PAPKIN. Prawda, cicho.

(*na stronie*). Sprawa djabła,

Ani mrumru. — Czy mnie lichy

Tu przyniosło w takie szpony!

Przeczytaj w Stylistyce (str. 172) scenę V aktu IV, gdzie Cześnik dyktuje Dyndalskiemu list niby od Klary do Wacława, żeby go zwać i ożenił gwałtem na złość rejentowi.

Najlepiej przeczytać całą „Zemstę”¹⁾.

W jakim sposób autor treść tę przedstawia? W akcji (działaniu) i dialogu (rozmowie) występujących osób. — Od siebie nie mówi nic, nie opowiada zdarzeń, rzecz dzieje się przed naszymi oczami: widzimy ludzi i wypadki, a nie słyszymy o nich, — patrzymy wprost na życie bezpośrednio.

Jacyż ludzie występują w tej sztuce?

Zwyczajni śmiertelnicy, z wadami i słabościami obok zalet. Dążą oni do celów pospolitych, niekiedy nawet niskich, a w tych dążeniach ścierają się z sobą i walczą w taki sposób, iż wzbudzają śmiech w widzach. Bo też wszyscy są śmieszni do pewnego stopnia, czasem karykaturalni: śmieszny jest gwałtowny cześnik i w umizgach do podstoliny, i w zawziętości względem rejenta, i w rozmowach z Papkinem. Śmieszny i skarykaturowany jest rejent i podstolina, i Dyndalski, a już najwięcej komizmu nadaje sztuce Papkin.

A cel tego utworu? Ukazanie nam śmieszności i wad ludzkich.

Tego rodzaju utwór dramatyczny nazywamy komedią.

Komedja jest to zatem utwór dramatyczny, w którym autor ośmiesza błędy i wady swoich bohaterów, przedstawiając ich w sposób komiczny, a niekiedy karykaturalny.

Mamy w komedji śmieszność (komizm), dowcip, często ironję, niekiedy humor i sarkazm.

¹⁾ Bib. i Uniw. Lud.

Rozpatrzmy teraz zupełnie inny utwór dramatyczny, napisany w XVI wieku przez genialnego poetę angielskiego, Szekspira, p. t. *Makbet*.

Makbet jest szlachetnym i walecznym rycerzem szkockim. Ocalił kraj i króla przed zdradą i najazdem wroga. Wdzięczny monarcha nagradza go dostojenstwem i majątkiem pokonanego zdrajcy.

Dotąd Makbet cieszy się słusznie powszechnym szacunkiem i sympatią, — ale w duszy jego tkwi iskra groźnej namiętności, która stłumi wszystkie szlachetne popędy, jeśli wybuchnie potężnym płomieniem — ta namiętność to duma, ambicja bez granic.

I oto po zwycięstwie ukazują mu się trzy czarownice i wróża, że zostanie królem. Można je rozumieć jako uosobienie złych instynktów duszy Makbeta. Jednocześnie towarzyszowi Makbeta, Bankowi, przepowiadają one, że potomstwo jego będzie kiedyś panowało.

W duszy Makbeta rośnie szybko żądza władzy. Zwierza się żonie ze swych pragnień i nadziei, opartych na przepowiedni czarownic, a ta podsyca w nim groźną namiętność.

Lecz jakże zostać królem, gdy prawy król żyje i ma synów, dziedziców tronu? Okoliczności stwarzają pokusę: król wstępuje na noc do zamku Makbeta. Ta noc przyspieszyć może spełnienie przepowiedni, jeśli król nie wstanie jutro.

Możeby Makbet nie dokonał zbrodni; żądza panowania walczy w nim z wrodzoną szlachetnością (kolizja sprzecznych uczuć), ostrzega go sumienie, — ale chciwa wielkości i przebiegła żona rozżarza w nim tlejącą dumę, głośzy wyrzuty sumienia szyderstwem i popycha go do mord.

Makbet zabija króla we śnie, — pijanych giermków posadzono o zbrodnię; synowie królewscy uciekają z kraju przerażeni — i na nich pada podejrzenie, — szlachetny i mężny Makbet jednoznacznie obrany królem. Tajemny cel wszystkich pragnień osiągnięty, pierwsza część przepowiedni spełniona.

Czyż miałyby się spełnić i druga, że synowie Banka zasiadą na tronie, okupionym tak drogo? Temu zapobiec trzeba: najemny zbójca morduje Banka.

Lecz Makbet ma sumienie. Nie był dotąd zbrodniarzem, więc czuje się nieszcześliwym, cierpi. Sumienie dręczy go widzeniami popełnionych zbrodni, sen ucieka od jego powiek.

Nic go jednak nie wstrzyma już na pochyłości. Pod wpływem mąk wewnętrznych, trwogi i podejrzeń Makbet sieje śmierć dokoła, jedna zbrodnia popycha go do drugiej, — i staje się tyranem.

Przebrała się wreszcie miara krwawych czynów: już nie podejrzenia przeciw niemu świadczą, ale jawne okrucieństwa i bezprawia. To też panowie szkoccy powstają przeciw ciemieżycielowi, przybywa z Anglii zbiegły syn królewski, zbliża się ostatnia walka.

Złowrogie czarownice łudzą Makbeta jeszcze przepowiedniami, które napozór zapewniają mu zwycięstwo, np. że pierwaj las Birnamski poruszy się z miejsca, nim zamek jego zostanie zdobyty. Ale las się poruszył, bo wojska powstańców osłaniają swe ruchy, niosąc gałęzie drzew, w lesie złamane. Makbet ginie przez własne winy, sam sprawca swego losu.

Przeczytajmy parę wyjątków z *Makbeta*.

AKT I, SCENA VII.

(Makbet pod wpływem szlachetniejszych uczuć cofa się przed spełnieniem zamierzonej zbrodni, — żona pobudza go jednak do czynu).

MAKBET. Jeśli to, co się ma stać, stać się musi,
Niechby przynajmniej stało się niezwłocznie.
Gdyby ten straszny cios mógł przeciąć wszelkie
Dalsze następstwa, gdyby ten czyn mógł być
Sam w sobie wszystkim i końcem wszystkiego,
Tylko tu, na tej doczesnej mieliźnie,
O przyszłe życiebym nie stał. Lecz zwykle
W podobnych razach tu już każn nas czeka.
Krwawa nauka, którą dajem, spada
Na własną naszą głowę. Sprawiedliwość
Zwraca podaną przez nas czarę jadu
Do własnych naszych ust. Z podwójnych względów
Należy mu się u mnie bezpieczeństwo:
Jestem i krewnym jego i wasalem.
To samo zbyt już przeważnie potępia
Taki postępek; lecz jestem, co więcej,
I gospodarzem jego, który winien
Drzwi zamknąć jego zabójcy, nie owszem
Sam mu do piersi zbójczy nóż przykładąć.
A potem, Dunkan tak skromnie piastował
Swą godność, tak był nieskalanie czystym
W pełnieniu swego wielkiego urzędu,
Że cnoty jego, jak anioły nieba,
Piorunującym głosem świadczyć będą
Przeciw wyrodnym sprawcom jego śmierci,
I litość, jako nowonarodzone
Nagie niemowlę, lub cherub, siedzący
Na niewidzialnych powietrznych rumakach,
Wiać będzie w oczy każdemu okropny
Obraz tej zbrodni, by wiatr łyż osuszył.
Jeden, wyłącznie jeden tylko bodzić
Podżęga we mnie tę pokusę, to jest
Wyniosłość, która, przeskakując siebie,
Dąży powalić drugich. (*Wchodzi Ledy Makbet*).
Cóż tam?

L. MAKBET.

Właśnie

Wstał od wieczerzy. Pocoś się oddalił?

MAKBET. Czy pytał o mnie?

L. MAKBET.

Ty mnie o to pytasz?

MAKBET. Nie postępujmy dalej na tej drodze.

Dopiero co mnie obdarzył godnością,

I sam dopiero co sobie kupiłem

Złotą u ludzi sławę, sławę, którą

Godziłoby się jak najdłużej w świeżym

Utrzymać blasku, nie zaś tak skwapliwie

Odrzucać.

L. MAKBET.

Byłaś pijaną nadzieją,

Co cię niedawno jeszcze kołysała?

Zasnęłaś potem i budziłaś się teraz,

Żeby ospale, trwożnie patrzeć na to,

Na co tak raźnie wtedy poglądała?

Nielepsze dajesz mi wyobrażenie

I o miłości twojej. Masz li skrupuł

Mężnie w czyn przelać to, czego pożądasz?

Chciałbyś posiadać to, co sam uznajesz

Ozdobą życia, i chcesz być zarazem

W własnem uznaniu jak tchórz, albo jako

Ów kot w przysłowiu gminnem, u którego

Nie śmiem przeważa chciałbym.

MAKBET.

Przestań, proszę.

Na wszystkim gotów, co jest godne męża;

Kto więcej waży, nie jest nim.

L. MAKBET.

I jakież

Zły duch ci kazał tę myśl mi nasunąć?

Kiedys ją powziął, wtedy byłeś mężem,

O ilebyś był więcej tem, czem byłeś,

O tyle więcej byłbyś nim. Nie była

Wtedy po temu pora ani miejsce,

Jedno i drugie stworzyć byłbyś gotów, —

Teraz się jedno i drugie nastrocza,

A ty się cofasz? Byłam karmicielką

I wiem, jak to jest słodko kochać dziecię,

Które się karmi; byłabym mu jednak

Wyrwała była pierś z ust nadstawionych,

Które się do mnie tkliwie uśmiechały,

I roztrzaskała czaszkę, gdybym była

Zobowiązała się do tego czynu,

Jak ty do tego.

MAKBET.

Gdybyśmy chybili?

L. MAKBET.

Chybić! Obwaruj jeno swoje męstwo,

A nie chybimy. Skoro Duncan zaśnie,

(Co naturalnie po trudach dnia prędko

Pewnie nastąpi), przyrządzonem winem

Dwóch pokojowców jego tak uracze,

Że się ich pamięć, ten stróż mózgu, w parę,

A władz siedlisko zamieni w alembik.

Gdy snem zwierzęcym ujęci, jak trupy

Spoczywać będą, czegoż nie zdołamy

Dokazać wtedy ze śpiącym Dunkanem?

Czego nie złożyć na jego pijaną

Służbę, na którą spadnie cała wina

Naszego mordu?

MAKBET.

Rodź mi samych chłopców!

Bo męstwa mego nieugięty kruszec

Nic niewieściego od dziś dnia nie spłodzi.

Skoro tych śpiących ludzi krwią pomazem

I użyjemy ich własnych sztyletów,

Któż nie pomyśli, że ta zbrodnia była

Ich dziełem?

L. MAKBET.

Któż ma pomyśleć inaczej?

Jeżeli zwłaszcza jękiem i lamentem

Nad jego śmiercią napelnimy zamek.

MAKBET.

Niech się więc staniel! Wszystkie moje siły

Nagnę do tego okropnego czynu.

Idźmy i szydźmy z świata jasnem czołem,

Fałsz serca i fałsz lic muszą iść społem.

(Wychodzą).

AKT II, SCENA II.

(Zbrodnia spełniona, uczucie zgrozy i trwogi budzi się w sercu Makbeta).

L. MAKBET.

Co ich uspiło, to mnie ocuciło;

Co ich zniemogło, we mnie zmogło siły.

Cóż to jest? Cicho! To puszczyk zahuczał,

Złowrogi ten stróż nocny, który groźnie

Woła dobranoc. On tam jest; podwoje
Nawpół otwarte, — pijane pacholki
Szydzą chrapaniem z swego obowiązku.
Taki im napój dałam, że natura
I śmierć spór teraz wiodą o ich życie.

MAKBET (*za sceną*). Kto tu? hej!

L. MAKBET. Biada! pewnie się ocknęli,
I wszystko za nic. Zamach to, nie zbrodnia
Zgubi nas. Cicho! Pokładłam sztylety
Tuż przecie przy nich; nie mógł ich nie znaleźć.
Gdyby był we śnie nietyle podobny
Do mego ojca, byłabym się była
Niechybnie sama na to odważyła.
Ha! I cóż? (*wchodzi Makbet*).

MAKBET. Stało się. Słyszałaś hałas?

L. MKKBET. Słyszałam sowy krzyk i poświerk świerszcza.
Cóżś to mówił, mężu?

MAKBET. Kiedy?

L. MAKBET. Teraz.

MAKBET. Kiedym tu wchodził?

L. MAKBET. Tak.

MAKBET. Cicho! Czy słyszysz?

Kto tam śpi w tamtym pokoju?

L. MAKBET. Donalbain.

MAKBET (*przypatrując się swoim ręką*).

Żałosnyż to jest widok!

L. MAKBET. Wstydz się mówić:

Żałosny widok; niemożny tak mówi.

MAKBET. Jeden się zaśmiał przez sen, drugi krzyknął:

Ratunku! aż się przebudzili wzajem;

Jam stał i słuchał, ale oni cicho

Zmawiali pacierz i znów się spokojnie

Do snu pokładli.

L. MAKBET. Tam ich dwóch jest.

MAKBET. Jeden

Zawołał: Boże! zmiłuj się nad nami!

A drugi: Amen! jakby mię widzieli

Z temi rękami kata, stojącego

I śledzącego ich trwogę. Jam nie mógł

Powiedzieć: Amen, wtenczas kiedy oni

Mówili: Boże, zmiłuj się nad nami!

L. MAKBET. Nie zastanawiaj się nad tem tak pilnie.

MAKBET. Dlaczegoż tego nie mogłem powiedzieć?

Potrzebowałem bardzo zmiłowania,

A jednak Amen zamarło mi w ustach.

L. MAKBET. Nie trzeba sobie takich rzeczy w takim

Świetle wystawiać; inaczejby przyszło

Oszaleć.

MAKBET. Zdało mi się, że słyszałem

Głos wołający: Nie zaśniesz już więcej!

Makbet zabija sen, niewinny sen,

Który zwikłane węzły trosk rozplata,

Grzebie codziennie nędze; sen, tę kapiel

Znużonej pracy, cierpiących serc balsam,

Odżywiciela natury, głównego

Posiłkodawcę na uczcie żywota.

L. MAKBET. Co wygadujesz!

MAKBET. Ciągłe mi brzmiał w uszach

Ten głos: Nie zaśniesz, nie zaśniesz już więcej.

Głamił sen zabił, dlatego też Kawdor

Nie zaśnie; Makbet nigdy już nie zaśnie.

L. MAKBET. Któż to tak wołał? O, szlachetny tanie,

Rozmiękczasz w sobie tęgość ducha, marząc

Tak chorobliwie. Idź, weź trochę wody

I obmyj rękę z tych plugawych znamion.

Pocoś tu z sobą przyniósł te sztylety?

Tam ich jest miejsce. Idź, odnieś je, pomóż

Krwia tamtych ludzi.

MAKBET. Już tam moja noga

Nie wnijdzie. Wzdrygam się, kiedy pomyślę

O tem, com zrobił; widok tego byłby

Nad moje siły.

L. MAKBET. Kaleko na duchu!

Daj te sztylety. Śpiący i umarli

Są obrazkami tylko; nikt, prócz dzieci,

Malowanego nie lęka się djabła.

Sama ubarwię krwią ręce i szaty

Tych dwóch pacholków, bo oni się muszą

Wydać sprawcami zbrodni. (*Wychodzi*).

(*Słychać zewnątrz kołatanie*).

MAKBET. Skąd ten odgłos?

Cóż się to ze mną stało, kiedy lada

Szmer, lada szelest przejmuję mię dreszczem?

Co to za ręce? Ha! wzrok mi pożera

Ich widok. Mógłżeby cały ocean

Te krwawe ślady spłókać z mojej ręki?

Nie, nigdy! raczejby ta moja ręka

Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić

I ich zieloność w purpurę zamienić. (*Ledy Makbet wraca*).

L. MAKBET. Mam teraz ręce podobne do twoich,

Ale się wstydzę, że jeszcze masz przytem

Tak białe serce. (*Kołatanie*). Słychać kołatanie

U południowej bramy: przejdźmy żywo

Do naszych komnat. Kilka kropel wody

Oczyści nas wnet z plamy tego czynu.

Jakże on wtedy będzie lekkim! Męstwo

Całkiem cię widzę opuściło. (*Kołatanie*). Słyszysz?

Znów kołatają. Przywdziej nocny ubiór,

Ażeby, skoro wyjść potrzeba będzie,

Nie pokazało się, żeśmy czuwali.

Przestańże gubić się tak nędźnie w myślach.

MAKBET. Obok uczucia takiej okropności,

Lepiej byłoby utracić poczucie

Samego siebie. (*Kołatanie*). Zbudź tem kołataniem

Dunkana! Obyś mógł tego dokazać! (*Wychodzą*).

W ostatnim akcie widzimy jednakże i dumną ledy Makbet złamaną

AKT V, SCENA I.

(Ledy Makbet, pod wpływem wyrzutów sumienia, we śnie powtarza scenę morderstwa i usuwa ślady zbrodni).

LEKARZ i jedna z DAM pałacowych.

(*Ledy Makbet wchodzi ze świecą w rękę*).

DAMA. Patrz pan, oto idzie! Tym samym trybem jak zawsze i najzupełniej uśpiona. Uważaj tylko, stój cicho.

LEKARZ. Skąd ona wzięta tę świecę?

DAMA. Stała przy jej łóżku. Ciągłe musi mieć światło przy sobie.

LEKARZ. Widzisz pani, oczy ma otwarte.

DAMA. Tak, ale ma zawartą ich władzę.

LEKARZ. Cóż to ona robi? Patrz pani, jak sobie ręce obciera.

DAMA. To jej ruch zwyczajny; zdaje się jej, że tym sposobem umywa sobie ręce; widziałam ją to robiącą, bywało, przez cały kwadrans

L. MAKBET. Jeszcze jedna plama.

LEKARZ. Cicho, zaczyna mówić; muszę sobie zapisać wszystko, co usłyszę, abym mógł lepiej spamiętać.

L. MAKBET. Precz, przekłeta plamo! precz, mówię! Raz dwa — czas działać. — Piekło ciemne. — Wstydz się, mężu, wstydz się! żołnierzem jesteś, a tchórzysz? Cóż stąd, chociażby się wydało? Nikt nas przecież nie pociągnie do tłumaczenia. — Jednakże, ktoby się był spodziewał tyle krwi w tym starcu?

LEKARZ. Słyszysz, pani?

L. MAKBET. Ten Fajf miał żonę; gdzież ona jest? Cóż to? Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą? Dość tego, mężu, dość tego! wszystko popsujesz tym obłąkanym wzrokiem.

LEKARZ. Nieszczęsna! Wiadome jej są rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

DAMA. Powiedziała, czego nie powinna była mówić; to rzecz pewna. Bóg raczy wiedzieć, co jej jest wiadomem.

L. MAKBET. Ciągłe ten zapach krwi! Wszystkie wonie Arabji nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki. Oh! oh! oh!

LEKARZ. Co to było za westchnienie! Ciężkież musi mieć brzemię na sercu.

DAMA. Nie chciałabym mieć jej serca w mojem łonie za wszystkie zaszczyty tego świata.

LEKARZ. W rzeczy samej.

DAMA. Nie daj mi, Panie, tego dożył

LEKARZ. Choroba tego rodzaju leży poza obrębem mojej umiejętności. Znałem jednakże ludzi, co śpiąc, chodzili, a mimo tego skonał bogobojnie na łożu.

L. MAKBET. Umyj ręce, weź szlafrok; nie wyglądaj tak blade. Powtarzam ci, Banko pogrzebany nie powstanie więcej.

LEKARZ. Czy tak?

L. MAKBET. Do łóżka! do łóżka kołatają do bramy. Pójdź! pójdź! daj rękę. Co się stało, odstać się nie może. Do łóżka! do łóżka do łóżka!

(*Wychodzi*).

Tak się rzecz dzieje na scenie, — Cóż więc jest treścią Makbета? — Walka człowieka niezwyklej siły charakteru o cel, namiętnie pożądaną; walka z sobą, z pokusami i przeciwnościami, potężniejszymi od wszelkich wysiłków jego woli, — walka, w której człowiek ginie pokonany.

Czy Makbet budzi współczucie? — Tak, — mógł być szczęśliwym, szanowanym, czystym, użytecznym krajowi, — tymczasem, ulegając złym instynktom własnego ducha, utracił wszystko, na co poprzednio zasłużył czego najmocniej pragnął, a zdobyć chciał gwałtem i zbrodnią.

Sam to mówi przed zgonem:

Dość już żyłem, wiosna
Życia mojego prędko przeszła, prędko
Żółtym, żwarzonym pokryła się liściem,
A to, co miało być działem starości:
Cześć, posłuszeństwo, miłość, grono wiernych
Sług i przyjaciół, wszystko to nie dla mnie!

Taki utwór dramatyczny nazywamy tragedją.

Tragedja więc ma ułuje walkę niepospolitego siłą ducha bohatera o cel namiętnie upragniony, z potężnymi przeciwnościami, które go wreszcie łamią.

Przeczytaj „Balladynę“ Słowackiego. Czy to jest tragedia? Czy bohaterka jest postacią silną i niezwykłą? Z jakimi walczy przeciwnościami? Czy one ją pokonywają? Czy budzi w nas współczucie?

Co to jest więc tragedia i komedia?

Nie każdy jednak utwór dramatyczny jest komedią albo tragedją. — Przeczytajmy np. „Panią Kasztelanową“ albo „Mnich“ Korzeniowskiego. (B. Un. Lud.)

Pani Kasztelanowa, ociemniała arystokratka, wychowana w przesądach o wyższości swego rodu, dumna i nieugięta, nie chce pogodzić się z myślą, że syn jej bez jej wiedzy zaślubił ubogą szlachciankę, i stara się o zerwanie tego związku.

W obronie młodej pary staje brat Kasztelanowej, stary wojskowy, lepiej znający ludzi i oceniający ich wartość. By zwalczyć przesady siostry, wprowadza do jej domu jako opiekunkę jej własną synową. Teresa pełni trudne obowiązki z poświęceniem i prawdziwie dziecięcą miłością, zdobywa też nakoniec serce matki.

Wtedy rzecz się wyjaśnia, kasztelanowa godzi się na wybór syna, i na gruzach zburzonego uprzedzenia zakwita szczęście wzajemnej miłości.

Jak widzimy, treść utworu jest poważna, więc nie moglibyśmy nazwać go komedią, — autor maluje błędy i ułomności ludzkie, ale one nie pobudzają nas do śmiechu, i autor nie ma bynajmniej zamiaru zabawienia czytelnika kosztem swoich bohaterów. — I tragedją nie możemy tego nazwać, gdyż żadna z osób nie ma bohaterskiego charakteru, nie stacza bohaterskiej walki z potężnymi przeciwnościami — Ludzie występują w tej sztuce zwyczajni, jakich codziennie spotykamy w życiu: rozumni i zaślepieni, szlachetni i ulegający słabościom, jak zwykle. Nie różnią się od ogółu ani siłą uczuć, ani postępowaniem, — w dążeniu do swych celów spotykają wprawdzie przeszkody, lecz je pokonywają, i wkońcu wszyscy są zadowoleni.

Tego rodzaju utwór nazywamy **dramatem właściwym**.

Zastanówmy się jeszcze, dlaczego dramatem nazywamy „Mnich“ Korzeniowskiego (B. Un. Lud.).

Do klasztoru w Osjaku schronił się Bolesław Śmiały po zabójstwie biskupa. Cierpi wyrzuty sumienia, nie śmie wstąpić w progi kościoła, stroni od ludzi i ukrywa swe imię i winę.

Do klasztoru przybywa wysłannik biskupa z wieścią o kłątwie na króla polskiego, któremu nikt nie ma prawa dać schronienia.

Jednocześnie poznaje króla przybyły z Polski Szreniawita, Bolesław opuścić musi ostatni przytułek, odtrącony przez Boga i ludzi.

Lecz miara jego cierpień dopełniona: zjawia się święty Stanisław, wobec wszystkich wprowadza Bolesława do świątyni, i król umiera u stopni ołtarza.

Więc utwór kończy się śmiercią bohatera, — lecz nie ginie on pokonany w walce z przeciwnościami, przeciwnie, śmierć jego jest tryumfem, świadectwem odpuszczenia winy, najwyższem szczęściem, jakie go na ziemi po dokonanej zbrodni spotkać mogło.

Wskaż różnice pomiędzy tragedją a dramatem właściwym.

Wskaż pierwiastek epiczny i liryczny w „Zemście“, „Makbecie“, „Pani Kasztelanowej“, „Mnichu“.

Dlaczego nie zaliczamy tych utworów do poezji epicznej ani lirycznej? Co je wyodrębnia?

W jaki sposób w tych utworach przedstawione są zdarzenia? Czy autor opowiada je od siebie?

Czem się różnią te utwory pod względem akcji od poematów, noweli, powieści?

Wskaż w każdym z tych utworów, na czym polega zawikłanie (kolizja)?

Wskaż kolizję w charakterze Makbeta.

Akcja i kolizja — główne warunki dramatyczności.

Co jest głównem zdarzeniem (osią dramatu) w Makbecie, Zemście?

Wskaż w tych utworach 3 główne momenty: ekspozycję (przygotowanie), kolizję (zawikłanie) i katastrofę (rozwiązanie).

RÓŻNE UTWORY.

Określ rodzaj stylu i rodzaj utworu.

RZEŻBIONE DRZWI ŚREDNIOWIECZNE.

Indziej znowu, gdzieś w zakąciu zapyłonej sieni jakiegoś odwiecznego domu, rysują się kamienne odrzwia, sięgające może żywota ostatnich Piastów. Fantazja średnich stuleci, owa wróżka czarnoksięska, oplotła je zwojem gałęzi i liści misterynych, wydziergała na nich kształty magiczne, jakby powieści ze starych lat. Zdaje ci się, iż to furta do państwa czarów, że za temi drzwiami świecą brylantowe pałace, ogrody śpiewające, drzewa, co rodzą jakby złociste jabłuszka, gadki i klechdy i baję czarodziejskie, słyszone niegdyś w dziecięctwie od nianiek przy kominku; rzekłbyś, że przez te progi za lada chwilę wystąpią rojem rycerze, królewny zakłète, lub smoki i karzełki, kur czarny i czarownice, i zbójców dwunastu, — oto, że cię przywita znowu ta cała hołotka drwiąca, świetlista, psotna, co ci była strachem i radością, kochaniem i trwogą w chłopięcych latach.

J. Kremer.

PIEŚŃ O DOMU.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łyzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o starych dniach?
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i pływych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż —
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złoźl...

M. Konopnicka.

ŚMIERĆ BORYNY.

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły pisać, gdy naraz Boryna¹⁾ poruszył się na łóżku, jakby przecykając, wraz też i księżyc uderzył w szyby i chlusnął, oblewając mu twarz srebrzystym wrzątkiem światła.

Przysiadł na łóżku i, kiwając głową, a robiąc usilnie grdyką, choiał cosik powiedzieć, ale mu jeno zabulgotało w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garście ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

— Dnieje... pora... — zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyrzwał oknem i jakby się budził z ciężkiego snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zasnął, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

— Pora wstawać, pora... — powtarzał, zegnając się wielokroć razy i zaczynając pacierz, rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoic, ale nie znalazłszy niczego pod ręką, zapomniał o wszystkim i błędził bezradnie rękoma dokoła siebie; pacierz mu się rwał, iż jeno niektóre słowa mamlał bezdźwięcznie.

Skoltniły mu się naraz w mózgu spominki jakichś robot, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła

¹⁾ Od pół roku nieprzytomny z powodu rozciętej w bóje głowy.

niego działał przez cały czas choroby; przesiąkało to w niego w strzępach nikłych, w bladych przypomnieniach, w ruchach zatartych, jak skiby na rżyskach, i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu i na świat parło, że porывał się co chwila za jakimś majakiem, lecz nim się go uczepił, już mu się rozlażył w pamięci, jako to zgniłe przedzie, i dusza mu się chwiała kiej płomień, nie mający się czem podsycić.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwieśnię drzewom poschniętym, że pora im przecknąć z drętwicy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora zaszumieć z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedząc, że płonne są ich śnienia i próżne poczynania.

Zaczem cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że ciągiem się jeno wkółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyrzwał na świat, zajrzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potem, jak stał, boso i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sień zalewało księżycowe światło; przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swoje-go, poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i, skrobiąc się w ucho, ciężko się głowił, jakie go to pilne roboty czekają?..

Pies radośnie skakał mu do piersi, — poglądził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było, jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupą, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu połśniewały, kiej lustra, wieś leżała w głębokim milczeniu, jedne ptaszyska co się wydzierają zapamiętałe po gąszczach.

Znagli przypomniło mu się coś, bo poszedł spieszo w podwórze; drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoly, — zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarżały, potem do krów wsadził głowę: leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to z pod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pospieszył i, nie doszedłszy, całkiem zapomniał.

Staął wpośrodku podwórza, obracając się na wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądś wołają.

Żóraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

— Czego to? — pytał, nasłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały coś cichuśko.

— Kto me woła? — myślał, dotykając drzew.

Łapa, chodzący wciąż przy nim, zaskomlał coś, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesolo:

— Prawda, piesku, pora śać...

Ale w mig i o tem przepomniał; rozsypywało mu się wszystko w pamięci, kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód; motał się w one złudy, jak to wrzecziono w nie, uciekającą wieczność, a ciągiem na jednym miejscu.

— Juści... pora śać... — powiedział znowu i ruszył różnie kole szopy opłotkami, wiedzącymi na pole; natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Za brogiem, od samej drogi a pobok ziemniaków, ciągnął się długi szmat podoróWKi; przystanął przed nim, wodząc zdumionemi oczyma.

Księżyc już był w pół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operlone rosami, jakby zasłuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pół, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pelzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami, kiej przedzie, obtulając je, niby ciepłym, wilgotnym kozuchem.

Wyrosłe, zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzą pod ciężarem kłosów, zwisających kieby te rdzawe dzioby piskląt, pszenice szły już w słup, stały hardo, lśniąc czarniawymi piórami, zaś owsy i jęczmiona, ledwie rozkrzewione, zieleńały kiej łąki w płowych przesłonach mgieł i światła.

Drugie kury już piał, noc była późna, pola pogrążone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiej cichuśkim chrzęstem i jakimś echem dziennych zabiegów i trosk — jak dycha mać, kiej przylegnie wpośród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przykleknął na zagonie i jał w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnawszy tyła, iż się ledwie

podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i zaczął obsiewać.

Przychylił się pod ciężarem i zwolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię po zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się z pod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna zapatrzone przed się, w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo, błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu żdźbłu, i siał — siał wciąż, siał nieustrudzenie.

Potykał się o skiby, płał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tem nie wiedział i nic nie czuł, kromie tej potrzeby głuchej a nieprzepartej, bych siał.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze koleczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zgingła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzane morze pól, ginął w nich, kiej ptak zabłąkany, lub kiej dusza, odlatująca ze ziemi — i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świegotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata chrzęstliwą falą zbóż...

— Puszczej, Kuba, brony, a letko! — wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, bych odpocząć i kości rozciągnąć, i znowu się brał do tej płonej pracy: do tego trudu na nie, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc żdziebko zmetniała, gwiazdy zbladły, i kury zaczynały pisać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i, zapomniawszy nabierać ziemi, pustą garścią siał — jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, — wszystkie dni przetyte, wszystek żywot człowieczy, który był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią cosik dziwnego zaczęło się dziać: niebo poszarzało, kiej zgrzebna płachta, księż-

yc zaszedł, wszelkie światłości pogasły, że cały świat oślepił nagle i zatonął w borych skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkimi krokami skróś mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przeciągły, złowróżbny szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz posniętych liści zaszemrał po kłosach, zakolysały się zboża i trawy, a z niskich, rozdygotanych pól podniósł się cichy, trwożny, jękliwy głos:

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion trzęsły się, jakby w płaczu, i gorąciami całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych.

— Gospodarzu! zdąży się skomleć żyta, zastępujące mu drogę i trzęsły rosistym gradem łez. Jakies ptaki zakrzyczały żałośnie. Wiaterek załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokrą przedzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron były jękliwie, nieprzerwanie.

— Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że, rozglądając się, wołał cicho:

— Dyc jestem, czego? co?...

Przygłuchło naraz dokoła, dopiero kiej znowu ruszył posiewać ociężała już i pustą dłonią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

— Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw: pełzały trawy, płynęły rozkołysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił i walił na niego, że strach go porwał; chciał krzyżeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił, i ziemia chwyciła za nogi, płały go zboża, przytrzymywały brzozy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa, zastępujące drogę, rwały osty, raniły kamienie, gonił zły wiaterek, błakała noc i te głosy, bijące całym światem.

— Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwiał naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w jasnościach oślepiających Bóg Ojciec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzecze dobrotliwie:

— Pódzi-że, duszo człowiecza, do mnie. Pódzi-że, utrudzony parobku.

Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas podniesienia.

— Panie Boże, zapłać! — odrzekł i runął na twarz przed tym Majestatem Przenajświętszym.

Padł i pomarł — w onej łaski Pańskiej godzinie.

Świt się nad nim uczynił, a Łapa wył długo i żałośnie.

Wł. Reymont. (Chłopi).

Z CHAŁUPY.

I.

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach,
Za sadami krępy sad wiśniowy,
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodółach, przy niskich obórkach.

Płot się wali; piotun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewczynek wieniec zdrowy,
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej, czy przyjdzie czas, co łyzy te spłoszy?...
J. Kasprzowicz.

PAPIERUCHA.

— Tu, panie, chojary były w tym lesie, ha! — prawil dalej Marcinek. — Ale naprzód ciął pan, teraz Zydy z Kałusyna tną, a tną, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem; obaj uchwycili się przeciwnego jej boku; konie stanęły; Marcinek umilkł, zeskoczył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

— Oś pękła!

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnemi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, my zaś wtuliśmy uszy w podniesione kołnierze paltotów. Tylko

Marcinek, nieczuły na spływające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy złotówki, które za nową będą musieli zapłacić „poczciwi panowie“.

— Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi“, mówi poeta — rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrześniowej kąpieli; — dziękujmy więc losowi, że nam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej dojeżdżemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnijmy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujmy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które aż nam po oczy bryznęło, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną.

Humor studencki zdolny jest nawet niebo wypogodzić; to też, spojrzawszy na nas, brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniemy, jak wojsko faraonowe, w tem morzu — zawolał wreszcie mój kolega — i nie dostaniemy się do wsi.

— Odwagi, Józiu! — odrzekłem roześmieszony; przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

— Na koniach!

— Masz słuszność! szkoda, żeśmy nie odprzęgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

— Czy tu myślisz dostać bryczki? — zapytał ironicznie Józef.

— Zajdźmy; jakiś płacz słychać.

— Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kulakami.

Wąskie opłotki chróstowe łączyły się z gościńcem zapadniętą i nadwreżoną chatą, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek.

Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod zlepionych brudem włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały, jak łyzy

nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały prze-
rażliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się
przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę
fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyzna miał na
sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach
ukazywała się pęga latem spalonego na słońcu, a teraz
zmoczonego na deszczu ciała.

— Co to wam? — spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został
na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem
w zapadłej sieni, w której czuło było wyziewy obory. Na
lewo znajdowały się drzwi do izby. Uchyliłem je lekko. Cisza.

— Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zale-
gał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy
zaklejonego okienka. Przyjrawszy się jednak uważniej,
spozstrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka szerniałych
obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa,
wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kozuchem
okrytą kobietę. Gdym się wpatrywał w jej trupa twarz,
nagle coś poderwało się pod moimi nogami. Oskoczyłem
strwożony, — było to leżące i do łóżka przywiązane ciele.

Kobieta ani drgnęła, domyśliłem się więc odrazu, że
musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczułem
nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy wtem
znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy
płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci, zalane łzami.
Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za
plot.

Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż
za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak
wyrzucał na wierzch ziemię. Miałże to być grób dla umarłej
kobiety?

— Co wy robicie? — zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzył na mnie surowo
i odrzekł:

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego! — mruknął, nie podniósł-
szy nawet oczu; zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął

żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kolka postronki i wszedł
do domu.

— Oszałał — szepnąłem do Józefa, który zdala był
niemym świadkiem tej sceny. — Poszedł po żonę... trup
leży w izbie.

— Zwierzę! — rzekł mój kolega wzgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyspieszonym tętnem.

Utkwiłszy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując
niespokojnie jakiegoś strasznego widoku. Wieśniak długo
nie wychodził. Od czasu do czasu słychać tylko było głucho
stukanie, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się
w cieniu sieni, okręcony postronkami, na których ciągnął
z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją
na progu, szarpnął gwałtownie i wywłókł na podwórze białą
nieżywą... krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

— Papierucha! Papierucha! — wołało dwoje starszych
rozpaczliwie.

Wieśniak, nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za
plot, odwiązał postronki, zepchnął ją do dołu wśród krzyków
dzieci i, popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na stercie
piasku.

— To nie moja zona, ale ich matka — rzekł do nas,
wskazując dzieci. — Wszystkie wykarmiła... Płaccie, płaccie,
bo ona już wam mleka nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznym łkaniem, że i ja
poczułem łzy w oczach.

— Bieda! — mówił dalej, — chłopska bieda! Zona rok
już umiera i dźwignąć się nie może... Śtóry morgi piasku
dosyć chleba nie urodzą; ót ta poćiwina nam pomagała.
Jakew drugiej dopozycyli, to i ziarno zwiezła, i pole zorała,
i jesce dzieciom mleka dała. Ha, wola Boża! Zdechniemy
i my, jak ona zdechła!

— Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

— A bom ja dochtór? Chłop nie pan, żeby wiedział,
na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z pod Podborza
mówi, że to koltun, a u nas jest baba, co gada, że to wole.
Słabowała tu kobieta, zwiezli felcera, dał lekarstwo, udzieliłi
kapkę, napiła się... ale gdzie tam! Pokrzywiło i trzyma,
a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła,

a tak... Boże, bądź miłościw... O, moja biedna Papierucha! — zawołał głęboko wzruszony patrząc w dół. — Gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci. — Papierucha! Papierucha! — wołały one ustawicznie. Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb. — Nie płacą, małe — krzyknął ojciec; — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomóc biedakowi, ale chuda sakiewka studencka nie pozwalała na sówite wsparcie.

Trudno! co można!

— Przyjmijcie ode mnie, gospodarzu, 10 rubli — rzekłem zakłopotany, — tyle tylko, co wam dać mogę.

Poczołwy Józio nie pozostał obojętny i on dołożył tyleż do mej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzył na nas zdziwiony, zdjął czapkę, chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały, a z oczu połały się strumienie łez.

Odwrociłem się od tego przykrego widoku.

Za nami stał Marcińek.

— Jest oś! — rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręku nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacji.

— Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi — rzekł Józef w zamyśleniu.

Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową; wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu.

Pierwsza prelekcja już się rozpoczęła. Gdy wchodziłem do audytorjum¹⁾, usłyszałem, jak profesor ekonomji politycznej wymawiał zdanie:

„Prosty wieśniak jest dlatego od nas szczęśliwszy, że, mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień”.

¹⁾ Audytorjum — sala wykładów.

W tej chwili Józio spojrział na mnie i uśmiechnął się smutnie.

Aleksander Świętochowski.

STAROWINA.

Szumi wicher listopada,
Dzień się mroczy, mżyć poczyna.
Sunie drogą starowina,
Bardzo słabe, bardzo blada.

W pół zgarbiona wiekiem, losem,
Już dzień trzeci sunie drogą,
A jeżeli mija kogo,
Zapytuje drżącym głosem:
— „Jak tu iść do huty wielkiej,
Tam, gdzie stoi piec zięjący,
Gdzie z żelaza grube belki
Ciągnie naród pracujący?”

A przechodzień wznosi rękę
W stronę, gdzie się jasność pali;
— „Bóg-że zapłać!” — na podziękę
Szepnie stara, idzie dalej.

Tak do huty doszła wielkiej,
Tam, gdzie naród dniem i nocą
Z niepożytą ducha mocą
Żyje w ogniu, ciągnie belki.

Niebo dymem się powlekło,
W głębi bale rządem świecą,
Grzmia kowadła, tłumy lecą
Istne piekło... istne piekło...

Starowina drżącą ręką
Do okienka w bramie puka,
Chwilę puka, chwilę stuka,
I rozwarło się okienko.

„Czy to tutaj, panie drogi,
Syn mój leży, co to jemu
Przy robocie, tydzień temu,
Połamało ręce, nogi?”

Przez okienko słychać zdala:
— „Takich, matko, dzisiaj pono
Trzech już od nas wywieziono...
Idźcie pytać do szpitala.” —

Popłakując, postękując,
 Starowina dalej kroczy;
 Przed nią wielki gmach się mroczy...
 Znow do okna puka, stuka.
 — „Puście, ludzie! Syn mój drogi,
 Mój jedynak tutaj leży,
 Matkę puście! Trzy dni bieży...
 Syn połamał ręce, nogi!”

U wilgotnej żebząc ściany,
 Płacze, chyli się, przykłęka.
 Słychać z góry u okienka
 W odpowiedzi głos zaspány:
 — „Takich wielu tutaj było!
 Co im długo żyć w męczarni?
 Przed godziną trzech skończyło,
 Idźcie, matko, do trupiarni!”

Okno z trzaskiem się zawiera,
 Wicher zawył, coraz mroczniej...
 Ciszej, stara, ciszej... spocznij...
 Resztką ducha w tobie zmiera!
 Szukasz syna?... Patrz do góry:
 Z mgieł wystrzelił blask księżycy;
 Patrz, tam jakaś nawalnica
 Korowodem pędzi chmury.

Coraz jaśniej księżyc świeci;
 Jakieś cienie na chmur fali;
 Jakaś postać wśród nich leci
 Coraz wyżej... coraz dalej...

Andrzej Niemojewski.

ROZMOWA PRZY KOMINKU.

— No, no, dość już tego, dość tego—zawołała Emilia—między nami człowiek cierpiący i znękany, a nikt z was jeszcze nie pomyślał, że przedewszystkiem, że najpierw trzeba duszę i człowieka ratować. Czy Benjamin pośród was ożyje? czy macie w sercu skuteczne na jego niemoc słowo? o to już dawno ktokolwiek powinien się był zatroszczyć.

Benjamin, dotychczas w milczeniu spuszczoną głowę trzymający, wzniósł oczy na Emilję; była jakaś obojętna

ciekawość w jego spojrzeniu, ale współczucia wdzięcznego nie było. Po chwili nawet ciekawość przygasła, zimną martwością zasłży źrenice, powieki znów się ku ziemi osunęły i znów nieruchomy, jakoby obcy, jakoby niebyły na miejscu swoim pozostał.

— Masz słuszość, święcie radzisz, Emilko—powtórzyła Tekla mówiącej—o Benjaminie myśleć nam się godzi. Znajdźmy dla niego użyteczną pracę, to najlepsza pociecha, najmniej zawodne lekarstwo.

— Użyteczną pracę? — podchwyciła Felicja — a cóż ty zowiesz pracą użyteczną? Jeśli pewien gatunek zatrudnienia, to mu każ drzewo rąbać, lub opis jego podróży drukować; jeśli zaś użyteczną pracą ma być praca moralnie dla bliźnich plonująca, praca, która im światła i ciepła, mądrości i siły ku enocie dostarcza, to mu żadnych nie dawaj rozkazów. Możesz z niego bardzo piękną wyrobić karjatydę¹⁾, możesz biegłego dziennikarstwu przysposobić korespondenta, lecz młody i pełen zdolności Alecbjades²⁾ już nie zmartwychwstanie. Złamał się piękny Greczyn, a bojownik Chrystusowy* nie dorósł swej miary. Oho! praca użyteczna!... toć niema innej, tylko chrześcijańska, ofarna. Ofiarna nie przez cierpienie konieczne, jak sobie wielu dziś wyobraża, jak niejeden tłumaczy i uczy — ofiarna nie przez krzyż, od którego mdleją nam ramiona, ale ofiarna z bogactwa duszy. Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, kto im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać: pieńdz, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia. Cóż ty chcesz, by im dzisiaj przyniósł ten Benjamin upadły, biedny, nie kochający, zginiony?

— Niech im da czas tylko — odpowiedziała Tekla — na początek ja więcej nie wymagam; niech da godzinę po godzinie, dzień po dniu, lata po latach, a zobaczycie, jak zwolna życiem pierś jego się napełni, światłością myśli rozplona; bo praca dla bliźnich, Felicjo, nie tylko jest samym wydatkiem, ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi; ona nie tylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci i zbogaca. Więcej przyjmujemy, niż nam dać jest

¹⁾ Karjadyta — figura kamienna, służąca w budynkach do podtrzymywania wystającej części muru. ²⁾ Wódz grecki, — tutaj nazwa Benjamina, nadana mu w młodości przez brata.

podobnem. Oto spróbuje tylko: dajcie pracować Benjaminsowi; choć zrazu w tę lub ową stronę się zachwieje, podtrzymujcie go na tej i na owej stronie. Sami wkrótce się przekonacie, jaki nam z niego wyrobnik przybędzie.

Za późno już, za późno! — rozbrzmiał jak wyrok surowy głos Seweryny. — Użyteczna praca nie może być ani jako ćwiczenie, ani jako zachęta uważana. Pan Bóg ją tylko na nagrodę dla wybranych swoich zachował. Spójrzciecie dookoła, moi państwo: widzicie, ilu tu ludzi gimnastykuje się, trzusi, poci, krząta, zwiąja, a ilu jest takich, którym użytecznie pracować wolno? Garstka mała, — z krociowego tłumu chętnych garstka wyłączona, kapłańska... garstka, do której może nawet z nas, tu siedzących, żaden imienia swego nie dopisze w przyszłości, bo ku temu innych stygmatów¹⁾, i nowych sakramentów trzeba. Daremne wasze zabiegi! Zostawcie go lepiej na tej, którą obrał, przypadłej i odpadłej drodze jego. Niech się wywiązuje z długów, zaciągniętych względem społeczeństwa — jedyną, jaką może złożyć nam korzyścią: niechaj grozi i ostrzega straszliwym upadkiem swego przykładem.

— Nie, nie! — z pośpiechem zaprzeczyła Emilja — musi być przecież i dla niego środek jakiś wybawczy; nie godzi się tracić nadziei ocalenia...

— Ach! gdyby ten Benjamin mógł się modlić!... — westchnęła Julja.

Benjamin westchnął także.

W tej chwili Henryk zerwał się z miejsca, obie ręce jak do uścisku i pieszczoty ku Benjaminowi wyciągnął.

— Bracie mój! bracie! gdybyś ty miał matkę!... — zawołał takim przejętym, takiej głębokiej prawdy wykrzykiem, że się jego echo o wszystkie nasze serca odbiło.

— Gdybym miał matkę! — powtórzył Benjamin i także wstał z miejsca: usta mu drżały, łza w oku błysnęła. — Gdybym miał matkę! O pewnie, z potępienia wiekuistego tylko matka wybawić może...

N. Żmichowska.

Kto dla siebie pracuje, ten siły utraci.

Ręk jego, jego ramion znikoma jest praca,

A wicher czasu, lecąc szeroko po świecie,

Przędę ową pajęczą uniesie i zmiecie.

Kto dla braci pracuje, ma moc za miliony,
Rośnie w siłę jak olbrzym, o ziemię rzucony;
Czas mu cegły podaje, utrwala budowę
I kładzie na jej szczycie swe piętno wiekowe.

M. Konopnicka.

GAŁĄŻ BZU.

Zdarzyło się, że w przeddzień uroczystości Zielonych Świątek wypadł pani Borowiczowej jakiś pilny interes w Klerykowie. Zawarta na początku roku szkolnego znajomość z panem Majewskim ułatwiła jej pozyskanie dla Marcinka na dwa dni świąteczne urlopu, wypisanego na urzędowym blankiecie z ogromną pieczęcią. I oto wiozła do Gawronka jedyną, jako niespodziankę dla ojca i całego folwarku. Radość obojga była tem większa, że ani matka, ani syn nie spodziewali się tak pomyślnego załatwienia sprawy, gdyż rzadko kiedy dawano na te święta urlopy. Gdy wózek pełen drózkami zjeżdżał z pochyłego przestworza i znalazł się u wejścia do rozdołu między dwoma wielkimi wzgórzami, noc już zapadała.

Dolina była dość długa a nie szeroka, — w niektórych miejscach tak nawet wąska, że na dnie jej ledwo mogły zmieścić się obok siebie: strumień i droga.

Nad wodą rosły zwarte olszyny i przysłaniały zakręty rzeczne. Gdzie niedługo stały kępami duże, smutne wierzby, o długich gałązkach i wąskich liściach. Konie wlokły się noga za nogą po kamienistym szlaku i były w pierwszym dopiero skrócie doliny, gdy na górę wszedł księżyc. Białe światło wolna rozpadło się w dole, na zboczach gór i po wąwozach. Widać było śpiczaste jałowce pod samymi szczytami i brzoźki o listkach srebrzysto-lśniących, kołyszące się od wietrzyków. Na dalekiej przestrzeni bieleły się kamienie rzeczne łóżyska. Tu i owdzie poza cieniem krzewów lśniły się między kamieniami ruchliwe, małe fale i wodospady płytkiego w tej porze strumienia, który, jak żywa istota, coś szeptał w głębokiej ciszy.

Ten szept opowiadał Marcinkowi cudowne rzeczy o wszystkim, co zaszło w wodach, odkąd pewien uczeń klasy wstępnej przestał taplać się na bosaka w rzece, łapać sakiem płotki, okonie i małe szczupaki, podobne do ciemnych kawałków drzewa...

1) Stygmat — znamię.

Osoba wychowawca gimnazjum została gdzieś na ubo-
ezu i Marcinek, zapatrzony w blask wody, począł na szum
jej odpowiadać jakiejś innej osobie, która była napoły
nim samym, napoły kimś zupełnie nieznanym.

Tak siedząc cicho przy matce, zabrął w niezmiernie
daleki świat marzeń.

— Paniczek to nawet nie wie, że nam gniadą ukra-
dli! — zawołał nagle Jędre, służący za fornała.

— Gniadą ukradli? — rzekł Marcinek, jak zbudzony
ze snu. — Przecie gniada idzie przed twoim nosem u dyszla...

— E!... a i cóż ta z tego, kiedy ją ukradli...

— Czy on naprawdę mówi, mamusi?

— Opowiedz-że paniczowi, jak to było!... rzekła matka
Marcinka.

Gniada klacz była ulubienicą całego folwarku.

Pochodziła z rodziny tak dalece arystokratycznej, że
rozpowiadano istne o niej legendy. Jedno z takich wierzeń
głosiło, że gniada w prostej linii pochodzi z dziada Araba
i matki, spolszczonej Angielki, — inne, że jest wnuczką
jakiejś Hatfy, importowanej wprost z Arabji — i tam dalej.

W istocie klacz miała główkę małą, oczy mądre, łop-
atki wydatne, piersi bogate i skórę cienką, ale wszystkie
te przymioty od ciężkiej pracy w roli, przy zwózce drzewa,
zboża i nawozu, od długich podróży w bryczce, straciły du-
żo ze swej wartości i nikomu obcemu nie wpadały już w oko,
gdy szlachetnie urodzonej boki zapadły i grzbiet jak pila
stercząc zaczął.

Klacz była zła, nikomu do siebie przystępu nie po-
zwalała; nawet swego furmana nie wahała się przy okazji
chwycić zębami, albo trzepnąć kopytem.

Pomimo to lubiono ją. Lubiono ją przez chępliwość
za przymioty, dzięki którym klacz, odrabiająca najcięższe
fornalskie powinności, istną końską pańszczyznę, mogła
w potrzebie obstać za najlepszą cugową. Miała zresztą
kilkoro pięknych źrebiąt, a te wyratowały pana Borowicza
z niejednego ciężkiego kłopotu, gdy je w kwiecie lat koń-
skich na targ wyprowadzono.

— A to tak było... — zaczął Jędre. — Z soboty na
niedzielę, będzie ze cztery tygodnie temu, poszlimy z Win-
centym spać... zwyczajnie w stajni. Spać duszno z koniami,
to my otwarli drzwi, tylko my *stangę* założyli. Samem śrubę

zakreślił na fest, kluczem pod żłób cisnął i układałem się.
Oni ta tylko głowę przytkną do słomy, już ci po nich...

— A ty, toś znowu czujny nadzwyczajnie! — wtrąciła
pani Borowiczowa.

— E... bo mnie, proszę pani, jedna baba urzekła
w Trzebicach, żebym niby do spania był taki chytry...
A no i pospali my się. Ledwie świt, jak ci mię ten Win-
centy wyrzną w łeb trepem! — Gdzie kobyła? — powiadają.
Ja spojrzę: *stanga* wisi, gniadej niema. Pod progiem my
spali — jakże on ta wyszedł, mój Jezus kochany? Dopiero
to jest *machenik*! Łabas my za *stangę*, a tu przerznięta,
jak mydło. Powiadają, że ma taką pileczkę cienką, ale to
głupiemu powiedzieć, żeby kto żelazo piłką urznął. Musi
para mieć włos z żydowskiego trupa i tym tak rznie. Wy-
lecieli my na świat... Przed stajnią widać było ślad do
stawu. Skoczyliśmy do stawu. Poszedł we wodę! My na
drugi brzeg ku Cieplakom — niema nigdzie! Rosa bielusi-
niecza stała na łąkach, a śladu ani — ani!

Dopiero oni powiadają, że może brzegiem stawu się
wziął, a potem wjechał w rzekę. Polecieli my i tam, ale
nie było nic, i pokój. Pan wstał, ludzie się zeszli, gwar,
krzyk, ale śladu nikt wypatrzeć nie mógł. Jak słońce przy-
grzało, rosa zginęła, to tam już nie było o czem gadać. So-
bieraj powiadali, że był gdzieś ślad na smugu, ale kto ich
wie. Oni zawsze muszą gębą rozpowiedzieć, co im do łba
przyjdzie. Poszli ludzie do kościoła, dobrodziej opublikował
z ambony, że tak i tak: kobyłę ukradli u pana na Gawron-
kach, a ktoby zaś wiedział, żeby zaraz znać dawał, ale
gwaru tylko z tego było dość przed kościołem po sumie,
a nikt nie mógł nawet wziąć na rozum, w którą stronę
złodziej pojechał. Pan to się tak zafrasował, co o kęs...
Mnie pan wyprał, ale co ja krzyw, kiedy my spali? Obiadu
pan nie jadł, tylko chodził po polach, pani to samo poszła
— i tak do wieczora. Ja pojechałem na siwym pod Wy-
brankową, Wincenty poszli ze Stasińskim do Dolnej, ale
my z niczem wrócili na wieczór. Po kolacji siedzieliśmy
tak wszyscy przede drzwiami. Cicho się stało, tylko żabska
rechotała, jak muzyka. Wtem jakiś mi się zdało, że kobyła
rży... Zerwałem się, aże mię ognie przeszły. Słyszę, a tu
daleko, daleko z pod lasu — drugi raz. Jak ja pójde z nogi
na staw! Miesiąc wszedł, nieprzymierzając, jak teraz, wi-

dno było na rosie het, het... Stałem pod krzyżem, na góreczce. Słucham, słucham, a tu znów rzy. Patrzę niedługo, a tu rwie łąkami, z tamtej strony stawu galop, ale tak, co ino, ino... Bez płot na pastewniku to wraz trzęgła, jak bez próg. Przyleciała pode wrota. Mój Jezu kochany! Jak wzięła rżec raz za razem, to jakby ten człowiek na człowieka wołał. Sam pan polecił otworzyć jej wrota. To my tak zaczęli hurtem beczec z radości... Miała na szyi postronek grubaśny, a na nogach koło pęcin poprzywiązywane jakieś gałgany, żeby widać śladu nie było. W lesie ją pewno przywiązał i układał się spać, a ona sobie już tam poradziła... Albo go może trzepnęła gdzie o ziemię — i poszła. Boki to miała zapadnięte, jak wściekła suka. Kazał jej pan dać tę resztę owsa, co była w śpichlerzu, chleba jej pytlowego trzy kromki pani dała, cukru słodzińskiego chyba ze cztery kawałki... Aż mi dziwno było, bo kobyliśko nikomu tego wieczora nie nie mówiło, ani razu nikogo nie chwyciło zębami, nikogo nie wierzgnęło, a co je kto poklepał, to ino se zarżało pocichu...

Marcinek słuchał tej opowieści w głębokiem wzruszeniu. Czy jego z miłością i pieśczęcią obejmowały kleszczyny chomąt i łeb gniadej, widoczne dobrze na tle srebrnej wody.

Po małych nadrzecznych łąkach rozpościerała się już rosa, jak lśniący obrus, utkany z włókienek mgły i światła.

Na niebie rozprysły się gwiazdy w niewysłowionem ich mnóstwie i przepychu. Zdawało się, że od nich urywają się niezmiernie małe świecące cząsteczki i powoli, nikłemi warstwami zsypują się ku ziemi.

Stały tam w przezroczystym lazurze jakieś smugi, dziwnie oświetlone, śpiące w niebiesiech ciała obłoków, drogi i znaki, kształty blasku niepojęte, nęcące oczy i duszę. Z traw szerzyły się zapachy dojrzewających kwiatów, od rzeki pociągał wilgotny, mocny i miły odór rokit i wikliny.

A wody wciąż szeptały...

Cichą ich melodję przerywało tylko ostrożne stąpanie koni po głazach i dźwięk żelaznych obręczy, gdy trafiały na kamienie, wspinały się na nie ze zgrzytem i, opadając, stukwały. Rozmowa ucichła.

Pani Borowiczowa miała wzrok skierowany na roziskrzane niebo. Dawne wspomnienia ciągnęły ku niej z da-

lekich przestworów cudownej nocy, młode nadzieje wypływały z serca, przeczuwającego już schylek swoich snów, kres marzeń i jakieś wielkie znużenie.

Teraz to serce rozwierało się na oścież dla przyjęcia wszystkiego, co człowiek uczciwy pielęgnuje i kocha.

Ziemskie troski, codzienne znoje, interesy i małości ustąpiły na chwilę, i matka Marcina o wielu rzeczach i sprawach niemal zapomnianych myślała, myślała...

W pewnem miejscu przejeżdżało się wbród przez rzeczkę. Wkroczywszy do wody, konie natychmiast zatrzymały się, schyliły łby i jęły głośno żłopać wodę.

Marcinek położył głowę na kolanach matki i, przycisnąwszy usta do jej rąk spracowanych, szepnął:

— Mamusiu, jak to dobrze, że mama po mnie przyjechała... Tak sobie jedziemy razem... To dopiero dobrze...

Gładziła pieśczętliwie jego włosy i, schylając się, w sekrecie nie wiedzieć przed kim, szepnęła mu do ucha:

— Będiesz zawsze kochał swoją matkę, zawsze a zawsze?...

Słodkie łzy, padające wielkimi kroplami z oczu chłopca, zastąpiły jej wyrazy odpowiedzi.

Tuż za rzeką droga wieszala się po urwistem zboczu góry, zarosłem tarniną i lasem dzikich głogów.

Gdy te zarośla zrzędy i rozsunęły się, widać już było w pobliżu migające światelka wioski, a dalej za nią w nizinie wielką, białą od księżyca szybę stawu i światła w gawronkowskim dworze.

Konie szły zwolna pod górę. Marcin wyskoczył z wózka i oczyma pełnemi łez spoglądał na te dalekie, duże okna, świecące w ciemności.

Przedę wsią, w pustce, na wzgórzu stała drewniana kapliczka, spróchniała już zupełnie od przyciesi aż do żelaznego kogutka na szczycie dachu.

Dokoła tej staruszki rosły bujne bzy z ogromnemi kiściami pachnących kwiatów.

Marcinek szybko skoczył ku kapliczce, wspiął się na płot i ułamał ogromny pęk kwitnących gałęzi. Wózek oddalił się i zbliżał już do wioski. Chłopiec rzucił się pędem po równej już tam drodze, strząsając rosę z kwiatów i, zziębnięty, cały ten pęk rozkwitły rzucił matce na kolana.

Nie miała serca wymawiać mu, że obrabował biedną, starą kapliczkę.

Modre kwiateczki odrywały się, spadały wraz z kroplami rosy i lgnęły do jej palców, a duszny zapach tak dziwnie ją upajał...

Stefan Żeromski.

Z IV CZĘŚCI DZIAŁÓW.

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki; Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki! Kędy spojrzysz — rudera, pustka i zniszczenie! Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie, Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła, Jak na omentarzu w północ, milczenie dookoła! O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy, Po krótkiem oddaleniu gdym wracał do mamy! Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka, Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka; Na rynek siostry, bracia wybiegają mali, „Gustaw! Gustaw!” wołają, pojazd zatrzymali: Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu. Mama z błogosławieństwem czeka mnie na progu; Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwie nie zagłuszy! Teraz pustka, noc, cichość, ani żywej duszy. Słychać tylko psa hałas i coś naksztalt stuku; Ach! ty to, psie nasz wierny; nasz pocziwy Kruku! Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny, Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny! Choć głodem przemorzony i skureczony laty, Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty. Kruku mój! pójď tu, Kruku! — Bieży, staje, słucha, Skacze na piersi, wyje — i pada bez ducha!... Ujrzałem światło w oknach; wchodzę — cóż się dzieje? Z latarnią z siekierkami plondrują złodzieje, Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki! W miejscu, gdzie stało niegdyś łóże mojej matki, Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły; Schwyciłem, zgmiotłem, — oczy na łeb mu wybiegły! Siadam na ziemi, płacząc. W przedporannym mroku Ktoś posuwa się, kijem podpierając krok.

Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła, Bardziej do czyścowego podobna widziadła; Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu, Żegnając się i krzycząc, słańia się z przestachu. — Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś, moja kochana? Czego po domu pustym błąkasz się tak z rana? „Jestem biedna uboga — ze łzami odpowie — W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie; Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci! Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci, — Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije, O panicu nie słyhać — pewnie już nie żyje!” Krwią mi serce nabiegło, wsparłem się u proga... Ach! więc wszystko minęło?

Książdz.

Prócz duszy i Boga!

Wszystko minie na ziemi — szczęście i niedola.

A. Mickiewicz.

DZIEŃ ŚWIĄTECZNY.

Dzień był letni i świąteczny. Wszystko na świecie kwitło, jaśniało, śpiewało. Ciepło i radość lały się z błękitnego nieba i złotego słońca; radość i upojenie tryskały z nad pól, porosłych zielonem zbożem; radość i złota swoboda śpiewały chórem ptaków i owadów w gorącym powietrzu, nad niewielkimi wzgórzami, w okrywających je bukietach iglastych i liściastych drzew.

Z jednej strony widnokregu wznosiły się niewielkie wzgórza z ciemniejszymi na nich borkami i gajami; z drugiej wysoki brzeg Niemna, piaszczystą ścianą wyrastający z zieloności ziemi, a koroną ciemnego boru oderwany od błękitnego nieba, ogromnem półkolem obejmował równinę rozległą i gładką, z której gdzieniegdzie tylko wyrastały dzikie, pękate grusze, stare, krzywe wierzby i samotne, słupiate topole. Dnia tego w słońcu ta piaszczysta ściana miała pozór półobróczy złotej, przepasanej, jak purpurową wstęgą, tkwiącą w niej warstwą ozerwonego marglu.

Na świetnem tem tle w zmieszanych zdala zarysach rozpoznać było można dwór obszerny i w niewielkiej od niego odległości, na jednej z nim linii rozciągnięty szereg kilkudziesięciu małych dworków. Był to, razem z brzegiem

rzeki zginający się nieco w półkole, sznur siedlisk ludzkich, większych i mniejszych, wychylających ciemne profile z większych i mniejszych ogrodów. Nad niektórymi dachami, w powietrzu czystym i spokojnym, wzbijały się proste i trochę tylko skłębione nici dymów; niektóre okna świeciły od słońca jak wielkie iskry; kilka strzech nowych mieszało złocistość słomy z błękitem nieba i zielonością drzew.

Równinę przerzynały drogi białe i trochę zieleniejące od porastającej je zrzadka trawy; ku nim, niby strumienie ku rzekom, przybiegały z pól miedze, całe błękitne od bławatków, żółte od kamioły, różowe od dzięcieliny i smółek. Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białą bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, słały się po drzewach fioletowe rohule, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurza ślepota, liljowe skabjozy polne wylewały ze swoich stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy delikatnej mietlicy, kosmate kwiaty babki stały na swoich wysokich łodygach, rumianością i zawadjacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków.

Za temi pasami roślinności dzikiej cicho w cichej pogodzie stało morze roślin uprawnych. Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już osypane drżącymi różkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane, słały się na szerokich przestrzeniach liściaste puchy koniczyzny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzieś niedździe kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołemi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owosów i jęczmion.

Ludzie dziś także byli weseli; mnóstwo ich ciągnęło po drogach i miedzach. Gromadami na drogach, a sznurami na miedzach szły wiejskie kobiety, których głowy, ubrane w czerwone i żółte chusty, tworzyły nad zbożami korowody żywych piwonij i słoneczników. Od tych gromad lały się i płynęły po łąkach strumienie różnych głosów. Były to czasem rozmowy gwarne i krzykliwe, czasem śmiechy basowe lub srebrzyste, czasem płacze niemowląt, u piersi w chustkach niesionych, czasem też pieśni przeciągłe, głodne, których nutę porywały i przedłużały echa ze stron obu: w borkach i gajach, rosnących na wzgórzach, w wielkim

borze, który ciemnym pasem odcinał pozłacaną, przetkaną szkarłatem ścianę nadniemeńską od wysadzanych srebrnemi obłokami błękitów nieba. W tym ruchu ludzkim, odbywającym się na urodzajnej równinie, czuć było najpiękniejszy dla wiejskiej ludności moment święta: wesoły i wolny w słoneczny i wolny dzień Boży powrót z kościoła.

El. Orzeszkowa.

W LECIE.

Wolno i sennie chodzą
Po jasnym tle błękitu
Złocisto-białe chmurki
Z połyskiem aksamitu.
Niekiedy się zasrebrzy
Pod słońca blask zukosa
Jaskółka śmigła, czarna,
Sunąca przez niebiosą.
Po łące cichej, jasnej,
W srebrne objętej ramy
Przez opalowy strumień,
Złote się kładą plamy.
Smaragdem słońce błyska
Na ciemnej drzew zieleni,
Lub przez konary rzuca
Ognistych pęk promieni.
Po niebie i po lesie,
Po łąk zielonym łanie,
Przejrzyste, zwiewne idzie
Błękitne zadumanie.

K. Tetmajer.

JEZIORO.

„Zmienne“ leżało na szczycie kamienistej wysokości, otoczone głuchym, zewsząd idącym lasem. Nie było do niego ani drogi, ani perci. Pełne było ciemnej a przezroczystej wody, gdzie zawartem kołem zielonem odbijały się świerki odwieczne i niska kosodrzewina. Czasami przeglądały się w niem żółte, dalekie turnie, jakby je ku tej wodzie samotnej gnała tęsknota. Nikt tam nigdy nie bywał. Ani człowiek, ani zwierzę. Nad głębią fruwały tylko niebieskie łątki.

Kiedy niekiedy zabłąkał się aż tam z odległych regli pomarańczowy motyl. Leśny płaszek siwarnik, ukryty w czarnej głębi smreków, seicha i rzewnie świergolił. Zresztą była cisza. Las obejmował staw silnem ramieniem. Jak mąż ślepy, głuchy i zdziochały w mękach zazdrości, osłaniał wiekuistym uściskiem łono tej cudnej, mieniającej się wody, która zamykała w sobie wszystkie cuda niebios, poranną i zachodnią zorzę, różnobarwne obłoki, wiatr i złotą błyskawicę, gwiazdy, księżyc i samo wieczne słońce.

Uwięziona woda czyniła sobie igraszkę ze wszystkiego, co wolność jej krępowało: ze świerków, kosówek, brzegów i złotego szlaku więdnących szuwarów. Ciągnęła w swoje odmęty las, pozwalała mu składać kosmate gałęzie na łonie swem, spokrewnionem z zorzą poranną, na łonie niepochwytnej barwy, jak kolor piór na szyi pawia, ale nim chwila minęła, rozgarniała jego gałęzie, czyniła z nich smugi długie, jakoby włosy zielone, przędła je w sploty cudaczne, ciągnęła wpoprzek swej tafli i kołysała powłóczyste zwoje na falach szklitych. Jak niespodziany uśmiech wznosiły się i cicho gasły ruchome welny.

I oto ginął w nich kaprys. Wizerunki drzew odmieniały się w widma długie, niepodobne do niczego na ziemi, niby to kliny włochate, nastrzępione, mokre, ostrzami zanurzone w głębiny, a dosiegające tak nieskończenie niskiej granicy, że ją ludzkie oko ledwie mogło pochwycić. Widma drzew wracały stamtąd, umykały w górę, strwożone i chwiejne, wałęsały się, drząc, to tu, to tam, jak muzyka złowieszcza, szybka i okropna, piorunującymi zmianami wyrażająca dokładniej niż rachunek bojaźń nocy bezsennej, bojaźń rozwartej przepaści bez dna.

Helena, skoro na brzeg jeziora przypadła, siadała w nieruchomości i mówiła do wody:

— Cóż mu dziś zrobisz? Jak się odmienisz? Siostrzyczko-niewolnico, jakże się będziesz dzisiaj bawiła? Ach, sama nie wiesz, sama jeszcze nie wiesz, co się z tobą za chwilę stanie...

I oto jak gdyby w odpowiedzi rozwierało się lazuruwe łono jeziora, i z nieopisanym przepychem płynął w niem obłok oślepiająco biały, namaszczone królewską mocą i potęgą wszystkiego blasku słońca. Kształt swój przemieniał z wolna: cudowna, złoto-biała jego głowa układała się inaczej,

coraz inaczej, by lepiej śnić jej było, śnić-myśleć o niebie bezmiernem, ojcze wiecznym, o ziemi, ślicznej matce. Wskroś obszarów lazuru szedł rozwiać się w inną postać, w coś innego się zamienić, przeistoczyć i — zginąć.

Stefan Żeromski.

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECYNACH.

W Ciemnosmreczyńskich skał zwaliskach,
Gdzie pawiookie drzeźmią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosną trawy,
Bokiem się piętrzy turnia śliska,
Kosodrzewiny węzowiska
Poobszywały głążne ławy...

Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spczywa obok krzaku róży.

Jan Kasprzowicz.

WALKA Z WICHREM.

Sablik spostrzegł, iż z grani¹⁾ i z turni jakoby białe potoki mąki się suły, lub zakwitały nad niemi jakby białe ogony pawie z pyłu świecącego na powietrzu: to śnieg się obsypywał i wzmiatał. Wiatr począł duć.

— Niegze ta! — szepnął Sablik i piał się dalej po herbikach i zachodzikach, po szpatach, źlebach, zawiesach, półkach i krzesanicach, po upłazkach²⁾ i dolinkach, aż nad przepaścią koło ściany się sunąc ku przełęczy się dobił i na świat na drugą stronę Tatr spojrział.

Aliści dolina nad Hinczowym Stawem zawałona była mgłą. Nisko, w dole leżało jakby morze mgły, grubej, gęstej, nieruchomej, siwociemnej. Dookoła ponad nią ster-

¹⁾ Grań — krawędź skały. ²⁾ Wyrazy te okazują bogactwo gwary podhalańskiej.

ozwały góry ponure i nieubłagane jakieś, okrutne, straszne, wysokie do zawrotu oczu, potworny kocień pomłoką napelniony.

Cała kraina liptowska zasłana była chmurami białosinemi, nieprzejrzanemi.

Wiatr dał od południowego wschodu.

— Be¹⁾ śnieg — pomyślał Sablik.

I zawahał się: spuścić się w dół, ku Liptowu, czy ku Polsce i przeczekać kurniawę?

Lecz kurniawa mogła trwać długo.

— Dyj ja tu bez to nie zginę — rzekł śmiało. On całe życie z górami walczył.

Wtem wicher uderzył nagle tak silny, iż Sablik za skałę zachylić się musiał. Wiatr podbił mgłę nad doliną, wzruszył ją w nieruchomości.

Naówczas przed oczyma Sablika otwarła się pod dachem chmur czarna otchłań, w głąb niedowysłowienia szereka przepaść, wśród której pod podgiętym jakoby potwornym baldachimem pojawił się Hinczowy Staw i złomy i zgręby turni nad nim stojących.

Sablik patrzył i wahał się.

— Może wiatr oczczenie gmy²⁾...

On zaś z szalonym pędem otwierał widok nad doliną Liptowa. Dźwigał chmury i ukazywał coraz szersze, coraz dalsze widnokręgi, miasta i wsie w bezmierzu, pod baldachimem mgławicy.

— Ozjaśni się s kąta — myślał Sablik, obserwując.

Wtem ciemny obłok podniósł się od Wysokiej, z za turni, gdzieś z pod Gierlachu, wicher zawył i śnieg zaczął sypać, zaczął się świat.

Sablik zwrócił się ku Polsce.

Tam jasno było i Rybie Jezioro błyszczało w słońcu, jakoby góry przecinały na dwie połowy świat szafirową pozłotą.

Sablik zaklął, zwrócił się w mgnieniu oka i spuszczać się począł, skąd przyszedł.

Lecz chmura ściagała go, dopadła i ogarnęła, waląc śniegiem i słońce mu przestrzeń przed oczyma czarnym prawie całunem.

¹⁾ Będzie. ²⁾ Może wiatr rozpędzi mgły.

Gdzieś, w przestrzeni przeblyskiwało mu poza kurniawą słońce, ukazywały się plamy wielkie blade, a rażącego światła, lecz znikły.

— Ogarneno świat...

Ale Sablik schodził śmiało. On to wszystko znał. Siompawice, lejby, naremnice, burze, fujawice, dujawy, kurniawy, pomłoki, gmy jak ciasto. On to wszystko znał, setki, może tysiące razy przetrzymywał i przebywał, on więcej niż pół wieku z Tatrami walczył.

I wydawał się sam sobie niezwykłym.

Śnieg zaś sypał się płatami, zalepiał oczy i usta, gnany wichrem wyjącem wśród ścian niezmiernej samotnej wysokości skalnej. Sablik schodził w noc.

Niedowypowiedzenia groźna ciemność zamroczyła stworza. Zda się, jakby chmury śniegwały zatoczyły sobą ziemię aż po krańce, jakby gruby jakiś, obcy mroku żywioł zapanował nad ziemią. Wszelka nadzieja się w nim traci, wszelkie spodziewanie.

Na ramiona wali się ciężar i głowę przygniata, oczy zaś czując prawo wzroku, wyteżają się gniewnie, strwożone i bezsilne, jak jaskółki zaskoczone burzą, gdy ciągną.

— Kieby ja oreł biał — myślał Sablik — wyniosłbyk się obwysno nad śnieg...

Wtem ujrzał pod stopami skrzesaną ścianę.

— Tędęjek nie seł¹⁾ — pomyślał.

Zwrócił się na lewo i ujrzał przepaść; na prawo to samo.

— Ki dyasi aj dyasi, kajek wlasz²⁾

Cofnął się, lecz naokół były skrzesane ściany.

— Pomyliło mię plugastwo...

Stanął i próbował sobie wyzbacować drogę, ale snadź już chwilę szedł błędnie.

— Powrót zły...

— Drzewo ścięte ka bądź zlebem wyprościs, ale ceka nie...

— Godnie śniegiem przypięrło³⁾ — — kapce kielzajom — — coby nie zjechać...

Ujrzał wąski zachodzik — chwyciwszy się rękami granitu nad sobą i ledwo boki stóp nad urwiskiem na granicie

¹⁾ Tędy nie szedłem. ²⁾ Co u diabła, gdzie włazłem? ³⁾ Przyproszyło.

mieszcząc, przesunął się i dostał pod zawieszoną skałę, z pod której go wiatr chciał oderwać i strącić.

Naówczas Sablik zgrzytnął zębami, skupił się w sobie, ściągnął w siebie, napiął mięśnie, wtulił kark w ramiona, wystawił nieco czoło naprzód i oczy mimo śniegu rozwarł szeroko i rozpoczął walkę z wichrem.

— Pojź podż — szeptał, miażdżąc wargami mokry śnieg. — Podż! Myślisz, że ja stary? Zruciłbyś mnie?

We mgle uczyniła się niemal noc. Sablik nie wiedział, jak głęboką ma otchłań pod sobą.

Wiatr odpychał go od turni, odrywał, ciągnął w dół.

Wtem Sablik zwrócił się w bok, objął wyzrub skalny nad swoją głową rękami, dźwignął się i zawisł w powietrzu.

Wiatr kołysał nim, przegibał go na prawo i na lewo. Sablik zaś z zaciśniętymi zębami dźwigał się na rękach nad przepaścią i na wyzrub wydostał.

Postanowił się piąć ku górze, ku przełęczy pod chłopkiem, na siodło. Tam naremięć przeczekać, lub po łagodnym zboczu od strony południowej w dolinę się spuścić.

Na brzuchu na granicę leżąc, czołgał się w górę, pierściami, udami, kolanami, brodą przywierając do skały. Przewijał się jak wąż ponad wiszące wpół w powietrzu gzymsy skalne, zwieszony wystającą połową ciała we mgle, pełzał po zrębach turnie, po ledwo znacznych półkach; palce w szpary wbiwszy, cały na rękach, przeslizgiwał się po chylonych płytach granitowych rozpękłych, nogami w wietrze pływając nad straszną otchłanią. Walczył.

Nie walczył o życie i o istnienie z bojaźnią. Wielki strzelec nie znał trwogi. Oto wicher naprzeciw niego stanął, zastąpił mu ze śniegiem, z mgłą, ze swoją mocą piekielną. Wicher rzucił się nań, jak orzeł na skalnego capa. Ów, ufny w swoją siłę, rogi pod piersi orła nadstawia. Sablik na moc wихru odpowiedział swoją mocą, na jego zaciętość swoją odwagą. Nie uląkł się go. On z tym olbrzymem Tatr walczył często, nigdy mu nie ustąpił, nigdy się nie cofnął i zawsze go zwyciężył i patrzył za nim z wierchów jak na tumanach chmur niósł się het na doliny, gdzie lasy łamał i domy wywracał. Sablik polować szedł i nie znał trwogi. Wicher czy niedźwiedź jednakże mu się przez więcej niż pół wieku słały pod kierpce. Sablik rzucił się na wiatr, jak łosoś, który progi skalne przesadza.

W suche, zawiedłe ciało myśliwca wicher uderzał, jakby je zniostwić pragnął, ale twarde, zakrzepłe mięśnie i kości opierały mu się z wytrwałą mocą.

Tatry całe wyły, huczały i świszczwały. Huraganem napełnił się, wezbrał, przepełnił ich świat. Wicher jakoby się nie miał gdzie w nich podziać, szumił po skałach, wypływał w górę i w dół spływał, jak fala wody, któraby głązy z hukiem staczała. Lecz Sablik w tem piekle śnieżnym nie drżał. Walczył.

I wydobył się na przełęcz.

— Wis, beskurcyja, — rzekł do wихru, — nie dalek się.

W drodze tej zgubił wszystko: łuk, kołczan ze strzałami, ciupagę, woreczek z mąką, torbę myśliwską — pozostały mu tylko gęśle, które wyjął z rękawa czuhy, zawdziewając ją, za kark sobie za koszulę na plecach wsunął.

Wiatr od południa był słabszy, droga łatwa. Sablik zstępował w dół w zawiei śnieżnej. Dobit się kosodrzewiny, ale dziwnie czuł się słaby.

Cysto pięknie się zamordował, widziało się, co się hnet i zębami trza będzie htać...

Legał na konarach; był bez sił, bez władzy w ciele. Snać spał, długo spał.

Albowiem musiało to być nazajutrz, gdy ujrzał nad sobą jasne, czyste, śliczne, promienne, błękitne niebo i słońce wysoko. Nieopodal poniżej błyszczał wielki Hinczowy Staw, wysoko szczyty stały, pogodne i spokojne.

Dookoła był śnieg.

Śnieg miękki, puszysty, ogromny, tak wielki, iż turnie, kosodrzewina, drzewa w nim ginęły, który byłby zasypał Sablika, gdyby krzak kosodrzewiny, gdzie legł, nie rósł na wyniosłym złomie skały.

Dokoła stały góry spokojne, milezące, wyraźne, świecące się jak srebrne...

K. Tetmajer.

CZARDASZ.

(Urywek).

Hej, czardasza ty mi graj,
cygańska muzyko!

Huczcie basy, gęślo łkaj,
a szumnie, a dziko...

Ile smutku w duszy mej,
ile kłatwy, żalu:
tyle w gęśle twoje wlej.
Hej, czardasza graj mi, hej,

Cyganie-góralu!...

Ile żalu w piersi mej,
tłumionego dumnie:
tyle w gęśle twoje wlej.
Hej, czardasza graj mi, hej,
a dziko, a szumnie...
Hej, w nas obu skalna krew,
dusze w obu harde —
wygraj-że mój cały gniew,
cały gniew i wzdargę...

Słuchaj, słuchaj — szumi bór
daleko, daleko —
zagraj-że mi, jak on gra,
kiedy wichry po nim gna;

niech ze smyczka leci wiór,
niech łyż ze strun cieką...
Hej! Niech mój nie pada trup
na doliny nisko —
nie dla niego w ziemi grób,
ni śmierci igrzysko!
Na granitach leżeć mu
wśród ciszy nadskalnej,
niech kołysze go do snu
łkający wiatr halny...
Niech mu szumią smutnych limb
konary zielone,
chmury mu uwijają nimb,
a tęcze koronę...
Wielkie orły lecą tam
i krążą, i kraczą,
z granitowych płynąc bram,
wielkie wody płaczą...

K. Tetmajer.

WYJĄTEK Z DZIENNIKA.

25 grudnia.

Boże Narodzenie! Przez okna, w połowie zakute mrozem, już o 7-ej wpada jasność zorzy porannej i rysuje bladą siatkę ram okiennych na przeciwległej ścianie. Zwolna wstaje wielki dzień — nad Koszytą bije wielka luna, szeroka jasność; zdaje się, że słońce lada chwila rzuci snop promieni, lecz ono się nie śpieszy, i mijają kwadrans po kwadransie, a słońca niema, tylko jasność staje się coraz świetniejszą. Nakoniec zapala się najwyższy szczyt Osobitej, potem drugi niższy, potem przełęcz — i cała góra, widziana przez ramiona potężnego modrzewia i różgowate gałęzie jesionów, wydaje się nadzwyczajnem, świetlnem zjawiskiem pośród całego świata, pogrążonego jeszcze w cieniu. Zjawia się różowy odrzask na gładkiej kopicy Czerwonego Wirchu — i zwolna kilka zębów na Kominach Dudowych słońce zapala wspaniałemi blaski, jak rząd kinkietów — i złocą się turnice ponad masami skał i płaszczyzn, i lasów, i dolin. Długo, długo później, bo dopiero w pół godziny, padają pierwsze promienie na polanę wyżej Pająkówki na Gubałówce,

zrazu blade i rozstrzelone, aż wreszcie oświecając coraz niższe stoki, w całą godzinę później zjawiają się w dolinie Zakopiańskiej i w pokoju.

I wstaje wielki dzień! Mróz trzaskający 21^o, gonty na dachu trzaskają z łoskotem. Przejrzystość powietrza tak wielka, że góry wydają się tuż, jakby się zniżyły, zmałyły pod olbrzymim stropem niebieskim, czystym, jasnym, nieopisaną przezroczystości. Oczy nie znoszą blasku i bieli śniegu, który skrzypi jakimś metalicznym zgrzytem szkła tłuczonego. Śnieg jest sypki, że i ździebelko nie przywiera do obuwia, garnie się i osypuje pod stopami jak mialki piasek, jak żwir, drobny, suchy, na polach iskrzący się temi niepojętymi blaskami złota, ametystów i szafirów, rzucający ognie brylantów — a w wielkiej płaszczyźnie podobny do ziarnistego marmuru. W powietrzu stoi wielka cisza; ani przeleci wrona, ani zacząwka wróbel, lub sikora, nie zatrzeszczy sroka, nie zaszczeka pies. Nawet potok usnął snem zimowym i umilkł pomruk jego. Tylko nawiewy ledwie odczuwanego wietrzyka przynoszą głos organów, wtórujących ludzkiej pieśni: to ranne nabożeństwo w wielki dzień chrześcijański.

W kościele mroźno; na ołtarzu płoną złote świece martwem woskowem światłem gdzieś daleko w głębi nad polem głów ludzkich, zwartych jak kamienie mozaiki, nad którą unosi się para oddechów, a z każdej śpiewającej piersi bucha słup biały — i pieśń „Opuszcisz, a zstąpisz na te niskości ziemskie” płynie potężnym chorem, dziwnej prostoty i wielkości. Pieśń ta wydaje się czemś nadzwyczajnem, gdy się pomyśli, że dziś, o tej samej godzinie, śpiewa ją polska krtań od Heli — do Zakopanego, od morskiej fali do granitowej turni — i śpiewają dziś, jak kilkaset lat temu. Ci, co do kościoła się nie zmieścili, z obnażoną głową stoją na dworze, przylepieni do ściany, szarej ze starości, prawie czarnej, jak Żydzi pod murem Jerozolimy; ci zaś, co słuchem nie mogą zespolić się z wnętrzem przez ścianę, stoją zwartą cizbą przed drzwiami. Oczy wszystkich wlepione wewnątrz, w ciemną dal, w jarzące świece. I wśród 20^o mrozu płynie potężny chorał — równo, spokojnie, jak wielka rzeka, a serce ogarnia wielka otucha i rzewność wielka. „Miłość moja to sprawiła, by ołowieka wywyższyła“.

Władysław Matlakowski.

BAŚŃ TĘCZOWA.

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska baśń tęczowa
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zakłęk słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kotyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mię niosła...

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki.

Otworzyła mi zakłębem
Brylantowy w skałach parów —
I wkroczyłem raz na zawsze

W kraj olbrzymów, widm i czarów.

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki, czy boginie,
Więc na całą życia kolej
Szedłem błądzić w tej krainie.

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,

W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać.

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci.

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa.

I witały mię po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie

W niezmierzoną przestrzeń światów.

I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
I przepaści brzeg ponury.
Ja słuchałem śpiewnej wróżby
I z ożywczej piłem fali,
I w głęb dzikszej coraz puszczy
Niestrożony szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą:

Biegnę naprzód, zapatrzonny
W jakąś jasność tajemniczą.
I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmetry,
I stanąłem u stóp góry,
Prostopadle na dół ściętą.

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zakłębem w swojej mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczykiem stoją smoki...
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną.

Swe spiżowe jeżąc łuski,
Bronią skarbu zakłębego:
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic

W kryształowym zamku strzegą.
Jednak, mimo czujnej straży,
Jam ją ujrzał na skał szczycie
I odgądiem, żem tu przybył.
Aby dla niej oddać życie...

Miała gwiazdę na swem czole,
Pod stopami — sierp księżycy,
Błękit nieba w jasnych oczach
I aniołów cudne lica;

I odrazu swem spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzonny tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królowny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem chwycić ją w objęcia...
Gdy powojów pękły sploty —
I upadłem w głęb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: „Za nią! za nią!
Idźcie ginać, o rycerze!

„Idźcie piąć się w górę, w górę!
Ponad ciemnych skał krawędzie:
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiedzie.

„Choć nie dojdzie, chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza część życia
W takiej walce i pogoni.

„Warto choćby widzieć zdala
Ów zakłębny gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.

„Gdyby przyszedł mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękicie!”

A. Asnyk.

GARŚC ZIEMI OJCZYSTEJ.

Izba, w której w drzwiach roztwartych stanął Meir, wyglądała dość dziwnie. W głębi jej, na ławie, umieszczono pomiędzy ścianą a stołem, siedział Izaak Todros, w którego ubraniu i postawie nie znać było świąteczności żadnej. Miał on na sobie tę samą co zawsze długą suknię, zszażaną i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziała czapka, na tył zsunięta w taki sposób, iż zmięty daszek jej sterczał nad czołem złotem, ocienionem ogromną gęstwiną włosów kruczonych, zlekka tylko przyprószonych siwizną.

Nie odrzuca jednak mógł Meir rozpocząć z nim rozmowę. Todros rozmawiał ze starcem jakimś, którego opylona odzież świadczyła, że przybywał zdaleka, a który, wspierając się na kiju, stał przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Starzec ten prosił rabina o udzielenie szczypty ziemi, z Jerozolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę — mówił drżącym od starości i wzruszenia głosem — pojechać do Jerozolimy, aby tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy na drogę nie mam. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który tobie każdego roku stamtąd przywożą, ażeby wnuki moje mogły mi ją na piersi posypać,

kiedy dusza moja rozwidzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi lżej będzie spać w grobie; a prawdaż to jest, że do tych, którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki i ciała ich nie jedzą?

— To jest prawda — odpowiedział poważnie rabin, i, wyjąwszy garstkę białego piasku z worka, w którym drogocenny przedmiot starannie owinięty był i obwiązany, owinał ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął ten dar trzęsącą się od radości ręką, złożył na nim długi, pobożny pocałunek i schował go na piersi, za połą łachmaniastej, cuchnącej odzieży.

— Rabbi! — rzekł — ja nie mam czem zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swoją i przewrał szybko:

— Zdaleka widać przybywasz, skoro o zapłacie dla Izaaka Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nie zapłaty żadnej nie biorę; a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę za to błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do tej mądrości, którą już posiadam, a której nie syta nigdy dusza moja pożąda.

Starzec chwiejnym krokiem, o kiju zbliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łaknącego mądrości.

— Rabbi, — westchnął starzec pobożnie — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoją...

— Pocałuj — łagodnie odpowiedział mistrz, ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął w obie dłonie głowę jego, białymi jak mleko okrytą włosami, i głośny pocałunek wycisnął na sfaldowanej i zeschłej skórze jego czoła.

— Rabbi! — zawołał starzec z wybuchem szczęścia w głosie — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty — rzekł Todros — błogosławionym bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierności Zakonowi Pana i miłości dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach, i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakoś smętną miłością!

El. Orzeszkowa.

WYMARSZ WOJSKA.

Nim zaświtało, nim jutrenka zarumieniała się na wschodzie, przerwał ciszę wrzask trąby, który się nagle rozległ, a tak silnie, że, zdawało się, powietrzem wstrząsnął. Echa rozniosły go daleko po okolicy. Pobudziło się ptactwo w lasach. Mewy z krzykiem w skrzydła uderzyły i błędnym lotem ponad brzegiem krążyły.

Trzykrotnie wrzask trąby się powtórzył i Sen¹⁾ nagle znów życiem i ruchem zawrzała. Plac począł się napęlniać ludem, który, niby rzeki do jeziora, napływał ze wszystkich naraz ulic i uliczek i kupił się pod kościołem, w którym sygnaturka wiernych na poranną wzywała mszę. Część obecnych weszła do wnętrza świątyni, ale część większa pozostała na dworze. Karność postaw wyrażała modlitewne skupienie ducha. To trwało chwilę. Na krużganku pojawił się zakonnik, wyciągnął nad głowami tłumu dłonie, przeżegnał, wodą święconą nakrzyż pokropił, i w tłumie natychmiast zrobił się ruch, mający na celu oddzielanie się ludzi orężnych od starców, kobiet i dzieci.

Pierwszy blask dnia oświecił pięć czet²⁾ w szyku bojowym, jedna obok drugiej stojących. Nad każdą wiał proporzec. Jutrznia różowa przeglądała się w zbrojach i orężach.

Czety uszykowały się i ruszyły.

W miejscu tem zmuszony jestem głęboki żal wyrazić, że nie posiadam poetycznego daru słowiańskich gęślarzy, celujących w opisywaniu wojska, wyruszającego na wojnę. Z jakąż dokładnością oni to robić umieją! Jak najdrobniejszy szczegół uwagi ich nie uchodzi. Jak to oni wyrazy zmieniają w pendzel i malują onym każdą niemal postać z osobna, tak, że czytelnik widzi ją przesuwającą się przed oczami jego. Niestety! nie jestem poetą, poprzestać więc muszę na takim opisie, jaki z zestawienia historycznego podań wynika.

Ruszyły czeta za czetą z placu w uliczki ciasne. Za niemi posuwała cała Seni ludność. Sformowała się długa a wąska kolumna, na przedzie porządna, a na tyłach mętna, która, znikłszy na moment pomiędzy domami, wynurzyła się za bramą miasta i wyciągnęła na drodze, ślimaczemi na dół

¹⁾ Sen (Senje) — główne siedlisko Uskoków, z którego oni przedsięwzięli wyprawy wojenne przeciwko Turkom. ²⁾ Czeta (wyraz serbski) — oddział wojska, złożony ze stu ludzi,

zbiegającej skrętami. Gęślarz mógłby się zapytać: czy to łabędzie na dół się spuszczały? Mógłby na zapytanie to tak odpowiedzieć sobie:

— Nie, nie łabędzie to, chociaż do wody idą, ale... sokoły chyba... Nie, nie sokoły to: sokoły bowiem do wody by nie szły, leczby się odrazu w powietrze wzbily... Kiedy to przeto ani łabędzie, ani sokoły, są to więc Uskoki¹⁾, do jednych i do drugich podobni. Idą, jakby płynęli, płyną, jakby lecieli. Zlatują z góry do morza siniego, a za nimi biegną majki²⁾ ich stare, niewiasty ich młode, ich dzieci piskłeta... biegną ze łzami w oczach, z modlitwą w sercach, z błogosławieństwem na ustach...

Tak było rzeczywiście, jakby gęślarz był powiedział. Seń wyludniła się. Wyjawszy załogi niemieckiej w kastelu³⁾, która się obojętnie z murów przypatrywała, wszystko zresztą, co żyło, odprowadzało Uskoków do portu. Starcy pośpieszali, podpierając się laskami; kobiety niosły dzieci na rękach. Wszystko to towarzyszyło im póty, póki drogi starczyło, a gdy się droga skończyła, rozeszło się w prawo i w lewo i mętnym tłumem zaległo wybrzeże przystani, w której stały czajki, czekające na rycerzy.

Tu znowu gęślarz miałby szerokie do opisu pole.

— Czajek — ile było?... — równo trzydzieści. Po ilu mężów na jedną siadało?... — rozmaicie, najwięcej po dwudziestu, najmniej po sześciu, średnio po szesnastu.

Do odmalowania atoli tych stateczków dobierałby musiał kolorów osobliwych, albowiem były to łodzie bynajmniej nie malownicze. Nie świeciły barwami, nie zalecały się wytwornością kształtów. Całą zaletę onych stanowiło to, że się niegłęboko w wodę zanurzały, były przytem zwrotne i szybkie, czy to szły na wiosłach, czyli też na żaglach. Niedokładności zaś i braki wszelkie, jakieby zapewne oko znawcy wynaleźć w nich mogło, wynagradzała i dopełniała zręczność żeglarzy, którzy się posługiwali nimi.

Włot wszystkie czajki zapełniły się ludem zbrojnym; włot wszystkie odbiły od brzegu; na środku portu zrobiło się na chwilę zamieszanie, z którego wnet wyplątał się szyk,

¹⁾ Uskoki (wyraz serbski) = Serbowie, którzy, uchodząc przed niewolą turecką, w w. XVII-ym przeniesli się z Serbji i Bośni do ziem chorwackich, podległych Wenecji lub Węgrom i brali czynny udział w walkach przeciwko Turcji, ²⁾ Majki (po serbsku) — matki. ³⁾ Kastel — mała twierdza.

a w szyku tym rozpoznać można było setnie, zajmujące każda po czajek sześć.

Wódz dał znak i czajki posunęły. Jedna za drugą wbiegały w wąskie przejście, wyprowadzające z portu, chowały się na chwilę za skałami i po chwili pojawiały się bujające niby ptaki wodne, na falach cieśniny Morlackiej.

Kiedy wszystkie wypłynęły i niby stado kaczek morze pokryły, zładu ku nim wyciągnęły się rąk tysiące i wionęły okrzyki:

— Z Bogiem!... Dobrej drogi!... Walczcie mężnie!... Wypędźcie Turczyzna z otaczbin!...¹⁾

Okrzykom odpowiedziała pieśń. Popłynęła ona chóralnie z kilkuset piersi razem i płynęła, brzmiała w takt uderzeniom wiosel:

Z pluskiem wiosel, z szumem fal,
Przez błękitne tonie,
Płyną czajki w siną dal,
Płyną ku tej stronie.
Gdzie kraj piękny, kraj wesoły
Kwiatów dyszy wonią,
Gdzie skrwawione sterczą koły,
Gdzie kajdany dzwonią.

Uzterowiersz początkowy powtarzał się za każdą strofą, a końcowy zmieniał się, podnosząc się coraz to wyżej na nastrój rycerski, jak przystało ludziom na wojnę idącym.

Ku nim ludzie z brzegu ręce wyciągali.

T. T. Jeż.

SPADŁE LIŚCIE.

Na srebrne stawu zwierciadło leca —
I świecą złotem — i miedzią świecą,
I leca trwożne jak błędne duchy,
Jak serc porwanych krwawe okrucy...

Przez wiatr rozsiane serc krwawych strzępy
Między pobrzużne szuwarów kępy...
Jakby żyły leca... jakby ból kwiatów...
Jak pocałunki słane z zaświatów.

I leca... leca... a gdy na fali
Mglisty się pierścień światel rozpali,

¹⁾ Otaczbin — ojczyzna.

To się w tej smętnej pławia jasności,
Niby korowód cmentarnych gości...
Na srebrne stawu zwierciadło leca
I świecą złotem i jak krew świecą...

Kazimiera Zawistowska.

POD ZAMOŚCIEM.

Z murów Zamościa patrzano na zbliżające się pułki szwedzkie, które otaczały miasto. Nakoniec od zbitych tłumów oderwało się kilku jeźdźców. Wpół drogi posadzali białe chusty na miecze i poczęli nimi powiewać.

— Poselstwo — rzekł Zagłoba. — Widziałem, jak do Birzów złodzieje przyjechali z taką samą fantazją, i wiadomo, co z tego wypadło.

— Zamość nie Birże, a jam nie wojewoda wileński¹⁾ — odparł pan starosta.

Tymczasem oficer służbowy oznajmił, iż pan Sapieha przybył się rozmówić w imieniu króla szwedzkiego.

— Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada — odparł starosta dumnie. — Chce król szwedzki ze mną gadać, niech mi Szweda przysła, bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwo odprowadzą, gdyż porównie nimi gardzę!

— Jak mi Bóg miły, to respons! — zawołał z niekłamanym zapalem Zagłoba. — Pozwól mi, wasza dostojność, niech mu sam ten respons odniosę.

Jakoż wpół godziny później Forgell z czysto szwedzką asystencją oznajmił się przy bramie. Most łańcuchowy opuścił się zwolna, i generał wjechał do twierdzy wśród spokoju i powagi.

Przebiegły Szwed odrazu zaczął traktować starostę, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał.

— Wasza książęca mość — mówił — najjaśniejszy król szwedzki (i tu długo wyliczał tytuły) nie jako nieprzyjaciół tu przybył, ale wprost mówiąc, w gościnę przyjechał, mając niepłonną nadzieję, że w. k. m. dla osoby jego i wojsk bramy otworzyć zechcesz.

¹⁾ Wojewoda wileński, Janusz Radziwiłł, zdradził króla i poddał Litwę Szwedom.

— Nie masz tu u nas zwyczaju — odpowiedział pan Zamoyski — aby komu gościnności odmawiać. Znajdzie się zawsze miejsce przy stole, a nawet dla tak dostojnej osoby — pierwsze. Ale że, jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej z sobą brać.

— Dobrze! — szepnął stojący tuż za plecyma pana starosty Zagłoba.

Forgell przygryzł wargów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł:

— Największy to byłby dowód nieufności, gdybyś w. ks. m. nie chciał wpuścić załogi króla, który tu przybył jedynie w tym celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście, a wolność obywatelom tej prześwietnej Rzplitej zapewnić.

— Djabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni — szepnął Zagłoba.

— Ażeby jednak wojna prędko koniec wziąć mogła — ciągnął dalej Forgell — potrzebne jego królewskiej mości nieodbitcie czasowe zajęcie tej twierdzy. Od ciebie zatem, panie, zależą przyszłe losy tej ojczyzny. Król ufa, że nie-powszednia twa mądrość narówni z sercem do tego cię skłonią; — dlatego rozkazywać nie chce, woli prosić, przyjaźń ofiaruje, — nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu generał Forgell skłonił się starości z takim uszanowaniem, jakby udzielnemu monarsze, i umilkł. Starosta oparł dłonie na kolanach i, rzucając głową jak narowisty koń, tak począł:

— Ot, co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności za górne mniemanie o moim dowcipie i afektach dla ojczyzny. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować, gdyby jego szwedzka jasność zostawała sobie w Sztokholmie, a ja w Zamościu, co? Bardzo wierzę, iż Zamość mógłby się jego szwedzkiej jasności do wiktoria przydać, ale ja nie jego szwedzkiej mości, jeno Janowi Kazimierzowi przysięgałem i dlatego Zamościa nie dam! Ot, co!

— To mi polityka! — huknął Zagłoba.

Spostrzegł Forgell, że trzeba ostatecznych chwycić się sposobów, więc rozwinął pergamin z pieczęciami, na

który nikt dotąd nie zwracał uwagi, i powstawszy, rzekł uroczystym, dobitnym głosem:

— Za otwarcie bram twierdzy jego królewska mość (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje w. ks. m. województwo lubelskie w dziedziczne władanie.

Słyszając to, zdumieli się wszyscy, zdumiał na chwilę i pan starosta.

Już Forgell począł toczyć tryumfującym wzrokiem, gdy wśród ciszy głuchej ozwał się nagle po polsku stojący tuż za starostą Zagłoba:

— Ofiaruj wasza dostojność królowi szwedzkiemu wzmian Niderlandy.

Pan starosta nie namyślał się długo i palnął na całą salę po łacinie:

— A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy.

W tej chwili sala zagrziała jednym ogromnym śmiechem. Forgell błąd był, brwi zmarszczył, lecz czekał z głową dumnie wzniesioną.

Nakoniec, gdy paroksyzm śmiechu przeszedł, spytał krótkim, urywanym głosem:

— Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź?

— Nie — odrzekł, podnosząc jeszcze dumniej głowę starosta — bo mam armaty na murach.

Poselstwo było skończone.

H. Sienkiewicz (Potop).

OBÓZ POD SOKALEM ¹⁾.

W kilka dni po przybyciu króla Jana Kazimierza do obozu zaczęły się ściągać pojedyncze oddziały pospolitego ruszenia. Dzień po dniu nadeiwały strojno i huczno województwa, ziemie i powiaty, bogate pułki wielkich panów, zaciegne chorągwie z tłumami sług i taborami wozów.

Chmara przekupniów ciągnęła zewsząd do Sokala. Tłumy ludzi, niezliczony ogrom wozów i koni, zalegały doliny i wzgórza dokoła. W okręgu kilkunastu mil pasły się konie stadami o kilkunastu tysiącach sztuk;—jak okiem dosięgi, wszystko było jednym pastwiskiem.

¹⁾ Sokal — miasto nad Bugiem. Tutaj w r. 1651 Jan Kazimierz zgromadził wojsko, które następnie pod Beresteczkiem zadało stanowczą klęskę Chmielnickiemu.

Zdawało się, jak gdyby cały naród polski zabierał się do założenia nowej stolicy państwa. Szopy dworskie, drewniane kancelarie ministrów, baraki kwarcianych ¹⁾, otoczone dokoła szańcami, tworzyły środek tego płóciennego miasta; przyległe wzgórza, zastawione namiotami i szałasami pospolitego ruszenia, otoczone niezliczoną liczbą wozów, wydawały się przedmieściami.

Złociste karoce przebiegały doliną, w namiotach ministrów załatwiano bez przerwy interesy publiczne; mnóstwo interesowanych nadeżdżało i wyjeżdżało z obozu, kurjery, pastuchy, strażnicy i podjazdy wbiegały i wybiegały za wały; masy przejezdnych widzów i gości, roje ludzi około bud, szałasów i straganów... wszędzie targ, ciżba, wrzawa, ruch, jakiego nigdy nie było w Warszawie.

Wieczorem, kiedy ognie zapłonęły na wzgórzach, a czeladź rozbiegła się z końmi na paszę, słyszałeś zewsząd surmy ²⁾ i wiwaty po namiotach wielkich panów, którzy po zwyczajem młodszą bracię hojnie u siebie gościli. Rankami odbywały się przeglądy, które przepychem olśniewały cudzoziemców, ożywiały wojsko i zdolne były obudzić zaufanie w niezwykłą siłę Rzeczypospolitej.

Występowały wtedy pułki jeden za drugim. Szedł na przód dwór królewski, strojny i świetny, pod złotohaftowanymi chorągwiami, konno, piórno i bogato. Chorągwie pancerne lśniły się od skrzydeł białych, rycerstwo w półkiryasach ³⁾ złotem szmelcowanych, tygrysy i lamparty na grzbiecie. Za nimi pacholecy w kapach półszkarłatnych, na których wisiał orzeł królestwa, haftem złocistym ozdobiony. Proporce husarskie różnobarwne, w szachownicę, z białym i błękitnym ogonem, wesoło drgały w powietrzu. Na chorągwiach i dardach ⁴⁾ u hajduków, u rajtari i pieszych dworskich lśnił się złocisty herb króla.

Tuż za dworskimi chorągwiami ujrzałeś czoło, rdzeń wojska polskiego, sławę i pychę Rzeczypospolitej — husarję w całej okazałości. Kipiały od strusich piór kity na głowach końskich, na hełmach i na skrzydłach rycerzy, pędziły rotyszumno i rzeško, jak orszak aniołów w zbrojach srebrnych,

¹⁾ Kwarciane wojsko, z kwarty cz. 1/4 królewskich dochodów stale utrzymywane. ²⁾ Trąby. ³⁾ Półkiryasy — półzbroje, górna część pancerza. ⁴⁾ Włócznie.

szumiały i brzęczały skrzydła na żelaznych ramionach, lśniły od drogich kamieni końskie wywroty, pancerze, pałasze, perskie i tureckie hafty na siedzeniach; rzucały się w podskokach konie arabskie, sekle¹⁾ i dzianety²⁾, jedne w ozaparakach frandzlistych, w czołdarach³⁾ kwiatu bogatego, inne w sakabantach⁴⁾ opinanych i drogo haftowanych, w dyftykach⁴⁾ szkarłatnych. Każda chorągiew inaczej strojna i zbrojna, w kirysach szmelcowanych lub polerowanych, przy tarczach różnobarwnych, w kitach rarożych⁵⁾, strusich i innych piórach zamorskich, w skórach lamparcich, pstrych i czerwonych.

Ponad hełmami posuwał się las kopij, strojnych w różnobarwne proporce, lśniących ostreimi groty. Za husarją pomykali petyhorcy⁶⁾, lżejsi i mniejszego proporca, z dzidą przy łopie czarnym, lub z drzewcem równym kopji, w pancerzach z nitu, w koleczugach⁷⁾ misternie wycinanych. Dalej szły chorągwie z różną strzelbą: jedne pancerne, inne lekkim łukiem zbrojne, w misiurce i karwaszach⁸⁾: wołoskie, mullańskie, tatarskie, czemeryskie... wszystko zaciąg z różnych narodów, a wszystko do ozat i podjazdów. Skrzydło każdej rotty zawodził towarzysz weteran z chorągwią w ręku.

Za temi chorągwiami ciągnęło pospolite ruszenie: województwa, ziemie i powiaty, słowem Rzeczpospolitą we własnej osobie, strój barwny we wszystkie kolory tęczy, każdy inaczej strojny i na przeróżnych koniach.

Nikt nie może mieć wyobrażenia, jakie rasy, jakie krzyżowania maści i własności koni mogą istnieć na świecie, kto nie widział pospolitego ruszenia.

Za pospolitem ruszeniem szła rajtarja⁹⁾ z Ubaldem, przy strusich piórach, w kapeluszach z wysokim grzebieniem. Konie w kapturach i derkach pstrych, poważnie prowadzone. Nie lubiła szlachta wojska cudzoziemskiego, ani łanowej piechoty, jak to widać z tonu współczesnego opisu:

„Oficer dmie się jak bąk, ogon roztoczony jak u pawia, łeb w pudle, nogi zórawie. Kapitanowie rapiry gołe w rękach prezentują przed królem; pludry na wszystkie strony

polyskują. Siedzą na fryzach lub pomorczykach¹⁾ kusych i bez uszów. Dmie się każdy jak indyk, ogon rozpuszczony jak u dropia, głowa ostrouszna, nogi bocianie, ale myśl chłopia. Tak rotmistrz, jak pacholek, huczą i krzyczą, a jak do bitwy — to ze skruchą. Chorążowie chorągwie wielkie wrąg siebie wywijają, muszkiety polyskują, wałą w bębny i szalamaje...”

Za łanową piechotą szły armaty, dalej prochy, granaty, ogniste kule w osobnych wozach, dalej wozy na rydle i motyki, a przy nich żołdacy z pikami.

Występowały pułki, regimenta i chorągwie jedno po drugim, a z powrotem do obozu spisywał je przy moście na Bugu Zygmunt Przyjemski, generał artylerji i pisarz wojskowy, odbierając od każdego rotmistrza raport na piśmie, który królowi oddawał.

Cała ta masa pyszna i strojna była nadzwyczaj nabożnie usposobiona. W obozie odprawiało się nieustannie nabożeństwo, szopa królewska, w której stał cudowny obraz Matki Boskiej, z Chełma przywieziony, napelniona była dzień i noc pobożnymi, a liczne zjawiska, które sobie rozogniona wyobraźnia żołnierzy tworzyła, utrzymywały umysły w gorączkowym napięciu.

W wojsku tem znajdowało się dwóch ludzi, którzy w danym razie całą Rzeczpospolitą z ostatecznej toni wyprowadzić byli zdolni. Pierwszy z nich wojewoda ruski, ks. Jeremi Wiśniowiecki, ulubieniec całego narodu, „za którego piersiami cała ojczyzna spokojnie oddychałyby mogła“, trzymał się skromnie na uboczu, ale słowa jego, w stanowczej chwili powiedziane, były zawsze dla wszystkich hasłem i rozkazem, i nie było wątpliwości, że w razie potrzeby cała szlachta bez wahania oddałaby się w ręce księcia, który „w sławie się kochał i w niej jak w słońcu chodził“. Drugim był, mało znany wówczas, porucznik hetmana w. kor. Stefan Czarniecki, który jednak z każdym dniem rósł w wpływy i znaczenie u króla. To też dla pierwszego z tych dwóch ludzi bitwa pod Beresteczkiem była pysznym odblaskiem zachodzącego słońca, dla drugiego — zorzą wschodzącej sławy bohatera.

L. Kubala.

¹⁾ Sekl — konie siedmiogrodzkie. ²⁾ Dzianet — koń rasy hiszpańskiej. ³⁾ Czołdary — wełniane pokrycie na konia. ⁴⁾ Sakabanty i ⁴⁾ Dyftyki — materiały jedwabne i wełniane. ⁵⁾ Raróg — gatunek sokoła. ⁶⁾ Petyhorcy — lekka jazda. ⁷⁾ Koleczugi — druciane koszulki. ⁸⁾ Karwasze — żelazne naramienniki. ⁹⁾ Rajtarja — jazda.

¹⁾ Fryzy i pomorczyki — gatunki koni.

POTĘGA CZŁOWIEKA.

Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga

Dziwy — człowieka potęga.

Bo on prze śmiało poza sine morze,

Gdy toń się wzdyma i kłębi,

I z boku na bok swym lemieszem porze

Matkę ziemię do głębi.

Lotny ród ptaków i stepu zwierzęta

I dzieci fali usidla on w pęta,

Wszystko rozumem zwycięży.

Dzikiego zwierza z gór ściągnie na błonie,

Krnąbrny kark tura i grzywiaste konie

Ujarmi w swojej uprząży.

Wynalazł mowę i myśli dał skrzydła,

I życie ujął w porządku prawidła.

Od mroźnych wichrów, na deszcze i gromy

Zbudował sobie schroniska i domy.

Na wszystko z radą on gotów.

Lecz choćby śmiało patrzył w wiek daleki,

Choć ma na bóle i cierpienia leki —

Śmierci nie ujdzie on grotów.

Z „Antygony“ Sofoklesa.

(przekład K. Morawskiego.)

PRZEPRAWA.

Skoro tylko dragon odwrócił się tyłem do sanek, Rafał i Krzysztof zsunęli się ze swych miejsc i chyłkiem, wpół zgięci, skoczyli za ognisko. Do wału rzecznoego było kilka kroków. Minęli go jednym susem. Po drugiej stronie tego jaru rosły wikie¹⁾. Całe to zbocze od strony rzeki pokryte było skorupą lodu. Pomiędzy tą skorupą a wałem umykali teraz, jak lisy, w dół rzeki. Kiedy tak dopadli połowy odległości między jednym a drugim ogniskiem, usłyszeli tuż za wałem tętent konia, lecącego wskok. Przycupnęli. Koń przeleciał.

Tuż pod nimi rozległ się trzykrotny świst jakby kulika²⁾. Rozsunęli rokity i ujrzeli w pobliżu pod rozłożystym pnieniem starej wierzby łódeczkę. Chłop w kozuchu chwycił

¹⁾ Wikle—rodzaj wierzby. ²⁾ Kulik—ptak brodzący.

silnie każdego z nich za rękę i wciągnął do łodzi. Mruknął ze srogim gniewem:

— Późno! Dzień wylazł...

Kazał im przytulić się do dna, sam, siedząc w kucki na przodzie, pchnął łódź tak potężnym rzutem wiosł, że odrazu wypadła w wart. Tam jeszcze raz wmiesił wiosła w nurty. Jeszcze jeden całoramienny zamach wiosł, jeszcze jeden... Wtem na brzegu rzeki rozległ się krzyk z kilku stron. Stało się to w mgnieniu oka. Zbiegi tyle, że zdołali odwrócić głowy, kiedy im prosto w ślepie trzasnął błysk jeden, drugi, trzeci... Tuż koło nich przeciągle gwiznęły kule.

Jedna z nich musnęła wodę koło burtu łodzi. Cicho i boleśnie jęknął druga. Nieustraszony Ślązak-przewoźnik wstał teraz na nogi. Wiosła dźwiękły i zagrały w jego potężnych rękach. Ujrzeli przed sobą ogromną jego postać, od głowy do stóp zamkniętą w wielkim kozuchu. Łódź pomknęła wdół, ukośnie tnąc strzał środka rzeki. Lecieli nad wyraz chyżo. Ale na opuszczonym brzegu rozległ się nowy grzmot kanonady i rozwalił ciszę nocy.

Przewodnik raptem siadł na nogi w tem miejscu, gdzie stał, zakaszłał się straszliwym chrzypieniem. Wiosła wypadły mu z rąk. Przez chwilę w zdumionych oczach zbiegów iwał się to w tył, to naprzód, charcząc i ciągnąc w piersi powietrze, aż runął na dziób łodzi, zwieszonemi rękawami kozucha trzepiąc i chlapiąc po wodzie. Rafał wychylił się i złapał jedno wiosło. Nieporęcznie, wydzierając sobie wiosło, to docierali do skorupy lodowej tamtego brzegu, to odpadali od niej ku środkowi rzeki. Lodowisko tamtej strony sięgało daleko w wodę i broniło przystępu. Rafał w rozpaczy zwałił je wiosłem, ale tylko zadźwiękło, jak dzwon śmierci. Ciekli jeszcze w milczeniu i grozie, coraz szybciej, coraz szybciej... Wiry wlokły ich w środek rzeki... Wtem ujrzeli wyłom między lodami. Łódź spodem docierała mielizny, więc ze wszech sił wpierając ocalone wiosło w ławice piasku podwodnego, dobijali. Już przedświt powlekał pędzącą wodę śniadą barwicą. Coraz wyraźniej było widać rzekę i przestworza. Udało się Rafałowi werznąć łódź w piach i utwierdzić ją tyle, że mogli wyleźć w wodę. Kazał Krzysztofowi brnąć na brzeg, sam szarpnął barkę za łańcuch i wywłócił na mieliznę. Dźwignęli co tchu chłopca. Obrócili go twarzą ku niebu. Oczom ich przedstawił się widok bru-

natnej twarzy, z której rozwartych ust walała się falą ciemna krew. Oczy już zaszkłone bielmem śmierci, patrzyły w nich spojrzeniem tamtego świata. Ujrzawszy niewysłowioną mowę boleści w tej twarzy stężalej wśród życia, wśród siły, wśród potężnej pracy, Krzysztof zachwiał się na nogach. Kolana jego głęboko wgniotły się w śnieg. Z załamanemi rękoma, z wyrazem rozpaczliwej bezdennej patrzał i patrzał w leżącego trupa. Znagle zatrząsł się cały i począł lkać jak dziecko. Głowa jego padła do nóg zabitego, ręce kurozem objęły mokre, staplane buty. Począł w boleści skomleć i wyrzekać:

— To ja... To moja wina... To ja cię zamordowałem... Dlatego, że mi się spodobało iść na wojnę, ty tu leżysz... Boże, Boże! Cóż ja teraz pocznę? coż ja teraz pocznę nie-szczęśny! Boże wielkiego miłosierdzia!...

Wzniósł obłąkane, skostniałe oczy na Rafała i pytał go z ogłupiałem skamłaniem:

— Cóż teraz będzie? Zlituj się nade mną! Cóż ja teraz z nim pocznę?...

— Wiesz co—rzekł Rafał, ściągając przemokłe buty—ty nadzwyczajnie nadajesz się do stanu żołnierskiego. Bardzoś sobie właściwy zawód obmyślił. Bardzo! Jeżeli nad każdym trupem będziesz tak pięknie wigilję śpiewał, to z ciebie będzie najtęższy oficer w armji... Przedstawią cię Napoleonowi, jako żołnierza nad żołnierze, do stosownej nagrody.

Krzysztof słuchał uważnie. Wytrzeszczonemi oczyma patrzał, jak Rafał drze swą koszulę i suchemi onuczkami przewija sobie nogi, jak znowu wdziewa buty.

— Cóż my pocniemy? — szeptał coraz ciszej.

— Przedewszystkiem ściągnij buty, udrzyj z koszuli płat i zawiń nogi.

Spełnił to wszystko co pędzej, jakby w istocie taki był środek ratunku, o który się pytał. Gdy już byli obu, Rafał kazał mu jeszcze bardziej wyciągnąć łódź na brzeg, sam okręcił łańcuch jej o pień wierzby. Wtedy zdjął czapkę, zwrócił się twarzą do trupa i przez sekundę modlił się cicho.

Dzień wstawał. Wyszli z zarośli nadbrzeżnych i wielkim krokiem wdarli się na wyniosłość pobrzeża. Ale skoro tylko ukazali się tam, znowu warcząc i burząc, górą przeleciały kule, i rozległ się huk wystrzałów. Rafał parsknął

śmiechem. Krzysztof patrzył na niego bezsilnemi oczyma, do których napływały jeszcze łzy.

— Niemce!—wrzasnął Olbromski, nastawiwszy dłoni koło ust.—Austriaki! Gałgany! Strzelajże jeden z drugim, a celnie. Godzinę celuj, a traf przecie raz w życie!... Na szubienicy tobyś wieształ, austriacki wojaku! Celuj! Niedołęgo!

Poszedł naprzód wielkimi krokami, gwiżdżąc całą gębą. W pewnej chwili zwrócił się do Krzysztofa:

— Wciąż jeszcze beczysz?

— Słuchaj-no, daj mi pokój...

— Jeżeli chcesz beczeć, to idź sobie osobno, bo gotowi ludzie pomyśleć, że to ja cię za uszy ciągnę do wojska.

Krzysztof był już spokojny. Szedł takimi samymi krokami, jak jego mentor. W milczeniu przebyli płaszczyznę i zaczęli wstępować na wzgórki, długim wałem wyznaczącą dolinę Wisły.

Weszli na najwyższy wydmuch, ledwie teraz owiany szronem i śniegiem. Czarny, zmarzły piach ustępował pod ich stopami... Rozejrzeli się wokoło.

Na wzgórzu nagiem sterczało to siedlisko rybackie, czy miejsce ucieczki dla powodźian. Do resztek dawnego muru karczmy przybudował terazniejszy mieszkaniec lepiankę z wiciny i rzecznej mułu, z kawałów belek, szczątek desek, krokwi a łat, odebranych falom.

Zakołatali we drzwi pięściami. Nie zaraz otwarło je babsko wyschłe, ozarne, kudłate. Za niem pokazały się głowy dzieci o twarzach jakoby kobusów¹⁾ i kukulek.

Rafał odchylił całe drzwi i mimo smrodliwej pary, która ich owiała, wszedł do środka. Rozejrzał się naokoło w mroku.

— Wasz przewozi przez Wisłę? — zwrócił się do baby.

— Ja ta nie wiem,—odmruknęła niechętnie.

— No, nas przewiózł, więc wiadomo.

— Nie wiem, co i jak gadają. Mój je rybak. Kto jego wie, czy przewozi? Teraz wojsko stoi i z gwerów²⁾ bije.

— No, my tu mieli do niego interes.

— To przyjdzie pod południe, a ja nie wiem.

— Kazał wam powiedzieć, matka...—rzekł Rafał, licząc ponuro oczyma dzieci — że te... że przyjdzie dopiero na odwieczny. Teraz nie przyjdzie. Rozumiecie?

¹⁾ Kobus — ptak drapieżny. ²⁾ Strzelba.

— Czy ja niby rozumiem?

— No!... A co mu się od nas za przewóz należy i za to wino, co je to przemycał, to wam kazał dać w rękę. Necie...

Wyjął z kieszeni garść pieniędzy, odliczył kilka dukatów i dał jej w rękę.

— Trzymaj to, babo, garścią, bo to nie koprowina, ino samo złoto! — krzyknął na nią.

Otrząsnął się i co prędzej miał ku drzwiom.

Ze dworu już wrócił po wyjaśnienie, gdzie tu najbliższa wieś, czy dwór, żeby można furmankę nająć. Wtem ujrzał, że Krzysztof kozikiem pochwyconym ze stołu rozdziera brzeg swego rajtroka i wygarnia zaszyte złoto.

— Co robisz, warjacie? co robisz?! — syknął na niego. — Za cóż ty kupisz konia, mundur i najmiesz pocztowego?

Tamten nie odpowiedział ani słowa. Dał nożem podszewkę dookoła i co wymacał dukata, to wszystko, aż do ostatniej sztuki kładł na stole. Baba z rozdziawioną gębą przypatrywała się wszystkiemu, przekrzywiając obojętnie głowę to na prawe, to na lewe ramię. Wreszcie, gdy Krzysztof wyrzucił z kieszeni wszystko, co miał, Rafał go chwycił za rękę.

— Pytam ci się, co masz zamiar czynić?

Krzysztof nie odpowiedział. Całe jego ciało wstrząsało się co chwila od wewnętrznego rozruchu, szcżęki były zwarte, oczy przysłonięte powiekami.

— Zbierz te pieniądze ze stołu i schowaj, słyszysz! — rozkazał Rafał szeptem. — Dasz jej pięć dukatów, i tak będzie bogata. Czy ty słyszysz, co ja ci rozkazuję!

Szarpnął go za ramię. Ale znienacka Krzysztof odtrącił go precz od siebie ruchem i gestem tak nieoczekiwanym, spojrzawszy takim wzrokiem, że Rafał uchylił się dość pokornie. Opuścili domostwo.

S. Żeromski (Popioły).

KSIĄŻE JÓZEF

Rycerskich marzeń w dziecku podnieta:

Sztých kolorowy stary *Vernet'a* ¹⁾,

Powiew legendy umarłej ery:

Książę, skaczący w nurty Elstery.

¹⁾ Vernet — słynny malarz francuski.

Do skoku rumak wspina się biały,

Grzechocą pruskiej piechoty strzały,

W dymie pożarów, wśród armat grania

Garstka Polaków odwrót osłania...

Na niskich ścianach w wiejskim salonie

Zachodnie słońce krwawi się, płonie,

Goreje w słońcu rama złocona

Przymierzchłą sławą Napoleona...

Rycerz w śmiertelnym wstrzymał się skoku,

Łza w dziecka błysła marzącym oku:

Wódz z orłem wbitym na drzewcach znaków

Bogu oddaje honor Polaków...

Zdzisław Dębicki.

PRZEMÓWIENIE K. UJEJSKIEGO

na zebraniu młodzieży

W 100-letnią rocznicę zawiązania konfederacji barskiej.

Idea, choćby najwznioślejsza i najświętsza, jeśli ma porwać i pociągnąć za sobą masy i stanąć przez nie zwycięsko, musi wprzód ucieleśnić się w człowieku. Na takiego człowieka, bohatera-zwycięzcę, przywódcę i przedstawiciela ducha narodowego, na taki żywy, poruszający się ołtarz ojczyzny, czekamy wszyscy w tęsknocie. Człowiek ten podbije odrazu wszystkie duchy siłą i miłością. Będzie on miał potęgę lwa, połączoną z sercem gołębia. Przeciw obłudzie postawi on szczerość, przeciw zawiści — łagodny uśmiech, przeciw buntowi — spokój i pewność. Prawem mu będzie sumienie, a każdy jego czyn będzie jasny jak miecz, błyskający w słońcu. W duszy jego nie powstanie nigdy to uczucie złe i niskie, cechujące ludzi małych, — to uczucie, które ma swój wyraz w słowach: — „Przedewszystkiem — Ja!” Zespoli się on z ojczyzną: on i ojczyzna to jedno. Władzy on nie zapragnie, nie pomyśli nawet o niej, i przyjdzie ona sama do niego, i weźmie jako ciężar, jako krzyż poświęcenia i zaparcia się siebie. A kiedy wypełni swoją misję, złoży on pokorny władzę napowrót w ręce narodu — a sam usunie się w kąt.

Z męczarni narodu powstaje człowiek taki. Nasze ostatnie męczarnie są tak wielkie, tak przekraczające wszystkie znane nam miary, że pełną piersią wierzyć możemy, iż

ten człowiek przeznaczenia gdzieś na ziemi polskiej już jest, rośnie i bezwiedny siebie czeka, aż nań Bóg zawoła.

Może niedorosłym młodzieniaszkiem patrzył on lat temu kilka na pożary wiosek naszych; może ukradkiem po nocach sypał mogiły poległym... Skądkolwiek on wyjdzie, z pałacu czy z chaty, czy od warsztatu, niech będzie błogosławiony! Oby nadzieja oglądania go ziściła się nam jak najrychlej!

Cześć i powodzenie temu wielkiemu Nieznajomemu!

29 lutego 1868 we Lwowie.

KIEDYŻ?

Nam dzisiaj tak w duszach, jak kiedy się wiosna

Z zimowej wyrwywa niemocy:

To smutek i żałość, to zorza radosna,

To rozpacz, jak wicher północy.

Ach, kiedyż za ciebie w bój skoczym spragnieni,

O Polsko, ty matko miłości?

I kiedyż przy huku dział, trzasku płomieni

Podniesiem okrzyki wolności?

I kiedyż uczynim, swobodni oracze,

Lemiesze z pałazy skrwawionych?

Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłaczę,

Prócz rosy pól naszych zielonych!

Mieczysław Romanowski, poeta-powstaniec 1863 r.

W NOC LISTOPADOWĄ¹⁾.

Kiedy rewolucja w pierwszym poruszeniu swoim nawiedzała Belweder i brata potężnych carów Północy spłazszała z pościeli, podchorążowie wiedli bój krwawszy, zaciętszy z przemagającymi siłami. Wysocki wszedł do szkoły, przerwał lekcję teorii, wykładaną jak zwykle o tej porze, i dobywając szpady, zawołał donośnym głosem: „Polacy! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy, albo polegniemy,—nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!” Rozległ się w sali okrzyk: „Do broni, do broni!” Dzielni młodzieńcy rozebrali ostre ładunki, które Szlegel przyniósł, nabili karabiny, i daleko prędzej, niżeli-

bym to opisać zdołał, wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stu sześciudziesiąt i kilku, każdy z nich znał komendę brygady i dywizji jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyraljerów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odplacać Moskalowi za długą naukę na Saskim placu. Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej. Koszary te, bronione przez piechotę, mogłyby być niezdobytą warownią; ale dla jazdy choćby kilkotysięcznej, napadniętej przez jeden tylko bataljon piechoty, były stanowiskiem niedogodnym i niebezpiecznym. Zawierały wewnątrz kilkadziesiąt podłużnych stajen i mnóstwo mniejszych pomiędzy niemi domków, gdzie żołnierze mieli swe kwatery. Czerwone dachy, poręcze, chorągiewki wokoło stajen i długie regularne ulice między niemi użyczały temu ogromowi pozory oddzielnego przedmieścia na Solcu. W środku między budynkami było kilka dziedzińców wysypanych piaskiem, tak obszernych, że dwa i trzy szwadrony mogły razem odbywać swe obroty. Całą przestrzeń opasywał dokoła szeroki i głęboki kanał, napełniony wodą, dla konia nieprzeskoczny. Prócz tego jedne koszary od drugich oddzielały cokolwiek mniejsze kanały, na których było kilkanaście mostków. Podchorążowie, zbliżając się do tego miejsca, strzelili na wiatr, tak dla sprawienia popłochu w jeździe moskiewskiej, jako też dla uwiadomienia kompanij mających przybyć z miasta, że walka już się zaczęła. Te to strzały towarzyszyły wpadającym do Belwederu. Podchorążowie skoczyli zaraz potem w środek koszar ułanów cesarzewicza, już ich trzechset zastali na koniach w szyku do szarży. Nie czekając ani chwili, młódź polska postąpiła ku nim na pół strzału karabinowego i z tej odległości, gdy każdy jeździec albo konia na cel bierze, zaraz spędziła z miejsca ten oddział jazdy. Ułani sformowali się za chwilę i klusem ruszyli naprzód; wtedy podchorążowie z mniejszej jeszcze odległości, sypiąc ogień na jedną komendę, zasadzili z koni kilkunastu ludzi, reszta pierzchnęła w największym nieładzie, który pomnażały kule, gęsto padające między tłoczących się w przeprawie przez mostki. Noc była ciemna; rozumieli przeto Moskale, że najmniej parę tysięcy piechoty mają za sobą. W istocie trwoga, zamieszanie były tam tak wielkie, że najwięcej dwie kom-

¹⁾ 1830 r.

panje, zachodząc natenczas z przodu od miasta, mogły były łatwo rozbroić tę całą jazdę i zabrać ją w niewolę. Lecz gdy Wysockiemu żadna znikąd pomoc nie przybywała, kirysjery i huzary mieli dość czasu wsiąść na konie i w porządku wyjść z swoich koszar, żeby naszych otoczyć i odciąć od miasta.

Ta okoliczność, poczęści i brak ostrych ładunków, zmusiły podchorążych do cofnienia się ze zdobytych, pustych koszar ulańskich.

Ten pierwszy czyn niezrównanego męstwa przeraził, potem i zadziwił nieprzyjaciela, gdy tenże nakoniec postrzegł, że go taka garstka wyrzuciła z koszar.

Maurycy Mochnacki.

(Powstanie narodu Polskiego 1830 i 1831).

BOJOWISKO.

Pokotem leży ścięty las
Pod bładem niebem jesieni,
Pokotem leży ścięty las,
I tęczą swoich zmarłych tras
W zwiędłym listowiu się mieni.

Leżą w śmiertelnym, głuchym śnie
Stuletnich buków zręby...
Leżą w śmiertelnym głuchym śnie
Prastarych jedli złote pnie
I święte kapłańskie dęby.

Słońce zapada w morze krwi
Nad bojowiskiem boru,
Słońce zapada w morze krwi,
A ponad światem cicho śni
Wilgotny smutek wieczoru.

Gwiazdami siewna wstaje noc,
We mgły odziana chłodne,
Gwiazdami siewna wstaje noc,
I nad olbrzymów padłych moc
Rozwiesza sny pogodne...

Rzekłbyś: zmarłego lasu szum
Jeszcze błękitem się niesie...

Rzekłbyś, zmarłego lasu szum
Ostatniem echem świętych dum
Płynie w gwiaździstym bezkresie.

Nad bojowiskiem mrok i cień,
(Milczący sen stuleci) —
Nad bojowiskiem mrok i cień,
Tylko gdzieś drzewny pień
Błękitnem próchnem świeci...

Br. Ostrowska.

Z ROSYJSKIEJ SZKOŁY.

...Tego dnia lekoja języka „miejscowego“¹⁾ w klasie VII była ostatnią z rzędu, a więc przypadała między godziną drugą a trzecią. Sztetter²⁾ wszedł do klasy, jak zwykle, z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłumaczenie z języka polskiego na rosyjski wiersza Czajkowskiego p. t. „Pajak“.

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się, po rosyjsku)³⁾:

— Panie profesorze, mamy nowego ucznia.
— Nowy kolega, z Warszawy uczeń... — blaznowali inni.
— Nowy uczeń? — spytał Sztetter ze zdziwieniem.

Gdzie, jaki uczeń?
Sieger wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— Al... — mruknął Sztetter. — *Wasza familja?*
— Zygier — rzekł nowy uczeń.

Nauczyciel zaczął szukać tej *familji* w spisie abecadłowym pod literą Z — i nie znalazł.

— Mówisz pan... Zygier?

— Tak. W papierach i w metryce stało — Sieger, jak pisał się mój dziad i ojciec, dlatego prawdopodobnie zanotowano pod S. Ja nazywam się Bernard Zygier, *Zet, y, gier...*

Nauczyciel spojrzał na nowego ucznia i smutne oczy jego zajaśniały przez chwilę nikłym promyczkiem wesela.

— Niech będzie Zygier... — powiedział. — Chcesz pan uczyć się na lekcje języka polskiego⁴⁾?

¹⁾ Tak nazywano język polski. ²⁾ Nauczyciel. ³⁾ Po polsku mówić nie było wolno. ⁴⁾ Polski był przedmiotem nieobowiązkowym i dziesięciorzędnym.

— Rozumie się! Przecież to nasz język ojczysty. (*Wiedź to nasz rodnoy jazyk*).

Sztetter obejrzał szybkim lotem drzwi oszklone na korytarz, tego ucznia, dziennik i poruszył wargami, jak gdyby mówił jakieś słowo, czego przecie nikt nie dosłyszał. Po chwili rzekł:

— No... czytaj pan.

Zygier wziął książkę i zaczął czytać wskazany urywek.—Koledzy jego, widząc, że prezentacja skończona i że rozpoczynają się zwykle „nudy“, wzięli się do odrabiania lekcyj, do jawnego czytania rzeczy postronnych, albo wprost układali się jako tako do drzemki. Niektórzy, lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w „Pajaka“. Inni oglądali ściany powleczone sinym kolorem, szerokie brunatne lamperje, żółty stoliczek katedry, czarną tablicę, szyby zasłonięte parą... Tymczasem Zygień odczytał i przetłumaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i że rozbierał po polsku. Sztetter, oparty ramieniem na krześle, dźwignął zwieszoną głowę i, bębniąc w stół palcami, z pod oka przyglądał się Zygieńowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, imiesłowy odmienne, nieodmienne i t. d. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia, ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygień złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcał je w palcach i myślał o czemś głęboko.

— Dostyc... — rzekł wreszcie. — Mam panu stawiać stopień. Ale jaki? Cóż ja panu postawię? Ja nie mam na to... stopnia, panie Zygień...

Mówiąc tak, znowu przyglądał się nowemu uczniowi i wracał do niego oczyma kilkakroć, jakby ich nie był w stanie zdjąć z tej twarzy. Zygień stał w ławce, mierząc Sztettera swem uważnem i spokojnem wejrzeniem.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł jeszcze nauczyciel — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć rozmaitych rzeczy.

— A z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika, — no, i jakież to tam okresy?

— Czytaliśmy utwory wieku złotego dosyć pobieżnie, zato romantyków szczegółowo.

— Któż to... my? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc na drzwi.

— To tam w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza?

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakiż utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? Trzecia część¹⁾... Improvizacja, Pan Tadeusz, Księgi Pielgrzymstwa...

Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze:

— No, a coż pan wiesz o Mickiewiczu?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek Promienistych, Filomatów i Filaretów, aresztowania, uwięzienie i deportację. Wprost od tych szczegółów najniespodziewaniej zjechał z Wilna do Warszawy i, już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy zwrócony, jął wyborną i bardzo piękną ruszczyzną, z chwalebnem unikaniem „polonizmów“, plastycznie malować napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada²⁾.

Oszołomiony nauczyciel, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan może co na pamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygień złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mówić głosem nie donośnym, ale dźwięcznym, jak szlachetny metal:

„Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo...”

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygień nie umilkł. Jakby

¹⁾ Dziadów. ²⁾ 1830 r.

odepchnięty jego wzrokiem, nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękoma i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego „wiersze polskie“. Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach wewnętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych cezurach¹⁾ wymykała się między sylabami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju rozwierał się przed oczyma słuchaczy — i nagle mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

„Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo francuskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna mocy twej uraga!
Podnosi na cie ręce...“

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy „Figa“ - Walecki wylazł ze swej ławki, zbliżył się do drzwi, wspiął na palce i, spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarżenie ucznia polskiego, zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny jego utwór, własna mowa. Każdy obraz walki dawno przegranej wydzierał się z ust mówcy, jako pragnienie uczestnictwa w tem dziele zgubionem. Uczucia dziecięce i młodzieńcze, po milion kroć znieważane, leciały teraz między słuchaczy w kształtach słów poety, pękały wśród nich jak granaty, świszczały niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej. Jedni z nich słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy. Borowicz²⁾ siedział zgarbiony, podparłszy pięścią brodę, i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło go przemierzone złudzenie, że on to wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś jakby własnym okiem widział, ale nie mógł pojąć, co będzie dalej — i słuchał ze wstrętem i złością, ale z dreszczem dziwnego bólu w piersiach. Wtem Zygiel zaczął mówić:

„...nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawetem,

¹⁾ Średniówka. ²⁾ Uczeń, który już zaczął ulegać wpływowi rasyfikacyjnemu szkoły.

Gdy godzinę wołano dwa słowa: — pall nabij!
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność,
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi — na oko...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko —
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona,
I puścił ją i upadł... Nim dobija, skona...“

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Ten sam zabity nahajami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem. Serce Marcina¹⁾ szarpnęło się nagle, jakby chciał wydrzeć się z piersi, ciałem jego potrząsało wewnętrzne łkanie. Ścisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie wytrzyma, że skona z żalu. Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle, przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się z pod nich łza i płynęła po bladej twarzy.

Stefan Żeromski.

Z ROKU 1914.

Towarzyszu nieznany... jeśliś w wojsku służył,
nie będę cię gawędą niepotrzebną nużył,
jak to się przelamywać musiała natura
w każdym z nas, by ideał osiągnąć piechura!...
Nie byłeś w wojsku?... nie znasz więc, jak ja nie znałem,
sztuki, która pomaga panować nad ciałem,
sztuka zakłóć przeróżnych, sztuka tajemnicza,
czarna magja jej bodaj swej mocy używa —
sztuka twarda jak kańczug, skuteczna jak chłosta,
a w istocie swej jednak tak przedziwnie prosta:
zwie się Radość Pokory. Ona jedna sprawia,
że człowiek jak manekin w szereg się ustawia,

¹⁾ Borowicza.

na „baczość“ kamienieje, na „marsz!“ dziarsko rusza,
 jakby mu nagle w nogi cała weszła dusza...
 Ja sam nigdy nad sobą nie znosił komendy,
 bo ukochałem w sobie nadewszystko błędy —
 tam oto, gdy się sam stał maszyną i pionkiem,
 kiedyś dźwigał karabin, wiązany postronkiem —
 (bom jeden z gorszych dostał na początek) — żyłem!...
 Wszystko, bez czego życie staje się niemiłym:
 sen, posiłek, czy kąpiel, wreszcie wolność ruchu,
 to wszystko żołnierz miewa... ale tylko w duchu!...
 Rozumiesz?... może myśl się moja trochę gmatwa —
 to jedno chcę powiedzieć, że umrzeć rzecz łatwa,
 gdy świeci aureola bohaterstwa... Ale
 dzień po dniu nie spać, nie jeść, lub się nie myć wcale —
 oto jest wyrzeczenie!... to heroizm cały,
 w który się nasze harde natury wdrażały...
 Wieleż to razy w marszu, gdyśmy szli pod górę,
 serce mi tak waliło, jakby chciało skórę
 przedrzeć i paść przy drodze — (wadę mam od dziecka).
 Wtedy czułem, że zbliża się chwila zdradziecka,
 gdy nie wytrwam w szeregu i upadnę w rowie.
 Lecz oto siła większa powstaje, niż zdrowie:
 jakiś głos uroczysty wśród zmęczonej rzeszy
 takt wybija i koi — i nadzieją cieszy...
 każdy krok wtedy staje się niemą ofiarą,
 każdy krok, wbity w grude, jest ideą, wiarą —
 cud się dzieje w tych chwilach, żołnierz kocha cuda,
 a wielki duchem karzeł zwalcza wielkoluda...

Tadeusz Nalepiński.

Nauka o wierszu.

(Wersyfikacja).

Mówiliśmy, że dźwięczność jest przymiotem stylu miłym dla ucha.
 Dźwięczną może być i mowa wiązana czyli wiersz i mowa nie-
 wiązana. Ale wiersz bywa daleko dźwięczniejszy od mowy niewiązanej,
 tak, że zbliża się do śpiewu.

Rozpatrzenie budowy wiersza wyjaśni nam przyczynę jego muzy-
 kalności.

Akcent. Przypomnieć musimy, że w języku polskim nie wyma-
 wiamy wszystkich zgłosek wyrazu z jednakową siłą, lecz na jedną kła-
 dziemy zwykle większy nacisk, niż na inne. Ten przycisk zowie się
 akcentem.

W wyrazach kilkosylabowych akcent pada stale na przedostatnią
 zgłoskę od końca, np.

Tra | fi | ła — ko | sa — na ka | mień,

Wi | się prze | pły | nął, — na Du | naj | ou — zgi | nął.

Wyjątek stanowią:

1) Przyrostki: **by, li, że, no** i końcówki fleksyjne: **śmy, ście, byśmy**
byście, których się nie bierze pod uwagę, to znaczy, że akcent pozostaje
 na tej samej sylabie, na przykład: **po**da^ˈj, **po**da^ˈjno, **po**da^ˈjże, **mó**wi^ˈli, **mó**wi-
 li^ˈby, **mó**wi^ˈliśmy, **mó**wi^ˈlibyśmy.

2) Wyrazy cudzoziemskie, które przeszły do języka polskiego z tą
 samą końcówką, jaką miały w języku obcym, zachowują dawny akcent,
 np. **fizy**ka, **muzy**ka, **alge**bra, **polity**ka i t. p.

3) Wyrazy jednosylabowe, użyte bez przyimka, mają akcent, gdy
 na nie kładziemy nacisk myślowy, np. **Tak**, to **ja**. Gdy stoją z przyim-
 kiem, akcent przechodzi na przyimek, np. **Na** koni^ˈ zagrzmiała komenda.

4) Wyrazy złożone z dwóch części parozgłoskowych posiadają ak-
 cent podwójny: pierwszy słabszy, drugi mocniejszy, np. **pl**askowz**g**ór**ze**,
równow**o**ga.

I. Rytm. Przypatrzmy się akcentom w tym wierszu:

Świeć się | świeć się | wieku | młody,
Śnie na | kwiatach, | śnie mój | złoty!

Widzimy, że tu wyrazy tak są zestawione, iż akcent pada stale w pewnych odstępach (na pierwszą, trzecią, piątą i siódmą zgłoskę).

Jeśli sylabę nieakcentowaną przedstawimy tak —, a akcentowaną tak ' , to ten wiersz się przedstawia:

— ' — | — ' — | — ' — | — ' —
— ' — | — ' — | — ' — | — ' —

Taki akcent stały, powtarzający się jednostajnie, miarowo, tworzy jakby takt muzyczny w wierszu i nazywa się **rytm**.

Rytm — to najważniejsza cecha wiersza.

II. Rym. Przypatrzmy się końcówkom tego wiersza.

Płyną wody za wodami,
I z gałązek liść oblata;
Sierotka za górami
Przewędrował kawał świata.

Widzimy, że końcowe zgłoski pierwszego wiersza brzmią podobnie jak trzeciego, drugiego zaś — jak czwartego.

Ta zgodność końcowych sylab zowie się **rymem**.

Nie wszystkie wiersze posiadają rymy, np.

Walter pojął Aldonę, — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach
Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swą żonę, lecz miał duszę szlachetną:
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

A. Mickiewicz.

Wiersz, w którym niema rymu, nazywa się **biały**.

Rym więc jest drugą cechą wiersza, ale niestają.

III. Ilość zgłosek. Przeczytaj ten czterowiersz: „Płyną wody za wodami” i policz ilość sylab w każdym wierszu. Toż samo w następującym.

W wieńcu z gwiazd,
W płaszczu z chmur
Cicha noc
Schodzi z gór.

Otóż i w ilości zgłosek da się zauważyć w wierszu pewien porządek, powtarzanie się jednostajne, choć bywa i różnorodność w tej jednostajności, np.

A żebyś ty, jasne słonko,
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy, w płaszczu tkanym
Z purpury.

M. Konopnicka.

Albo:

Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam błędną.
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy;
Lecz spuść rzeźwiącą krynice
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynice
Co prędzej!

J. Kasprzowicz.

Najkrótsze wiersze są 3-sylabowe, najdłuższe dochodzą do 20 zgłosek, np. „w Chórach aniołów (z III części Dziadów), — ale te należą do rzadkości. Przeważnie wiersz ma od 8 do 13 sylab.

Z III CZĘŚCI DZIADÓW.

Archanioł pierwszy.

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

Archanioł drugi.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim Twój anieli.

Archanioł pierwszy.

Tych zdepc, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Twe święte sądy pogardzą.

Archanioł drugi.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

Anioł.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,

Hymn narodzenia śpiewali anieli:
Mędrcy nas nie widzieli,
Królowie nie słyszeli,

Pastuszkowie spostrzegli

I do Betleem biegli:

Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali —
Biedni, prosili i mali.

Archanioł pierwszy.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu aniołów, sług
[swych, obaczył,

Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył.
Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumy.

Chór aniołów.

Pan małuczkim objawia,

Czego wielkim odmawia.

Litość! litość! nad synem ziemi,
On był między wielkimi.
Litość nad synem ziemi!

Archanioł drugi.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy,
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.

Archanioł pierwszy.

On Cię nie poznał, on Cię nie uczcił, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

Archanioł drugi.

Lecz on szanował imię Najświętszej Twojej Rodzicielki,
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu.

A. Mickiewicz.

Tak więc są trzy cechy wiersza: rytm, rym i jedno-
stajna ilość zgłosek.

IV. Średniówka. Czytajmy głośno:

Kochasz ty dom, | rodzinny dom,
Co w letnią noc | wśród srebrnej mgły
Szumem swych lip | wtórzy twym snom,
A ciszą swą | koi twe łyzy.

Widzimy, iż mimowoli zatrzymujemy głos w środku każdego wiersza, robiąc krótką przerwę. Ten przystanek głosu nazywamy średniówką. Średniówka przypada mniej więcej w środku wiersza. Znajdujemy ją w wierszach dłuższych, np.

O, widać i słysząc! — | w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie,
I moje kwiateczki | z rozpukłych nasionek
Jak wschodzą zielono i ładnie!

O, milsze krosienka,
I milej z okienka
Zadzwoń piosenka,
La, la, la, piosenka!

B. Zaleski.

Wskaż średniówkę:

W omentarnej tej ziemi, jak wojsko na leżach,
Pokładły się ojce na krwawych puklerzach,
Znużeni niejedną wyprawą;
I ciche sny mają, bo czyści i święci,
Ofiarą krew swoją chowają w pamięci,
A ziemia pobrzmiwa ich sławą.

K. Ujejski.

Różne rodzaje rytmu: stopy.

Wiersz składa się zwykle z jednostajnych cząstek, dwu lub trzysylabowych, zwanych stopami. W każdej stopie jedna zgłoska musi być akcentowana, inne nie mają akcentu, np.

Płyną wody za wodami = ' — | — — | ' — | ' — | ' — w tym wierszu są 4 stopy dwusylabowe, i w każdej akcent przypada na pierwszą zgłoskę.

Ważniejsze rodzaje stóp.

Trochej (' —) jest to stopa dwuzgłoskowa z akcentem na pierwszej zgłosce, np. droga, — burza.

Świeć się, świeć się, wieku młody.

Płyną wody za wo—dami.

Z ponad | lasu | z ponad | ohmury
Na do- | linę | siola
Kruk się | spuścił | czarno- | pióry
Na żer | dziatwę | woła.

' — | ' — | ' — | ' —
— — | — — | — — | — —

W pierwszym wierszu mamy 4 stopy dwuzgłoskowe, z akcentem na pierwszej zgłosce, — w drugim 3 stopy dwuzgłoskowe z takim samym akcentem.

Oznacz sam stopy w wierszach

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swej duma ziemi.

Fr. Morawski.

Słońce idzie, jakby spało,
Dym polykam i kurzawę,
Przebieżałem mil dwie mało
Wzdłuż i wpoprzek przez Warszawę.

B. Zaleski.

Czarnym szlachem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknej dumie krok za krokiem tuż.

Tu jest dodana zgłoska przyciskowa na końcu każdego wiersza: wzdłuż, — tuż.

Jamb (— '). Stopa dwuzgłoskowa z akcentem na drugiej sylabie, np. To ja!

Słowicz | ku mój! | a leć, | a piej!
Na po | żegna | nie piej
Wyla | nym łzom, | spełnio | nym snom,
Skończ | nej piosn | ce twej!

— — | — — | — — | — —
— — | — — | — — | — —

Pierwszy wiersz ma tu 4 stopy dwuzgłoskowe z akcentem na drugiej zgłosce; w drugim są trzy także stopy z takim samym akcentem.

Oznacz stopy i akcent.

Nie wam, nie wam
Dolecieć tam...
Nad piętra chmur,
Gdzie pieje chór...

Wł. Syrokomla.

Tyś Bóg, Tyś Pan,
Ty święty, święty, święty!

Amfibrach (— ' —) — stopa trzyczgłoskowa, akcent na środkowej, np. Kalina.

Kto żubra | wywiedzie
Z ostępu | za rogi?
Kto kudły | niedźwiedzie
Podesłał | pod rogi?

— — — | — — —
— — — | — — —
— — — | — — —
— — — | — — —

Mamy tu po dwie stopy trzysylabowe, z akcentem na środkowej zgłosce.

Oznacz stopy i poakcentuj:

Och! jasno, zielono, a wieczór tak cichy.
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,
I perłą się rosy świecące;
Tam wiejskie pacholę pofleca z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,
Tam skrzypią chróściele na łące;
Tam trzody ku wodzie hasają doliną,
I szemrze zmęczona rzeczulka,
I wstają mgły białe nad senną wioszczyną,
I ozwał się dzwonek z kościółka.

K. Ujejski.

Oprócz tych 3 rodzajów stóp, są jeszcze inne, mniej często się zdarzające, a najczęściej mieszanych i skombinowanych w rozmaity sposób.

Różne rodzaje rymu.

- 1) Pomimo gorzkich prób
Zawsze ach! dobrym bądź!
Z miłością drugich sądz
I patrz z nadzieją w grób!

A. Asnyk.

- 2) Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazuruwa
Z wód się podnosi.

T. Lenartowicz.

Wiersz Asnyka ma na końcu wyraz jednozgłoskowy akcentowany, i rymują się w nim tylko ostatnie sylaby. Taki rym nazywa się męski. W wierszu Lenartowicza są na końcu wyrazy parosylabowe z akcentem na przedostatniej zgłosce, rymuje się w nich ostatnia sylaba i część przedostatniej z samogłoską. To rym żeński.

Określ rymy w tych urywkach:

Dziecino, nie płacz, nie,
Rozjaśnij swoją twarz:
Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle!

A. Asnyk

Hej! mruga na mnie, mruga
Szumiąca, chłodna struga...
Hej! szepce coś do ucha,
Aż serce samo słucha.

M. K.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?...
M. Konopnicka

W kotlinie, wśród kamieni
i pordzewiałych traw,
W posępny blask się mieni
ciemny i cichy staw.

K. Tetmajer

Kochasz ty dom, rodzinny dom. (str. 356).

Prócz tego wiersze mogą rymować się z sobą rozmaicie: I z III, II z IV; I z IV; II z III i t. d. Wskaż tę różnorodność w wierszach, znajdujących się w tej książce.

Zwrotki czyli strofy.

Na jakie strofy dzieli się: Powrót wiosny (str. 24), Smutno mi Boże (str. 19).

Zwrotka czyli strofka jest to połączenie kilku wierszy w rytmiczną całość.

Z ilu wierszy składa się zwrotka Ciszy wieczornej (str. 92). W lecie (str. 379), Bojowisko (str. 408).

Najpospolitsze strofy są czterowierszowe. Mogą być jednak bardzo rozmaite, zarówno pod względem ilości wierszy, jak rymu.

Wybierz w tej książce zwrotki 2, 3, 4, 5 wierszowe. Określ ilość wierszy i rym w wyjątku z Beniowskiego (str. 21).

Strofa 8-wierszowa, w której rymują się wiersze: 1, 3, 5, — 2, 4, 6, — 7, 8 nazywa się oktawą.

Odrębny rodzaj całości stanowi sonet.

Rozpatrz sonet XIII Asnyka (str. 338), Burzę Mickiewicza (str. 324).

Sonet ma 14 wierszy, rozdzielonych na 4 strofy: dwie pierwsze po 4 wiersze i 2 następne po 3 wiersze.

O kompozycji pisarskiej.

Teraz przyjrzyjmy się jeszcze kompozycji czyli budowie, układowi ogólnemu utworów literackich.

Przeczytaj urywek IV części Dziadów str. 376.

I. Co jest główną treścią (tematem, pomysłem) tego opowiadania?

Odwiedziny domu rodzicielskiego.

II. Jakie uczucia i myśli wyraża tu poeta?

Miłość synowską.

Smutek z powodu zniszczenia gniazda rodzinnego.

Oburzenie na sprofanowanie miejsc świętych dla poety.

Tęsknotę za minioną przeszłością.

Myśl o znikomości wszystkiego.

Nie ginie tylko Bóg i dusza.

III. W jakim porządku autor wypowiada swe myśli i uczucia?

1. Odwiedziny domu.

2. Zniszczenie: a) w domu
b) na dziedzińcu.

3. Wspomnienie dawnego powrotu do domu; powitanie przez służbę, braci, matkę.

4. Zestawienie tej chwili z obecną.

5. Pies ostatni przyjaciel: a) powitanie
b) śmierć psa.

6. Złodziej w domu.

7. Oburzenie poety. Walka.

8. Płacz.

9. Nadejście starej żebraczki.

10. Jej serdeczne wspomnienie o rodzicach poety.

11. Smutek autora i zwątpienie.

12. Pocięcha z ust księdza.

IV. W jaki sposób autor wypowiada tu swe myśli i uczucia?

Z nadzwyczajną prostotą i szczerością.

Całość wywołuje głębokie wrażenie.

A zatem: — w badaniu tego opowiadania rozważyliśmy:

I. Wybór tematu (pomysł).

II. Myśli, uczucia i wypadki, jakie się z tematem łączą.

III. Uporządkowanie ich.

IV. Obrobienie (nadanie formy).

Te rzeczy odróżniamy w każdej kompozycji, i musi je brać pod uwagę każdy z piszących.

Zastanówmy się nad temi punktami kolejno.

I. Wybór tematu zależy od indywidualności autora i pod tym względem żadnych wymagań stawiać nie można. Niech każdy pisze, co myśli i czuje, byle znał przedmiot i opracował go dobrze.

II. Autor pilnować się musi, aby wybrać i poruszyć to wszystko, co ma związek z tematem. Zarówno psują kompozycję myśli, uczucia i obrazy, nie łączące się logicznie z główną treścią, jak pominięcie czegoś, co należy do niej bezpośrednio. Mickiewicz np. odbiegłby od tematu, gdyby zaczął opisywać swoje zabawy szkolne lub kolegów, kiedy miał mówić o domu; — zubożyłby swój temat, gdyby pominął wspomnienie dawnego powrotu do domu.

III. Również bardzo ważną jest rzeczą uporządkowanie myśli według jakiegoś planu. W przytoczonym urywku z Dziadów to uszeregowanie wypadków jest takie, że wrażenie czytelnika stopniowo wzrasta. Nie osiągnąłby poeta takiego wyniku, gdyby był np. na samym wstępie powiedział o złodziejach, łupieżących w pokoju matki, — pierwszej przytoczył wspomnienia żebraczki, a potem powitanie i śmierć psa i t. p.

IV. Co do formy na koniec: — całe to opowiadanie wzruszyłoby nas o wiele mniej, gdyby autor przeładował styl ozdobami, — tutaj prostej treści odpowiada prosta forma.

Ćwiczenia: Rozpatrz w podobny sposób kompozycję: Muzyki Jankla (str. 36), Gości Prusa (str. 189), Śmierć Boryna (str. 357) zwracając uwagę na 1) temat, 2) myśli i uczucia, 3) rozkład treści, 4) formę, t. j. styl.

Plan (rozkład, dyspozycja).

Dobry rozkład przyczynia się wielce do podniesienia wartości utworu. Przeciwnie, jeśli treść główna utonie w powodzi szczegółów, jeżeli będzie brakowało jakiejś części ważnej, albo mniej ważna wysunie się na pierwszy plan, jeżeli nie zachowamy proporcjonalności budowy i należytego ustępowania — utwór nie sprawi pożądanego wrażenia, będzie niby kaleka, któremu jakiegos członka brakuje, a inny ma zato potwornie rozwinięty, np.:

Kościół był kryty blachą, tylko wieża gontami. Dzwony miały głos przyjemny i w niedzielny poranek brzmiały uroczyście i pociągająco. Podłoga w kościełku była drewniana, dlatego niszczyła się prędko i często wymagała naprawy; zato w ziemie nie ziębły na niej nogi tak, jak na kamiennej. Ławki były wygodne. Oprócz głównego ołtarza były po bokach dwa: na prawo Matki Boskiej, a na lewo św. Józefa. W nawie z każdej strony stało tylko sześć ławek. O wiele okazałej wyglądałby kościółek, gdyby miał kamienną posadzkę, ale w tej okolicy dowóz kamienia był trudny. Dzwony słynęły znów z pięknego głosu, choć dzwonnica niezbyt wysoka. Obraz Chrystusa na krzyżu w głównym ołtarzu był podobno dziełem dobrego artysty. Kazalnica rzeźbiona z baldachimem. Na ołtarzu św. Józefa bardzo piękne lichtarze. Wejście trochę ciasne, a kruchta tak mała, iż zaledwie kilka osób mogło się w niej po-

mieścić. Podziwiano powszechnie piękne i kosztowne wota na ołtarzu Matki Boskiej.

Czy można zrobić plan tego opisu?

Wszystko tu pomieszane; — powraca się kilka razy do tego samego przedmiotu, szczegóły przyćmiewają rzecz główną, całość nie sprawia jasnego wrażenia, przeciwnie — jest chaotyczna, niezadarna, niezupewna, bo nie dowiadujemy się np. o wielkości kościoła.

Ten przykład uczy, jakie znaczenie ma dobry rozkład dla utworu.

Dla porównania zrobmy dyspozycję Wschodu słońca Mickiewicza.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na 'dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie.
Prawą skronią złożone na wezglówiu cieni,
Jeszcze smagławe, lewe coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, żrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogni wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło. Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem, —
Aż rozłśniło się, jako kryształ przezroczyste,
Potem jak brylant światło, na koniec ogniste.
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Gaśnięcie gwiazd.

Świt.

Zmiana barw nieba: pośrodku,

na zachodzie,

na wschodzie.

Wychylenie się słońca z pod horyzontu.

Pierwszy promień.

Wschód słońca.

Gra kolorów.

Pochód słońca po niebie.

W tym opisie uderza nas, oprócz prawdy i piękna, logiczny a d, który sprawia, iż zjawisko występuje przed nami jasno.

Na czem tu polega dobry rozkład?

1) Wyczerpuje treść, to znaczy: obejmuje główne zjawiska, łączące się z danym tematem.

2) Jest uporządkowany logicznie, czyli szczegóły podane są w chronologicznym następstwie, jak idą po sobie w rzeczywistości; rzecz główna góruje nad częściami podrzędnymi, a wszystko spleta się w proporcjonalną, harmonijną całość.

Tego też wymagamy od rozkładu: żeby był wyczerpujący (czyli zupełny) i uporządkowany.

Pojedyncze punkty rozkładu Wschodu słońca dają się powiązać w pewne grupy. I tak.

Wstęp:	- Gaśnięcie gwiazd. - Świt.
Środek cz. rozwinięcie tematu:	- Zmiana barw nieba. - Wychylenie się słońca. - Pierwszy promień. - Wschód słońca. - Gra kolorów.

Zakończenie: Pochód słońca po niebie.

Wstęp¹⁾ jest jakby przygotowaniem czytelnika do całej treści. Jeśli nie jest konieczny, to można go nie robić.

Rozwinięcie tematu (środek) wyczerpuje treść główną i jest częścią najważniejszą.

Zakończenie obejmuje ostateczne wyniki, skutki, wnioski i t. p. i jakby zaokrągla całość. Też niezawsze jest potrzebne: gdy rzecz sama dostatecznie mówi za siebie — zupełnie zbędne.

Ćwiczenie: 1. Wskaż w tej książce takie urywki, gdzie są wszystkie 3 części planu, — i takie, w których niema wszystkich 3 części.

2. Ułóż rozkład ćwiczeń stylistycznych na tematy: Żniwa, Poranek wiosenny, Podróż koleją żelazną, Dworek wiejski, Kwiaty.

Uwaga. Każdy temat może być obrobiony rozmaicie. Piszący tylko musi sobie dokładnie zdać sprawę z tego, o czym chce pisać, wyczerpać dany temat i uporządkować treść, np.:

Żniwa. Może to być: 1) Obraz malowniczy żniw. 2) Opis właściwy (ściśły). 3) Opowiadanie o jakimś zdarzeniu podczas żniw. 4) Rozprawka.

W obrazie malowniczym odzwierciedlić piękność tej pracy zbiorowej.

W opisie ściśłym uszeregować następstwo czynności, związanych ze żniwami, np. porę roku, długość dnia roboczego, postępowanie żniwiarzy aż do ukończenia pracy.

W opowiadaniu trzymać się też jakiegoś logicznego porządku stopniowania uczuć.

¹⁾ Chmielowski: Stylistyka.

W rozprawce zastanowić się można nad dzisiejszym sposobem zbierania zboża z pola i zestawień ze środkami, używanymi dawniej, — można wykazać braki dzisiejszej pracy i proponować takie lub inne udoskonalenia, — można rozpatrywać tę sprawę z punktu pracy i wynagrodzenia pracowników i t. p.

Podobnie z każdym pomysłem, np.:

Porównanie wiosny i jesieni.

I.

Wstęp. Podobieństwa, — pomimo to znaczne różnice.

Rozwinięcie.	I. Długość dnia, temperatura.
	II. Zjawiska atmosferyczne.
	III. Budzenie się natury, — zamieranie: a) w świecie roślinnym, b) w świecie zwierzęcym.
	IV. Zająęcia człowieka, wynikające z praw natury.
Zakończenie. Wpływ wiosny i jesieni na usposobienie człowieka.	

II.

I. Krajobraz wiosenny w dniu pogodnym.

II. Krajobraz jesienny (w dniu słotnym lub pogodnym).

Rozmaitość zatem w opracowaniu jednego tematu może być bardzo wielka i zależna jest zarówno od tego, co w danym temacie chcemy rozpatrywać, jak od indywidualności piszącego.

Ponieważ najtrudniejszym zadaniem dla piszącego jest rozprawka, wymagająca największej ściśłości w uporządkowaniu poszczególnych części i logicznem ich powiązaniu, dlatego plan w rozprawce największe ma znaczenie i najdokładniej musi być opracowany.

Rozpatrzmy np. następujące plany rozprawek.

Praca jest dobrodziejstwem dla człowieka.

I.

Wstęp. Co nam daje praca:

Środek: dowodzenie	I. 1) Materjalne korzyści pracy dla jednostki, dla społeczeństwa,
	2) fizyczny wpływ pracy na organizm człowieka,
	3) umysłowy,
	4) moralny.
II. Zastrzeżenie co do nadmiaru pracy i jej warunków higienicznych.	

Zakończenie. Praca jest dobrodziejstwem.

albo

II.

I. Rola pracy w świecie; praca zwierząt i roślin.

II. Życie człowieka bez pracy.

III. Wpływy pracy fizyczne i moralne na jednostkę.

IV. Przykłady z historii wpływu pracy na rozwój cywilizacji i dobrobytu ludów.

V. Wniosek.

Na zakończenie przytaczamy przestrogi Chmielowskiego dla piszących:

- 1) Nie pisać o przedmiotach, których dobrze nie znamy, i nie używać wyrazów, których dobrze nie rozumiemy.
- 2) Nie malować uczuć, których nie doznajemy i należy nie pojmujemy.



SPIS RZECZY.

1. Różnice stylu zależne od tego, kto mówi.	Powrót wiosny—Kochanowski . . . 24
Hrabia i Zosia — A. Mickiewicz 3	Tren VI—Kochanowski . . . 24
W chacie—Reymont 6	Wyjatek z Kazania—Skargi . . 25
Na bezludnej wyspie—Sieroszewski 8	Turcy pod Chocimem—Potocki . 26
Przed wiekami—Sienkiewicz . . 10	Z Psalmodji—Kochowski . . . 27
Styl to człowiek 12	Z pamiątek—Paska 28
2. Różnice stylu zależne od tego, o czym się mówi.	Pieśń Licydyny—Zimorowicz . 31
Z grzechów dzieciństwa—Prus . . 12	Głos umarłych—Naruszewicz . 31
Ważność czytania—Prus . . . 14	Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki—Krasicki 32
Spowiedź Anielki—Prus . . . 15	Jagnię i wilcy—Krasicki . . . 34
3. Różnice stylu zależne od tego, do kogo lub dla kogo piszemy.	Myszka, kot i kogut—Trembecki 34
List do syna 17	Pieśń poranna—Karpiński . . 35
List do dziecka 17	Matka i dziecię—Brodziński . . 35
List do doktora 17	Muzyka Jankiela—Mickiewicz . 36
Na jagody—Konopnicka . . . 18	Z Anhellego—Słowacki 39
Żadna grudka ziemi—Konopnicka 18	Z Nieboskiej—Krasicki . . . 40
4. Różnice stylu zależne od nastroju.	Pogrzeb Wisza — Kraszewski . 41
Hymn o zachodzie słońca — Słowacki 19	W cyrku—Sienkiewicz 45
Ze złotej Czaszki—Słowacki . . 20	Z Wesela—Wyspiański 49
Z Beniowskiego—Słowacki . . 21	Łąka—Żeromski 50
5. Różnice stylu zależne od epoki.	Streszczenie 51
Bogu Rodzica 22	Jasność stylu
Prawe szlachectwo—Rey . . . 22	Poranek—Mickiewicz 51
Odobrodziejstwach Boga—Kochanowski 23	Pochód Dembińskiego—Smoleński 52
	Wpływ warunków na temperaturę—Nałkowski 54
	A. Budowa zdania, okresy . . . 55
	B. Omówienia 59
	C. Synonimy i homonimy . . . 64
	D. Archaizmy 64
	E. Neologizmy 65
	Zwięźłość stylu.
	Po pierwszym rozbiórze — Smoleński 65
	Poprawność stylu 68
	Czystość stylu 66

Czy nigdy nie należy używać zwrotów obcych	73
Skąd się wzięły w naszym języku wyrazy obce	74
Gazda halny—K. Tetmajer	75
Gwara	79
Taniec mazowiecki—Reymont	79
Prowincjonalizmy	82
Żargon	83
Streszczenie	84

Obrazowość stylu.

Cisza na morzu—Mickiewicz	84
-------------------------------------	----

A. Przenośnie.

a. Porównanie	85
b. Przenośnia—metafora	87
c. Epitet	90
W noc miesięczną—Rydel	90
d. Uosobienie	91
Cisza wieczorna—Kasprowicz	92
Farys—Mickiewicz	93
e. Przesadnia—hiperbola	97
Dzwony św. Piotra—Tetmajer	99
f. Alegoria	99
Talar i czerw. złoty—Krasicki	99
Przypowieść XX.—A. Mickiewicz	100
Świt—Żeromski	100
g. Zamiennia—metonimia	101
Pieśń Wajdeloty—Mickiewicz	104

Urozmaicenie i ożywienie stylu

B. Zwroty krasomówcze	
a. Powtórzenie	107
Szkoda—Asnyk	107
Z Głosy św. Teresy—Kraśiński	108
Z Wesela—Wyspiański	109
b. Pytanie	111
c. Wykrzyknienie	112
d. Apostrofa	113
e. Poprawienie	114
f. Zamknięcie—niedomówienie	115
g. Stopniowanie i nagromadzenie	116
h. Antyteza—przeciwstawienie	118

Dźwięczność

Onomatopea	121
Deszcz jesienny—L. Staff	123
Streszczenie	124

Indywidualne cechy stylu.

Choroba cici Polci	125
W gorączce—Żeromski	126
Z improwizacji—Mickiewicz	128
Z Kordjana—Słowacki	130
Z Psalmu wiary—Kraśiński	131
Drzewa w Grudniu—Żeromski	131
Ziemia—Orzeszkowa	132
Wśród wody—Dygasiński	135
Nie sprzedam ziemi—Prus	137
Przekłeci—Ujejski	139
Święty Bożel—Przybyszewski	140
Z Pana Tadeusza—Mickiewicz	141
Hania—Sienkiewicz	143
Preludjum Szopena—Ujejski	144
Jagoda—Lenartowicz	144
Na wieś—Sewer	147
Z Pana Tadeusza—Mickiewicz	150
Z Bartka zwycięzcy—Sienkiewicz	151
Powrót do domu—Mickiewicz	152
Z sierocej doli—Prus	154
Młodości moja!—Ujejski	157
Z psalmu dobrej woli—Kraśiński	157
Jedność narodu	158
Śmierć Konrada Wallenroda—Mickiewicz	159
Z Lilli Wenedy—Słowacki	163
Jeździec—Prus	168
List z drogi—Reymont	171
Objaśnienia—Prus	171
Z Zemsty za mur—Fredro	172
Z Grzechów dzieciństwa—Prus	175
Doktor i zdrowie—Kraśiński	178
W obozie—Sienkiewicz	178
Minęły czasy—Kraśiński	182
Wstęp do bajek—Kraśiński	183
Ptak ranny—Lemański	184
Dumanie poety—Kondratowicz	184
Stary sługa—Sienkiewicz	185
Bieda—Konopnicka	187
Goście—Prus	189

Przebudzenie się Goplany—Słowacki	194
Z II części dziadów—Mickiewicz	197
Taniec zbójnicki—Witkiewicz	201
Na zielonej drodze—Tetmajer	202

Rodzaje stylu Proza i poezja.

Mgła—Witkowski	204
Melodja mgieł nocnych—Tetmajer	205

Rozróżnianie poezji i prozy.

Zaproszenie	206
Przed kontyną—Żeromski	206
Zmiany fonetyczne—Kryński	209
Piękna polszczyzna—Rodoć	209
Z Wizerunku—Rey	210

Rodzaje prozy i poezji.

Polesie—Romer	211
Na Wezuwiuszu—Tetmajer	213
Wyprawa na czambuły—Korzon	213
Dwie łaki—Sienkiewicz	216
Patryjotyzm—Prus	221
Mowa Sienkiewicza przy odsłonięciu pomnika Słowackiego	222

Proza opisowa

Karpaty—Romer	225
-------------------------	-----

Rodzaje prozy opowiadającej.

Śmierć ks. Józefa—Skałkowski	226
Z Kroniki—Gallusa	229
Z moich wspomnień—Dembowski	231
Z pamiętnika—Słowacki	235
Z dziennika—Słowacki	236
Jan Kochanowski—Chrzanowski	238
Z podróży do Tatrów—Goszczyński	240

Z San Francisco do Los Angeles—Sienkiewicz	242
--	-----

Rodzaje prozy rozumującej.

Nieśmiertelny—Orzeszkowa	245
Rozbiór krytyczny Wiśława—P. Chmielowski	447
Pyszałek—Rey	249
Teofil dzieciak—Żmichowska	249

Proza oratorska.

Z VIII kazania—Skargi	251
---------------------------------	-----

Rodzaje poezji.

Pamięci Mickiewicza—Tetmajer	253
Było sobie—Słowacki	254
Wilja na Syberji—Szymański	256
Lirnik wioskowy—Kondratowicz	258
Tam u nas!—Kraszewski	260

Rodzaje poezji epicznej.

Baśń o Sobotniej górze—Zmorski	263
Wilcasek z Gubjo—St. Witkiewicz	271
Podanie o smoku—Kraszewski	274
Młodzieniec zakłęty—Mickiewicz	275
Jan III—Niemcewicz	278
Duma o S. Koreckim—Fałęński	280
Święcone u Radziwiłła—Słowacki	282
Przed sądem—Konopnicka	285
Dziekan z Badajoz—Kraśiński	288
Uprzejma dziewczynka	291
Dyplomata	292
Trafił swój na swego	292
Kradzione—Kondratowicz	292
Czerniaków—Brodziński	295
Do swego Boga—Zych	299
Ojciec zażumionych—Słowacki	302
Z Krzyżaków—Sienkiewicz	309
Z Pana Tadeusza—Mickiewicz	315

Poezja epiczno-dydaktyczna.

Rolnik i bocian—Massalski . . .	318
Przypowieść VIII—Mickiewicz. . .	319
Satyra do króla—Krasicki. . .	320

Poezja liryczna.

Żórawie—Tetmajer	324
Burza—Mickiewicz	324
Pieśni ludowe	325
Dumka	327
Warszawianka—Delavigne. . .	327
Poszłabym ja—Konopnicka . . .	329
Czemu mi smutno—Żmichowska	330
Tren III—Kochanowski	332
Oda do Młodości—Mickiewicz. . .	333
Psalm VIII Kochanowski	336

Liryka refleksyjna.

Pieśń o dobrej sławie—Kochanowski	337
Sonet XIII—Asnyk	338
Epigramaty, fraszki, myśli	338
O Staszku—Kochanowski	338
Na zdrowie—Kochanowski	339
Nagrobek pijakowi—W. Potocki	339

Poezja dramatyczna.

Zemsta Fredro } wyjątek	340
Makbeth Szekspir } i streszcz.	346

Różne utwory.

Rzeźbione drzwi—Kremer	355
Pieśń o domu—Konopnicka	356

Śmierć Boryny—Reymont	357
Z chalupy—Kasprowicz	362
Papierucha—Świętochowski	362
Starowina—Niemojewski	367
Rozmowa przy kominku—Żmichowska	368
Kto dla siebie pracuje—Konopnicka	370
Gałąź bzu—Żeromski	371
Z IV cz. „Dziadów”—Mickiewicz	376
Dzień świąteczny—Orzeszkowa	377
W lecie—Tetmajer	379
Jezioro—Żeromski	379
Krzak dzikiej róży—Kasprowicz	381
Walka z wiatrem—Tetmajer	381
Czardasz—Tetmajer	385
Wyjątek z dziennika—Matlakowski	386
Baśń tęczowa—Asnyk	388
Garść ziemioczystej—Orzeszkowa	389
Wymarsz wojska—Jeż	391
Spadłe liście—Zawistowska	393
Pod Zamościem—Sienkiewicz.	394
Obóz pod Sokalem—Kubala	395
Potęga człowieka—Sofokles	400
Przeprawa—Żeromski	400
Księżę Józef—Z. Dębicki	404
W 100-letnią rocznicę konferencji Barskiej—Ujejski	405
Kiedyż?—Romanowski	406
W noc listopadową—Mochacki	406
Bojowisko—Ostrowska	408
Z rosyjskiej szkoły—Żeromski	409
Z r. 1914—Nalepiński	413
Wersyfikacja	414
O kompozycji pisarskiej	423